

KATHERINE  
SCHOLLES

IDEALNA  
ŻONA

Wspaniała lektura  
na lato (...)  
która sprawia,  
że chciałoby się wsiąść  
do najbliższego  
samolotu do Tanzanii.  
„BOOKSELLER & PUBLISHER”



Świat Książki

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Epilog

Nota od autora

Podziękowania

KATHERINE  
SCHOLES

---

IDEALNA  
ŻONA

Z angielskiego przełożyła  
Małgorzata Żbikowska

  
Świat Książki  
wydawnictwo

Tytuł oryginału  
THE PERFECT WIFE

Wydawca  
*Agnieszka Koszałka*  
*Grażyna Woźniak*

Redaktor prowadzący  
*Beata Kołodziejska*

Redakcja  
*Joanna Wysłowska*

Korekta  
*Lidia Ścibek*  
*Marzenna Kłos*

Copyright © 2013 by Katherine Scholes  
Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Żbikowska, 2017

Świat Książki  
Warszawa 2017

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewiczza 2

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Skład i łamanie  
*Joanna Duchnowska*

Dystrybucja  
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl) tel. 22 733 50 10  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

ISBN 978-83-8031-681-2

Skład wersji elektronicznej  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Dla Jonny'ego i Linden  
z wyrazami miłości*

# Rozdział pierwszy

Kitty poruszyła się niecierpliwie w fotelu. Podróż zdawała się ciągnąć w nieskończoność, ale wreszcie dobiegała kresu. Wkrótce spotka się z mężem. Zaczną wszystko od nowa, pozostawiając przeszłość za sobą. Już nie mogła się doczekać lądowania samolotu i nowego życia w Afryce.

By zająć myśli czymś innym, wygładziła zakiet, strzepnęła okruszki z kremowej płóciennej spódnicy, odchyliła głowę na oparcie fotela i zamknęła oczy. Od doby nie spała i czuła, jakby miała piasek pod powiekami. Gdzieś między Rzymem a Bengazi stewardesy przygotowały łóżka dla dziewięciu pasażerów. Były wygodne, ale Kitty nie mogła zasnąć. Silniki, od których drżał cały samolot, pracowały zbyt głośno. Poza tym krępowała ją obecność mężczyzn leżących obok. Miała wrażenie, że dopiero co usnęła, gdy wróciły stewardesy, żeby posłać łóżka i podać śniadanie.

Otworzyła oczy i odwróciła głowę w stronę sąsiada. Paddy nie wyglądał na zmęczonego. Siedział wyprostowany i czytał książkę pozaginaną na rogach. Uniósł wzrok, jakby wyczuwając spojrzenie Kitty.

– Już niedługo. Pewnie nie może się pani doczekać spotkania z mężem.

Kiwnęła głową.

– Te sześć tygodni wydaje się wiecznością.

– To się nazywa prawdziwa miłość – powiedział z bezczelnym uśmiechem.

Kitty również się uśmiechnęła. Paddy nie miał w sobie nic

z chłodnego Anglika. Nie wyobrażała sobie, że czekałby, jak Theo, by kobieta usiadła pierwsza. Irlandczycy byli pod tym względem podobni do Australijczyków. Pewnie dlatego czuła się tak swobodnie w jego towarzystwie. I jeszcze ten wygląd. Był niskim, pulchnym mężczyzną, który miał w sobie coś ze szczeniaka. Nie stanowił więc żadnego zagrożenia.

– Muszę to skończyć, zanim wylądujemy. – Paddy machnął książką. – Mam przecucie, że tam nie będzie na to czasu. – Wrócił do lektury, przesuwając palcem po stronie w poszukiwaniu miejsca, w którym przerwał czytanie.

Kitty przypomniała sobie targany wiatrem hangar przy pasie startowym pod Londynem. To tam poznała Paddy’ego i innych pasażerów, którzy tak jak ona mieli lecieć do Tanganiki<sup>[1]</sup>. Wojna skończyła się trzy lata temu, ale mężczyźni nadal podawali stopnie wojskowe przed nazwiskami, gdy zwracali się do siebie. Byli inżynierami i mechanikami skierowanymi do pracy w warsztatach naprawczych traktorów w Kongarze. Stojąc w grupce, z walizkami przy nogach, zaczęli rozmawiać o rządowym projekcie uprawy orzeszków ziemnych – o tym, co słyszeli i co wiedzieli. Kitty słuchała, starając się zapamiętać każdy szczegół. Chciała być dobrze poinformowana, żeby potem móc rozmawiać z Theo, gdy wróci do domu.

Paddy zjawił się spóźniony, zdyszany i czerwony na twarzy. Miał worek żeglarski przewieszony przez ramię, a w rękę pogniecione dokumenty podróży. Urzędnik z Ministerstwa do spraw Żywności sprawiał wrażenie, jakby walczyły w nim dwa uczucia – rozdrażnienia z powodu niepunktualności Paddy’ego i ulgi, że może wreszcie odhaczyć ostatnie nazwisko na liście pasażerów. Natychmiast poprowadził swoją trzódkę w stronę drzwi hangaru.

Po wyjściu na dwór Kitty otuliła się mocniej futrzanym kołnierzem. Anglia trwała w okowach zimy. Asfalt pokrywała warstwa lodu, patrzyła więc pod nogi i raczej usłyszała, niż



zobaczyła idącego obok niej mężczyznę.

– Nazywam się Paddy O’Halloran – oznajmił z wesołym uśmiechem. – Nie walczyłem na wojnie.

Kitty uniosła brwi, zaskoczona jego bezpośrednim, niemal żartobliwym tonem.

– Kitty Hamilton.

– Tak – odparł. – Wiem o pani wszystko.

Kitty zwolniła kroku, czując przyływ paniki. W uszach zabrzmiał jej napięty z gniewu głos Theo. „Wygląda na to, że moja żona jest sławna”. Potem trzasnęła gazeta rzucona na stół i zadźwięczały porcelanowe filiżanki na spodeczkach.

Kitty z trudem przełknęła ślinę, szykując się na to, co za chwilę nastąpi, lecz głos Paddy’ego pozostał swobodny.

– Leci pani do męża, podpułkownika lotnictwa, Theo Hamiltona. Powiedzieli nam na odprawie, że będzie pani na pokładzie. – Mrugnął do niej. – Pewnie chcieli mieć pewność, że będziemy zachowywać się przyzwoicie. Niektórzy z tych facetów nie są przyzwyczajeni do obecności damy.

Kitty nie zdążyła odpowiedzieć, bo nagle poczuła, że sunie po lodzie. Paddy złapał ją za ramię i przytrzymał.

– Cholernie ślisko. Proszę uważać.

Gdy podeszli do samolotu, wskazał na rząd kwadratowych okien.

– To przerobiony bombowiec lancaster. Miejmy nadzieję, że prócz okien dodali również fotele.

– Mój mąż latał na lancasterach.

– Ile odbył lotów?

– Czterdzieści dziewięć – odparła z dumą.

Paddy aż gwizdnął.

– Musi być nieśmiertelny – stwierdził, po czym usunął się na bok, żeby mogła wejść po metalowych schodkach na pokład samolotu.

Chwyliła się poręczy, czując chłód przez rękawiczkę z koźlęcej

skóry. Starła się nie myśleć o tym, że lancaster to wielki potwór, który za chwilę ją pożre. Przed oczyma mignęły jej sceny z kronik filmowych, a w uszach zabrzmiał charkot niesprawnych silników. Zobaczyła płonące kabiny pilotów i czarne smugi dymu ciągnące się za maszynami, które wyglądały jak zabawki spadające z nieba do morza. Przez trzy długie lata czynnej służby Theo żyła w strachu, że prędzej czy później go straci. Był tego bliski. Jego samolot został trafiony, gdy zrzucał bomby nad Niemcami. Udało mu się jednak wrócić do Anglii i wylądować awaryjnie, lecz tylko on jeden ocalał z całej załogi, gdy lancaster stanął w płomieniach. Następnego dnia wrócił do służby. Koszmar trwał i trwał, a przyjaciele ginęli jeden za drugim. Kitty już zaczęła odczuwać ulgę, gdy otrzymała telegram, który strach zamienił w rzeczywistość.

Dotarła do szczytu schodów i przystanęła dla zaczerpnięcia oddechu. Theo przeżył wbrew wszelkim oczekiwaniom, wojna skończyła się, a dzisiaj potężny bombowiec służył innym celom.

Załoga samolotu rozsadziła pasażerów i schowała ich wierzchnie okrycia, torby i gazety. Paddy wybrał miejsce obok Kitty.

– To mój pierwszy lot – oznajmił. – Lepiej czuję się na statku. A pani?

– Latałam już kilka razy małymi samolotami – odparła. – Ale to nie to samo.

W zdenerwowanie wprawiało nie to, że lancaster kojarzył jej się z wojną, lecz jego onieśmielająca wielkość. Pilot i kontrolki były tak daleko. Gdy latała tiger mothem, Theo siedział tuż za nią.

– Proszę się nie obawiać – powiedział Paddy. – Nic się nam nie stanie.

Kitty miała wrażenie, że pociesza ich oboje.

Podczas długich godzin lotu kilkakrotnie wpadali w turbulencje. Pasażerowie trzymali się wtedy kurczowo poręczy, a załoga rozdawała torebki. Gdy wszystko się

uspokajało, pasażerowie zaczęli snuć opowieści lub żartować na temat jedzenia. Zdarzały się nawet dowcipy o toalecie, lecz nieprzeznaczone dla jej uszu. W czasie międzylądowań dla uzupełnienia paliwa w Rzymie, Libii, Ugandzie i Kenii czekali w dawnych wojskowych hangarach zamienionych na saloniki dla pasażerów. Mając płuca pełne spalin, popijali ciepłą coca-colę i zbyt długo parzoną herbatę. Podczas ostatniego postoju w Nairobi zjedli pyszne pierożki samosa, zaśmiecając podłogę okruszynami i bezwstydnie oblizując palce. Nic dziwnego, że po każdym powrocie do samolotu zacieśniały się między nimi więzy przyjaźni.

Teraz gdy podróż dobiegała końca, Kitty przyjrzała się swoim towarzyszom. Czekala ich praca w warsztatach przy naprawianiu traktorów i mieli zamieszkać w kwaterach dla mężczyzn. Ona zaś wiedziała, że czeka na nią normalny dom. To z powodu przedłużającego się remontu musiała czekać kilka tygodni w Anglii na przyjazd tutaj. Poza tym nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Prócz ekscytacji, że wreszcie spotka się z Theo, czuła również wewnętrzne napięcie. Pocieszała się myślą, że Kongara nie jest dużą miejscowością i że od czasu do czasu będzie spotykała tych mężczyzn. W tym dziwnym i nowym świecie przyjemnie będzie zobaczyć znajomą twarz.

Przeczesala palcami włosy, odsuwając z twarzy nieposłuszne pasemka. Miała modnego boba i wciąż zaskakiwało ją to, że to uczesanie do ucha. Odkąd pamiętała, jej czarne włosy sięgały do ramion. Nie chciała ich ścinać – jednak nowa fryzura była częścią umowy zawartej z Theo. Nie chciał, żeby ktoś ją rozpoznał. Zresztą ona również. Kiedy jednak długie pasma opadały na podłogę jedno po drugim, nie mogła powstrzymać łez. Wiedziała, że ta zmiana to forma nawrócenia jej na właściwą drogę. Nowym wyglądem udowadniała, że jest jej wstyd z powodu tego, co zrobiła i kim była. Potrząsnęła głową, czując łaskotanie włosów na policzkach. Krótsza fryzura to rozsądny wybór, przekonywała

siebie w duchu, odpowiednia do gorącego klimatu.

Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej puderniczkę. Już miała ją otworzyć, gdy jej wzrok padł na wygrawerowany na wieczku złoty monogram. Miała zostawić wszystko, co łączyło ją z Katyą, ale z puderniczką nie była w stanie się rozstać. Teraz pomyślała, że popełniła błąd. Powinna pozbyć się jej jak najszybciej, zanim ktoś ją zauważy. Jednak gdy trzymała pudełeczko w ręku, wyczuwając pod palcami gładkość szylkretowej oprawy, zrodziło się w niej coś na kształt oporu. Theo na pewno nie zauważy tego drobiazgu. Jeśli zaś chodzi o innych, to inicjały YKA były zbyt ozdobne, żeby je odczytać.

W małym, zasnutym różowym pyłem lusterku przyjrzała się ustom pociągniętym ciemnoczerwoną szminką i cienkim brwiom podkreślonym ołówkiem. Nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić do fryzury i miała wrażenie, że widzi obcą osobę.

Nos i czoło lekko się świeciły, więc ręka Kitty zawisała nad puszką do pudru. W uszach zabrzmiał jej głos matki Theo wyrażający opinię o kobiecie, która publicznie pudruje nos. Było to jedno z wielu drobnych przestępstw, przed którymi Louisa ostrzegała australijską dziewczynę. Kitty zamknęła na chwilę oczy, chcąc zablokować wspomnienie teściowej przekonującej o konieczności zachowania wytwornego dystansu wobec świata.

„Nazwisko damy pojawia się w gazetach trzy razy w życiu. Gdy się rodzi, gdy wychodzi za mąż i gdy umiera”.

Z powodu tego, co stało się później, te słowa nagle urosły w jej myślach do ogromnych rozmiarów. Zrezygnowała z pudrowania twarzy, jakby w ten sposób mogła się poprawić. Wiedziała, że nawet pójście do toalety na oczach tych wszystkich mężczyzn byłoby nieprzyzwoite. Zamknęła puderniczkę i wsunęła ją do torebki.

Siedzący obok niej Paddy odłożył książkę i wstał z fotela, żeby wyjrzeć przez okno. Rozstawił nogi, lecz i tak musiał się pochylić, by coś zobaczyć.

– Widać coś? – spytała.

Pokręcił głową przecząco.

Westchnęła. Pomyślała, że może powinna wyjąć podręcznik do nauki suahili i zrobić kilka ćwiczeń. Janet, emerytowana misjonarka, która uczyła ją tego języka, na pewno by to zaaprobowała. Jej zdaniem na uczenie się słówek należało poświęcać każdą wolną chwilę. Ale Kitty nie była w stanie się skupić. Spuściła wzrok na buty. Wyglądały elegancko pomimo cienkiej warstwy kurzu. Podkreślały kształt jej stopy, a wysokie obcasy wysmuklały łydki. Miała nadzieję, że przez to nie będzie wyglądała na wyższą od męża.

Paddy nagle wyprostował się i przywołał ją skinieniem ręki.

– Proszę podejść i zobaczyć.

Kitty wstała i stanęła obok niego. Przez ostatnie cztery czy pięć godzin widać było jedynie rozległą przestrzeń, która przypominała jej rodzinny kraj. Teraz jednak, gdy przysunęła twarz do szyby, zaskoczona wciągnęła gwałtownie oddech.

Krajobraz uległ zmianie. Krzewy, trawa i drzewa ustąpiły miejsca nagiej czerwonej ziemi, ciągnącej się w nieskończoność, poprzetykanej siatką prostych linii. Kitty domyśliła się, że są to drogi. Przypominały jej ścieżki na farmie ojca w Australii. Zobaczyła też falujące pokosy przecinające ziemię. Zastanawiała się, czy miały one zatrzymywać wiatr, erozję wody czy też służyły jednemu i drugiemu.

– Proszę zwrócić uwagę na skalę przedsięwzięcia. – Paddy aż gwizdnął przez zęby. – Każda z tych plantacji jest sto razy większa od ziemskich majątków w Anglii. – Uśmiechnął się do Kitty. – Słuchałem uważnie, co mówiono na odprawie. – Że projekt uprawy orzeszków ziemnych w Tanganice obejmuje obszar prawie miliona hektarów. To połowa Walii. Podobno sto tysięcy byłych żołnierzy zwerbowano do tego planu. – Uśmiechnął się. – Więc to my, fistaszkowa armia.

Inni pasażerowie również podeszli do okien i podziwiali ogrom

tego, co rozciągało się poniżej.

– Wiecie, jak to wszystko się zaczęło?

Kitty rozpoznała głos Billy'ego, inżyniera z pułku Middlesex, który utykał z powodu rany od szrapnela. – Pan Strachey, minister do spraw żywności, wpadł na ten pomysł, gdy obserwował ciężarówki ruszające na front. Wyobraził sobie inny konwój. Pługi zamiast broni zmierzające do Afryki.

Wszystkie oczy zwróciły się na mówiącego. Przez całą podróż opowiadał dowcipy, ale teraz w jego głosie brzmiała powaga.

– To szansa, żeby zrobić coś dobrego – ciągnął. – Zrekompensować to całe zniszczenie i śmierć. Będziemy teraz prowadzić walkę z głodem.

Kitty wymieniła spojrzenia z Billym i Paddym, a potem z innymi – Nickiem, Jimmym, Jamiem, Robbiem, Ralphem i Peterem. Poczucie wspólnej misji było niemal namacalne. Nagle zniknęły wszelkie obawy związane z tym, co ją czeka w Kongarze. Nowe życie będzie pracowite i ekscytujące, bo ma jasno wytyczony cel.

\*

Mężczyźni cofnęli się, żeby Kitty mogła wysiąść pierwsza. Gdy stanęła na metalowych schodkach podstawionych do samolotu, owiało ją znajome gorące i suche powietrze. Woń paliwa mieszała się z zapachami buszu: pyłu, krowiego łajna i piżmowego zapachu liści. Przebiegła wzrokiem tłumek zebrany na pasie startowym, szukając jasnorudej głowy Theo lub osoby z jego charakterystyczną postawą – pochylonej lekko w przód, jakby pod naporem wiatru. Nie dostrzegła go. Zmarszczyła brwi i ponownie się rozejrzała. Zauważyła grupkę mężczyzn w eleganckich garniturach, koszulach, krawatach i kapeluszach i drugą – w koszulach khaki, luźnych szortach, skarpetach

i butach. Żaden z nich nie był Theo.

Ośłoniła oczy dłonią przed oślepiającymi promieniami popołudniowego słońca i sięgnęła wzrokiem dalej. Jedyłą białą osobą poza tamtymi był mężczyzna w niebieskim kombinezonie, zapewne pracownik lotniska. Stłumiła strach na myśl o tym, że Theo jest chory lub uległ wypadkowi. Starła się odsunąć od siebie wspomnienie tego, co stało się z człowiekiem, którego Theo zastąpił. Było to takie straszne, że Theo nie chciał wdawać się w szczegóły. Wiedziała tylko, że był to dziwny wypadek. Praca jej męża nie należała bowiem do niebezpiecznych. Zeszła po schodkach. Za plecami słyszała stuk butów Paddy'ego. Uniosła brodę, zdecydowana nie okazywać niepokoju. Musiał być jakiś prosty powód, dla którego Theo nie mógł jej osobiście powitać.

Gdy tylko dotknęła stopami płyty lotniska, podszedł do niej jeden z mężczyzn ubranych w garnitury i podał owinięty w celofan bukiet kwiatów.

– Witamy w Tanganice i witamy w Kongarze.

Wzięła bukiet i spojrzała mężczyźnie w twarz, szukając na niej oznak złych wiadomości.

Wyciągnął rękę.

– Szeregowy Toby Carmichael, asystent pani męża.

– Miło mi – odpowiedziała. Zaskoczyła ją blada cera mężczyzny. Nie wyglądał, jakby spędzał na dworze dużo czasu.

– Niestety pan Hamilton otrzymał pilne wezwanie, którego nie dało się przełożyć – wyjaśnił Toby z akcentem ze środkowej Anglii, ale dobór słów przypominał Kitty Theo. – Jest na plantacji. Wróci wczesnym wieczorem. – Wskazał na stojącą obok dziewczynę z dokumentami w ręku przypiętymi do podkładki. Kitty dostrzegła młodą pulchną twarz, czerwone wargi i starannie ułożone włosy, które kompensowały prostą spódnicę i bluzkę w kolorze khaki. – Lisa zawiezie panią do domu. Pan Hamilton dołączy do pani tak szybko, jak to możliwe. Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt wyczerpująca, choć oczywiście

bardzo długa.

– Czy coś się stało?

Teraz gdy wiedziała, że ani nie jest chory, ani nie uległ wypadkowi, czuła się zawiedziona, że go nie ma.

– Jakiś problem z irlandzkimi pracownikami. – Toby zniżył głos, jakby przekazywał jej poufną informację. – Ale to nic poważnego.

Kitty stłumiła uczucie rozczarowania. Praca jest najważniejsza. Po to tu przyjechali. By prowadzić walkę z głodem.

Zdażyła się dowiedzieć, że tą walką kierowała Overseas Food Corporation, Zamorska Korporacja Żywnościowa, w skrócie OFC, a pracowników rekrutowała Spółka United Africa. I oczywiście, że orzeszki ziemne to inna nazwa orzeszków arachidowych lub fistaszków.

– A teraz pozwoli pani, że dokonam prezentacji.

Kitty miała wrażenie, że prezentacja nazwisk, stopni wojskowych, uśmiechów i uścisków rąk ciągnie się w nieskończoność, gdy Toby przechodził od jednej osoby do drugiej. Osłoniła usta dłonią, tłumiąc ziewnięcie. Nagle kątem oka zauważyła jakiś ruch i natychmiast stała się czujna. Zbliżał się ku nim lśniący, błękitny niczym niebo sedan.

Gdy podjechał bliżej, Kitty zobaczyła, że jest to daimler. W Hamilton Hall stały takie dwa w garażach przerobionych ze stajni. Ten zaś był nowszym modelem, lecz zachował majestatyczną sylwetkę z wielkimi łukami nad kołami i szerokim podwoziem.

Samochód zatrzymał się w odległości zaledwie kilku metrów. Kitty zauważyła, że za kierownicą siedzi Afrykanin, a jego ciemna twarz jest prawie niewidoczna za błyszczącymi szybami. Spojrzała na tylne siedzenie, spodziewając się, że zobaczy Theo. A więc uciekł z pracy, by powitać ją na lotnisku. Lecz zamiast niego ujrzała kobietę w ciemnych okularach i wielkim kapeluszu w kolorze cytryny.



Szofer wysiadł, obszedł samochód i otworzył tylne drzwi. Wyglądał na mężczyznę w średnim wieku, lecz miał na sobie strój przypominający krojem marynarskie ubranie.

Pojawiła się stopa w białym pantofelku na wysokim obcasie, potem druga, a następnie nogi w pończochach i na koniec ich właścicielka. Miała na sobie żółtą sukienkę w tym samym odcieniu co kapelusz i białe rękawiczki pasujące do pantofli. Omiotła wzrokiem zebranych, po czym zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

– Cholera. Wiedziałam, że się spóźnię. – Rzuciła oskarżycielskie spojrzenie szoferowi, po czym skierowała wzrok na Kitty. Miała szarozielone oczy, podkreślone kredką i cieniem. – Pani zapewne jest żoną Theo. – Mówiła z tym samym co on wyrafinowanym akcentem, lecz przesadnie przeciągała samogłoski. – Jestem Richardowa Armstrong. Mąż prosił mnie, żebym po panią przyjechała, skoro Theo nie może.

– To bardzo miło z pani strony – odpowiedziała Kitty.

Kobieta nie dała po sobie poznać, czy spełnia obowiązek czy przyjemność. Powitała zebranych lekkim uśmiechem, po czym odwróciła się do Toby'ego, który wyprostował ramiona i niemal stanął na baczność.

– Proszę dopilnować, żeby bagaż pani Hamilton odesłano do domu. My pojedziemy przodem.

– Tak, oczywiście.

Toby spojrział na Lisę, dziewczynę z dokumentami na podkładce. Wyglądała na rozczarowaną, że tak nieoczekiwanie odsunięto ją na bok.

Kitty szukała w pamięci nazwiska Armstrong. Czy tak nazywał się przełożony Theo, dyrektor generalny? A może dyrektor do spraw rolnictwa?

Kobieta ponownie odwróciła się do Kitty.

– Możesz mówić mi Diana.

– Dziękuję. Proszę, mów mi Kitty.

Wzrok Diany omiół jej twarz i figurę. Kitty cieszyła się w duchu, że dotrzymała obietnicy danej Theo i zmieniła wygląd. Pod badawczym spojrzeniem Diany spódnica i żakiet wydały się nagle zbyt proste, a nowe buty bez polotu. Ale przynajmniej fryzura i brwi były na czasie.

– Jedźmy więc – powiedziała Diana.

Kitty rozejrzała się, szukając Paddy’ego. Uśmiechnął się do niej i pomachał ręką na pożegnanie. Już miała pójść za Dianą, gdy nagle zerwał się wiatr. Mężczyźni chwycili za kapelusze i pochylili się dla ochrony przed kłującym pyłem. Papiery zatrzepotały na podkładce Lisy. Kitty spojrzała na Dianę spod zmrużonych powiek. Kobieta stała wyprostowana i niewzruszona. Zamknęła jedynie powieki, a pociągnięte tuszem rzęsy utworzyły czarne półksiężycy pod oczami. Ręka obciążona rękawiczką chwyciła brzeg żółtego kapelusza.

\*

Daimler opuścił płytę lotniska i wjechał na nowo wybudowaną drogę – schludną wstęgę żwiru biegnącą przez wykarczowany busz. Kobiety usadowiły się na tylnym siedzeniu. Diana patrzyła przed siebie. Z bliska jej cera wyglądała na nieskazitelną, przykryta cienką warstwą naturalnego pudru i delikatnym różem na policzkach.

– Jesteś Australijką – stwierdziła Diana, nie patrząc na nią.

Kitty spojrzała na nią z niepokojem. Theo na pewno tego Dianie nie powiedział, a więc zdradził ją akcent. Nauczyciel dykcji zapewnił matkę Theo, że pochodzenia synowej nie da się rozpoznać po akcencie. Pewnie rozmowa z Paddym musiała wydobyć go z ukrycia. Może ujawnił się, gdy opowiadała Irlandczykowi o dorastaniu na farmie w australijskim buszu.

– Tak. Tam się urodziłam i wychowałam – odparła. – Ale od lat

mieszkam w Anglii. Przyjechałam tuż przed wojną.

Diana nic na to nie powiedziała. Odchyliła głowę na oparcie siedzenia, jakby wykonała bardzo męczące zadanie. Cisza się przedłużała, więc Kitty zaczęła obserwować krajobraz za oknem samochodu. Czerwona ziemia wydawała się żyzna, ale roślinności było niewiele. Okolica wyglądała, jakby dotknęła ją susza. Ojciec przez całe życie zmagał się z taką ziemią, usiłując wyciągnąć z niej jakiś dochód, który ledwie wystarczał na utrzymanie rodziny. Ale ten teren wybrano przecież do realizacji jednego z najambitniejszych rolniczych projektów. Kitty pomyślała, że może to skutek jakichś anomalii pogodowych występujących w tropikach, o których nie miała pojęcia. Rozejrzała się ciekawie po wnętrzu samochodu, omiatając wzrokiem błyszczącą drewnianą obudowę, lśniące niklowane detale i skórzane siedzenia w kolorze czerwonej morwy. Był to zupełnie inny świat od tego na zewnątrz.

Droga wiała się przez chwilę wśród skupisk skalnych poprzetykanych krzakami, po czym znowu wyjechali na otwartą przestrzeń. Gdy samochód pokonał ostry zakręt, Kitty aż usta otworzyła ze zdziwienia. Nagle, jakby przez przypadek, wyrosło przed jej oczyma pasmo gór. Nie zauważyła ich, gdy samolot podchodził do lądowania. Musiały być z drugiej strony. Przyglądała się ostrym, poszarpanym szczytom pnącym się ku niebu. Przypominały doskonale w kształcie piramidy jak na ilustracjach w książce dla dzieci.

Odwróciła się w stronę Diany.

– Te góry są piękne – powiedziała.

Diana wzruszyła lekko ramieniem.

– Dla mnie to wzgórze. W górach jeździ się na nartach.

Ponownie zapadła cisza, przerywana jedynie szumem silnika. Na tle gór otaczający je krajobraz wydawał się jeszcze bardziej nijaki. Potem w oddali pojawiło się coś w rodzaju osady. Kitty wyciągnęła szyję, starając się rozpoznać, co widzi. Gdy podjechali

bliżej, dziwne kształty i kolory zmieniły się w morze białych, przybrudzonych namiotów ustawionych w równych rzędach.

– Co to jest? – spytała Diany, dostrzegając wysokie zasieki i miejsca parkingowe oznaczone pomalowanymi na biało kamieniami. – Wygląda jak obóz wojskowy.

– To Kongara.

Odpowiedź Diany wprowadziła Kitty w zakłopotanie. Z tego, co mówił Theo po powrocie z odprawy w Londynie i z dwóch listów, które przysłał z Tanganiki, stworzyła sobie obraz miasteczka z prostymi, ale solidnymi domami. Pisał też o klubie z basenem i o sklepach. „Spodoba ci się nasz nowy dom – zapewniał. – Jest w pełniumeblowany przez OFC, łącznie z różowymi ręcznikami w łazience”.

– Miejscowi nazywają ją Londoni – wyjaśniła Diana ze śmiechem. – To Londyn w języku suahili. Tylko że trudno wymówić. Ale nazwa się przyjęła. Wszyscy jej teraz używamy. Co prawda, tylko do określenia miasteczka, nie całej okolicy.

Kitty powtórzyła w myślach to słowo. Lon-do-ni. Środkowa sylaba była wydłużona, dzięki czemu nazwa brzmiała melodyjnie i intrygująco. Omiotła wzrokiem rzędy namiotów. Dostrzegła między nimi okrągłe chaty o glinianych ścianach i dachach z brezentu. Potem zobaczyła długi, wąski dom z werandą. Jeden jego koniec pomalowano na biało, a nad drzwiami widniał napis: „Stołówka”. Drugi koniec był drewniany z napisem „Kantyna”. Wolna przestrzeń z przodu była otoczona płotem. Pewnie miał tu być ogród, lecz nic w nim nie rosło. Kitty zauważyła też kilka długich, półokrągłych baraków z blachy falistej, które widziała w Anglii podczas wojny, jak również kino pod chmurką z ekranem i rzędem krzeseł.

Samochód zwolnił, gdy wjechał w uliczkę z większymi namiotami. Nagle zaroilo się od ludzi – białych, Afrykanów, Hindusów – ubranych w różne odcienie khaki pasujące do stylu obozu wojskowego. W większości byli to mężczyźni, lecz

dostrzegła również kilka młodych kobiet w spódnicach i koszulach takich jak Lisy. Wszyscy gdzieś się spieszyli. Jakiś mężczyzna w stroju safari spojrzął na zegarek i zaczął biec.

– Dyrekcja – wyjaśniła Diana.

Przed największym namiotem stał maszt z flagą brytyjską, a obok czarny rolls-royce, przy którym pełnił wartę afrykański żołnierz w eleganckiej kurtce z paskiem i rdzawoczerwonym fezie na głowie. Kitty wyciągnęła szyję, usiłując zajrzeć do wnętrza namiotu. Zobaczyła jedynie wielkie biurko, maszynę do pisania i nierówny stos broszur.

Samochód jechał dalej, mijając setki mniejszych namiotów. Za nimi ukazały się rzędy drewnianych domków. Były identyczne i wyglądały, jakby miały zaledwie dwie izby. Z boku zamocowano sznury do bielizny, na których wisały robocze ubrania khaki oraz nieliczne jaśniejsze sukienki, bluzki i dziecięce piżamki.

– A to jest osiedle budek – poinformowała Diana.

– Czy to tu mieszkaż... Mieszkamy? – spytała ostrożnie Kitty.

– Dobry Boże, nie – odparła Diana. – Tu mieszka personel pomocniczy i medyczny. – Wskazała w stronę gór i pasa zieleni u podnóża. – My mieszkamy przy ulicy Milionerów. To oczywiście nie jest prawdziwa nazwa. Prawdziwa to Hillside Avenue. Najlepszy adres w Tanganice.

Kitty rozpoznała żartobliwy ton w głosie Diany. Zastanawiała się nad właściwą odpowiedzią, gdy nagle twarz Diany stężała. Kobieta wyciągnęła rękę w stronę ramienia szofera.

– Uważaj!

Samochód ostro zahamował, a pasażerki rzuciło na przednie siedzenia. Zapadła pełna napięcia cisza, po czym rozległ się dziecięcy śmiech.

– Dzięki Bogu – powiedział szofer. – Nie potrąciłem jej.

Na drogę wybiegła mała dziewczynka z jasnymi warkoczykami, goniąc za czerwoną piłką.

Kobiety ponownie usiadły na swoich miejscach. Kitty westchnęła z ulgą, lecz Diana wciąż tkwiła niczym skamieniała, z szeroko otwartymi oczyma.

– Wszystko w porządku – zapewniła Kitty. – Nic jej się nie stało.

Diana kiwnęła głową, lecz nadal nie mogła dojść do siebie. Na jej twarzy pojawiły się krople potu. Zdjęła kapelusz i rzuciła go na podłogę, odsłaniając pofalowane kasztanowe włosy, po czym ukryła twarz w drżących dłoniach. Kitty zobaczyła polakierowane paznokcie i palce ozdobione pierścionkami, lecz taktownie odwróciła wzrok. We wstecznym lusterku dostrzegła zatroskany wzrok szofera.

– Ruszajmy – poleciła. – Pani Armstrong przydałaby się szklanka wody.

Zwolnił hamulec i wcisnął gaz. Zostawili za sobą skupisko drewnianych domków i ruszyli w stronę ulicy Milionerów.

Diana powoli dochodziła do siebie. W końcu uniosła głowę i odsunęła z brwi wilgotne pasmo włosów.

– Rodzice powinni pilnować swoich dzieci – powiedziała, pochyliła się, podniosła kapelusz, otrzepała go z kurzu i położyła ostrożnie na kolanach.

Kitty kiwnęła uprzejmie głową i ponownie odwróciła wzrok. Miała świadomość, że oto była świadkiem czegoś, czego nie powinna. Diana odsłoniła się w sposób głęboko zawstydzający. Nie był to dla obu pań dobry początek znajomości.

---

<sup>1</sup> Terytorium mandatowe Wielkiej Brytanii w kontynentalnej części Tanzanii, we wschodniej Afryce w latach 1919–1964.

# Rozdział drugi

Daimler skręcił na szeroki, zwirowany podjazd. Kitty z niecierpliwością wypatrywała domu. Po namiotach i drewnianych domkach szykowała się na rozczarowujący widok, ale ujrzała duży, zaskakująco nowoczesny, murowany dom, z werandą od frontu. Ściany wykonano z betonowych bloków i pomalowano na biało, a blaszany dach miał elegancki spadek. Przed domem znajdował się rozległy ogród otoczony płotem z białych palików. Rosły w nim krzewy bugenwilli obsypane intensywnie fioletowymi kwiatami, takimi jak w Australii, ale były też różowe, pomarańczowe, fioletoróżowe i białe. Ktoś najwyraźniej próbował przycinać krzewy w kształt łuku, ale tu i tam strzelały w górę niesforne gałązki.

Szofer wcisnął klakson. Po chwili z domu wyszło dwóch Afrykanów ubranych w białe koszule i szorty, a za nimi kolejnych dwóch w mundurach khaki. Stanęli na baczność przy drzwiach, po dwóch z każdej strony. Kitty przypomniało to sceny z Hamilton Hall przed wojną. Gdy któryś z członków rodziny wracał po ponad tygodniu lub dłuższej nieobecności, witał go cały personel w liczbie co najmniej dwudziestu osób, ustawiając się w szpaler.

Diana wysiadła z samochodu, zostawiając kapelusz na siedzeniu. Zachowywała teraz kamienny spokój, jakby wypadek z dziewczynką i piłką nigdy nie miał miejsca. Poprowadziła Kitty na werandę. Przeszła po błyszczącej kamiennej podłodze poprzetykanej drobnymi kamyczkami i zatrzymała się przed Afrykanami.

– Twój kucharz, pokojowy, ogrodnik i strażnik.

Zatrzymała się przy ostatnim, czekając, aż zdejmie czapkę.

Kitty starała się ciepłym uśmiechem zrekompensować lekceważące zachowanie Diany. Powitała ich nawet w języku suahili.

– *Hamjambo*.

Mężczyźni popatrzyli na nią, jakby nie zrozumieli, chociaż Kitty wiedziała, że użyła właściwego słowa. Niemal słyszała zdecydowany ton Janet, kiedy wbijała jej do głowy, że „*Hujambo* mówisz, gdy witasz jedną osobę. W przypadku dwóch lub więcej mówi się *Hamjambo*, na co odpowiada się *Hatujambo*”.

Spróbowała ponownie.

– *Habari gani?* Jak się macie?

Znowu nie otrzymała odpowiedzi.

– To miło, że nauczyłaś się paru słów w suahili – stwierdziła Diana lekko speszona. – Ale oni całkiem nieźle mówią po angielsku. Cynthia szczegółowo określiła wymagania odnośnie do personelu.

Kitty zamierzała pójść dalej, gdy człowiek określony mianem pokojowego sięgnął po kwiaty, które trzymała w ręku.

– Wstawię je do wazoni, *memsahib* – powiedział.

– Do wazonu – poprawiła Diana, wznosząc oczy ku niebu. – Mają tendencję do dodawania „i” na końcu wyrazu. Traktori, Londoni. To strasznie denerwujące. Ma się wrażenie, jakby ze wszystkiego robili sobie żarty.

Kitty postanowiła nie wyjaśniać, że wszystkie rzeczowniki – i nazwy – kończą się w suahili na samogłoskę. Uśmiechnęła się więc przyjaźnie do służącego, nie chcąc, żeby zakwestionowano jego znajomość języka. Stał na baczność, trzymając przy boku bukiet kwiatów łodyżkami do góry. Wyglądał na jej równolatka – dobiegał trzydziestki lub miał niewiele ponad trzydzieści lat. W Hamilton Hall przywykła do obsługiwanego przez dorosłych mężczyzn, tutaj jednak wydawało się to dziwne. Tanganika była



przecież ich krajem, nie jej.

Diana wprowadziła Kitty do domu, zdejmując po drodze rękawiczki i chowając je do torebki. Jej pantofle stukwały rytmicznie po drewnianej podłodze, gdy weszła do dużego salonu. W powietrzu unosił się lekki zapach świeżej farby, pomimo że drzwi balkonowe stały otworem. Było późne popołudnie i promienie słońca tworzyły świetlne kałuże na lakierowanej podłodze. Kitty objęła spojrzeniem trzyczęściowy komplet mebli obity zieloną tapicerką. Okna ozdobiono zasłonami w tym samym kolorze. Była też biblioteczka z oprawionymi w skórę książkami. Obok stał barek z butelkami, karafkami, szklankami i srebrnym syfonem z wodą sodową. Nie zabrakło nawet palmy z postrzępionymi liśćmi w doniczce na stoliku do kawy. Pokój przypominał Kitty zdjęcie z magazynu. Wyglądał nierealnie, ale robił wrażenie.

Diana wyjęła z torebki paczkę papierosów i wytrząsnęła dwa.

– Zapalisz?

– Nie w tej chwili, dziękuję. – Kitty postanowiła nie mówić jej, że nie pali.

– Powinno być tu wszystko, czego ci trzeba – powiedziała Diana półgębkiem, zapalając jednocześnie papierosa. – Jeżeli nie, wyślij wiadomość do działu zaopatrzenia. Jeśli nie będą mieli tego, czego chcesz, nie przestawaj prosić. A jeżeli coś ci się nie będzie podobać, po prostu odeślij.

Wyszła do hallu i otworzyła drzwi drugiego obszernego pokoju.

– Sypialnia państwa – oznajmiła. – Wszystkie domy są takie same. Dlatego wiem, gdzie co jest.

Stało w niej małżeńskie łoże z kremową narzutą i moskitierą zwisającą z baldachimu. Resztę przestrzeni zdominowała szeroka toaletka z lustrem wykończonym ząbkami. Kitty omiotła wzrokiem sypialnię ze zdziwieniem. Theo już dawno miał się przeprowadzić, jak tylko z domu wyjdą malarze. Tymczasem nie

było żadnego śladu, że tu spał. Opuściła pospiesznie pokój, zastanawiając się, czy Diana też to zauważyła.

Idąc dalej korytarzem, Diana minęła zamknięte drzwi. Unosił się zza nich zapach nafty i oleju.

– Nie wchodzę do kuchni, jeżeli nie muszę, ale Cynthia lubiła robić regularne inspekcje.

Diana popatrzyła na Kitty, jakby spodziewała się usłyszeć, którą wersję preferuje jej rozmówczyni. Kitty wzruszyła ramionami wymijająco. Nie była pewna, której z kobiet powinna przyznać rację.

– Tak czy owak dobrą nowiną jest to, że mamy w końcu przyzwoite lodówki – ciągnęła Diana. – Electroluxa. Przyjechały w zeszłym tygodniu. Mamy więc wreszcie zimny tonik i całe mnóstwo lodu.

Uśmiechnęła się przez ramię. Był to jej pierwszy normalny uśmiech. Jeden z przednich zębów był lekko skrzywiony, lecz ten defekt podkreślał jedynie doskonałość rysów.

– Toaleta. Gabinet – mówiła dalej, wskazując kolejne pokoje. – Łazienka. Obawiam się, że znajdziesz w niej różowe ręczniki. Jeden Bóg wie, skąd przyszedł im do głowy taki pomysł. – Urwała i przechyliła głowę w zamyśleniu. – Niektóre żony uważają, że ludzie w Londynie celowo wybrali ten kolor, bo wszystko w końcu robi się tu różowe z powodu czerwonego osadu w wodzie. – Pokręciła głową. – Ale nie sądzę. To stanowczo zbyt rozsądne jak na OFC.

Kitty zastanawiała się, co oznacza ta ostatnia uwaga. Wszystko, co dotąd wiedziała o pracach Overseas Food Corporation (przekazanych przez Theo i z własnego doświadczenia wynikającego z organizacji podróży), tworzyło obraz porządku i pedantyczności – dokładnie tego, czego można było oczekiwać po byłych żołnierzach, marynarzach i pilotach.

Diana strzepnęła popiół do umywalki, po czym wyszła z łazienki. Wskazała na kolejne zamknięte drzwi.

– To był pokój dziecienny. Było ich dwoje.

Kitty sądziła, że razem go obejrzą, ale Diana zainteresowała się nagle paznokciami i zaczęła szarpać skórę. Postanowiła więc zajrzeć sama. Gdy otworzyła drzwi, znieruchomiała zaskoczona. Na małym stole leżała szczotka do włosów Theo. Na podłodze przy wąskim łóżku stały jego kapcie, a na oparciu krzesła wisiał jego niebieski szlafrok. Przez chwilę radość z widoku dobrze znanych przedmiotów stłumiło zakłopotanie. Wydało jej się dziwne i niezrozumiałe, że jej mąż zainstalował się w tym pokoju. Nagle jednak uświadomiła sobie, że to była przemyślana decyzja. Chciał poczekać na jej przyjazd i wtedy przenieść się do sypialni małżeńskiej. Od samego początku będzie należała do nich obojga.

Rozejrzała się po słonecznym pokoju. Przyszła jej do głowy jeszcze jedna szczęśliwa myśl. Pewnego dnia będą tu spały jej dzieci. Przynajmniej dwójka, a może trójka, ale nie więcej niż czwórka. (Theo był jedynakiem, ona zaś była świadkiem, jak jej matkę wyczerpały zbyt liczne ciążę). Mieli nadzieję, że wkrótce i oni założą rodzinę. Kitty kończyła niedługo dwadzieścia osiem lat, a Theo był starszy. W czasie wojny często musieli się rozstawać. Podczas krótkich spotkań woleli nie ryzykować. Nie był to odpowiedni czas na rodzenie dzieci. Późniejsze życie nie okazało się łatwiejsze. Ale teraz nadszedł właściwy czas. Kitty uśmiechnęła się, omiatając wzrokiem pokój. Z przyjemnością wybierze jasny materiał na zasłony i kapy. Może nawet przemaluje ściany i ramy okienne. Na przykład na żółto. To odpowiedni kolor zarówno dla chłopca, jak i dla dziewczynki.

Diana czekała na nią w innym dużym pokoju. Znalazła szklaną popielniczkę i spacerowała z nią w ręku.

– A jak jest tu ze szkołami? – spytała Kitty.

Diana zaciągnęła się głęboko papierosem.

– Nie mnie o to pytać, bo nie mam dzieci.

– Och, przepraszam.

Kitty zagryzła wargę, żałując, że nie może cofnąć bezmyślnego pytania. Na szczęście w oczach Diany nie dostrzegła żadnych emocji. Wyglądało na to, że nie należy do kobiet, które nie mogą mieć dzieci, stają się drażliwe na tym punkcie. Kitty przyszło do głowy, że Diana może nie chce mieć dzieci. Nie pasowała na matkę.

W ciszy, jaka zapadła, Diana znowu zaciągnęła się papierosem, a Kitty obeszła ciężki stół z ciemnego drewna z przysuniętymi do niego krzesłami. Zatrzymała się przy kredensie ze szklanym frontem. Wypełniony był zastawą. Wśród codziennych talerzy, misek, filiżanek i spodeczków była też patera na ciastka, maselniczka, solniczka i pieprzniczka.

– Myślałam, że zastawa stołowa jest na liście osobistych rzeczy – powiedziała Kitty zaskoczona. Po przeczytaniu pisma, jakie otrzymała od korporacji, kupiła nową zastawę – białą i solidną – żeby móc ją zabrać ze sobą.

– Bo tak jest – potwierdziła Diana. – Cynthia zostawiła tu swoją. Nie zadała sobie trudu, żeby ją spakować. – Uniosła pytająco brew. – Wiesz, kim jest pani Wainwright?

Kitty kiwnęła głową i spuściła z szacunkiem wzrok. Cynthia była wdową po poprzednim dyrektorsie administracyjnym, majorze Wainwrightcie. Theo odziedziczył po nim dom i stanowisko. Gdy się o tym dowiedziała, uświadomiła sobie z przykrością, że ona i Theo odnieśli korzyść z czyjegoś zawału serca. Spojrzała na Dianę, zastanawiając się, czy wspomni o tej tragedii, lecz ona podeszła do stołu.

– Ten stół też do niej należał.

Sądząc z wytartego blatu, musiał być bardzo stary. Miał solidne, grube nogi i kwadratowe brzegi, które nie pasowały do nowoczesnego wystroju z wytwornymi meblami z jasnej sosny.

– Kupiła go od gościa pracującego w służbie dyplomatycznej, który w końcu otrzymał przeniesienie do kraju po spędzeniu tu całej wojny – wyjaśniła Diana. – Cynthia poprosiła mnie, żebym

ci to dała.

Kitty rozwinęła kartkę papieru z ręcznie napisaną instrukcją polerowania mebli. Na górze widniało zalecenie: „Stosować pod nadzorem dwa razy dziennie po posiłkach”.

Kitty przesunęła dłonią po blacie stołu – jedwabiście gładkim, o głębokiej, ciemnej barwie. Był piękny, ale już czuła na barkach ciężar odpowiedzialności. Wyobraziła sobie wgniecenia, zadrapania, plamy i ślady po wodzie.

W kredensie stał serwis Cynthii z różyczkami i złotym szlaczkiem. Uszka filiżanek miały delikatny, ozdobny kształt. Trudno będzie je trzymać, bo należało pamiętać o prostowaniu małego palca. Porcelana była taka cienka, że niechcący można by odgryźć kawałek, a podstawa filiżanek tak wąska, że będą grzechotały na spodeczkach przy podawaniu.

Diana zdusiła papierosa i odstawiła popielniczkę.

– Zostawiam cię, żebyś się zadomowiła.

Kitty przypomniała sobie, że jest teraz panią tego domu.

– Może przed odjazdem napiłabyś się herbaty? – zaproponowała. – Sprawdzę, czy...

– Nie, dziękuję. Powinnam wrócić do domu i przygotować się na wieczór. Przyjadę po ciebie jutro o dziesiątej. Pojedziemy do klubu na poranną kawę.

Zbiegła po schodach, stukając obcasami po betonie. Gdy znalazła się na podjeździe, ruszyła dalej na palcach, żeby obcasy nie zapadały się w wysypaną żwirem powierzchnię.

Kitty zaczekała na schodach, aż daimler odjedzie, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę frontowych drzwi – jej frontowych drzwi. Nie mogła się doczekać, by dokładnie obejrzyć wszystkie pokoje. W końcu mieli z Theo własny dom. Pokoje, które wynajmowali po ślubie w pobliżu bazy w Skellingthorpe, nie liczyły się. Byli tam tylko wtedy, gdy Theo udało się dostać przepustkę. A gdy został zdemobilizowany, zamieszkali z jego rodzicami w Hamilton Hall. Miała wrażenie, że są tam jedynie

gośćmi. Pokoje, które otrzymali, zostały urządzone zgodnie z gustem nie tylko jej teściowej, lecz również rodowych przodków. Wszystko było święte – para chińskich piesków ze złotymi uszami, dziecinne krzesło z wysokim oparciem i naturalnej wielkości lalką z czarnymi, szklanymi oczyma, medale, czapki admiralskie i inne wojskowe pamiątki. Był też portret dziewczynki w czerwonej sukience – jakiejś dalekiej krewnej Theo – której udręczone oczy zdawały się przeczuwać, że ich właścicielka umrze, nie dożywając siedmiu lat. Wszystkie pokoje miały bogatą historię. Salon Theo nazywał pokojem do nauki, bo pobierał tam lekcje jako dziecko. Ich sypialnia była pokojem prababci. Nie istniała żadna pusta i świeża przestrzeń.

W Kongarze było inaczej. Dom był prawie nowy. Nie przypominał wielkiego, starego domostwa, do którego przywykł Theo. Kitty nie bardzo mogła go sobie wyobrazić w takim miejscu. Jednak z drugiej strony musiał zdawać sobie sprawę z tego, że wraz z nową pracą pojawi się konieczność przystosowania do nowych warunków. Rozejrzała się z uśmiechem po domu. W niczym nie przypominał podupadłego domostwa na farmie, gdzie się wychowała. Zarówno dla niej, jak i dla Theo miało to być zupełnie nowe doświadczenie. Trzeba tylko zlikwidować ten bezosobowy charakter OFC, spakować porcelanę Cynthii, a cenny stół przykryć obrusem. Kitty przeszła przez próg z prawdziwą przyjemnością. Była żoną Theo od prawie siedmiu lat. Pierwsze pięć zakłóciła wojna, a kolejne dwa przyćmiło to, co przyszło potem. To było długie oczekiwanie. Ale teraz serce i dom wreszcie się połączyły.

\*

Kitty stała przez chwilę przed zamkniętymi drzwiami do kuchni. Uniosła rękę, żeby zapukać, po czym opuściła ją. W końcu była to

jej własna kuchnia. Zamiast tego otworzyła wolno drzwi, dając służącym znak, że wchodzi.

Siedzący przy drzwiach pokojowy zerwał się na równe nogi, zrzucając z kolan łupiny od orzeszków ziemnych. Kucharz odwrócił się od kuchni. W ciągu kilku sekund obaj stanęli przed Kitty z wysoko uniesionymi głowami, jakby gotowi do inspekcji.

Kitty poczuła się niezręcznie.

– Jak ci na imię? – spytała kucharza.

– Eustace.

Zauważyła, że mocno skręcone włosy mężczyzny są przyprószone siwizną, a wokół ust widnieją głębokie zmarszczki. Pewnie mógłby być jej ojcem.

– A tobie? – spytała pokojowego.

– Gabriel.

Miała ochotę spytać, kto nadał im te niecodzienne angielskie imiona. Kończyły się trudnymi dla nich do wymówienia spółgłoskami. Zamiast tego przedstawiła siebie.

– Możecie zwracać się do mnie *memsahib* Kitty.

Eustace nie odpowiedział. Kitty wzięła głęboki oddech. Postanowiła, że zrobi użytek ze swojej znajomości suahili.

– *Chakula cha jioni pangu gani?* Co będzie na kolację?

Mężczyźni wymienili spojrzenia, lecz nic nie powiedzieli. Kitty już miała powtórzyć pytanie, gdy odezwał się Eustace.

– Dzisiaj jest poniedziałek – powiedział po angielsku, starannie wymawiając słowa, jakby chciał ułatwić Kitty zrozumienie. – Gotujemy peklowaną wołowinę, purée ziemniaczane, beszamel i fasolę. Na deser tarta Bakewell.

Wskazał na ścianę, do której była przypięta kartka z zeszytu. Nawet z daleka Kitty rozpoznała, że widoczny na niej tekst napisała ta sama ręka, która pozostawiła instrukcję polerowania mebli. Podeszła bliżej. W poniedziałkowym jadłospisie były dokładnie te potrawy, które wymienił kucharz. Na wtorkowej liście widniały zimna wołowina, sałatka ziemniaczana i gotowane

warzywa, a na deser pudding ryżowy. Środa zapowiadała piezzonego kurczaka, a czwartek – klops. Były to ulubione potrawy Theo i całej jego rodziny. Yuri śmiał się z nich i twierdził, że oni nigdy nie wyrosli z jadłospisu serwowanego przez szkolną stołówkę. Nie przyszłoby mu do głowy planować menu. Rzadko jadał porządne posiłki. Karmił się tym, co znalazł w kuchni: chlebem, serem, piklami, wędzoną kielbasą, które gospodyni mu kupowała. Kitty wyobraziła sobie, jak kuca przed otwartą lodówką, z siwymi włosami opadającymi na czoło, z odsłoniętym szczupłym i umięśnionym jak na sześćdziesięciolatka torsem pomimo chłodu, a z kieszeni spodni zwisa mu szmatka umazana farbami.

– Będziemy jeść jak wieśniacy, Kitty – powtarzał i jednocześnie przynosił z piwnicy zakurzoną butelkę starego francuskiego wina. Jedzenie lądowało na stole upstrzonym plamami z wosku, dzieląc miejsce z niedokończoną makietą rzeźby z wosku, stosem starych listów i dzbanem ze zwiędłymi kwiatami.

Kitty porzuciła wspomnienia o Yurim i odwróciła się do kucharza. Przez chwilę zastanawiała się, jak powiedzieć w suahili to, co zamierzała.

– Czy *bwana* Hamilton jest zadowolony z tego, że co tydzień je to samo na kolację?

– Tak, *memsahib*. *Bwana* jest bardzo zadowolony.

Kitty spodziewała się tego. Od zakończenia wojny Theo lubił przewidywalne rzeczy. Trudno było mu to mieć za złe po latach spędzonych ze świadomością, że może nie dożyć rana.

Kitty obesza kuchnię, udając, że interesują ją duże pojemniki z napisami „Mąka”, „Cukier”, „Sól”, „Płatki owsiane”, „Herbatniki”. Obok butelek z brązowym sosem HP i tabasco stała puszka z curry firmy Keen’s. Czula, że powinna teraz zadać pytanie lub coś skrytykować, zaznaczając w ten sposób swój autorytet jako nowej pani. Podeszła do kuchenki i podniosła przykrywkę dużego garnka. Oczy jej się rozszerzyły na widok



wielkiego kawałka mięsa podskakującego w morzu bulgoczącego wywaru.

– Skąd wzięliście to mięso? – spytała tym razem po angielsku. Ostatni raz widziała tak wielki kawał wołowiny na farmie w Nowej Południowej Walii. W czasie wojny na taki puc mięsa trzeba byłoby zużyć tygodniowy przydział dla kilku dużych rodzin – jeżeli w ogóle był do zdobycia.

– Z krowy – odpowiedział kucharz.

Kitty spojrzała mu w oczy, lecz nie dostrzegła w nich sarkazmu. Kiwnęła z aprobatą głową. Już miała wyjść, gdy nagle przypomniała sobie, że chce jej się pić.

– Wypiłabym popołudniową herbatę.

– Gdzie mam ją zanieść? – spytał służący.

– Do salonu – odpowiedziała. – Czarna. Z kawałkiem cytryny. I z herbatnikiem.

– Tak, *memsahib*.

– Eustace, myślę, że wołowina za szybko się gotuje. Zrobi się twarda.

– Tak, *memsahib*. – Kucharz uśmiechnął się szeroko, jakby zadowolony, że jego pani nareszcie zachowuje się poprawnie.

Kitty pogratulowała sobie po wyjściu z kuchni. Uznała, że dobrze sobie poradziła. Kiedy jednak dotarła do końca korytarza, zatrzymała się, bo usłyszała stłumiony śmiech dochodzący zza zamkniętych drzwi. Rozpoznała głos Eustace’a, który teatralnym głosem wołał ją po imieniu.

– Kitty! Chodź tu, Kitty!

Potem rozległo się piskliwe miauczenie i kolejny wybuch śmiechu, gdy ruszyła dalej wolnym krokiem.

\*

Na środku sypialni stała duża skórzana walizka. Stara,

poplamiona i porysowana, była jednak dobrej jakości. Podobnie jak kufer podróżny dostała ją od matki Theo.

– Weź nasze walizki – powiedziała Louisa. – Mój syn nie chciałby, żeby jego żona wyglądała jak uchodźca.

Obserwowała, jak Kitty wyjmuje walizkę z masywnej szafy z drzewa tekowego stojącej w jednym z wolnych pokoi. Wokół rączek były poprzyklejane wyblakłe hotelowe naklejki, a na szczycie i po bokach – nalepki linii żeglugowych Orient i Union Castle. Razem tworzyły obraz życia, jakie wiedli Hamiltonowie przynajmniej do wybuchu wojny. Wśród nich była owalna nalepka z wielkim pióropuszem pośrodku i złotymi literami tworzącymi napis „Ritz Barcelona”. Inna pochodziła z prywatnej kabiny na statku RMS Queen Mary, a jeszcze inna z napisem „Aloha Hawaii” i ciemnoskórym mężczyzną na desce surfingowej.

Louisa westchnęła głęboko, siadając na krześle pokrytym warstwą kurzu. Wyglądała na starą, zmęczoną i chudą w miękkim kaszmirowym kardiganie. Szyję zdobił sznur pereł. Kitty udawała, że przygląda się walizce, czuła jednak na sobie oskarżycielski wzrok teściowej. Louisa omal nie straciła męża z powodu zawału serca wywołanego ogromnym stresem. Nazwisko rodowe zostało narażone na szwank. A teraz jej jedyne dziecko wyjechało do Tanganiki. Za te wszystkie nieszczęścia Louisa obwiniała synową. A Kitty nie mogła się z tym nie zgodzić.

Teraz uklękła przed walizką stojącą na podłodze w sypialni. Nalepki z hoteli i linii żeglugowych zostały przykryte prostymi czarno-białymi naklejkami Overseas Food Corporation. Spojrzała na zamknięte drzwi sypialni. Gdy przywieziono jej bagaż z lotniska, Gabriel wniósł go do domu. Kufer został w hallu, ale poprosiła służącego, żeby zaniósł walizkę do sypialni. Najwyraźniej chciał pomóc ją rozpakować, lecz go odesłała. Nie chciała, żeby potem wyśmiewał się z jej rzeczy.

Odpięła skórzane rzemienie, otworzyła metalowe zamki

i podniosła wieko. Z wnętrza wydostał się zwietrzały zapach lawendy i kamfory. Ale poczuła coś jeszcze – sosnową woń terpentyny. Nie zabrała ze sobą żadnych farb, pędzli, nawet szkicownika, lecz zapach musiał pozostać na jej ubraniach niczym dowód zbrodni.

Wyjęła stos bluzek starannie złożonych przez Lizzie, służącą Louisy, potem kilka sukienek i żakietów. Wymagały prasowania, ale na razie chciała wszystko wypakować. Drzwi do szafy były szeroko otwarte. Kitty powysuwała również wszystkie szuflady, zarówno w toalecie, jak i w wysokiej komodzie. Brała do ręki każdą rzecz i patrzyła na nią krytycznym okiem. Jeżeli inne damy w Kongarze ubierają się jak Diana, będzie wyglądała nie na miejscu. Jej garderoba była albo staromodna – odrzuty z Hamilton Hall – albo uszyta zgodnie z zaleceniami wydanymi przez rząd brytyjski w czasie wojny: wąskie spódnice, ciasne rękawy, żadnych dodatkowych kieszeni czy zbędnych ozdób. Ale Kitty przypomniała sobie kobiety widziane z samochodu, kręcące się w głównej siedzibie OFC. Miały na sobie proste i praktyczne stroje.

Przerzuciła rzeczy w poszukiwaniu kostiumu khaki. Bluzka i spódnica były luźniejsze niż te, które wcześniej widziała, i miały więcej kieszeni, ale na pewno się przydadzą. Przesunęła kciukami po miękkim materiale. Tu i tam widniały cery i stare plamy, które wyglądały jak krew, i inne – zapewne od smaru z silnika. Kitty przypomniała sobie fotografię Janet w tym stroju. Była wtedy młodą misjonarką i pierwszy raz jechała do Afryki, ale nadal przypominała kobietę, którą Kitty poznała w miejscowym kościele w pobliżu Hamilton Hall. Oczywiście Janet ukryte były pod okrągłymi szklami okularów, lecz jej postawa wskazywała na determinację, a nawet na zawziętość.

– Postaraj się – upominała ją Janet. – Jak możesz zdobyć autorytet, mówiąc jak dziecko?

Kitty włożyła stare ubranie do jednej z szuflad, po czym

odwróciła się w stronę walizki. Ze spodu wyjęła płaską paczkę wielkości dłoni. Rozwiązała paski nocnej koszuli i wyjęła fotografię w skórzanej ramce. Spojrzała na nią twarz Theo w odcieniach czerni i szarości. Zrobiono ją wkrótce po tym, jak wstąpił do RAF-u. Światło reflektorów padało mu na twarz i podkreślało jego rysy, sprawiając, że wyglądał jeszcze przystojniej niż w rzeczywistości. Stał wyprostowany, ze skrzydłami wyszytymi nad kieszenią. Patrzył śmiało i spokojnie.

Postawiła ją w salonie nad kominkiem, w taktownej odległości od fotografii ojca Theo, admirała Hamiltona, i portretów innych mężczyzn z rodziny, którzy służyli przed nim w marynarce. Mieli na głowach białe czapki z czarnymi daszkami i dwurzędowe mundury. Theo miał szarą czapkę lotnika z daszkiem w podobnym kolorze i jednorzędowy mundur. Wyglądał jak intruz z innego plemienia.

Kitty musnęła fotografię palcami. Od lat spała z nią pod poduszką, gdy musieli się rozstać – pierwszy raz, gdy wyjechał na szkolenie, a potem gdy był w czynnej służbie. Leżąc sama, z dala od niego, obserwowała światła szperaczy na zaciemnionym oknie pokoju, czekając z niepokojem, aż odezwą się syreny zapowiadające nalot. Wsuwała dłoń pod poduszkę i obejmowała palcami skórzaną ramkę. Już sam kształt działał na nią uspokajająco. Potem wyciągała fotografię i natychmiast znajdowała pocieszenie, patrząc na portret Theo, emanujący odwagą i niezłomnością w mundurze.

Patrząc na nią teraz – z drugiego krańca świata – doświadczyła zupełnie innych uczuć. Żałowała, że nie ma portretu dawnego Theo – mężczyzny, w którym się zakochała, a którym miała nadzieję, że znów się stanie w tym nowym otoczeniu. Przed wojną był beztroski i zabawny, z głową pełną marzeń i planów. Latał nie po to, żeby służyć królowi, ale z miłości do przestrzeni, chmur i nieba. Kitty uśmiechnęła się do siebie, wracając myślami do tego dnia – prawie dziesięć lat temu – gdy się poznali wśród

soczystej zieleni angielskiej wsi. Było to w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, na rok przed wybuchem wojny.

\*

Pod krzakami jeżyn leżał szron, mimo że poranne słońce świeciło jasno. Kitty chuchnęła w ręce, wzbijając małe obłoczki pary, po czym roztarła dłonie dla rozgrzewki. Z koszykiem w zgięciu łokcia zagłębiła się w splątany gąszcz liści, kolców i gałęzi. Pomimo późnej jesieni wciąż na krzakach było mnóstwo jagód. Czarnofioletowe owoce połyskiwały tuzinami małych, lśniących kulek. Zerwała kilka i wrzuciła do koszyka. Następną zjadła, zamykając z rozkoszą oczy, gdy sok rozpląnął się na języku. Później upiecze ciasto owocowe z płatkami owsianymi, cukrem i masłem. Był to jeden z przepisów matki, których nauczyła się na pamięć.

„Dwa razy więcej mąki niż tłuszczu, inaczej składniki się nie połączą...”.

Owoce leżące pod kruszonką znaczyły pory roku jej dzieciństwa – jabłka przez większą część roku, ale także rabarbar; truskawki tylko latem, jeżyny jesienią. Każdy w rodzinie miał swoje ulubione. Kitty zacisnęła usta, gdy ożyły bolesne wspomnienia z życia w Seven Gums. Bardzo tęskniła za rodzicami i młodszymi braćmi. Minął rok od czasu, gdy opuściła rodzinną farmę i pojechała do Sydney, a potem do Anglii. Brakowało jej wieści z domu. Czy Jason nadal się uczy, czy poszedł do pracy? Czy Timowi zrosła się wreszcie złamana noga, czy wciąż kuleje? Czy znaleźli domy dla kociąt Tabithy? Czy matka uszyła nowe zasłony, czy nadal czeka, żeby pożyczyć maszynę do szycia? Chociaż wysłała kilkanaście listów i podała adres zwrotny, nie otrzymała odpowiedzi. Ale czego się spodziewała? Ojciec wyraźnie przedstawił sprawę. I Kitty

dokonała wyboru.

Upuściła na ziemię zerwaną jeżynę. Sięgnęła po kolejną i ukłuła się kolcem. Cofnęła rękę, a kolec wbił się mocniej i rozerwał skórę. Ostry ból zmieszał się z uczuciem tęsknoty. Wysała krew i poczuła pod powiekami palące łzy. Skupiła wzrok na krajobrazie przed sobą: soczyście zielonym polu z zagajnikiem nagich drzew. Otaczał je kamienny mur. Każdy kamień pasował w nim jak układanka. Usiłowała sobie wyobrazić, ile lat trzeba go było budować. Ta myśl ściągnęła kolejne wspomnienie o domu. Zobaczyła siebie, jak stoi w zagrodzie zniszczonej przez owce, a słońce mocno przypieka przez bluzkę. Trzyma ciężką główkę motyki na czubku drewnianego słupka, a Jason wali w niego z drugiej strony. Niektóre ze słupków są tak zwietrzałe, że trzyma je tylko drut. W Seven Gums nie było porządnego kamiennego muru – mieli do ogrodzenia dwadzieścia tysięcy hektarów. Naprawianie ogrodzenia było niekończącą się pracą.

– Jak malowanie mostu w porcie w Sydney – mawiał jej ojciec.

Odepchnęła wspomnienia i wróciła do zbierania jeżyn. Skupiła się na ich kształcie i kolorze, jak zrobiłby to malarz – dostrzegając plamki światła i liczne odcienie ciemnego fioletu. Tak było lepiej. Pomyślała o Yurim pracującym w studiu po drugiej stronie pola. Nie był jej krewnym i знаła go zaledwie od kilku miesięcy, ale już łączyły ich silne więzi przyjaźni. Mógłby być jej dziadkiem, ale wydawał się młody i pełen życia. Zdążył ją tyle nauczyć, ale wciąż miała mnóstwo do przyswojenia. Po to tu jestem, przypomniała sobie. Dlatego opuściła farmę.

Zdążyła zebrać dość jeżyn, gdy do jej uszu dotarł cichy warkot. Stawał się coraz głośniejszy i zagłuszył szum pobliskiego strumienia. Kitty spojrzała w niebo. Zobaczyła jedynie trzepoczącego skrzydłami kruką, lecz po chwili w oddali pojawił się inny kształt. Systematycznie zbliżał się i powiększał. Ujrzała sylwetkę małego samolotu z dwoma skrzydłami ustawionymi

jedno nad drugim. W końcu można było zobaczyć, że jest pomalowany na jasnoczerwony kolor.

Samolot leciał w jej stronę, stopniowo tracąc wysokość. Potem silnik zwolnił obroty. Kitty uświadomiła sobie, że będzie lądował tu, na tym polu. Gdy przyjrzała się łące, zauważyła, że została skoszona tak, by stworzyć pas startowy. Nie wiedziała, czy jest nowy, czy po prostu wcześniej go nie spostrzegła. Domyśliła się, że pilot jest związany z Hamilton Hall, pałacem stojącym za pasem starych dębów. Mieszkali w nim Hamiltonowie, arystokraci, właściciele pól, wzgórz, lasów, a nawet małego domku, który Kitty dzieliła z Yurim. Należało do nich wszystko jak okiem sięgnąć.

Pospiesznie wrzuciła do koszyka ostatnie jeżyny. Samolot podskakiwał na trawie, a potem zatoczył szeroki łuk i ruszył prosto na nią. Silnik ucichł, słychać było jedynie terkot śmigła. Kitty oceniła odległość od krzewów do kamiennego muru. Za późno, żeby uciec, bo wyglądałaby jak uciekający intruz. Kątem oka dostrzegła mężczyznę wyłaniającego się z samolotu, który stanął na skrzydle, po czym zeskoczył na ziemię.

Kitty pochyliła się nad krzakiem jeżyn, pozwalając, by długie włosy opadły jej na twarz.

– Dzień dobry! – zabrzmiał męski głos za jej plecami.

Udała, że nie słyszy.

– Zbierasz jeżyny?

Kitty pochyliła się jeszcze bardziej, udając, że szuka cennej jagody. Nie chciała tłumaczyć, kim jest. Nie była pewna, co Yuri chciałby, żeby powiedziała.

– Weszłaś na teren prywatny.

Odwróciła się niechętnie i zobaczyła młodego mężczyznę z przyjaznymi oczyma i żartobliwym uśmiechem.

– Nieprawda – zaczęła, po czym zaniemówiła.

Patrzył na nią młodzieniec o błękitnych oczach, równych, białych zębach, prostym nosie i szerokich brwiach. Skórzana

pilotka okalała twarz tak klasycznie przystojną, że mogła należeć do jednej z rzeźb Yuriego. Kitty zebrała się w sobie i wskazała na ogrodzony ogród leżący za głównymi budynkami pałacu. Można było stąd zobaczyć domek z dwuspadowym dachem przyklejony do muru na drugim końcu.

– Tam mieszkam.

– Więc jesteśmy sąsiadami. Pozwoli pani, że się przedstawię. – Mężczyzna zdjął skórzane rękawiczki. – Theo Hamilton.

Kitty dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że młody człowiek patrzy na jej prawą rękę. Przypomniała sobie, jak Yuri mówił, że w Anglii dama zawsze pierwsza wyciąga rękę na powitanie, chyba że chce zachować dystans. Podała rękę.

– Jestem Kitty – odpowiedziała, lecz zauważyła, że palec jej krwawi i cofnęła dłoń.

– Skaleczyła się pani.

Theo wyjął chusteczkę z kieszeni marynarki – czystą i białą, zaprasowaną w kwadrat – i owinął nią krwawiący palec.

Kitty stała jak przymurowana. Był tak blisko niej, że czuła zapach jego kurtki i ciepło ciała.

– Dziękuję – wydusiła z trudem.

Jednym ruchem zdjął pilotkę i gogle. Na czoło opadło mu pasmo blond włosów o rudawym odcieniu. Odsunął je machnięciem ręki, po czym zajrzał jej do koszyka.

– Niezły zbiór. Jako chłopiec też je zbierałem. – Uśmiechnął się ponownie, po czym wskazał na domek w ogrodzie. – Więc nasz rosyjski przyjaciel się wyprowadził?

Kitty pokręciła głową.

– Jestem gościem księcia Yurievitcha.

Starła się wymówić nazwisko z najlepszym rosyjskim akcentem i przedniojęzykowym „r”. Miała nadzieję, że wygląda na osobę, która obraca się w królewskich kręgach, chociaż Yuri nie był typowym księciem.

– Jak on się miewa? – spytał Theo.



– Dziękuję, dobrze – odpowiedziała Kitty wbrew prawdzie, bo Yuri leżał w łóżku przeziębiony. Wczoraj wieczorem pracował do późna nad wielkim płótnem. Kitty pozowała mu do obrazu zatytułowanego „Śpiąca dziewczyna z szalem”, ale w końcu naprawdę usnęła. Gdy się obudziła, wstawał świt, a obraz był prawie skończony. Dziwnie się czuła na myśl, że przez ten cały czas, gdy spała, Yuri odtwarzał każdy szczegół jej twarzy, włosów i fałdy aksamitnej sukni.

– Od miesiący go nie widziałem – powiedział Theo. – Rzadko bywam w domu.

– A gdzie pan mieszka? – wymknęło jej się. Nie mogła sobie wyobrazić, że ktoś mógłby chcieć wyprowadzić się z Hamilton Hall.

– W Oksfordzie. Literatura klasyczna.

Kitty uśmiechnęła się lekko. Wiedziała, że Oksford to miasto ze słynnym uniwersytetem, i pomyślała, że chodzi mu o kierunek studiów, ale nie była pewna. Pragnąc zmienić temat, odwróciła się w stronę samolotu.

– Przyleciał pan tu z Oksfordu?

– To niedaleko. Latała pani kiedyś?

Pokręciła przecząco głową.

Kiedy zastanawiała się nad podróżą do Anglii, odkryła, że mogłaby lecieć samolotem z Sydney do Londynu, ale bilet na rejs liniowcem oceanicznym w klasie turystycznej był tańszy. Prawdę powiedziawszy, tylko raz widziała z bliska samolot – podczas wystawy rolniczej w Wattle Creek. Na boisku do futbolu wylądował wtedy nowy samolot z jednym miejscem dla pilota. Farmerzy oglądali go z zazdrością, rozmawiając o tym, że dzięki takiej maszynie mogliby sprawdzić swoje pola w ciągu kilku godzin, a nie dni. Ale czy można zaufać czemuś, co unosi się w powietrzu?

– Chciałaby pani?

Kitty utkwiała wzrok w koszyku, zastanawiając się na

odpowiedzią. Nie wiedziała, czy to lekka pogawędka czy też Theo pyta poważnie. Tak czy owak zapragnęła nagle pokazać, że jest odważna i obyta w świecie. Bo on bez wątpienia był. Uniosła dumnie brodę i spojrzała mu w oczy.

– Oczywiście.

– No to lećmy. – Zabrzmiało to trochę tak, jakby jego samego zaskoczyły te słowa.

Serce zaczęło jej szybciej bić.

– Teraz?

Spojrzała na samolot z powątpiewaniem. Uniesiony w górę dziób opierał się na dwóch małych kołach, przypominających te od taczek. A skrzydła sprawiały wrażenie, jakby przymocowano je drutami.

– Dlaczego nie? Pogoda jest doskonała. Poza tym muszę jutro wracać do Oksfordu. – Uśmiechnął się. – Zapewniam, że to bardzo bezpieczny samolocik.

Po tych słowach włożył pilotkę i ruszył w stronę maszyny.

Kitty pozostała w miejscu, ściskając w rękach koszyk. Nie mogła tak po prostu wsiąść z nim do samolotu. Wiedziała o Theo tylko to, że pochodzi z Hamiltonów z Hamilton Hall. Był przyjacielski, ale chyba zbyt przyjacielski. Pewnie przywykł do tego, że kobiety go podziwiają z powodu tego, kim jest. I jak to będzie świadczyło o niej, jeżeli przyjmie zaproszenie od obcego człowieka?

– Właściwie to powinnam wracać – zawołała za nim. – Księżę Yurievitch będzie się zastanawiał, gdzie jestem.

Theo się odwrócił. Kitty dostrzegła cień niepewności w jego oczach. Najwyraźniej nie wiedział, co począć. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak zbiera jako chłopiec jeżyny na tym polu.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem być nachalny.

Nagle wszystko zawisło w próżni. Kitty zauważyła, że Theo wyczuł, że zachował się zbyt obcesowo, a teraz boi się odmowy. Nadal jednak nie była pewna, czy powinna przyjąć jego

propozycję. Ale wyczuła jakby prąd przebiegający między nią a tym obcym, który przyciąga ich ku sobie.

– To nie potrwa długo – dodał Theo. – Proszę się zgodzić. Spodoba się pani.

W jego głosie zabrzmiała prośba, ale też nuta wyzwania, jakby zapraszał ją do gry w to, kto pierwszy stchórzy. Nie chciała przegrać.

– Dobrze – odparła. Odstawiła koszyk i ruszyła za nim, zanim miała czas zmienić zdanie.

Przy samolocie Theo podał jej rękę i pomógł wejść na skrzydło, po czym usadził ją na przednim siedzeniu. Zawahała się, widząc przed sobą panel sterowniczy.

– Ten samolot ma podwójne stery – wyjaśnił Theo. – Ale pilot zwykle siada z tyłu.

Znalazł drugą parę gogli i pilotkę i pomógł Kitty je włożyć. Następnie sięgnął za nią i wyciągnął pasy bezpieczeństwa. Gdy zapinał je na niej, starała się nie patrzeć mu w oczy, żeby nie zobaczył, jak jego dotyk wytrąca ją z równowagi – jak jego dłonie, mimo że delikatne, zdawały się zostawiać ślad na jej skórze.

Theo wsunął się na miejsce za nią. Gdy obejrzała się przez ramię, zobaczyła, jak jego głowa obraca się w jedną i drugą stronę, sprawdzając samolot. Nie była w stanie wyobrazić sobie, jak zgłębił tajniki tych wszystkich przycisków i pokręteł. W końcu śmigło ponownie obudziło się do życia, obracając w zawrotnym tempie. Potem nastąpiło kilka długich minut wyczekiwania, zanim samolot ruszył z miejsca i zaczął nabierać prędkości.

Kitty poczuła, że dziób się unosi, a koła odrywają od ziemi. Samolot zakołysał się w powietrzu. Kitty z trudem przełknęła ślinę, a żołądek ścisnął się jej ze strachu, gdy spojrzała na puste niebo przed sobą. Wkrótce przywykła do dziwnego ruchu i mogła spojrzeć w dół na pole.

Lecieli nad pałacem z jego licznymi skrzydłami, wieżą

zegarową i strzelistymi stodołami otaczającymi podwórze. Gdy mijali ogród i uroczy domek, Kitty dostrzegła swoje pranie rozwieszone na sznurze. Potem zostawili za sobą Hamilton Hall.

Polecieli nad rzekę, na której brzegach rosły drzewa. Wiła się niczym wąż wśród krajobrazu podzielonego na kawałki ogrodzone płotami i kamiennymi murkami. Nawet lasy miały swoje granice. Po pewnym czasie Theo przyciągnął uwagę Kitty i wskazał na prawą stronę samolotu. Idąc za jego wyciągniętym palcem, Kitty zauważyła wielkiego ptaka – bociana czy może czapłę – lecącego na tej samej wysokości co oni.

Potem znaleźli się nad jeziorem – mieniącym się srebrzyście kształtem o miękkich liniach i małą sadzawką obok, która przywodziła na myśl dziecko trzymające się blisko matki. Gdy samolot zniżył lot, znad wody poderwały się ptaki, machając skrzydłami nad gładką taflą, zanim wzniosły się ku niebu. Kitty odwróciła głowę w stronę Theo, pragnąc dzielić z nim tę chwilę. Gdy ich oczy się spotkały, na jej ustach pojawił się uśmiech. Nie mogła mówić ze względu na warkot silnika, zresztą słowa wcale nie były potrzebne. Doskonale wiedziała, czemu tu z nią przyleciał i co chciał jej pokazać.

Zobaczyła, że wzgórze przypomina kształtem kobietę leżącą z rękoma przy talii. Zielony mech porastający skały wyglądał niczym piękny, miękki dywan. Nagle poczuła się wolna, zdolna poruszać się w trzech wymiarach wbrew sile ciężenia. Samolot, Theo i ona zlali się w jedno, unosząc na skrzydłach wiatru.

Gdy skierowali się w stronę pasa startowego, ponownie spojrzęła na domek w ogrodzie, zastanawiając się, czy Yuri patrzy może przez okno i widzi lecący czerwony samolot. Jeżeli tak, to co pomyśli, gdy powie mu, że w nim leciała? Z tego, co mówił Theo, wyglądało, że panowie się znają. Może nawet się przyjaźnili. Nie mogła się doczekać, żeby poprosić Yuriego, aby opowiedział jej, co wie o Theo Hamiltonie i co o nim myśli...

Po wylądowaniu nie mogła złapać tchu, taka była

podekscytowana. Gdy Theo pomógł jej wyjść z kabiny pilota, poczuła, że drżą jej nogi. Odsunęła się od samolotu, omal nie tracąc równowagi. Lecz on znalazł się tuż przy niej, objął ją w talii ramieniem i przytrzymał.

Stopniowo ziemia przestała się kołysać, ale Theo nie odstępował jej ani na krok.

– To było wspaniałe – powiedziała.

Komentarz był banalny, lecz żadne słowa nie zdołałyby oddać tego, co chciała wyrazić.

– Kocham wolność. Czujesz wtedy, że możesz uciec od wszystkiego. – Mówiąc to, Theo spojrzał w stronę Hamilton Hall.

Kitty chciała zapytać, dlaczego pragnie uciec od luksusowego życia w wielkim domu. Mieszkając z Yurim, widziała zastępy służących i gości w lśniących samochodach przyjeżdżających na weekendowe przyjęcia. Było też mnóstwo psów najróżniejszych ras, lecz żaden nie nadawał się do pracy. Same ogrody wymagały troski równej tej na farmie.

Odpięła pasek pod brodą i zdjęła pilotkę. Włosy opadły jej na ramiona. Theo odsunął jej pasmo z policzka i założył za ucho. Stali tak i patrzyli sobie w oczy. Jasny uśmiech niczym strumień światła z nieba rozjaśnił im twarze.

\*

Kitty chodziła wolno po salonie, zastanawiając się, gdzie postawić fotografię. W końcu wybrała jeden z brzegów kredensu bliżej rogu pokoju. Wiedziała, że Theo zechce ją wyeksponować, ale w dyskretny sposób. Należało pokazać, że walczyło się na wojnie, ale nie ostentacyjnie. Gdy ustawiła ją pod właściwym kątem, ponownie obesła salon, przyglądając się każdemu meblowi zakupionemu przez OFC. Zastanawiała się, czy firma wynajęła jakąś żonę do wyboru wyposażenia, czy też zrobił to jeden

z pracowników. A może zdali się na gust sprzedawców w sklepach meblowych. Jej kroki cichły, gdy stąpała po dywaniku leżącym pośrodku salonu, po czym stawały się głośniejsze, jak wchodziła na polakierowane deski podłogowe. Zauważyła, że ktoś chodził po podłodze w zbyt ostrych szpilkach, bo w niektórych miejscach była podziurawiona. Może robiła to Cynthia, a może jakaś kobieta podczas wizyty. Musiała chodzić wokół barku na kółkach, a potem kierowała się w stronę drzwi balkonowych.

Mijając kanapę, Kitty przesunęła palcami po oparciu, znacząc ślad na aksamitnym pokryciu. Potem zatrzymała się, nasłuchując, czy nie nadjeżdża samochód. Usłyszała jedynie pianie koguta w oddali i brzęk garnków dochodzący z kuchni. Jeszcze raz spojrzała na zegarek. Dochodziła siedemnasta, a Theo wciąż nie było. Rozpakowała bagaż i przeniosła rzeczy męża do małżeńskiej sypialni. Później wzięła długą, relaksującą kąpiel i włożyła czerwoną sukienkę w białe grochy z szeroką szarfą podkreślającą talię. Potem usiłowała czytać jedną z powieści znajdujących się w biblioteczce, ale nie mogła się skupić.

Westchnęła i przesunęła dłonią po włosach, upewniając się, czy wszystkie pasma równo leżą. Przysunęła nadgarstek do nosa, sprawdzając, czy zapach wody kolońskiej nie jest zbyt mocny. Theo nie lubił zbyt mocnych perfum, zarówno w dzień, jak i wieczorami. Sięgnęła po jego fotografię, którą wcześniej postawiła na kredensie, i zmieniła jej pozycję, po czym wróciła do poprzedniej.

Wyszła na werandę. Za płotem, za drzewami i krzewami na pierwszym planie leżała osada Kongara. Pomimo równo ustawionych namiotów była brudnym i raczej brzydkim miejscem. Widoczne z werandy rzędy pomalowanych kamieni były krzywe. Jasne, żwirowe drogi miały poszarpane brzegi, rowy odwadniające wykopane w czerwonej ziemi wyglądały jak długie blizny. Linie wysokiego napięcia przypominały czarne

ukośniki ustawione na chybił trafił. Nieliczne drzewa, które pozostały, wydawały się samotne i chore.

Ponownie nastawiła ucha. Tym razem usłyszała nikły warkot silnika. Spoglądając na podjazd, dostrzegła małą furgonetkę w kształcie pudełka lub może dżipa, podobny do tego, jakim jeździli amerykańscy żołnierze. To nie musi być Theo, ostrzegła się w myślach. Może to Toby albo Lisa z jakąś wiadomością.

Jednak kilka chwil później zobaczyła go siedzącego na miejscu dla pasażera – jego profil, jego włosy – tak dobrze jej znane. Samochód nie zdążył się zatrzymać na dobre, a Theo już otworzył drzwi i wyskoczył. Miał na sobie strój safari, do którego Kitty zdążyła się już przyzwyczaić – luźne szorty i skarpety do kolan. Poczwała przyływ dumy. Wyglądał na kogoś zapracowanego i kompetentnego. To nie jakiś tam siedzący przy biurku administrator, którego obwożą eleganckim samochodem. Był na plantacjach, żeby rozwiązać powstały tam poważny problem.

Ruszył do domu, machając do Kitty z radosnym uśmiechem na twarzy.

Odmachała mu, po czym przycisnęła ręce do piersi, usiłując zapanować nad niecierpliwością. Gdy dotarł do werandy, uniosła sukienkę i podbiegła do niego.

Podniósł ręce, by ją powstrzymać.

– Jestem brudny od stóp do głowy.

– Nie dbam o to. – Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno przytuliła. Poczwała, że on też ją obejmuje.

– Tak bardzo się za tobą stęskniłem. – Głos Theo zdawał się wychodzić z wnętrza ciała.

– Nie tak bardzo jak ja za tobą.

Odsunęli się od siebie na długość ramienia. Kitty spojrzała mężowi w oczy. Były czyste i jasne. Zdążył się opalić, co sprawiało, że wyglądał na zdrowego i rozluźnionego. Wyczuła również zmianę w jego ciele. Znowu był sobą – swobodny

i szczęśliwy.

Omiótł wzrokiem jej twarz i włosy, lecz nie zrobił uwagi na temat nowego, modnego uczesania. Kitty nie wiedziała, czy to dlatego, że w głębi duszy wolał jej poprzedni wygląd, czy też nie chciał pamiętać tego, że polecił żonie zmianę fryzury.

Odepchnęła od siebie niepokojącą myśl i pozwoliła, by Theo poprowadził ją w stronę drzwi balkonowych. Przed progiem się zatrzymał. Przypuszczała, że chce ją znowu pocałować, lecz on objął ją jedną ręką, a drugą chwycił pod kolanami i wniósł do domu.

Kitty ukryła twarz na jego szyi, czując pod kurzem nikły zapach mydła. Zalała ją fala radości i ulgi. Theo znowu ją kochał i wybaczył.

\*

Theo stał przy barku na kółkach. Umył się i przebrał w kremowy płócienny garnitur. Nie zapiął marynarki, ale pod spodem miał koszulę i krawat. Kitty poczuła, że jej sukienka w grochy jest zbyt swobodna. Theo sięgnął po dzwonek i potrząsnął nim. Cichy dźwięk przerwał panującą ciszę. Chwilę później pojawił się Gabriel. Miał na sobie długą, białą szatę i czerwony fez na głowie.

– Słucham, *bwana*.

– Zrób drinki. Dżin z tonikiem dla *memsahib*. Nie zapomnij o lodzie i cytrynie. Dla mnie whisky z wodą sodową.

Gabriel zaczął przygotowywać drinki. Otworzył butelkę z tonikiem i małymi szczypcami wyjął kostki lodu ze srebrnego kubelka. Brzęk kostek uderzających o szklanekę był hipnotyzujący. Zachodzące słońce wpadające do pokoju przydawało złocistych tonów whisky, brandy i sherry stojących w jednakowych karafkach.

Drink Kitty został zrobiony jako pierwszy.



– Dziękuję – powiedziała, gdy służący postawił szklanę na podkładce na stoliku.

Potem Gabriel wrócił do barku, z wprawą przechylił syfon i nacisnął dźwignię. Potem wyjął kostkę lodu.

– Co ty robisz? – spytał Theo z irytacją w głosie.

Gabriel odwrócił się do niego z oczyma rozszerzonymi strachem. Kostka lodu spadła mu na szatę.

– Nie chcę lodu, na litość boską – powiedział Theo. – I nalej podwójną.

– Tak, *bwana*.

Gdy Gabriel wyszedł, Kitty sięgnęła po swoją szklanę. W środku pływał kawałek limonki zamiast cytryny. Do popołudniowej herbaty również dostała limonkę. Patrzyła, jak skórka balansuje na bąbelkach. Miała taki czysty, niemal przezroczysty odcień zieleni. Wypiła łyk, delektując się świeżym, egzotycznym posmakiem. Siedzący obok niej Theo wypił whisky jednym haustem i wstał, żeby nalać sobie drugą porcję.

– Jak lot? – spytał.

– Długi, oczywiście. Bardzo męczący.

– Nie miałaś problemów z bagażem?

– Żadnych. – Kitty poczuła strach, że magia ich spotkania zniknie pod warstwą banałów. Przypomniała sobie coś interesującego. – Lecieliśmy nad El Alamein. Trzech pasażerów brało udział w drugiej bitwie kampanii. Pokazali, gdzie walczyli. Nadal można zobaczyć spalone czołgi i resztki samolotu. Była też linia na ziemi, pewnie rów strzelecki. To miało coś wspólnego z Australijczykami...

– Podoba ci się dom? – Theo wskazał na meble.

– Tak. Jest bardzo ładny.

Kitty ukryła zmieszanie z powodu zmiany tematu. W Anglii Theo zawsze był gotowy do rozmów o wojnie. Nie opowiadał o własnych przeżyciach, ale miał obsesję na punkcie analizowania wojskowych strategii. Całymi godzinami rozmawiał

o tym z admirałem. Znaleźli wspólny temat. Unikali sporu dotyczącego decyzji Theo o opuszczeniu lotnictwa, skupili się na potwornościach popełnianych przez wroga i wszechstronnej przewadze aliantów. Kitty sądziła więc, że Theo będzie zainteresowany jej opowieścią o El Alamein. Potem przyszło jej do głowy, że może uznał, iż nadszedł czas, by zapomnieć o wojnie i zacząć wszystko od nowa, chociaż nie będzie to łatwe. W projekcie orzeszki ziemne brali przecież udział byli żołnierze. Spojrzała na fotografię stojącą na kredensie. Pomyślała, że przy pierwszej okazji ją schowa.

Theo utkwiał wzrok w szklance z whisky. Zamieszał ją lekko.

– Diana pokazała mi dom – oznajmiła Kitty pogodnym tonem, pragnąc przywołać szczęśliwy nastrój. – Przedstawiła mi personel.

Theo uniósł brwi.

– Diana?

– Przyjechała po mnie na lotnisko i przywiozła tutaj.

– Naprawdę? – W głosie Theo zabrzmiał podziw. – Jest bardzo zajęta. Ma mnóstwo obowiązków jako żona dyrektora generalnego.

– Jest... jest bardzo miła.

Komentarz Kitty zawisł w powietrzu. Nie była pewna, czy powinna opowiedzieć o dziwnym zachowaniu Diany, gdy dziecko wbiegło im przed maskę, czy przyznać się, że tego nie rozumie.

– Będzie ci bardzo pomocna – stwierdził Theo. – Gdybyś potrzebowała jakiejś rady czy informacji, po prostu zwróć się do niej. Daje wszystkim bardzo dobry przykład.

Kitty zacisnęła palce na szklance. Czy ta ostatnia uwaga miała coś znaczyć? Czy też po prostu pochwalił żonę szefa? Spuściła głowę, żalując, że nie może ukryć się za długimi włosami. Ścięte pasma opadały jej na policzki niczym złamane skrzydła.

– Tak się cieszę, że jesteś.

Uniosła wzrok. Miała wrażenie, że słyszy w jego głosie ciepłą nutę i serce podskoczyło jej w piersi. W tym nowym miejscu był swobodny i opanowany. Pełnił ważną funkcję w wielkim przedsięwzięciu. A mimo to nadal jej potrzebował.

Wstała z krzesła, podeszła do męża, otoczyła ramionami jego szyję i przytuliła go. Przez chwilę jakby oparł się na niej, zmuszając do zrobienia kroku wstecz. Potem jednak się wyprostował. Kitty ukryła twarz na jego piersi, wolno odetchnęła i zamknęła oczy.

# Rozdział trzeci

Kitty wolno się budziła. Przeciągnęła się i otworzyła oczy. W pierwszej chwili zaskoczyła ją biała siatka wokół łóżka i lekkość bawełnianej kołdry, którą była przykryta. Zaraz jednak przypomniała sobie, gdzie jest, i wyciągnęła rękę w stronę Theo, ciesząc się z tego, że ma go tuż obok. Lecz jej palce trafiły na pustkę.

Rozejrzała się i zobaczyła, że górna szuflada komody jest otwarta. Tam właśnie włożyła kolekcję skarpet Theo – co najmniej tuzin par zwiniętych w kulki. Drzwi do szafy też były lekko uchylone. Musiał wstać wcześniej i cicho się ubrać. Pewnie nie chciał jej budzić po długiej podróży.

Leżała przez chwilę nieruchomo. Wróciły wspomnienia wczorajszego wieczoru. Późno dotarli do sypialni, uciekając Gabrielowi, który uparł się podać kawę po kolacji, chociaż żadne z nich nie miało na nią ochoty. Gdy w końcu zostali sami, nagle ogarnęła ich nieśmiałość. Byli jak obcy, którzy znaleźli się w nieznanym pokoju. Nowoczesne meble były straszne. Słoik z kremem do twarzy i butelka perfum stojące na szerokiej toaletce wyglądały, jakby ktoś je tam zostawił. Kitty poczuła się jak dziecko w świecie dorosłych. Theo zdjął krawat, jak zwykle odchylając głowę do tyłu. Potem zrzucił marynarkę i położył ją na krześle. Kitty zsunęła buty i pończochy. Każdy dźwięk wydawał się głośny, a każdy gest przesadny. Rozebrani do połowy spojrzeli na siebie, jakby nie wiedzieli, co dalej robić.

Theo zgasił światło, zostawiając jedynie to przy łóżku. Pomarańczowy abażur rzucał kolorowy cień. Wszystko było tu

inne. Szczegóły sypialni kryły się w mroku, co tworzyło atmosferę tajemniczości. Dwie postacie oświetlał blask ognia. Theo rozpiął Kitty sukienkę i pozwolił, by opadła z szumem do jej stóp. Potem zsunął ramiączka halki i stanika. Dotknął wargami jej ramion, smakując wolno, a potem z rosnącym pożądaniem. Zdjął jej bieliznę niecierpliwymi dłońmi, wziął Kitty za rękę i poprowadził ją do łóżka. Jednym ruchem zrzucił kapę na podłogę.

Siedząc na łóżku skąpanym w porannym świetle, Kitty się uśmiechnęła. Położyła dłonie na brzuchu. Może stało się to już teraz. Wyobraziła sobie, jak jej ciało się zaokrągla, a skóra rozciąga. Jak wtedy, gdy dziecko jest w drodze.

Jej uwagę przyciągnął odległy szum głosów. Opuściła nogi na podłogę i przechyliła głowę na bok, słuchając z uwagą. Rozpoznała niski głos Theo i wyższy Gabriela. Nagle uświadomiła sobie, że pewnie spała długo i Theo wyjedzie za chwilę do pracy.

Wyjęła z szafy szlafrok – jedwabne, haftowane kimono, które dostała od Louisy, bo miało rozdarty brzeg. Zawiązała pasek w talii i spojrzała w lustro. Włosy były lekko potargane, ale oczy jasne, a policzki różowe. Zagryzła wargi, by przywrócić im kolor. Potem wsunęła stopy w kapcie i wyszła z sypialni.

\*

Theo siedział przy jednym końcu stołu Cynthii i czytał gazetę. Kitty poczuła przez chwilę strach, zaraz jednak przypomniała sobie, że szum prasowy dobiegł końca. Już nikt o niej nie pamiętał. Weszła do jadalni i zatrzymała się zaskoczona. Filiżanka i talerzyk pochodziły z serwisu Cynthii. Podobnie dzbanek do herbaty, cukiernica, dzbanuszek do mleka, nawet pojemniczek na sól z małą łyżeczką. Gdy wczoraj doglądała rozpakowywania kufra, poleciła Gabrielowi, żeby schował do

pudding zastawę Royal Doulton. Wyraźnie powiedziała, że będą teraz używać prostych, białych naczyń. I wczoraj podczas kolacji tak było. Białe talerze i półmiski stały na białym obrusie, dając wrażenie prostej elegancji, podkreślonej czerwonymi i pomarańczowymi kwiatami hibiskusa zerwanymi w ogrodzie. Kitty czuła się rozczarowana, że Theo nie zrobił żadnej uwagi, no ale mieli przecież tyle do omówienia.

Wyglądało na to, że projekt niósł ze sobą wiele wyzwań. Wykarczowano już wielkie połacie ziemi, ale do oczyszczenia pozostało znacznie więcej. Okazało się to nadspodziewanie trudne. Zwykle buldożery nie zdawały egzaminu. Lepszym sposobem było ciągnięcie wielkich łańcuchów umieszczonych między traktorami. Szło to jednak bardzo wolno i wszyscy pokładali nadzieję w nowej maszynie skonstruowanej specjalnie dla projektu: skrzyżowanie czołgu z traktorem o nazwie shervick. Pierwsza partia miała lada dzień przybyć z Anglii, ale sprawy się przeciągały. Theo poświęcił cały wieczór na wytłumaczenie Kitty, ile ciężkiej pracy, pomysłowości i twórczego myślenia wymagało rozwiązanie wszystkich problemów.

Kitty podeszła cicho do stołu. Omiotła wzrokiem srebrny pojemnik z trójkątnymi białymi tostami, szklaną miseczkę z marmoladą, kółko do serwetki. Byli w Afryce, lecz równie dobrze mogło to być śniadanie w Hamilton Hall.

Theo uniósł wzrok i wstał.

– Dzień dobry, moja droga.

Stał lekko pochylony, dając w ten sposób do zrozumienia, że chciałby zaraz usiąść. Kitty odsunęła więc spiesznie krzesło naprzeciwko niego.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się. – Nie mogę uwierzyć, że tak długo spałam.

– Musiałaś być zmęczona.

Theo odpowiedział uśmiechem, po czym przesunął wzrokiem

po jej twarzy i ciele, zatrzymując się na dekolcie szlafroka. Kitty poczuła, że się czerwieni. Domyśliła się, że chodzi mu o wczorajszą noc i o to, jak pospiesznie się kochali, jakby dopiero co wzięli ślub. I jak później to powtórzyli, delektując się swoimi ciałami i podsycając pożądanie ze świadomością, że nie będzie już rozstań, smutku i strachu. Już chciała coś na ten temat powiedzieć, gdy Theo wskazał na Gabriela czekającego przy drzwiach jadalni.

– Zwykle ubieramy się do śniadania – powiedział półgłosem.

Kitty owinęła się szczelniej szlafrokiem.

– Bałam się, że wyjdiesz.

– Już prawie wychodzę. Mam spotkanie za piętnaście minut.

Złożył gazetę.

– Wystarczy, że poprosisz służącego o śniadanie. – Ponownie skinął głową na Gabriela. – Powiedz mu, jakie lubisz jajka. Poza tym tu nie jest jak w Anglii i nie ma braków w żywności. Pewnych rzeczy nie możesz dostać, ale tych podstawowych, jak: jajka, mleko, mięso, warzywa, masz, ile chcesz.

W jego głosie brzmiał chłopięcy entuzjazm, jakby opowiadał o nocnej uczcie w szkolnym internacie.

Kitty znowu się uśmiechnęła.

– Nagle poczułam się głodna.

Uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy. Wyciągnął rękę przez stół i ścisnął jej dłoń.

– Co będziesz dziś robiła?

– Rano idę z Dianą do jakiegoś klubu – odparła Kitty. Miała zjeść z Theo lunch, potem jednak nie wiedziała, co będzie robić. Jeszcze się nie zorientowała, czym mogłaby się zajmować. Ta niewiedza wprawiała ją w ekscytację. Przypomniała sobie słowa Janet, starej misjonarki: „Ta potrzeba jest tak ogromna...”.

– To dobrze. Spodoba ci się – powiedział, po czym wstał i popatrzył na zegarek. – Lepiej sprawdzę, czy kierowca podstawił samochód.

Ruszył do drzwi balkonowych. Kitty poszła za nim drobnymi kroczkami w ciasnym kimonie. Gdy znalazła się na werandzie, zobaczyła stojący na podjeździe zielony samochód, którym wczoraj przyjechał Theo. Mężczyzna w zielonym mundurze i czapce z daszkiem energicznie czyścił maskę samochodu miotełką z piór. Lakier lśnił w porannym słońcu.

– Jak ci się podoba? – spytał Theo. – Miałem wyjątkowe szczęście. Ktoś zamówił go w Anglii, lecz kiedy samochód dotarł na miejsce, przeniesiono ich do Londynu.

Kitty zmarszczyła brwi zaskoczona. Sam wybrał taki samochód? Bardziej pasował do niego daimler taki jak sąsiadów. Wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć i rozwarła ręce.

– Nigdy jeszcze nie widziałam nowego dżipa.

– Dżipa? – Głos Theo wzniósł się do pisku. – To jest pierwszy w Afryce land rover. – Gdy Kitty podeszła do niego, Theo objął ją ramieniem. – To wielki sukces. Chodziło o to, żeby stworzyć cywilny pojazd na czas pokoju, którym można wszędzie dojechać i będzie go można składać w fabrykach, gdzie w czasie wojny powstawały spitfire’y. Jest zrobiony z aluminium jak samolot.

– Aha. – Kitty kiwnęła głową, wciąż nie mogąc nadziwić się jego zachwytowi czymś nowoczesnym.

– Dwa zakresy biegów, cztery dla dużych prędkości i cztery dla małych. Z przodu ma wyciągarkę i wodoodporne przewody. Idealnie nadaje się do jeżdżenia po takich terenach jak te.

Słuchając Theo, Kitty zrozumiała, że kupno land rovera było elementem nowego życia, jakie wspólnie mieli tu rozpocząć. Uśmiechnęła się zachęcająco, zastanawiając się jednocześnie, co powiedzieć. W końcu wskazała na dach z brezentu.

– Pewnie można go zdjąć i jechać bez dachu.

– Oczywiście – potwierdził Theo. – Taki samochód nazywa się kabriolet. – Odwrócił się do Kitty. – Niestety nie będziesz mogła nim jeździć. Nie tak jak Diana daimlerem. Richard pracuje



w dyrekcji, ale ja w każdej chwili mogę zostać wezwany na plantację. Poza tym ona nie ma prawa jazdy, więc potrzebuje kierowcy.

Kitty pomyślała o długiej drodze stąd do centrum Kongary. Prawdopodobnie tam były sklepy, klub i inne udogodnienia. Ciekawe, jak będzie się przemieszczać.

– Zastanawiam się nad kupieniem drugiego samochodu, którym będziesz mogła jeździć – oznajmił Theo, jakby czytał jej w myślach.

– Dziękuję. – Kitty uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Nie będzie to nic specjalnego – uprzedził. – Może hillman. Coś małego. – Spojrzał z miłością na land rovera. – To będzie koniec dżipów. Zostały daleko w tyle.

Kierowca po raz ostatni przesunął miotełką po masce i reflektorach, po czym usiadł z przodu.

– Czas ruszać – oznajmił Theo, klepiąc ją po ramieniu. – Zobaczymy się w porze lunchu.

– Pa. – Zabrzmiało to niezbyt głośno, więc uśmiechnęła się szeroko. Czowała się zawiedziona, że Theo musi już jechać, i była zła na siebie, że przespała szansę na zjedzenie z nim pierwszego wspólnego śniadania.

Theo cmoknął Kitty w policzek i przeszedł przez werandę. Na stopniach odwrócił się i pomachał. Gdy wsiadł do land rovera, Kitty mu odmachała, a drugą rękę przyłożyła do policzka w miejscu, w którym dotknął go ustami. Poczwała ciepło rozplywające się po ciele. Ten prosty gest – męzowski pocałunek na pożegnanie i wyjazd do pracy – stłumił uczucie porzucenia. Kitty widywała takie sceny na filmach, w telewizji i w rzeczywistości, lecz nigdy nie brała w nich udziału.

W Anglii Theo nie pracował po demobilizacji z sił powietrznych. Najpierw zajął się pomocą rodzicom w odbudowywaniu dawnego stylu życia w Hamilton Hall po wojennym wstrząsie. Potem nie bardzo wiedział, co dalej ze sobą

zrobić. Nie było mowy o powrocie na uniwersytet w Oksfordzie ani szukaniu pracy. Często spędzał całe dni w pałacowej bibliotece. Wyjmował z półek na chybił trafił stare tytuły, takie jak *Naval Tactics* czy *The British Soldier*[2]. Czytał wytrwale, lecz bez większego zapachu. Lub też zasypiał. Ciągłe był zmęczony, jakby stres wywołany wojną pozbawił go energii. Dopiero wydarzenia, jakie miały miejsce po śmierci Yuriego – skandal, o którym nawet teraz nie można było wspominać – wyciągnęły go z apatii. Ale siłę, jaką w sobie znalazł, napędziły gniew, poniżenie i zdrada. Wypaliła się, pozostawiając jedynie zgliszczą. List od dawnego kolegi z RAF-u z propozycją kierowniczego stanowiska w projekcie orzeszkowym w dalekiej Tanganice pojawił się jak cud, jak szansa na ucieczkę do nowego świata. Ale Kitty martwiła się, że Theo może nie podołać zadaniu. Teraz okazało się, że niepotrzebnie. Najwyraźniej praca go pasjonowała i wprawiała w dobry nastrój. Poranny pocałunek na pożegnanie symbolizował zmianę, jaka się dokonała. Wracając do domu, uśmiechnęła się na myśl o tym, że ten zwyczaj będzie się powtarzał każdego dnia i stworzy gmach ich wspólnego życia opartego na bliskości i bezpieczeństwie.

\*

Kitty położyła na łóżku kilka strojów. Starła się podjąć decyzję, który włożyć, lecz myślami wracała do jadalni, skąd dochodził stłumiony stuk talerzy. Gabriel sprzątał ze stołu po zjedzonym przez nią śniadaniu. Było jej ciężko na żołądku. Mimowolnie zacisnęła szczękę, wspominając rozmowę ze służącym. Zaczekała, aż poda jej jajka, grzanek i herbatę, po czym spojrzała mu w oczy i przemówiła po angielsku.

– Dlaczego wyjąłeś te talerze i filiżanki? Powiedziałam wyraźnie, że będziemy używali tych białych. Musisz mnie

słuchać.

– Tak, *memsahib*. – Skłonił potulnie głowę, lecz miał dziwną minę. Poprawił Kitty talerz i nóż. – Ale *bwana* nie lubi tych białych. Kazał mi podać te drugie.

– Ach, tak – odpowiedziała Kitty po chwili ciszy, obrysowując palcem brzeg kieliszka do jajek.

– Chodzi o filiżanki. Są za grube.

Kitty uniosła wzrok.

– Za grube?

Gabriel wziął jedną z filiżanek Cynthii i wskazał na brzeg. Zmarszczył brwi, szukając właściwego słowa.

– *Maskini*. Chude.

– Rozumiem.

Kitty starała się zachować obojętny wyraz twarzy, chociaż czuła gniew na Theo, że podważył jej autorytet. Chyba wiedział, co robi. Jednak z drugiej strony popełniła błąd, nie omawiając z nim tej sprawy. Gdy był sam przez wiele tygodni, korzystał z serwisu Cynthii. Potarła skronie palcami. Czy to w ogóle ma znaczenie, jakich talerzy i filiżanek będą używać? Yuri pewnie przewróciłby oczyma. Herbatę pił w tym, co miał pod ręką – w słoiku, słoiczku po śmietanie lub też w filiżance z chińskiej porcelany z obtłuczonym uszkiem. Dawno zrezygnował ze spodeczków, uważając je za niepotrzebny kłopot.

Gabriel pospiesznie wrócił do kuchni, zapewne, żeby opowiedzieć o drobnym rozdzwiewku między panem i panią. Tymczasem Kitty sięgnęła po gazetę. Czas pokonać głęboki uraz, jaki czuła do prasy. Ignorując napięcie ciała, przebiegła wzrokiem artykuły na temat środków oszczędnościowych, reglamentacji i bezrobociu wśród byłych żołnierzy. Ponure relacje konkurowały z opowieściami o budowaniu nowego świata, olimpiadzie w Londynie, a nawet o projektantach mody, którzy podjęli się uczynienia świata ładniejszym. Czytała dalej, przerzucając strony, dopóki czynność czytania gazety nie stała

się czymś normalnym. Dopiero wtedy wstała od stołu i wróciła do sypialni, żeby się przebrać.

Wybrała jedną z czterech sukienek – prostą, niebieską, z białymi lamówkami wokół szyi i rękawów, która była jej zdaniem najbardziej efektowna. Podeszła do komody, żeby wyjąć parę rękawiczek. Gdy wysuwała szufladę, pomyślała o podkoszulkach i bieliźnie Theo leżących w sąsiednich szufladach. Był zaskoczony i niemal zły, że przeniosła jego rzeczy z wolnego pokoju. Od czasu do czasu może też woleć spać sam, stwierdził.

Te słowa zaskoczyły Kitty. W ich mieszkaniu w Skellingthorpe, a potem w apartamencie przygotowanym dla nich w Hamilton Hall była tylko jedna sypialnia, więc o innym rozwiązaniu nie mogło być mowy. Ale wczoraj wieczorem Theo wyjaśnił Kitty, że w angielskich rodzinach z jego sfery mężowie i żony mieli osobne pokoje. Ojciec miał swój i składał matce wizyty w jej sypialni. Gdyby nie racjonowanie opału, Louisa dałaby synowi osobny pokój. To rozsądne rozwiązanie, gdy ma się taki duży dom. Kobiety lubią wypełniać sypialnie ubraniami, perfumami i ozdobami, a mężczyźni mają prostsze gusty. Poza tym każdy lubi mieć trochę własnego miejsca.

Kitty kiwnęła głową w milczeniu, starając się zrozumieć. Przecież jeżeli kogoś się kocha, to chce się być blisko niego. Słyszeć jego oddech, gdy zasypiasz, i budzić się, czując ciepło ciała ukochanej osoby. Oczywiście nie wszystkie małżeństwa darzą się miłością. Zdążyła zauważyć, że Louise i admirała łączyła jedynie uprzejmość. Zastanawiała się, czy to spanie w oddzielnych sypialniach było przyczyną czy skutkiem ich oddalenia się od siebie. Jej rodzice zawsze sypiali w jednym łóżku – dzieląc się chorobami i nocnym karmieniem niemowląt. Chrapanie ojca, gdy zbyt dużo wypił, było na tyle głośne, by przeszkadzać wszystkim domownikom, ale żona nigdy go nie odstępowała. Zresztą nie miałyby dokąd pójść, chyba że do łóżka

któregoś z dzieci. Stała bliskość nie zdawała się jednak pogłębiać ich uczucia. Była gromadka dzieci, ale podczas wypełniania codziennych obowiązków – w kuchni, salonie, na farmie – Kitty nie dostrzegała, żeby rodzice okazywali sobie więcej uczucia niż Louisa i admirał.

Spojrzała teraz na komodę, wciąż czując zamęt w głowie po rozmowie z Theo – a gdyby była wobec siebie uczciwa – również urazę i rozczarowanie. Zaraz jednak wzięła się w garść, włożyła ostrożnie przez głowę niebieską sukienkę, starając się nie potargać włosów. Wciągnęła brzuch i zapięła suwak. Potem poprawiła makijaż, spryskała włosy lakierem i zapięła paski w sandałkach na szpilkach.

Patrząc na siebie w lustrze, nagle zaczęła mieć wątpliwości w sprawie wyboru sukienki. Zamierzała rozpiąć suwak, gdy rozległ się dzwonek. Chwilę później frontowe drzwi się otworzyły. Kitty opuściła rękę, gdy usłyszała stukot obcasów Diany w hallu. Wzięła torbę i pospiesznie sprawdziła, czy zapakowała kostium kąpielowy i ręcznik zgodnie z zaleceniem Diany. Potem wzięła głęboki oddech i wyszła na spotkanie sąsiadki.

\*

– Witamy w Klubie Kongara – powiedziała Diana, gdy daimler zatrzymał się przed nieciekawym, szarym budynkiem. Był to długi barak z cynkowanej blachy o półkolistym kształcie, z masztem od frontu. Kitty ukryła zaskoczenie. Bardziej pasował do osiedla namiotów i prostych chat niż do eleganckich dyrektorskich willi.

– Okropny, prawda? – stwierdziła Diana. – Ciągle na niego narzekamy. Obiecali wybudować nowy.

Na dużym, wysypanym żwirem placu stało mnóstwo

samochodów, głównie w miejscach, gdzie drzewa zapewniały cień. Widać było cały przekrój marek – od dżipów po wielkie sedany – lecz żaden nie dorównywał daimlerowi Diany.

Diana wysiadła i ruszyła w stronę czerwonych drzwi w wyłożonym cegłą końcu baraku. Była dziś milcząca, grzeczna, ale zamyślona. Miała na sobie prostszą w stylu sukienkę od tej wczorajszej, w kolorze jasnego różu, ale w okularach i z ciężkim złotym naszyjnikiem nadal wyglądała olśniewająco. Kitty sprawdziła, czy sukienka z tyłu dobrze się układa, i poszła za Dianą.

Gdy dotarły do drzwi, ze stołka zerwał się ciemnoskóry nastolatek w czarnej koszuli i spodniach i wprowadził je do środka.

Diana szła szybkim krokiem, kołysząc biodrami, po dywanie biegnącym środkiem korytarza. Wąska sukienka podkreślała jej kształtną sylwetkę. Kitty podążała za nią, rozglądając się ciekawie po wnętrzu, lecz tak, by nie wyszło, że się gapi. Dużą przestrzeń wypełniały fotele i kanapy ustawione wokół niskich stołów. Ozdobę stanowiło kilka palm w drewnianych donicach i perskie dywaniki rozłożone w różnych miejscach. Był tu również fortepian, na którym raczej amatorsko grał mężczyzna w koszuli i krawacie. Kitty rozpoznała piosenkę *The White Cliffs of Dover*. Mimo tych wszystkich szczegółów panowała tu raczej przygnębiająca atmosfera. Nie pomagało to, że okna w łukowatych wykuszach były małe i ustawione zbyt wysoko, żeby można przez nie coś zobaczyć. Kitty przypuszczała, że o każdej porze dnia i nocy jest tu tak samo.

Gorące, nieruchome powietrze wypełniał niebieski dym papierosowy. Zgromadziło się tu sporo ludzi – mężczyzn i kobiet w różnym wieku i w różnych grupach. Pewną część zajmowały panie z dziećmi (przeważnie w towarzystwie młodych Afrykanek w białych, wykrochmalonych mundurkach, które Kitty wzięła za nianie). W sporej odległości od nich siedzieli panowie, chowając

twarze za gazetami. Były też grupki mężczyzn siedzących przy stołach – większość w garniturach, kilku w strojach safari. Pochylali się ku sobie pochłonięci rozmowami. Unieśli głowy na widok przechodzącej Diany. Kitty też otaksowali spojrzeniem. Zachodziła w głowę, dlaczego nie są w pracy.

Nieco dalej znajdowało się hałaśliwe skupisko młodych kobiet ubranych w bluzki i spódnice khaki. Wszystkie miały usta pomalowane jasną szminką. Przypomniały Kitty Lisę i inne osoby kręcące się po dyrekcji. Nie przerwały rozmów na widok nowo przybyłych, ale Kitty czuła, że odprowadzają ją wzrokiem. Cieszyła się, że włożyła jasnoniebieską sukienkę, która przyciągała uwagę.

Na samym końcu budynku mieścił się bar. Wykonano go z ciemnego drewna wypolerowanego na wysoki połysk, co przypomniało Kitty stół Cynthii w stołowym. Przynajmniej tu błyszczące rzędy szklanek i białe lniane serwetki poprawiały nastrój tego miejsca.

– Dzień dobry, *memsahib*.

Afrykański barman był wysoki i potężny. Ubrany w białą kurtkę i czerwony fez.

Diana kiwnęła mu głową.

– Dzień dobry, Alfredzie.

Podeszła do dwóch parawanów w japońskim stylu stojących w rogu sali. W enklawie za nimi siedziało sześć kobiet zajętych lekturą magazynów, palących papierosy, popijających herbatę lub kawę. Pojawienie się Diany wywołało natychmiastową reakcję. Odstawiły filiżanki, zamknęły pisma i spojrzały na nią, jakby na coś czekały.

Diana całą uwagę skierowała na Kitty.

– Moje panie, to jest pani Theodorowa Hamilton – oznajmiła, po czym przedstawiła każdą z kobiet, poczynając od tej siedzącej najdalej.

– Pani Nicholasowa Carswell.

Kitty rozpoznała nazwisko dyrektora do spraw rolnictwa. Jego żona miała mysi kolor włosów i ostry nos. Obok siedziała żona Neila Strattona – pulchna, ale ładna, z wydatnymi ustami.

– Dyrektor oddziału – dodała Diana półgłosem.

Następna była żona Jeremy’ego Meadowsa, naczelnego lekarza. Kręcone pomarańczowe włosy.

Kitty usiłowała zapamiętać nazwiska i twarze, lecz było to niemożliwe, nawet bez panującego upału, zapachu dymu i perfum. Gdy Diana podała nazwisko ostatniej kobiety, machnęła z nonszalancją ręką.

– Tak więc mamy to już za sobą – powiedziała, po czym podała imiona kobiet, wskazując każdą palcem. – Alice, Audrey, Evelyn, Sally, Eliza, Pippa.

Alice kwinęła uprzejmie głową, lecz pozostałe uśmiechnęły się ciepło.

– A ja jestem Kitty. Bardzo mi miło was poznać.

– Kitty przyjechała wczoraj z Anglii – wyjaśniła Diana. – Ale pochodzi z Australii.

– Z Australii? – wykrzyknęła żona naczelnego lekarza. – Moja siostra mieszka w Melbourne. Może ją znasz.

– To duże miasto – odparła Kitty. – A ja mieszkałam na farmie.

Miała złe przeczucie, że rudowłosa kobieta nie przestanie pytać. Wiedziała, jak to będzie wyglądało. Koniec końców powiedziała, że farma ojca liczy sobie ponad dwadzieścia tysięcy hektarów i jest większa od plantacji w Kongarze. Razem z domem, stodołami, szopami i barakami dla pracowników. Jej słuchaczki wyobrażą sobie majątek w rodzaju Hamilton Hall. I podobnie jak w przypadku Theo i jego matki nie miała odwagi dodać, że ziemia w połowie była jałowa, bydło chude, owce szare od kurzu, runo wytarte i brudne. Że dom był drewniany, ściany łuszczyły się i pękały. Że blaszany dach pokrywała rdza.

Na szczęście nie było okazji do dłuższej rozmowy, bo Alice wyjęła notatnik z koszyka stojącego obok.



– Zaczniemy zebranie, skoro jesteśmy w komplecie – powiedziała, patrząc znacząco na zegarek.

– Najpierw muszę zamówić kawę – oznajmiła Diana, po czym zwróciła się do Kitty: – A co dla ciebie? Jest tylko nescafé. Czekamy na ekspres do kawy, który mają przysłać z Londynu.

– Skoro ty pijesz, to ja też poproszę. – Kitty poczuła, że się czerwieni. – Tylko nie mam ze sobą pieniędzy.

Na twarzy Diany pojawił się wyraz konsternacji.

– Pieniądzy? Dobry Boże, nikt nie ma pieniędzy. Po prostu dopisujemy do rachunków naszych mężów. Theo też ma.

– No tak, oczywiście.

Diana zwróciła się do Alfreda, który już stał za nią, gotowy przyjąć zamówienie.

– Dwie kawy. I coś do zjedzenia. Niedużego i niezbyt słodkiego.

– Tak, *memsahib*.

Z bliska Kitty zauważyła na policzkach Afrykanina blizny w kształcie linii i rzędy kropek. Takie znaki plemienne widziała w jednej z książek w Hamilton Hall, chyba w *Szkicach afrykańskich Percy’ego*. Wyglądały niesamowicie i zupełnie nie na miejscu przy nieskazitelnym uniformie barmana. Sprawiały, że służalcze zachowanie wydawało się udawane. Kitty przyszli na myśl Eustace i Gabriel. Czy ta zawołowana wrogość afrykańskiego personelu kryła się tuż pod powierzchnią, czy też jej przypuszczenia wynikały z nieznamomości miejsca i ludzi? Diana najwyraźniej nie miała takich problemów. Odprawiła go niegrzecznie machnięciem ręki, jakby był uprzykrzoną muchą.

Alice stuknęła niecierpliwie ołówkiem w notatnik.

– Zaczniemy. Naszą następną imprezą dobroczynną jest sprzedaż roślin doniczkowych. – Zwróciła się do Kitty. – Zbieramy fundusze dla misjonarzy. Siostra Barbara wyhodowała rośliny, a my tylko musimy je sprzedać.

– To znaczy kupić – wtrąciła Evelyn.

Alice obdarzyła ją cierpkim uśmiechem, po czym zwróciła się

do Diany.

– Czy mogłabym cię obarczyć wypisaniem cen? Już rozdzieliłam inne zadania.

– Oczywiście. Niczego bardziej nie pragnę – odpowiedziała Diana słodkim głosem.

Alice zmierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem. A więc nie tylko ja mam kłopoty ze zrozumieniem intencji Diany, pomyślała Kitty. To, co właśnie powiedziała, było bez zarzutu, lecz w jej głosie wyczuwało się fałszywą nutę. Alice westchnęła i ponownie zajrzała do notatnika.

– Stoisko zostanie ustawione przed głównym wejściem, więc będziemy mogli łapać ludzi przy wchodzeniu lub wychodzeniu. Potrzebujemy jeszcze kilku przyciągających wzrok plakatów. Oprócz tekstu przydałyby się rysunki roślin i kwiatów. To bardzo ważne. – Popatrzyła na Kitty. – Nie masz przypadkiem zdolności artystycznych? Byłoby wspaniale.

Kitty zeszywniała. Czy to pytanie na pewno było przypadkowe? Pokręciła głową, wprawiając włosy w ruch.

– Nie. Przykro mi.

Alice spojrzała na nią ze zrozumieniem.

– Na pewno jesteś w czymś dobra.

Podniosła rękę blondynka z wyszukaną fryzurą.

– Ja mogłabym narysować parę kwiatków – oznajmiła z pewnym siebie uśmiechem.

– Dziękuję, Pippo.

W trakcie zebrania kobiety popijały dyskretnie kawę, zostawiając ślady szminek na białych filiżankach z głupim czerwonym napisem „Klub Kongara” na boku. Tymczasem pianista zaczął grać inną piosenkę. Diana poruszyła się niespokojnie na krześle. W końcu pojawił się Alfred z wyładowaną tacą. Stały na niej dwie filiżanki kawy i talerz z lukrowanymi ciastkami. Były duże i wyglądały na bardzo słodkie. Ale Dianie to nie przeszkadzało. Wprost przeciwnie,

wydawała się zadowolona. Położyła sobie dwa ciastka na talerzyku, który postawiła na kolanach.

Alfred podał Kitty filiżankę. Kawa wydawała się ciemna i mocna, nawet gdy dołała dużo mleka. Wciąż uczyła się pić mocne piwo, żeby dotrzymać Theo towarzystwa. W czasie wojny stał się od niego niemal uzależniony. Był to w pełni zasłużony luksus, na jaki pozwalali sobie piloci, którzy latali zarówno w nocy, jak i w dzień. Kitty uniosła filiżankę do ust, starając się nie wdychać zapachu pary. Gdy dotknęła wargami brzegu, nagle zrozumiała, dlaczego Theo nie chciał używać białej zastawy. Takie praktyczne naczynia pasowały do klubu lub hotelu, a nie do domu przy ulicy Milionerów. Poczula zniechęcenie. Tak łatwo było popełnić błąd.

Diana jadła zachłannie, zasypując sukienkę okruszkami. Gdy skończyła jedno ciastko, zabrała się do drugiego. Była jakaś niepokojąca namiętność w sposobie, z jakim jadła. Nawet ręce jej się lekko trzęsły. Kitty zauważyła, że żadna z kobiet nie patrzy na Dianę. Wpatrywały się w podłogę, w swoje filiżanki lub w Alice.

– Na następnym porannym spotkaniu zaczniemy pracować nad naszym głównym wydarzeniem – oznajmiła Alice. – Kaledońską kolacją dobroczynną.

Zacząła mówić o potrawie z podróbek baranich, kiltach i dudach. Diana odstawiła w końcu talerzyk. Strzepnęła okruszki z kolan, wyprostowała się i skupiła uwagę na Alice. Wyglądała teraz jak najlepsza uczennica w klasie. Audrey poniosła rękę, żeby spytać o termin, bo w tym samym czasie wypadały urodziny i chrzest. Alice wyjaśniła, że inny dzień nie wchodzi w grę. Kitty zaskoczyła różnorodność odmian angielskiego, jakimi posługiwały się kobiety, i zastanawiała się, dlaczego organizują szkocką kolację.

Zebranie trwało przy wtórze nieregularnego rytmu wentylatora z wygiętym ramieniem. W końcu Diana podniosła wymanikiowaną dłoń do ust i głośno ziewnęła.

– Muszę popływać, w przeciwnym razie usnę.

Grupa przyjęła to z entuzjazmem i Alice niechętnie odłożyła notatnik.

Gdy Kitty wzięła torbę, poczuła się rozdarta między pragnieniem ochłodzenia się i obawą przed przebraniem się. Wiedziała, że jej kostium będzie porażką. Miał kolor truskawki, ale rozciągniętą gumkę, przez co dół stracił kształt, i jeszcze musiała zastąpić ramiączka wstążkami. Znalazła go w pawilonie kąpielowym w Hamilton Hall, gdzie zostawił go lata temu któryś z gości. Miało to miejsce wtedy, gdy została uznana oficjalnie za gościa Yuriego. Louisa nieufnie traktowała przyjaźń młodej kobiety z jej synem, ale nie obawiała się jeszcze, że nastąpi najgorsze.

– Chyba umiesz pływać? – spytała Diana.

Kitty kiwnęła głową. Pływała, odkąd sięgała pamięcią. I wiedziała, że jest w tym dobra.

\*

Kitty stała samotnie w parnej przebieralni. Inne kobiety już wyszły. Przebrały się w kostiumy kąpielowe i złożyły ubrania z wprawą, jakie daje doświadczenie. Diana przebrała się ostatnia, bo zniknęła gdzieś na krótko, gdy wyszły z salonu.

Kitty powiesiła sukienkę na kołku i ustawiła sandały jeden przy drugim. Potem usiadła na wąskiej, drewnianej ławce. Zalała ją fala emocji – samotności i tęsknoty za domem. Nie potrafiła jednak powiedzieć, za czym lub za kim tęskniła. Zacisnęła dłonie na powiekach, powstrzymując łzy. Czuła się zmęczona. Podróż była długa, a wszystko takie nowe i dziwne. Uniosła głowę i utkwiała wzrok w ciemnych kątach pozbawionego okna pomieszczenia. Śmiechy i głosy dochodzące z zewnątrz wydawały się bardzo odległe. Nagle ogarnął ją strach, że zostanie

tu sama na zawsze.

Usłyszała czyjeś kroki – odgłos uderzanych o pięty kłapek czy japonek, jak nazywał je Theo. Do kabiny weszła Pippa, uśmiechając się wesoło.

– Jak zwykle o czymś zapomniałam. – Sięgnęła do torby, po czym odwróciła się w okularach przeciwsłonecznych z dużymi okrągłymi szklami.

Kitty podniosła się z ławki, gdy została sama. Jeżeli stąd nie wyjdzie, ludzie zaczną się zastanawiać, co tu robi.

Zmrużyła oczy po wyjściu na jasne słońce. Przy basenie nikogo nie było. Promienie słoneczne odbijały się w nieruchomej wodzie i w kałużach na betonowym obramowaniu. Spojrzała w stronę ustawionych wokół basenu stolików i krzeseł ocienionych parasolami w biało-zielone pasy. Siedzieli przy nich ludzie w pojedynkę lub z przyjaciółmi, czytając lub pijąc. Kobiety z klubu zajęły dwa sąsiadujące ze sobą stoliki. Wszystkie siedziały na krzesłach z kutego żelaza z wyjątkiem Diany, która położyła się na drewnianym leżaku. Miała na sobie różowy kostium podkreślający pięknie opalone ciało i odważnie odsłaniający brzuch. Nawet z daleka widać było, że jest płaski.

Większość kobiet okryta była płaszczami kąpielowymi, ale Kitty musiała obwiązać się ręcznikiem w talii. Przytrzymała go, idąc ku nim. Rozgrzany beton parzył ją w boscie stopy – nie pomyślała o wzięciu butów na zmianę, a nie mogła włożyć sandałków na wysokich obcasach do kostiumu kąpielowego. Mieszkając w Anglii, rzadko chodziła boso i stopy stały się delikatne. Przyspieszyła kroku, starając się wybierać miejsca z wilgotną ziemią.

Skierowała się w stronę wolnego krzesła w pobliżu dwóch połączonych stolików. Gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że wśród kobiet siedzi starszy mężczyzna z długą, siwą brodą i sumiastymi wąsami. Na głowie miał kask tropikalny. Ubrany był w zniszczony staroświecki strój safari w stylu tych, jakie nosiła

emerytowana misjonarka Janet.

Kitty zatrzymała się, a wtedy Audrey dokonała prezentacji.

– Kitty, to jest Bowie. Bowie, to jest Kitty.

Bowie nie wstał, ale zasalutował jej.

– Miło mi cię poznać.

Gdy Kitty usiadła, Audrey dotknęła opalonego ramienia mężczyzny.

– Mąż Kitty jest nowym dyrektorem administracyjnym. No wiesz – dodała ciszej – w miejsce majora Wainwrighta.

Bowie pokręcił głową.

– Potworna sprawa. Straszna śmierć. Wolałbym stawić czoło stadu bawołów niż rojowi afrykańskich pszczół. Co tu dużo gadać.

– Pszczoły go zabiły? – wymknęło się Kitty.

– Tak – odparł Bowie. – Beznadziejna sprawa. Obsiadły go i zakłuły na śmierć. Gdy żądłą, nic nie można zrobić. Nic.

Kitty poczuła, jak żołądek jej się ściska, gdy wyobraziła to sobie. Zobaczyła zataczającą się postać, którą obsiadły pszczoły.

– Mieliliśmy już kilka zgonów w wyniku uządleń pszczół na plantacjach – powiedział Bowie. – Kierowcy buldożerów wyrwali drzewa i zniszczyli gniazda. Ale ten atak był dziwny. Przedstawiciel dyrekcji dokonujący inspekcji plantacji nie pracuje na pierwszej linii. Weterynarz mówił, że było to celowe działanie.

– Bowie jest zawodowym myśliwym – wtrąciła Alice, przerywając jego wywód, po czym zwróciła się do Kitty. – Gdy OFC zaczęło tu prace, zatrudniono go do ochrony ludzi przed dzikimi zwierzętami.

Jej taktyka okazała się skuteczna. Bowie zapomniał o ataku pszczół, wyprostował się i spojrzał na Kitty wyblakłymi, niebieskimi oczyma.

– Trudno uwierzyć, że było to zaledwie dwa lata temu.

Zaczął opowiadać, jak po równinach Kongary biegały dzikie

zwierzęta, zarówno duże, jak i małe. Nikt nie był bezpieczny. Ale potem wkroczył ciężki sprzęt.

– To był dopiero widok. Sześć, może więcej, traktorów sunących w jednej linii przez równiny niczym zbliżająca się armia. Zostawiających za sobą tumany pyłu. A przed nimi uciekające zwierzęta, które nie miały odwrotu. Raz pojawił się jakiś zabłąkany słoń, a innym razem nosorożec zaatakował buldożer. Myślę jednak, że został sprowokowany. Widzieliśmy też jednego lub dwa lwy, ale nic więcej. Więc teraz spędzam czas w klubie, zabawiając damy. – Błysnął zębami w kolorze kości słoniowej. – Jestem szczęściarzem.

Mówił wesoło, lecz gdy Kitty napotkała jego wzrok, wyczuła smutek czający się pod tą wesołością. Domyśliła się, że wolałby być teraz na równinach, z bronią na ramieniu i plecakiem na plecach. Tymczasem pozostało mu jedynie to beczynne życie.

Oparła łokcie na twardym blacie. Zrobiono go z tego samego cętkowanego kamienia co werandę. Wczoraj wieczorem Theo powiedział jej, że nazywa się *terrazzo*. Gdy stwierdziła, że to dziwne słowo, odpowiedział, że pochodzi z włoskiego. Mówił tym przesadnie cierpliwym tonem, którego używał, gdy żona wykazała brak znajomości świata. Kitty objęła dłońmi brodę, wyrzucając wspomnienie z pamięci. Przesunęła się z krzesłem w lewo, poza zasięg parasola, i delektowała ciepłem promieni słonecznych na plecach i ramionach. W Anglii było jej ciągle zimno, chłód przenikał ją do kości. Uniosła twarz do słońca, pozwalając, by muskało zamknięte powieki. Słyszała, jak Bowie mówi Pippie, że planuje podróż na wybrzeże, lecz w jego głosie było coś, co Kitty nasunęło przypuszczenie, że nigdy tam nie pojedzie. Usiłowała rozpoznać kraj jego pochodzenia, lecz nie potrafiła. Może Afryka Południowa. Wiedziała, że dziwnie się tam wysławiają. W Anglii też brali jej akcent za południowoafrykański.

Poczuła, że pot wystąpił jej na twarz i strużka płynie wzdłuż

pleców. Otworzyła oczy i zobaczyła, że w basenie nadal nie ma nikogo. Woda zachęcała do pływania, lecz nikt się nie kwapił. Nieco dalej, w głębi ogrodu, przy huśtawkach i zjeżdżalni znajdował się brodzik – płytsza wersja dużego basenu. Dochodziły stamtąd piski radości i plusk wody. Kitty odwróciła się, żeby popatrzeć. Grupa dzieci bawiła się w wodzie gumowym kołem i piłką plażową w paski. W pobliżu stały dwa wózki z moskitierami dla ochrony przed muchami. Jedynymi dorosłymi były tam cztery afrykańskie nianie w białych uniformach lepiących się do ciała z powodu upału.

– Ta dwójka to moje. – Kitty odwróciła się i zobaczyła, że Audrey wskazuje na chłopca i dziewczynkę z takimi samymi kręconymi rudymi włosami jak matki. – Dickie i Fiona.

– Wyglądają uroczo – powiedziała Kitty.

Audrey uśmiechnęła się, zadowolona z komplementu.

– Ale potrafią dać w kość *ayah*.

Kitty popatrzyła na nią, nie rozumiejąc.

– Tak nazywamy tu nianie – wyjaśniła Audrey. – Nazwa pochodzi z Indii, z okresu brytyjskiego panowania.

Kitty zanotowała w pamięci termin, zastanawiając się, jak pisze się to słowo. Córnica Audrey machała do nich, więc matka odpowiedziała tym samym.

– Ojej. – Audrey zmarszczyła brwi. – Zaraz tu przyjdzie. – Zerwała się z krzesła i ruszyła w stronę brodzika, żeby zastąpić dziecku drogę.

Kitty obserwowała ją zdumiona. Dziwne, że matki przychodziły tu odpocząć, ale trzymały się z dala od dzieci. Domyśliła się, że radość z bycia matką z czasem maleje. A w Kongarze łatwo było zapewne wynająć afrykańską nianię. Jedno nie ulegało wątpliwości: ona i Theo nie oddadzą dzieci pod opiekę innych. Kitty pamiętała smutne opowieści Theo o dzieciństwie. Tak naprawdę to spędzał czas w pokoju dzieciennym, a potem w klasie. Louisa chętnie oddawała go pod



opiekę niani. On chciał czegoś innego dla swoich dzieci. Będą jadali razem kolację. Synowie będą mogli wybierać sobie przyjaciół i decydować, kim chcą być.

Wyobrażenia Theo o idealnej rodzinie były jednym z jego ulubionych tematów na początku ich znajomości. Wtedy tyle ze sobą rozmawiali. W roku poprzedzającym wybuch wojny Theo urywał się ze studiów, gdy tylko mógł, i zabierał Kitty na przejażdżki małym czerwonym samolotem. Lądowali na prywatnym pasie startowym któregoś z jego przyjaciół, wspinali się na górę lub inne malownicze miejsce. Rozkładali stary koc, z wyszytymi w rogach inicjałami jednego z przodków Theo, i urządzali piknik. Plany Theo nie uwzględniały Hamilton Hall. Przykro mu było, że głęboko rozczaruje rodziców, ale nie apróbował odziedziczonych zaszczytów. Warto wybierać własną drogę i każdy powinien mieć taką możliwość.

Kitty głównie słuchała. Jej własne życiowe doświadczenia były zupełnie inne, ograniczone, niewiele więc miała do powiedzenia. Czasami opowiadała Theo o rodzinie i o tym, jak dorastała w Australii. Ale skoro już wyznała, jak bardzo pragnęła wyrwać się z życia na farmie, nie widziała potrzeby, żeby teraz wyliczać, czego jej tam brakowało. Próbowała opisać mu, jak bardzo chciała uczestniczyć w porannej krzątaniu w Seven Gums. Jak matka usiłowała umyć chłopców i ubrać do szkoły, jak koty wchodziły wszystkim pod nogi, jak pachniała gotująca się na kuchni owsianka. O tym, jak ktoś spalił grzanekę i wyrzucił ją przez okno. O brakujących butach. Rozdartych koszulach. Urwanych guzikach. Ojcu wracającym do domu po jakąś zapomnianą rzecz i ciągnącym za uszy bijących się chłopców. O wszystkich szczegółach rodzinnego życia. Pragnęła być jakby nadal jego częścią, ale mimo to nie chciała wracać. Trudno było to wytłumaczyć, znacznie łatwiej siedzieć cicho i słuchać poglądów Theo na świat. Uwielbiała patrzeć, jak twarz mu się rozjaśnia, gdy je przedstawiał. Trudno było nie ulec jego niemal

dziecinnej pasji wzmocnionej autorytetem człowieka przekonanego o swoich racjach. Ale od tego czasu bardzo się zmienił. Tyle rzeczy się wydarzyło. Gdy teraz patrzyła na nianie, nie była już taka pewna. Ostatnio nie rozmawiali z Theo o tym, jak będą wychowywali swoje dzieci. Jego zapatrywania mogły się zmienić, a jeżeli tak, to będzie musiała zatrudnić *ayah*, bez względu na to, czy pragnęłaby tego czy nie.

Gdy Kitty obserwowała, jak Audrey usiłuje przekonać córkę, żeby została z nianią, jej spojrzenie powędrowało na koniec ogrodzonego drutem kolczastym terenu. Basen, woda i jasne parasole kontrastowały z piaszczystym buszem po drugiej stronie ogrodzenia. Tuż przy płocie, niedaleko brodzika rosło drzewo, na którym siedziało dwoje afrykańskich dzieci, wpatrujących się intensywnie w to, co działo się za drutem.

– Biedne dzieci – stwierdziła Kitty. – Pewnie chciałyby popływać.

Alice przywołała stojącego przy barze kelnera i gestem wskazała na płot. Kelner podszedł do niego, zaczął machać rękami i przeganiać małych widzów. Dzieci zeszły z drzewa i uciekły.

Pippa skorzystała z okazji i oznajmiła, że idzie popływać.

– Ja też – powiedziała Sally i zaczęła wpychać włosy pod czepek.

– Idziesz, Kitty? – spytała Pippa z uśmiechem.

Kitty się zawahała. Miała wyrzuty sumienia, przypominając sobie smutne twarze przepędzonych dzieci.

– Chodź – przekonywała Sally. – Skocz do wody.

Kitty wstała. Musi przyzwycząić się do takich sytuacji, pomyślała. To część życia w Afryce.

Pippa i Sally podeszły do płytkiego końca basenu, gdzie znajdowały się kamienne stopnie, i zanurzyły się w wodzie. Kitty wybrała głęboką wodę. Zawsze wolała wskakiwać. Przy zimnej wodzie bardziej lubiła krótki szok niż powolne zanurzanie się.

Przy takim upale przyjemnie było się ochłodzić.

Skoczyła ze zgrabnym pluskiem, po czym wykonała długi ślizg. Przecinając powierzchnię wody, zaczęła płynąć mocnym kraulem. Już zapomniała, ile przyjemności daje pływanie, i zatraciła się w rytmie ruchów: obrót głowy, nabranie powietrza i wydmuchanie strumienia bąbelków. Nie zatrzymała się, dopóki nie przepłynęła całej długości basenu. Wtedy stanęła, odrzuciła włosy z twarzy i wytarła oczy. Po kilku sekundach zamarła. Wszyscy się na nią gapili. Sprawdziła wstążki przytrzymujące górę kostiumu, ale były w porządku. Nie wiedziała, co jest nie tak. Nie wiedząc, co zrobić, przepłynęła długość basenu i jeszcze jedną. Po pięciu okrążeniach znowu się zatrzymała. Wtedy zobaczyła Pippę i Sally. Pływały spokojnie żabką, z głowami nad wodą, wykonując delikatne ruchy rękami i nogami.

Kitty podciągnęła się w górę na rękach i dysząc, usiadła na brzegu. Spojrzała na odbicie swojej twarzy z kropelkami wody. Widziała, że zrobiła z siebie widowisko, bo ludzie po drugiej stronie basenu nadal się na nią gapili. Nawet afrykańskie nianie oderwały wzrok od swoich podopiecznych. Odwróciła się, żeby sprawdzić reakcję Diany. Ku jej zaskoczeniu jako jedyna nie patrzyła na nią, lecz na Alice, która stała obok, wydymając wargi, z rękami założonymi na piersi. Na twarzy Diany nie dostrzegła cienia dezaprobaty czy niepokoju, raczej błysk rozbawienia w szarzielonych oczach i satysfakcję w skrzywieniu ust. Wyraźnie bawił ją niepokój wywołany przez tę Australijkę. Kitty odwróciła się w stronę wody jednocześnie zaintrygowana i zakłopotana. Diana była tu najwyższą rangą i dawała wszystkim zdaniem Theo „wspaniały” przykład. Teraz jednak wyglądała jak psotna dziewczynka, rozkoszująca się widokiem kogoś sprawiającego kłopot.

Koło południa nastąpiło nagłe poruszenie przy stolikach nad basenem, gdy kobiety, dzieci i nianie zaczęły się szykować do powrotu do domu na lunch.

Diana usiadła na leżaku i przeciągnęła się leniwie. Jednak zamiast wstać, sięgnęła po torbę i wyjęła pismo.

– Zamierzam jeszcze zostać. – Otworzyła magazyn. – Nie jestem głodna. A Richard na pewno późno wróci. Sam sobie poradzi.

Kitty zmarszczyła brwi zaniepokojona. Theo będzie na nią czekał. A ona też chciała się z nim zobaczyć.

– Nie obawiaj się – powiedziała Diana, odgadując jej myśli. – James zdąży cię odwiedzić, zanim pojedzie po Richarda.

– Dziękuję. – Kitty uśmiechnęła się z ulgą.

– Twój mąż na pewno będzie chciał się z tobą zobaczyć – stwierdziła sztywno Alice.

– Jest wiele spraw do omówienia – przyznała Kitty.

Diana uniosła brwi, ale nic nie powiedziała. Wezwała kelnera i poleciła, żeby sprowadził jej szofera.

Kitty stała przed klubem w cieniu bugenwilli wielkości drzewa. Kilka innych roślin tworzyło wielką, kolorową masę fioletowych, morelowych i białych kwiatów. Spojrzała w stronę parkingu, gdzie ludzie wsiadali do samochodów. Nikt nie miał kierowcy takiego jak Diana. Kobiety wykonywały ostrożne manewry, zmieniając biegi ze zgrzytem. Kitty przypomniała sobie z satysfakcją, jak nauczyła się jeździć po farmie, jeszcze zanim ukończyła szkołę podstawową. Miała nadzieję, że Theo wkrótce kupi drugi samochód. Potem pokręciła głową, dziwiąc się samej sobie. Jak szybko przywykła do myśli, że będzie miała własny samochód.

James teraz jechał szybciej niż z Dianą. Gdy podskoczyli na koleinie, Kitty zauważyła jakiś przedmiot przetaczający się po podłodze samochodu. Pochyliła się i podniosła szklaną buteleczkę z pigułkami. Przeczytała nalepkę zapisaną

dziwacznymi czerwonymi literami podobnymi do tych z klubowych filiżanek. „Skuteczny i bezpieczny środek na wzmocnienie doktora Newmana”. Kitty oparła buteleczkę na kolanie. Nie bardzo wiedziała, co ma z nią zrobić. Jeżeli położy ją na siedzeniu, Diana domyśli się, że widziała pigułki. Jednak z drugiej strony przynajmniej się znajdą. W końcu położyła ją z powrotem na podłodze.

Podczas jazdy czuła, jak buteleczka uderza o jej stopę. Coś złowrogiego czaiło się w tych jasnych i okrągłych tabletkach. Były jak cukierki kuszące dziecko. Kitty wiedziała, że nie powinna zastanawiać się, co jest Diane – stan zdrowia to prywatna sprawa. Ale wciąż przychodziła jej na myśl ciotka Madge, która podobno cierpiała na nerwy. Jej zachowanie było dziwne i trudne do przewidzenia. Nikt nie wiedział, jak się zachowa. Madge też przyjmowała środek na wzmocnienie, lecz nie w postaci pigułek, ale niebieskiego syropu, który przypominał Kitty lekarstwo dla koni. Spojrzała na buteleczkę. To by tłumaczyło nerwową reakcję Diany na widok dziewczynki, która omal nie wpadła pod samochód, i jej dziwne zachowanie dziś rano. Być może Diana cierpiała na jakąś chorobę krwi. A mimo to wyglądała na zdrową i silną.

Dojechali do tętniącego życiem centrum osady. Gdy mijali centralę, Kitty rozglądała się niespokojnie w poszukiwaniu land rovera Theo. Miała nadzieję, że nie wrócił wcześniej do pustego domu. Odetchnęła z ulgą na widok eleganckiego wozu w kształcie pudełka z brezentowym dachem stojącego przed głównym namiotem. Obok stał czarny rolls-royce. Gdy zbliżyli się, Kitty przyjrzała się pojazdowi. Był większy od daimlera, z szerokimi łukami, i bardziej ekstrawagancki. Ale starszy, z wyraźnie zmatowiałą karoserią i wgnieceniem w zderzaku. Kitty przypuszczała, że należy do dyrektora do spraw rolnictwa – męża Alice. W głowie zaczął jej się formować układ stosunków w Kongarze. Diana, żona dyrektora generalnego i rezydentka

domu przy Hillside Avenue 1, znajdowała się na samym jego szczycie. Kitty mieszkała pod numerem drugim. Alice zajmowała prawdopodobnie dom numer trzy. Kitty była niemal pewna, że ich mężowie zajmowali równorzędne stanowiska. To oznaczało, że ona i Alice zajmowały tę samą pozycję, z tym że Kitty mieszkała pod lepszym adresem. Jakaś jej część wolałaby być zwykłą mieszkanką Kongary, która ciężko pracuje i nikt jej nie zna. Z zalem pomyślała o Paddym i innych inżynierach. Zastanawiała się, jak się urządzili i kiedy będzie miała okazję ich zobaczyć.

James zwolnił nagle i zjechał z drogi na zarośnięte pobocze. Kitty usłyszała, jak krzewy skrobią po podwoziu. Zanim zdążyła spytać, co się dzieje, zobaczyła nadjeżdżający z naprzeciwka samochód. Była to dziwna krzyżówka dżipa z ciężarówką i traktorem. Miała wąskie, staroświeckie opony i wielkie reflektory ustawione blisko siebie. Kabina wyglądała jak szopa, otwarta po bokach, z drewnianą ramą i kierownicą przymocowaną do czegoś w rodzaju siatki. Wgnieciona maska – niegdyś czerwona – była pokryta grubą warstwą kurzu. Z tyłu siedziało kilkoro Afrykanów, a za kółkiem biały mężczyzna. Oczy Kitty rozszerzyły się na widok drewnianego pudełka na masce. W środku siedziało nagie dziecko, trzymające się brzegów rękami. Zszokowana wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca. Po chwili zobaczyła, że to mała.

Samochód zbliżył się, a warkot silnika zagłuszył mruczenie daimlera. Kitty przyjrzała się uważniej kierowcy dziwnego pojazdu. Miał na sobie strój safari podobny do tego, jaki nosił Bowie, ale był bez kapelusza. Włosy sterczały mu na wszystkie strony. Był dużo młodszy od myśliwego. Ścisnął kierownicę, jakby walczył o utrzymanie nad nią kontroli. Na krótką chwilę oczy Kitty i mężczyzny się spotkały. Nawet z tej odległości dostrzegła, że są piękne, nieprzeniknione, dziwnie intrygujące. Mijając ich, nieznajomy uniósł rękę. W odpowiedzi Kitty zrobiła

to samo, lecz zaraz opuściła dłoń, bo zrozumiała, że ten gest nie był przeznaczony dla niej, lecz dla Jamesa. Była to forma podziękowania za to, że szofer ustąpił mu miejsca na drodze.

Kitty pochyliła się w przód.

– Kim był ten mężczyzna?

Zastanawiała się, dlaczego James zjechał z drogi. Może bał się, że daimler ulegnie uszkodzeniu. Ktoś, kto jeździł takim cudakiem, mógł być brawurowym kierowcą.

– To *bwana* Tayla – padła odpowiedź.

Dziwne imię, pomyślała, lecz po chwili przyszło jej do głowy, że chodzi o imię Taylor. Szofer skrócił drugą sylabę do samogłoski.

– Czy on pracuje dla OFC? – spytała, lecz zaraz sobie odpowiedziała, że to niemożliwe. Był zbyt niechlujny. Poza tym sposób, w jaki trzymał kierownicę i jak odniósł się do Jamesa, wskazywał na to, że nieco dłużej mieszka w tym kraju.

– Nie – odpowiedział James. – Ludzie z Londoni go nie lubią.

– Dlaczego? – spytała Kitty.

Szofer pokręcił głową.

– Nie wiem dlaczego.

Ton jego głosu sugerował, że nie jest przygotowany na szczegółowe omawianie tematu.

Kitty obejrzała się przez ramię.

Pojazd przyspieszył, wyrzucając z rury wydechowej czarny dym. To palił się olej, tak jak w starej ciężarówce ojca marki Chevrolet. Wspomnienie wiernego środka transportu wywołało w niej falę bólu i odciągnęło myśli od teraźniejszości. Miała nadzieję, że ciężarówka nadal jeździ – nawet nie chciała myśleć, co by się stało, gdyby było inaczej. Ojciec zamierzał wymienić chevroleta, gdy teściowa w końcu umrze, wykorzystując do tego spadek. Planował również przebudować chaty postrzygaczy. Uważał, że przez całe lata tolerował wizyty teściowej, znosząc jej fanaberie – na przykład upieranie się przy tym, żeby mówić do

niej Gloria, nie babcia, jak do każdej babci – i to miała być nagroda. Tymczasem starsza pani zmieniła testament. Zostawiła córce biżuterię, dobytek wnukom, natomiast wszystkie pieniądze zapisała Kitty.

Ten szokujący fakt wyszedł na jaw po odczytaniu testamentu w biurze notariusza w Sydney. Ku zaskoczeniu rodziny poproszono również Kitty, by była przy tym obecna. Pan Walker wyjaśnił sytuację spokojnym, beznamiętnym głosem. Instrukcje były jasne. Jego zmarła klientka miała prawo decydować o tym, jak podzieli majątek, i postanowiła uczynić wnuczkę główną beneficjentką. Kitty siedziała w rogu gabinetu, zaciskając palce na drewnianych poręczach krzesła, podczas gdy ojciec wyrażał oburzenie i niedowierzanie. Matka mu wtórowała. Pan Walker pozostał nieporuszony.

– To czysta złośliwość – stwierdził na koniec ojciec. – Co za różnica, jak te pieniądze zostaną wykorzystane?

– Oczywiście, że tak – poparła go żona. – Jesteśmy przecież rodziną.

Ale pan Walker odpowiedział, że pieniądze mają pozostać pod zarządem powierniczym do czasu, gdy Kitty skończy dwadzieścia jeden lat, to znaczy za trzy lata. Wcześniej mogą być wykorzystane tylko w jednym celu: na podróż lub studia Kitty.

– Podróż? Studia? – wydusił z trudem ojciec. – Co to ma znaczyć, u licha?

– Gloria chciała, żebym pojechała do Anglii – wyjaśniła Kitty. – Chciała, żebym została artystką.

Nawet w jej uszach brzmiało to nieprawdopodobnie. Ale taka była prawda. Gdy Kitty na tyle podrosła, by rozmawiać z babcią na równym poziomie, Gloria zaczęła jej opowiadać historie ze swojego życia w Anglii, gdy była młodą kobietą – o tym, jak odwiedzała muzea, galerie sztuki i poznawała artystów. Gdy Kitty zdobyła pierwszą nagrodę na wystawie rolniczej za rysunek konia, Gloria oznajmiła, że wnuczka ma talent artystyczny



i trzeba go rozwijać.

– Pewnego dnia pojedziesz do Anglii i zostaniesz artystką – powiedziała zdecydowanym głosem. – To miejsce jest dla ciebie za małe.

Kitty pławiła się w chwale, lecz nawet sobie nie wyobrażała, że pewnego dnia obietnica babci stanie się rzeczywistością. Gdy wspominała przeszłość, zrozumiała, że podczas wizyt na farmie Gloria zostawiała nęcące wskazówki o innym świecie, z dala od tego okrutnego, nędznego miejsca, które Millerowie nazywali domem. Kitty zawsze oddawała gościowi swój pokój, a po wyjeździe babki jeszcze przez wiele dni czuła zapach perfum – nie jakiś tam prosty zapach róży czy lilii, ale bogaty, mocny zapach stworzony w Paryżu. Czasami znajdowała też jedwabną bluzkę lub pończochy. I zawsze powieść. Nie była to klasyka, którą Kitty pożyczala czasami od jednej ze szkolnych nauczycielek, lecz nowe książki sprowadzane z zagranicy, takie jak *Przeminęło z wiatrem*, *Śniegi Kilimandżaro* i *Czuła jest noc*. To wszystko były historie z dalekich stron, opisujące ciekawe i wspaniałe życie. Nie przeszkadzało jej, że bohaterki bardzo często doświadczały zawodu miłosnego. Bardzo chętnie by się z nimi zamieniła. Gdy teraz przypominały jej się te książki, czuła zapach drewna i owczych odchodów. Czytała je bowiem w szopie postrzygaczy, żeby rodzice się nie dowiedzieli, zwłaszcza po wyjeździe babci. Matka Kitty twierdziła, że lubi wizyty Glorii, i była dla niej grzeczna i miła, potem jednak robiła się poirytowana i wybuchowa – bezwzględna dla chłopców i Kitty, a nawet opryskliwa dla męża. Nie był to dobry czas na przyłapanie z książką lub szkicownikiem.

Kitty zerknęła na drogę ponad ramieniem Jamesa. Przez ten czerwony pył i wyschnięty busz miała wrażenie, że znowu jest w Nowej Południowej Walii. Usiłowała wyobrazić sobie, jak teraz toczy się życie w Seven Gums. Przynajmniej wiedziała, że cała rodzina przetrwała wojnę. Udało jej się skontaktować z dawną

szkolną koleżanką za pośrednictwem szkoły w Wattle Creek. Życzliwy nauczyciel przesłał jej list i Myra na niego odpisała. Niezbyt dobrze znała rodzinę Millerów, ale zapewniła, że wszyscy żyją i są w dobrym zdrowiu. Farmerzy wykonywali ważną pracę, dlatego ojca nie powołano do wojska. Za to Jason wstąpił do marynarki i walczył na Pacyfiku, ale bezpiecznie wrócił do domu. Tima uznano za niezdolnego do służby z powodu choroby serca wywołanej gorączką reumatyczną. Pozostali chłopcy byli zbyt młodzi, żeby iść do wojska. Kitty omal nie rozplakała się z ulgi, czytając list. Napisała do Myry, błagając o więcej informacji, choćby drobny szczegół, ale nie dostała już odpowiedzi.

Przed wyjazdem z Anglii wysłała list do domu, informując, że przeprowadza się do Tanganiki. Zapewniła, że każdy list zaadresowany na „Pani Theodorowa Hamilton, Kongara, Tanganika, Afryka Wschodnia” do niej dotrze. Podejrzewała jednak, że tak jak i poprzednie ten również pozostanie bez odpowiedzi. Pewnie nawet nie otworzą koperty. Bezwstydnie postawiła siebie na pierwszym miejscu. Nie miał znaczenia fakt, że jak się okazało, zdołała urzeczywistnić marzenie babki. Postąpiła wbrew woli rodziny i nie oczekiwała, że zostanie jej to wybaczone.

\*

Kitty stała na werandzie z rękami opartymi o balustradę i patrzyła na Kongarę. Towarzyszył jej Theo. Wyszli z drinkami na zewnątrz popatrzeć na zachód słońca.

– To się tu nazywa wieczorny drink – wyjaśnił Theo, unosząc szklanę.

Kitty obserwowała, jak odchyła głowę i pije. Wydawał jej się taki bliski, a jednocześnie obcy. Gdy przyjechał na lunch spóźniony, z ciężką teczką, ich powitanie było uprzejme i lekko

niezdarne. Niedawno wrócił do domu i Kitty znowu wyczuła w nim pewną rezerwę. Miała dziwne wrażenie, jakby był gdzie indziej, nie z nią, jakby ich serca nie łączyły się z ciałami. Byli razem, ale jakby osobno. Ale przecież dopiero co przyjechała. Musieli się do siebie przyzwyczaić, przystosować do życia w Afryce. Po jakimś czasie zaaklimatyzują się i odprężą.

Czerwona kula zbliżyła się do linii horyzontu i zaczęła szybko opadać. Nagle widok się zmienił. Brzydka surowość obozowiska zlała się z krajobrazem. Rozległa blizna plantacji złagodniała i zmieniła się w równinę o różowym odcieniu. Potem słońce zniknęło i zapadła aksamitna ciemność. Kongara zmieniła się w morze migoczących świateł, kuszące i tajemnicze. Na plantacjach też pojawiły się światła.

– To kwatery robotników i wykonawców – wyjaśnił Theo, gdy spytała, co jest na równinach. – Mają tam wszystko: sklepy, bary, korty tenisowe. Nie muszą jeździć do Londoni. Mają nawet klub z basenem i kościół katolicki. – Pokręcił z podziwem głową. – To ogromne przedsięwzięcie. Plantacje to tylko jego część. Musimy zapewnić ludziom wszystko, czego potrzebują.

– Skala tego wszystkiego jest zadziwiająca – przyznała Kitty.

– I mamy też wielkie zadanie do wykonania, jeśli chodzi o miejscowych, Wagogo. To nazwa plemienia, wyobrażasz sobie? Jeden tubylec nazywa się Mgogo. – Uśmiechnął się, zadowolony ze swojej wiedzy. – Chodzi o to, że przenosimy ich z epoki kamienia w dwudziesty wiek. Musimy, jeśli chcemy zmienić sposób, w jaki użytkują ziemię.

– Wygląda raczej na jałową – stwierdziła Kitty ostrożnie. – Bardziej nadaje się na pastwiska dla owiec niż na plantacje.

Theo zbył jej uwagę machnięciem papierosa.

– Nowoczesny sprzęt i metody mogą wszystko zmienić. Ale nie ma sensu się rozdrabniać. Próbowali tego na Jamajce. Jeżeli mamy dostarczyć margarynę europejskim gospodyniom – mówimy o długofalowym działaniu, o dekadach, nie latach –

potrzebna jest rewolucja rolna. – Mówił śmiało w ciemność. – I taki jest cel projektu orzeszkowego.

– Wszystkie orzeszki ziemne zostaną wyeksportowane do Europy? – spytała. Pamiętała przemowę Billy’ego, inżyniera z pułku Middlesex, o wojnie z głodem. Przecież tu też potrzebny jest olej roślinny.

– Tak, wszystko idzie na eksport – przyznał Theo. – Ale projekt oferuje Afrykanom mnóstwo możliwości: choćby pracę. – Odwrócił się do Kitty. W eleganckim garniturze, ogolony, uosabiał cywilizowanego Anglika. – Pewnego dnia to wszystko odziedziczą. Gdy będą gotowi, Anglia odda Tanganikę w ręce Afrykanów. Nad tym właśnie dla nich pracujemy. Nad niepodległością.

Kitty popatrzyła na niego zaskoczona.

– Australia też przestanie być kolonią?

Theo wybuchnął śmiechem.

– Oczywiście, że nie. To nie to samo. Tu są czarni.

– Wszyscy są czarni? – Wiedziała, że zadaje pytania jak uczennica, a Theo jest jej nauczycielem, ale nie mogła powstrzymać ciekawości.

– Mnóstwo Hindusów mieszka tu od pokoleń i uważają się za miejscowych. Jest też trochę Europejczyków: Niemcy, którzy żyją tu od czasu, gdy te tereny były pod ich panowaniem, a także Grecy i Włosi. Są nawet Anglicy, którzy tu się urodzili i wychowali. To dziwni ludzie.

Kitty przypomniała sobie mężczyznę, którego widziała na drodze w śmiesznym, częściowo drewnianym pojeździe, z małą siedzącą na masce. Opowiedziała o nim Theo.

– Taylor! – prychnął.

– Kim on jest?

– Persona non grata, delikatnie mówiąc. Miejscowy krytykant. Napisał raport oceniający projekt. Jest kimś w rodzaju tutejszego farmera. Zakwestionował wykonalność projektu, ale okazało się,

że po prostu broni swoich interesów. Oczywiście musiał to wszystko odwołać. – Theo pokręcił głową. – Wstrętny typ.

Kitty wyczuła emanujące z niego napięcie. W głosie też to było słychać. Pożałowała, że w ogóle wspomniała o tym Taylorze.

– Nie martw się – ciągnął Theo. – Nie będziesz musiała się z nim spotykać, bo ma zakaz wstępu do klubu. Gdybyśmy mogli, zabronilibyśmy mu wstępu na cały ten teren.

Kitty położyła mu rękę na ramieniu.

– Spójrz na te światła. Dzięki nim Kongara wygląda jak kraina czarów.

Theo wolno wypuścił powietrze z płuc. Twarz mu złagodniała.

– To prawda. – Odwrócił się w stronę domu. – Jestem głodny. Co dzisiaj mamy?

Kitty zobaczyła przez okno, jak Eustace stawia na stole półmiski Cynthii. Z wołowiną na zimno, warzywami i sałatką ziemniaczaną. Uśmiechnęła się cierpko.

– Pewnie wtorek.

---

2 Książki poświęcone taktyce morskiej i armii brytyjskiej.

## Rozdział czwarty

Kitty obejrzała się przez ramię, zmierzając na koniec ogrodu i mijając po drodze grządki warzywne. Eustace i Gabriel byli na szczęście zajęci w spiżarni. Znalazła ich tam po śniadaniu, przykucniętych nad pojemnikami z suchą żywnością. Najwidoczniej robili miesięczny inwentarz zapasów, zgodnie z jakąś skomplikowaną procedurą opracowaną przez Cynthię. Już od dwóch tygodni Kitty była ich nową panią, a oni prowadzili dom, jakby zarządzała nim poprzednia *memsahib*. Za to ogrodnik z radością słuchał instrukcji Kitty. Ale pracował tak nieudolnie, że nie widać było rezultatów. On też zniknął z pola widzenia, bo przycinał rosnące przed domem krzewy bugenwilli.

Tylną granicę ogrodu tworzyły wysokie, pozbawione liści gruboszowate krzewy, które ogrodnik nazywał *manyara*. Służyły one za ogrodzenie w całej Kongarze. Wyznaczały granice parkingów, dróg, ogrodów, a nawet małych pól, zwanych w języku suahili *shamba*. Kitty przeszła wzdłuż żywopłotu, szukając jakiejś przerwy, przez którą mogłaby się przepchnąć. Torując sobie drogę między krzewami, złamała gałązkę. Z pęknięcia wyciekł biały sok. Kitty odsunęła się, pomna ostrzeżenia, że jeżeli mleczny płyn dostanie się do oczu, może spowodować ślepotę.

Starannie obejrzała bluzkę. Dostała ją od Janet. Gdy tylko Theo wyjechał rano do pracy, zdjęła bawełnianą sukienkę, którą włożyła do śniadania, przebrała się w strój safari i wciągnęła buty do konnej jazdy, przywiezione jeszcze z Australii. Miała wyrzuty sumienia, że oszukuje Theo, ale tak było łatwiej, niż tłumaczyć

mu, że nie chce dziś jechać do klubu, na kort tenisowy lub na zakupy. Miała dość słuchania rozmów o kremach do twarzy chroniących przed słońcem albo o plastrach, które przykleja się między brwiami, żeby nie marszczyć czoła. Męczyło ją nieobliczalne zachowanie Diany, na które musiała reagować lub dyskretnie je ignorować. Chciała po prostu być sama.

Po drugiej stronie żywopłotu znajdował się pas ziemi będący pozostałością po polu kukurydzy. Znalazła też na nim gliniane skorupy rozbitego naczynia i pień drzewa z odrąbanymi mniejszymi gałązkami. Dostrzegła ścieżkę prowadzącą na szczyt wzgórza i ruszyła nią, ustalając swoje położenie. Wiedziała, że gdy wchodzi się na nieznany teren, trzeba zaplanować drogę powrotną. Wychowała się na opowieściach o dzieciach, które zgubiły się w buszu i nigdy ich nie odnaleziono. Janet zapewniła ją, że lwy, słonie, nosorożce, a nawet bawoły nie atakują ludzi, chyba że się je zaskoczy lub sprowokuje. Bardziej niebezpieczne są węże. Idąc wśród gęstych kęp trawy, cały czas patrzyła pod nogi. Zatrzymała się i uniosła wzrok dopiero, gdy weszła na szczyt góry.

Wciągnęła gwałtownie powietrze na widok piękna roztaczającego się przed nią. Jak okiem sięgnąć szeroka równina biegnąca do podnóża wzgórz. Szerokie partie nagiej czerwonopomarańczowej ziemi były poprzetykane zagonami buszu, kępami złocistej trawy i wielkimi baobabami o szerokich, żłobkowanych pniach i dziwnych poskręcanych gałęziach bez liści. Rosły samotnie jeden daleko od drugiego, jakby emanująca z nich siła nie pozwalała im się do siebie zbliżyć. Kitty spojrzała ponad szczyty wzgórz i zobaczyła jasnozielony dywan poprzetykany głazami w kolorze ochry. Za nimi wznosiły się góry o stromych, skalistych szczytach. A wyżej bezchmurny błękit nieba.

Był to krajobraz jakby stworzony dla malarza. Niebo miało barwę ultramaryny. *Terre verte*, „zielona ziemia” po francusku,

czyli zielonoszara farba doskonale nadawałaby się na liście, których pastelowe barwy przypominały Kitty eukaliptusy i akacje Nowej Południowej Walii. Cienie na żłobkowanych pniach były ciemnofioletowe. (Nie czarne oczywiście. Nie było czegoś takiego jak czerni). Aby otrzymać taki kolor, trzeba użyć błękitu takiego jak niebo i dodać odrobinę czerwonego – czerwieni alizarynowej. Nawet nazwa tej farby była egzotyczna. Otrzymywano ją z korzeni marzany barwierskiej już w starożytności. Kawałek tkaniny ufarbowanej w marzanie znaleziono w grobie Tutanchamona. Tej samej farby użyto do barwienia słynnych kurtek żołnierzy angielskich z osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Yuri ją tego nauczył.

– Musisz rozumieć farby – powiedział. – Z czego są zrobione i do czego służą. Artysta musi znać ich historię.

Kitty pokręciła głową, odpędzając wspomnienie. Wiedziała, że nie powinna myśleć o Yurim ani o swoim artystycznym życiu. Taką zawarła umowę z Theo i z sobą. O pewnych fragmentach przeszłości nie należy rozmawiać, a nawet ich pamiętać.

Podeszła do dużego otoczaka. Był płaski na górze, jakby wyrzeźbiony na miejsce do siedzenia. Usiadła na nim, oparła łokcie na kolanach, a brodę na dłoniach. Gdy jej wzrok wędrował po równinach, poczuła, że myśli znowu wyrywają się spod kontroli. W domu łatwiej utrzymywała je w ryzach. A jeżeli uciekały, nie było trudno nad nimi zapanować, bo czuła obecność Theo, który pilnował jej, chociaż był w pracy. Tutaj jednak stało się inaczej. Przy tak rozległej i otwartej przestrzeni nie miała gdzie się ukryć. Poczula się mała w otoczeniu potężnych gór, masywnych drzew, pod bezkresnym nieboskłonem. Pozostawało bez znaczenia to, kim jest i co zrobiła. Nie było sensu ani możliwości stawiać tamy myślom i oddzielać teraźniejszość od przeszłości.

Siedząc na kamiennym stołku, wypuściła na wolność wspomnienia, które tylko na to czekały. Ożyły jej przed oczyma



i zabrały w podróż do przeszłości. Do czasów przedwojennych, gdy jeszcze nie знаła Theo. Była młodą Australijką i niedawno przyjechała do Anglii, by rozpocząć jedną z największych przygód swego życia...

\*

Na schodach Muzeum Brytyjskiego gołąb dziobał rozsypane ziarenka. Kilka z nich leżało tuż przy stopie Kitty. Ptak śmiało zbliżył się do niej i stuknął dziobem w kamienny stopień. Było południe, czyste niebo, lecz promienie słońca połyskujące na jedwabistych piórkach gołębia nie dawały ciepła. Kitty oparła się o jedną z masywnych kolumn zdobiących fasadę budynku. Chłód przenikał przez palto i podeszwy pantofli, lecz nie zwracała na to uwagi. Głowę miała pełną obrazów i wrażeń. Właśnie wyszła z muzeum i wciąż brzmiała jej w uszach panująca wewnątrz cisza. Nie mogła się już doczekać, kiedy obejrzy kolejne galerie sztuki.

Z początku zaskoczyła ją wielkość płócien w ozdobnych złotych ramach. Potem kolory – takie bogate i intensywne w porównaniu z fotografiami arcydzieł, które widziała w jednej z księżek Glorii. Ale jej uwagę zwróciła przede wszystkim faktura obrazów. Przysuwała się tak blisko płócien, jak tylko mogła, ściągając na siebie podejrzliwe spojrzenia strażnika stojącego w rogu. Widziała wtedy, że na obraz składały się tysiące pociągnięć pędzlem, kiedy jednak odsuwała się, wszystko łączyło się w całość. To było jak cud.

Gołąb zeskoczył niżej i znowu się zatrzymał. Stała tam młoda panna o rudych włosach, w towarzystwie dwóch panów. Kitty widziała ich w muzeum. Również przyglądali się z uwagą obrazom, pokazując różne miejsca na płótnie. Dziewczyna wyjęła nawet notes i zapisała coś w nim. Kitty obserwowała ich

kątem oka, stojąc nieruchomo, jakby byli rzadkimi okazami dzikiej fauny, które można łatwo spłoszyć. Patrzyła, jak są ubrani, jak się zachowują. Rudowłosa ubrana była w obszerny płaszcz, który równie dobrze mogła pożyczyć od dziadka. Przy szyi i na rękawie widniały czerwone plamy. Włosy miała zebrane w luźny kok na czubku głowy. Kilka pasemek wymknęło się jednak spod upięcia. Panowie byli w tweedowych marynarkach z łątami na łokciach i koszulach z miękkimi kołnierzykami. Jeden miał szalik w tureckie wzory zakończony frędzlami. Zachowywali się swobodnie, rozmawiali cicho, ale bez skrepowania, nie przejmując się groźnymi minami strażnika.

Stojąc na stopniach muzeum, czuli się jeszcze swobodniej. Rozmawiali i śmiali się, mężczyźni palili papierosy. Nagle dziewczyna spoważniała i zaczęła coś mówić, gestykułując dla podkreślenia swoich słów. Panowie kiwali z zapalem głowami.

Kitty obserwowała ich wzajemny stosunek, nie mogąc słyszeć słów, ale wyczuwając zainteresowanie, jakie sobie okazywali. Poczła zazdrość wywołaną dojmującym uczuciem samotności.

Minęły dwa tygodnie, odkąd wyprowadziła się z domu Harrisów. Byli dalekimi krewnymi pana Walkera, adwokata babci. Gdy dowiedział się, że rodzice Kitty, którzy przestali utrudniać córce załatwianie paszportu, dali jasno do zrozumienia, że pojedzie za granicę sama, bez żadnego wsparcia rodziny, przyjął rolę doradcy. Powiedział Kitty, gdzie może zatrzymać się w Sydney i przygotować do wyjazdu, i pomógł jej zarezerwować miejsce na statku. Przyszedł nawet na nabrzeże, by ją pożegnać, odpowiadając uśmiechem na radosne podniecenie młodej dziewczyny wywołane kabiną w klasie turystycznej, która miała zastąpić jej dom podczas sześciotygodniowego rejsu.

Załatwił też z Harrisami, żeby po przyjeździe do Londynu mogła się u nich zatrzymać tak długo, jak będzie trzeba. Byli uprzejmi i mili i wydawali się szczęśliwi, mogąc gościć u siebie

Kitty. Ale w domu panowała cicha atmosfera. Pan Harris spędzał czas głównie w klubie, pani Harris odpoczywała przez cały dzień, a wieczorami słuchała radia. Kitty zwiedziła kilka miejsc – wybrała się do Tower, na Piccadilly Circus i obejrzeć Big Bena. Poza tym długie godziny spędzała w swoim pokoju, rysując – ułożony w fałdy szal, przywiedły kwiat – i czytając książki pożyczone od pani Harris. Samotność, za którą tęskniła, mieszkając z czterema hałaśliwymi braćmi, przestała być luksusem. Pokój w suterenie miał zakratowane okno. Gdy przy nim siadała, obserwując paradę stóp – pantofli i butów do kostek, lekkich i solidnych, starych i nowych – czuła się jak w celi. Przeglądając rysunki i obrazki namalowane w czasie podróży – chaotyczne impresje portu w Bombaju, baśniowe akwarele przedstawiające zachody słońca na oceanie – czuła się jeszcze gorzej.

Gdy uznała, że dłużej tego nie wytrzyma, postanowiła odejść. Podziękowała państwu Harrisom za gościnę i podarowała im rysunek domu. Szkicowała go w parku naprzeciwko, opierając blok o ogrodzenie z kutego żelaza. Posługując się techniką cieniowania, by wydobyć kontrast, sprawiła, że dom wyglądał efektownie na tle sąsiednich. Gospodarze byli zaskoczeni i uradowani. Nie potrafiła powiedzieć, czy jej odejście ucieszyło ich czy przeraziło. Życzyli jej wszystkiego dobrego, gdy wsiadała do taksówki, nie mając pojęcia, dokąd jechać.

Gdy taksówka dotarła do centrum Londynu, Kitty pochyliła się w przód na widok sławnego hotelu Savoy. Okazała fasada robiła wrażenie. Poczowała dreszcz ekscytacji, który przebiegł wzdłuż kręgosłupa i sprawił, że krew zaczęła jej szybciej krążyć w żyłach. Drzwi taksówki otworzył mężczyzna w eleganckim uniformie. Stała na podjeździe i nagle ogarnęła ją panika. Przyjazd tu był szaleństwem, ekstrawagancją. Czuła się jak młoda kobieta z powieści Francisa Scotta Fitzgeralda – Berenika, Honoria, Josephine – czy nawet żona pisarza Zelta. One wszystkie

mieszkały w takich jak to miejscach. Ale Kitty nie dlatego je wybrała. Savoy był ulubionym hotelem Glorii. Na pewno zaaprobowałyby jej decyzję.

Z portierem niosącym jej odrapaną, starą walizkę ruszyła przed siebie z wysoko uniesioną głową, naśladowując pewną siebie postawę Glorii. Starsza pani zawsze się prostowała, gdy miała gdzieś wejść, czy to do szopy postrzygacza, kościoła czy sklepu. Kitty podejrzewała, że portierzy w eleganckich cylindrach na głowach wiedzieli, że jest intruzem, ale zachowywali się z nienaganną uprzejmością. Gdy wprowadzono ją do pokoju – mimo że najtańszego z możliwych – oniemiała.

– Czy coś się stało, madame? – spytał boy hotelowy.

Pokręciła przecząco głową, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

Spędziła w hotelu tydzień, jedząc lunch i kolację w jadalni, a śniadanie w pokoju. W foyer gawędziła z gośćmi, którzy przyjaźnie się do niej odnosili. Ich pytania o Australię uważała za zabawne i jednocześnie krępujące. Czy miała w domu koalę? Czy umie gwizdać na liściu eukaliptusa? Czy widziała Aborygena? Nad tym ostatnim musiała się zastanowić. Pewnie nie wyobrażali sobie kogoś takiego jak Gunja, wędrowny pracownik, który pojawiał się w Sevens Gums, gdy mu to pasowało. Miał czarną skórę i burzę włosów jak Aborygeni w książkach z obrazkami, ale ubierał się jak wszyscy i nosił strzelbę zamiast dzidy. Ograniczyła się do ogólnikowych informacji o bumerangach oraz pieśniach i tańcach *korobori*, mając nadzieję, że nie będą domagać się szczegółów.

Rankami i popołudniami spacerowała po okolicznych ulicach. Interesowało ją wszystko, luksusowe sklepy i dwukółki, damy ubrane w furta i klejnoty oraz bezpańskie kocięta. Do Muzeum Brytyjskiego było zaledwie kilka minut. Czasami przychodziła jedynie po to, żeby popatrzeć na budynek. Wyglądał jak wielka rzymska świątynia z rzędem kanelowanych kolumn, zwieńczonych fryzem wypełnionym antycznymi postaciami

w długich szatach. Czowała, że istnieje związek między tą ikoną Londynu a złotym posągiem rzymskiego żołnierza stojącym przed wejściem do Savoyu. Chodząc między tymi dwoma budynkami, miała wrażenie, jakby przynależała do tego miejsca, jakby to był jej własny kawałek Londynu.

Gdy uregulowała rachunek, fundusze na bankowym koncie, który otworzył dla niej pan Harris, zmniejszyły się alarmująco. Wzięła walizkę i wyszła z hotelu, mijając odźwiernych i kręcąc przecząco głową na czekających taksówkarzy. Skierowała się do miejsca, które znalazła podczas jednej z wypraw do muzeum. W oknie przybrudzonej sadzą kamienicy widniała ręcznie wypisana informacja: „Pokoje do wynajęcia. Tanio”.

Teraz dopiero poczuła się naprawdę samotna. Właścicielka pojawiała się tylko po to, żeby pobrać opłatę, sąsiadów widywała rzadko. Jeden z nich pracował nocami, a dni przesypiał. Musiała się więc zadowolić dziwnymi uśmiechami lub krótką wymianą zdań z przelotnie poznanymi ludźmi – przy podawaniu palta w szatni w muzeum lub przy płaceniu za zakupy w małej piekarni. Pytała siebie, czego właściwie spodziewała się, wyruszając samotnie w podróż. Przecież wiedziała, że będzie sama. Sęk w tym, że wyobrażała sobie, że będzie poznawać Londyn tak jak Gloria – uczestnicząc w licznych przyjęciach i spotkaniach, poznając artystów i pisarzy, zawierając przyjaźnie, a może nawet znajdując miłość. Ale Gloria była wyrefinowaną, wykształconą kobietą, która wiedziała, jak nawiązywać znajomości. Ona zaś była prostą dziewczyną z buszu. Nawet gdy ubierała się w stroje odziedziczone po babce – jak kremowa jedwabna bluzka czy dopasowana sukienka i żakiet, które zdaniem Glorii będą wiecznie modne – nie czuła się w nich dobrze. A gdy wkładała szyte w domu sukienki i bluzki lub zrobiony na drutach sweter, który dostała od pani Harris, miała wrażenie, że wygląda niemodnie i nieciekawie.

Ponownie zerknęła w stronę, gdzie stała rudowłosa

dziewczyna, rozmawiając z dwoma mężczyznami. W tym za dużym palcie, w którym ktoś inny wyglądałby jak włóczęga, ona prezentowała się czarująco. Może ze stylem trzeba się urodzić, pomyślała Kitty, albo miało to związek z miejscem narodzin. Skoro tak, to nie miała nadziei na to, że zrobi na kimś wrażenie.

W pewnym momencie dziewczyna odsunęła ciężki rękaw i popatrzyła na zegarek. Panowie zgasili papierosy i rozgnietli niedopałki obcasami. Potem cała trójka zeszła po schodach w stronę ulicy.

Kitty niemal czuła, że emanująca z nich ciepła aura przyjaźni zginie, gdy się oddalą. Po krótkim wahaniu ruszyła ich śladem. Nie zamierzała nic mówić, chciała jedynie dłużej na nich popatrzeć. Gdyby poszli do kawiarni, mogłaby też tam wejść. A potem pozwoliłaby im odejść. Nie była gotowa, by wrócić do małego, zimnego pokoju, w którym zasłony, łóżko, pewnie i tapeta przesyczone były zapachem papierosów, pieczonych kiełbasek i pleśni.

Szła tuż za kobietą, wpatrując się w jej krwistoczerwone buty. Były jednocześnie przepiękne w formie i praktyczne, i w przeciwieństwie do palta – nowe.

Wkrótce cała trójka skręciła na betonowy chodnik, przecinający trawnik. Dołączyli do nich inni młodzi ludzie, idący grupami, w parach lub pojedynczo. Przed nimi wznosił się duży, kamienny budynek z wielkimi filarami i okrągłym portykiem. Kitty przypuszczała, że to jakieś muzeum.

Nie spuszczać wzroku z butów rudowłosej, weszła za nią po schodach, a potem przez wysokie, szerokie drzwi do środka. W dużym hallu się zawahała. To miejsce nie wyglądało na muzeum. Ludzie chodzili tu zbyt szybko, rozmawiali i śmiali się zbyt głośno. I mieli przy sobie zbyt dużo toreb i książek. Stało tu kilka wyglądających na starożytnie marmurowych rzeźb – nagich mężczyzn i kobiet. Ale pokrywała je warstwa kurzu. A stojąca we wnętrzu przy drzwiach postać mężczyzny o pięknych kształtach

miała zawiązany w talii szalik w kratkę. Zobaczyła, że trójka przyjaciół znika w korytarzu. Przy biurku stał mężczyzna w uniformie. Kitty udała, że ogląda jedną z rzeźb, zastanawiając się, co zrobić. Na ścianie obok niej wisiała szklana gablota z anonsami. Przebiegła je wzrokiem, wychwytyując słowa takie jak „Memorandum do wszystkich studentów” i „Ogłoszenie”. Było jedno sformułowanie, które stale się powtarzało, zarówno w nagłówkach, jak i małą czcionką. Wpatrywała się w nie jak zaczarowana.

„Szkoła Sztuk Pięknych Slade’a”.

Po krótkim wahaniu odwróciła się na pięcie i pomaszzerowała korytarzem, udając, że wie, dokąd zmierza.

Po trójce przyjaciół, za którymi tu przyszła, nie było śladu. Jej kroki odbijały się echem od gołej podłogi. Po obu stronach korytarza stały rzędy szafek z namalowanymi na nich numerami. Kitty domyśliła się, że każda należy do jednego studenta. Takie szafki musiały być też na innych korytarzach, ponieważ liczby dochodziły do trzystu. Zauważyła też kolejne białoszare rzeźby. W powietrzu unosił się nikły, nieuchwytny zapach przypominający igły sosnowe.

Zwolniła na widok lekko uchylonych drzwi. Podeszła do nich na palcach i zajrzała do środka. Zobaczyła kilkanaście osób – głównie mężczyzn, ale i kilka kobiet – które zajęte były malowaniem. Stojące w kręgu sztalugi otaczały podium z krzesłem i siedzącą na nim nagą kobietą. Wpatrywała się przed siebie niewidzącym wzrokiem, podczas gdy studenci taksowali jej ciało. Miała ciężkie piersi z brodawkami w kolorze przydymionego różu. Kitty się cofnęła. Przed oczyma pozostał jej obraz ciemnego trójkąta włosów łonowych. Wiedziała, że artyści malują z natury – dzisiaj widziała olejny obraz malarza w pracowni i pozującej mu nagiej kobiety. Mimo to była zszokowana.

Ostrożnie podeszła do drzwi i omijając wzrokiem modelkę,

przyjrzała się studentom. Ubrani w luźne fartuchy gęsto pochłapane farbami, trzymali w jednym ręku paletę, a w drugim pędzel. Na płótnach widać było obrazy w trakcie tworzenia. Nawet jej niedoświadczone oko dostrzegło, że prace różnią się poziomem wykonania. Na jednych widać było niezdarne kształty, ciężkie i kluskowate, na innych nieśmiałe i anemiczne linie. Żadna jednak nie oddawała miękkości skóry, widocznych pod nią mięśni i z głębi płynącej siły kości. Kitty otuliła się ramionami, jakby chciała zatrzymać w nich sekretną radość. Jakże wielkim zadaniem byłoby nauczyć się, jak to uzyskać, ale jakże wspaniałym.

Siwowłosa mężczyzna o słusznej postawie przechadzał się między sztalugami studentów. Nawet na pierwszy rzut oka robił imponujące wrażenie. W sposobie, w jaki chodził, wyczuwało się autorytet i mimo że musiał już skończyć sześćdziesiąt lat, nadal był przystojny. Kitty zauważyła, że studenci sztywnieją, gdy do nich podchodził, odsuwają się od sztalug i spoglądają mu w oczy. Jak chłoną jego słowa. Kobieta w średnim wieku walczyła z rozpaczą i upokorzeniem. Młody mężczyzna uśmiechał się z radością.

Kitty obserwowała studentów, zastanawiając się, kim są i jak im się udało trafić do takiej szkoły. Pomyślała o rudowłosej kobiecie o swobodnych manierach i ekstrawaganckich butach. Poczła przyływ zazdrości. Ci ludzie mieli wszystko – farby, płótna, sztalugi, modelkę, nauczyciela. Mieli gdzie pracować i czas na to.

Otworzyła szerzej drzwi, żeby zobaczyć więcej. Głośno zaskrzypiały zawiasy. Nauczyciel się odwrócił. Kitty zamarła, gdy ich oczy się spotkały. On też znieruchomiał na chwilę, po czym zrobił krok w jej stronę. Kitty cofnęła się gwałtownie i odeszła korytarzem, walcząc z narastającą paniką. Przecież nic złego nie zrobiła. Jednak przyspieszyła kroku, gdy usłyszała skrzypienie drzwi i kroki.



– Proszę zaczekać.

Zatrzymała się niechętnie. Nie chciała, żeby wyprowadzono ją do hallu i postawiono przed strażnikiem.

Odwróciła się twarzą do nauczyciela. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Mężczyzna miał na sobie jedwabną, rozchyloną pod szyją koszulę i brązowy szalik. Rzednące na skroniach włosy okalały policzki i wiły się wokół uszu. Wyglądał jak postać z przeszłości, postać z dramatu. Gdy uniósł rękę i potarł twarz, Kitty dostrzegła pierścionek z turkusem – pierwszy, jaki widziała u mężczyzny. Budził w niej odrazę i jednocześnie intrygował.

– Proszę nie uciekać – powiedział. Zabrzmiało to raczej jak rozkaz niż prośba. – Chcę z panią porozmawiać. – Mówił z wyraźnym obcym akcentem.

Kitty przyglądała mu się w milczeniu, a on mierzył ją uważnym spojrzeniem. Miał jasnoniebieskie oczy, których nie dotknął upływ czasu i lekko uniesione w zaskoczeniu brwi. Kitty zastanawiała się, czy nie pomylił jej z kimś, kogo znał.

– Czy jest pani tutaj studentką? Nie widziałem pani wcześniej.

– Nie, przykro mi. Ja tylko przyszłam popatrzeć.

Mężczyzna wyciągnął rękę – szczupłą, o długich palcach, ze śladami farby pod paznokciami.

– Jestem księżę Fyodor Yurievitch. Wszyscy nazywają mnie Yuri.

Kitty ujęła jego dłoń, zastanawiając się, czy dobrze go zrozumiała. Jego nazwisko musiało być rosyjskie, tak jak te z *Anny Kareniny*, którą kiedyś czytała. Zgadzało się z jego akcentem. Ale dlaczego księżę miałby uczyć w londyńskiej szkole sztuk pięknych? Pomyślała, że pewnie ją oszukuje. Jednak z drugiej strony miał w sobie coś z księcia. Studenci odnosili się do niego z szacunkiem. Miał silną osobowość, która sprawiała, że wszyscy przy nim wyglądali na bladych i niskich.

– Mam na imię Kitty.

– Kit-ty – powtórzył wolno, dzieląc jej imię na dwie sylaby. – Kitty – powtórzył. – Chcę cię namalować.

Popatrzyła na niego zszokowana. Przed oczyma stanęła jej naga kobieta z pracowni siedząca na krześle.

– Oczywiście w ubraniu – dodał pośpiesznie. – Powinienem od razu to wyjaśnić. Tylko twoją twarz, szyję, ramiona. Nic więcej.

Kitty pokręciła głową.

– Nie mogłabym.

– Nie tutaj. Przyjdź do mojego domu. Jest niedaleko Londynu. Przyślę samochód. Jeśli chcesz, możesz zabrać kogoś ze sobą.

Zaśmiała się z niedowierzaniem i popatrzyła na niego z uwagą. Mówił poważnie.

– Przecież ja pana nie znam.

– Cały Londyn mnie zna – odparł raczej z niecierpliwością niż z dumą w głosie. – Możesz zobaczyć moje obrazy w Muzeum Brytyjskim. W pałacu Buckingham. – Zrobił ręką szeroki łuk. – Jestem zasłużonym emerytowanym profesorem w Slade. – Wskazał ręką w stronę pracowni. – Ludzie błagają mnie, żeby mi pozować.

Ponownie pokręciła głową.

Yuri podszedł i przyjrzał się jej pod różnymi kątami. Nagle przystanął, jakby coś przyszło mu do głowy.

– Jesteś artystką, Kitty?

– Nie – odparła stanowczym tonem. Zaraz jednak przypomniała sobie stosy szkicowników wypełnionych rysunkami. I tuziny obrazów, które zdjęła ze ścian swojego pokoju przed wyjazdem. Zaprzeczając, obrażała godziny, które nad nimi spędziła, pracując w tajemnicy w szopie postrzygacza. Wiadra łez, plamiące kontury wyrysowane ołówkiem, brudne ślady zostawione przez gumkę, dziury w tanim papierze. Spojrzała mężczyźnie w oczy. – Trochę.

Twarz mu się rozjaśniła.

– Coś ci zaproponuję. Pozuj mi, a ja będę cię uczył.

Kitty otworzyła usta ze zdziwienia. Wyobraziła sobie siebie w fartuchu z paletą w ręku. Jak wyciska farbę i miesza kolory. W pracowni widziała, jak jeden ze studentów trzyma pędzel przed oczyma. Wyglądał, jakby mierzył modelkę. Mogłaby się tak wiele nauczyć. Zalała ją fala tęsknoty. Kiedy jednak pomyślała o prośbie tego mężczyzny, górę wzięła rzeczywistość. Chciał, żeby przyjechała do niego do domu pod Londynem. Byliby tam sami, bo nie miałyby z kim przyjechać. Jaka dziewczyna mogłaby choćby pomyśleć o takiej propozycji?

– Przykro mi – odpowiedziała. – To niemożliwe.

Pokręcił głową, jakby nie chciał o tym słyszeć.

– Proszę. Ja muszę.

Splótł dłonie tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie.

Kitty popatrzyła na niego zakłopotana. W jego głosie brzmiała rozpacz. Spojrzała w stronę pracowni. Przecież miał tam tyle osób, które mógłby malować. Mógł wybrać modelkę lub studenta ze szkoły. Niemożliwe, żeby wiejska dziewczyna z Australii, wynajmująca tani pokój i jedząca placki i tłuczone ziemniaki na podwieczorek, miała mu coś do zaoferowania.

– Dlaczego ja?

– Dlaczego ty? – Yuri milczał przez chwilę, przykrywając w zamyśleniu usta dłonią. Jakby zastanawiał się nad właściwym dobozem słów. – Bo... idealnie pasujesz do portretu, który chcę namalować.

– Ale dlaczego?

– Bo wyglądasz jak rosyjska dziewczyna.

Kitty zmarszczyła brwi zaskoczona. Nie miała pojęcia, jak może wyglądać rosyjska dziewczyna.

– Ale ja jestem Australijką – zaprotestowała.

– Unieś brodę i odwróć głowę w lewo – polecił.

Kitty posłusznie spełniła polecenie.

– Tak. Jesteś do niej bardzo podobna. – Wyglądał na

zadowolonego, lecz w jego oczach dostrzegła dziwny wyraz – smutku, a może żalu.

Kitty cofnęła się i popatrzyła na niego z niepokojem.

– Do kogo jestem podobna?

– Do nikogo konkretnego – odpowiedział pospiesznie. – Łatwo byłoby znaleźć rosyjską dziewczynę. Ale ja chcę kogoś, kto wygląda jak uosobienie rosyjskiej dziewczyny. – W jego oczach zapłonął ogień. – Chcę ciebie.

\*

Od strony pobliskich krzaków dobiegł szelest, który przywrócił Kitty do rzeczywistości. Rozejrzała się czujnie wokół siebie. Przecież nie zachowywała się głośno ani nie robiła żadnych gwałtownych ruchów, które mogłyby wystraszyć jakieś zwierzę. Po kilku minutach uspokoiła się, bo wokół znowu zapanowała cisza. Powróciła do kontemplowania widoku. Obserwowała, jak ptak przypominający przerośniętą wronę z białym krawatem na piersi zniżył lot i usiadł na jednym z baobabów. Jego czarna surowa sylwetka przypominała kształtem karłowate gałęzie drzewa, nieproporcjonalnie małe w stosunku do szerokiego pnia. Wyglądały raczej jak korzenie niż konary, jakby drzewo zostało zasadzone do góry nogami.

Za plecami usłyszała trzask łamanej gałązki. Odwróciła się gwałtownie. Liście krzewu poruszały się jakby pod wpływem wiatru, ale wokół panował bezruch. Omiotła wzrokiem okolicę. Między dwoma wysokimi krzakami dostrzegła fragment materiału w kolorze ochry, ciemną głowę i ramię. Błysnęły białka oczu. Po chwili zobaczyła postać mężczyzny z włócznią w rękę, stojącego tak nieruchomo, że niemal zlewał się z otoczeniem. Obok niego dostrzegła starą kobietę pochyloną niczym targane wiatrem drzewo. Trochę dalej stało dziecko.

Kitty podniosła się wolno z kamienia. Była tak zatopiona w myślach, że nie usłyszała, jak podeszli. Młody mężczyzna zrobił krok w przód. Potem, jakby na dany przez niego sygnał, krzewy poruszyły się i wyszli z nich mężczyźni, kobiety i dzieci, młode i starsze, a nawet dwa psy. Cała grupa otoczyła Kitty. Nagle poczuła się bardzo daleko od ogrodu. Uświadomiła sobie, że nikt nie wie, gdzie ona jest. Nerwowo przełknęła ślinę.

– *Hamjambo* – powiedziała. – Jak się macie?

Twarze przybyszów rozjaśniły uśmiechy. Powitanie zostało powtórzone, obiegło tłum, który je zaakceptował.

– *Hatujambo, mama* – odpowiedziała stara kobieta.

– *Shikamu* – pozdrowiła ją Kitty. Tego słowa należało użyć, gdy zwracało się do starszej osoby lub kogoś ważnego. I znaczyło: całuję twoje stopy.

– *Marahaba* – padła odpowiedź. – Tylko kilka razy.

Rozległy się pomruki aprobaty. Kitty zaczęła się uspokajać.

Przyjrzała się otaczającym ją ludziom. Ubrani byli w tradycyjne stroje – pasy farbowanego materiału, którym owijali się w talii. Mężczyźni odsłaniali nagie torsy, kobiety piersi. Mieli ozdoby w uszach z tak rozciągniętymi płatkami, że zwisały im do ramion. Zauważyła też kunsztowne fryzury, zarówno męskie, jak i damskie. I sznury paciorków. I twarze pomazane mieszanką czerwonego błota, farby i popiołu. Szerokie uśmiechy odsłaniały mocne, białe zęby, z tym tylko że mężczyznom brakowało przedniego zęba, a na czole mieli bliznę w kształcie koła. Domyśliła się, że są to rytualne znaki plemienia Wagogo, o którym mówił Theo.

Ludzie podeszli bliżej. Kitty zeszywniała, gdy zaczęli dotykać jej bluzki, rąk i włosów. Poczuła zapach krowiego łajna, palonego drewna i delikatną woń moczu i potu. Ich bliskość potęgowała upał. Otarła ręką wilgotne czoło.

Jedna z młodych kobiet podsunęła dziecko w jej stronę. Kitty cofnęła się instynktownie. Chłopczyk miał zaropiałe oczka

i spękane usta. Główka chwiała się na spuchniętej szyi. Matka uśmiechała się, jakby wszystko było w porządku. Kitty rozejrzała się wokół i zauważyła, że dużo dzieci było niedożywionych. Janet nauczyła ją, po czym się to rozpoznaje: po wyblakłych włosach, łuszczącej się skórze i wzdętych brzuchach. Spostrzegła też, że charakterystyczna blizna na czole kilkunastoletniego chłopca nie zagoiła się na brzegach. Niektórzy dorośli wyglądali na poważnie chorych. Twarz jednego z mężczyzn pokrywały guzki i brakowało mu połowy nosa. Inny zaś miał przekrzywioną głowę, a szyję zniekształconą przez wielki guz.

Kitty zrobiło się niedobrze. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Poczowała złość na zadowoloną z siebie matkę.

– *Mtoto wako ni mgonjwa* – powiedziała do młodej kobiety. – Twoje dziecko jest chore. Dlaczego nie zabierzesz go do szpitala?

Nie zrozumieli słowa „szpital”. Patrzyli na nią pustym wzrokiem. Spróbowała innego.

– *Dactari?* Lekarz.

Teraz zrozumieli. Matka wskazała na skórzany worek zawieszony na szyi dziecka. Był to amulet znachora. Janet opowiadała jej o amuletach. Zdaniem misjonarki metody przez nich stosowane oparte na zabobonach lub przygotowywanych przez nich środkach były albo bezużyteczne, albo zagrażały życiu.

Do matki z dzieckiem podszedł mężczyzna z włócznią w ręku, ten sam, którego Kitty zobaczyła jako pierwszego. Mówił prostym suahili.

– Mówiłem jej, że musi zaprowadzić chłopca do misji.

– Czy jest tam lekarz? – spytała Kitty.

– Nie ma. Ale biała pani, siostra Barbara, ma dobre lekarstwa.

Kitty pokręciła głową.

– To dziecko musi obejrzeć lekarz.

Pomyślała o szpitalu, który widziała podczas objazdu Londoni zorganizowanego dla niej przez Theo. Lisa z dumą pokazywała

jej udogodnienia zapewnione przez OFC – kino, aptekę, klinikę weterynaryjną, bibliotekę. Szpital mieścił się w dużym, nowym budynku z betonu. Miał dwa oddziały, salę operacyjną i ambulatorium. Gdy Kitty go zwiedzała, na jednym z oddziałów leżało dziecko po operacji usunięcia migdałków, na drugim mężczyzna z silnym kaszlem. Reszta łóżek stała pusta. W ambulatorium zszywano ranę jasnowłosemu mężczyźnie w brudnym stroju roboczym. Poza tym szpital świecił pustkami.

Kitty poczuła na sobie wzrok młodego mężczyzny. Zastanawiała się, czy on wie o szpitalu. Domyśliła się, że tacy ludzie nie są tam mile widziani. Możliwe, że na plantacji była jakaś klinika dla afrykańskich pracowników, ale nie miała takiej pewności i nie wiedziała też, czy tych ludzi by tam przyjęto, wołała więc milczeć. Odetchnęła z ulgą, gdy jedna z dziewczynek przyciągnęła uwagę wszystkich, unosząc pasemko jej włosów.

– *Maradadi* – powiedziała z podziwem, pozwalając mu opaść. Ładne.

– Dziękuję. – Kitty wyobraziła sobie, co by pomyśleli, gdyby nie obcięła włosów. Miękkie, gęste pasma bardzo różniły się od ich mocno kręconych. Uśmiechnęła się do dziewczynki. – Jak ci na imię?

W tym momencie odezwała się stara kobieta urywanym ze starości głosem, lecz Kitty ją zrozumiała.

– Nie mów swojego imienia tej białej pani.

Kitty poczuła się przez chwilę urażona. Przecież starała się być miła. Zaraz jednak przypomniała sobie, jak Janet mówiła, że wielu Afrykanów wierzy, że imię zapewnia moc właścicielowi. Podanie imion wymagało zaufania.

– Przepraszam – powiedziała do starej kobiety. Chciała dać jej do zrozumienia, że wie, iż nie powinna stawiać takiego pytania, ale zbyt słabo znała suahili.

Kobieta chyba to zrozumiała, bo kiwnęła głową, przyjmując przeprosiny. Kitty wołała się nie odzywać, nie chcąc popełnić

kolejnego błędu. Przyglądała się tylko tym ludziom, a oni patrzyli na nią. Widząc wiele przypadków złego stanu zdrowia, a nawet głodu, żałowała, że nie może nic zrobić. Pomoc, jaką mogli zaoferować miejscowi misjonarze, była zbyt mała. Janet miała rację. Afryka potrzebowała ogromnego wsparcia.

Wagogo zaczęli rozmawiać między sobą i od czasu do czasu zwracali się z jakimś pytaniem do cudzoziemki. Kitty odpowiadała ostrożnie. Minuty mijały niepostrzeżenie i wkrótce uświadomiła sobie, że powinna wracać do domu, bo zbliża się pora lunchu. Wskazała kierunek, z którego przyszła.

– Muszę wrócić do mojego domu – oznajmiła, po czym ruszyła w stronę ulicy Milionerów.

Wagogo poszli za nią bez wahania. Jedno z dzieci wzięło ją za rękę, a drugie za drugą. W pierwszej chwili przestraszyła się, że mają jakieś choroby skórne lub wszy, ale dziecięce dłonie były takie małe i takie ufnie, że w końcu nie chciała ich wypuścić. Rozbrzmiała pieśń, która przybrała na sile, gdy włączały się kolejne głosy. Na przedzie szedł młody mężczyzna i bosą stopą kopał kamienie, oczyszczając Kitty drogę.

W czasie marszu wzrok Kitty biegł w stronę kobiet – tych starszych z przywiedłymi piersiami, matek karmiących dzieci z sutkami wilgotnymi od sączącego się mleka i młodych dziewcząt z drobnymi, dopiero pączkującymi biustami. Kobiety nie okazywały żadnego skrępowania z powodu nagości. Mogłyby być modelkami w pracowni bez ścian, pozując artystom takim jak Yuri, których interesowało odsłanianie kolejnych warstw w poszukiwaniu prawdy o ciele przykrywającym kości.

Wagogo odprowadzili Kitty do miejsca, skąd widać było żywopłot otaczający ogród, po czym odeszli w bok równie szybko i cicho, jak się pojawili, zostawiając ją samą.

\*



– Nie uwierzysz, co się stało – powiedział Theo, wyjmując białą serwetkę z kółka i kładąc ją sobie na kolanach. – Dzisiaj na plantacjach widziałem, jak brygadzysta polecił kilku Afrykanom, żeby przewieźli taczki, które właśnie dostarczono. Należało je umieścić w magazynie. – Zaśmiał się ironicznie. – Ci ludzie przenieśli je na głowach. Widziałaś coś bardziej absurdalnego?

Kitty uśmiechnęła się, wygładzając serwetkę na kolanach.

– Czy mogłabym pojechać z tobą któregoś dnia na plantacje? – spytała. – Bardzo bym chciała zobaczyć, co tam się dzieje.

– Niewiele jest tam do oglądania pomimo ogromnego wkładu pracy. Myślę jednak, że mógłbym zorganizować krótką wycieczkę.

– Mogłabym na ciebie poczekać, gdy będziesz pracował.

Theo pokręcił głową.

– Nie o to chodzi. To nie jest miejsce dla ciebie. Przyznałabyś mi rację, gdybyś wiedziała, jakie typy tam pracują. Ci Irlandczycy kierujący buldożerami. Wyruszają do pracy z butelkami brandy w każdej kieszeni. To jest ich śniadanie i lunch. Co sześć tygodni musimy wysyłać ich na odwyk do Nairobi. Gdyby nie byli tacy dobrzy, nie pracowaliby tu ani minuty dłużej.

Kitty patrzyła, jak Theo kroi stek. Odkryła, że co tydzień jest inne menu na lunch. Dzisiaj był stek panierowany w bułce. Pozwoliła mężowi przełknąć kęs, po czym zadała kolejne pytanie.

– Czy zamiast tego mogłabym obejrzeć warsztaty naprawcze? Lisa mówiła, że są w Londoni, ale nie włączyła ich do wycieczki.

– Po co, na Boga, chciałabyś tam pojechać?

– Leciałam samolotem z tymi inżynierami. Powiedzieli mi, że będą uczyć miejscowych o silnikach. Pomyślałam, że mogłabym się przydać. – Starła się mówić wolno. Nie chciała zdradzić, że długo rozważała pomysł, który przyszedł jej do głowy po spotkaniu z grupą Wagogo. Uznała, że musi znaleźć sobie jakieś pożyteczne zajęcie. – Żaden z nich nie zna suahili.

– Nie ma mowy. – Theo był wyraźnie zszokowany. – To

nieokrzescani ludzie. To męski świat.

– Ale kobiety też pracują w Londoni. Sama widziałam.

– Jako sekretarki, pielęgniarki, fryzjerki i tak dalej. Ale to samotne kobiety, które przyjechały tutaj, by wziąć udział w tym przedsięwzięciu. I zapewniam cię, że to nie jest dla nich piknik. Zakwaterowaliśmy je w chatach. Pewnie widziałaś takie chaty z gliny z brezentowymi dachami.

Kitty kiwnęła głową. Małe, okrągłe domki między namiotami stojące wokół budynku dyrekcji.

– Zdarzały się przypadki, że intruzi usiłowali wtargnąć do środka, wspinając się po ścianach. OFC zaopatrzyło panie w maczety, żeby mogły się bronić.

Kitty starała się nie okazywać zaskoczenia.

– Czy nie ma wśród tych kobiet mężatek?

Było to zaskakujące. W czasie wojny pracowały w Anglii wszystkie kobiety. Wiek, stan cywilny i pozycja społeczna nie miały znaczenia. Ona sama pracowała jako wolontariuszka w fabryce, malując na samolotach znaki maskujące. Większość kobiet zrezygnowała z pracy, gdy mężczyźni zostali zdemobilizowani. Niektóre niechętnie wróciły do domowych obowiązków. Wszystkie pracowały na pełnych obrotach.

– Jest kilka bezdzietnych mężatek – przyznał Theo.

– Podobnie jak ja.

– Nie tak jak ty – odparł z westchnieniem. – Jesteś żoną dyrektora administracyjnego. Byłoby czymś niewłaściwym, aby moja żona pracowała, a tym bardziej w warsztatach. Chyba to rozumiesz.

Kitty kroїła stek na małe kawałki. Nóż skrzypiał głośno po porcelanowym talerzu Cynthii.

– Jak minął ci dzień? – spytał Theo.

Kitty nie od razu odpowiedziała. Po powrocie ze spaceru miała wyrzuty sumienia, że z taką łatwością znowu zaczęła myśleć jak artystka – patrząc na krajobraz, a potem wspominając, jak

poznała Yuriego. Postanowiła nikomu nie mówić o przeżytej przygodzie. Ale po tym, co powiedział Theo, poczuła przyływ buntu.

– Poszłam na spacer. Sama.

– Dokąd?

– W góry.

– Jak się tam dostałaś?

Kitty wskazała w stronę końca ogrodu.

Theo zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

– Chcesz powiedzieć, że tak po prostu poszłaś do buszu?

– Bywałam już w buszu.

– To nie Australia. Tu są dzikie zwierzęta.

– Nie widziałam żadnego – odparła. – Ale spotkałam miejscowych. Całkiem sporą grupę. Wędrowali tak jak ja.

Theo odłożył nóż i widelec.

– Kitty, to było bardzo głupie i niebezpieczne. Część tych Afrykanów z buszu nie miała nigdy kontaktu z cywilizacją. Kto wie, co mogliby zrobić.

– Zachowywali się bardzo przyjaźnie.

– Obiecuj mi, że więcej tego nie zrobisz – powiedział Theo.

– Więc co mam robić? – Spojrzała na swoje dłonie zaciśnięte na brzegu stołu, po bokach talerza w różyczki. Nie musiała mu przypominać, że zmusił ją do rezygnacji z ukochanej rozrywki, i to na zawsze.

– Idź do klubu, na zakupy. Rób to, co robią inne. Chyba nie proszę o wiele.

Nic na to nie odpowiedziała.

– Wkrótce zaczniemy przyjmować. Tego się oczekuje. Będiesz miała co robić. – Theo spojrzał Kitty w oczy i uśmiechnął się, przeżuując kawałek mięsa.

Wypiła łyk wody i z trudem przełknęła. Wyobrazila sobie smutny obraz nadchodzących dni. Będzie walczyła z Eustace'em i Gabrielem w domu i uważała na każdy krok w kontaktach ze

światem zewnętrznym.

Theo zjadł kilka kęsów, po czym znowu odłożył nóż i widelec.

– Kitty, może nie uważasz swojej roli za ważną, ale na swój sposób jest ona równie ważna jak moja. Masz dawać przykład innym żonom. Kongara to mały świątek, gdzie każdy ma swoje miejsce. Jeżeli jakaś część źle funkcjonuje, cierpi na tym cały projekt. – Spojrzał na nią z uwagą. – Wierzysz w to, co tu robimy, prawda?

Kitty uśmiechnęła się ze wstydem. Był taki miły i rozsądny. Przypomniała sobie, co mówił jeden z pasażerów samolotu o wojnie z głodem.

– Tak. Oczywiście, że tak.

Theo odchylił się na oparcie krzesła.

– Bardzo dobrze.

# Rozdział piąty

Poranne słońce przenikało przez białą moskitierę zawieszoną nad łóżkiem i blokującą światło dnia. Kitty leżała na plecach w spódnicy, która owijała się wokół nóg. Myślała o tym, żeby ponownie włożyć koszulę nocną, lecz zdołała jedynie obrócić się na bok.

Wyobraziła sobie nowego czerwonego hillmana stojącego na podjeździe, pokrytego grubą warstwą kurzu. Minęły dwa tygodnie od czasu, gdy Theo przyjechał nim do domu i uroczyście wręczył żonie kluczyki.

– Twój własny samochód.

Kitty zarzuciła mu rękę na szyję.

– Och, dziękuję ci. Bardzo dziękuję.

Stali razem przy samochodzie, wymieniając uwagi na temat kształtu, koloru i lakieru. Kitty uważała, że wygląda jak mała wersja daimlera Diany, ale Theo twierdził, że jest zupełnie inny. Nie był nowusieńki jak land rover, ale człowiek, który przysłał go z Anglii, dbał o niego. Samochód został przetransportowany z Dar es Salaam koleją, a potem jeździł tylko wokół Londoni.

Kitty otworzyła drzwi od strony kierowcy. Z powodu zawiasów umieszczonych z tyłu otwierały się odwrotnie niż w innych samochodach, którymi jeździła. Wsiadła i włączyła zapłon. Nie było chwili niepewności, czy silnik zaskoczy bez iskrzenia, bo niemal natychmiast obudził się do życia. Kitty uśmiechnęła się do Theo i zwiększyła obroty.

– Tylko nie prowadź zbyt szybko – ostrzegł. – Po tutejszych drogach musisz wolniej jeździć.

Kitty nie zamierzała powiedzieć mu, że nigdy w życiu nie jeździła po bitumicznych drogach, a tak naprawdę to tylko po polach. Nie miała prawa jazdy, ale była zdolnym kierowcą. Potrafiła manewrować wyładowaną ciężarówką bez wstecznego lusterka. Już za pierwszym razem udało jej się wjechać tyłem przyczepą lub taką do przewozu koni w wąskie miejsce. W Londoni, żeby zdać test na prawo jazdy, wystarczyło przejechać główną ulicą, niczego nie potrącając.

– Zobacz. – Theo pokazał jej, jak uchylać przednią szybę. – A gdyby wycieraczki się zepsuły, możesz zrobić tak. – Przekręcił gałkę na tablicy rozdzielczej i wycieraczki przesunęły się po przedniej szybie.

– Trudno sobie wyobrazić, by były tu potrzebne – stwierdziła Kitty.

– Zaczekaj do pory deszczowej – odpowiedział Theo. – Podobno wystarczy noc, żeby zmieniła się cała okolica.

Kitty spróbowała włączyć wsteczny bieg, a potem sprawdziła światła. Wszystko idealnie działało. Mimo że nie siedziała za kierownicą samochodu od wyjazdu z Anglii, natychmiast poczuła się jak w domu. Zbyt szybko nadszedł czas, żeby zamknąć auto i wrócić do domu. Theo miał za sobą długi dzień i musiał się napić. Kitty, zmierzając w stronę werandy, zawiesiła kluczyki na palcu. Zabrzęczały wesoło.

Theo przystanął przy drzwiach balkonowych i odwrócił się do żony.

– Musisz uważać z tymi przednimi drzwiami – powiedział. – Jeśli ktoś je otworzy, gdy będziesz siedziała za kierownicą, polecą do tyłu z wielką siłą.

– Nie martw się. Będę uważała. – Wzruszyła ją troska męża o jej bezpieczeństwo. Zupełnie jakby wrócił dawny troskliwy Theo.

– Oczywiście żadnych wycieczek do warsztatów naprawczych czy poza granice miasta – dodał. – Nie muszę też mówić, że reszta

Kongary, w tym plantacje, to strefa zakazana. Nie ma potrzeby, żebyś jeździła dokądkolwiek oprócz centrum.

Kitty zawahała się, lecz nic nie powiedziała. Nie powinno jej to dziwić. Rozmawiali już o tym, że niemądrze lub niestosownie jest bywać w pewnych częściach Kongary. Przekonywała siebie, że powinna być wdzięczna za to, co może robić. Mając własny samochód, mogła wybierać, kiedy pojedzie do klubu lub do sklepów i kiedy wróci do domu. Nie będzie zależna od Diany czy Alice, od trudnych rozmów czy krępujących momentów ciszy, które musiała znosić, zamknięta we wnętrzu samochodu sąsiadki. Jednak wchodząc za Theo do domu, czuła przede wszystkim zawód i frustrację. Jakby ofiarowano jej coś wspaniałego i po chwili zabrano.

W następnych dniach prawie każdego ranka jeździła, wolno, żeby przedłużyć podróż, do centrum Kongary. Raz nawet zrobiła kilka okrążeń wokół ronda, podziwiając jego rozległość: pas był szeroki, obwód duży, jakby zaprojektowano je z myślą o wielkiej liczbie samochodów. W środku ustawiono znak z napisem: „Ustąp miejsca”. Wątpiła jednak, żeby kiedykolwiek spotkały się tu choćby dwa samochody.

Minęła drogowskazy informujące o drodze na plantacje, na stację kolejową i Dar es Salaam. Zatrzymała się przy tabliczce „Warsztaty naprawcze traktorów”, ale tylko na kilka chwil. Gdziekolwiek jechała tym przyciągającym wzrok czerwonym wozem, miała świadomość, że jest obserwowana. Podejrzewała, że gdyby Theo zechciał, mógłby otrzymać raport opisujący każdy jej ruch.

Ponownie się obróciła i ukryła twarz w poduszce. Czuła się sfrustrowana i zagubiona. Theo może i rozpoczął nowe życie tu, w Londoni – patrząc w przyszłość tego obiecującego brytyjskiego terytorium i otwierając się na nowe idee – ale te zmiany nie dotyczyły wymagań w stosunku do żony. Dał jasno do zrozumienia, że ma dostosować się do zasad obowiązujących

w sferach towarzyskich Londoni. Chciał, żeby była drugą Dianą.

Wróciła myślami do wczesnego okresu ich znajomości, zanim się pobrali, gdy Theo jeszcze studiował na Oksfordzie. Po ich pierwszym wspólnym locie zaczął wracać do domu w każdy weekend i wymyślał różne powody, żeby się z nią zobaczyć. Podobał mu się bałagan panujący w studiu, nie przejmował się, gdy brudził sobie ubranie farbami. Powiedział, że od sztywnych kolacji w pałacu woli niewyszukane posiłki, które Kitty i Yuri spożywali w kuchni. Podobały mu się długie włosy Kitty opadające swobodnie na ramiona. Gdy ubierała się w rzeczy pozostawione przez modelki Yuriego – czerwony, jedwabny żakiet, aksamitny beret i męski szalik w tureckie wzory – mówił, że ma niezwykły gust. Podziw, jaki jej okazywał, wprowadził ją w zachwyt. Był taki niepodobny do mężczyzn, jakich znała. Tyle wiedział. Mówił o muzyce, teatrze, książkach jak o swoich przyjaciółkach. Każda noszona przez niego część garderoby, każda rzecz – od portfela po dziennik, a nawet łyżka do butów – były w najlepszym gatunku. A jego twarz i sylwetka przywodziły na myśl posąg greckiego boga z Muzeum Brytyjskiego. Kochała go i pożądała każdą cząstką ciała. Jednocześnie trudno jej było uwierzyć w to, że on naprawdę chce z nią być. Theo Hamilton z Hamilton Hall. Student Oksfordu. Mógł wybierać wśród wielu dziewcząt, bliższych mu pochodzeniem i zaletami.

Pewnego dnia spytała go otwarcie i bez ogródek, dlaczego ją lubi. Uśmiechnął się i przesunął palcem wzdłuż jej brody.

– Bo jesteś inna od wszystkich, które znam.

Matka Theo nie miała co do tego wątpliwości. Przy każdej okazji podkreślała, jak bardzo australijska jest przyjaciółka jej syna. Zupełnie inna od nich. Pewnie myślała, że to zrazi Theo do Kitty – przywiedzie go do rozumu – ale się myliła. Theo najwyraźniej znajdował przyjemność w konsternacji matki. Gdy przedstawił Kitty znajomym rodziny, szczególny nacisk położył na to, że jest ona artystką i córką australijskiego hodowcy owiec.



Dziewczyną z buszu. Powiedział to z nutką dumy w głosie i z wyrazem opiekuńczości w oczach. Kitty czuła, że gdyby zaszła taka potrzeba, do ostatniego tchu będzie jej bronił przed krytyką.

Potem wszystko uległo zmianie. Zaczęło się w czasie wojny, wraz ze zmianą poglądów Theo na świat, i trwało po jej zakończeniu. Potem zdarzył się ten skandal, który wstrząsnął do głębi nim i rodziną i sprawił, że powrócił na jej łono. I to Kitty była za to odpowiedzialna. Czy może więc mieć teraz pretensje?

Westchnęła. Zbiła poduszkę w kulę, po czym odepchnęła ją i położyła się na plecach. Było duszno i gorąco. Otoczona moskitierą czuła się jak w więzieniu.

Słyszając pukanie do drzwi, osłoniła ręką oczy.

– Tak?

– *Memsahib?* – zabrzmiał głos Gabriela. – Czy życzy sobie pani czegoś?

– *Kwenda mbali.* Idź sobie – odparła niezbyt uprzejmie. Już wcześniej zapowiedziała mu, że nie musi przygotowywać dziś lunchu. Theo zostawał w pracy – miał zabrać wizytatorów z Londynu do klubu na obiad. A ona nie była głodna.

Słuchała oddalających się kroków Gabriela, po czym ciężko westchnęła. Otworzyła oczy i omiotła wzrokiem pokój, zatrzymując spojrzenie na szlafroku Theo wiszącym na wieszaku. Jej własny leżał na podłodze. W sypialni stała roślina w doniczce, którą kupiła na straganie w klubie. Z łodygi zwisała etykieta z nazwą, wypisana niecierpliwą ręką Diany. Była zupełnie nieczytelna. W domu znajdowało się jeszcze sześć doniczek. Kupiła wszystkie, które pozostały późnym popołudniem, żeby wesprzeć akcję zbierania funduszy dla misjonarzy. Na ich widok Gabriel przewrócił oczyma, zdając sobie sprawę z tego, że to on będzie musiał je podlewać. Nie mógł zrozumieć, po co hoduje się rośliny, które nie rodzą jadalnych owoców.

Kitty usiadła nagle i spojrzała na roślinę świeżym okiem.

Przypomniała sobie, co powiedział młody Mgogo o siostrze Barbarze, która pomagała chorym. Misja znajdowała się niedaleko stąd – Audrey jeździła tam kilka razy, żeby przywieźć wszystkie rośliny.

Odrzuciła pościel i wyskoczyła z łóżka. Szukając w komodzie stroju safari, usiłowała sobie wyobrazić, jaka jest siostra Barbara. Nie uczestniczyła w sprzedaży roślin, więc musiała być bardzo zajęta. Kitty uznała, że musi wyglądać jak Janet – w okularach z grubymi oprawkami i praktycznym podejściem do życia.

Włożyła spódnicę i spojrzała w lustro. Miała potargane włosy, nie umalowała się i nie umyła dokładnie. Nie przejęła się tym, bo misja nie była miejscem, gdzie ludzie przejmują się swoim wyglądem. Oprócz podstawowej znajomości suahili Janet nauczyła ją udzielania pierwszej pomocy i podstawowych zasad pielęgniarstwa.

– W Afryce każdy jest pielęgniarzem, a czasami i lekarzem – powiedziała.

Pokazała jej, jak oczyszczać, bandażować ranę, opatrywać poparzenie i zapoznała z innymi przydatnymi umiejętnościami. Kitty wiedziała, co znaczy ciężka praca – na rodzinnej farmie pomagała w szalasach, w których odbywała się strzyża. Gdy trzeba było się spieszyć, dni były długie i nikt się nie skarżył.

Zatrzymała się przy drzwiach sypialni, ubrana i gotowa do wyjścia. Poczowała ucisk w żołądku na myśl o tym, co powiedziałby Theo na jej pomysł. Ale przecież nie powinien się sprzeciwić. Dobroczynna pomoc to nie to samo co podejmowanie pracy. Nawet Louisa wspierała szlachetne cele. To obowiązek ludzi zajmujących wysoką pozycję społeczną, mawiała.

Mimo to Kitty rozglądała się na boki, idąc na palcach przez hall, z butami w ręku. Gdyby wyszła frontowymi drzwiami, z pewnością natknęłaby się na ogrodnika lub strażnika. Zbiegła w skarpetkach po schodach, ściskając kluczyki w dłoni. Potem otworzyła drzwi samochodu i wskoczyła do środka. Włożyła

buty, a potem nisko zsunięta w fotelu uruchomiła silnik i spokojnie odjechała.

\*

Gdy wyjechała z ulicy Milionerów, zaczęła się rozglądać za kimś, kogo mogłaby spytać o drogę. Zwolniła, podjeżdżając do grupy kobiet idących poboczem. Wyglądały kolorowo, owinięte we wzorzyste pasy materiału zwane *kitenge*. Niektóre niosły na plecach dzieci, a ich ciemne główki kiwały się w rytm stawianych kroków.

– *Samahani!* Przepraszam! – zawołała do nich.

Uciekły do pobliskiego buszu. Kitty westchnęła, czując się dziwnie odrzucona. Następną osobą, jaką zobaczyła, był stary człowiek, który siedział w skąnym cieniu, jaki dawał krzew *manyara*. Obok niego stała pleciona klatka z kurczętami.

– *Iko wapi misheni?* Gdzie jest misja? – zwróciła się do niego z pytaniem. – *Na taka kwenda kule.* Chcę tam pojechać.

Mężczyzna poderwał się z ziemi, złapał klatkę i podbiegł do samochodu.

– *Naenda, sasa hivi.* Pojadę tam z tobą – oznajmił.

– Nie, nie. Nie chcę sprawiać kłopotu. Chcę tylko...

Ignorując jej protest, z wprawą otworzył tylne drzwi, postawił klatkę na siedzeniu, po czym sam wsiadł. Kitty popatrzyła na niego bezradnie. Czowała, że jego obecność w samochodzie narusza zasady, lecz on najwyraźniej nie zamierzał wysiąść. Uśmiechał się, ewidentnie zadowolony z możliwości przejażdżki samochodem.

– Dziękuję – powiedziała. – Czy to daleko?

Pokręcił głową.

– Niedaleko.

– No to jedźmy.

Uśmiechnęła się z trudem. Odetchnie z ulgą, gdy wyjadą z Londoni, niezauważeni przez nikogo, i dotrą do misji.

Gdy ruszyła z miejsca, spojrzała na niego we wstecznym lusterku. Miał na sobie czarną marynarkę, poplamioną i wystrzępioną na brzegach, i przepaskę na biodrach w kolorze ochry. Pod marynarką widać było chudą klatkę piersiową. Na czole oprócz znaku plemiennego dostrzegła drugą bliznę pozostałą po starym wypaleniu. Patrzył na nią otwarcie i przyjaźnie, bez cienia cynizmu, urazy czy też wyraźnej niechęci, którą często dostrzegała na twarzach służących w jej domu.

Gdy dojeżdżali do pierwszych domków personelu technicznego, mężczyzna nagle pochylił się w przód i dźgnął powietrze gruzłowatym palcem.

– Tędy.

Kitty zauważyła skręt w prawo i wjechała na wąską drogę, wzdłuż której rosły rzadkie krzewy i trawa. W niedługim czasie jej oczom ukazał się ogrodzony teren zastawiony ciężkim sprzętem. Wielkie maszyny wyglądały jak stado zwierząt upchnięte w ciasnym kurniku. Zwolniła, żeby lepiej się im przyjrzeć. Musiało ich być ze dwadzieścia. Każda maszyna miała z przodu szeroki wałek i dwa węższe z tyłu. Kitty zmarszczyła brwi. Widziała już tego typu sprzęt zarówno w Anglii, jak i w Australii, służący do utwardzania asfaltowych nawierzchni dróg. Tutaj był bezużyteczny. Pomiędzy wałkami i podwoziem wyrastała wysoka trawa i pnącza, które owijały się wokół silników. Wyglądało na to, że maszyny zostały odstawione na bocznicę i porastały zielskiem.

Minęła prowizoryczny magazyn i pojechała dalej. Sądziła, że Theo jako dyrektor administracyjny kierował całym przedsięwzięciem sprawnie i efektywnie. Tymczasem te bezużyteczne maszyny przyplłynęły z Anglii, wyładowano je w porcie w Dar es Salaam, a potem przetransportowano do Kongary koleją. To nie miało sensu. Przypomniała sobie, jak

Diana mówiła, że do klubu dostarczono tyle skrzynek gorzkiej wódki angostury, którą dodawano do koktajli, że wystarczy jej dla wszystkich Anglików w całej Tanganicy na pięćdziesiąt lat. Tymczasem według słów Pippy istniała długa lista niezbędnych przedmiotów i artykułów żywnościowych, których OFC nie było w stanie dostarczyć. Kitty wytłumaczyła sobie, że nie da się uniknąć błędów w tak wielkim przedsięwzięciu. Najważniejsza była praca. A zdaniem Theo pracownicy zaczęli w końcu robić większe postępy w karczowaniu terenu pod uprawy. Jeśli ta tendencja się utrzyma, zdołają wykonać plan. Kitty zastanawiała się, czy wtedy Theo przestanie mówić o projekcie. Ale w takim razie o czym będą rozmawiać? Przecież żadne z nich nie zaryzykuje poruszania tematów, które cofną ich do opuszczonego przez nich świata. Sztuka, powieści, poezja, życie – nie wchodziły w grę. Będą musieli ograniczyć się do rozmów o bieżących wydarzeniach. Na przykład o organizowanym przez klub pikniku w górach – eleganckim przedsięwzięciu z namiotem i srebrnymi kubelkami do lodu. O sztuce wystawionej w szkole. O zdarzeniu na basenie z nianią, która uderzyła dziecko. Albo o tym, kto co powiedział i do kogo po niedzielnym nabożeństwie.

Zmarszczyła brwi na tę myśl. Chyba jednak wolą służyć o problemach Theo w pracy, nawet jeżeli wprawiały ją w irytację. Kiedy tu przyjechała, miała nadzieję, że co wieczór będą wspólnie omawiali to, co przydarzyło mu się w ciągu dnia. On podzieli się z nią swoimi troskami i problemami, ona pomoże mu znaleźć rozwiązanie. Wychowała się na farmie i znała się na rolnictwie lepiej niż on. Ale okazało się, że Theo nie miał ochoty wysłuchiwać rad żony. Owszem, pragnął zrzucić z siebie ciężar licznych problemów, lecz bez szczegółów, które mogłyby służyć konkretnemu celowi. Kitty miała jedynie wydawać pomruki współczucia lub okazywać poparcie i nic więcej.

Po przejechaniu krótkiego odcinka stary człowiek dał jej znak, żeby znowu skręciła w prawo. Wrzuciła luz, patrząc

z powątpiewaniem na wąską i wyboistą drogę. Już miała spytać, czy aby na pewno to ten kierunek, gdy dostrzegła małą drewnianą tabliczkę niemal ukrytą w kępie suchej trawy. Z trudem odczytała wyblakłe czerwone litery składające się na słowo „Misja” i widniejący przy nim znak krzyża.

Skręciła w wąską drogę, usiłując wyobrazić sobie, jak będzie wyglądać to miejsce. Przypomniała sobie fotografię, którą widziała w domu Janet, przedstawiającą długi, niski budynek o grubych, pobielonych ścianach. Przed wejściem nie rosły żadne kwiaty, a w oknach nie było zasłon. Murowana weranda była czysta i pusta. Idealne miejsce na proste i bezinteresowne życie, w którym liczyły się tylko naprawdę ważne sprawy.

Kitty wróciła myślami do chwil spędzonych z Janet. Z emerytowaną misjonarką poznał ją pastor wiejskiego kościoła, gdy rozeszła się wieść, że Theo i jego skompromitowana żona wyjeżdżają do kolonii. Janet należała do nielicznych osób, których nie interesowało, kim jest Kitty lub jak trafiła do rodziny Hamiltonów. Nic też nie wskazywało na to, że wie, jakie kłopoty spowodowała. Janet interesowało jedynie to, żeby młoda kobieta była dobrze przygotowana do życia w Afryce. Wyjaśniła, że pracowała w sąsiedniej Kenii, ale oba kraje mają ze sobą wiele wspólnego.

Kitty przyjęła zaproszenie na popołudniową herbatę. Nie zamierzała zaprzyjaźnić się ze starszą panią. Pragnęła jedynie zdobyć praktyczne informacje. Gdy Theo przyjął posadę w projekcie orzeszkowym, nie miała pojęcia, że istnieje taki kraj. Musiała zajrzeć do atlasu, żeby sprawdzić, gdzie leży. OFC przysłało garść najważniejszych informacji – liczba ludności, najwyższe i najniższe temperatury w stolicy kraju Dar es Salaam, lista niezbędnych rzeczy. Ale ona bardzo chciała poznać kogoś, kto mieszkał w Afryce.

Janet wprowadziła ją do ciasnego salonu zastawionego starymi meblami. W brudnych oknach wisiały ciężkie zasłony w kolorze

oliwkowym, a na podłodze leżał wyblakły dywan, lecz atmosferę pokoju ożywiały afrykańskie tkaniny w jasnych barwach zdobiące oparcia foteli i kolekcja artefaktów. Kitty usiadła przy dużym bębnie z wołowej skóry. Nieopodal stał stołek na trzech nogach wykonany zapewne z jednego kawałka drewna.

Gdy Janet poszła do kuchni nastawić czajnik na herbatę, Kitty podeszła do ręcznie narysowanej mapy Afryki Wschodniej, wiszącej na ścianie w drugim końcu pokoju. Widniały na niej nazwy krajów wypisane dużymi literami – Kenia, Uganda, Kongo, Tanganika. Wszystkie były białe, z wyjątkiem Kenii pomalowanej na różowo z oznaczonymi miastami, miasteczkami i wioskami. Nitki niebieskiej wełny przymocowane pinezkami łączyły nazwy miejscowości z fotografiami przyklejonymi do brzegów mapy. W większości przedstawiały one mężczyzn w koloratkach, lecz wśród nich było również kilka kobiet i kilku Afrykanów. Przyglądając się ich twarzom, szukała w nich cech wskazujących na to, że wiedli pełne przygód życie. Jednak nie odbiegali wyglądem od parafian miejscowego kościoła.

Kitty podeszła do kredensu, na którym stała makieta chaty wykonanej z trawy. Na dachu widniał napis: „Anglikańskie Towarzystwo Misyjne”. Z boku znajdowała się szczelina na monety. Wzięła ją do ręki i potrząsnęła. Chata była zaskakująco lekka. Kitty zorientowała się, że została wykonana z papier *mâché*. Yuri pokazał jej, jak zrobić rzeźbę, wykorzystując jedynie podartą gazetę, mąkę i wodę. Ta metoda nie pozwalała na dokładne modelowanie, które można było uzyskać przy użyciu gliny, gipsu i wosku, ale była tania i łatwa.

– A jeżeli nie spodoba ci się twoje dzieło, może posłużyć za podpałkę – powiedział Yuri.

Utkwiła wzrok w małej chatce, którą trzymała w ręku. Wspomnienie Yuriego spowodowało ucisk w sercu. Zalała ją fala emocji – smutku, gniewu i wyrzutów sumienia, ale przede wszystkim uczucia straty.

Drzwi się otworzyły i weszła Janet. Kitty wróciła na swoje miejsce. Gospodyni postawiła na stole tacę z wielkim emaliowanym czajniczkiem, prostymi białymi filiżankami i spodeczkami, po czym przyciągnęła krzesło i usiadła naprzeciwko gościa. Zdjęła grube okulary, odsłaniając oczy o szczerym i intensywnym wejrzeniu.

– To bardzo proste, pani Hamilton – powiedziała, pochylając się w stronę Kitty. – Musi pani wiedzieć, jak dbać o siebie i jak pomagać innym. – Zaczęła wyliczać na palcach. – Po pierwsze, musi pani nauczyć się mówić w języku suahili, który jest powszechnie używany w Afryce Wschodniej. Jeżeli będzie pani potrzebny jeden z języków plemiennych, nauczy się go pani na miejscu. Po drugie, przydadzą się pani podstawowe umiejętności pielęgniarskie. I po trzecie...

Urwała, bo Kitty uniosła ręce, chcąc przerwać jej wypowiedź.

– Ale ja nie jadę tam pracować jako pielęgniarka – odpowiedziała Kitty zdecydowanie. – Będę tam mieszkać.

– Moja droga – odparła Janet dobrotliwym tonem – przekonasz się o tym, gdy znajdziesz się w Afryce. Nie ma znaczenia, kim jesteś i po co tam pojechałaś. Będziesz miała tam co robić.

Zanim skończyły drugą filiżankę herbaty, ustaliły, że Kitty będzie codziennie rano przyjeżdżała do Janet na naukę suahili i pierwszej pomocy. W zamian Kitty ofiaruje datek na towarzystwo misyjne. Janet dała jej wysłużony podręcznik do nauki suahili, żeby mogła się uczyć między lekcjami. Misjonarka twierdziła, że język nie jest trudny, bo ortografia jest fonetyczna, a gramatyka prosta i logiczna. Kitty postanowiła, że nie powie teściom o tych lekcjach. Cała sprawa z Tanganiką była zbyt drażliwa. Choć Theo miał wyjechać już za niecały miesiąc, nikt o tym nie wspominał, chyba że było to absolutnie konieczne. Zdecydowała, że jemu też nic nie powie. To będzie jej tajemnica. Wyobraziła sobie, jak go zaskoczy, gdy przyjedzie do Kongary, mówiąc płynnie po suahili. Na szczęście jej nieobecność w pałacu



nie zwróciła niczyjej uwagi, bo każdego ranka po śniadaniu odbywała długie, samotne spacerunki.

Ostry zakręć zmusił ją do ponownego zwolnienia i skupienia się na prowadzeniu samochodu. Pochyliła się nad kierownicą, żeby dobrze widzieć teren przed sobą. Ostrożnie ominęła koleinę, dzięki czemu zderzak nie wbił się w ziemię. Jadąc wolno, uważnie obserwowała okolicę po obu stronach drogi. Dostrzegła porzuconą chatę z gliny, pozbawioną dachu, z kruszejącymi ścianami, lecz poza tym nie zauważyła żadnych oznak życia.

– *Safi sana?* – zawołała przez ramię do starszego mężczyzny, wskazując ręką przed siebie. W dosłownym tłumaczeniu znaczyło to „bardzo czysty”, wiedziała jednak, że ten zwrot znaczy również „bardzo poprawnie” lub „bardzo dobrze”.

– *Ndiyo* – odpowiedział, kiwając energicznie głową. – *Na swahili yako safi sana.* – Uśmiechnął się do niej, ukazując szare, bezzębne dziąsła. – *Safi sana sana.*

Kitty uśmiechnęła się, wzruszona komplementem. Wyraz twarzy mężczyzny wskazywał na to, że mówił szczerze, że jej suahili jest bardzo, bardzo poprawny. Zaraz jednak zmarszczyła nos, czując zapach kurzych odchodów. Przypomniała sobie, jak na rodzinnej farmie zbierała jajka. Miała nadzieję, że uda jej się wyczyścić siedzenia, zanim zielone plamy wnikną w obicie.

Droga wiła się stromo pod górę. Kitty nie przyspieszała, żeby móc swobodnie rozglądać się po okolicy. Uświadomiła sobie, że znajdują się u stóp góry.

– *Hapa! Hapa!* Tutaj! Tutaj!

Mężczyzna pochylił się w przód, wskazując na grzbiet następnej góry.

Oczom Kitty ukazał się biały krzyż umieszczony na wysokiej iglicy pokrytej dachówkami z gliny. Gdy podjechali bliżej, pojawił się czubek dzwonnicy, a potem kościół z dwuspadowym dachem i białymi ścianami wyróżniającymi się na tle intensywnie błękitnego nieba. Kitty stwierdziła z zaskoczeniem, że nie

przypomina to skromnej misyjnej kaplicy.

Kilka chwil później pojawił się kolejny biały budynek. Kitty wcisnęła pedał gazu, patrząc na imponującą, jednopiętrową fasadę, z łukowo sklepioną werandą. Szeroki plac przed budynkami wyłożony był płytami z jasnego kamienia. Środkowa część tonęła w cieniu największego baobabu, jaki Kitty widziała dotąd w Tanganice. W sąsiadującym z budynkami ogrodzie kwitły krzewy. Zauważyła również starannie utrzymane grządki z warzywami. Pod białymi ścianami rosły jasnoczerwone i fioletowe bugenwille. Całość przypominała fotografie, które widziała w Hamilton Hall z podróży teściów do Włoch lub Hiszpanii. Miejsce tchnęło spokojem i sprawiało wrażenie opuszczonego. Pod długim stołem na kozłach ustawionym przed kościołem stadko gołębi oczyszczało szczeliny między płytami chodnikowymi.

Zaparkowała samochód pod drzewem jakarandy i wysiadła. Gdy wygładziła spódnicę, poczuła, że jest tu chłodniej i wieje nawet lekki wiatr. Starszy mężczyzna również wysiadł, wyjął klatkę z kurczętami i postawił ją pod drzewem. Potem dał znak Kitty, żeby za nim poszła, i minął kościół, kierując się w stronę drugiego budynku. Jego celem było łukowo sklepione wejście przy końcu z wiszącą nad otwartymi drzwiami cienką, żółtą zasłoną.

– *Hodi!* Jest tam kto? – zawołał.

Nie otrzymał odpowiedzi, mimo to odsunął zasłonę i zniknął w środku. Kitty weszła za nim i zamrugnęła gwałtownie. Wzrok powoli przyzwyczajał się do nagłej ciemności. Znajdowała się w dużym pokoju z prostymi kanapami i fotelami z obramowaniem z ciemnego drewna i miękkimi siedzeniami i oparciami. Niektóre były przykryte kolorowymi kocami wykonanymi z szydełkowych kwadratów, takich jak te, które kiedyś robiła babcia. Na ścianach wisiały fotografie i reprodukcje starych obrazów.

– Przyjrzyj się im z uwagą – polecił jej towarzysz.

Podprowadził ją z dumą do obrazów, jakby pokazywał rzadkie i cenne dzieła sztuki. Rozpoznała przystojną twarz Jezusa, jaką pamiętała z lekcji religii w szkółce niedzielnej. Jednak ten tutaj miał szeroką, żółtą aureolę nad głową i czerwone serce na piersi emanujące złotym światłem i otoczone ciernistą koroną. Obok wisiała stara, czarno-biała fotografia przedstawiająca wątłą postać o bladej, pomarszczonej twarzy, ze śnieżnobiłą brodą, w długiej, czarnej szacie.

Nagle w ciszy rozległo się powolne szuranie. Do pokoju wszedł przygarbiony starzec, niemal identyczny z tym z fotografii, i wymienił przyjacielskie słowa powitania z Afrykaninem w języku suahili. Najwyraźniej się znali. Potem mężczyzna odwrócił się do Kitty i powiedział coś w języku, którego nie знаła. Widząc jej brak reakcji, wrócił do suahili.

– Witaj, córko. Jestem ojciec Paulo. Czym mogę służyć?

Miał twardy akcent i Kitty z trudem rozumiała nawet tak proste zdania.

– *Mimi nataka* siostra Barbara – odpowiedziała.

Uniósł krzaczaste brwi. Miał twarz pooraną zmarszczkami i głos mu drżał. Przypuszczając, że może źle słyszeć, powtórzyła głośniejsze swoje słowa.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. Mruknął coś do Afrykanina, który kiwnął głową i wyszedł.

– *Momento* – powiedział starzec z życzliwym uśmiechem, po czym dał znak, żeby usiadła, następnie sam usiadł w fotelu i złożył ręce na kolanach.

Żadne z nich nie odezwało się słowem, lecz nie było w tym nic krępującego. Z zewnątrz dobiegało zadowolone gruchanie gołębi i rytmiczny szelest miotły.

Wkrótce rozległy się czyjeś kroki. Kitty wstała, gdy zasłona w drzwiach się uniosła. Do pokoju wszedł energicznym krokiem mężczyzna w czarnej szacie i sandałach i zatrzymał się przed

Kitty.

– Dzień dobry. Jestem ojciec Remi.

Mówił po angielsku z lekkim obcym akcentem. Musiał być w średnim wieku, bo krótko ścięte, kręcone włosy były siwe na skroniach, a oliwkowa twarz lekko pomarszczona. Za to ciemne oczy były pełne życia i nadawały mu chłopięcy wygląd. Wyciągnął rękę, nie czekając, aż Kitty zrobi to pierwsza.

– Hamiltonowa.

Uścisnęli sobie dłonie. Szorstka dłoń zakonnika przypomniła jej spracowaną rękę ojca. Zauważyła jakiś znak wyszyty białymi nićmi na szacie. Miał kształt serca, z literami i symbolami w środku, oraz krzyżem na czubku. Znajdował się w miejscu, w którym ojciec Remi miał serce.

– Poznała już pani ojca Paula. Mówi tylko po włosku i suahilijsku. I trochę po francusku.

Nie powiedział nic więcej. Najwyraźniej gdzieś się śpieszył, gdy tu wszedł, teraz jednak całą swoją uwagę skupił na Kitty. Odniosła wrażenie, że czeka, aż mu wyjaśni cel swojego tu przybycia.

– Szukam siostry Barbary.

– Siostry Barbary? – powtórzył zaskoczony. – Ach, pewnie chodzi pani o pielęgniarkę.

Kitty otworzyła usta, lecz nic nie powiedziała. Wreszcie zaczęło do niej docierać, dlaczego było coś nie tak z tymi budynkami i dlaczego ci dwaj mężczyźni w habitach nazywali siebie ojcami.

– Dlaczego tu przyjechałeś? – spytał ojciec Remi, zwracając się do Afrykanina.

Ten wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Ta biała kobieta prosiła, żebym zaprowadził ją do misji. A tu jest misja.

W trakcie rozmowy mężczyzn Kitty zatrzymała wzrok na drewnianym krzyżu wiszącym nad drzwiami. Widniało na nim nagie ciało Chrystusa, z przybitymi rękami, nogami i spuszczoną

głową. Ta figura coś jej przypominała. Kiedyś w Wattle Creek weszła na teren kościoła stojącego przy końcu głównej ulicy. Wśród wyszukanych nagrobków widziała kilka takich wizerunków. Ale jej uwagę zwróciły posągi aniołów. Na anglikańskim przykościelnym cmentarzu stały jedynie proste płyty nagrobne lub gładkie kamienne krzyże. Zamierzała wrócić tam i naszkicować postacie aniołów, ale ktoś ją zauważył i musiała przyrzec rodzicom, że nigdy więcej tam nie pójdzie. Mówili o tym miejscu tak, jakby należało do obcego kraju.

– To jest katolicka misja – wyjaśnił ojciec Remi, potwierdzając jej przypuszczenia. Machnął ręką w stronę, z której przyjechali, zanim skręcili po raz ostatni. – Pani szuka anglikanów. – Omiótł wzrokiem zniszczony strój safari Kitty. – Jest pani nową misjonarką? Może pielęgniarką?

Kitty pokręciła ze śmiechem głową.

– Nie, ja tylko jestem jedną z żon z Londoni. Pomyślałam, że może będę mogła pomóc siostrze Barbarze. Była w klubie i...

Urwała. Przypuszczenie, że mogłaby służyć pomocą prawdziwym misjonarzom, wydało jej się teraz śmieszne. Pomyślała o stoisku z roślinami doniczkowymi, przykrytym eleganckim obrusem, i ładnie ozdobioną puszką na datki. Panie zmieniały się przy sprzedawaniu roślin, a na drugim stole stał rząd ich torebek, których stale ktoś pilnował. Gdy wszystkie doniczki zostały sprzedane, panie były zmęczone, ale szczęśliwe i gotowe na wzmocnienie się dżinem z tonikiem. Takimi akcjami charytatywnymi zajmowały się angielskie żony.

– Wiesz, gdzie są anglikanie? – spytał Afrykanina ojciec Remi.

Odpowiedź mężczyzny była wymijająca.

– Ta tutaj misja to bardzo dobra misja. Po co miałyby szukać innej?

Jego dalsze słowa zagłuszyło bicie dzwonu. Brzmiał głośno i natarczywie, odbijając się echem od ścian i dochodził od strony kościelnej dzwonnicy. Kilka chwil później, jakby w odpowiedzi,

rozległo się gdzieś niedaleko stukanie metalu o metal.

– Bardzo żałuję, pani Hamilton, ale nie mogę zaprosić pani na poczęstunek. – Ojciec Remi podszedł do drzwi i odsunął zasłonę. – Miło było panią poznać. – Uniósł dłoń w geście, który mógł być błogosławieństwem lub zwykłym pożegnaniem.

Dzwon przestał bić. W zapadłej nagle ciszy Kitty usłyszała warkot pojazdu wjeżdżającego ze zgrzytem pod górę. Gdy podeszła do okna, zobaczyła zbliżającą się ciężarówkę. Przez nieosłonięty tył widać było siedzących w niej czarnoskórych mężczyzn ubranych w jednakowe proste koszule i płócienne spodnie w kolorze złamanej bieli. Towarzyszyli im ciemnoskórzy strażnicy podobni do tych, których widziała w Kongarze przed siedzibą dyrekcji. Theo nazywał ich askarysami. Mieli na sobie bluzy z pasem i fezy i byli wyposażeni w pałki i karabiny z bagnetami. Gdy ciężarówka zatrzymała się, Kitty dostrzegła napis na drzwiach kabiny: „Służba Więzienna”. Nad napisem widniał emblemat – żółta głowa żyrafy z czarnymi kropkami w białym kółku.

Stary ksiądz wstał i powiedział coś do Kitty po suahilijsku, czego nie zrozumiała. Z ruchów jego ręki domyśliła się, że chce, aby wyszła. Jednak nie drzwiami, za którymi zniknął ojciec Remi, ale drugimi, wewnętrznymi, którymi wszedł do pokoju. A więc proponował jej inne wyjście. Przez okno zobaczyła, że więźniowie wysiadają z ciężarówki. Gdyby pojawiła się na podwórzu, ściągnęłyby na siebie ich uwagę.

– Dziękuję – powiedziała.

Afrykanin najwidoczniej chciał nadal pełnić rolę przewodnika, bo ruszył przed nią. Pochód zamykał stary ksiądz.

Znaleźli się na korytarzu, a potem trafili do jadalni z długim stołem pośrodku. Wzrok Kitty przyciągnął wazon z pomarańczowym hibiskusem. W powietrzu unosił się dziwny zapach drożdży, którego nie potrafiła umiejscowić. Już miała podejść do drzwi w drugim końcu, gdy ojciec Paulo odsunął

krzesło i pokazał, żeby usiadła.

– Najpierw musisz się napić wody – powiedział po suahilijsku.

Podszedł do kredensu, gdzie stał dzbanek okryty siatką ozdobioną kolorowymi koralikami. Trzęsąc się ręką nalał wody do trzech szklanek i przeniósł je po jednej na stół. Jej szklanka była stara i porysowana. Miała wątpliwości, czy woda jest przegotowana i przefiltrowana, lecz po krótkim wahaniu wypła kilka dużych łyków. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo była spragniona. Pijąc już nieco wolniej resztkę wody, rozglądała się po jadalni. Na ścianie u szczytu stołu wisiał obraz przedstawiający mnicha w otoczeniu zwierząt oraz oprawione w ramki fotografie księży, w tym jednego czarnoskórego. Usiłowała rozszyfrować dziwny, czarno-biały wizerunek twarzy z brodą i zamkniętymi oczyma. Był niewyraźny, jak wspomnienie snu.

– To nasz Całun Turyński – wyjaśnił ojciec Paulo. – Twarz Chrystusa po śmierci.

– Bardzo interesujące – odpowiedziała uprzejmie. Wolałaby pojechać do misji siostry Barbary, gdzie zapewne mniej byłoby tematyki śmierci.

Stawiając szklankę na stole, znowu poczuła ten dziwny zapach. Pociągnęła nosem, usiłując go zidentyfikować.

– Robimy wino. – Ojciec Paulo wskazał na oszklony kredens z rzędami kryształowych kielichów i butelek bez nalepek. – Chciałabyś spróbować?

– Nie, dziękuję. Powinnam już iść. – Dopła wodę i wstała.

Ojciec Paulo wskazał na drzwi w końcu pokoju, ale nie ruszył się z miejsca. Kitty pożegnała go uśmiechem i poszła w stronę drzwi z przewodnikiem nieodstępującym jej na krok.

Po wyjściu z jadalni poczuła zapach gotowanego jedzenia. Na płycie kuchennej bulgotało w kilku wielkich garnkach. W pomieszczeniu było gorąco i parno. Młody Afrykanin – wysoki i szczupły, ubrany jedynie w szorty i biały fartuch – kursował

między zlewem, kuchnią i ławką. Otarł twarz ścierką wiszącą na nagim ramieniu. Na widok Kitty znieruchomiał zaskoczony. Jej towarzysz powiedział coś, czego nie zrozumiała. Kucharz kiwnął głową, po czym bez ostrzeżenia wcisnął jej w rękę chochlę – emaliowaną łyżkę z drewnianą rączką. Nie zatrzymując się, wziął jeden z garnków, osłaniając gorące rączki ścierkami do naczyń, i wyszedł z kuchni.

Kitty znieruchomiała z chochlą w ręku. Ukryta częściowo za zasłoną wiszącą nad wejściem obserwowała scenę rozgrywającą się na zewnątrz. Kucharz pomaszerował do stołu na kozłach przed kościołem. Na jednym jego końcu stały teraz metalowe kubki i miski. Pojawiły się kolejne dwie ciężarówki i strażnicy pilnowali wysiadających więźniów. Przybyli wcześniej siedzieli w rzędach po turecku na wyłożonym płytami placu. W sumie musiało ich być około stu. Kitty zauważyła numery wymalowane czarną farbą na koszulach, umieszczone nad sercami, przypominającymi naszywkę na habicie ojca Remiego. Nad rzędami siedzących mężczyzn unosił się szum rozmów. Kitty spojrzała na swój samochód stojący w niewielkiej odległości. Mogła przejść obok stołu, odłożyć chochlę i pójść dalej. Nikt nie miałby do niej pretensji. Niektórzy z więźniów przewracali oczyma i trzęśli głowami, jakby byli chorzy umysłowo. Inni mieli puste, beznamietne spojrzenia. Mężczyzna siedzący niedaleko miejsca, w którym stała, miał szeroką bliznę wzdłuż nogi. Mogła sobie jedynie wyobrazić, jakie życie wiedli ci więźniowie, jakie zbrodnie popełnili.

Wzięła głęboki oddech i wyszła na dwór.

Widok białej kobiety sprawił, że przez tłum przelała się fala ciszy. Kątem oka zauważyła, że ojciec Remi pochyła się nad mężczyzną z brudnym bandażem na nodze. W następnej chwili już szedł w jej stronę. Spojrzał na nią pytająco, przenosząc wzrok z jej twarzy na chochlę, którą trzymała w ręku, i z powrotem. Potem kiwnął głową i poprowadził ją do brzegu stołu.



– Może pani tu stanąć. Zaraz przyjdę.

Chciała odpowiedzieć, że wyjeżdża, lecz on już się odwrócił i odszedł spieszenie. Ludzie wołali go, gdy przechodził, zarówno więźniowie, jak i askarysi, pragnąc zwrócić jego uwagę.

Zorientowała się, że stoi przy parującym garnku z gulaszem warzywnym i wiernym przewodnikiem u boku.

– Mam na imię Tesfa – oznajmił uroczystym tonem.

Uśmiechnęła się. Najwidoczniej uznał, że może jej zaufać.

– Jestem Kitty.

– Kitty, musisz wykonać swoją pracę starannie – ostrzegł ją Tesfa, wskazując na chochlę. – Nabieraj tylko raz do pełna. Wszyscy muszą zjeść. Nie możesz przestać.

– Powiedziałaś kucharzowi, że chcę pomóc? – spytała go Kitty.

– Prawdę powiedziawszy, tak – przyznał z powagą w głosie, lecz nie wyjaśnił dlaczego.

Zjawił się kucharz, niosąc tym razem garnek z gęstą, białą owsianką. Postawił go na stole i wręczył Kitty fartuch. Za nim pojawiła się czarnoskóra kobieta w długiej szacie, podobnej do tych noszonych przez księży, tylko w jasnoniebieskim kolorze – z czerwonym mydłem, ręcznikiem i miską z wodą.

Kitty podstawiła ręce pod cienki strumień wody. Różowa piana pachnąca ługiem i środkiem dezynfekcyjnym pokryła jej dłonie. Kitty spuściła głowę, a wtedy włosy opadły jej na twarz. Mimo to czuła wzrok obserwujących ją mężczyzn. Powietrze było gęste od ich badawczych spojrzeń. Gdy wytarła dłonie, popatrzyła po wpatrzonych w nią twarzach, starając się na żadnej nie zatrzymać. Teraz cały plac wypełnił się więźniami. Większość była w kwiecie wieku, dobrze umięśniona i szczupła, kilkoro starszych, ale znajdowali się również tacy, którzy wyglądali jak nastolatki. Twarze więźniów błyszczały od potu, ale ręce i nogi pokrywał czerwony pył. Między rzędami chodzili ich współtowarzysze z wodą do mycia rąk. Askarysi z uwagą obserwowali tłum. Jeden z nich uderzał pałką w dłoń.

Do Kitty podszedł ojciec Remi. Powitał ją szybkim uśmiechem i odwrócił się do siedzących, którzy ucichli i znieruchomieli. Ksiądz przeżegnał się, tak jak Paddy w samolocie przed każdym posiłkiem, startem i lądowaniem. Potem pochylił głowę i przemówił, jak się Kitty domyśliła, po włosku, chociaż nie mogła zrozumieć, dlaczego kieruje słowa do Afrykanów w swoim ojczystym języku. Obce dźwięki przydały jego mowie znaczenia i tajemniczości. Przypuszczała jednak, że kapłan odmawia po prostu modlitwę dziękczynną, tak jak co wieczór jej ojciec recytował znajome frazy, które wstrzymywały wszelki ruch w pokoju aż do końcowego „amen”, po którym następował brzęk noży i widelców. Gdy skończył mówić, sięgnął po drewnianą łyżkę w kształcie łopatki.

– Zaczynamy – powiedział i zanurzył łopatkę w gęstej owsiance, gdy do stołu podszedł pierwszy więzień.

Przez następną godzinę Kitty w ogóle nie podnosiła wzroku. Gulasz składał się z czerwonej fasoli, pomidorów, cebuli i słodkich ziemniaków. Na szczęście nie trzeba było dzielić jedzenia. Porcje były jednakowe. Gdy wpadła w rytm nabierania i nalewania, zaczęła przyglądać się podchodzącym do niej więźniom. Z początku różnili się między sobą jedynie wiekiem i budową, ale w miarę upływu czasu zaczęła dostrzegać szczegóły ich twarzy. Na jednych malowała się wesołość, na innych nieśmiałość. Wyczuwała też mądrość, gniew, rezygnację, a nawet swawolę. Wielu mężczyzn miało znaki charakterystyczne dla plemienia Wagogo – bliznę pośrodku czoła, brak przedniego zęba – inni jednak pochodzili z innych plemion i wszyscy prawie bez wyjątku dziękowali jej za jedzenie.

– *Asante. Asante sana. Asante sana.*

Syczące dźwięki były tłumione przez szuranie stóp i brzęk metalowych naczyń, gdy podnosili kubki i miski.

Gdy pierwszy garnek został opróżniony, kucharz przyniósł następny. Kitty otarła wierzchem dłoni pot z czoła.

– Zmęczyła się pani? – spytał ojciec Remi. – Może pani przerwać. Inni pomogą.

Wskazał łyżką na stojących najbliżej więźniów, kobietę w niebieskiej szacie – zapewne zakonnicę – i innych czarnoskórych w ubraniach w kolorze ochry, którzy dołączyli do tłumu.

– Nie. Dam sobie radę – odparła Kitty i zaczęła nalewać energiczniej, przerażona, że tak łatwo może ktoś ją zastąpić. Zrozumiała, że nie jest niezastąpiona. Przecież zjawiała się tu tylko przez pomyłkę. Jednak z drugiej strony czuła się zazdrosna o miejsce przy garnku z gulaszem. Poza wszystkim uświadomiła sobie, że przez ostatnią godzinę nawet przez chwilę nie pomyślała o sobie. Czuła, że zaszła w niej zmiana – myśli i emocje gdzieś zniknęły, zamiast się pojawiać. Bolały ją nogi, głód ścisnął żołądek, gardło miała wyschnięte, a mimo to buzowała w niej energia. Czuła się lekka, ożywiona i wolna. Jakaś jej część pragnęła zostać tu na zawsze.

# Rozdział szósty

Kitty siedziała na werandzie ze skrzyżowanymi nogami, w świeżo wyprasowanej bawełnianej spódnicy za kolana i spoglądała na widoczne w oddali miasteczko. W przeciwieństwie do miejsca, w którym się dziś znajdowała, Londoni sprawiało wrażenie wymarłego jeszcze bardziej niż zwykle. Gdy przesuwiała w zamyśleniu palcami po sznurze pereł na szyi, przed jej oczyma pojawiały się obrazy minionego dnia. Ogród przy kuchni z bogactwem warzyw i ziół. Jasne grządki kwiatów posadzone wzdłuż zagonów warzyw, jakby kolor miał tu równorzędne znaczenie. Przestronne kurniki. Zagroda z dwoma tłustymi świniami. Staw pełen kaczek.

– Dlaczego wszystko jest takie zielone? – spytała Kitty ojca Remiego, gdy oprowadzał ją po misji. Położenie u stóp gór nie tłumaczyło tak bujnej zieleni.

– Z tamtej góry wypływa źródło. – Wskazał na wzniesienie za sobą. – Doprowadzamy z niego wodę do misji. Mamy jej tyle, ile chcemy.

Towarzyszył im Tesfa i dwójka dzieci, które chichotały onieśmielone za każdym razem, gdy Kitty na nie spojrzała. Ojciec Remi rozluźnił się, gdy więźniowie wyjechali i ciężka praca dobiegła końca. Przystanął i pogładził kota wygrzewającego się na słońcu, a potem zerwał gałązkę tymianku i roztarł ją między palcami, uwalniając ostry zapach.

Kitty schyliła głowę, przechodząc pod krzewem frangipani obsypanym kremowo-żółtymi kwiatami. Wciągnęła w nozdrza mocną woń, pragnąc zniwelować zapach krwi i środków

odkazyjących, które wciąż czuła. Zanim askarysi odprowadzili więźniów do ciężarówek, grupa mężczyzn wystąpiła z tłumu i podeszła do łukowo sklepionej werandy. Ojciec Remi wprowadził ich do dużej sali, w której stała metalowa szafka z lekarstwami w oznakowanych butelkach, pudełkami zawierającymi tabletki, bandażami i innymi środkami medycznymi. Z pomocą starej, czarnoskórej pielęgniarki, którą przedstawił jako siostrę Clare, zaczął opatrywać rozcięcia i rany, sprawdzać oczy i mierzyć temperaturę przy użyciu termometru.

Gdy zaoferowała pomoc, podał jej dettol, środek antybakteryjny, słoik z jakąś maścią i rulon waty. Następnie pokazał, gdzie może nalać wody do miski. Potem skinął na mężczyznę z brudnym bandażem na nodze, którego Kitty już wcześniej zauważyła.

– Proszę zdjąć brudny bandaż i oczyścić ranę. Zanim pani położy opatrunek, proszę nałożyć na ranę trochę maści. Sam ją zrobiłem, dobrze działa. Proszę zawołać, jeżeli będzie pani potrzebowała pomocy.

Więzień usiadł na krześle, a Kitty uklękła przed nim. Gdy odwijala bandaż, uderzył ją w nozdrza kwaśny zapach. Koniec opatrunku przykleił się do rany i zanim zdjęła gazę, musiała zmiękczyć zaschniętą krew ciepłą wodą. Czuła na sobie wzrok ojca Remiego, kiedy odsłoniła wrzód wielkości dużej monety. Prawie całą powierzchnię rany pokrywał strup, lecz na brzegach sączyła się ropa. Kitty zmarszczyła brwi, przypominając sobie, co mówiła Janet. „Rana musi się zagoić od wewnątrz. Pod strupem może kryć się zakażenie”. Wzięła pincetę z emaliowanej nerki i podważyła strup. Spojrzała na więźnia.

– *Samahani*. Przepraszam.

– *Si neno*. Nic się nie stało – odpowiedział mężczyzna.

Nawet się nie skrzywił, gdy zaczęła zdzierać strup. Ciekawe, ile jest w stanie wytrzymać – zarówno w więzieniu, jak i zanim do niego trafił, pomyślała. W końcu udało jej się usunąć cały strup,

odslaniając żywą, jasnoróżową tkankę na tle ciemnej skóry wokół. Wypłynęła z niej czarna ciecz. Kitty przełknęła ślinę, powstrzymując odruch wymiotny.

– *Vizuri*. Dobrze – uspokoiła więźnia.

Oczyściła i zdezynfekowała ranę, po czym kawałkiem waty posmarowała ją pachnącą piżmem maścią i założyła świeży opatrunek. Zastanawiała się, jak długo pozostanie on czysty i kiedy znowu zacznie przeciekać przez niego ropa.

– Mogę prosić nożyczki? – spytała ojca Remiego.

Przyniósł jej, a potem przyglądał się, jak rozcina koniec bandaża, żeby jedną część owinąć wokół nogi i związać z drugą.

– Mówiła pani, że jest tylko żoną – stwierdził. – A ja myślę, że jest pani pielęgniarką.

Pokręciła głową.

– Tylko trochę znam się na tym.

– Słyszałem też, że mówi pani po suahilijsku...

– Tylko trochę – odparła skromnie.

– Siostra Barbara bardzo by się ucieszyła, mogąc poznać panią.

W jego głosie zabrzmiał autentyczny żal. Kitty pochyliła głowę, żeby ukryć zadowolenie. Była tu potrzebna. Miała ochotę powiedzieć, że będzie przyjeżdżać, gdy tylko będzie mogła. Milczała jednak, pozwalając, żeby uwaga ojca Remiego zawisała w powietrzu. Polubiła go – podobała jej się emanująca z niego mieszanka energii i troskliwości. Wyczuła też łagodny charakter w starym ojcu Paulu. Siostra Clara była miła i pomocna, podobnie jak inne osoby, które poznała w misji. Także Tesfa. Spędziła tu zaledwie dwie godziny, a już czuła się wśród nich swobodnie. Ale byli katolikami. Natomiast wszyscy, wśród których ona i Theo się obracali – w klubie, na kortach tenisowych, w dyrekcji lub na dwóch proszonych kolacjach w domach przy ulicy Milionerów – byli protestantami. W każdy niedzielny poranek przychodzili do anglikańskiego kościoła Świętego Michała. Zajmowali ławki zgodnie z pozycją społeczną.

Richard i Diana w pierwszym rzędzie, z członkami zarządu OFC, którzy przyjeżdżali z Londynu. Ona i Theo siedzieli za nimi z Alice i jej mężem Nicholasem. Za nimi zaś personel medyczny, brygadziści, zarządcy i inni przedstawiciele średniego szczebla z rodzinami, i tak dalej.

Kościół katolicki znajdował się na obrzeżach Londoni, bliżej warsztatów naprawczych. W przeciwieństwie do anglikańskiego – rzucającej się w oczy budowli stojącej na wzniesieniu i zwróconej w stronę miasteczka – katolicy spotykali się w dawnym wojskowym hangarze podobnym do tego, w którym był klub, tylko mniejszym. Nie miała pewności, kto do niego chodził. Bez wątplenia Paddy. A także inni inżynierowie z samolotu. Rozglądała się za nimi co tydzień u Świętego Michała, lecz żaden się nie pokazał. Pewnie setki ludzi mieszkających na osiedlu budek oraz w różnych namiotach i okrągłych chatach na terenie Londoni nie chodziło do anglikańskiego kościoła. Na przykład Irlandczycy i liczni tu Włosi. Przyszło jej na myśl, że w projekcie orzeszkowym uczestniczyło więcej katolików niż protestantów. Lecz w kręgach, w których się obracała, nikt o nich nie wspominał. Bo kadra kierownicza i średni szczebel byli Anglikami i protestantami. I trzymali się razem. Katolicy zajmowali niższe stanowiska. Theo nie musiał jej mówić, że równie nieodpowiednie jak uczenie suahili w warsztatach naprawczych byłoby dla jego żony spędzanie czasu w tej misji.

Kitty skończyła bandażowanie i więzień wstał, robiąc miejsce następnemu pacjentowi.

– Kiedy temu człowiekowi znowu zostanie udzielona pomoc medyczna? – spytała ojca Remiego. – Taki opatrunek trzeba codziennie zmieniać.

– Jutro tu wróci. Proszę się nie martwić. Dopilnuję, żeby się nim zajęto.

– Jak często oni tu przyjeżdżają?

– Od poniedziałku do soboty. Pracują na sąsiedniej farmie –

wyjaśnił, szukając czegoś w apteczce. – Więzienie jest zbyt daleko, żeby wracali tam na posiłek. Poza tym dostają tu lepsze jedzenie. I jak pani widzi, możemy im pomóc na wiele sposobów.

Kitty zdjęła prosty plaster z ręki pacjenta, odsłaniając świeże rozcięcie. Zdezynfekowała je środkiem antyseptycznym.

– To farmer, dla którego pracują, powinien odpowiadać za ich posiłki – stwierdziła z oburzeniem. Co to za człowiek, który wykorzystuje pracę bezbronnych więźniów, często chorych i młodych chłopców, którzy powinni się uczyć.

– *Bwana* Taylor płaci za jedzenie i płaci nam za przygotowanie posiłków. Dzięki tym pieniądzązom finansujemy pracę naszej misji. Taki układ jest korzystny dla obu stron.

– Powiedział ojciec „Taylor”?

Kitty przypomniała sobie nazwisko właściciela rozklekotanego pojazdu, którego ona i James spotkali na drodze, a którego Theo nazwał „krytykantem”. Miejscowy biały sabotujący projekt dla ochrony własnych interesów.

Ojciec Remi kiwnął głową.

– Zna go pani? – spytał, aplikując pacjentowi maść do oczu.

Gwałtownie zaprzeczyła.

– Nie, nie.

Rozmowa na tym się skończyła, lecz temat Taylora wrócił później, gdy przechadzali się po ogrodzie. Ojciec Remi poprowadził ją i Tesfę do granicy misji i wskazał na winnicę na zboczu. Za nią znajdowały się kolejne.

– To tam pracują więźniowie – wyjaśnił.

Krzewy winorośli rosły w schludnych i równych rzędach, niczym rzędy namiotów w Londoni. Lecz podczas gdy Kongara przypominała brudny, szaro-biały patchwork, poprzecinany bladymi, zwirowymi drogami, pobliski stok zdołały smugi jasnej zieleni – w odcieniu *winsor green* z dodatkiem żółceni neapolitańskiej – podkreślone czerwoną ziemią. Krzewy wyglądały na zdrowe i zapowiadały dobre zbiory. Jednak te



dalsze były szare i wyschnięte.

– Dlaczego jedne winorośle są zdrowe, a inne martwe?

– Te wyglądające na martwe przycięto po zbiorach – wyjaśnił ojciec Remi. – Inne jeszcze nawet nie kwitły. Mamy rocznie trzy zbiory, dzięki temu, że kontrolujemy nawodnienie. Korzystnie jest rozkładać winobranie w czasie.

Kitty omiotła wzrokiem winnice. To było marzenie farmera: mieć ciepło i wodę przez cały rok. Zarządzać porami roku. Pomyślała z żalem, że mogłaby opisać to miejsce ojcu w liście. Lecz dopóki nie zdarzy się coś, co zasypie dzielącą ich przepaść – na co się nie zapowiadało – nie otrzyma od niego odpowiedzi.

– Ojciec Paulo przywiózł oryginalne sadzonki z Włoch, gdy pojechał odwiedzić siostrę – dodał ojciec Remi. – Zaczęliśmy robić wino mszalne i oczywiście stołowe. To było dwadzieścia lat temu.

– Mieszka tu ojciec tyle czasu?

– Miałem dwadzieścia siedem lat, gdy przyjechałem tu z Włoch.

– Jak często ojciec jeździ do domu?

– Już nie jeżdżę. Od śmierci matki nie mam kogo tam odwiedzać. Podobnie jak ojciec Paulo. Więc obaj mieszkamy tutaj. – Objął wzrokiem okolicę. – Tu jest teraz nasz dom.

Zajął się zbieraniem warzyw do koszyka dla Kitty. Wybrał kilka dużych pomidorów i kolb kukurydzy w zielonych łupinach. Włożył też parę buraków i marchewek, otrząsając je z czerwonej ziemi. Z patykowatego drzewa zerwał dorodną papaję, podsunął pod nos i wciągnął w nozdrza dojrzałą woń. Na koniec dodał garść ziół. Kitty rozpoznała gałązki pietruszki, mięty, tymianku i szalwii.

Już mieli wyjść z ogrodu, bo przyszła pora powrotu Kitty do Londoni, gdy ojciec Remi przystanął i pochylił się nad dużym krzaczkiem o liściach przypominających kształtem koniczynę. Miał około trzydziestu centymetrów wysokości i sześćdziesięciu szerokości.

– Wie pani, co to jest? – spytał.

Z tonu jego głosu wywnioskowała, że ma to dla niego wielkie znaczenie.

– To chyba orzeszek ziemny – domyśliła się. – Pierwszy raz go widzę.

Musnął palcami łodygi i liście.

– To nadzwyczajna roślina.

Kitty uśmiechnęła się uprzejmie. Wyglądała dość zwyczajnie jak na roślinę, z którą wiązano tyle nadziei i oczekiwań.

– Wygląda na rozwiniętą – stwierdziła. – Na plantacjach wciąż orzą.

Ojciec Remi kiwnął głową.

– Będą musieli poczekać na porę deszczową. Nie da się nawodnić tak wielkich pól. – Przykucnął przy roślince. – Gdy w pełni dojrzeje, pojawią się żółte kwiaty – ciągnął. – Żyją tylko jeden dzień, ale pojawiają się następne. To trwa około miesiąca. Roślina sama się zapyla, ale pszczoły też odgrywają tu swoją rolę. Potem płatki kwiatów więdną i zostaje zalążnia – mówił, patrząc na krzaczek. Kitty była wdzięczna, że na nią nie patrzy. Wypowiadane przez niego słowa z melodyjnym, włoskim akcentem miały w sobie odcień intymności, jakby ujawniał coś bardzo prywatnego. – Zalążnia przekształca się w strąk z twardą skorupką. W środku są zalążki dwóch lub trzech nasion. Ma ostry czubek, skierowany w stronę ziemi. We właściwym czasie łodyga kwiatu pochyla się i strąk zostaje wciśnięty w ziemię.

Rozsunął liście, ukazując ziemię, do której trafi strąk z nasionami. Kitty poczuła, że się czerwieni. To nie miało nic wspólnego z ojcem Remim. W jego zachowaniu nie było nic dwuznacznego. Staroświecki strój, naszywka na piersi i fakt, że był księdzem, wyznaczały mu miejsce z dala od zwykłych mężczyzn. Jednak jego słowa wywołały wizję zmysłowości, która objęła swym zasięgiem nie tylko tę małą roślinkę u ich stóp, ale całą pulsującą życiem ziemię. Zapach kwiatów, ciepło promieni

słonecznych na ramionach Kitty, nawet świergot ptaków dochodzący z drzew – wszystko to było jej częścią. Miała wrażenie, że powietrze emanuje płodnością, a nawet seksem. Wróciła myślami do białej sypialni w domu przy ulicy Milionerów. Theo poruszający się nad nią. Jęk rozkoszy wydobywający się z jego ust. Deszcz przebiegający przez ciało, gdy pieścił językiem jej piersi...

Tak było tydzień temu, lecz to wspomnienie przyćmiły rozczarowanie i frustracja związane z samochodem. Teraz odżyło to w niej z nową siłą. Theo wrócił wcześniej z pracy, pocałował ją w usta i wręczył pudełko czekoladek. Było pogniecione, a czekoladki miały biały nalot, wskazujący na to, że przynajmniej raz rozpuściły się w czasie podróży ze Szwajcarii do Kongary. Lecz ten miły gest bardzo ją wzruszył. Przez cały wieczór Theo starał się okazać serdeczność. Wypytywał o to, co robiła, zamiast mówić tylko o swojej pracy. Pochwalił jej ubiór. Kitty zareagowała jak zwiędnięta roślina, gdy zmoczy ją wiosenny deszcz. Tak często Theo bywał wieczorem zmęczony i w złym humorze. Gdy kładli się spać, całował ją, po czym odwracał się na drugi bok i zasypiał. Innym razem po tym, jak przez cały wieczór sprawiał wrażenie chłodnego i zamyślnego, nagle miał ochotę kochać się z nią. Trudno jej było wtedy reagować tak, jak powinna. Jednak tego wieczoru, gdy zaprowadził ją do sypialni, jej ciało było gotowe i pragnęło go.

Kochali się więcej niż raz, z papierkami rozrzuconymi po pokoju i smugami czekolady na pościeli, łącząc czułość z ogniem namiętności. Przypominało to beztroskie dni, zanim zostali mężem i żoną. Uciekali wtedy z Hamilton Hall, czasami jeszcze przed końcem przyjęcia, albo zostawiali Yuriego samego w pracowni. Leżeli na chłodnej, kamiennej podłodze w pawilonie kąpielowym, światło księżycy połyskiwało na nagich ciałach, a aksamitne i tajemnicze światło wieczoru otulało ich swoim płaszczem. Tu, w Londoni, we własnej sypialni i własnym domu,

ich miłość była jeszcze lepsza. Stali się jednym ciałem i duszą.

– Orzeszki ziemne rosną pod ziemią od trzech do pięciu miesięcy. – Głos ojca Remiego przywrócił ją do rzeczywistości. Kiwnęła głową na znak, że słucha. – Potem są gotowe do zbioru. Wystarczy wyrwać roślinę i już są.

Skończył mówić, spojrzał na nią i uśmiechnął się z dumą, jakby był odpowiedzialny za cud, który opisał. Odwzajemniła się uśmiechem i poczuła się wzruszona jego entuzjazmem. Co więcej, zainspirowały ją słowa księdza. Wspomnienie dobroci i miłości okazanej przez Theo tamtego wieczoru dało jej nadzieję. Powinna przestać narzekać i cieszyć się z tego, co ma. Jeśli tylko zdoła utrzymać pozytywne nastawienie, będzie ciepłą, dobrą i szczęśliwą żoną, wszystko się ułoży. Przyjdą kolejne prezenty, romantyczne wieczory i więcej miłości...

\*

Warkot land rovera Theo wyrwał Kitty z zamyślenia. Zerwała się na równe nogi, podeszła do otwartych drzwi balkonowych, po czym zawołała do Gabriela, że *bwana* wrócił do domu.

Usiadła z powrotem na krześle, szykując się na powitanie Theo. Stłumiła wyrzuty sumienia, tłumacząc sobie, że wcale nie zamierzała jechać do misji katolickiej. Trafiała tam przez pomyłkę. Nawet nie warto było o tym wspominać. Gdyby ktoś mu już powiedział, że widział jej samochód, wtedy wszystko wyjaśni. Miała jednak nadzieję, że Theo nigdy się nie dowie, gdzie była. W drodze do domu zatrzymała się przy placu, żeby chłopcy zajmujący się myciem samochodów spłukali grubą warstwę czerwonego pyłu z hillmana. Teraz pokrywał go tylko biały kurz ze zwirowych dróg Londoni. Gdy podwiozła Tesfę do drzewa *manyara*, oddała mu kosz z warzywami i owocami, uznając, że zatrzymanie podarunku od księdza byłoby dla niej zbyt

ryzykowne. Trochę czasu trwało, nim udało jej się przekonać Tesfę, by go przyjął. Czuł się urażony i zdumiony jej niegrzecznością. Żałowała, że nie jest w stanie wytłumaczyć, że pojawienie się w kuchni z koszem pełnym warzyw wywoła pytania, na które nie chciała odpowiadać. Tak dobrej jakości produktów nie można było kupić w małych sklepach zwanych *duka* działających w miasteczku. Gdy przepakowali dary ojca Remiego do siatki, Tesfa zauważył scyzoryk z kościaną rączką, którym ojciec Remi ścinał zioła. Koszyk leżał teraz ukryty w bagażniku, a scyzoryk w schowku. Jedynym dowodem jej przygody był nikły zapach kurzych odchodów na tylnym siedzeniu samochodu.

Theo zatrzasnął drzwi land rovera i nie oglądając się, wbiegł po schodach, witając Kitty krótkim pocałunkiem.

– Boże, muszę się napić. Co za dzień.

Kitty weszła za nim do domu. Theo spacerował niecierpliwie przy barku, podczas gdy Gabriel przygotowywał dżin z tonikiem, a potem whisky z wodą sodową.

– Nie uwierzysz, z czym miałem do czynienia. – Theo poluzował krawat i odpiął kołnierzyk koszuli, czego zwykle nie robił. – W końcu przywieziono nawóz, który już dawno powinien nadejść. Trzeba go rozrzucić na nowych plantacjach. Ludzie, którzy mieli to robić, nigdy nie widzieli nawozu. – Podniósł głos. Zaczął chodzić niecierpliwie po pokoju, nie patrząc na Kitty, gdy mówił. – Okazało się, że rozrzucili cement. Na kolei pomyłono worki i nikt nie zauważył różnicy. Wyobrażasz sobie, co będzie, gdy przyjdą deszcze?

Kitty uniosła szklankę do ust, tłumiąc śmiech. Rozumiała frustrację Theo, ale w jego opowieści było coś komicznego.

Theo wziął drink z rąk Gabriela i wypił spory łyk.

– Ziemia i tak jest twarda. Prawie niemożliwa do zaorania. Miała być piaszczysta gleba, a jest cholerna glina.

Kitty opuściła szklankę, zaskoczona wybuchem Theo. W tym,

o czym mówił, nie było nic zabawnego. Przypomniała sobie walce drogowe, które dziś widziała, ogrodzone płotem i zarastające chwastami.

– Byłoby lepiej, gdyby OFC zatrudniło kilku farmerów zamiast żołnierzy i marynarzy. Większość pracowników, z którymi mam do czynienia, nie ma pojęcia o tym, co robi. – Urwał nagle i odwrócił się do Gabriela, wskazując w stronę kuchni. – Zostaw nas. – Gabriel znieruchomiał, zaskoczony szorstkim tonem. Theo zrobił krok w jego kierunku. – Wyjdź! – krzyknął. – No już.

Gdy Gabriel uciekł, Kitty popatrzyła na Theo zaskoczona. Rozumiała, że jest zły na siebie za to, że krytykował OFC w obecności czarnoskórego służącego. Nie powinien tego mówić nawet żonie. Mimo to była zszokowana jego zachowaniem. Krzyczenie na służbę było w Hamilton Hall czymś niewyobrażalnym.

Gdy Theo nalewał sobie kolejną porcję whisky, podeszła do okna, pozwalając mu odzyskać równowagę. Słyszała, jak siada w fotelu i stawia szklanekę na stoliku.

– Przepraszam – powiedział w końcu. – To niewybaczalne z mojej strony.

Kitty milczała. Sądziła, że przywoła Gabriela i przeprosi go. Chociaż czasami zachowanie służącego w stosunku do niej graniczyło z bezczelnością, to nie zasługiwał na takie traktowanie. Ale gdy zastanawiała się, co powiedzieć, przypomniała sobie o postanowieniu, jakie podjęła w ogrodzie na terenie misji. Przed kilkoma dniami, gdy opalały się przy basenie, Pippa przeczytała im fragment artykułu zamieszczonego w jednym z czasopism.

– Jak być idealną żoną – zaanonsowała poważnym głosem tytuł artykułu. Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę, nawet Diany. – Rozumie się samo przez się, że wygląda i pachnie czarująco. Lecz to nie wystarczy. Idealna żona jest zawsze gotowa nieść pocieszenie i otuchę. Nigdy nie krytykuje i nie

udziela rad. Jej dom to sanktuarium dla męża, który cały dzień ciężko pracował..

Kitty podeszła do Theo, stanęła za jego fotelem, położyła mu dłonie na ramionach i pocałowała w czubek głowy.

– Biedy Theo – mruknęła. – Na pewno jutro będzie lepiej.

Poczuła, jak mięśnie jego ramion się rozluźniają. Przykrył dłońmi jej dłonie i zacisnął palce jak ktoś, kto boi się upaść. Kitty odwzajemniła ucisk. Poczuła się silna, gdy się tak nad nim pochylała, ofiarowując wsparcie, którego potrzebował. To jest jej zadanie, pomyślała. Po to tu jest. Ma stać przy boku Theo i być jego żoną.

# Rozdział siódmy

Kitty stała przy barze i obserwowowała, jak Alfred i drugi kelner pochylają się nad młynkiem do kawy. Z Londynu dotarł wreszcie ekspres do kawy i klienci klubu bardzo chcieli spróbować świeżo zmielonych ziaren. Mężczyźni spróbowali włączyć młynek i cofnęli się, gdy zabrzmiał głośny warkot, po czym patrzyli zaskoczeni, jak młynek podryguje na blacie pod wpływem wibracji, jakby obudził się do życia.

Niedaleko miejsca, w którym stała, opierali się o bar dwaj mężczyźni. Skinęli jej głowami, lecz się nie przedstawili. Sądząc po grubych garniturach i spoconych twarzach, musieli być gośćmi z Londynu.

– To szczywany stary lis – powiedział wyższy, pogryzając orzeszki z miseczki stojącej na ladzie. – Musisz mu to wręczyć.

– Co zrobił tym razem?

Kitty słyszała ich wyraźnie. Zastanawiała się, czy nie powinna odsunąć się taktownie. W ogóle nie powinna tu stać, lecz siedzieć z paniami za japońskim parawanem, czekając, aż kelner ją obsłuży. Chciała jednak choć na chwilę uciec od grupy i wyszła, żeby spytać, dlaczego nie dostała jeszcze kawy. Tego ranka atmosfera wśród pań była napięta. Prawie od tygodnia Diana chorowała na malarię. Z początku jej nieobecność sprawiła, że zapanowała swobodniejsza atmosfera. Pomimo prób Alice wejścia w rolę Diany jako głównej *memsahib* czuły, że nie muszą się z nikim liczyć. Eliza zamówiła dzin z tonikiem przed południem i popijała go, szydelkując kwadraty. Pewnego ranka Audrey poszła na drugi koniec sali do dzieci i ich opiekunki.



I w dodatku przyszła do klubu w spodniach. Pippa i Evelyn swobodnie plotkowały. Nawet ośmieliły się kwestionować to, że Diana choruje na malarię, ponieważ wszyscy w Kongarze brali co niedziela tabletki chlorochiny równie regularnie, jak chodzili do kościoła. Nie potrafiły jednak powiedzieć, jaka dolegliwość trzyma ją w domu tak długo. Jednak to uczucie wolności i ekscytacji nie trwało długo. Zapanowała nudna atmosfera, przerywana irytującymi sprzeczkami.

– Jeden z kierowców buldożera przewrócił baobab na plantacji numer trzy – ciągnął wysoki mężczyzna. – No wiesz, to takie dziwne drzewa z szerokim pniem.

– Widziałem je. Brzydactwa.

– I wypadła z niego czaszka.

Ktoś zaczął grać na pianinie i dźwięki zagłuszyły słowa. Kitty utkwiała wzrok w kontuarze, ale przysunęła się bliżej, żeby usłyszeć, co było dalej.

– To była katastrofa. Okazało się, że te baobaby są często puste w środku i miejscowi chowają tam zmarłych, zwłaszcza takich, którzy zakończyli życie w przykrych okolicznościach. – Rozłożył ręce. – Czarnoskórzy pracownicy nie pozwolili dalej karczować. Powiedzieli, że spokój ducha przodka został zakłócony. Wezwano więc Strattona, żeby zdecydował, co robić. – Urwał dla większego efektu. – Ten poszedł do lokalnego wodza i powiedział mu, że dobrze się stało, iż otwarto grób, bo skoro zburzono spokój ducha nieznanego przodka, to mogą wykorzystać jego mądrość. Błyskotliwe posunięcie. – Mężczyzna zamilkł, nie mogąc powstrzymać wesołości.

– No i co dalej?

– Teraz gdy Stratton spotyka się z Afrykanami – urządza naradę na wzgórzu za dyrekcją – przynosi ze sobą tę czaszkę. Kładzie ją na sąsiednim krześle, a ona szepcze mu do ucha mądrości. Afrykanie zgadzają się na wszystko, co ten duch mówi.

Niższy mężczyzna otarł czoło chusteczką i pokręcił głową.

– Boże, co za miejsce. Wiadomo, że są prymitywni, ale że aż tak...

Kitty uniosła wzrok i zauważyła, że kelnerzy również słuchali tej rozmowy. Ich twarze nie wyrażały żadnych uczuć, ale gdy Kitty spojrzała w oczy Alfredowi, ujrzała w nich czający się gniew. Anglicy w ogóle nie zwracali na nich uwagi.

– Jeden z chłopaków wybrał się do wioski zwerbować ludzi do pracy – ciągnął wysoki mężczyzna. – Była dość daleko, bo musiał zostać w niej na noc. – Zadrżał na myśl o tym. – Wódz przyprowadził mu tuzin dziewczyn. Myśleli, że będzie chciał wziąć jedną do chaty. Oczywiście odmówił. Koszmarny pomysł.

Alfred chwycił młynek i przesunął go po barze na długość sznura. Gdy znalazł się przed Anglikami, włączył maszynkę. Gdy głośny warkot przerwał ciszę, mężczyźni spojrzeli zaskoczeni na kelnera. Ten wysoki już chciał rozkazać Afrykaninowi, żeby zabrał hałasujący przedmiot, lecz też musiał dostrzec coś w wyrazie twarzy czarnoskórego barmana. Obrócił się więc na pięcie i odszedł, a za nim jego towarzysz.

Kitty ponownie napotkała wzrok Alfreda. Wiedziała, że powinna okazać dezaprobatę, kiedy jednak przypomniała sobie oburzone i zaskoczone twarze mężczyzn, uśmiechnęła się mimowolnie. Alfred również się uśmiechnął. Ale trwało to krótko. Oboje zaraz spoważnieli. Akt niesubordynacji Alfreda był tak mały, a brak szacunku dla jego współplemieńców okazany przez tych Anglików ogromny. Kitty chciała przeprosić za swoich rodaków. Alfred patrzył na nią, jakby czekał na jej słowa.

– Moja kawa – mruknęła w końcu. – Czy mogę wiedzieć, kiedy ją dostanę?

– Za chwilę, *memsahib* – padła odpowiedź. – Proszę wrócić na miejsce. Zaraz podam.

Gdy Kitty dotarła do stolika pań, okazało się, że Alice poszła do toalety, a Pippa opowiadała o jakimś przyjęciu na końcu ulicy Milionerów, w którym brała udział.

– To była bardzo dziwna impreza. – Zniżyła głos do szeptu, zmuszając słuchaczki do pochylecia się w krzesłach.

Evelyn uniosła brwi.

– Dlaczego? Co tam się działo?

– Pod koniec wieczoru mężczyźni wrzucili swoje kluczyki do samochodów do miski. To była taka gra. Najwyraźniej już w nią grali. Żony miały zawiązane oczy i losowały kluczyki. Potem wychodziły z właścicielami tych kluczyków. – Pippa urwała i popatrzyła po słuchaczkach. – Spędziły z nimi noc.

– To znaczy, że...

Pippa kiwnęła głową.

Zapadła cisza. Kitty usiłowała zrozumieć sens tego, co zostało powiedziane. Kiedyś w chacie postrzygaczy podsłuchiwała, jak jeden z grających w karty mężczyzn proponował noc z żoną drugiego jako spłatę długu. Ale co innego wyobrazić sobie zdarzenie opisane przez Pippę, które miało miejsce przy ulicy Milionerów – w domu takim jak jej, z różowymi ręcznikami w łazience.

– A ty to zrobiłaś? – pytając o to, Evelyn spojrzała w stronę toalety.

– Oczywiście, że nie – odparła Pippa. – Wróciliśmy do domu. Ale inni zostali. Carrutherowie, Bennetowie, Wilsonowie...

Zapadła pełna zaskoczenia cisza. Kitty знаła te nazwiska. Byli z Theo na kolacji u Wilsonów. Pani Wilson była gruba i miała jaskrawy makijaż, jakby chciała odciągnąć uwagę od swojej tuszy. Kitty zastanowiła się, który z mężów spędził z nią noc.

– Czy Gerard chciał, żebyś wzięła udział? – dopytywała się szeptem Evelyn.

Rumieniec zabarwił policzki Pippy.

– Nie, nie. Nie chciał – odpowiedziała szybko. – A nawet gdyby chciał, nie zrobiłabym tego. To obrzydliwe. Przekazywać sobie żony jak...

Powiedziała to obronnym tonem, jakby żałowała, że w ogóle

podzieliła się tą informacją z paniami.

Evelyn pokręciła głową zdumiona.

– Dlaczego one się na to godziły?

Eliza się uśmiechnęła.

– Bo może chciały. – Zachichotała złośliwie. – Może były znudzone własnymi mężami. Mogły...

– To nic śmiesznego – weszła jej w słowo Audrey. Specjalnie mówiła głośno. – Ktoś może uważa, że cudzołóstwo jest dopuszczalne. Osobiście nie rozumiem, jak można spać z czyimś mężem.

Atmosfera nagle zgęstniała. Audrey patrzyła prosto na Sally, siedzącą na wprost niej. Sally spuściła głowę, lecz krótkie, czarne włosy nie zasłoniły jej twarzy. Miała zaciśnięte usta i wzrok wbity w podłogę.

– Dlaczego jedna kobieta niszczy życie drugiej?

Audrey zwracała się teraz bezpośrednio do niej. Twarz jej poczerwieniała. Różowy odcień gryzł się z kręconymi włosami w kolorze pomarańczy.

Sally tak mocno zacisnęła palce na podłokietnikach, że kłykcie jej zbieleły. Kitty obserwowała całe zdarzenie z szeroko otwartymi oczyma. Czy możliwe, żeby Sally miała romans z mężem Audrey? Naczelnym lekarzem, ojcem Dickie'ego i Fiony... Kitty patrzyła na chude, zgarbione ramiona Sally. Ze wszystkich kobiet, które spotykały się w klubie, ją znała najslabiej. Była żoną Alana Cara, naczelnego weterynarza, i miała, jak Theo mówił, „regionalny akcent”. Rzadko bywała w klubie, a gdy przychodziła, mało się odzywała, nigdy nie pływała i zawsze wracała do domu na lunch.

Nagle Sally zerwała się z krzesła i odeszła od stolika, potrącając jeden z japońskich parawanów.

– O rety – mruknęła Evelyn, zagryzając wargę.

Audrey prychnęła, nie okazując skruchy.

– To żaden sekret. Biedna Cynthia.

– Przynajmniej jest wdową, nie rozwódką – stwierdziła Pippa i zadrżała. – Wyobraźcie sobie, gdyby jej mąż ją zostawił i uciekł z Sally.

Kitty obserwowała twarze kobiet siedzących przy stole. Jak mało o nich wiedziała. Była w Tanganice od ponad dwóch miesięcy, spędzała wiele godzin w ich towarzystwie, a nie miała pojęcia, co się dzieje w ich życiu. Wyglądało na to, że Sally miała romans nie z mężem Audrey, lecz Cynthii – majorem Wainwrightem. Dlatego była taka przygnębiona? Bo opłakiwała utratę kochanka i jego straszną śmierć? Kitty zastanawiała się, czy Theo też jest takim ignorantem jak ona. Ale przecież nie zapytałaby go o to. Nie chciała wyjść na naiwną czy – jeszcze gorzej – na plotkarkę.

Pełna skrępowania cisza trwała do powrotu Alice z toalety, która wyjęła z torebki notes, szykując się do przekazania informacji z ostatniego zebrania dotyczącego publikacji ich biuletynu „Łupina Orzecha”. Gdy zaczęła mówić, zapanowała atmosfera spokoju. Panie chłonęły jej słowa jak dzieci cieszące się, że ktoś znowu wziął sprawy w swoje ręce.

\*

W ciemnym wnętrzu arabskiej *duki* panował wilgotny upał. Kitty przechadzała się wąskimi przejściami wzdłuż zastawionych towarem półek, omijając worki i ostre rogi metalowych skrzyń. W ofercie znajdowały się wszystkie produkty, które można kupić w typowym angielskim sklepie – proszki do prania, kremy do golenia, szczoteczki do zębów, pasty do butów i tym podobne. Ale tu i tam można było zauważyć również egzotyczne towary, takie jak bransolety, jedwabne dywaniki modlitewne, butelki z wodą różaną i syrop z granatów.

Kitty nie szukała czegoś specjalnego, po prostu nie chciała

jeszcze wracać do domu. Do lunchu pozostała godzina, a potem całe popołudnie. Wróciła myślami do czasów, gdy nie była jeszcze żoną Theo. Dni wydawały się wtedy zbyt krótkie na to, żeby zrealizować wszystko, co pragnęła zrobić. W studiu malarskim w domku ogrodnika pracowała do późna w nocy, często w towarzystwie Yuriego. Godziny zmieniały się w minuty, spędzane w przyjemnej ciszy lub wypełnione pełną żaru ekscytacją. Zamknęła oczy, przypominając sobie delikatne pociągnięcia pędzla na naprężonym płótnie lub długie, płynne linie przypominające pełne gracji ruchy tancerza...

Odsunęła od siebie to wspomnienie. Te dni się skończyły. Skupiła się na wystawionych na półkach puszkach i butelkach, odczytując zakurzone nalepki. Ale myśli i tak płynęły. Wyobraziła sobie, co się teraz dzieje w misji. Przyjadą ciężarówki, a askarysi będą nadzorować wysiadających więźniów. W kuchni będzie trwał wzmożony ruch, a na kuchni będzie bulgotać w garnkach...

Ale to też nie był jej świat.

Zdjęła z półki kapelusz z szerokim, miękkim rondem, po czym odłożyła na miejsce. Zauważyła, że Ahmed obserwuje ją zza lady, a na ścianie za jego plecami wisi cały arsenał broni. Był niezwykle przystojnym mężczyzną, o oczach z ciężkimi powiekami, orlim nosie i karnacją przypominającą pięknie opaloną skórę. Czarny, luźny turban wyglądał, jakby za chwilę miał spaść, ale nigdy nie spadał. Długą szatę przewiązywał szarfą, za którą zatykał wygięty srebrny sztylet. Za każdym razem, gdy tu przychodziła, palił fajkę wyglądającą jak długa świeca z przyklejonym do niej węzłem leżącym na ladzie. I tym razem było podobnie. Wciągnął dym przez pojemnik z wodą, wywołując długie, gulgoczące dźwięki, płynące do miejsca, w którym stała. Poczowała unoszący się w powietrzu aromatyczny dym, zmieszany z zapachem przypraw, skóry i mydła. Rozejrzała się wokół i jej wzrok wychwycił złoty haft i blask kolorowego

szkła. Podeszła do ozdobnego, mosiężnego przedmiotu z otworami przy dnie. Nie miała pojęcia, co to jest.

– Pani Hamilton.

Obejrzała się i zobaczyła, że Ahmed przywołuje ją do lady.

– Mam coś specjalnego. Tylko dla pani.

Gdy podeszła, wyjął spod kontuaru zwój jedwabnego, błyszczącego materiału w kolorze ciemnej pomarańczy. Rozwinął kawałek i ułożył na kontuarze w miękkich fałdach.

– Jest bardzo piękny.

Kitty ujęła brzeg w palce. Miał miękkość i lepkość czystego jedwabiu.

– Wyszłaby z tego bardzo piękna sukienka dla pani. A może chciałaby pani bluzkę?

Kitty uśmiechnęła się w zamyśleniu. Oczyma wyobraźni ujrzała obraz, ale nie sukienki czy bluzki, lecz parę szerokich szarawarów i rozkloszowaną spódnicę.

Ahmed wyjął zza kontuaru parę wielkich nożyc.

– Ile pani chce?

Kitty uniosła dłoń.

– Zastanowię się.

Ignorując pełne irytacji westchnienie sprzedawcy, wróciła do rzędów półek, udając, że interesują ją porcelanowe zwierzęta. Patrząc na psa ubranego w spódniczkę z falbankami i utrzymującego piłkę na nosie, czuła połysk pomarańczowego materiału za plecami.

Przed jej oczyma pojawił się Yuri, trzymający spódnicę i spodnie. Uniósł je do światła, a następnie ułożył na szezlongu. Dodał do tego obcisłą górę i dwa szale. Pomarańczowe tony przeplatały się z fioletowymi i zielonymi, i błyskami złota. Spod zapachu kulek na mole przebijała intensywna woń, która przypomniała Kitty butelkę francuskich perfum babci.

– Kolory wybrali artyści – wyjaśnił Yuri, przesuwając po jedwabiu dłonią świeżo umytą, ale nadal poplamioną farbą. – Do

przedstawienia baletowego *Szeherezada*.

Kitty jedynie kiwnęła głową. O balecie wiedziała tylko to, co usłyszała od znajomej, która wzięła kilka lekcji. Dziewczyna pokazała jej, jak trzymać wysoko głowę, jednocześnie opuszczając ramiona, i unosić ręce, układając je w elegancki łuk.

– To była zupełna nowość. Zanim Bakst zaczął projektować dla Baletów Rosyjskich Diagilewa, kostiumy tancerek były jasnoróżowe, fioletowe, miętowozielone. Wykorzystał mocne kolory i połączył je. Niebieski z fioletowym, czerwony z żółtym, zielony z pomarańczowym. – Yuri wziął spódniczkę. – Oczywiście te ubrania nie zostały uszyte na scenę. Popatrz na szwy i ich wykończenie. Uszyła je Anna Chernova, krawcowa z Moskwy. – Pokazał Kitty odręcznie podpisaną etykietkę przyszytą do paska w talii z nazwiskiem autorki. – Była jedną z pierwszych krawcowych zainspirowanych Baletami Rosyjskimi. Na długo przed Coco Chanel. Cesarzowa Aleksandra, ostatnia władczyni Rosji, nosiła jej suknie.

Yuri umilkł. Uniósł jedwab i ukrył twarz w jego fałdach. Kitty patrzyła w milczeniu, domyślając się, że uniosła go fala wspomnień – egzotycznych wspomnień, których nie potrafiła sobie nawet wyobrazić – o sławnych ludziach, miejscach i zdarzeniach. Wciąż nie mogła przyzwycząić się do myśli, że jest tu z nim. Książę Yurievitch i Kitty Miller z Wattle Creek.

Nie spytała go, skąd ma te stroje. Zbyt krótko wtedy z nim mieszkała. To było, jeszcze zanim Theo sfrunął w jej życie w tym małym czerwonym samolocie. W tamtym wczesnym okresie wolała zbierać informacje, skąd się dało, niż szukać ich bezpośrednio i ryzykować ujawnienie swej bezgranicznej niewiedzy. Nie chciała zrobić niczego, co mogłoby narazić jej prawo do mieszkania w domku ogrodnika. Mężczyźni lubili prywatność. Ojciec nie lubił mówić nawet o najważniejszych sprawach, jakby informacje były skarbem, którego należało strzec. Jeżeli wspominał o planach dotyczących farmy, podróży



do miasta czy opowiadał o dorastaniu w Seven Gums, robił to tylko wtedy, gdy – i jeżeli – uznał, że powinien. Kitty bardzo wcześnie przekonała się, że niemądrze jest wścibiać nos.

Yuri podał Kitty jedwabną spódnicę, wracając do rzeczywistości, jakby przeszłość w ogóle nie istniała. Wręczył jej pozostałe części garderoby i poprowadził do parawanu, żeby mogła się przebrać. Zdjęła swoje ubranie, proste i tanie, nie kłopotząc się nawet, aby powiesić je na kołku. Słyszała wiatr szarpiący okiennicami. Nastąpiła zima, lecz w domu było ciepło. Yuri miał mnóstwo piecyków elektrycznych, które włączał, gdy ktoś mu pozował. Schyliła się i podniosła chusteczkę leżącą na ziemi. Ozdobiona koronką miała wyhaftowaną literę L w rogu. Musiała ją zgubić Lucinda. Nie było jej tu od tygodni, ale jej portret dominował w studiu. Kitty starała się na niego nie patrzeć. Było coś denerwującego w jej długim, chudym ciele leżącym na szeszlunku. Wyglądała na spiętą pomimo wygodnej pozy. I trzymała głowę pod dziwnym kątem. Główny problem tkwił jednak w wyrazie czarnych oczu. Sprawiała wrażenie udręczonej, znękaney i zziębniętej pomimo różowej barwy ciała. Yuri jak zwykle nie był zadowolony z obrazu.

– Malowanie obrazu to jak próba uchwycenia snu – powiedział.  
– Rośnie i zmienia się przed twoimi oczami. Twoje ręce nie są twoimi. Nigdy nie zdołasz opanować tego procesu, ale nie możesz się poddawać. – W jego głosie brzmiały rozpaczliwe tony, jakby, podobnie jak ciało Lucindy, był w szoku. – W końcu pozwalasz mu odejść. Zrobiłaś drobny krok. Może jesteś bliżej tego marzenia albo tego koszmaru niż przedtem. Tylko na tyle możesz liczyć.

Jean-Jacques, marszand Yuriego, miał przyjechać po portret lada dzień, żeby wystawić go w Londynie lub też w Paryżu. Kitty odetchnie z ulgą, gdy już go nie będzie. Yuri też. Najwyraźniej trudno mu było mierzyć się z własnymi obrazami. Z wyjątkiem jej portretów. Ale one nigdy nie trafią do Jeana-Jacques'a.

Wszystkie znajdowały się tu, w pracowni, oparte o ścianę i przykryte kretonową płachtą. Kitty mieszkała w domku od trzech miesięcy. Zbiór płócien robił się coraz większy – było ich już piętnaście. Dziwnie się czuła na myśl o tym, że jej twarz tyle razy się powtarza. Każda wersja była inna i jednocześnie taka sama. Rzadko się zdarzało, żeby Yuri malował kogoś więcej niż raz. Gdy poznał tajniki czyjś ciała, szukał następnego. W przypadku Kitty pragnął uchwycić tamto pierwsze spojrzenie. Rosyjskiej dziewczyny.

Bez skrupułów zeszkrobywał farbę z płótna, niszcząc pracę wielu dni. Modelki musiały przychodzić tak długo, dopóki nie był zadowolony z tego, co osiągnął. Nie przeszkadzało im, że nie płacił im za poświęcony mu czas. Wybierał twarze i ciała, które go interesowały, zamiast polegać na profesjonalistkach oferujących swoje usługi. Lucinda była studentką malarstwa, która czuła się zaszczycona tym, że może pozować Yuriemu i przy okazji nauczyć się czegoś. Młodzieniec, który mu czasami pozował, Edward, też studiował w Slade. Amelia przyjeżdżała sportowym samochodem z długim, jedwabnym szalem powiewającym na wietrze. Była bogatą, samotną fryzjerką. Yuri ją rzeźbił. Wyszła na grubszą niż w rzeczywistości, o grubo ciosanych rysach twarzy. Ale nie obraziła się. Jedną z modelek, którą Kitty poznała, była żona znanego dramaturga. Wszystkie rozbierały się bez skrupowania i pozwalały Yuriemu układać dłonie, ręce, nogi zgodnie z jego upodobaniem, a włosy tak, żeby leżały na ciele. Amelia nie wkładała nawet szlafroka podczas przerwy. Chodziła po pracowni, popijając herbatę, a jej ciężkie piersi kołysały się przy każdym kroku. Gospodyni Yuriego nie wchodziła do pracowni, gdy były w niej modelki, i stawiała tacę z herbatą przy drzwiach. Ale to był jej wybór, nie ich.

Gdy Kitty spędziła sporo czasu na szkicowaniu Borysa, szkieletu stojącego na stojaku w hallu, lub Claudiusa, rzymskiej

rzeźby pożyczonej z Hamilton Hall, Yuri zaprosił ją, żeby usiadła obok niego przy sztalugach i wykorzystwała jego modelki. Z początku było to dla niej straszne. Musiała nie tylko przyzwyczaić się do ich chłodnych spojrzeń, obserwujących jej pracę, ale również pokonać wstyd z powodu ich nagości. Nie była w stanie zmusić się, żeby narysować Edwarda. W pracowni Yuriego modele nie wkładali bawełnianych majtek jak w szkole Slade'a. Młody mężczyzna pozował nago, z rozstawionymi nogami. Nie chciała nawet spróbować uchwycić kawałkiem węgla ułożenia penisa. Jednak Yuri nalegał, żeby próbowała. Zasady obowiązujące w towarzystwie nie mają zastosowania w pracowni, wyjaśniał. Nie ma nic wstydliwego – czy osobistego – w nagim ciele. To esencja ludzkiej istoty. Mówił o tym z pasją i poświęceniem, z jakimi oddawał się swojej pracy. Tłumaczył, że akt to największe wyzwanie dla malarza, największe osiągnięcie. Dowodem na to jest cała historia sztuki – poczynając od malunków naskalnych, a kończąc na dziełach współczesnych mistrzów. Podobnie jak meble w najpiękniejszych angielskich pałacach. W Hamilton Hall nagie ciała pojawiały się na licznych obrazach, rysunkach i akwafortach. Było też kilkanaście rzeźb przedstawiających nagie postaci, od małych cherubinków na sekretarzyku Louisy, Wenus stojącą w środku stawu z liliami, po mężczyznę z listkiem figowym, który zdobił główny hall.

Modelki po skończonej sesji zawsze zostawały dłużej na kieliszek wina, chleb i ser. Yuri nigdy nie zapraszał, by zanocowały, ale zawsze odwoził je na stację swoim morrisem. Dwie inne odjeżdżały własnymi samochodami. Kitty czuła, że chciały ją traktować protekcjonalnie, ale nie były pewne jej statusu. Co prawda, Yuri przedstawiał ją jako przyjaciółkę, widziały jednak, że jest również uczennicą i gościem w jego domu. Nie była pewna, czy wiedzą, że ona też mu pozowała. Może któraś uniosła zakurzony pokrowiec i odkryła jej portrety. Jeżeli tak, to ciekawe, co sądziły o tym, że malował ją tyle razy.

I że nie była naga jak one, i miała na sobie kosztowne stroje, których nigdy nie widziały.

Pewnego dnia Amelia spytała, czy jest daleką krewną księcia, jakby miało to tłumaczyć jej obecność w domku ogrodnika. Kitty opowiedziała jej, jak poznała Yuriego i została zaproszona do niego do domu. Nie brzmiało to przekonująco zarówno dla Amelii, jak dla Kitty. Nadal uważała, że Yuri popełnił błąd. Zobaczył w niej coś lub kogoś, kim tak naprawdę nie była. A gdy zda sobie sprawę z pomyłki, odeśle ją.

Ta myśl sprawiała, że robiło jej się zimno w środku. Rozpaczliwie pragnęła zostać tu z Yurim. Zgodnie z daną obietnicą dawał jej lekcje rysunku, malarstwa, anatomii, rzeźby, a nawet historii sztuki. I był pod wrażeniem postępów, jakie robiła, mówiąc, że ma naturalny talent. Jeżeli będzie ciężko pracowała, może zostać utalentowaną artystką. Jego wiara w nią sprawiała, że jej ręce stawały się zwinne, oko wytrawne, a ostrość widzenia doskonała. To było jak sen, który się ziścił.

Ale nie tylko naukę ceniła wysoko czy możliwość pracy przy boku sławnego artysty. Przez całe dzieciństwo musiała walczyć o to, by zwrócić na siebie uwagę. W rodzinie zawsze ważniejsi byli jej bracia. Byli młodszy i bardziej hałaśliwi. Może nawet bardziej interesujący. W końcu rodzina farmerska miała więcej korzyści z syna niż z córki. Tu, w tym letnim domku, Kitty miała Yuriego wyłącznie dla siebie. Jeśli chodziło o jej malarskie umiejętności, był surowym nauczycielem, chwalał jedynie wtedy, gdy miało to uzasadnienie. Ale w innych sprawach wychodził z roli i wspierał swą podopieczną. Gdy eksperymentowała z ubiorem lub fryzurą, nigdy jej nie zawstydzał. Raczej chwalił jej gust. Poczwała, jak rośnie w niej pewność siebie. Zaczęła wierzyć, że pewnego dnia znajdzie swój własny styl, jak ta rudowłosa dziewczyna, którą spotkała w Muzeum Brytyjskim.

Gdy Yuri na nią patrzył, czuła się piękna. W jego oczach

dostrzegala podziw, którego nie widziała u chłopców w Wattle Creek. Nawet u tego irlandzkiego postrzygacza, który adorował ją przez dwa sezony, a trzeciego w ogóle nie pokazał się w Seven Gums. Yuri z nią nie flirtował i nie wprowadzał jej w zakłopotanie swoim zachowaniem. Oczywiście był dla niej za stary. Ale on nigdy z nikim nie flirtował. Dostrzegala, jak kobiety usiłują go uwodzić – modelki, znajome, które go odwiedzały, a nawet jedna z pań z miasteczka. I lady Hamilton. Gdy Yuri pierwszy raz przedstawił jej Kitty – po prostu informując, że młoda artystka z nim mieszka, nie przejmując się tym, że powinien uzyskać na to zgodę – było oczywiste, iż pani z wielkiego domu jest pod jego urokiem. Lecz on był nieczuły na jej wdzięki, tak jak i na wdzięki innych kobiet. Kitty podejrzewała, że w tym tkwił jego urok.

Jego życie skrywał welon tajemnicy. Początkowo sądziła, że utrzymuje się ze sprzedaży obrazów. Zawsze znajdował pieniądze, chociaż czasami musiał czekać na nie tygodni. Pewnego dnia powiedział jej, że ma inne źródło dochodu. Gdy uciekł z Rosji w czasie rewolucji – ponieważ bolszewicy mordowali każdego, kogo oskarżyli za wspieranie cara – zabrał ze sobą walizkę pełną kosztowności. Były tam ozdoby inkrustowane brylantami, cenna biżuteria, rzadkie zegarki i złote figurki. Od przybycia do Anglii poświęcał rodzinne pamiątki na opłacanie rachunków, sprzedając skarby, które kochał od dzieciństwa. Ale nie przejmował się tym, jeżeli dzięki nim mógł kontynuować pracę. Nie wiedziała, czy dużo mu jeszcze zostało tych kosztowności czy wkrótce się skończą. Nie dbał o budżet i nie miał planów na przyszłość. Zastanawiała się, czy jego życie w tym małym, wynajętym domku jest perwersyjną odpowiedzią na utratę dawnego świata, z tak wielkimi przywilejami i zaszczytami, że nie potrafiła sobie ich nawet wyobrazić, gdy o nich opowiadał. Styl życia Hamiltonów w porównaniu z balami w pałacu cesarskim i przyjęciami w majątkach wydawał się bezbarwny i niewyszukany. Lecz teraz musiał zaakceptować

niechciane meble zebrane z budynków przyległych do pałacu – fotele z wystającymi sprężynami, szafkę z urwanym zawiasem i odpadającymi drzwiami, chwiejący się stół. Jednocześnie zatrudniał gospodynię i pił drogie wina. W tym wszystkim było jakieś szaleństwo i beztroska. Pod pewnymi względami żył jak dobrze zarabiający artysta, który osiągnął sukces. Pod innymi zachowywał się jak ktoś, kto pokutował za straszny czyn, który nie dawał o sobie zapomnieć.

Kitty wyszła zza parawanu w niezapiętym z tyłu kostiumie. Bez słowa podeszła do Yuriego i się odwróciła. Poczowała, jak jego palce przesuwają się wzdłuż kręgosłupa, gdy zapinał długi rząd guzików. Uniosła ręce jak dziecko, które ktoś ubiera. Yuri poprawił obcisłą górę, potem zarzucił jej szal na ramiona. Spojrzała w dół i zobaczyła, jak spódnica rozszerza się na wysokości kolan, naśladując kształtem abażur. Poniżej luźne nogawki szarawarów opadały w miękkich fałdach i wylewały się z szerokich pasków na wysokości kostek. Yuri zebrał jej włosy i upiął na czubku głowy. Przypomniła sobie, jak czesała ją matka. Często spieszyła się i ciągnęła szczotką przez splątane pasma, potem rozdzielała je i szybko zaplatała w warkocz. Kiedy jednak robiła to wolniej i delikatniej, były to najintymniejsze chwile, jakie córka mogła dzielić z matką. Delikatny niczym muśnięcie motyla dotyk Yuriego przeniósł Kitty do przeszłości i przypomniał, co straciła.

Na koniec założył jej na szyję długi sznur lśniących koralików, a na głowę włożył turban z piórem czapli, po czym przyjrzał jej się z uwagą. Gdy omiatał ją spojrzeniem, ona też pozwoliła oczom błądzić po jego twarzy. Po zmarszczkach w kącikach oczu rozchodzących się na boki niczym wachlarz, nieuczesanych siwych włosach, długich i prostych, które często przeczesywał palcami. Po cienkich wargach, lecz bez cienia złośliwości. Często wysuwał dolną wargę, co przydawało mu wygląd upartego dziecka. Próbowwała zrozumieć, jak te poszczególne elementy

składały się na wyraz wspaniałomyślności, którą mu przypisywała. Może dlatego, że widziała w jego twarzy odzwierciedlenie dobroci, jaką ją obdarowywał.

Gdy w końcu kiwnął głową z aprobatą, wygładzając jednocześnie spódnicę i zakładając niesforne pasmo za ucho, Kitty usiadła na szezlongu i splotła dłonie na kolanach. Była gotowa, żeby powiedział jej, jaką ma przyjąć pozę.

– Nie ruszaj się – oznajmił. – Chcę cię namalować w takiej pozycji. Czekaając na coś. Czekając na życie.

Dostrzegła na jego twarzy wyraz tak dobrze jej znanego głębokiego skupienia. Poświęcał malowaniu całą energię, pracując jak niewolnik. Był perfekcjonistą – musiał być, inaczej nigdy by tak nie malował. Wyczuła jednak, że chodzi o coś więcej – coś mrocznego i bolesnego, co wzmacniało jego pragnienie, by uchwycić jej twarz, jej wnętrze, na płótnie. Często odnosiła wrażenie, że gdy ją zobaczył, dostrzegł w niej kogoś innego. Kochankę, żonę, może córkę – kobietę, którą kochał i stracił, i nigdy o niej nie mówił. Raz nawet nazwał Kitty innym imieniem.

Katya.

Nie poprawił się, jakby nie chciał się wdawać w wyjaśnienia. W końcu oba imiona brzmiały prawie tak samo. Lecz ona i tak je zapamiętała. Była pewna, że Katya była tą kobietą, do której należało jego serce.

Czasami gdy siedziała przed jego sztalugą, a on studiował z uwagą jej twarz i ciało, czuła niepokój. Może nie powinna pozwolić, żeby wykorzystywał ją do wywołania wspomnienia kogoś innego. Może nie powinien jej o to prosić. Zaraz jednak przypominała sobie, że to pracownia artysty. Tu nie obowiązują żadne zasady. Nie dzieje się nic złego. Wszystko jest w porządku.

Kitty usadowiła się wygodniej. Wyobrazila sobie siebie, jakby spoglądała z daleka, i zapisała w pamięci. W ten sposób, gdy będzie musiała zrobić przerwę, będzie mogła wrócić do tej samej

pozy. Ale nie musiała często przerywać Yuriemu. Nauczyła się, jak rozluźniać jedne mięśnie, napinając inne, żeby się nie poruszyć. Teraz gdy zaczął malowanie, rozluźniła się, wsłuchując w dźwięk pędzla muskającego płótno. Odsunęła od siebie wszelkie troski – dręczący żal z powodu braku wieści od rodziny i strach przed tym, co zrobi, gdy Yuri w końcu powie jej, że musi wyjechać. Siedząc tu, czuła się bezpieczna i zadowolona. Pragnęła, aby ten czas trwał nieruchomo jak jej ciało w pozie. By nic się nie zmieniło.

\*

Kitty zostawiła za sobą rząd sklepów, patrząc z uwagą na drogę w obawie, że przed maskę wyskoczy nagle kura lub koza, lub niepilnowane dziecko. Kątem oka widziała paczkę leżącą na siedzeniu obok, owiniętą w gazetę i związaną sznurkiem. W środku leżał ukryty pomarańczowy jedwab. Nie mogła się oprzeć i kupiła go. Może kiedyś, w przyszłości, uszyje z niego sukienkę lub parę spodni, jeżeli będzie miała dość odwagi. Ale nie teraz. Za bardzo przypominał jej Yurięgo. A co gorsza, może przypomnieć Theo rosyjskiego malarza.

Theo widział serię obrazów z Szeherezadą. Gdy zaczął przychodzić do letniego domku, gdy zakochał się w niej z wzajemnością i pragnął spędzać z nią każdą chwilę, Yuri postanowił, że je mu pokaże. Powiedział jej, że pragnie udowodnić Theo, że w tych obrazach nie ma nic skandalicznego. Dzięki temu Theo będzie bronił jej opinii przed rodziną, gdyby zaczęto zadawać takie pytania. Zgodziła się. Zdawała sobie sprawę, jak jest postrzegana w okolicy. Wszyscy wiedzieli, że mieszka sama z rosyjskim malarzem. Ratowało ją, że Yuri mógłby być jej ojcem i że był sławny, i był księciem. Mimo to gdy spotykała ludzi na poczcie czy w sklepie, czuła dezaprobatę



kryjącą się pod ciekawością. Czasami wydawało się jej, że rozbierają ją w myślach, biorąc za jedną z pozujących nago modelek Yuriego, a może nawet za jego kochankę. Martwiło ją, że admirał i lady Hamilton też mogą odnosić się do niej podejrzliwie. Yuri twierdził, że Hamiltonowie są lepiej wykształconymi ludźmi od tych ze wsi i widzą świat szerzej. Byli kolekcjonerami, sponsorami muzeów. Niemniej pokazanie Theo obrazów wydawało się rozsądnym zabezpieczeniem. Theo zobaczy, jak Kitty skromnie wygląda pomimo egzotycznego kostiumu – jak klasyczna baletnica uchwycona w kulisach. Przekona się, że nie ma niczego seksualnego w tym, jak Yuri ją przedstawił, że wygląda bezbrinnie i niewinnie, jak proste naczynie czekające, by choreograf wypełnił je namiętnością.

Yuri wybrał wieczór z pieczonym udźcem jagnięcym na kolację, przygotowanym przez gospodynię. Zjedli przy kuchennym stole, z którego zdjął najpierw wysuszone ciało szczura. Znalazł jej gdzieś i przyniósł, żeby Kitty mogła go narysować. Chociaż przetarła mokrą ścierką miejsce, gdzie leżał, Theo wolał usiąść przy drugim końcu stołu. Teraz siedział tam, z ręką pod brodą i rozpiętym kołnierzykiem. Zauważyła, że wytarł talerz kawałkiem chleba. Nigdy nie widziała go tak rozluźnionego i swobodnego.

– Chcę ci coś pokazać – oznajmił Yuri, dając mu znak, żeby poszedł za nim do pracowni.

Kitty z lękiem podążyła za nimi. Nigdy nie powiedziała Theo, że pozowała Yuriemu. Nie wiedziała, czy podejrzewał ją o to, czy dotarły do niego jakieś plotki. Wiedział tylko, że Yuri jest jej nauczycielem, a ona uczennicą. Dla poparcia swoich słów pokazała Theo swoje prace: rysunki, obrazy i szkice. Jego pochwały były tak ekstrawaganckie, że uznała je za bezsensowne. Mimo to pokochała go jeszcze bardziej.

Pozwoliła obu panom iść przodem. Ich kroki wydawały głuchy odgłos na wytartym dywanie. Gdy Theo wszedł do pracowni,

znieruchomiał i wyraźnie zeszywniał. Po chwili zrozumiała dlaczego. Yuri wystawił wszystkie obrazy. Zajmowały sztalugi, komody, ściany. Rozejrzała się wokół, napotykała własne spojrzenie w wielu twarzach. Teatralne stroje zmieniały ją, natomiast ręce, włosy, oczy pozostały jej własne. Do tej pory oglądała je pojedynczo, teraz jednak widząc je wszystkie razem, poczuła się przytłoczona.

Obserwowała Theo. Wstrzymał oddech. Yuri palił w milczeniu papierosa i patrzył na Theo, jakby widział w nim obiekt do uwiecznienia na płótnie.

Theo nie odzywał się przez długi czas. Potem kiwnął głową, jakby podjął decyzję.

– Imponujące. Są bardzo dobre. – Klepnął malarza w ramię. Kitty uśmiechnęła się, czując, jak spływa na nią ulga. – Oczywiście nie doceniłeś jej urody – dodał Theo żartobliwym tonem.

– Uroda to tylko powierzchowność – odparł Yuri. – Czy nie tak brzmi jedno z angielskich powiedzeń? Każdy z nas widzi co innego.

Zaczęli obaj wędrować od jednego obrazu do drugiego. Kitty wyczuwała między nimi napięcie, jakby uczestniczyli w pewnego rodzaju współzawodnictwie. Pod warstwą ostrożnej uprzejmości, lekkimi żarcikami, kryła się wrogość. Przy różnych okazjach jeden mówił źle o drugim. Yuri uważał, że Theo odciąga ją od sztuki. Theo zaś sądził, że malarz ma zbyt duży wpływ na jego dziewczynę. W tym momencie poziom wzajemnej wrogości niebezpiecznie się podniósł. Zaczęła żałować, że obrazy nie stoją w kącie, ukryte pod płachtą materiału.

W końcu jednak okazało się, że pokazanie Theo obrazów było dobrym posunięciem. Gdy służący z pałacu zobaczył przez okno pracowni, jak Kitty pozuje Yuriemu w jednym ze strojów z Baletów Rosyjskich, Theo mógł natychmiast wkroczyć i odeprzeć wszelką krytykę. Na admirałe nie zrobiło to żadnego

wrażenia. Przecież dama może pozować do portretu. W Hamilton Hall było mnóstwo rodzinnych portretów namalowanych przez sławnych artystów. Za to reakcję Louisy trudno było zrozumieć. Kitty wyczuła w niej wrogość, a jej powód poznała później, gdy Yuri wyjaśnił, że odmówił namalowania portretu lady Hamilton. Jednak bez względu na jej osobiste odczucia publicznie wspierała męża, który uważał, że Kitty powinna dalej pozować Yurii. Bardzo pomogło zapewnienie malarza, że te prace nie są na sprzedaż. Wyglądało więc na to, że sprawa rozeszła się po kościach. Oczywiście Louisa i admirał też chcieli obejrzyć obrazy. Lecz największym problemem, jaki wyniknął z ich wizyty, okazało się odkrycie, że Yuri zniszczył ściany. Gdy nie miał szmatki w ręku, wycierał o nie pędzel. Louisa zauważyła z przerażeniem, że powierzchnia ściany najbliższej sztalugi zamazana jest grubą warstwą farb. Znajdowała się tam cała paleta kolorów. Nierówne, pospieszne maźnięcia wyrażały w kształtach i fakturze niecierpliwość artysty ogarniętego pragnieniem przelania na płótno swojej wizji. Dla Kitty było to dzieło sztuki. Ale Hamiltonowie widzieli tylko zniszczoną ścianę. Yuri obiecał, że odmaluje pracownię, gdy będzie chciał się wyprowadzić. W środku całego zamieszania zapomniano o portretach Kitty.

\*

Kitty jechała wolno w stronę wielkiego hangaru z rzędem stojących przed nim maszyn. To tutaj mieścił się warsztat naprawy traktorów. Z zaciekawieniem przyjrzała się otoczeniu, ignorując wyrzuty sumienia. Wiedziała, że nie powinna tu być. Decyzja, żeby zignorować zakaz Theo, łączyła się jakoś z decyzją zakupu pomarańczowego jedwabiu, jakby dwie słabości były lepsze od jednej. Można to porównać do diety; jeżeli już raz

pozwoliłaś sobie na kawałek ciasta, równie dobrze można było przestać uważać do końca dnia, co się je.

Zobaczyła dwóch czarnoskórych obsługujących spawarkę, którzy trzymali w rękach maski osłaniające oczy. Dwóch śniadych mężczyzn siedziało na starej beczce po paliwie i paliło papierosy. Grupa jasnowłosych pracowników stała nad rozłożonym na części silnikiem leżącym na brezencie. Kitty przyjrzała się ich twarzom, lecz nie dostrzegła żadnej znajomej. Już miała odjechać, żałując, że nie odnalazła kolegów, i czując ulgę, iż może teraz opuścić to miejsce, nie popełniwszy żadnego przestępstwa, gdy nagle usłyszała śpiewną recytację. Podążyła za głosami, w stronę następnego hangaru, zatrzymała samochód i wrzuciła luz.

Wysoki mężczyzna o jasnych włosach stał przed grupą Afrykanów siedzących na drewnianych ławkach. Trzymał w ręku kawałek metalu – jakąś część silnika, której Kitty nie rozpoznała.

– Co to jest? – zadał pytanie po angielsku.

– Wał korbowy – odpowiedzieli chórem uczniowie.

Kitty uśmiechnęła się i spojrzała z zazdrością na nauczyciela. Mężczyzna obejrzał się, jakby wyczuł jej wzrok. Po chwili szedł już w jej stronę, uśmiechając się przyjaźnie.

– Czy mogę w czymś pani pomóc? – spytał, opierając rękę na dachu samochodu i pochylając się. – Szuka pani kogoś? – Mówił z takim samym akcentem jak Irlandczyk, którego poznała w samolocie.

– Tak. Paddy’ego O’Hallorana. – Gdy wypowiedziała to nazwisko, poczuła tęsknotę, przypominając sobie, jak swobodnie się przy nim czuła. Wspierał ją, podnosił na duchu i był taki bezkrytyczny wobec niej. – Czy zna go pan może?

– O tak. Znam Paddy’ego. Pracuje w Dar es Salaam.

Kitty zmarszczyła czoło. Może był jeszcze jakiś inny Paddy o takim samym nazwisku. Może w Irlandii jest równie popularne jak Smith w Australii.

– Miał tu pracować. Przyjechał z Anglii z grupą inżynierów i mechaników.

– Zostali przeniesieni. Nie ma sensu naprawiać tu traktorów. To gówniany sprzęt. Przepraszam, ale nie mogę użyć innego słowa.

Kitty spojrzała na niego zaskoczona.

– A co jest w nich złego?

Popatrzyła na te, które miała przed sobą. Były świeżo pomalowane, miały dobre bieżniki. Wyglądały znacznie lepiej od tego, który miał ojciec w Seven Gums. Zaczęła się zastanawiać, czy ten człowiek nie jest aby przesadnie wybredny, jak kobiety wybierające meble.

– To sprzęt z demobilu. Okazało się, że ta ostatnia partia przestała wojnę na plaży na Filipinach. Drogie OFC kupiło je w ciemno i przetransportowało tutaj. Udało nam się złożyć z tego jeden dobry traktor na dziesięć. – Pokręcił głową. – Pod piękną powłoką kryła się taka rdza, że można było palcem zrobić dziurę w metalu. Więc teraz robią to zaraz po wylądowaniu traktorów ze statków. Gdy znajdą coś lepszego, przysyłają to tutaj. To ma sens. – Uśmiechnął się. – Przynajmniej jakiś.

Kitty uśmiechnęła się z trudem, kryjąc rozczarowanie. Było ono niewspółmierne, bo niewiele łączyło ją z towarzyszami podróży.

– No cóż, dziękuję. Ma pan jakieś efekty jako nauczyciel? – spytała, nie mogąc się oprzeć.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Gówniane.

Kitty skrzywiła się współczująco, po czym uniosła rękę. – Muszę jechać. Dzięki.

Odjeżdżając, spojrzała we wsteczne lusterko. Mężczyzna obserwował ją z zaciekawieniem, pewnie rozmyślając, kim ona jest i dlaczego pytała o Paddy'ego. Zastanawiała się, czy nie wrócić i nie wyjaśnić, skąd go zna, żeby nie dać okazji do plotek,

które mogą dotrzeć do dyrekcji. Ale jechała dalej. Jeszcze pogorszy sprawę, zwracając na siebie uwagę. Nie chciała też ryzykować ponownej rozmowy z tym mężczyzną, bo bała się, że zacznie go prosić, aby jakimś sposobem pozwolił jej przejąć swoje obowiązki.

\*

Kitty odchyliła się na oparcie krzesła, gdy Gabriel postawił przed nią talerz z zupą. Wiedziała, że nie powinna zmieniać pozycji, żeby ułatwić pracę służbie, ale zrobiła to instynktownie. Natychmiast sięgnęła po łyżkę. Wiedziała, że Theo ma mało czasu na zjedzenie lunchu, a nie zacznie, dopóki ona tego nie zrobi.

Przy pierwszym łyku zeszywniała. Zupa była pikantna, nawet z domieszką chili. Co ten Eustace sobie myśli? Nie miała nic przeciwko temu smakowi ani lekkiemu pieczeniu na języku. Yuri wprowadził ją w tajniki zamorskiej kuchni. Ale ta potrawa nie pasowała do szkolnych posiłków, które lubił Theo. To z pewnością nie była część zwyczajowego obiadowego menu. Patrzyła nerwowo, jak pochyła się nad talerzem i wacha unoszącą się nad nim parę.

– Mulligatawny – wykrzyknął. – Ulubiona zupa ojca.

– To miłe. – Kitty starała się ukryć zaskoczenie. W końcu powinna wiedzieć, jaką zupę planuje ugotować jej własny kucharz. Jednocześnie poczuła przypływ frustracji. Bez względu na to, jak bardzo starała się dostosować do obowiązujących wzorców i zasad, zawsze pojawiał się jakiś wyjątek, który ją zaskakiwał.

– Znasz jej historię? – Theo nie czekał na odpowiedź. Był przyzwyczajony do jej ignorancji. – Powstała w czasach, gdy rządaliśmy w Indiach. Miejscowi kucharze nie rozumieli tej całej

idei podawania zup przed głównym daniem. Nawet nie wiedzieli, co to jest zupa. Więc brytyjscy oficerowie powiedzieli im, jak ją przygotować, dodając bulion, mięso i tak dalej. Oczywiście Hindusi nie umieją niczego ugotować bez przypraw, więc taki był rezultat.

– Fascynujące – odparła Kitty niezbyt szczerze. Czasami miała już dość nieustannego podkreślania, jak mało wie, lecz Theo najwyraźniej tego nie dostrzegł.

Zjadł zupę ze smakiem, z kawałkiem chleba, po czym odmówił drugiego dania.

– Niestety muszę już jechać.

Kiwnął Kitty głową – pocałunek był tylko rano. Kilka chwil później usłyszała warkot silnika land rovera i chrzęst kół na podjeździe.

Gdy wstała od stołu, pomyślała, że musi poprosić Eustace'a, żeby zapisał jej dziwną nazwę zupy. Potem poszła do salonu i usiadła. Z kuchni dochodził brzęk naczyń i garnków wkładanych do zlewu. Miała ochotę pójść tam i pomóc służącym, żeby mieć coś do roboty. Uśmiechnęła się krzywo. Może powinna zacząć palić. Albo nauczyć się jakichś robótek. Szydełkowania. Tkania. Czegokolwiek, czego nie można byłoby uznać za sztukę.

Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, poszła do sypialni i wyjęła paczkę od Ahmeda. Zapragnęła zobaczyć, jak materiał będzie wyglądał udrapowany na jej ciele. Chyba nie było w tym nic złego. Gdy rozwinęła gazetę, w pokoju zapachniało drzewem sandałowym. Początkowo pomyślała, że to tylko zapach ze sklepu Ahmeda, po chwili jednak zobaczyła kostkę mydła. Zupełnie zapomniała, że pod wpływem impulsu kupiła je dla Diany. Ten pomysł przyszedł jej do głowy, gdy przechadzała się po sklepie, zastanawiając nad kupnem pomarańczowego materiału. Teraz zdumiało ją, jak w ogóle przyszło jej to do głowy. Pójście do chorej sąsiadki z prezentem mogłoby zostać

uznane za impertynencję, a nawet za najście. Z drugiej strony przypomniawszy sobie, jak Diana przyjechała po nią na lotnisko zamiast Theo, oprowadziła po nowym domu i przedstawiła ją w klubie. Na swój sposób była dla niej miła, nawet jeżeli spełniała obowiązek.

Zważyła mydło w dłoni. Może inne panie już komentowały fakt, że nie odwiedziła Diany, skoro mieszkała po sąsiedzku. Może wpadnie tylko na chwilę i poda mydło. Nie musi zostawać.

Aby się nie rozmyślić, wyruszyła natychmiast. Gdy dla ochrony obcasów szła na palcach zwirową ścieżką, zastanawiała się, czy powinna zapakować prezent. A może mydło to pretensjonalny podarunek. Zapukała do drzwi, jak tylko do nich podeszła. Gdyby zwlekała, na pewno wróciłaby do domu.

Usłyszała kroki, po czym drzwi się otworzyły. Kitty cofnęła się zaskoczona. Zamiast służącego zobaczyła męża Diany. Było wczesne popołudnie, zbyt późno na lunch w domu. Przez krótką chwilę Richard wyglądał na zmęczonego, a nawet chorego, zaraz jednak na jego twarzy pojawił się uprzejmy uśmiech.

– Kitty! Jak to miło, że wpadłaś. – Otworzyła usta, żeby wyjaśnić, po co przyszła, lecz nie dał jej dojść do słowa. – Niestety nie mogę cię zaprosić. Diana nie nadaje się do przyjmowania gości. – Miał dziwnie władcą postawę, mimo niskiego wzrostu i drobnej budowy.

– Oczywiście. Rozumiem. – Podała mu kostkę mydła, żałując, że jej nie zapakowała. – Domyślam się, że potrzeba trochę czasu, żeby odzyskać zdrowie po ataku malarii. Mam nadzieję, że powoli dochodzi do siebie.

Richard się zawahał. W tym momencie Kitty usłyszała ciche zawodzenie dochodzące z sypialni państwa. Richard popatrzył na nią beznamiętnie, po czym zebrał się w sobie.

– Tak, zdrowieje. Powiem jej, że byłaś. Będzie wzruszona. I zachwycona.

Po tych słowach zamknął jej drzwi przed nosem. Stała



chwile, zastanawiając się nad rozpaczliwym płaczem, który przed chwilą usłyszała. Jak to możliwe? Nie dotarł też do niej dźwięk oddalających się kroków. Pewnie Richard stał po drugiej stronie drzwi, czekając, aż ona sobie pójdzie.

Ruszyła wolno podjazdem. Było dla niej jasne, że Diana cierpi i że Richard nie chce, by Kitty o tym wiedziała. Zaniepokoiło ją to. Zastanawiała się, czy nie wrócić i nie zażądać widzenia z Dianą. Ale to byłoby niegrzeczne – Theo by tego nie pochwalił. Przypomniała sobie, że Diana zachowywała się teatralnie i histerycznie. Tego dnia, gdy daimler omal nie potracił dziewczynki, zareagowała zbyt przesadnie. I jeszcze te pigułki. Dla kogoś takiego jak Diana, cierpiącego prawdopodobnie na chorobę krwi – a możliwe, że i na nerwy – atak malarii był trudny do zniesienia.

Gdy dotarła do własnych drzwi, była już spokojna. Biedny Richard pewnie miał dość fochów Diany. Nic dziwnego, że dziwnie się zachowywał, bo martwił się o nią. Angielskie maniere wskazywały na to, że nie chce rozmawiać o chorobie żony, ale fakt jego obecności w domu świadczył o okazywanej trosce o nią. Wyobraziła sobie, jak biegnie do sypialni, by otrzeć jej czoło i pogłodzić po głowie. Jako dyrektor generalny miał więcej obowiązków niż Theo – każdy czegoś od niego chciał – ale żona stała na pierwszym miejscu.

Kitty zatrzymała się z ręką na klamce. Co by było, gdyby ona się rozchorowała? Czy Theo zostałby w domu, żeby się nią opiekować? Jeżeli miała być szczerą, to chyba nie. Od dnia, w którym przyniósł jej pudełko czekoladek, rzadko okazywał jej gesty przywiązania: długi uścisk, klepięcie w tyłek, gdy przechodziła, komplement powiedziany z uśmiechem. Raz wrócił do domu z wiązanką kwiatów, którą kupił na stoisku charytatywnym w klubie. Innym razem przyniósł kawałek ciasta, które jedli w dyrekcji z okazji czyichś urodzin. Dostrzegając, że Theo się stara, jednak nadal czuła, że jego główne

życie toczy się w dyrekcji, reszta była jedynie dodatkiem.

Obejrzała się na sąsiedni dom i poczuła ból w sercu. Nie mogła przestać myśleć o tym, że powód, dla którego Richard był w domu, a nie za biurkiem, był prosty: kochał Dianę bardziej niż Theo ją. Ale czy to w porządku porównywać jedno małżeństwo z drugim? W grę wchodziło mnóstwo przyczyn. Może Richard i Diana wiedli proste życie, pomimo jej problemów zdrowotnych. Richard walczył na wojnie, ale może nie ucierpiał tak jak Theo. A jeżeli tak, to każdy inaczej znosi urazy. Poza tym może nie chodziło o Richarda, lecz o Dianę. Pomimo dziwnego zachowania zawsze wyglądała idealnie. Była zabawna i interesująca. I oczywiście była córką angielskiego dżentelmena. Wiedziała, jak się zachować, nawet jeżeli nie zawsze postępowała zgodnie z tymi zasadami. Dokonywała właściwych wyborów, nawet się nad tym nie zastanawiając.

Kitty przypomniała sobie koszmarne piknik, który urządziła w zeszły weekend. Mieli być tylko we dwoje z Theo. Sama przygotowała mały koszyk z prowiantem, ignorując niezadowolenie kucharza i Gabriela, upiekła specjalność matki – placek z jajkiem i bekonem. Gdy stygł na kuchennej ławce, zapach wywołujący wspomnienia sprawił, że miała ochotę rozplakać się z tęsknoty za domem. Miejsce, z którego wtedy pragnęła uciec, teraz wydawało się niebiańsko proste i znane. Do koszyka włożyła jeszcze kilka bananów i butelkę lemoniady. Wybrała miejsce za Kongarą, niedaleko wieży ciśnień. Rozciągał się stamtąd piękny widok na płaskowyż. Wiedziała, że na Theo podziała uspokajająco widok czarnoskórego strażnika, spacerującego wokół w stroju khaki, ze strzelbą na jednym ramieniu oraz łukiem i kołczanem na drugim. Znalazła zaciszne miejsce i rozłożyła stary podróżny pled, którego używali w Anglii, z wyszytymi w rogu inicjałami pradziadka Theo. Patrząc, jak leży na ziemi, niemal wyobraziła sobie stojący nieopodal mały, czerwony samolot. Jednak jej optymizm miał

krótki żywot. Musieli przenieść się gdzie indziej, gdy Theo zauważył zbliżające się ku nim wielkie mrówki tropikalne. Nowe miejsce okazało się zasypane kolczastymi torebkami nasiennymi, które czepiały się ubrań. Placek, który zwilgotniał w metalowej formie do pieczenia, wyglądał nieapetycznie. Kitty uświadomiła sobie, że powinna zabrać składane krzesła. Powinna też poprosić kucharza, żeby przygotował to, co Cynthia poleciałaby na piknikowy lunch. Powinna pojechać na właściwe miejsce piknikowe wyznaczone przez OFC. Może powinna także umówić się z drugą parą, by było weselej. Teraz myśląc o tym, pokręciła z irytacją głową. Dlaczego nic jej się nie udawało?

Będzie bardziej się starać, postanowiła. Nie może winić Theo za swoje własne wady. Powinna raczej pomyśleć o tym, co zrobić, żeby chciał spędzać z nią więcej czasu. Nie potrzebowała czytać czasopisma Pippy, aby rozumieć, że szczęśliwy mąż chętniej wraca do domu po pracy.

Wiedziała, że Theo bardzo odpowiadają potrawy przygotowywane przez kucharza; tu żadne zmiany nie były potrzebne. Ale może wiązanka kwiatów, którą jej przyniósł, była wskazówką dotyczącą wystroju domu. Gdy powiedział, że powinna robić to, co robią inne kobiety – chodzić do fryzjera lub do krawca czy choćby grać w tenisa – chciał zasugerować, że jej wygląd jest poniżej normy? Może powinna trochę utyć. Stary akcent zaczął wracać. Twarz miała zbyt opaloną. Popełniła błędy, na które nie może sobie pozwolić i czas z tym skończyć.

Gdy weszła do domu, uniosła głowę, wciągnęła brzuch i ściągnęła łopatki. Idąc korytarzem, wyobraziła sobie sznurek przymocowany na czubku głowy, zapewniający idealną postawę.

## Rozdział ósmy

Theo odznaczył nożem równą linię wokół jajka, po czym sprawnie odciął czubek. Kitty obserwowała go z miejsca po drugiej stronie stołu, skubiąc swoje jajko. Skorupka w miejscu przecięcia była poszarpana. Mąż miał na sobie wykrochmaloną, białą koszulę i spodnie od najlepszego garnituru – za ciemne na tropikalny klimat, ale bardzo eleganckie. Od wieków nie widziała go w stroju safari, bo całe dni spędzał teraz w dyrekcji. Wkrótce miała rozpocząć się pora deszczowa, tymczasem orka przebiegała z opóźnieniem. Na plantacjach prace trwały do wieczora, ale lemiesze nieustannie łamały się w twardej ziemi. Całe kierownictwo wraz ze stale zmieniającymi się wizytatorami z Londynu na pilnych zebraniach zastanawiało się, jak temu zaradzić.

– Kto dziś przyjeżdża? – spytała Kitty. – Ktoś ważny?

Theo westchnął.

– KO poprosił o spotkanie. Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów.

– Komisarz okręgowy? – powtórzyła, pragnąc, aby wiedział, że rozumie, o kim mówi, i zachowuje w pamięci informacje, które jej przekazuje.

Theo kiwnął głową.

– Musi od czasu do czasu wtrącać swoje trzy grosze, bo inaczej czuje się pominięty. Urząd kolonialny nie chce zrozumieć, że projektem kieruje brytyjskie Ministerstwo do spraw Żywności, a nie rząd Tanganiki.

– To dziwne – stwierdziła Kitty.

Theo machnął ręką lekceważąco.

– Władze kolonialne są zbyt wolne, zbyt... przestarzałe. Ministerstwo do spraw Żywności jest nowe, szybkie, kompetentne i pełne nowych pomysłów.

Kitty ukryła zdziwienie. Wciąż nie mogła się przyzwyczaić do jego nowego sposobu myślenia. Wojenne doświadczenia zwróciły go w stronę przeszłości i przekonania, że to, co stare, jest najlepsze. Stare rody, stare domy, stare książki i obrazy... Popatrzyła na jego lewą dłoń spoczywającą na stole. Na małym palcu miał złoty sygnet z herbem Hamiltonów – lwem, liściem i książką – symbolizującym siłę historii i tradycji. Gdy poznała Theo, nie nosił go. Był to gest protestu przeciw zasadzie dziedziczności przywilejów. W kuchni letniego domku trwały długie, nocne dyskusje na argumenty między Theo i Yurim. Stary malarz usiłował bronić carskiego dworu i arystokracji. Theo wygłaszał namiętne przemówienia o sprawiedliwości i równości. Ale wojna postawiła wszystko pod znakiem zapytania. Katastrofa lotnicza, podczas której rozbił się jego lancaster, a on jako jedyny z załogi przeżył, była tylko początkiem. Patrzył, jak umierają prawie wszyscy jego przyjaciele. Podczas wojny zginęła ponad połowa brytyjskich lotników. Widział napisanych tyle ostatnich listów, zjedzonych tyle ostatnich posiłków, zgaszonych tyle ostatnich papierosów... Koledzy Theo ponieśli śmierć w obronie brytyjskiego stylu życia, głęboko zakorzonego w tradycji. Walczyli o króla, a nie ma mocniejszego świadectwa na dziedziczenie przywilejów jak władza królewska. Gdy wojna się skończyła, sygnet ponownie pojawił się na małym palcu Theo.

Gdy nastał pokój, nowo odkryte zobowiązanie względem rodzinnego dziedzictwa znalazło ujście w zadaniu ponownego przeniesienia rodzinnych skarbów do pałacu, żeby Louisa i admirał mogli wrócić. Główny budynek został zarekwirowany przez wojsko niedługo po wybuchu wojny. Kitty była tam tego dnia, gdy doręczono rozkaz. Byli już z Theo małżeństwem i mieszkali w wynajmowanych pokojach w pobliżu lotniska. Kitty

zaczęła odwiedzać nową rodzinę, ale głównie przyjeżdżała po to, żeby zobaczyć się z Yurim. Ciągłe dodawał nowe obrazy do serii portretów Kitty, korzystając ze szkiców, skoro nie mogła mu już pozować. Przed pałac podjechał zwykły czarny samochód. Mężczyzna w mundurze zaszalutował przed admirałem, po czym wręczył mu dokument napisany na maszynie. Gdy starszy pan go przeczytał, papier został przybity do głównych drzwi. Louisa stanęła przed nim z oczyma rozszerzonymi strachem, odczytując bezgłośnie napisane słowa: „Rozkaz rekwizycji pałacu wydany przez RAF. Ustawa o nadzwyczajnych uprawnieniach w sytuacjach wyjątkowych z 1939 roku”. Gdy minął szok i admirał oświadczył, że rodzina musi wypełnić swój obowiązek, pałac opróżniono z pięknych mebli, kolekcji sztuki, tkanin ściennych i dywanów. Wszystko zmagazynowano w wartowni. Admirał z żoną i trójką służby przeniósł się do domku ogrodnika. Wszystko to odbyło się bardzo szybko i Yuri nie miał czasu odmalować pokrytej śladami farby ściany w pracowni. Kitty czasami zastanawiała się, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby wojsko nie zarekwirowało pałacu i Yuri nie został zmuszony do przeprowadzki do domku na skraju miasteczka – małego, tajemniczego miejsca, odciętego od świata.

Pałac zwrócono Hamiltonom tuż po zakończeniu wojny. Gdy odjechał ostatni wojskowy samochód, Theo wkroczył do akcji. Nadzorując rozpakowywanie skrzyń i przenoszenie mebli, był zdecydowany odtworzyć rodzinny dom takim, jakim go znał. Liczył się każdy szczegół – każda ozdoba czy oprawiony w ramki haft musiał wrócić na swoje miejsce. Zamówił nawet kamieniarza, żeby odnowił marmurowe kominki zniszczone przez żołnierzy, którzy rozgrzebywali płonące drwa, by dłużej utrzymać ciepło. Kitty pomagała Theo jak mogła. Niewiele miała do tej pory do roboty, od czasu gdy zamieszkała w Hamilton Hall. Rola wolontariuszki pracującej na rzecz wojny dobiegła końca. Była teraz żoną właściciela ziemskiego. Czasami zaglądała do

domku w ogrodzie – z pustymi pokojami, w których mieszkało echo – szukając śladów świadczących o tym, że kiedyś mieszkał tu i pracował Yuri. Ale zajmujący go Hamiltonowie usunęli wszelkie po nim wspomnienia. Pozostała jedynie dziwna plama po farbie olejnej niezauważona przez dekoratorów, wgniecenia w deskach podłogowych po sztalugach i rysa na szybie w kuchni zrobiona przez Yuriego, gdy pokazywał jej, jak można rysować prawdziwym diamentem po szkłe. Pewnego dnia znalazła zaszuszonego szczura, ale nie w domku, tylko w stajni. Przypomniała sobie tego, którego dał jej do narysowania, i to, jaki Yuri był zadowolony z rezultatów. Niemal słyszała jego głos, czuła dotyk gratulacyjny na ramieniu. Theo znalazł ją przykucniętą nad martwym zwierzakiem i wstrząsaną płaczem. Z początku był miły, potem jednak wpadł w irytację, że tak wielkie emocje można okazywać martwemu gryzoniowi, gdy istnieje dość prawdziwych powodów do łez.

Kitty unikała chodzenia do miasteczka. Wiedziała, że jak ktoś uzależniony ciągnie do swojej trucizny, tak ona pójdzie do małego domku za młynem, gdzie mieszkał Yuri, i będzie wdychała zapach kreozotu, wpatrywała się w okna, patrząc na brązowe plamy na zaciągniętych zasłonach. Po co miała zadawać sobie tortury? Żadna pokuta nie cofnie czasu. A nawet gdyby to było możliwe, czy mogłaby dokonać innego wyboru?

Theo całymi dniami pracował nad przywróceniem Hamilton Hall dawnego wyglądu. Wstawał wcześnie i wracał o zmierzchu. Ale w jego zaangażowaniu była jakaś desperacja. Gdy zadanie dobiegło końca, pogrążył się w apatii. Projekt orzeszkowy wymagał od niego podobnego zaangażowania. Kitty poczuła ulgę, widząc, że odnalazł spokój i cel w życiu, teraz jednak ogarnął ją niepokój. Czy Theo wykonuje po prostu trudną pracę, prowadząc wojnę z głodem, czy też ten projekt stał się jego nową obsesją? Miała nadzieję, że opowiadanie o potrzebie zwrócenia się ku nowemu jest dobrym znakiem. Że znowu stał się wolny.

Że widzi świat jak młody człowiek, w którym się zakochała. Ale przecucie mówiło jej, że ta przemiana była zbyt nagła i zbyt duża.

Theo wlał mleko do filiżanki, po czym sięgnął po dzbanek.

– Dlaczego ten komisarz chce się z tobą spotkać? – spytała.

– Tym razem – wyjaśnił – robią aferę o warunki panujące w obozach, w których mieszkają czarnoskórzy robotnicy. To prawda, że ludzie się burzą. Woda jest tam słonawa i twierdzą, że racje żywnościowe są niedostateczne. Ale największy problem tkwi w tym, że Afrykanie sądzili, iż będą mogli sprowadzić tam żony i dzieci. To kompletnie niepraktyczne. Wciąż wielu białych pracowników czeka na odpowiednie zakwaterowanie, żeby mogły do nich przyjechać rodziny. Afrykanie będą musieli poczekać.

Kitty zastanawiała się, czy przyznać, że ona wie, iż część robotników sprowadziło już żony do Kongary. Pippa zgorszyła panie w klubie opowieścią o brudnych slumsach, które powstały na drugim końcu miasta, za warsztatami naprawczymi. Mieszkały w nich żony afrykańskich robotników wraz z rosnącą liczbą afrykańskich prostytutek.

– Widziałam jedną – oświadczyła Pippa. – Stała przed posterunkiem policji. Wyglądała upiornie: usta pomalowane czerwoną szminką i niebieski cień na powiekach. To zupełnie nie pasuje do ciemnej karnacji.

Po jej słowach zaległa cisza. Trudno było sobie wyobrazić coś takiego.

Kitty postanowiła nic nie mówić. Na pewno wiedział o slumsach. Jeżeli przyzna, że ona też wie, może powiedzieć, że miał rację, radząc, aby nie wyjeżdżała poza centrum Londoni.

– Miałeś okazję poznać tego komisarza? – spytała zamiast tego. Popatrzyła na masło, czekając, aż Theo to zauważy i jej poda.

– Tak. Rozmawiałem z nim kilka razy. To dość rozsądny gość. Jest tu od dawna i ma wielkie doświadczenie. Ale zbierają się nad



nim chmury. Dwa lata temu wmieszał się w jakiś podejrzany interes z jednym z miejscowych białych farmerów. Chodzi o tego okropnego Taylora. Widziałaś go, pamiętasz?

Kitty kiwnęła głową, zrezygnowała z masła i udała, że skupia się na jajku. Odczuwała irracjonalny strach przed tym, co za chwilę powie Theo, bo to może ujawnić fakt, że pojechała do misji katolickiej, widziała winnice Taylora, karmiła jego pracowników i opatrywała im rany.

– Taylor miał iść do więzienia. Nie mam pojęcia, za jakie przestępstwo. To poufne wiadomości. Chodzi o to, że komisarz okręgowy pozwolił mu odsiedzieć wyrok w czymś w rodzaju domowego aresztu, zamiast wysłać go do Dar es Salaam. – Spojrzał na Kitty i zaśmiał się. – Wiesz, jak nazywają tu więzienie? *Hoteli ya mfalme*. Królewski hotel.

Uśmiechnęła się blado. Theo wyglądał na zadowolonego ze znajomości suahilijskiego zwrotu, ale źle wymówił słowa i zniekształcił je silnym angielskim akcentem.

– Oczywiście byłoby czymś strasznym dla białego człowieka trafić do afrykańskiego więzienia – ciągnął Theo. – Ale prawa należy przestrzegać, zwłaszcza w koloniach. Nie ma wątpliwości, że komisarz poszedł Taylorowi na rękę. – Theo zmarszczył czoło w zamyśleniu. – To każe się zastanowić, czy nie istnieją jakieś powiązania między nimi. W świetle tego, co wiemy o Taylorze, nie przynosi to chwały komisarzowi.

Kitty popijała herbatę, mając nadzieję, że wyraz jej twarzy nie zdradził zainteresowania historią Taylora. Jakie przestępstwo popełnił Taylor? Jak długo przebywał w zamknięciu i gdzie? Nie wiedziała, czy to dobrze czy źle, że karmił teraz więźniów, skoro siedział w więzieniu.

Theo wziął solniczkę Cynthii i malutką porcelanową łyżeczką nasypał sobie soli na brzeg talerzyka, tuż obok kawałka masła, który odkroił z kostki na półmisku. Potem wybrał trójkątną grzanekę z metalowego stojaka.

Kitty zanurzyła łyżeczkę w jajku i zamarła na widok czerwonej plamki na żółtku. Zarodek. Nie poczuła się urażona tym widokiem, tak jak byłby Theo. Wychowała się na farmie, na której koguty łączyły się swobodnie z kurami. Większość jajek było zapłodnionych, ale nie sposób było tego stwierdzić, gdy się je jadło tuż po zniesieniu przez kurę. Matka czasami wykorzystywała jajka wątpliwej świeżości, szczególnie gdy kury przestawały je wysiadywać, i dziwna czerwona plamka nikomu nie przeszkadzała. Ale tu nie było takiej potrzeby. Mieszkańcy wioski zawsze chętnie sprzedawali jajka. Eustace powinien sprawdzać każde, wkładając je do miski z wodą i upewniając się, czy nie pływa na powierzchni. Zanotowała w pamięci, że ma go uprzedzić, by w przyszłości uważał. A teraz powinna szybko odsunąć je na bok, zanim Theo odkryje ten dowód złego prowadzenia domu. Zamiast tego wpatrywała się w żółtko, nie mogąc oderwać wzroku od czerwonej plamki. To przypomniało jej, że zbliża się okres. Trzeci od jej przyjazdu tutaj. Miała nadzieję, że może jest w ciąży, ale była to tylko chwilowa słabość.

Theo miał biurko w pokoju gościnnym i gdy nawał pracy go do tego zmuszał, spędzał przy nim długie godziny, pisząc raporty, sprawdzając maszynopisy, czytając dokumenty z Londynu. Gdy kończył pracę późną nocą, szedł do salonu i wypijał szklaneczkę lub dwie whisky dla odprężenia. Często też spał w pokoju gościnnym, chociaż Kitty nigdy się nie skarżyła, że ją budzi. W połowie ostatniego miesiąca spędził tak aż pięć nocy z rzędu, a były to te ważne dni w jej kalendarzyku. Kilka razy omal nie poszła do niego, żeby powiedzieć, że muszą się kochać. Tej nocy i następnej, czy chcą tego czy nie. Bo to właściwy czas. Ale mężczyźni nie chcą wiedzieć o okresach i owulacji. Magazyn Pippy ostrzegał przed możliwością wprowadzenia ich w zakłopotanie tego rodzaju informacjami, wskazywał też na brak romantyczności w takiej sytuacji. To ryzykowny krok dla żony. Kitty obrała więc inną taktykę, próbując uwieść Theo,

stając przy nim w jedwabnej koszuli i przyciskając udo do jego ramienia. Chociaż pragnęła zająć się ciążą, wciąż miała nadzieję, że tamta noc miłości po zjedzeniu pudełka czekoladek może się powtórzyć. Pochyliła się nad nim, odsłaniając dekolt, lecz on spojrzał na nią z roztargnieniem i wrócił do papierkowej roboty.

Theo wstał od stołu i wyszedł przygotować się do wyjścia. Kitty została sama. Czekał ją jałowy i nudny dzień. Ukryła twarz w dłoniach, czując, jak ogarnia ją czarna rozpacz. Pewnie wróci do łóżka, jak nieraz to robiła, a może przeleży w nim cały dzień, udając, że jest chora...

– Nie wrócę dziś na lunch – dobiegł ją głos Theo przez otwarte drzwi. – Zobaczymy się później.

Uniosła głowę, czując, jak wzbiera w niej gniew. Mąż już nawet nie podawał powodów, dla których musiał zostać w pracy. Nie informował też o godzinie powrotu do domu. Pewnie cieszył się, że nie zainstalowano jeszcze telefonów w domach na ich ulicy (był to według Pippy jeszcze jeden przykład niezdolności OFC do uszeregowania spraw pod względem ważności). Oznaczało to, że Theo nie musiał myśleć o zawiadomieniu żony o późnym powrocie do domu. Zupełnie jakby stała się dla niego niewidoczna, jakby była jedynie plamką na jego horyzoncie. Czy on kiedykolwiek zastanawiał się, czy jest szczęśliwa w Kongarze? Czy zależało mu na tym? Dlaczego to ona musi go słuchać i pocieszać? Tak bardzo się starała być dobrą żoną. Czy nie miała prawa oczekiwać choć trochę wysiłku z jego strony? Usłyszała jego kroki zmierzające w kierunku drzwi frontowych. Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że zamierza wyjść, nie całując jej na pożegnanie. Gniew wyparował, ustępując miejsca panice. Po chwili jednak kroki stały się głośniejsze. Uniosła głowę, gdy Theo wszedł do pokoju. Uśmiechnął się, błyskając zębami w opalonej twarzy. Miał na sobie granatową marynarkę i białą koszulę, które podkreślały jasny kolor jego włosów. Był oszałamiająco przystojny. Gniew Kitty stopniał niczym śnieg

w słońcu. Gdy pochylił się, żeby pocałować ją w policzek, wciągnęła w nozdrza zapach pasty do zębów i cytrynowego płynu po goleniu, ciesząc się z bliskości męża.

– Kocham cię – powiedziała. – Kocham cię – powtórzyła bardziej zdecydowanie, nie zwracając uwagi na błagalną nutę w głosie.

Theo popatrzył na nią skonsternowany i wzburzył jej włosy.

– Ja też. Miłego dnia, kochanie. – Poklepał ją po ramieniu i odszedł.

\*

Kitty zmrużyła oczy pod wpływem oślepiającego słońca. Zbliżając się do samochodu, świeżo umytego przez ogrodnika, nagle przypomniała sobie, że zapomniała zabrać torbę na basen. Ale szła dalej. Zmusiła się do ubrania i umalowania i gdyby wróciła do pokoju, mogłaby w nim zostać.

Wsiadła do samochodu i otworzyła schowek w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. Nagle poczuła jakiś przedmiot, który rozpoznała, dopiero gdy go wyjęła. Był to scyzoryk ojca Remiego. Zapomniała, że go tam włożyła. Tesfa znalazł go w koszyku między warzywami. Przesunęła palcami po kościanej ręczce. Ciepła gładkość przypomniała jej szylkretową puderniczkę Katyi. Scyzoryk był stary i często używany, ręczka popękana. Otworzyła ostrze i przesunęła nim pod kątem po kciuku, żeby się nie skaleczyć. Było równe i ostre.

Strzepnęła drobinki suchej ziemi, które spadły z ostrza na sukienkę. Pozostawiły różowe smużki na białych kropkach zdobiących czerwony materiał. Ich widok przypomniał jej, jak stała z ojcem Remim w ogrodzie i patrzyła na żyzną, czerwoną glebę pokrytą soczystą zielonością, mimo że trwała pora sucha. Górujące nad przykurzonymi płaskowyzami z tymi wszystkimi

pustymi plantacjami ogrody były niczym wizja ziemi płynącej mlekiem i miodem. Ale to tylko część obrazu, pomyślała. Byli jeszcze więźniowie ze swoimi tragicznymi historiami. I askarysi uzbrojeni w pałki i karabiny. Przed oczyma stanął jej więzień z wrzodem na nodze. Czy rana nadal jątrzyła się, czy może pomógł środek bakteriobójczy? Miała nadzieję, że ojciec Remi znalazł czas na zmianę opatrunku.

Zważyła scyzoryk w dłoni. Dobry nóż był cennym przedmiotem. Ojciec nosił swój w kieszonce przy pasku. Nigdy go nie wyjmował, nawet gdy szedł do kościoła. Podjęła szybką decyzję. Teraz gdy znalazła scyzoryk ojca Remiego, będzie musiała go zwrócić. Tylko jedno mogła zrobić. Obiecała sobie, że długo tam nie zostanie i zaraz wróci. Zje lunch w klubie i nawet posiedzi z Alice.

\*

Gdy wjechała na podwórze misji, ze zdziwieniem zauważyła, że ciężarówki z więźniami już stoją. Były puste, a ich pasażerowie siedzieli w rzędach na placu. Spojrzała na zegarek. Było później, niż sądziła.

Wysiadła z samochodu, po czym wyjęła z bagażnika koszyk ojca Remiego. Następnie starła szminkę z ust wierzchem dłoni. Żałowała, że przed wyjazdem nie wróciła do domu, żeby zmyć makijaż z twarzy. Powinna też była włożyć prosty strój Janet. Czerwona sukienka w białe grochy zbyt mocno rzucała się w oczy i opinała figurę.

Nie dostrzegła ojca Remiego wśród więźniów. Nie było go też przy stole z garnkami. Stały przy nich siostra Clara i dwie młodsze zakonnice. Nagle poczuła, że nie chce paradować przed tłumem. Przez chwilę pomyślała o Louisie. Które punkty etykiety zarekomendowałyby damie zmuszonej stawić czoło setce

więźniów? Rozejrzała się wokół i zobaczyła ścieżkę biegnącą z boku kościoła. Jeśli zdoła obejść go od tyłu, dotrze do drugiego budynku. Pewnie będzie tam ojciec Remi. Jeśli nie, poprosi kogoś, żeby go zawołał.

Sandały na wysokich obcasach były równie nieodpowiednie jak sukienka i makijaż. Idąc niepewnie po kamiennej ścieżce, nie miała odwagi obejrzeć się za siebie, by sprawdzić, czy jej obecność została zauważona. Warkot nadjeżdżającego samochodu, stuknięcie zamykanych drzwi musiało zwrócić czyjąś uwagę. Gdy doszła do kościoła, skręciła w boczną ścieżkę, zadowolona, że znika z pola widzenia.

Pod stopami miała miękką ziemię i obcasy przy każdym kroku zapadały się w nią. W końcu przykucnęła, zdjęła je i włożyła do koszyka. Ruszyła dalej pewnym i swobodnym krokiem. Jej wzrok poszybował w górę na szczyt wysokiej kamiennej ściany zwieńczonej dachem, na brzegu którego siedziały gołębie, odcinając się szarością na tle błękitnego nieba. Gdy dochodziła do rogu, poczuła, że coś ciągnie ją za brzeg sukienki. Odwróciła się przerażona. Patrzyła na nią mała małpka, zaciskając palce na materiale. Kitty zeszywniała i się odsunęła. Zwierzę sięgało jej zaledwie nieco powyżej kolana, ale przypomniała sobie ostrzeżenie Janet, że od ugryzienia małpy lub psa można zarazić się wścieklizną. Odetchnęła z ulgą, gdy małpka puściła jej sukienkę. Po chwili jednak wyciągnęła łapę i chwyciła ją za rękę. Uścisk był mocny. Małe palce owinęły się wokół jej własnych. Przez chwilę patrzyła jedynie na zwierzę. Cienkie futro wskazywało na to, że małpka jest młoda.

Pochyliła się i spojrzała w bladą, pozbawioną sierści twarz. Wielkie czarne oczy błyszczały tak mocno, że mogły tonąć we łzach.

– Witaj.

Małpka była najwyraźniej oswojona i zapewne do kogoś należała, sądząc po tym, że swobodnie chodzi sobie po terenie.

Niecierpliwe trajkotanie wydobyło się z wąskich ust. Kitty dostrzegła zęby i różowy język. Potem małpka zaczęła ją ciągnąć w przód.

Idąc za nią ścieżką, nagle przypomniała sobie, że widziała już to zwierzątko. Z początku wzięła je za nagie dziecko przykucnięte na masce tej rozklekotanej szopy na kółkach.

Taylor.

Małpka pociągnęła ją za róg. Omal nie wpadła na metalową rurę zawieszoną w powietrzu na wysokości piersi, która balansowała na ramieniu mężczyzny odwróconego plecami do Kitty. Najwyraźniej usiłował wsunąć jeden koniec rury w otwór w ścianie zbiornika z wodą. Nagle ten koniec bliżej niej zaczął się przechylać. Nie namyślając się, wyrwała rękę z uścisku małpki, odstawiła koszyk na ziemię i podbiegła, żeby go podtrzymać.

– *Asante!* – zawołał mężczyzna. – *Shika tu.* Trzymaj równo.

Nie odpowiedziała, ale zrobiła, jak kazał.

– *Inua tu.* Unieś w górę.

Gdy spełniła polecenie, w jej kierunku popłynął kolejny strumień słów w języku suahili. Tym razem nie zrozumiała, ale domyśliła się, o co ją poproszono. Przesunęła swój koniec w lewo, trzymając go w górze.

Mężczyzna usiłował umieścić rurę w otworze, który znajdował się w dziwnym miejscu, w górnej części zbiornika. Starła się mu to ułatwić, utrzymując rurę w górze. Jako córce farmera nie przyszło jej do głowy, że nie mogłaby pomóc w takiej sytuacji. Jednocześnie obserwowała mężczyznę spod zmrużonych powiek. Teraz już nie miała wątpliwości, że to Taylor. Obecność małpki nie była tu jedyną wskazówką. Rozpoznała też niesforne, rozjaśnione słońcem włosy. Obserwowała, jak pracował. Miał budowę postrzygacza owiec – silną, ale zgrabną. Podwinięte do łokcia rękawy koszuli odsłaniały umięśnione przedramiona.

– *Imekwisha.* Gotowe.

Odwrócił się, ocierając dłonie o brudne spodnie i w jego oczach

pojawił się wyraz głębokiego szoku. Spojrzał w bok, potem znowu na nią, jakby chciał sprawdzić, czy kobieta w czerwonej sukni w białe grochy naprawdę przed nim stoi.

Po krótkim wahaniu podszedł do Kitty i uwolnił ją od rury, opierając koniec o gałąź.

– Bardzo przepraszam. Myślałem, że to Tesfa. Przed chwilą tu był.

W tym momencie małopka skoczyła mu na ramię. Mężczyzna przytrzymał ją.

– To jest Gili.

– Już się poznałyśmy – odpowiedziała.

– Mam nadzieję, że małopka nie sprawiła kłopotów.

Pokręciła głową.

– Jestem Taylor.

Wyciągnął prawą rękę, po czym opuścił ją. Najwyraźniej nie był pewien, czy powinien uścisnąć jej dłoń. Uśmiechnęła się w duchu z satysfakcją. Brak mu było ogłady. Wiedział jeszcze mniej niż ona.

– Theodore’owa Hamilton. – Trzymała ręce przy bokach. Bez rad Louisy wiedziała, że Taylor to typ mężczyzny, któremu dama nie podaje ręki.

Omiótł ją wzrokiem od stóp do głowy. Kitty przyglądała mu się z ciekawością. Był prawdopodobnie w wieku Theo, ale miał ogorzałą twarz człowieka pracującego na dworze, kilkadniowy zarost i smugę brudu na czole. Jego spojrzenie było jednocześnie irytujące, przeszywające i nieprzeniknione. Jego głos też był niepokojący. Nie miał żadnego akcentu, jakby pochodził znikąd lub zewsząd.

– Nie chcę być nieuprzejmy – powiedział w końcu – ale pomijając bosa stopy, wygląda pani, jakby powinna teraz pić herbatę w klubie w Kongarze.

Trafił w dziesiątkę, więc musiała się uśmiechnąć.

– Powinnam – przyznała, po czym spojrzała na zegarek. – W tej



chwili powinnam być na spotkaniu w sprawie wyboru komitetu organizacyjnego na bożonarodzeniowy bal.

Uniósł brwi.

– Do Bożego Narodzenia jeszcze całe wieki.

– Jest dużo do zrobienia. Wygląda na to, że ten bal to towarzyska impreza roku. Dziś mają dyskutować nad muzyką i tańcami. Może dobrze, że mnie tam nie ma, bo nie znam żadnego z tych tańców.

– To niedobrze. Zostanie pani wyrzucona z balu.

Ponownie się uśmiechnęła. Co za ulga, że sprawę tańców można było obrócić w żart. I sposób, w jaki z niej żartował, przypominał jej Paddy'ego – jego bezpośredniość i prostotę. Zaraz jednak przypomniała sobie, kim był Taylor. Zrobiła krok w tył i podniosła koszyk z ziemi. Nie wiedziała, jak mogli tak ze sobą rozmawiać. Wspólna praca z rurą i błazeństwa małpki musiały stworzyć fałszywe poczucie wspólnoty. Wyciągnęła scyzoryk.

– Przyjechałam oddać to ojcu Remiemu.

– Więc się znalazł. – Wyglądał na zadowolonego, biorąc od niej scyzoryk i wkładając go do kieszeni na piersi. – Powiedział, że go zgubił. A cały czas był u pani.

Poczuła, że się czerwieni. Ruszyła przed siebie, a Taylor za nią. Dotarli do otwartego wejścia prowadzącego na tyły kościoła.

– Powinien tu być – oznajmił Taylor. – A tak w ogóle to dzięki za pomoc. – Kiwnął głową w stronę rury. – Muszę jeszcze włożyć drugi koniec rury na swoje miejsce.

– Dlaczego nie zleci pan tego więźniom? – spytała, uznając, że nadszedł czas dać mu do zrozumienia, że doskonale wie, czym on się zajmuje.

– Mógłbym. Ale dopiero co zauważyłem, że została zdjęta. Ojcowie są bardzo zajęci. Czasami nie dostrzegają takich praktycznych rzeczy. Chcę sprawdzić wszystkie ich budynki przed nadejściem deszczów.

– To miło z pańskiej strony – rzuciła cierpko. Był to niewielki gest z jego strony, zważywszy na to, że misja karmiła i opiekowała się jego więźniami.

Taylor popatrzył na nią zaskoczony. Nagle pożałowała swoich słów. Ostatnia rzecz, jaką chciała, to rozmowa z tym człowiekiem o moralności. Już zamierzała odejść, gdy Gili zeskokczył nagle z ramienia Taylora prosto w jej ramiona.

Zachwiała się, upuściła koszyk i objęła małą, zanurzając palce w jej miękkim futerku. Dwa długie ramiona otoczyły jej szyję. Poczła nikły zapach, który przypominał jej dawne czasy, gdy leżała w słońcu z psami, kryjąc twarz w ich grubej sierści.

Spostrzegła, że Taylor wpatruje się w nią z otwartymi ustami.

– Gili zwykle boi się obcych. Był torturowany przez ludzi, którzy go porwali. Nadal ma po tym blizny.

– To potworne. Biedne stworzenie. – Kitty przytuliła małą. Poczła dziwną radość, jakby zrobiła coś, czym zasłużyła na zaufanie Gilego. Pomyślała, że bardzo miło trzymać małą w ramionach. Oparła policzek na pokrytym meszkiem łebku. – On jest taki... – Usiłowała znaleźć właściwe słowo na opisanie malutkiego nosa, ust i uszu, komicznych figli, ale również inteligencji wyzierającej z szeroko otwartych oczu. – Jak ludzkie dziecko.

– Kłopotliwe, powiedziałbym – odparł Taylor z uśmiechem. W kącikach oczu pojawiły mu się drobne zmarszczki, świadczące o tym, że często się śmieje.

Głośny gwar dobiegł z drugiej strony kościoła. Kitty domyśliła się, że zaczynają rozdawać posiłek. Z miejsca, gdzie stała z tym mężczyzną, którego nie знаła, i małą na rękach, kamienny plac pełen więźniów wydawał się taki odległy. Za to gruchanie gołębi na dzwonnicy głośniejsze, podobnie brzęczenie owadów w popołudniowym słońcu.

– Mówiłem do pani po suahilijsku – odezwał się Taylor. – A pani zrozumiała.

– Znam ten język tylko trochę. – Poczowała się jednocześnie dumna i zawstydzona. Wiedziała, że nieźle sobie radzi z suahili, lecz z drugiej strony miała wrażenie, jakby robiła coś niestosownego lub pretensjonalnego.

– Dlaczego ktoś taki jak pani uczy się suahili? – spytał Taylor z autentycznym zainteresowaniem w głosie.

– Pomyślałam, że może się przydać. Nie wiedziałam, jak tu będzie. Myślałam, że mogłabym coś robić. – Zalała ją fala emocji. Poczowała całą frustrację, którą starała się tłumić, wszystkie powstrzymywane słowa. Nadal w niej tkwiły i tylko czekały, żeby wybuchnąć. – Muszę już iść.

– W takim razie zaprowadzę panią do ojca – odpowiedział Taylor.

– Nie trzeba. Nie muszę się z nim widzieć. Tylko proszę mu to oddać... Wskazała na koszyk leżący na boku w miejscu, gdzie go upuściła. Wypadły z niego sandały.

Taylor podszedł i podniósł je. Cienkie paski i wysokie obcasy wydawały się delikatne i niepraktyczne w jego spracowanych dłoniach.

– Wygląda na to, że czuje się pani swobodnie bez butów.

Kitty spuściła wzrok. Była pewna, że ją rozszyfrował. Odkrył fałszywy akcent i maniery. Tak naprawdę nie pasowała do klubu. Kobieta taka jak na przykład Alice nigdy nie zdjęłaby butów i nie pomogła w męskiej pracy. Taylor wiedział, że jest outsiderką, tak jak i on. Osobą podającą się za kogoś innego. Ale nawet jeżeli tak myślała, wiedziała, że nie może zaakceptować takiego wizerunku. Musi należeć do świata, który dzieliła z Theo.

Uniosła głowę, odsunęła włosy gestem, jaki zaobserwowała u Diany, po czym przybrała to lekceważące, krytyczne spojrzenie, które tak często widziała w Londoni.

– Powinni zrobić tu porządne ścieżki. Z betonu.

Odsunęła od siebie małąpkę i przekazała Taylorowi, odbierając od niego sandały. Ta wymiana miała w sobie coś swojskiego –

jakby robili to często i w przyszłości nadal zamierzali to robić.

– Następnym razem, gdy pani przyjedzie, proszę skorzystać ze skrótu – zasugerował Taylor. – Będzie szybciej. A gdy zaczną się deszcze, główna droga będzie zalana. Ta z dużymi domami. Wie pani, o której mówię?

Kiwnęła głową, lecz nic nie powiedziała. Nie chciała ujawniać, że tam mieszka, przy ulicy Milionerów, najlepszej w Tanganice. Taylor mógłby źle o niej pomyśleć. Zaskoczyło ją to. Dlaczego miałyby dbać o to, co ktoś taki jak Taylor sobie pomyśli?

Mężczyzna znowu się uśmiechnął. Uświadomiła sobie, co jest takiego zachwycającego w jego oczach: zielononiebieskie tęczęwki były złote na brzegach. Czowała, że coś ją do nich ciągnie, niczym ćmę do światła.

– Dziękuję, ale nie przyjadę.

Zmarszczka między jego brwiami pogłębiła się, lecz tylko na sekundę, po czym zakryła ją maska.

– W takim razie do widzenia – odparł obojętnym głosem.

– Do widzenia.

Odeszła nadal boso, z sandałami w ręku. Wyobraziła sobie, że oczy Taylora – jego dziwne, intensywne spojrzenie – śledzą ją. Z trudem powstrzymała chęć obejrzenia się. Niechętnie przeszła wzdłuż bocznej ściany kościoła. Pragnęła tu zostać, pomagać rozdawać lunch. Pracować w klinice. Spotykać się z ojcami. I z Tesfą. Pragnęła bawić się z Gilim.

Mogłaby trzymać się z dala od Taylora.

Jednak zmusiła się, by iść dalej, przyspieszając. Jej wcześniejsze błędy polegały na tym, że nie rozumiała, dokąd zmierza. Tym razem będzie inaczej. Dostrzegła niebezpieczeństwo. Wiedziała, że powinna uciekać.

# Rozdział dziewiąty

Kitty pochyliła się nad kierownicą, spoglądając na wskaźnik poziomu paliwa. Czerwona strzałka wskazywała na to, że wkrótce bak będzie pusty. Cieszyła się, że nie ma przy niej Theo. Zobaczyłby wtedy, jak jest nieostrożna. Zawsze nalegał, żeby jego kierowca pilnował, aby bak był do połowy pełny. Wrzuciła luz, zjeżdżając ze wzgórza, a potem starała się jechać wolno i równo, obserwując wskaźnik paliwa przez całą drogę do pompy benzynowej przed sklepem Ahmeda.

Wyszła z samochodu na czas napełniania baku. Już kilka razy prosiła pomocnika Ahmeda, żeby nie palił, gdy nalewa benzynę, i za każdym razem on wymownie protestował. Gdy przechodziła na drugą stronę drogi, zauważyła daimlera stojącego pod drzewem. Maskę samochodu leniwie polerował James. Zastanawiała się, czy to znaczy, że Diana w końcu wyzdrowiała i dogląda zakupów. Jeśli tak, pewnie jutro przyjedzie do klubu. Kitty zadrżała na myśl o scenach, jakie się rozegrają, gdy każda z pań wróci na swoje dawne miejsce. Jednocześnie miała nadzieję, że Diana naprawdę wróciła do zdrowia. Wciąż nie dawał jej spokoju żaloszny płacz dochodzący z sypialni, gdy poszła z wizytą do sąsiadów.

Służący Diany i kucharz wybierali owoce z koszyków stojących przed sklepem warzywnym. Kitty rozejrzała się, lecz nigdzie nie zauważyła ich pani. Podeszła więc do Jamesa. Na jej widok wyprostował się służbiście.

- Dzień dobry, *memsahib*.
- Witaj, Jamesie. Czy jest tu Diana?

– Nie, proszę pani. Została w łóżku. – Pokręcił głową. – Jest bardzo źle.

Kitty popatrzyła na niego zdziwiona.

– Myślałam, że malarię łatwo się leczy.

Przez chwilę nie odpowiadała, potem rozejrzał się na boki, jakby bał się, że ktoś go podsłucha.

– Ona nie ma malarii. Cierpi na coś innego.

Kitty przypomniała sobie różowe pigułki na podłodze samochodu.

– Słyszałam, że ma problemy z krwią. Z czymś, co działa na nerwy.

James ponownie pokręcił głową.

– Chodzi o jej serce.

– Serce? – Oczy Kitty zrobiły się okrągłe. Kongara nie była odpowiednim miejscem dla kogoś z problemami sercowymi. Szpital robił wrażenie, ale jak wszystkie tutejsze służby działał bardzo chaotycznie. Czasami wydawało się, jakby personel był zbyt liczny, innym razem trudno było umówić się na wizytę. Plotka głosiła, że brakowało podstawowego sprzętu medycznego, a magazyny były zapchane niepotrzebnymi rzeczami. I nie było nawet przyzwoitej karetki – lekarz przyjeżdżał swoim dżipem. Najbliższy prawdziwy szpital był w Dar es Salaam. Kitty dostrzegła troskę w oczach Jamesa i zrozumiała, że służący szczerze martwi się o Dianę.

– Nie wiem, jak to się nazywa po angielsku – ciągnął – ale my nazywamy to *hali ya kutokua na furaha*.

Kitty wiedziała, że ostatnie słowo oznacza radość. Janet często go używała. Czasownik był bardziej skomplikowany. I występował w formie przeczącej. Połączyła ze sobą słowa. Dosłownie znaczyło to „być w stanie pozbawionym radości”. Przeszedł ją zimny dreszcz, gdy pojęła, co oznaczał płacz Diany. Było to zawrodożenie osoby pogrążonej w rozpacz.

– Ona jest bardzo chora – oznajmił James. Rozłożył ręce,

odslaniając jaśniejsze wnętrze dłoni. – Jej siostry powinny do niej przyjechać. Nie powinny zostawiać jej samej. – W jego głosie zabrzmiała nuta wściekłości.

Kitty spojrzała na niego zażenowana. Musiał przecież wiedzieć, że jeżeli Diana miała jakieś siostry, to mieszkały w dalekiej Anglii. Po chwili zrozumiała, że mówiąc „siostry”, ma na myśli przyjaciółki, panie, z którymi codziennie spotykała się w klubie. Zastanawiała się, z którą z nich Diana jest najbliższą. W Kongarze nikt z nikim nie znał się długo, ale biorąc pod uwagę fakt, że spędzała tyle czasu z innymi żonami, musiała się z którąś z nich zaprzyjaźnić.

Kitty sama miała kiedyś taką przyjaciółkę. Nazywała się Ruth Herbert. Poznały się w pierwszej klasie szkoły podstawowej w Wattle Creek i były bliskimi przyjaciółkami, dopóki Ruth nie wyjechała w poszukiwaniu pracy. Pamiętała zaraźliwy śmiech, spontaniczne uściski i to, jak rozumiały się bez słów. Z Dianą nie łączył jej taki związek. Żona naczelnego dyrektora była mądra, zabawna i piękna; potrafiła być również miła. Ale była nieprzewidywalna. W tym tkwił problem. Nikt nie wiedział, co powie lub co zrobi. Ludzie szukali u niej akceptacji, lecz jednocześnie trzymali się na bezpieczną odległość. W rezultacie, jak Kitty teraz widziała, była izolowana, a może nawet samotna. Cieszyła się, że przynajmniej ofiarowała jej drobny prezent.

– Czy nikt do niej nie przychodzi? – spytała Jamesa.

– Tylko pani. I nawet z nią pani nie porozmawiała. – W jego oczach błysnął gniew.

– Pan Armstrong nie wpuścił mnie do niej.

Na twarzy Jamesa pojawił się wyraz obojętności.

– Właśnie odwiozłem go do dykcji po lunchu biznesowym w klubie. Teraz siedzi przy biurku. Ma do przeczytania mnóstwo papierów. I wiele spotkań z ludźmi, którzy na niego czekają. Do końca dnia będzie bardzo zajęty.

\*

Kitty zapukała do frontowych drzwi. Służący pojechali po zakupy, więc nikt jej nie otworzył. Nie chciała obudzić Diany, waląc do drzwi. Nasłuchiwała odgłosu kroków, ale w domu panowała cisza.

James dał jej swój klucz. Mieszkańcy domów przy ulicy Milionerów zostali poinstruowani, żeby zamykać drzwi, odkąd w domkach średniego personelu nastąpiła seria kradzieży. W Kongarze rosła liczba przestępstw, lecz jak dotąd reakcja OFC była niesatysfakcjonująca. Na miejsce przysłano nowego głównego inspektora ze Scotland Yardu, ale ludzie żartowali sobie z jego marnego posterunku, nazywając go Scotland Inch[3]. Po głośnych protestach OFC obiecało sprowadzić z Dar es Salaam dodatkowy kontyngent askarysów – z królewskiego afrykańskiego pułku strzelców. Tymczasem wszyscy bali się o swoje bezpieczeństwo. Alice winiła za to mieszkańców slumsów. Przedstawiła swoje poglądy w czasie lunchu w klubie i zaproponowała rozwiązanie.

– Mamy mnóstwo buldożerów. – Gestykulowała dla podkreślenia swoich słów. – Trzeba sprowadzić kilka z plantacji i oczyścić te slumsy. Rozwalić wszystkie chaty. Rano już ich nie będzie.

– Ale dokąd pójda ci ludzie? – spytała Kitty. – Te wszystkie kobiety i dzieci.

Alice spojrzała na nią z politowaniem, jakby była ciężko myśląca.

– Tam, skąd przyszły.

– A prostytutki? – wtrąciła Pippa. – Zostaną sami mężczyźni i nie będą mieli z kim uprawiać seksu. Zrobi się wtedy jeszcze bardziej niebezpiecznie. – Zadrzała. – Dla nas.

– Nie bądź wulgarna – odparowała Alice.

Na szczęście w tym momencie przyszła Eliza, przyciągając



uwagę nową fryzurą – burzą loków na czubku głowy.

Kitty otworzyła drzwi i weszła do środka.

– Diano, to ja, Kitty – zawołała półgłosem.

Zdjęła sandały, żeby ciszej się poruszać i przeszła przez hall do sypialni państwa.

Przez lekko uchylone drzwi Kitty zobaczyła Dianę leżącą na pościeli w jedwabnym niebieskim peniuarze, podciągniętym do ud. Ręce miała rozłożone niczym dziecko, które w końcu usnęło. Rude włosy rozsypały się na poduszce. Twarz miała zwróconą na bok. Kitty otworzyła szerzej drzwi. Nigdy jeszcze nie widziała Diany bez makijażu. Jeżeli to możliwe, wyglądała jeszcze piękniej. Porcelanowa cera, a nawet rysy, przypominały rzeźbę anioła. Rozchylone wargi miały idealny kształt. Jediną skazą w tym obrazie była strużka śliny spływającej z kącika ust. Kitty cofnęła się zawstydzona. Diana pewnie nie chciałaby, aby ktoś zobaczył ją w takim stanie – bez makijażu, z cieknącą śliną. Zaglądając do sypialni, pogwałciła jej prywatność.

Już miała zamknąć drzwi, gdy coś zwróciło jej uwagę. Na podłodze przy łóżku leżała butelka z tabletkami. Brakowało zakrętki. Kitty odczytała nalepkę: „Aspro”. Obok dostrzegła drugą otwartą butelkę o innym kształcie. Ta była pusta. Przeniosła wzrok na łóżko i zobaczyła jeszcze jeden pojemnik z brązowego szkła z apteczną nalepką.

Przez dłuższą chwilę Kitty przyglądała się leżącej na łóżku postaci, jakby zastygłej w bezruchu. Potem rzuciła się w stronę łóżka, wskoczyła na nie i pochyliła się nad Dianą. W kąciku ust dostrzegła nie tylko ślinę, również zaschnięte wymiociny.

– Diano! – Chwyciła ją za ramiona i mocno potrząsnęła. – Diano, słyszysz mnie?

Nie odpowiedziała, nawet nie zamrugowała.

Kitty przyłożyła ucho do piersi Diany, nasłuchując bicia serca. Nie usłyszała żadnego dźwięku, jedynie swój własny, spanikowany oddech. Złapała kobietę za rękę, uspokoiła się, po

czym sprawdziła puls.

– Dzięki Bogu – mruknęła, wyczuwając słabe, lecz regularne tętno. Przysunęła policzek do ust kobiety, lecz nie wyczuła ruchu powietrza. Piersi osłonięte jedwabiem, biała kokarda przy dekolcie, były równie nieruchome jak reszta ciała. Na szafce przy łóżku zauważyła małe, ręczne lustro. Sięgnęła po nie, zrzucając jeszcze jedną buteleczkę po lekarstwach, i przytrzymała je nad wargami i nosem. Odczekała kilka sekund, patrząc na srebrną oprawkę z inicjałami DA. Diana Armstrong. Trudno było połączyć imię – i wszystko, co ono oznaczało – z tą bezradną, nieruchomą postacią.

Na lustrze pojawiła się lekka mgiełka. Kitty z ulgą zamknęła oczy. Janet nauczyła ją, jak robić oddychanie usta-usta, ale nie miała pewności, czy robi to należycie. Popatrzyła na Dianę. Kobieta oddychała, serce biło, ale była głęboko nieprzytomna.

Przez okno zobaczyła swój samochód zaparkowany przed domem. Ponaglana przez Jamesa przyjechała prosto tutaj, nie zatrzymując się na swoim podjeździe. Diana musiała jak najszybciej trafić do szpitala. Najlepiej więc będzie, jeżeli sama ją odwiezie. Ale nie miała dość siły, żeby zanieść ją do samochodu. Pamiętała, jak trudno było ściągnąć martwą owcę z wybiegu. Nawet po ostrzyżeniu farmer mógł chwycić ją za krótkie runo. Ale nie chodziło tylko o ciężar. Ciężko jest ruszyć bezwładne ciało. Będzie musiała wezwać Eustace'a i Gabriela.

Wybiegła do hallu i tu się zatrzymała. A jeżeli Dianie nie grozi niebezpieczeństwo? Na pewno nie chciałyby, żeby ktoś oglądał ją w takim stanie. Nie będzie narażać jej na męskie żarty i drwiny.

Poszła do salonu i rozejrzała się wokół bezradnie. Wiedziała, że w domach nie ma telefonów, mimo to szukała przysadzistego, czarnego pudełka. Nagle jej wzrok padł na stolik na kółkach, na którym stały alkohole. Był zrobiony z nierdzewnej stali. Ona i Theo mieli taki sam. Theo żartował, że OFC specjalnie taki zamówiło, żeby wytrzymał duży ciężar butelek. Zsunęła butelki

na podłogę. Coś stłukła, bo szkło się posypało. Kubełek do lodu potoczył się z brzękiem.

W sypialni udało jej się ściągnąć Dianę z materaca, układając tak, że wylądowała brzuchem na stoliku, z luźno zwisającymi rękami i nogami. Zebrała buteleczki po lekach i włożyła je do kieszeni. Następnie pchnęła stolik w stronę kuchennego wejścia, bo tam był tylko jeden stopień prowadzący na betonową ścieżkę. Gdy dojechała do wyłożonego żwirem podjazdu, musiała pochylić się i pchać z całej siły. Zauważyła, że dłonie Diany ciągną się po żwirze, mimo to pchała dalej. Gdy dotarła do samochodu, otworzyła drzwi na tylne siedzenie. Potem podniosła stolik tak, żeby Diana spadła z niego na siedzenie. Uderzyła przy tym głową w bok samochodu i znieruchomiała w niewygodnej pozycji. Miała poobcierane i krwawiące kłykcie.

Chwilę później Kitty wcisnęła pedał gazu. Koła zaboksowały na żwirze, gdy ruszyła z miejsca.

\*

Przed szpitalem nie było żadnych pojazdów, żaluzje w oknach opuszczone, drzwi zamknięte. Kitty nie dostrzegła nikogo, z wyjątkiem sprzątaczkii zamiatającej werandę. Wyskoczyła z samochodu, zostawiając otwarte drzwi, pobiegła do wejścia z napisem „Przyjęcia” i wpadła do środka. Było tam cicho, ciemno i duszno.

– Halo! – zawołała, wbiegając do jednej z sal. Wszystkie łóżka posłane, prześcieradła i koce starannie ułożone na materacu i żadnych pacjentów. W następnej sali podobnie. Wróciła na korytarz.

– Jest tu ktoś?

W drzwiach pojawił się niski, gruby mężczyzna w białym fartuchu.

– Co tu się dzieje?

– Mam kogoś w samochodzie na zewnątrz – odparła zdyszczanym głosem. – Potrzebuje pomocy.

Mężczyzna gapił się na nią bez słowa. Kitty wiedziała, że wygląda koszmarnie. Była boso, miała brudne stopy, a na sukience sierść mały.

– Proszę iść ze mną. To nagły przypadek.

– Gdzieś tam musi być doktor Meadows. I siostra Edwards...

– Pan nie jest lekarzem?

– Jestem chirurgiem klatki piersiowej.

Kitty chwyciła go za rękę.

– W pobliżu nie ma nikogo innego.

– Ja nie zajmuję się medycyną podstawową – zaprotestował chirurg, idąc za nią korytarzem. – Przyszedłem tylko sprawdzić zdjęcie rentgenowskie.

Nie zatrzymując się, Kitty wyjęła z kieszeni opakowania po lekach.

– Myślę, że to wszystko połknęła. Jest nieprzytomna.

Chirurg zatrzymał się i wziął jedną z buteleczek z nalepką.

– Co to jest? – spytała Kitty. – Coś niebezpiecznego?

Bez słowa ruszył biegiem do wyjścia.

\*

– Proszę przytrzymać jej głowę – polecił Kitty chirurg. Smarował parafiną koniec długiej, gumowej rurki. – Zamierzam włożyć jej to do przełyku. A tak w ogóle jestem Frank.

– Kitty Hamilton.

Uniósł wzrok, trzymając rurkę między wargami Diany.

– Żona dyrektora administracyjnego?

– Tak.

– Będę musiał uważać na to, co mówię.

Kitty nie odpowiedziała. Ciekawe, co by pomyślał, gdyby wiedział, ile godzin spędziła w chacie postrzygaczy, gdzie co drugie słowo było przekleństwem. On zaś sprawiał wrażenie łagodnego i dobrze wychowanego.

– Proszę zatkać jej nos – polecił Kitty i wepchnął Dianie koniec rurki do ust. Zmarszczył czoło z niepokojem. – Od lat nie robiłem czegoś takiego.

Kitty skuliła się, patrząc, jak wpycha rurkę coraz głębiej i głębiej. Był brutalny i niedelikatny, jakby miał do czynienia nie z człowiekiem, lecz z przedmiotem. Musiała sobie przypomnieć, że próbuje ocalić życie tej kobiecie. Wyraźnie martwił go stan Diany. Zatrzymał się i sprawdził jej puls. Czoło miał mokre od potu.

– Sęk w tym – powiedział – że trzeba uważać, żeby dostać się do żołądka, a nie do płuc. – Dał znak Kitty, aby wzięła miskę z wodą, po czym włożył do niej drugi koniec rurki. Obserwował ją przez chwilę i kiwnął z satysfakcją głową. – Nie ma bąbelków. To znaczy, że jesteśmy we właściwym miejscu. – Wskazał na ławkę, na której położył duży lejek. – Proszę mi to podać. – Wsunął go w światło rurki, następnie wlał do niego dzbanek wody.

Kitty przełknęła ślinę, czując mdłości, gdy woda zabulgotała w rurce.

– Kim jest pani przyjaciółka?

Nie odpowiedziała wprost. Poczuli się jak oszustka, akceptując termin „przyjaciółka”.

– To pani Armstrong.

Znieruchomiał z dzbankiem w ręku.

– Żona naczelnego? Cholera. Teraz jeszcze bardziej się denerwuję. – Ponownie wskazał na ławkę. – Wiadro. Dzięki. Proszę je przytrzymać poniżej poziomu pacjentki. Siła grawitacji wysysie zawartość żołądka.

Wykonując polecenie, coś sobie przypominała. Była dzieckiem

i patrzyła ukryta za drzewem, jak dwóch podpitych postrzygaczy ściągało benzynę z samochodu nadzorcy za pomocą węża ogrodowego.

Z rurki zaczęła wypływać woda.

– Wygląda na czystą – stwierdził Frank. Jednak po chwili w wiadrze pojawiła się plama białej wydzieliny i kilka kropel krwi. – Idzie. – Na twarzy mężczyzny wpatzonego w wiadro pojawiła się mieszanina troski i irytacji. – Nie mogę uwierzyć, że to robię. Gdzie, u diabła, jest Meadows? – Odwrócił głowę w stronę drzwi, jakby siłą woli chciał ściągnąć lekarza dyżurnego. – Pewnie uznał, że skoro nie ma na oddziale pacjentów, może sobie wyjść na chwilę. – Prychnął. – Założę się, że jest w klubie. A siostra Edwards pewnie poszła go szukać. W Kongarze zawsze można wszystkich znaleźć. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Da mu popalić.

Chirurg powtórzył czynność, wylewając kolejny dzbanek wody. Tym razem gdy Kitty obniżyła wiadro, aby wytworzyć ssanie, zawartość żołądka wypłynęła z rurki i z ust Diany. Kitty spojrzała na Franka przerażona.

– Wszystko w porządku – zapewnił ją. – To dobry znak.

Opróżnił w ten sposób siedem lub osiem dzbanków. Kitty straciła rachubę. Bez przerwy badał Dianie puls i unosił powieki, żeby sprawdzić źrenice.

W końcu woda spływająca do wiadra zrobiła się czysta. Gdy Frank szykował się do wiania ostatniego dzbanka, ręka Diany poruszyła się i chwyciła rurkę.

Frank rzucił Kitty triumfalne spojrzenie.

– Odzyskuje przytomność – stwierdził, po czym zaczął wyciągać rurkę. Diana zakaszlała i jęknęła.

Kitty wydała z siebie drżące westchnienie. Gdy zalała ją fala ulgi, zaczęła się trząść. Zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo była spięta.

– Wróci do zdrowia? – spytała.

– Mam nadzieję – odparł Frank, ocierając twarz rękawem. – Mogło dojść do uszkodzenia jakiegoś organu. Taki jest problem z fenacetyną. Czasami wątroba może przestać pracować.

Kitty utkwiała w nim wzrok.

– Chce pan powiedzieć, że ona może umrzeć?

– Nie zakładajmy najgorszego – odpowiedział pośpiesznie. – Na szczęście znalazła ją pani i szybko przywiozła do szpitala. – Spojrzał Kitty w oczy. – Czy wie pani, czemu próbowała to zrobić?

Pokręciła przecząco głową. Przypomniała sobie słowa Jamesa. „Stan pozbawiony radości”. Taką diagnozę mogła postawić kilku znanym sobie osobom, pomyślała. Ciotce Madge, czasami własnej matce, a także Louisie. I Theo, gdy wrócił z wojny. Nie miała jednak pojęcia, co doprowadziło Dianę do takiego stanu, że chciała się zabić.

Z ust Diany wydobył się cichy jęk. Kitty pochyliła się nad nią i pogładziła po głowie. Jej włosy były poplątane i przypominały strąki. Wraz z zapachem wymiocin i środków dezynfekcyjnych wyczuła smród starego potu. Niebieski peniuar był poplamiony jedzeniem. Jak można było doprowadzić Dianę do takiego położenia? – pomyślała z gniewem. Najwyraźniej Richard wcale nie był takim czułym mężem, jak sądziła. Służba też ją zaniedbała. Chyba że Diana po prostu nie chciała się myć lub zmieniać ubrania.

– Musimy jak najszybciej sprowadzić tu jej męża – oznajmił Frank. – Będzie pani musiała pojechać do dyrekcji.

Kitty niechętnie odeszła od Diany.

– Gdy będzie pani rozmawiała z panem Armstrongiem, niech ktoś odszuka Meadowsa i powie mu, że ma tu przyjść – zawołał za nią Frank, gdy ruszyła do drzwi. – Bohater wojenny czy nie, ale zasługuje na to, by go wylać.

Urwał, słysząc czyjeś kroki w korytarzu. Kilka chwil później do sali wszedł Richard.

– Co się stało? Co się tu, u diabła, dzieje?

Mówił jak nauczyciel, który żąda wyjaśnień od niesfornych uczniów. Stanął przy stole i popatrzył na Dianę. Omiótł spojrzeniem jej ciało i stojące na podłodze wiadro.

– Pańska żona przedawkowała – poinformował go Frank. – Ale zrobiliśmy jej płukanie żołądka. Myślę, że dojdzie do siebie.

W odpowiedzi Richard zmarszczył jedynie czoło. Za jego plecami Kitty dostrzegła Jamesa stojącego w korytarzu. Po powrocie z zakupów musiał zauważyć leżący na podjeździe stolik na kółkach i odkrył, że Diana zniknęła. Wrócił więc po Richarda. Kitty powitała go kiwnięciem głowy. Na twarzy szofera dostrzegła wszystkie emocje, których brakowało Richardowi: troskę, zakłopotanie, ulgę.

Richard odwrócił się w stronę Kitty.

– Co ty tu robisz?

Kitty cofnęła się o krok.

– Znalazłam ją... w sypialni. Przywiozłam tutaj.

– Prawdopodobnie ocaliła życie pańskiej żonie.

W głosie Franka zabrzmiała lodowata nuta. Był równie zaskoczony zachowaniem Richarda jak Kitty.

– Och, nigdy nie bierze ich tyle, żeby się zabić.

Zapadła cisza. Słysząc kapiącą gdzieś wodę, bzyczenie żarówki. Frank otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz najwyraźniej się rozmyślił.

Nagle Richard jakby odzyskał równowagę. Podszedł do Franka i klepnął go w ramię.

– Dzięki, staruszk. Wygląda na to, że opanowałeś sytuację. – Podniósł rąbek niebieskiego peniuaru, zwisającego ze stołu. – Biedna Diana. Podchodzi do wszystkiego zbyt emocjonalnie. – Rozłożył ręce. – Człowiek czuje się bezradny.

Diana mruknęła coś niezrozumiale i lekko poruszyła palcami. Kitty chciała do niej podejść, lecz onieśmielała ją obecność Richarda. Czuła się jak intruz, nikt jej tu nie chciał.

– Chyba powinnam już iść – oznajmiła, ignorując Richarda



i zwracając się do Franka. – Czy mam wpaść do klubu i poszukać doktora?

– Nie! – Richard obrócił się do Kitty. Na jego twarzy pojawił się wreszcie niepokój i strach. – Najpierw muszę z tobą porozmawiać. – Spojrzał na Franka. – Wybacz nam. To nie potrwa długo.

Nie patrząc na leżącą na stole postać, wyprowadził Kitty z sali.

\*

– Nie muszę mówić, Kitty, że doceniam twoją pomoc – powiedział Richard.

Mówiąc to, chodził po poczekalni. Kitty stała przy drzwiach, które zostały za nią starannie zamknięte. Była wyższa od Richarda, ale czuła się jak mała dziewczynka pod jego wzrokiem. Najwyraźniej czekał, aby coś powiedziała. Usiłowała stłumić w sobie wściekłość na jego reakcję na widok Diany.

– Cieszę się, że wpadłam – odparła. – Nie chcę myśleć, co mogłoby się stać. Było tyle pustych buteleczek.

Richard zatrzymał się przed nią. Poczowała zapach wody po goleniu – ostry i słodki.

– Kitty, brakuje mi słów, by wyrazić, jak ważne jest, aby ten wypadek zachować w tajemnicy.

– Nic nie powiem – zapewniła zdecydowanie. Podobnie jak on nie chciała, żeby inni, a zwłaszcza kobiety z klubu, dowiedziały się, co zaszło. Pomagając ratować Dianę, czuła teraz, że powinna ją chronić.

– Oczywiście tu nie chodzi o Dianę. Myślę o projekcie. Źle to wpłynie na szeregowych pracowników, gdy się dowiedzą, że coś takiego zdarzyło się w kierownictwie. Nie mogę pozwolić, żeby to się wydało.

Kitty zrozumiała, że bardziej zależy mu na tej drugiej sprawie.

Że projekt znaczył dla niego więcej niż Diana.

– Rozumiem – odpowiedziała, siłąc się na obojętny ton głosu.

– Doceniam to, Kitty, naprawdę.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i podał jej.

– Dziękuję, nie palę.

– Rozsądna dziewczyna. – Pochylił się nad zapalką i zaciągnął papierosem. Końcówka zajaśniała na czerwono. – To moja wina. Powinienem wcześniej interweniować. – Wydmuchał smugę dymu. – To jasne. Ona musi wrócić do domu.

Kitty zmarszczyła brwi. Oczywiście, że wróci, jak tylko dojdzie do siebie. Jednak po chwili zrozumiała, że dom oznacza Anglię.

– Zrobiłem błąd, ściągając ją tutaj – ciągnął Richard. – Myślałem, że zmiana miejsca pomoże. Nowy początek i takie tam. Ale muszę stawić czoło faktom. To się nie sprawdziło.

– A co z tobą, z twoją pracą? – spytała Kitty.

Richard spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem. – Zaraz jednak twarz mu się rozjaśniła. – Ja oczywiście tu zostaję. Nie mógłbym tak po prostu wszystkiego zostawić, zrezygnować z projektu. Ale nie martw się, dobrze się nią zaopiekują.

– Kto? – spytała. Przypomniała sobie słowa Jamesa. – Czy ma w Anglii siostrę?

– Nie. Brata w Kornwalii. Ale jej potrzebna jest profesjonalna pomoc. I otrzyma najlepszą, zapewniam cię.

Kiwnęła głową. Jego plan miał sens. Dianie potrzebny był psychiatra. Jeżeli była tu, w Kongarze, nieszczęśliwa, to z pewnością chętnie stąd wyjedzie. Nawet jeżeli oznaczało to rozłąkę z mężem, przynajmniej na jakiś czas.

– Najpierw wyślę ją do Nairobi. W piątek miałyby samolot.

Ten pospieszny plan zaniepokoił Kitty.

– Ale przecież może tu dochodzić do siebie – zaprotestowała. – Ma tu przyjaciół, którzy mogą ją odwiedzać.

– Jakich przyjaciół? – W oczach Richarda błysnął ból, zaraz

jednak znowu stał się chłodny i opanowany. Pokręcił głową. – Nie będzie żadnych odwiedzin, Kitty. Mówimy tu o samobójstwie. To szokująca sprawa. Karalna. Nikt nie może się o niej dowiedzieć. – W jego głosie pojawiła się nuta paniki. – Franka obowiązuje tajemnica zawodowa. Meadows i pielęgniarka nie zechcą się przyznać, że nie było ich tam, gdzie być powinni. James jest lojalnym służącym, będzie milczał. Zostajesz ty, Kitty. Nikomu nie możesz powiedzieć o tym, co się dziś stało. Nawet Theo.

Kitty otworzyła usta. Nie chciała znowu mieć tajemnic przed Theo. I tak już martwiła się tym, że zataiła przed nim wizyty w misji.

– Theo zrozumiałby – zapewnił ją Richard. – Dżentelmen wie, co znaczy prywatność.

Miał rację. Theo na pewno by to zrozumiał, gdyby znał okoliczności. W końcu był zamieszany w publiczny skandal.

– Dopilnuję, żeby go zatrzymano w dyrekcji – powiedział Richard. – Wracaj do domu, przebierz się, zrób sobie mocnego drinka. I wymyśl historyjkę o tym, jak spędziłaś dzisiejszy dzień. – Spojrzał na nią z uwagą. – Nie zawieź mnie. – Zaciągnął się papierosem. – Mówię poważnie. Nie zawieź mnie.

W jego głosie zabrzmiała groźba, tym bardziej przekonująca, bo wypowiedziana z wykwintnym akcentem. Ciekawe, jak to jest pracować pod kierownictwem Richarda, pomyślała. Czy dlatego Theo spędza w pracy długie godziny? W obawie przed konsekwencjami, gdyby go zawiódł?

Richard zaczekał, aż Kitty kiwnie głową, po czym błysnął uśmiechem. Miał wystające górne kły, które przyciągały uwagę, gdy otwierał usta. Nadawały mu lekko niebezpieczny wygląd, który czynił go atrakcyjnym. Teraz zrozumiała, jak udało mu się zdobyć tak piękną żonę. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, jakby ją całkowicie przekonał.

– Chcę ci podziękować w imieniu Diany – dodał. – Gdy będzie w stanie to usłyszeć, powiem jej, jak ją uratowałaś. Spodziewam

się, że wyśle ci kartkę.

– Ale ja chcę ją zobaczyć, zanim ją zabierzesz.

– Nie sądzę. – Pokręcił głową. – Nie.

Kitty nie mogła się zmusić do kiwnięcia głową czy twierdzącego mruknięcia. Po tym wszystkim, przez co dziś przeszła z Dianą, musiała ją jeszcze raz zobaczyć. Richard czekał na jej odpowiedź. Wiedziała, że powinna uznać jego autorytet – naczelnego dyrektora, męża Diany i mężczyzny – ale poczuła się pewnie, stojąc boso na zimnej, kamiennej podłodze. Przypomniała sobie, jak pchała wózek po żwirze, jak znalazła Franka i przekonała go, żeby potraktował ją poważnie. Uniosła brodę i się wyprostowała.

– Chcę się pożegnać z Dianą. Jesteś mi to winien – dodała, patrząc Richardowi prosto w oczy.

– Będzie w prywatnej sali – odpowiedział krótko. – Powiem siostrze Edwards, żeby cię wpuściła.

---

3 Inch (ang.) – cal.

# Rozdział dziesiąty

Kitty skręciła w wąską ulicę biegnącą u stóp wzgórza, na ziemi niczyjej, która oddzielała ulicę Milionerów od reszty osady. OFC zamierzało zbudować tu kolonię mniejszych domów dla pracowników, którzy zasługiwali na lepsze warunki zakwaterowania niż średni personel, ale nie kwalifikowali się, żeby mieszkać w takich jak kierownictwo. Wybudowano zaledwie kilka, gdy pieniądze i czas zostały skierowane gdzie indziej.

Kitty minęła trzy identyczne domy nazywane przez wszystkich „trojaczkami”. Były tylko trochę większe od tych, które zwano „budkami”, ale miały solidne ściany z cegieł i dachy kryte dachówkami. Najwyraźniej ten sam ogrodnik dbał o frontowe ogródki, bo rosły w nich te same *manyary* i bugenwille oraz kępy geranium z lewej strony frontowych drzwi.

Dalej stały dwa puste budynki – prawdopodobnie plan zakładał wybudowanie jeszcze trzech następnych domków lub może dwóch kompletów po dwa. Potem jej oczom ukazał się dom zwany „pudełkiem na buty”. Kitty zwolniła. Drzwi frontowe były otwarte i zmierzał do nich czarnoskóry mężczyzna z puszką farby w ręku. Drugi mył okna.

Ciekawe, kogo stąd wyrzuciło OFC, żeby zrobić miejsce dla nowego lokatora, pomyślała. Wczoraj wieczorem Theo oznajmił, że będą mieli nowego prawie sąsiada. Późno wrócił z pracy, tak jak obiecał Richard, bo zatrzymano go na zebraniu. Ale był w wyjątkowo dobrym humorze. Chociaż zapadł już wieczór,

zapropował, żeby wypili drinki na werandzie. Słuchała w milczeniu opowieści o najnowszym problemie, z jakim się zmagał. Zakładała, że jego ożywienie wynikało z tego, że znalazł rozwiązanie. Chodziło o miejscowe pszczoły.

– Znowu kogoś zaatakowały? – spytała. Nie mogła przestać myśleć o tym, co spotkało męża Cynthii. Uciekała, gdy tylko dostrzegła nawet jedną pszczołę.

– Nie, dzięki Bogu. Wprost przeciwnie. Okazuje się, że są strasznie leniwe.

Zaczął wyjaśniać, że wskaźnik zapylania w poprzednim sezonie był alarmująco niski. Był to jeden z powodów – możliwe, że główny – rozczarowująco niskich plonów. Dobrze, że ministrowi żywności udało się przekonać brytyjski parlament, żeby nie brał pod uwagę pierwszego roku działania projektu, lecz dopiero obecny. Miał ku temu poważne powody. Nikt się nie spodziewał takich komplikacji przy karczowaniu i oraniu. Nikt też nie spodziewał się, że deszcze się spóźnią, a potem spadną z taką gwałtownością, że zaleją wszystkie plantacje. Ten sezon musiał być inny. Cele musiały zostać osiągnięte.

– Więc co z tymi pszczołami? – weszła mu w słowo Kitty. Była na granicy wyczerpania nerwowego i nie miała cierpliwości wysłuchiwać całej litanii problemów i nieszczęść, jakie stały na drodze do realizacji projektu.

– Dobre pytanie – odparł Theo, z wyraźnym zadowoleniem. – Zamierzamy sprowadzić europejskie pszczoły. Założymy na plantacjach kilka kolonii pszczół.

Kitty popatrzyła na niego w milczeniu. Miała ochotę powiedzieć, że w Australii wprowadzenie obcych gatunków stało się przyczyną poważnych problemów. Króliki przeznaczone na jedzenie zaczęły się mnożyć na potęgę i wyjadały trawę z pastwisk. Osty sprowadzone po to, by przypominały ludziom Anglię, rozrosły się tak, że zaczęły dominować w krajobrazie. A to były tylko dwa przykłady.

– Oczywiście potrzebowaliśmy eksperta, by nadzorował program. Zadzwoiłem więc do starej znajomej, która kiedyś zajmowała się pszczołami. Uczęszczałem do Eton razem z jej braćmi. – W jego oczach pojawiło się ciepło na to wspomnienie. – Kiedyś byłem w ich posiadłości i pojawiła się ona, ubrana od stóp do głowy w dziwaczny strój. Odymiała ule, żeby zebrać miód. Wspaniały widok. Okazało się, że nadal bawi się w pszczelarstwo. Poprosiłem, żeby mi kogoś poleciła. A ona powiedziała... – Urwał i rzucił Kitty triumfalne spojrzenie. – Powiedziała, że z przyjemnością sama się tym zajmie. Przyjeżdża do Kongary. Rozmawiałem z ludźmi z Londynu i wszystko zostało ustalone.

Kitty uśmiechnęła się z trudem. Z jego entuzjastycznej wypowiedzi na czoło wysuwało się kilka słów. Eton. Ich posiadłość. Wspaniały widok.

– Jak się nazywa?

– Lady Welmingham. Charlotte. Przyjedzie tak szybko, jak będzie mogła, ale nie wcześniej niż za miesiąc. Zamieszka w pudełku na buty. Już zatrudniłem ekipę remontową. Wiesz, jak trudno tu coś zrobić. Oczywiście ten dom jest dla niej za mały. Nie ma tam pomieszczeń dla służby. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że powiedziałem, aby jadała z nami kolacje. Polubisz ją. Jestem pewien.

Kitty z trudem przełknęła ślinę. Przypomniała sobie spotkanie z inną znajomą Theo, która szczyła się tytułem lady. Była osobą wyjątkową: ubierała się według najnowszej mody, mówiła w czterech językach i grała na fortepianie i skrzypcach. Louisa zaprosiła ją do Hamilton Hall w nadziei, że odciągnie syna od australijskiej przyjaciółki. Z pewnością lady Welmingham będzie równie onieśmielająca. A poza tym Kitty chciała spędzać wieczory tylko z Theo. Lecz jak zwykle była w niekorzystnej sytuacji. Nie miała prawa niczego mężowi odmawiać.

– Oczywiście, że może z nami jeść – odpowiedziała, siłąc się na pogodny ton. Może przez wzgląd na gościa Theo będzie na czas

wracał do domu.

Teraz zatrzymała się przed pudełkiem na buty i omiotła wzrokiem wąską fasadę. Cały dom był pewnie mniejszy niż salon w pałacu lady Charlotte. Miała nadzieję, że nie będzie jej tu wygodnie, że ustawi ule, czy co tam musiała zrobić, i wróci do Anglii.

Dostrzegła jakiś ruch w drzwiach i pojawił się człowiek z farbą. Na jego twarzy malował się niepokój. Może pomyślał, że ta kobieta jest nową mieszkanką i przyjechała wcześniej. Kitty pomachała do niego uspokajająco i odjechała.

\*

Na drzwiach widniała drewniana tabliczka ze złotymi literami „Oddział prywatny”. W progu pojawiła się siostra Edwards z pękiem kluczy w ręku i spojrzała podejrzliwie na Kitty.

– Śpi teraz. Mogłaby pani przyjść później?

Kitty pokręciła głową.

– Tylko posiedzę przy niej chwilę.

– Będę na zewnątrz – powiedziała siostra Edwards. – Nie chcę pani z nią zamykać, ale trzeba zachować zasady bezpieczeństwa.

Kitty spojrzała na pielęgniarkę skonsternowana. A więc tu był teraz świat Diany – została oficjalnie uznana za wariatkę. Dowiodła, że może być groźna dla siebie. A może i dla innych.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Kitty podeszła do łóżka. Diana leżała na wznak, przykryta do piersi prześcieradłem. Ręce spoczywały po bokach. Odprysnięty lakier na paznokciach tworzył ostre plamy na białym płótnie. Na obtartych kłykciach widniały żółte smugi jodyny. Miała spuchnięte powieki z widocznymi różowymi żyłkami i blade policzki. Jedwabny negliż zastąpiła perkalowa koszula nocna, zapewne należąca do szpitala. Umyte włosy były starannie zaczesane do tyłu. Kitty



popatrzyła na nią z przerażeniem. Wyobraziła sobie siostrę Edwards przy pracy, jak zmienia Dianę w podręcznikową pacjentkę lub więźnia.

– Diano, to ja, Kitty.

Nie zauważyła żadnej reakcji. Wentylator skrzypiał rytmicznie, mieszając gorące powietrze. Kitty poczuła, jak zalewa ją pot. Nadciągała pora deszczowa i robiło się coraz duszniej. Nad górami pojawiły się chmury. Mamiły widokiem, lecz nie spadła z nich ani kropla. Powietrze jakby zastygło w oczekiwaniu.

Kitty delikatnie dotknęła dłoni leżącej wzdłuż boku. Miała nadzieję, że zdoła jakoś powiedzieć Dianie, że ona tu jest, że nie wszystkie „siostry” zostawiły ją samą.

Powieki zadrgały i się uniosły.

– Nie śpię – rozległ się szept. W zacienionym pokoju wielkie oczy Diany były bardziej zielone niż szare.

Kitty cofnęła rękę, niepewna, jak zostanie przyjęta. Czy Diana wiedziała, że to ona ją znalazła i tu przywiozła?

– Nie odchodź – zabrzmiał niski, nagłący głos, a w oczach pojawił się strach. – Zostań ze mną. Proszę.

– Ciii, już dobrze. Wkrótce poczujesz się lepiej. Richard znajdzie ci najlepszych lekarzy.

Diana pokręciła głową.

– Nie mogę wrócić do Anglii. Zamkną mnie.

Kitty gwałtownie wciągnęła powietrze. Poczowała się zagubiona. Nagle usłyszała kroki w korytarzu. Gdy drzwi się otworzyły, Diana zamknęła oczy, udając, że śpi.

– Tylko sprawdzam, czy wszystko w porządku – oznajmiła siostra Edwards. – Muszę teraz przyjąć pacjenta, ale nie będę daleko. Proszę mnie zawołać, gdyby się obudziła.

– Naturalnie – odparła Kitty i udało jej się uśmiechnąć pogodnie.

Jak tylko ucichły kroki pielęgniarki, Diana uniosła się i pochyliła w stronę Kitty.

– Musisz mi pomóc. Nie ma nikogo innego. – Mówiła mocnym głosem, jak dawna Diana, panująca nad sobą i nad wszystkimi wokół.

– Nie wiem, jak ci pomóc – odparła Kitty. – Nie wiem, co ci dolega.

– Co mi dolega? – powtórzyła Diana, jakby starała się zrozumieć sens słów. Kitty dostrzegła, jak pod pustym płótnem jej twarzy kształtują się myśli. – Zabiłam własne dziecko – oznajmiła w końcu, opadając na poduszkę.

Jej słowa trafiły Kitty prosto w serce. Gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

– Co to znaczy?

– Miałam odebrać go ze szkoły, ale się spóźniłam. Byłam na zakupach i zbyt długo przymierzałam jedną sukienkę. Gdy dotarłam na miejsce, zaparkowałam po złej stronie drogi. – Diana mówiła monotonnym głosem, jakby po raz kolejny przekazywała wypowiedziane lub powstałe w czyjejs głowie słowa. – Phillip zawsze czekał na mnie pod dębem, niedaleko wejścia do szkoły. Gdy się nie pojawiłam, postanowił wrócić autobusem. Widziałam, jak stoi w kolejce z innymi dziećmi. Wyglądał na zaniepokojonego. Zawsze po niego przyjeżdżałam. Podjechał autobus. Chciałam go zatrzymać i.. – Głos jej zamarł i z jej ust wydobyło się drżące westchnienie. – Zawołałam go. Uniósł wzrok i zobaczył mnie. Twarz mu się rozjaśniła, pomachał mi i przebiegł przez drogę. Krzyknęłam, żeby się zatrzymał, ale biegł dalej. To było jak w koszmarze, wolno, ale jednocześnie szybko. Kierowca samochodu nie zauważył go, bo autobus zasłonił mu widok... – Zapadła chwila ciszy. Diana wpatrywała się w sufit, a z oczu na skronie spływały jej łzy. – Wyleciał w powietrze jak zabawka. Uderzył głową w asfalt. Nigdy nie zapomnę tego odgłosu. Podbiegłam do niego. Było tyle krwi. Oczy mu się zamykały. Podniosłam go. Usiłowałam go przytulić i błagałam, żeby nie umierał. Ratownik z karetki położył go na

noszach. Obchodzili się z nim delikatnie, jakby mój mały chłopiec wciąż żył. Ale potem zakryli mu twarz, bo nie musiał oddychać. – Zniosła się szlochem.

Kitty łzy spływały po policzkach. Brakowało jej słów, żeby coś powiedzieć. Diana cicho płakała.

– Miał tylko pięć lat. Mój skarb. Mój mały chłopczyk. – Po jakimś czasie Diana uspokoiła się i wsparła na łokciu. – Nie mogłam sobie wybaczyć. I nigdy nie wybaczę. Wiem, że Richard też mnie za to obwinia. Rozpacz doprowadzała nas do szaleństwa. Gdziekolwiek poszliśmy, do domu, do miasta, wszędzie widzieliśmy Phillipa i nieustannie o nim myśleliśmy. Ludzie się od nas odsunęli. Nie wiedzieli, co powiedzieć. Nie można ich za to winić. Wojna się skończyła, ludzie nie chcieli słuchać o nieszczęściach.

Kitty kiwnęła głową. Czowała to samo, gdy Yuri został znaleziony martwy – jakby na świecie pozostało miejsce jedynie dla bólu i na nic innego.

– Dlatego przyjechaliśmy do Kongary. Postanowiliśmy, że nikomu nie powiemy o Phillipie. Nie powiemy nawet, że w ogóle mieliśmy dziecko. – Uśmiechnęła się smutno. – Z początku myślałam, że się uda. Staralam się, tak bardzo się starałam. Sądziłam, że jeżeli będę się zachowywać, jakbym miała to już za sobą, stanie się to prawdą. Jednak rozpadałam się w środku.

Kitty przypomniała sobie słowa Janet. „Rana musi się zagoić od środka”. Żałowała, że nie ma tu starej misjonarki, która by coś doradziła.

– Nie wiesz, jak to jest, Kitty. Każdego ranka patrzę na siebie w lustrze i pamiętam. Wiem, że nie zasługiwałam na to, aby być matką. Nie zasługiwałam na niego.

Kitty spojrzała na swoje dłonie splecione na kolanach. Przypomniała sobie, co czuła, gdy Yuri powiedział jej w końcu o Katy, usiłując zmierzyć się z bólem drugiej osoby, tak strasznym, że trudnym do wyobrażenia.

– Już wcześniej chciałam się zabić. Raz w Anglii i raz tutaj. Ale tym razem prawie mi się udało. Richard powiedział, że gdybyś nie przyszła, umarłabym.

Kitty zagryzła wargę. Twarz Diany była nieprzenikniona. Czyżby obwiniała ją za uratowanie jej życia? Nie miała wątpliwości, że Diana zażyła te tabletki z własnej woli. Ale nie przyszło jej do głowy, że nie powinna się wtrącać. Człowiek zdesperowany nie myśli rozsądnie. Czy na pewno każdy zrobiłby to, co ona? Ale chociaż usprawiedliwiała swoją ingerencję, wiedziała, że kryje się za tym coś więcej. Uświadomiła to sobie wczoraj wieczorem, gdy siedziała na kanapie, czekając na Theo, a przed jej oczyma przesuwwały się obrazy minionego dnia. Uświadomiła sobie, że ratując Dianę, próbowała zrekompensować sobie to, że nie była w stanie uratować Yuriego.

Tego wieczoru, gdy odebrał sobie życie, była na tańcach z Theo w bazie RAF-u. Zdała sobie z tego sprawę, gdy powiedziano jej, kiedy to się stało. Śmiała się, rozmawiała, ubrana w najlepszą sukienkę, podczas gdy Yuri dokonywał ostatnich pociągnięć pędzlem i zegnał się z życiem. Gdyby tylko przyszła wtedy do niego, mogłaby uratować mu życie. Chwycić go, gdy spadał, odciąć sznur, położyć na podłodze i trzymać w ramionach...

– Dobrze, że mnie uratowałaś – powiedziała Diana. – Ja chcę żyć.

Kitty utkwiała wzrok w jej twarzy. Więc tak to jest? W obliczu śmierci odzywa się chęć życia. Czy z Yurim też tak było?

– Coś się wtedy stało... w sypialni. Widziałam, jak mi pomagasz, ściągasz mnie z łóżka. Byłam nad tobą... nad nami... i patrzyłam na nas. I był tam jeszcze ktoś.

Kitty pokręciła przecząco głową.

– Nie, nikogo tam nie było.

Diana uśmiechnęła się, a w oczach pojawił się blask.

– Był... Stał w rogu. Mały chłopczyk. – Łzy znowu spłynęły jej po twarzy, ale uśmiech pozostał. – To był Phillip. Powiedział mi,

że jeszcze nie nadeszła moja pora. Nie słowami, ale zobaczyłam to w jego oczach. Po prostu go zrozumiałam. – Spojrzała w róg pokoju, jakby go tam szukała. W jej oczach było ciepło, duma, miłość. Kitty nigdy ich przedtem nie widziała w twarzy Diany, ale dostrzegą ją u innych kobiet. Matek.

– Powiedziałam Richardowi, że widziałam Phillipa, ale on stwierdził, że to przez leki. I mój oszalały umysł.

Kitty starała się zachować obojętność. Pomyślała, że Richard pewnie miał rację, lecz nie chciała tego mówić.

– Nie wierzy w to, że mogę się zmienić – ciągnęła Diana. – Dlatego mnie odsyła.

Nagle otworzyły się drzwi do pokoju i w progu stanęła młoda czarnoskóra kobieta w białym kitlu.

– W porządku, możesz wejść – powiedziała Kitty.

Kobieta grzecznie spuściła wzrok.

– Nie wolno mi. Siostra Edwards przysłała mnie, aby powiedzieć, że czas na panią – wyrecytowała wiadomość jak uczennica.

– Już idę. Za chwilę – odparła Kitty.

Kobieta spojrzała niepewnie na korytarz.

– Mam zamknąć drzwi.

– *Dada yangu ananihitaji*. Siostra mnie potrzebuje – odparła Kitty. – *Naomba msaada yako*. Proszę, pomóż mi.

Kobieta zawahała się przez chwilę, po czym się odwróciła. Gdy wyszła, Kitty pochyliła się nad Dianą.

– Co chcesz, żebym zrobiła?

– Porozmawiaj z Richardem. Przekonaj, żeby dał mi jeszcze jedną szansę.

Kitty wciągnęła powietrze. Nie miała ochoty rozmawiać z Richardem. Oczywiście zrobi to ze względu na Dianę, ale nie miała pojęcia, co mu powie. Nie była w stanie wyobrazić sobie innej Diany – spokojnej, opanowanej, przewidywalnej. Czy przejęłaby funkcję Alice, robiła notatki i trzymała wszystko pod

kontrolą? Czy nauczyłyby się grać w tenisa i robić na drutach? Jeśli nie wierzyła w to, że Diana może się zmienić, to jak przekona do tego Richarda?

– Zrobisz to? – spytała Diana błagalnym tonem. W jej oczach błysnął strach. – Proszę. Zanim nie będzie za późno. Nie mam kogo prosić o pomoc. – Chwyciła Kitty za rękę.

– Zrobię, co będę mogła – odpowiedziała Kitty, starając się, by zabrzmiało to pewnie. Wstała i odwróciła się w stronę drzwi.

– On mnie kocha – zawołała za nią Diana, lecz trudno było wyczytać z tonu jej głosu, czy brzmi w nim nadzieja czy wiara.

Kitty odwróciła się i uśmiechnęła.

– Oczywiście, że tak.

# Rozdział jedenasty

Kitty i Richard stali obok siebie przy oknie w jego przestronnym namiocie. Z zewnątrz dobiegały odgłosy krzątania – przyjeżdżających i wyjeżdżających samochodów, wydawanych poleceń, gwizdków askarysów biorących udział w paradzie. Żadne z nich się nie odzywało. Patrzyli jedynie na góry. Nad szczytami wciąż zbierały się chmury zapowiadające deszcz, lecz trzymały się z dala od Kongary. Wszyscy byli pod ich urokiem. Zupełnie jakby ludzie wierzyli, że nieustannie spoglądając w niebo, mogą je tu ściągnąć i rozładować cenny ładunek. Kitty nie była pewna, czy wpatrując się w niebo, potwierdzają ten fakt. A może po prostu unikają patrzenia sobie w oczy.

Kitty przygotowała się do tego, co powie, w drodze ze szpitala. Chciała delikatnie przypomnieć Richardowi, że musi się liczyć z jej zdaniem. Wiedziała, że zależy mu na jej milczeniu. Jednocześnie zamierzała się odwołać do jego poczucia przyzwoitości. Miała nadzieję, że inne uczucia też mogą odegrać tu swoją rolę – jeżeli to prawda, co Diana powiedziała, że mimo wszystko Richard kochał żonę.

Jadąc tu, wpadła na pewien pomysł. Gdy w końcu udało jej się przekonać srogą sekretarkę, aby wpuściła ją do wewnętrznej części namiotu, gdzie pracował Richard, wyjaśniła mu, że ma mu coś ważnego do przekazania. Jak tylko odesłał cały personel na bezpieczną odległość, przedstawiła mu swoją propozycję.

Teraz skończyła. Ostatnie słowa, niepewne i dziwaczne, zawisły w powietrzu. Starła się wyglądać na spokojną i rozsądną, chociaż żołądek miała ściśnięty ze zdenerwowania.

– Sądysz więc, że Diana wyzdrowieje, jeżeli przez jakiś czas będzie pomagać karmić bandę czarnoskórych więźniów? – spytał w końcu.

Zabrzmiało to śmiesznie w jego ustach. Zaczęła się zastanawiać, jak przekazać mu, czego doświadczyła w misji – tę ulgę, że może się na czymś skupić, która podniosła ją na duchu.

– Czy Theo wie, że tam jeździsz? – spytał Richard.

– Byłam tam tylko dwa razy. I nie. Nie powiedziałam mu.

Richard spojrzał na nią z ukosa.

– A więc wszyscy mamy tajemnice. Małe i duże.

Kitty wpatrywała się w chmury. Czy miał na myśli jej wizyty w misji za plecami Theo, czy też wiedział coś o jej przeszłości?

Odchrząknął.

– Czy Diana powiedziała ci o naszym dziecku?

– Tak – odparła. – Bardzo mi przykro. – Zabrzmiało to banalnie.

Richard ukrył twarz w dłoniach i przez chwilę milczał załamany.

– Czy powiedziała ci, że go widziała? Że miała coś w rodzaju wizji?

– Tak – odrzekła po prostu.

Nie chciała mu mówić, że nie wierzy już w duchy. Ani w anioły, jeżeli o to chodzi. Już dawno wyzbyła się dziecięcych przesądów, przyjmując w ich miejsce poglądy Yuriego. Koniec to koniec. Śmierć jest czymś ostatecznym. Nie miał co do tego wątpliwości, chociaż tak naprawdę próbował oszukać śmierć, ożywiając Katyę w Kitty. Do pewnego stopnia to się udawało. Gdy odebrał sobie życie, ludzie uznali, że był to gest rozpacz. Ale ona wiedziała, że zrobił to, bo praca dobiegła końca. Złożył narzędzia i odszedł...

– Dziś czuje się znacznie lepiej. Jest spokojna. Niemal szczęśliwa. Nie wiem, co o tym myśleć. Rozsądek podpowiada mi, żeby odesłać ją do domu. Ale serce mówi... – Głos mu się załamał. Zachowywał się zupełnie inaczej niż wczoraj. Tu, w swoim



gabinecie, miał wokół siebie wszelkie atrybuty władzy – ogromne, mahoniowe biurko z wygiętymi nogami i pazurami lwa, własny telefon, stos dokumentów, ciężką szklaną popielniczkę z literami OFC. Na brezentowych ścianach wisiały oprawione w ramki dokumenty. Ubrany w elegancki, lniany garnitur był w każdym calu poważnym dyrektorem. Lecz w tym momencie targały nim nadzieja i strach, jak zwykłym człowiekiem. Kitty przyszło do głowy, że przekonanie Diany, iż widziała ich zmarłego synka, zmieniło z kolei jej męża, bez względu na to, czy wierzył jej czy nie.

– Chodzi o to, że nie mogę ryzykować, by to się powtórzyło. Po prostu nie mogę. Wczoraj byłem na nią zły, przyznaję, ale bardzo mi na niej zależy. – Urwał, pozwalając Kitty to przemyśleć.

Kiwnęła głową. Zrozumiała, że chciał w ten sposób wyrazić, że kocha żonę. Jego wczorajsze zachowanie było podyktowane strachem i frustracją. Teraz okazał troskę.

– W Anglii zdiagnozowano u niej neuropsychozę – ciągnął Richard. – To jak nerwica frontowa, na jaką cierpią żołnierze. Myślałem, że przyjazd tutaj, zupełna zmiana otoczenia, pomoże jej dojść do siebie. – Spojrzał ponad chmurami, jakby cofał się w czasie. – Gdybyś знаła ją przedtem... Była duszą towarzystwa. Zabawna, impulsywna. Nieustannie wymyślała jakieś plany, potem zmieniała zdanie. Każdego za sobą pociągnęła. Była trochę zwariowana, ale to właśnie ludzie w niej kochali. Nadal jest tą samą osobą, tylko wszystko wymknęło się spod kontroli. Jest w niej jakaś desperacja. Przypomina kogoś, kto trzyma się sznura z obawy, że się rozpadnie. – Głos mu się załamał. – Ciężko na to patrzeć. – Kitty miała ochotę dotknąć go, zaofiarować wsparcie, ale gdy wyciągnęła rękę, zeszywniał i się odsunął. – Wierz mi, gdybym wiedział, że można coś dla niej zrobić tu, w Kongarze, natychmiast bym się na to zdecydował. Mam jednak wątpliwości, delikatnie mówiąc, co do twojej propozycji.

Kitty utkwiała wzrok w podłodze. Ona też miała wątpliwości.

Ale gdyby się udało, Diana uniknęłaby zakładu dla umysłowo chorych, a ona miałyby wreszcie jakiś cel. Skoro nie mogła być artystką, to przynajmniej robiłaby coś pożytecznego.

– Myślę, że to mogłoby jej pomóc – odpowiedziała zdecydowanym tonem. – Czemu nie spróbować?

– Ale dlaczego ta praca w misji miałaby coś w niej zmienić? Twierdzisz, że będzie podawać jedzenie więźniom, gotować i zmywać. To ciężka praca. Dianie to się nie spodoba.

– To rzeczywiście ciężka praca – przyznała. – Ale dzięki temu nie będzie miała czasu myśleć o sobie. Wtedy własne problemy wydają się małe w porównaniu z ich kłopotami. Możesz zapomnieć o swoich troskach, poczuć się wolnym... – Umilkła, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że mówi o sobie.

Richard spojrzał na nią badawczo, jakby zrozumiał, że chodzi tu również o jej potrzeby. Po chwili jednak zmarszczył brwi i zaczął spacerować, nie odrywając wzroku od okna. Wreszcie zatrzymał się przed Kitty.

– Daję ci miesiąc – oznajmił. – Jeżeli okaże się, że ona wraca do poprzedniego stanu, natychmiast zrywam umowę. Tymczasem poinformuję o niej Theo. – Przesunął dłońmi po twarzy. – Muszę powiedzieć, że byłoby znacznie łatwiej, gdyby oni nie byli Włochami. Przecież jeszcze tak niedawno walczyliśmy z nimi. To byli nasi wrogowie. Oczywiście mnóstwo ich pracuje na plantacjach, ale pomysł, żeby moja żona zaangażowała się w pracę we włoskiej misji, jest trochę dziwny. – Spojrzał na nią pytająco. – Nie mogłybyście pracować dla anglikańskiej misji?

Kitty pokręciła głową przecząco, przypominając sobie, jak pomagała przy rozdawaniu posiłków i opatrywaniu ran. Przed oczyma stanęła jej oaza zieloności – zasobne ogrody.

– To dobre miejsce – odparła zdecydowanie. – Ojcowie są bardzo mili.

Poczuła wyrzuty sumienia, że nie wspomniała o Taylorze. To on był prawdziwym wrogiem, bo próbował sabotować projekt

orzeszkowy. I miał kłopoty z prawem. Ale nie należał do misji. To, że zastała go tam, gdy przyjechała oddać nóż, nie oznaczało, że często tam bywa.

– Dobrze. Zostaw to mnie – powiedział Richard. – Nic nie mów Theo. On myśli, że Diana trafiła do szpitala z powodu komplikacji związanych z malarią.

Przeszedł szybko do logistyki i planowania: czym będą dojeżdzać, które i jakie środki bezpieczeństwa należy przedsięwziąć. W jego głosie brzmiała siła i pewność. Znowu stał się dyrektorem generalnym.

\*

Wieczorem, gdy Theo wrócił do domu, poprosił Kitty, aby usiadła w jadalni. Między posiłkami pusty stół przytłaczał inne sprzęty. Błyszczący blat wyglądał jak czarna rzeka. Takie miejsce zachęcało do poważnych rozmów i przekazywania informacji o wielkim znaczeniu.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Kitty starała się odczytać coś z twarzy Theo. Czy Richard już z nim rozmawiał? Czy może chodziło o kolejną katastrofę na plantacjach?

– Richard zwrócił się do mnie z niezwykłą prośbą. Wygląda na to, że Diana wymyśliła sobie jakąś pracę charytatywną. W dodatku w misji katolickiej. – Popatrzył na Kitty ze zdumieniem w oczach. – Nawet nie wiedziałem, że jest tu taka. No więc Richard prosi, żebyś ty też wzięła w tym udział. I miała na nią oko. Jak wiesz, była chora i Richard nie chce, żeby się przepracowywała.

Kitty zastanawiała się, jak ma odpowiedzieć, nie ujawniając, co wie. Otworzyła usta, lecz Theo nie dopuścił jej do głosu.

– Nic więcej nie wiem. Będziesz musiała porozmawiać z Dianą.

– Zmarszczył brwi. – To zbyt duża prośba. Ledwie zdążyłaś się zadomowić w klubie, a będziesz musiała z niego zrezygnować. Ale nie mogłem się nie zgodzić. Nie miałem wyboru.

Kitty poczuła z jednej strony ekscytację na myśl o tym, co ją czeka, a z drugiej przerażenie, że Theo tak bez ogródek dał jej do zrozumienia, kto dla niego jest ważniejszy. A jeżeli przeraziłaby ją ta propozycja? Czy i wtedy musiałaby się zgodzić?

– W porządku. Nie mam nic przeciwko temu.

Na twarzy Theo pojawiła się ulga.

– To dobrze. Wygląda na to, że jutro musisz pojechać do misji i wszystko załatwić. Nie rozumiem, skąd ten pośpiech i dlaczego masz to robić w niedzielę, ale taki jest Richard: wszystko trzeba robić natychmiast, a najlepiej na wczoraj i bez zbędnych pytań. – Uśmiechnął się smutno. – Na pewno nie masz nic przeciwko temu? To mi pomoże, jeżeli ty pomożesz Dianie.

Kitty również się uśmiechnęła.

– Z radością zrobię, co będę mogła. Naprawdę.

Theo wstał i wskazał na salon.

– Wypijmy za to.

\*

Nazajutrz rano, gdy Theo ubierał się do kościoła, Kitty starała się ukryć podekscytowanie. Czuła się jak dziecko zwolnione ze szkoły. Pomijając przyjemność, jaką była dla niej wizyta w misji, omijała ją konieczność uczestnictwa w cotygodniowym nabożeństwie.

W każdą niedzielę, odkąd tu przybyła, chodzili z Theo do Świętego Michała – nowo wybudowanego kościoła na wzgórzu, górującego nad Kongarą. Pokazywanie się tam było jakby przedłużeniem wizyty w klubie: należało elegancko się ubrać, przywitać, z kim trzeba, a innych zignorować i udawać uprzejme

zainteresowanie. Podczas nabożeństwa Theo śpiewał i modlił się z przekonaniem. W czasie wojny powiedział Kitty, że przestał wierzyć w Boga. Jak mógł wierzyć, gdy wokół działo się tyle okropnych rzeczy? Nie była pewna, czy to Bogu nie mógł wybaczyć czy też sobie. Pewnej nocy otworzył się i wyznał jej, ilu zwykłych Niemców – matek, ojców, dzieci – skazał na zagładę, zrzucając bomby. Były ich tysiące. Ale po zwycięstwie odkrył na nowo znaczenie religii, podobnie jak wiarę w tradycje kulturowe w brytyjskim społeczeństwie i w sam kraj.

Na szczęście wiedziała, jak się posługiwać „Modlitewnikiem powszechnym” i kiedy wstawać, siadać lub klękać. Rodzice zawsze chodzili do kościoła w Wattle Creek. Cztery chłopcy siedzieli między nią i matką, żeby nie mogli rozrabiać. Prócz pilnowania braci korzystała z okazji, żeby marzyć. Wpatrywała się w ołtarz z prostym, drewnianym krzyżem i z oknem witrażowym z postacią Chrystusa Pasterza. Pasowała do wiejskiego miasteczka otoczonego farmami, chociaż nikt w Wattle Creek nie nosił kija pasterskiego na wypadek, gdyby trzeba było ratować zagubioną owieczkę. Wyobrażała sobie życie, jakie będzie wiodła w przyszłości, w jakimś odległym miejscu. Gloria również chodziła do kościoła, gdy do nich przyjeżdżała, ale nie składała wyznania wiary i nie przystępowała do komunii. Kiedy Kitty przeciskała się obok niej w ławce, kościste kolana Glorii zdawały się ocierać o jej nogi, jakby przekazywały sekretną wiadomość o buncie. Gdy zostawiła za sobą świat Seven Gums, zamierzała to samo zrobić z kościołem.

Jednak w wiejskim kościółku St Luke in the Fields, mieszczącego się zaledwie o rzut kamieniem od Hamilton Hall, znowu musiała wypowiadać te same wersy z tej samej książki modlitewnej. Dla zabicia czasu rozglądała się wokół, patrząc na pamiątkowe tablice wykonane z drewna, mosiądzu i kamienia. Liczyła, ile razy występuje w nich nazwisko Hamilton. Na honorowej tablicy w kościele w Wattle Creek jej nazwisko zostało

upamiętnione tylko raz. Był to jej daleki krewny, który zginął w pierwszej wojnie światowej. W St Luke nazwisko Theo (teraz i jej) widać było wszędzie – na różnych tablicach wykonanych przez jego przodków, na pulpicie, stallach, nawet światło nad sklepionym wejściem zapewniała rodzina z pałacu. Jednak cała reszta była taka sama. Pastor mówił tym samym śpiewnym głosem. Kurz tworzył takie same spirale w promieniach słońca wpadających przez okno witrażowe. Wino miało taki sam metaliczny smak. Zerknęła na zegarek, oczekując z niecierpliwością końca nabożeństwa, i jednocześnie bała się tego, co ją czeka na placu przed kościołem. Trudno było znieść badawcze spojrzenia na początku, gdy była jedynie nowym obiektem zainteresowania w miasteczku. Natomiast gdy okryła się hańbą, okazało się to istną torturą.

Teraz gdy stała w sypialni swojego domu w Kongarze, nuda i niepokój towarzyszący uczestniczeniu w nabożeństwie zdawały się ją otaczać i pozbawiać tchu. Starła się zachować spokój, gdy Theo wiązał buty, czesał się i składał chusteczkę. Gdy wreszcie odjechał land roverem, zostawiając ją samą, omal nie wybiegła w podskokach do swojego samochodu.

\*

Skrót do misji okazał się wąską drogą, ale utwardzoną kamieniami z pobliskiego wzgórza, bez dołów i nierówności. Mniej się na niej kurzyło, więc Kitty opuściła szyby, delektując się porannym wiatrem omiatającym jej twarz. Jadąc, spoglądała na góry. Gromadzące się nad nimi czarne chmury wyglądały groźnie, ale wciąż były daleko od Kongary.

Wysoka dzwonnica jako pierwsza zamajaczyła w oddali, mimo że Kitty nadjeżdżała z innej strony. Potem pojawił się spadzisty dach kościoła. Dotarła do wioski graniczącej z terenem misji, ze

skupiskiem glinianych chat, poprzecinanych zagrodami dla świń i kóz ogrodzonych patykami i ciernistymi krzewami. Gdy ją mijiała, na drogę wybiegła gromadka dzieci, krzycząc i biegnąc za samochodem. Pomachała ich rodzicom pracującym na przydomowych poletkach. Zauważyła ze zdziwieniem, że sadzą nasiona. Pewnie spodziewali się, że wkrótce spadnie deszcz. Był to ryzykowny plan – akt wiary. Gdyby nie zaczęło padać, nasiona by wyschły i się zmarnowały.

Droga kończyła się na północnym krańcu misji, przy głównym budynku z krużgankami. Panował tu spokój. Nie było ciężarówek, strażników i więźniów. Usiłowała sobie wyobrazić, jak wygląda niedziela w więzieniu – w tym królewskim hotelu. Po sześciu długich dniach pracy na ziemi Taylora więźniowie pewnie z chęcią zostawali w celach.

Gdy wysiadła z samochodu, usłyszała śpiew dochodzący z kościoła. W niczym nie przypominał hymnów i muzyki organowej, która kojarzyła się jej z niedzielami. Harmonijnemu śpiewowi towarzyszyły bębny i inne instrumenty przypominające gwizdek i róg wydający gardłowy dźwięk.

Podeszła do bocznych drzwi i stanęła pod kątem, żeby móc zajrzeć do środka, nie będąc widzianą.

Przed zgromadzonymi w kościele ludźmi stał rząd śpiewających i tańczących kobiet. Ubrane były we wzorzyste *kitenge* w jasnych kolorach owinięte wokół ciała, naszyjniki i bransoletki na rękach. Niektóre miały szale na głowach zwinięte w kształt turbanu. Jedna z nich trzymała dziecko na plecach. Poruszały ramionami, gdy uderzały w bębny, trzymane między kolanami. Z szeregu wyszła stara kobieta i zaczęła tańczyć. Kościste ciało było pełne gracji, zadając kłam jej wiekowi. Tancerka poruszała się jak młoda dziewczyna usiłująca zwabić kochanka. Pozostałe kobiety jedna po drugiej obchodziły ją wokół tanecznym krokiem, jakby zagrzewały do tańca, wydając przy tym piskliwe dźwięki. Kitty przyglądała się temu

zszokowana, po czym zrobiła krok do przodu, żeby zobaczyć resztę wiernych.

Kościół był po brzegi zapchany ludźmi w różnym wieku. Wszyscy kołysali się w rytm uderzeń bębnów. Wśród nich były zakonnice w niebieskich habitach. Z tyłu, jakby dopiero co przyszli popatrzeć, siedzieli ojcowie Remi i Paulo. Kitty zastanawiała się, czy msza dobiegła końca. To, co widziała, przypominało zabawę – widownia przejęła pałeczkę po wywołaniu aktora przed kurtynę. Jakby w odpowiedzi na jej pytanie stara kobieta wróciła do szeregu. Potem wszystkie tancerki ruszyły środkiem nawy w stronę dużych drzwi w tyle kościoła. Reszta wiernych wstała z długich, drewnianych ławek i dołączyła do wychodzących. Ojcowie również podnieśli się z miejsc i wyszli przed kościół, gdzie wymieniali uściski dłoni i uśmiechy z wychodzącymi.

W końcu w kościele zrobiło się cicho i spokojnie. Kitty weszła do środka. Spokój i cisza wydawały się teraz równie silne jak przed chwilą wrzawa i ruch. Światło wpadało do wnętrza przez kolorowe szyby, tworząc wzory na kamiennej podłodze. Kitty podeszła do ołtarza prawie bezszelestnie, bo miała na sobie buty na płaskim obcasie. Gdy minęła wiszącą kadzielnicę, poczuła słodki zapach.

Zatrzymała się przed pulpitem z otwartą Biblią. Zauważyła, że spisany w niej tekst nie był ani w języku angielskim, ani w suahili. Przeczytała kilka wersów i przypomniała sobie stare dokumenty wiszące na ścianach Hamilton Hall. Admirał powiedział jej, że te rodzinne motto i historyczne deklaracje są napisane po łacinie. Wyjaśnił też, że dobra znajomość starożytnego języka świadczyła o wykształceniu danej osoby (nie takiej, która uczyła się w szkole w Wattle Creek) i że jest to oryginalny język Kościoła. Gdy przyglądała się pięknie wydrukowanemu tekstowi, uświadomiła sobie, że ojciec Remi mówił po łacinie, nie po włosku, jak sądziła, gdy odmawiał



modlitwę dziękczynną przed więźniami. Ciekawe, czy ktoś poza ojcami był w stanie zrozumieć, co powiedział.

Poszła dalej, zatrzymując się przy stole nakrytym żółtym obrusem obszytym białym atłasem. Stały na nim świece i marmurowa podstawka z obliczem starego księdza, który przypominał ojca Paula, podobna do tej, którą widziała w sali recepcyjnej, gdzie poznała obu księży. Po obu stronach ołtarza zauważyła dziwne kompozycje kwiatowe składające się z samych liści. Okazało się, że są to rośliny doniczkowe – te same sukulenty w plecionych koszyczkach, które siostra Barbara przygotowała na stoisko w klubie. Na jednym z nich Kitty spostrzegła brzeg karteczki z fragmentem nieczytelnego pisma Diany.

Za ołtarzem znajdowała się wielka rzeźba Chrystusa przybitego do drewnianego krzyża. Postać była naga, jedynie z przepaską wokół bioder i koroną cierniową. Głowę miała przechyloną na bok i zamknięte oczy. Krew płynęła z ran od gwoździ wbitych w dłonie i w skrzyżowane stopy. Kitty odwróciła wzrok, zastanawiając się, jak można się przyzwyczaić do tak makabrycznego widoku. Jej uwagę przykuła inna rzeźba przedstawiająca wysoką, szczupłą, piękną kobietę z dzieckiem na rękach. Z elegancją nosiła niebieską szatę, a włosy, mimo że zrobione z gipsu, sprawiały wrażenie miękkich i lśniących. Chłopczyk był dobrze odżywiony, czysty i szczęśliwy. Tworzyli atrakcyjną parę. Mieli nawet jednakowe ozdoby: długie sznury miejscowych koralików na szyjach. Postać tej kobiety mogłaby się znaleźć w magazynie Pippy w dziale o idealnej żonie i matce.

Rzeźba była jedynie tanim odlewem produkowanym na masową skalę, ale oryginał z wosku lub gliny został wykonany przez artystę znającego się na rzeczy, który studiował anatomię lub też miał oko do proporcji ludzkiego ciała. Nogi i palce były trochę za długie, a dziecko bardziej przypominało dorosłą osobę, ale to zapewne celowy zabieg, żeby podkreślić wrażenie elegancji

Maryi i wyróżnić Jezusa spośród innych dzieci. Ich twarze o symetrycznych rysach zostały pięknie wymodelowane. Kolory były stonowane – policzki i usta pokryte delikatnym różem, oczy porcelanowo niebieskie, włosy miały złocistożółty odcień. Kitty pokręciła głową, rejestrując te wszystkie szczegóły. Rzeźba zupełnie nie pasowała do tego miejsca. Co miały wspólnego te krzepkie, dobrze zbudowane kobiety o ciemnej skórze, które tańczyły tu tak niedawno, z tymi istotami o jasnej karnacji i delikatnych rysach twarzy?

Mimo to Kitty nie mogła oderwać wzroku od emanujących dziwnym spokojem i łagodnością oczu matki, które oddziaływały na patrzącego jeszcze silniej dzięki delikatności postaci. Przyszła jej na myśl młoda matka z plemienia Wagogo z chorym dzieckiem na ręku, spotkana podczas spaceru owego dnia, gdy wyszła poza granice ogrodu. Stała jej przed oczyma własna matka, trzymająca małego Dereka, najmłodszego syna w rodzinie Millerów. A także Diana – uosobienie idealnego piękna – z Phillipem w ramionach. Potem z bólem pomyślała o wolnym pokoju w swoim domu, z biurkiem Theo, jego papierami, ubraniami i pojedynczym łóżkiem, które wystawiały na pośmiewisko jej marzenie o tym, by zostać matką.

Na podłodze u stóp Maryi leżała długa poduszka, żeby ludzie mogli na niej uklęknąć i się pomodlić. Wgłębienia w miejscach ucisku kolan wskazywały, że przychodziło tu wielu czcicieli. Kitty patrzyła na nie i nagle zapragnęła znaleźć w sobie wiarę w taką moc, która dałaby jej wsparcie i przyniosła pocieszenie. Nawet gdyby to była jedynie fantazja, mogłaby uklęknąć i wylać wszystkie żale i troski duszy.

– To nasza błogosławiona matka Maryja.

Kitty odwróciła się i zobaczyła stojącego za nią Tesfę. Miał na sobie tę samą czarną marynarkę, ale zmienił przepaskę w kolorze ochry na tkaną w biało-brązowe pasy. Kitty w roboczym stroju Janet poczuła się nie dość elegancko ubrana.

Nawet tu, w misji, udało jej się źle wyglądać.

– *Umekuja*. Przyszłaś. – Uśmiechnął się szeroko. – *Karibu sana*. Serdecznie witamy.

– *Asante*. Dziękuję. – Kitty odpowiedziała uśmiechem, ciesząc się, że go widzi. Był teraz prawie jak przyjaciel.

Tesfa wskazał na figurę Maryi.

– Jest bardzo stara. Mieszkała w małym kościele, zanim zbudowano ten duży.

Zaczął oprowadzać Kitty po kościele, pokazując boczną kaplicę z drugim ołtarzem, stopnie do krypty. Przy chrzcielnicy pokazał na migi, że polewa się wodą główkę dziecka. Zatrzymał się przy stojącej pod ścianą wysokiej szafie z białą zasłoną zamiast drzwi. W jednym z boków był otwór na wysokości głowy z drewnianą kratownicą.

– Tutaj mówi się swoje grzechy. – Odsunął zasłonę, za którą znajdowała się pusta przestrzeń. – Tu stoi ojciec, za tym materiałem. Nie może cię widzieć. A ty nie widzisz jego. – Pokręcił z zachwytem głową. – On staje się nieczłowiekiem. – Popatrzył z uwagą na Kitty. Tego, co teraz powiedział, nie dało się bezpośrednio przetłumaczyć. Janet spędziła trochę czasu, studiując ten temat. *Uchawi*. Czary lub magia. Słowo to było często kojarzone ze znachorem lub wodzem plemiennym – kimś, kto, jak wierzono, miał nadnaturalne moce. W zależności od kontekstu magia mogła być czarna albo biała. Przymiotnik, który Tesfa dodał do tego słowa, Kitty dobrze znała. Miał on również wiele znaczeń. Mocny, gorący, niebezpieczny, skuteczny.

Kitty powtórzyła słowa Tesfy, wpatrując się w zakurzoną skrzynię. *Uchawi kali sana*. Bardzo mocna magia.

Odwróciła się na dźwięk klapiących sandałów. Podszedł do niej ojciec Remi.

– Pani Hamilton. Witamy. – Spojrzał jej w oczy z mieszaniną radości i troski. – Czy moglibyśmy w czymś pomóc?

Jego głos odbił się echem w pustym kościele. Patrząc mu

w oczy, poczuła wzbierającą w niej falę bólu – mieszaninę pogmatwanych emocji, która ją zaskoczyła. Pomyślała o dziecku, którego pragnęła. I o ogromnej pustce, jaka w niej pozostała, gdy musiała zrezygnować z pracy artystycznej. Przede wszystkim jednak pomyślała o swoim małżeństwie. Theo tak bardzo się zmienił. Mogła winić za to wojnę lub rodzinne wychowanie, wiedziała jednak, że prawdziwa przyczyna leży w niej samej. Zdradziła go. Nie mógł jej ufać, a ona nie mogła ufać sobie. Łzy wezbrały jej pod powiekami. Nagle zapragnęła stanąć przy zakratowanym okienku, blisko tego ukrytego miejsca, gdzie działa magia, i opowiedzieć temu księdzu o wszystkim, co przyrzekła Theo, że zatrzyma w sekrecie. Czuła, że ojciec Remi jest dobrym i mądrym człowiekiem. Będzie wiedział, jak może się zrehabilitować. Ale nie przyszła tu dla siebie. Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się z trudem.

– Mam nadzieję, że tak, ojcie Remi – odpowiedziała. – Moja znajoma jest bardzo chora.

\*

Stopnie do piwnicy były tak jak ściany kiedyś pobielone wapnem. Ale brzegi wytarły się do kamienia. Ojciec Remi zszedł pierwszy, jedną ręką trzymając się drewnianej poręczy. Ściany były grube, strop niski. Kwaśny zapach przypominający drożdże, który Kitty poczuła pierwszego dnia, gdy weszła do jadalni, nabrał teraz mocy. Minęli pomieszczenie zastawione pustymi butelkami. W cieniu stały wielkie, drewniane beczki.

– Najpierw znajdziemy wino – oznajmił ojciec Remi.

Zbierał produkty na specjalny lunch z okazji osiemdziesiątych piątych urodzin starego księdza. Kitty niechętnie odmówiła zaproszeniu, żeby zostać na uroczystości, bo Theo będzie na nią czekał. Była to pierwsza sobota miesiąca i mieli zjeść lunch

z curry w klubie. Poszła jednak z ojcem Remim do piwnicy, pragnąc przedłużyć trochę wizytę.

Już rozmawiała z nim o Dianie. Opowiedziała jej historię i zaproponowała, że będą razem pracowały na rzecz misji. Zgodził się bez wahania.

– Uczynki miłosierdzia działają w obie strony. Leczą zarówno ofiarodawcę, jak i odbiorcę.

– Uczynki miłosierdzia – powtórzyła Kitty. Te słowa brzmiały jak zaklęcie – jak silna, niebezpieczna magia, o której mówił Tesfa.

– Oto ich lista. – Ojciec Remi zaczął wyliczać na palcach. – Głodnych nakarmić, spragnionych napoić, nagich przyodziać, podróżnych w dom przyjąć, chorych nawiedzać, więźniów pocieszać i umarłych grzebać.

Lista była krótka, ale Kitty miała świadomość, że to zadania ogromne, zwłaszcza tu, w Afryce. Janet pochwaliby ojca Remiego, chociaż był katolikiem.

Ojciec Remi obejrzał się przez ramię.

– Patrz pod nogi, Kitty. Podłoga jest nierówna. Ta część domu jest znacznie starsza od reszty. To pozostałości po dawnej misji zbudowanej przez Niemców. Byli benedyktynami.

– Dawno tu przybyli? – spytała. Miejsce wydawało się tak stare, że jego początki mogły sięgać rzymskich czasów.

– Nie bardzo. Przyjechali tu we wczesnych latach dwudziestego wieku. Protestanci i katolicy współzawodniczyli ze sobą w przemianie Wagogo. Było to wtedy silne plemię hodujące mnóstwo bydła. Niemcy postanowili, że uczynią z Kongary centrum regionu. Nie mam na myśli tej części, którą nazywają Londoni, lecz starą Kongarę, tam dalej, za tym zjazdem. – Wskazał w przeciwnym kierunku do plantacji orzeszków ziemnych. – Zbudowali tam fort, gdzie teraz jest więzienie. Mniej więcej w tym samym czasie ta misja się powiększyła. Kaplicę zastąpiono kościołem. Do dawnego budynku misji dobudowano

ten z krużgankami. Miało się tu mieścić seminarium, gdzie uczyliby się przyszli księża z całej okolicy. Ale gdy Niemcy przegrali pierwszą wojnę, stracili swoje terytoria w Afryce Wschodniej. Wszyscy zapomnieli o Kongarze.

Urwał, gdy weszli do większego pomieszczenia, gdzie stało wielkie urządzenie. Przypominało gigantyczny korkociąg postawiony do góry nogami.

– To nasza prasa do winogron. Już jej nie używamy. Budujemy porządną winiarnię na farmie Taylora. – Schylił się, by przesunąć na bok wiadro, poprowadził Kitty do mniejszego pomieszczenia. – W dwudziestym roku misję przejęli pasjoniści. Z Rzymu przysłano tu trzech księży, którzy mieli prowadzić ośrodek pomocy humanitarnej. To był okres największego głodu, jakiego nikt dotąd tu nie pamiętał. Ludzie nazywali go *mtunya* – szamotanina. Zaczął się w czasie pierwszej wojny światowej. Niemcy i Brytyjczycy zmuszali Wagogo do dostarczania ziarna, mięsa, a młodych mężczyzn wcielali do wojska. Potem nastąpiła susza i stracili nawet te niewielkie ilości, jakie im zostały. Nigdy nie odzyskali dawnej potęgi.

Kitty słuchała długiej opowieści zakonnika, zaskoczona płynnością, z jaką mówił po angielsku. Przypominał nauczyciela przekazującego ważną wiedzę. Starła się zapamiętać wszystkie szczegóły historycznego wywodu. Wydawało jej się, że projekt orzeszkowy powstał w miejscu, gdzie nic nie było. Z relacji ojca Remiego wynikało, że Kongara już dawno temu była w centrum szerokich działań.

– Czy Wagogo podoba się plan uprawy orzeszków ziemnych? – spytała.

Ksiądz machnął ręką z powątpiewaniem.

– Zapewnia zarobek młodym ludziom, więc nie muszą emigrować za pracą. Ale zakłóca równowagę życiową. Bardzo podrożała żywność ze względu na duży popyt. Widzimy w wioskach niedożywione dzieci, a także dorosłych, pomimo że

od lat nie było suszy. Zaczęliśmy znowu rozdawać jedzenie. – Podszedł do wielkiego okna z widokiem na równiny. W oddali nad plantacjami unosiły się chmury pyłu. Na twarzy ojca Remiego pojawiła się troska. – Praca przyciąga tu nowych ludzi. To też jest problem. A co się stanie potem, gdy projekt dobiegnie końca i Brytyjczycy wyjadą?

– Och, nie skończy się – odparła Kitty z pewnością w głosie. – To długoterminowe przedsięwzięcie. – Zaczęła powtarzać za Theo. – W przyszłości może nawet rozszerzyć się na inne uprawy. I potem wszystko zostanie przekazane Afrykanom, jak tylko Tanganika uzyska niepodległość.

Ojciec Remi patrzył na nią przez chwilę, a potem odwrócił się od okna, dając tym znak do zmiany tematu. – Czy wiesz, że część więźniów, którzy zostali zwolnieni z więzienia, mieszka teraz na ziemi Taylora? W tym czasie nauczyli się budować, uprawiać ziemię i teraz pracują dla niego jako wolni ludzie.

Kitty zmarszczyła brwi.

– Mówi ojciec tak, jakby szanował Taylora i jego plany.

– Bo tak jest – odparł z uśmiechem.

– Nie uważa ojciec, że jego zainteresowanie więźniami jest podejrzane? Czy on naprawdę chce im pomóc, czy po prostu widzi w tym swój interes?

Ojciec Remi spojrzał jej prosto w oczy.

– Opowiem ci historię Taylora. Kiedyś sam był więźniem. – Kitty chciała powiedzieć, że wie o tym, lecz on mówił dalej. – W czasie wojny spędził dwa lata w podziemnym więzieniu w Abisynii. Była to mała cela bez okien. Ciemna. Pełna robactwa. Gdy go wypuszczono, nie umiał chodzić i nie widział. Był bardzo słaby. Z czasem odzyskał siły. Ale pozostał mu strach przed zamkniętym pomieszczeniem. To się nazywa klaustrofobia. Gdy tu wrócił, starał się przebywać na otwartej przestrzeni tak długo, jak to możliwe. Trwało to bardzo długo.

Kitty spojrzała na księdza zaskoczona. Gdy przypomniała sobie

ostatnie spotkanie z Taylorem, nie dostrzegła w nim oznak urazu psychicznego. Sprawiał wrażenie spokojnego i pogodzonego z sobą i ze światem. No ale to było na dworze. Przypomniała sobie, że przecież całkiem niedawno trafił do więzienia z polecenia komisarza okręgowego.

– Można by sądzić, że po takim doświadczeniu zrobi wszystko, żeby go znowu nie zamknięto. – Gdy to powiedziała, natychmiast pożałowała cierpkiego tonu. Przypomniał jej Louise.

– Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Ojciec Remi wziął butelkę wina ze stojaka w rogu, po czym otworzył drzwi prowadzące do kolejnego wąskiego korytarza.

– To kryjówka, którą zbudowali Niemcy podczas pierwszej wojny na wypadek najazdu Brytyjczyków.

– Brytyjczycy nigdy nie zaatakowaliby zakonników! – wykrzyknęła Kitty. Theo wyjaśnił jej zasady ustalone na czas wojny. Nie powinno się strzelać do ludności cywilnej.

– Nie chodziło o to, że zakonnikom groziła śmierć – odparł ojciec Remi. – Mieli co robić, tak jak my teraz, i nie chcieli trafić do obozu internowania.

Przekręcił klucz w wąskich drzwiach i usiłował je otworzyć. Ale drewno przykleiło się do futryny i musiał naprzeć na nie ramieniem.

Ukazała się mała, prostokątna cela z pojedynczym łóżkiem i drewnianym stołem. W rogu był zlew, a pod nim wiadro. Na jednej z otynkowanych na biało ścian wisiał prosty krzyż. Mniej więcej na wysokości oczu znajdowało się małe okno bez zasłon, przez które wpadał promień słońca i widać było kawałek błękitnego nieba.

Gdy Kitty weszła do środka, na ścianie przy drzwiach zauważyła rząd znaków narysowanych kopiającym ołówkiem. Był to zapis podzielony na grupy z czterema pionowymi znakami w każdej, z wyjątkiem jednej poziomej, w której naliczyła pięć kresek. W sumie było ich pięćdziesiąt osiem.



Weszła dalej, po czym zatrzymała się. Ściana w głębi była pokryta rysunkami. Zauważyła baobab z poskręcanyimi gałęziami i długim pniem, świecę z pochylonym przez wiatr płomieniem, kawałki owocu ze starannie przyciemnionymi konturami dla podkreślenia grubości i kształtu. Najwięcej jednak było portretów mały przedstawionej w różnych pozach – śpiącej, jedzącej, leżącej na plecach. Jedne portrety były skończone, inne przedstawiały jedynie fragmenty ciała, jak rękę, ogon, wygięty kręgosłup. W jednym końcu rysunki były dość nieudolne i prymitywne, ale w miarę upływu czasu artysta nabierał wprawy i poziom wykonania znacznie się poprawił. Późniejsze szkice uwieczniły bezczelny wyraz twarzy mały, zwinność nóg, ostre, małe zęby, kępki włosów na głowie. Nie było wątpliwości, kogo przedstawiają.

Kitty odwróciła się do ojca Remiego.

– To Gili.

Zakonnik podszedł do niej.

– Taylor został tu zamknięty, a ja pełniłem rolę strażnika. To był dla niego straszny czas. Przeżył jedynie dzięki tym rysunkom i spacerowaniu po małej celi. I oczywiście dzięki Gilemu. Siedziałem przy drzwiach i wsłuchiwałem się w jego kroki. Były ciche, bo chodził boso. Mówił, że nie zwariował tylko dlatego, że czuł ziemię pod stopami. Nie mogliśmy go wypuścić, bo wtedy zostałyby przeniesiony do więzienia w Dar es Salaam. Jako biały siedziałby sam w celi. A tu był przynajmniej wśród przyjaciół. Nigdy go nie opuściliśmy. Zawsze ktoś stał za drzwiami – ja lub ojciec Paulo, Tesfa lub jedna z zakonnicek. Śpiewaliśmy mu, gdy nie mógł zasnąć i gdy się bał. Możesz sobie wyobrazić, co dla niego znaczyło ponowne zamknięcie po tym, przez co przeszedł.

Kitty wpatrywała się w rysunki, słuchając ojca Remiego. Gdy zamilkł, odwróciła ku niemu twarz.

– Ale co on zrobił? Jakie przestępstwo popełnił?

Zakonnik oparł się o ścianę i zaczął zeszkrobywać resztki

nalepki z trzymanej w ręku butelki.

– To zdarzyło się ponad dwa lata temu. Taylor już zaczął pracować z więźniami. Wśród nich był młody Wagogo imieniem Ndemu, który został skazany za zabicie człowieka włócznią. Ten człowiek wyzwiał go na pojedynek. Obaj kochali tę samą kobietę. Ponieważ śmierć nastąpiła w wyniku pojedynku, Ndemu nie skazano na śmierć za morderstwo, ale na pięć lat więzienia. Taylor znał go od dzieciństwa. – Ojciec Remi popatrzył na Kitty. – Taylor się tu urodził. Jego rodzice uprawiali ziemię sąsiadującą z naszą misją, na której sam teraz pracuje. Wychował się wśród Wagogo. Ndemu był jego rówieśnikiem. Podczas obrzędu inicjacyjnego wprowadzającego w dorosłość przyrzekli sobie, że będą wspierać jeden drugiego jak bracia we wszystkim, co przyniesie im los. Gdy Taylor dowiedział się o skazaniu Ndemu, postarał się, żeby przeniesiono go do fortu w starej Kongarze, żeby był blisko. Ndemu mógłby pracować z innymi więźniami na jego ziemi i mogliby się widywać.

Gdy go przywieźli, Ndemu był chory. Taylor sprowadził lekarza więziennego, żeby go zbadał, ale nic mu fizycznie nie dolegało. Przysyłałiśmy mu jedzenie z naszej kuchni. Ale on robił się coraz słabszy. Widać było, że umiera. Ndemu był przekonany, że rzucono na niego klątwę. Po pojedynku uciekł, zostawiając włócznię wbity w pierś przeciwnika. Sądził, że krewni tego mężczyzny użyli włóczni, żeby rzucić na niego urok. Jedynym sposobem, by odwrócić klątwę, było odebranie włóczni krewnym. I musiał to zrobić sam.

Kitty zmarszczyła brwi, zaskoczona rzeczowym tonem ojca Remiego. Wyglądało na to, że nie widzi niczego niezwykłego w opowiadaniu o urokach i klątwach.

– Taylor poszedł do komisarza okręgowego i poprosił go, żeby czasowo zwolnił Ndemu, ale tamten odmówił. Władze uznały bowiem, że nie wróci do więzienia z własnej woli. Wtedy Taylor zaproponował, że zajmie miejsce brata w więzieniu i będzie kimś

w rodzaju zakładnika. KO wiedział o jego klaustrofobii. Może chciał sprawdzić, czy rzeczywiście zrobi coś takiego dla afrykańskiego przyjaciela. Może podziwiał jego lojalność. Nie wiem. Ale zgodził się na jego propozycję. Taylor pozostanie w zamknięciu do czasu powrotu Ndemu. Poprosiłem komisarza, żeby pozwolił zamknąć go tutaj, żebyśmy mogli go wspierać. Dałem słowo, że pozostanie pod kluczem, dopóki komisarz nie wyda polecenia, żeby go wypuszczono. – Wskazał na okno. – Musieliśmy założyć tu kraty. Zdjęliśmy je po wszystkim. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Taylora, gdy tu wszedł. Pocił się i drżał. Z trudem zamknąłem za nim drzwi. Przekręciłem klucz tak cicho, jak mogłem. To było straszne dla nas wszystkich. – Wskazał głową na znaki na ścianie przy drzwiach. – Ndemu wrócił dopiero po ośmiu tygodniach. Wrócił do zdrowia i Taylor też.

– Już się nie boi zamkniętych pomieszczeń?

Gdy ojciec Remi odpowiedział, w jego głosie słychać było ból.

– To była próba ognia. Strach się wypalił, a więc tak, Taylor się wyleczył. Ale był to ciężki cud. – Wyprostował się i uniósł butelkę, jakby było to dla niego zbyt bolesne wspomnienie. Rubinowa czerwień błysnęła przez szkło. – To z naszych winogron z Sangiovese. Z trzydziestego ósmego roku. Podobno czuć w nim wiśnie, ziemię i cedr. – Wzruszył ramionami i się uśmiechnął. – Nie jestem tego pewny. Ale ojcu Paulowi będzie smakowało.

– Powinno być dobre – powiedziała Kitty. Wiedziała z wykładów admirała przy stole, że czerwone wino jest tym lepsze, im dłużej leżakuje. Dziesięć lat robiło wrażenie.

– A teraz piwnica z żywnością.

Wrócili do pomieszczenia z dużym oknem. Obok niego znajdowała się szeroka, jasna galeria, która biegła wzdłuż tyłu zakończonego łukami budynku. Cały rząd okien balkonowych otwierał się na kamienne patio. Teren za nim wznosił się stromo,

zmuszając patrzącego do spojrzenia na góry. Kitty pomyślała, że chmury chyba trochę się przybliżyły.

Ojciec Remi podszedł do szafki z otworami wentylacyjnymi z boku, która dziwnie przypominała konfesjonał, ale była znacznie mniejsza. Zdjął z haka wielką świńską nogę. – *Prosciutto* – wyjaśnił, z czułością przesuwając dłonią po pomarszczonym, obsypanym solą mięsie. – Dojrzewało przez jedenaście miesięcy. – Wskazał na półkę z trzema wielkimi kołami sera. – Czy możesz wziąć jeden z nich?

Kitty poczuła w rękach solidny, wilgotny ciężar. W nozdrza uderzył ją zapach kory i pleśni.

– Sery też robicie?

– Staramy się niczego nie kupować. Mamy świnię, kaczki, gęsi, kilka krów na mleko, kury dla jajek i mięsa. Ogród widziałaś. – Uśmiechnął się do niej. Jesteśmy włoskimi chłopami. Robimy wszystko, czego potrzebujemy. I niczego nie marnujemy.

Weszli schodami na górę przez klapę w rogu sali recepcyjnej. Powitał ich mocny zapach pieczonego mięsa. Przez otwarte drzwi do jadalni Kitty zobaczyła długi stół nakryty w jednym końcu białym obrusem. Pośrodku stał wazon z kompozycją kwiatów ogrodowych. Nad grubymi białymi talerzami górowały kieliszki do wina. Był również młynek do pieprzu trzy razy większy od tego w Hamilton Hall i solniczka zamiast miseczki z solą. Kitty wiedziała, jak się nakrywa do stołu – zauważyła, co było właściwie ustawione, co źle, a co nie do przyjęcia lub dziwne. Gdy jednak omiotła wzrokiem sztucę, zwróciła uwagę tylko na jedno: liczbę talerzy na stole. Było ich trzy.

– Taylor zawsze przychodzi na urodziny – wyjaśnił ojciec Remi, jakby odpowiadał na jej pytanie. – Przyniesie butelkę swojego *verdicchio*. Jego wytwórnia win jest jeszcze młoda. Ale twierdzi, że jego *vino bianco* ma zapach orzechów i nutkę miodu. – Uniósł brwi z żartobliwym sceptycyzmem. – Może. – Zaraz jednak znieruchomiał i przechylił głowę. Z oddali doszedł warkot

samochoodu. – To pewnie on.

Kilka chwil później do środka wbiegł Gili. Kompletnie zignorował ojca Remiego, podbiegł prosto do Kitty i wskoczył jej na rękę.

Zakonnik patrzył na to zdumiony.

– On się boi obcych.

Kitty dotknęła policzkiem twardej główki.

– My już się znamy.

Wszedł Taylor i zatrzymał się w pół kroku na widok Kitty. Miał na sobie wyprasowaną koszulę, rozpiętą pod szyją. Zniknął z brody kilkuniedniowy zarost, włosy były uczesane, chociaż kilka zbuntowanych pasemek opadło na czoło. W jednym ręku trzymał butelkę wina, w drugim bochenek chleba.

Przez dłuższą chwilę tych dwoje patrzyło na siebie w milczeniu. Kitty miała świadomość, że małopka wpatruje się w pana, siedząc u niej na rękach. Poczuli się winni, jakby rozmyślnie wkradła się w łaski zwierzątka.

– A więc jednak pani wróciła – stwierdził Taylor.

– Skorzystałam ze skrótu. Dziękuję.

– Pójdę po ojca Paula – oznajmił zakonnik i wyszedł do kuchni.

Taylor spojrział ponad ramieniem Kitty na zastawiony stół. Widziała, że liczy talerze, tak jak ona przed chwilą.

– Właśnie wychodziłam – powiedziała.

– O, to szkoda. Ojciec Paulo jest wspaniałym kucharzem.

Kitty wbrew sobie spojrzała mu w oczy. Czy też był rozczarowany, że nie dotrzyma mu towarzystwa? Miała nadzieję, że nie zdradziła się ze swoimi uczuciami. Bardzo chciała usiąść razem z nimi i delektować się jedzeniem i winem, nie wspominając o rozmowie, która z pewnością będzie się toczyć.

– Chodźmy, coś pani pokażę przed odjazdem – powiedział Taylor.

Wyszła za nim na dwór z Gilim na rękach. Jego futerko laskotało ją w szyję i pachniało ciepłym chlebem.

Taylor minął kamienny plac i zatrzymał się przed wielkim baobabem.

– Proszę spojrzeć.

Wskazał na nagie gałęzie drzewa. Z początku nie dostrzegła niczego szczególnego, zaraz jednak zauważyła pączki na końcach gałązek. Z białego koloru na czubkach wywnioskowała, że muszą kryć płatki, nie liście.

– To zapowiedź zbliżającego się deszczu – oznajmił Taylor. – Drzewo nam to mówi. Wkrótce pojawią się kwiaty. Są duże, wielkości spodków, z białymi, woskowymi płatkami. Rozkwitają wieczorem i żyją tylko przez jedną noc. – W jego głosie brzmiała duma, jakby był w jakiś sposób odpowiedzialny za ten spektakl. – Białe płatki odbijają światło księżyca, żeby nietoperze i *galago*, lemury afrykańskie, mogły je łatwo znaleźć. Spijają z nich nektar i żywią się pyłkiem kwiatowym. Tej jednej nocy musi dojść do zapylenia, bo nazajutrz późnym rankiem kwiaty robią się brązowe i więdną.

Mówiąc to, patrzył na drzewo. Z jego spojrzenia i tonu głosu Kitty rozpoznała miłość, jaką ktoś darzy rośliny, zwierzęta i ziemię, na której się urodził. Kiedyś też czuła to przywiązanie do ziemi wokół farmy, w zapomnianym zakątku Nowej Południowej Walii. Znajdowała przyjemność w odnajdywaniu pierwszych zwiastunów zmieniających się pór roku. Uwielbiała obserwować nieoczekiwaną transformację akacji, gdy ich liście traciły dziecięce kształty przypominające małe zielone wiosła, przybierając pierzaste formy dorosłości. Zachwycała się wielkouchem króliczym ze spiczastym noskiem i dziobakiem, które wyglądały jak zwierzęta stworzone w wyobraźni bajkopisarza, a biegały po jej własnym podwórku.

Oddała małą Kitty Taylorowi. Gili objął Kitty mocno za szyję, jakby nie chciał zostać oddany, lecz gdy Taylor wyciągnął rękę, posłusznie przeszedł do niego.

– Do widzenia – powiedziała Kitty, zegnając ich obu

i przenosząc spojrzenie z mężczyzny na małpkę. Wyobraziła sobie Taylora w celi z pobielonymi ścianami, jak rysuje portrety Gilego. Towarzystwo wesołego stworzenia musiało wiele dla niego znaczyć, gdy znosił karę, którą wziął na siebie. Tak źle go oceniła, że zapragnęła wypowiedzieć słowa przeprosin.

Taylor uniósł wolną rękę w pożegnalnym geście.

Gdy odeszła, wyobraziła sobie, że nadal tam stoi i patrzy na gałęzie dziwnego afrykańskiego drzewa. Żałowała, że nie może dłużej zostać choćby tylko po to, żeby rozkoszować się jego miłością do tego miejsca, które nazywał domem. Sposób, w jaki o nim mówił, opisywane szczegóły, uświadomiły jej własną ogromną wewnętrzną pustkę, którą kiedyś wypełniała miłość do ziemi. Gdy dorosła, odwróciła się od kochanego przez nią buszu. Farma stała się więzieniem. Uciekła do Anglii – kraju muzeów, wielkich dworów i schludnych zielonych pól. Było tam mnóstwo rzeczy do podziwiania i odkrywania. I oczywiście był Theo. Ale w głębi duszy wiedziała, że nigdy nie będzie pasowała do tego miejsca. Może dlatego tak przywiązała się do Yuriego, bo tak jak ona był outsiderem.

Wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi ze stukiem, który wystraszył kury. Nagle uświadomiła sobie, że do Londoni też nie pasuje. Była to w końcu mała cząsteczka Anglii przeniesiona do Tanganiki. Poczowała się zagubiona. Przypomniła sobie określenie użyte przez ojca Remiego. Bez przystani. Doskonale do niej pasowało. Nie miała swojego miejsca na tym świecie.

Szybko jednak przypomniła sobie, że to nie do końca prawda. Przecież należała do Theo. Byli ze sobą związani, dopóki ich śmierć nie rozdzieli. Taką złożyli przysięgę w czasie pośpiesznie zawartego związku małżeńskiego w kościele, w którym nigdy nie byli, w obecności świadka, kolegi Theo z RAF-u, który zginął w następnej misji. Nie tylko Taylor wiedział, co znaczy dotrzymać obietnicy. Kitty uczono tego od dzieciństwa. Nie wolno łamać danej raz obietnicy. Na dobre i na złe. Z przystanią

czy bez przystani. Dokonała wyboru.

Spojrzała na pasmo gór, jakby szukała otuchy w ich solidnej, ponadczasowej obecności. Zamiast niej poczuła falę przygnębienia. Potrzebowała czegoś więcej niż Theo w swoim życiu. Był zbyt zajęty, aby zwracać na nią uwagę. Może coś się zmieni, gdy zostaną rozwiązane początkowe problemy projektu orzeszkowego. Może po jakimś czasie miłość, która ich kiedyś łączyła, rozkwitnie na nowo. Teraz jednak czuła się bardzo samotna. Przyszła jej na myśl Błogosławiona Maryja z Dzieckiem na ręku. Dziecko mogłoby wszystko zmienić.

Wizja macierzyństwa wywoływała w niej niepokój, ale też radosne oczekiwanie. Częsta nieobecność Theo w jej łóżku nie była jej jedyną troską. Przecież miała mnóstwo okazji, żeby zajść w ciążę. Byli małżeństwem od siedmiu lat. Prawda, że większość tego czasu minęła w cieniu wojny, z nieustannymi rozłakami i emocjonalnym stresem. Następne lata wystawiły ich na kolejne próby. Ale i tak byli ze sobą dość długo. Powinni poradzić się lekarza i dowiedzieć, co jest nie tak. Usiłowała przypomnieć sobie, jakim chirurgiem był Frank. Zresztą i tak nie miało to znaczenia, bo w szpitalu w Kongarze pracowali różni specjaliści. Musi tylko porozmawiać z Theo, nie bacząc na to, co napisano w magazynie Pippy.

Jadąc krótszą drogą, poczuła ulgę zmieszaną ze strachem. Nie chciała mierzyć się z Theo. Żołądek jej się ścisnął na myśl o tym, że będzie musiała przekonywać go, dyskutować i spierać się z nim. Ale musiała to zrobić. Wolno wypuściła powietrze z płuc. Teraz gdy podjęła decyzję, musiała zacząć działać. I to szybko. Zanim spadną deszcze, zalewając rowy, blokując drogi i zmywając wszystko, co się da.



# Rozdział dwunasty

Kitty uklękła przed więźniem, słysząc nad głową szum rozmów. Ostrożnie zdjęła opatrunek z owrzodzonej nogi i zobaczyła, że rana prawie się zagoiła. Gaza nie przykleiła się do wrzodu i była tylko lekko zaplamiona.

– *Vizuri sana*. Bardzo ładnie – powiedziała. Na czarnej skórze trudno było zobaczyć różowy odcień, sygnalizujący zapalenie, ale nie dostrzegła śladu opuchlizny i ropy wokół strupa. Delikatnie nacisnęła to miejsce i spojrzała pytająco na więźnia.

Uśmiechnął się.

– *Hakuna maumivu*. Nie boli.

Odwzajemniła jego uśmiech. Nie знаła historii tego mężczyzny – skąd pochodził, jakie przestępstwo popełnił. Nie znała nawet jego imienia. Ale czuła się z nim związana. Taki wrzód mógł łatwo doprowadzić do poważnej infekcji. Ten człowiek mógł stracić nogę, a nawet umrzeć. Odbyli wspólnie niebezpieczną podróż.

– *Bahati nzuri*. Życzę ci szczęścia – powiedziała po prostu.

– *Na wewe pia, dada yangu*. Ja tobie też, siostró.

Odszedł, nie utykając. Gdy następny pacjent usiadł na krześle, Kitty spojrzała w drugi koniec sali, gdzie przy biurku siedziała Diana. Z jednej strony miała ojca Paula, z drugiej więźnia imieniem Chalula, który znał angielski, ale nie umiał pisać. Przed tą trójką siedział siwowłosy więzień. Dyktował list, który Chalula tłumaczył na angielski, a Diana pod krytycznym okiem ojca Paula spisywała wszystko na papierze listowym. Kitty pomyślała, że musi być zmęczona. Dopiero trzy dni temu wyszła ze szpitala,

a były tu od dziesiątej rano i pomagały przy gotowaniu i rozdawaniu posiłków. Diana przyjęła wszystko ze spokojem – misję, więźniów, chaos tych wszystkich ludzi stojących w kolejce po swoją porcję – a teraz tę pracę. Była taka wdzięczna, że Kitty zdołała przekonać Richarda, aby pozwolił jej zostać w Kongarze, że żadne wątpliwości czy skargi nie przyszły jej do głowy.

Pisząc teraz list, marszczyła brwi w skupieniu. Wykonywała powolne, uważne ruchy piórem, starannie kaligrafując litery. Śledzący jej postępy ojciec Paulo pochylił się z lupą nad listem i pokazał drżącym palcem jakiś błąd. Diana kiwnęła głową, akceptując poprawkę. Była jak dobrze wychowana uczennica. Miała zaczesane do tyłu i spięte włosy i twarz bez makijażu. Idąc za radą Kitty, włożyła strój safari Richarda. Wrodzony wdzięk sprawił, że nawet w męskim stroju wyglądała czarująco. Jednak całą uwagę skupiła na wykonywanym zadaniu. Stawiała litery z głębokim namysłem, wysuwając czubek języka w kąciку ust.

Następny pacjent miał swędzącą wysypkę wokół nadgarstków. Znał jej przyczynę i ona również. Był uczulony na roztocza. Nie chodziło o świerzb, chociaż w miejscach, gdzie się drapał, pojawiły się małe, zaropiałe strupy. Według zapisków Janet krył się za tym problem zdrowotny. Ten człowiek miał słaby system odpornościowy. Kitty napisała notatkę dla strażników, że mężczyznę powinien dokładnie zbadać lekarz więzienny. Nie wiedziała, czy tak się stanie, bo miejscowy lekarz poświęcał zbyt mało czasu na wizyty w więzieniu w starej Kongarze, zwalając całą pracę na katolickich misjonarzy.

Kitty dała więźniowi kostkę mydła przeciw pasożytom i poleciła, żeby umył nim całe ciało, a potem pozwolił skórze wyschnąć. Po odejściu mężczyzny umyła ręce w misce, używając dużo mydła i środka dezynfekcyjnego. Miała wrażenie, że swędzi ją całe ciało na myśl o insektach żyjących pod skórą.

Nastąpiła chwila przerwy, podczas której strażnik zastanawiał się, kto ma teraz podejść. Czekając na następnego pacjenta, Kitty

wróciła myślami do wczorajszego wieczoru. Mimowolnie zacisnęła ręce na kolanach, przypominając sobie bolesne obrazy.

Czekała w napięciu i z niepokojem na powrót Theo. Postanowiła, że tego wieczoru poruszy sprawę dziecka i powodów, dla których nie zaszła jeszcze w ciążę. Przygotowała sobie przemowę. Starannie dobrała słowa, tak żeby nie wyjść na bezczelną. Gdy jednak Theo wrócił, zorientowała się, że pił. Mówił niewyraźnie i potknął się, wchodząc po schodkach na werandę. Skierował się prosto do barku z alkoholami, odsunął Gabriela i nalał sobie podwójną whisky.

Służący spojrział na Kitty. W jego oczach błysnęła pogarda zmieszana ze strachem. Pijany szef był jednocześnie żaloszny i niebezpieczny. Dała znak Gabrielowi, żeby wrócił do kuchni.

Theo opróżnił szklanekę, po czym przyrządził dzin z tonikiem dla żony. Kitty obserwowała go w milczeniu. W Anglii wiele razy widziała Theo pijanego – w czasie wojny piloci pili razem, żeby zagłuszyć strach lub choć na kilka godzin wymazać z pamięci wspomnienie poległych kolegów. Nikt nie miał im tego za złe. Yuri też niekiedy wypijał za dużo wódki i pod koniec długiego wieczoru bywał czasami trochę pijany. Ale co innego wracać pijanym z pracy do domu. Gdy zdarzyło się to pierwszy raz, Kitty doznała szoku. Gdy sytuacja się powtórzyła, wezbrały w niej złość i niepokój. Cały dzień czekała na męża, a kiedy wreszcie się pojawił, był kimś zupełnie obcym. Tego wieczoru ogarnęła ją rozpacz. Jak mogła choćby myśleć o dziecku z mężczyzną, który się upijał?

Theo podał jej szklanekę z podwójnym dzinem. Gdy był pijany, zawsze chciał, żeby ona też piła, jakby to czyniło jego stan możliwym do przyjęcia. Gdy odmówiła, odstawił z impetem szklanekę na barek, rozchlapując alkohol na rękę. W ogóle tego nie zauważył.

Kitty zostawiła go w salonie, z kolejną porcją whisky w ręku, i poszła się położyć. Była głodna, lecz nie mogła znieść widoku

Gabriela serwującego kolację, gdy Theo był w takim stanie. Już to widziała. Theo grzebałby w talerzu, rozlewał wodę i udawał, że jest trzeźwy – szklanka była zbyt śliska, dzbanek stał w złym miejscu, zbyt blisko jego łokcia. Oczywiście zawsze winny był Gabriel.

Leżała w łóżku, słuchając, jak mąż rozmawia ze służącym. Miała nadzieję, że nie przyjdzie do sypialni. Odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała, że drzwi do gościnnego pokoju zamykają się ze stukiem. Wciąż jednak nie mogła usnąć. Godzinami wpatrywała się w sufit, śledząc drobne pęknięcia. Wreszcie łązy wezbrały jej pod powiekami i zaczęły płynąć na poduszkę. Zerwały tamę i już nie dały się powstrzymać. Płakała i nie mogła przestać. Rano musiała użyć wyciągu z liści oczaru wirginijskiego, żeby złagodzić opuchliznę wokół zaczerwienionych oczu. Chyba poskutkowało, bo nikt nic nie powiedział, ale jej pozostał lekki ból głowy.

Czekając na następnego pacjenta, nacisnęła palcami powieki i rozmasowała skronie. Uświadomiła sobie, że przywiozła tu Dianę, żeby ta zapomniała o swoich problemach, a teraz ona potrzebowała tego samego. Wstała, rozprostowała nogi i omiotła wzrokiem pokój, pozwalając, by to nowe otoczenie i nowy dzień zapanowały nad smutnymi myślami.

Nic lepiej nie usuwało wspomnień ostatniej nocy jak to, co teraz miała przed oczyma. Wokół panował spokój, każdy wypełniał swoje zadanie i każda czynność miała swój cel. Ojciec Remi szukał czegoś w szafce z lekami. Więźniowie czekający na opatrzenie byli grzeczni i cierpliwi. Strażnicy rozluźnieni. Jedna z zakonnice śpiewała w trakcie zmywania naczyń. Wzrok Kitty poszybował w stronę biurka. Na miejscu starego człowieka siedział chyba najmłodszy jej zdaniem więzień. Nie wyszedł jeszcze z wieku chłopięcego. Mówił po suahili do ojca Paula, lecz co chwila zerkał na białą kobietę trzymającą pióro. Po pewnym czasie Chalula przetłumaczył jego słowa.

– Ale to okropne – powiedziała Diana, podnosząc głos. – To oczywista pomyłka. Coś trzeba z tym zrobić.

– Możemy wysłać pismo do komisarza okręgowego – zaproponował Chalula.

– Ale tego chłopca nie powinno tu być – oznajmiła Diana. – Jest niewinny. Na litość boską, to jeszcze dziecko.

Siedzący przed nią więzień pochylił głowę. Po kilku sekundach zaczęły mu się trząść ramiona. Chalula powtórzył słowa, które wypowiadał łamiącym się głosem. Kitty ich nie dosłyszała, ale zachowanie Diany było zrozumiałe. Pochyliła się i chwyciła chłopca za rękę.

– Nie martw się. Pomogę ci. Osobiście przekażę ten list. Jeżeli KO nic nie zrobi, pojedę do Dar es Salaam i spotkam się z jego przełożonym.

Przez salę przebiegł pomruk. Gdy Chalula przetłumaczył jej słowa, do chłopca dotarło ich znaczenie i uniósł głowę. Na jego twarzy pojawił się wyraz tęsknoty, strachu, a po chwili i nadziei.

– Jeśli będę musiała, poruszę tę sprawę w urzędzie do spraw kolonii w Londynie.

– W Londoni? – spytał Chalula.

– Nie. Miałam na myśli prawdziwy Londyn, w Anglii. Siedzibę króla.

– Ach! – W głosie Chaluli brzmiał podziw, gdy tłumaczył jej słowa.

Kitty przyglądała się twarzy Diany. W jej oczach płonęły zapał i troska. Jej własna tragedia ustąpiła miejsca koszmarowi, jaki przeżywała inna kobieta. Gdzieś tam była matka, której syna, jeszcze dziecko, zabrano z rodzinnej wioski, fałszywie oskarżono i zamknięto z przestępcami. Los doświadczył niewinną ofiarę. Ale tym razem mogła coś na to poradzić.

Kitty uśmiechnęła się na myśl o pracy Diany dla misji. Będzie nadzwyczajną pomocą. Wykorzysta pozycję żony Richarda, może nawet rzuci, gdzie trzeba, kilka nazwisk osób bywających

w jej domu. (Podobno gościła u siebie pana Stracheya, ministra do spraw żywności). Ze swoją urodą i wdziękiem zdoła przekonać KO do wszystkiego.

Diana uniosła wzrok, przerywając pracę. Napotykając wzrok Kitty, nieznacznie skinęła głową. Kitty zalała falą ulgi. Już pierwszego dnia, gdy się poznały, wyczuła, że Diana myśli podobnie jak ona. Plan Kitty, żeby przekonać Richarda do podjęcia jeszcze jednej próby, już dawał rezultaty.

Kolejny pacjent usiadł na krześle. Po wymianie słów powitania Kitty otarła czoło wierzchem dłoni. Potem rozejrzała się wokół, wyczuwając w powietrzu coś dziwnego. Zauważyła, że nie tylko ona odczuła pewnego rodzaju napięcie i ożywienie. Ludzie poruszyli się niespokojnie. Mężczyzna stojący najbliżej drzwi i okien odwrócił się i wyjrzał na dwór.

Fala podekscytowania przebiegła przez salę, nabierając rozmachu. Ludzie zaczęli wychodzić. Najpierw wolno, potem z rosnącą niecierpliwością. Gdy jej pacjent także wstał, poszła za nim.

Jak tylko znalazła się na dworze, poczuła go w nozdrzach i na ciele.

Deszcz!

Pierwsze krople wzbijały tumany kurzu. Przerwy między nimi stawały się coraz krótsze, aż spadła ulewa. Więźniowie, strażnicy, zakonnice, ojcowie – wszyscy stali na dworze i unosili twarze do nieba. Kitty dołączyła do nich. Po chwili była już mokra, ciepła woda spływała jej po całym ciele. Instynktownie rozwarła ramiona, wystawiając się na deszcz. Wokół niej ludzie tańczyli, śpiewali i krzyczeli z radości.

Siła deszczu wzmagająca się, aż stała się przerażająca. Strugi wody głośno bębniły o dachy i wybijały rytm na starych zbiornikach na paliwo stojących na skraju placu. Przewróciły stół na kozłach przed kościołem.

Wrażenie ulgi było niemal namacalne. Deszcz dosłownie zmył

strach przed suszą i głodem. Tu, w górach, mieli wodę źródlaną, ale więźniowie i strażnicy mieszkali dalej i myśleli o tym, że wyschnięte pola w rodzinnych wioskach będą nawodnione, a strumienie i wodopoje napełnione. Kitty zobaczyła, jak jeden ze strażników spontanicznie obejmuje więźnia. Ojciec Paulo trzymał Tesfę pod ramię i obaj przestępowali z nogi na nogę. Chalula i Diana stali z boku. Diana odchyliła głowę, otworzyła usta i piła prosto z chmur.

\*

Theo wcześniej wrócił z pracy. Wysiadł z land rovera, jak tylko samochód się zatrzymał, wbiegł po schodach na werandę i chwycił Kitty w ramiona. Na szczęście zdążyła się wykąpać i przebrać.

– Rozpoczął się siew – oznajmił, ciesząc się jak dziecko zwolnione ze szkoły. – Nareszcie.

Kitty uśmiechnęła się. Usiłowała wyobrazić sobie scenę, jaka się rozegrała w dyrekcji, gdy spadły pierwsze krople. Wątpiła, by wybiegli na dwór i zaczęli tańczyć. Otworzyli szampana? Wysłali telegramy do Londynu? Czy mężczyźni pocałowali swoje sekretarki?

Stali na werandzie i patrzyli w stronę plantacji. Deszcz przestał padać i okolica sprawiała wrażenie świeżej i czystej. Można było zobaczyć rzędy specjalnie przystosowanych traktorów pracujących na plantacjach i rozsypujących ziarna orzeszków ziemnych. Kitty wyobraziła sobie podekscytowanych pracowników witających deszcz. W obozowiskach i w kwaterach zajmowanych przez robotników kontraktowych Irlandczycy, Włosi i Grecy oraz Afrykańczycy będą świętować na swój sposób. Kluby i bary zapełnią się ludźmi. W centrum Londoni Ahmed i inni Arabowie będą robić to samo. Podobnie Azjaci, jak pan

Singh ze sklepu warzywnego. Żony pracowników mieszkające w barakach z pewnością będą tańczyć. A prostytutki? Czy zrobią sobie dzień wolny z tej okazji? Czy będzie to dla nich najpracowitsza noc od miesiąca?

– Jestem głodny – oznajmił Theo. – Chodźmy prosto do jadalni.

– Dam znać Eustace’owi.

Wchodząc za mężem do domu, zastanawiała się, czy rezygnacja z wieczornego aperitifów to jakby przyznanie się do tego, że wczoraj wieczorem posunął się za daleko. A może teraz, gdy napięcie związane z oczekiwaniem na deszcz opadło, postanowił poprawić się i nabrać dystansu.

Gdy usiedli przy stole, Theo potarł dłonie.

– Czuję się, jakby był poniedziałek. – Rozwinął serwetkę i rozłożył ją na kolanach. Potem uniósł wzrok, jakby sobie o czymś przypomniał. – Jak dzisiaj było w tej misji? Długo musiałaś tam tkwić? Czy to nie było zbyt okropne?

– Nie, dało się wytrzymać – odparła Kitty. – Pomagałyśmy w kuchni. Przygotowałyśmy wielkie garnki *ugali*, to taka owsianka z mąki kukurydzianej. Potem pomagałyśmy ją rozdawać.

– To dobrze. Czy Diana dobrze się sprawuje? – spytał, lecz zanim Kitty zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się od niej. – A oto i Gabriel. – Uśmiechnął się do służącego, gdy stawiał półmiski na stole. – Dobry z ciebie człowiek.

Kitty ukryła rozczarowanie tak oczywistym brakiem zainteresowania tym, jak spędziła dzień. Przynajmniej chociaż raz był szczęśliwy i rozluźniony. A to był ważny wieczór. Zaczekała, aż Gabriel wyjdzie z jadalni.

– Theo, chcę z tobą porozmawiać – powiedziała. – O czymś ważnym.

Uniósł ręce z udanym przerażeniem.

– Co takiego zrobiłem?

Kitty wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić o tym, jak pragnie



mieć dziecko i wie, że on też i że powinno to już się stać.

– Trzeba uzbroić się w cierpliwość – odpowiedział. Sięgnął po kolejną porcję peklowanej wołowiny, polewając ją białym sosem.

Kitty sięgnęła przez stół i chwyciła go za rękę. Czuła się jak mała dziewczynka domagająca się uwagi starszych.

– Theo, jesteśmy małżeństwem od prawie siedmiu lat. Wiem, że długo nie byliśmy razem i... ostatnio byłeś bardzo zajęty i zmęczony. – Theo rzucił jej ostre spojrzenie, ale brnęła dalej. – Myślę jednak, że coś jest nie tak. Chcę poradzić się lekarza. A jeżeli ze mną będzie wszystko w porządku, chcę, żebyś i ty do niego poszedł.

Wreszcie to powiedziała. Wstrzymała oddech, zszokowana własną zuchwałością.

Theo wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym pokręcił głową, jakby chciał się upewnić, że nie śni.

– Czy ja dobrze rozumiem? Chcesz rozmawiać o... tej sprawie... z lekarzem?

Kiwnęła głową.

– W szpitalu są specjaliści. Mógłbyś umówić się na wizytę.

Theo wstał.

– Nie ma mowy, Kitty. Zdumiewa mnie, że w ogóle to zaproponowałaś. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby ludzie się dowiedzieli, że mamy problemy w tej dziedzinie?

– Lekarz na pewno będzie dyskretny.

– W Kongarze nie ma sekretów. Powinnaś to wiedzieć. Przykro mi, Kitty. Odpowiedź brzmi: nie.

Kitty pochyliła głowę. Włosy trochę jej urosły i opadły na twarz. Ale nie ukryły łez, pojedynczych kropli, które spadły na obrus.

Theo podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu.

– Kitty, kochanie, nie denerwuj się. Wiesz co? Jeżeli nic się nie wydarzy do zbiorów, pojedziemy do Nairobi. Co ty na to?

Uśmiechnął się do niej, zadowolony ze swojego planu.

Przynajmniej jakiś kompromis został osiągnięty, pomyślała. Ale denerwowało ją to, że Theo był tak bardzo przywiązany do tego, co ludzie o nim sądzą. Musiała przypomnieć sobie, że jest to częściowo, a może nawet w większym stopniu, jej wina. Tak bardzo poniżyła go publicznie, że stał się przewrażliwiony. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że nie miała prawa nalegać.

Uśmiechnęła się z trudem.

– Dziękuję.

Zapadła cisza. Theo usiadł przy stole i wbił wzrok w talerz z resztkami purée z ziemniaków i niewykorzystaną solą na brzegu. Na jego twarz powrócił wyraz troski i konsternacji. Radosny nastrój zniknął bezpowrotnie. A ona niczego nie osiągnęła. Nie była pewna, czy mówił poważnie o wyjeździe do Nairobi. Żałowała, że w ogóle otworzyła usta. Postanowiła zmienić temat i chwyciła się pierwszej myśli, jaka przyszła jej do głowy.

– Czy wiesz, że baobab może przewidzieć, kiedy spadnie deszcz?

Theo popatrzył na nią nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Kto ci naopowiadał takich bzdur?

Otworzyła usta, zastanawiając się, co odpowiedzieć, po czym pokręciła głową.

– Ktoś w misji. To pewnie nie jest prawda.

Przyglądała się, jak Gabriel zbiera talerze i podaje tartę Bakewell. Gdy Theo pochylił się nad swoim kawałkiem, spojrzała ponad jego głową na okna wychodzące na podwórze. Dostrzegła jedynie krótkie gałęzie mocno przyciętego drzewka frangipani. W ogrodach przy ulicy Milionerów nie rosły baobaby – były zbyt prymitywne i dziwne, zbyt afrykańskie. Ale to nie przeszkadzało Kitty wyobrazić sobie potężny pień z pomarszczoną korą układającą się w głębokie pionowe rowki. Skupisko potężnych korzeni trzymających się ziemi. Pozwoliła obrazowi wyostrzyć się i przenieść daleko od bólu i rozczarowania – do misji, gdzie

wielki baobab dotrzymywał towarzystwa kościołowi i dzwonnicy. Zastanawiała się, kiedy białe płatki zaczęły się rozwijać, zapowiadając dzisiejszy deszcz. Przed jej oczyma pojawił się jeszcze jeden obraz – mężczyzny stojącego pod drzewem z uniesioną głową i twarzą zalaną srebrzystym światłem księżycy, obserwującego wolno rozwijające się pąki. Obok niego figlowała małpka, łapiąc cienie tworzące się na ziemi.

\*

W następnych tygodniach wszyscy przyzwyczaili się do pracy podczas padającego deszczu. Nie sposób było przewidzieć nadejścia nagłej ulewy. Przychodziła, kiedy chciała, potem na chwilę wyglądało słońce, wysuszając część kałuż, po czym znowu nadciągała kolejna burza.

Diana i Kitty jeździły do misji w każdy poniedziałek, środę i piątek. Kitty, siedząc za kierownicą hillmana, musiała wykazać się wielkimi umiejętnościami, omijając błoto i jadąc wzdłuż traktu, gdy lało tak mocno, że z trudem mogła coś przed sobą dojrzeć. Diana zawsze zajmowała miejsce z tyłu – nie dlatego, że chciała być wieziona, ale dlatego że nie lubiła siedzieć obok kierowcy. Nadal bała się prowadzić.

Więźniowie jedli teraz posiłki w kościele, jedynym budynku zdolnym ich pomieścić. Siedzieli na długich ławkach stojących w rzędach. Wyglądali jak zakon dziwnych mnichów w prostych płóciennych strojach, z wyhaftowanymi numerami. Onieśmieleni miejscem, rozmawiali mniej niż na zewnątrz. Pomagając przy rozdawaniu porcji, Kitty miała wrażenie, jakby brała udział w sekretnej uroczystości przypominającej udzielanie sakramentu.

Czasami obowiązki obu kobiet zmieniały się – mogły pracować w kuchni lub w pralni. Jeżeli nie padało, mogły zajmować się

ogrodem. Ale Kitty zawsze po lunchu zajmowała się chorymi, a Diana w tym czasie pisała listy przy biurku. Zdążyła już zrobić spore postępy. List opisujący sprawę młodocianego więźnia osobiście przekazała komisarzowi okręgowemu i apelacja była w toku. Teraz spotkała się z chłopcem, żeby napisać list do rodziców. Słabo znała suahili, ale z pomocą ojca Paula była w stanie zapisać to, co jej dyktowano.

Taylor rzadko pojawiał się w misji. Był jak wszyscy zajęty najlepszym wykorzystaniem opadów. Gdy spotykał Kitty, wymieniali uwagi na temat ogrodu, Gilego, opieki medycznej nad więźniami i winnic. Czasami jednak, gdy ich oczy się spotykały, przepływała między nimi fala potężnej energii. Kitty nie była w stanie się odwrócić, a gdy to zrobiła, wciąż widziała twarz mężczyzny i wyraz jego oczu. Wyczuwała niebezpieczeństwo w ich znajomości, jak podczas ich pierwszego spotkania przy naprawie rury. Wiedziała, że powinna trzymać się od niego z daleka. Jednak zawsze gdy była w misji, szukała go wzrokiem. Gdy nadarzała się okazja, starała się dowiedzieć o nim czegoś więcej – ostrożnie, żeby nie zdradzić się ze zbyt dużym zainteresowaniem. Spytała ojca Paula o jego imię i dowiedziała się, że od śmierci ukochanego ojca używał tylko nazwiska. Matka też była szanowaną kobietą, zarówno przez księży, jak i przez Afrykanów. Kitty odkryła, że Taylor chodził do szkoły w Nairobi, a potem wyjechał na studia za granicę. Tesfa wyznał, że jest utalentowanym graczem w szachy i zapalonym czytelnikiem.

Przyjazd Taylora zwiastowało pojawienie się Gilego. Zawsze przybiegał do Kitty. Lubił siedzieć u jej stóp, gdy zajmowała się pacjentami, i łapać koniec bandaża, który rozwijała. Gdy rozdelała posiłki, siadał na stole przy garnkach. Przy kimś, komu ufał, był pewny siebie, a nawet zuchwały. Kiedyś miało miejsce zamieszanie, gdy ukradł garść *ugali* z czyjegoś talerza. Gdy więzień rozgniewał się, Gili wskoczył mężczyźnie na ramię i rozmazał mu owsiankę na głowie. Kitty patrzyła na to

z przerażeniem. Zrozumiała teraz, jak czuła się matka, gdy chłopcy publicznie dopuszczali się żartów. Uśmiechnęła się dopiero później, gdy wkładała komuś termometr pod język.

W dni, w które Kitty i Diana nie pracowały w misji, jeździły do klubu. Była to część umowy zawartej między ich mężami. Doktor Meadows i siostra Edwards zachowali roztropne milczenie na temat powodu przyjęcia Diany do szpitala. Wszyscy zaakceptowali wyjaśnienie, że przyczyną był atak malarii tropikalnej. Panie uwierzyły, że strach przed chorobą wywołał u niej dość ekstremalne pragnienie (typowe dla Diany; nigdy niczego nie robiła połowicznie) pomagania innym. Skutkiem tego Kitty i Diana podjęły się pracy w misji katolickiej. Było to dziwne, ale nikt nie miał odwagi zakwestionować tego, na co wyraził zgodę pan Armstrong. Zwłaszcza Alice nie była pewna, czy ma zazdrościć Kitty, która została zmuszona do wzięcia udziału w tym szalonym pomysle, czy też cieszyć się, że to nie ją do tego wybrano.

Kobiety popijały kawę, przeglądały pisma i omawiały plany uroczystości towarzyskich, tak jak zawsze to robiły. Głównym tematem był bal na Boże Narodzenie. Ile kolęd zaśpiewa szkolny chór? Czy dzieci powinny wystąpić w mundurkach, czy w strojach balowych? Alice zwróciła uwagę na to, że muszą znaleźć kogoś, kto przebierze się za Świętego Mikołaja, i trzeba odszukać strój przysłany z Londynu w ubiegłym roku.

Kitty zdawała sobie sprawę z tego, że panie nieustannie obserwują Dianę. Wszystkie, od Alice i Evelyn, po Pippe i Elizę, nie ukrywały zaskoczenia tym, jak bardzo się zmieniła. Przestała się objadać słodyczami i znikać w toalecie. Była zrównoważona i bardziej skupiona na planach spotkań opracowywanych przez Alice. Gdy wpisywała swoje nazwisko na rachunku Richarda w klubie, robiła to z całą starannością. Co dziwniejsze, widziano ją, jak siedzi przy jednym ze stolików przy basenie i ćwiczy kaligrafię, używając staroświeckiego pióra i atramentu.

Widzowie uznali pewnie, że to choroba uspokoiła Dianę, pomyślała Kitty, że stała się bardziej zwyczajna, podobna do innych. Mylili się – Diana nadal była pełną energii, inteligentną kobietą, ale jej prawdziwe życie rozgrywało się na innej scenie.

Jeśli chodzi o projekt orzeszkowy, to radość z deszczu okazała się krótkotrwała. Przedtem ziemia była twarda jak beton, teraz zmieniała się w miękki pudding, w którym zapadały się traktory. Pojazdy na gąsienicach przysłane do ich wyciągania też w niej grzęzły. W osiedlu namiotów w centrum Kongary rowy zatrzymujące wodę wypełniły się po brzegi i groziły przelaniem. W środku tego wszystkiego trwał wyścig mający na celu wysianie resztek ziarna, które jeszcze pozostało. Pierwsze deszcze nigdy nie trwają długo. Dopiero później przychodzą potężne ulewy, które utrzymają dojrzewające w ziemi owoce aż do pory zbiorów. Trzeba tylko je w niej umieścić.

Problemy były tak zniechęcające, że Theo przestał nawet o nich opowiadać. Wracał do domu milczący i ponury, informując jedynie o ilości orzeszków zasianych do tej pory. Musieli chyba mieć w dyrekcji jakiś grafik. Gdy gorączkowy etap zasiewów dobiegł końca, jego uwaga skupiła się na tym, ile ziaren wykiełkowało. Z podanych przez niego liczb Kitty mogła wywnioskować, że sytuacja była katastrofalna.

Jedynym miłym tematem rozmowy dla Theo była perspektywa pracy z lady Charlotte Welmingham. Niestety okazało się, że nie będzie mogła przyjechać do Kongary tak szybko, jak na to liczył. Ale zawarta z nią umowa nadal była aktualna. Trzymał się daty jej przypuszczalnego przyjazdu, jakby wiązała się z nią jakaś magiczna moc, która załatwi wszystkie jego problemy. Kitty czuła zazdrość o kobietę, która tyle dla niego znaczyła, i jednocześnie pragnęła, by coś się stało, co mogłoby podnieść Theo na duchu. Usiłowała wyciągnąć od niego jakieś informacje o ekspertce od miodu, żeby zorientować się, co to za osoba. Odpowiadał bardzo enigmatycznie – nie mówił, że

jest piękna, szczupła czy wysportowana – więc pocieszała się, że może być gruba lub nieatrakcyjna. Czy grubokoścista. O końskim wyglądzie, z wystającymi zębami. Albo z wyciągniętym nosem i spiczastymi rysami jak u psa. Wyglądało na to, że Theo zamierza spędzać z tą kobietą dużo czasu, miała więc nadzieję, że ten nieatrakcyjny wygląd okaże się prawdziwy.

# Rozdział trzynasty

Daimler wyjechał z misji, skręcając na drogę biegnącą przez wioskę. Pora deszczowa się skończyła i ziemia znowu była twarda i sucha, mimo to James lawirował ostrożnie między chatami z gliny. Tego ranka zawiózł obie panie do pracy, ponieważ samochód Kitty nie chciał zapalić. Zdziwiło ją to, że tak chętnie zgodził się pomóc, biorąc pod uwagę fakt, iż będzie musiał jechać na skróty swoim cennym samochodem. Ponownie ją zaskoczył, gdy dotarli do misji. Zamiast pozostać przy daimlerze, jak każdy szofer, poprosił Tesfę, żeby go oprowadził. W trakcie wykonywania swoich obowiązków Kitty od czasu do czasu przyglądała się obu mężczyznom. Tesfa długo odpowiadał na zadawane mu pytania, a James chłonał każde słowo. W końcu zrozumiała, skąd się bierze zainteresowanie szofera. Od prawie sześciu tygodni był świadkiem wyjazdów Diany do misji. (Po upływie okresu próbnego Richard zgodził się, żeby żona nadal tam jeździła). Bez wątpienia James nasłuchał się plotek o tym, co tam robiła. Teraz chciał sprawdzić osobiście miejsce, które uratowało jego panią od stanu bez radości i przywróciło ją do życia.

Gdy dzień pracy dobiegł końca, wyruszyły w drogę powrotną do domu. Diana opowiadała Kitty o postępach w ostatnich prowadzonych przez nią kampaniach. Miała dwie kolejne sprawy dotyczące więźniów. Starła się wyciągnąć jednego z nich z więzienia za dobre sprawowanie – był to jeden z najpracowitszych ludzi Taylora. Badala również przypadek więźnia skazanego za morderstwo popełnione pięć lat temu.



Zgodnie z opinią lekarzy młody Wagogo był uczulony na przepisany mu lek przeciw malarii. W wywołanej przez narkotyk psychozie zabił ukochaną żonę. Za ten czyn (którego nie pamięta) będzie płacił do końca swoich dni, niezależnie od wyroku wydanego zgodnie z kodeksem karnym Jego Królewskiej Mości[4]. Diana uważała, że skazywanie go jeszcze na więzienie było okrutne i niesprawiedliwe, i zamierzała uzyskać dla niego zwolnienie.

Gdy mijali wiejski plac, jak zwykle samochód otoczyła grupa dzieci. Diana już nie kuliła się na ich widok, ale Kitty zobaczyła, że wymienia z Jamesem spojrzenia we wstecznym lusterku. Dziś do daimlera podbiegł chłopiec, wołając, żeby się zatrzymali. Gdy James zwolnił, do chłopca podeszła dziewczynka. Trzymała w ręku coś, czego Kitty z początku nie rozpoznała. Kiedy jednak wyciągnęła ręce w jej stronę, okazało się, że to zrobiona z gliny figurka małpki, wielkości trzydziestu centymetrów, uchwycona w pozie do skoku, jakby cała energia zwierzęcia skupiła się na stopach.

– Och, zobacz. – Diana pochyliła się w stronę Kitty, żeby lepiej się przyjrzeć. – Jak żywa.

Dzieci, razem z innymi, oparły się o okno od strony Kitty. Gdy opuściła szybę, podały jej figurkę.

– Kto ją zrobił? – spytała Diana.

Dzieci wskazały podekscytowane na Kitty. Nie musiały znać angielskiego, żeby zrozumieć pytanie.

Kitty kiwnęła głową, wodząc spojrzeniem za małpką, którą dziewczynka zaczęła wymachiwać. Przed kilkoma dniami podeszła do dzieci bawiących się nad brzegiem wypełnionego wodą strumienia. Czerwona ziemia zmieniła się w gęstą glinę, z której dzieci lepiły krowy. Kitty zawahała się, lecz po chwili dołączyła do nich. To nie była sztuka, lecz zabawa z dziećmi pozbawionymi szkoły. Wszystkie figurki krów miały podobne prymitywne kształty. Kitty nie mogła się powstrzymać, żeby nie

powiększyć kolekcji dzieci. Zebrała sporą garść gliny i zaczęła ją ugniatać w dłoniach, aż zrobiła się gładka i plastyczna. Po chwili uformowała z niej Gilego.

– *Peleka nyumbani*. Weź ją do domu – zawołał do niej chłopiec stojący przy oknie.

Podali jej figurkę. Glina była twarda i sucha. Ktoś musiał ją postawić przy ogniu, bo jedna strona była lekko poczerniała.

– *Asante*. Dziękuję – powiedziała, wzruszona tym, że z taką troską potraktowano zrobioną przez nią rzeźbę. Wyszła zaskakująco dobrze, zważywszy na to, że nigdy nie szkicowała Gilego. Obracając ją w rękach, pomyślała, że to wpływ rysunków Taylora na ścianach jego dawnej celi. Coś z nich zostało jej w głowie. Wiedziała, co to było: każda kreska składająca się na portret była wynikiem znajomości pupila i miłości do niego.

Jeszcze raz podziękowała dzieciom, po czym James ruszył do Londoni. Małpka spoczęła na jej kolanach.

– Nie wiedziałam, że jesteś artystką – stwierdziła Diana.

– Och, tylko się bawiłam.

– Masz talent – nie ustępowała Diana. – I umiejętności. Musiałaś chodzić do szkoły artystycznej.

Kitty popatrzyła na nią, lecz nic nie powiedziała. Bardzo chciała wyznać jej prawdę, zwłaszcza że Diana powierzyła jej swój sekret. Ale jak miała wytłumaczyć, dlaczego jej talent artystyczny musiał pozostać tajemnicą? Pokręciła więc tylko głową. Przecież nie uczęszczała do szkoły artystycznej, pobierała nauki u prywatnego nauczyciela. Gdy odwróciła głowę w stronę okna, czuła, że Diana obserwuje ją z zainteresowaniem. Najwyraźniej podejrzewała, że Kitty coś ukrywa, ale była zbyt dobrze wychowana, by zmuszać ją do zwierzeń.

James uparł się, że podwiezie ją pod schody werandy, chociaż zapewniała, że może przejść pieszo ten krótki kawałek. Potem stała nieruchomo z figurką małpki w ręku, dopóki samochód nie zniknął z pola widzenia.

Poszła prosto na tyły ogrodu, szukając jakiegoś zacisznego zakątka. W końcu wybrała miejsce u stóp krzewu bugenwilli. Splątane gałęzie układały się w naturalną grootę okoloną fioletowymi kwiatami. Żywa barwa płatków zdawała się współgrać z wesołym charakterem mały. Kitty rozejrzała się, czy nikt nie widzi, po czym pochyliła się i umieściła figurkę między gałązkami. Cofnęła się, otrzepała ręce z glinianego różowego pyłu i uśmiechnęła się do małpki. Potem ruszyła do domu, żeby się przebrać.

Jak tylko znalazła się w korytarzu, wiedziała, że na coś się zanosi. Na bocznym stoliku stał wazon z kwiatami. W powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa, jak zwykle w piątek, tylko że nie był to kurczak, a raczej wołowina lub jagnięcina.

Zobaczyła Gabriela przechodzącego przez hall do salonu. Poszła za nim. Czyżby Theo przygotował jej jakąś niespodziankę? – pomyślała. Może chciał wynagrodzić jej to, że był taki zimny i irytujący. A może żałował, że był taki nieugięty w rozmowie o dziecku...

– Gabrielu, co się dzieje?

Służący postawił kubełek z lodem i sprawdzał ustawienie butelek z alkoholem.

– Będzie miała pani gościa, *memsahib*. Kogoś bardzo ważnego. *Bwana* przysłał wiadomość.

Kitty spojrzała na niego zaskoczona. Czyżby o czymś zapomniała? Kto to może być? Jak dotąd nie przyjmowała nikogo ważnego z Londynu, to była rola Diany. Ale skoro żona naczelnego była chora, może dom Theo stał się chwilowo numer jeden i miejscem proszonych kolacji.

– Co to za gość? Jak się nazywa?

Gabriel uśmiechnął się z triumfem, najwyraźniej zadowolony, że ma wiedzę, której nie ma jego pani.

– To dama.

Kitty wpatrywała się w niego. Dama?

Charlotte.

Poczuła konsternację zmieszaną z paniką. Udało jej się usunąć z pamięci strach przed przyjazdem lady Welmingham. Nie spodziewała się, że ta kobieta zjawi się tak nagle. Dlaczego nikt jej nie powiedział, że jest w Kongarze?

Zebrała się w sobie i uśmiechnęła.

– To miło – powiedziała, po czym omiotła służącego krytycznym spojrzeniem. – Nie zapomnij zmienić tuniki. Nie wygląda na całkiem czystą.

Gabriel skłonił głowę.

– Tak, *memsahib*.

Oboje wiedzieli, że tunika jest bez skazy, ale nie o to chodziło.

\*

Światło świec przydawało złocistego blasku długim rudym włosom lady Charlotte. Jej loki opadały na ramiona, kontrastując z zieloną, aksamitną suknią. Nawet Kitty zauważyła, że kobieta była idealnie ubrana – perły i długa suknia równoważyły swobodną fryzurę i nadawały całości lekko formalny ton.

Kitty obserwowała Angielkę, gdy rozmawiała z Theo. Charlotte przerywała często, by zaciągnąć się papierosem osadzonym w długiej cygarniczce, którą trzymała między wymanikiurowanymi palcami. Jadła małe porcje, po czym przekazała hojne komplementy kucharzowi. Gabriel bez przerwy jej nadskakiwał, wykorzystując cały swój arsenał dobrze wyszkolonego służącego.

– Pamiętasz Billy’ego Alstona? – spytała Charlotte. – Był o rok starszy od was.

Theo jęknął.

– Jak mógłbym go zapomnieć?

– Zginął na wojnie.

Twarz Theo zeszywniała z zaskoczenia, lecz gdy odezwał się, jego głos był spokojny.

– Biedni chłopcy.

Kitty przypomniała sobie, że takim właśnie obojętnym tonem informował ją o śmierci członków jego dywizjonu.

– Tak. To okropne. – Charlotte strzepnęła popiół do stojącej obok popielniczki.

Kitty miała ochotę zapytać, co robiła w czasie wojny, z nadzieją, że usłyszy, iż po prostu była w domu, haftowała i zbierała miód z uli. Ale mogła jej też odpowiedzieć, że pracowała ochotniczo jako pielęgniarka, być może w rodzinnym pałacu, dobrowolnie zamienionym w szpital dla rannych żołnierzy. Wyobraziła sobie lady Charlotte w stroju pielęgniarki. Wyglądała cudownie i zachowywała się cudownie...

Charlotte i Theo rozmawiali i rozmawiali. Kitty nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała męża tak ożywionego i rozmownego. Od czasu do czasu Charlotte rzucała jakąś uwagę gospodyni – wpojono jej dobre maniere – zaraz jednak wracała do ludzi, zdarzeń i miejsc, o których Kitty nic nie wiedziała. Czasami też dotykała ramienia Theo dla podkreślenia słów. Oboje najwyraźniej czuli się swobodnie w swoim towarzystwie. Mieli tę samą pewność siebie, ten sam akcent, te same drobne nawyki i określenia. Byli jakby stworzeni dla siebie.

Obserwując ich, Kitty zastanawiała się, czy Theo rozmawiał z gościem o konieczności utrzymania w sekrecie skandalu, jaki stał się jej udziałem. Charlotte nie mogła o nim nie wiedzieć, obracała się w tych samych kręgach co Hamiltonowie. Czytała gazety i słyszała plotki krążące w londyńskich klubach. Theo mógł z nią rozmawiać po południu. Na pewno musieli spędzić razem kilka godzin w dyrekcji. Jednak z drugiej strony mógł z nią o tym rozmawiać przez telefon, dzwoniąc do Anglii, żeby zaplanować jej podróż tutaj. Jeżeli tak było, Charlotte z pewnością zgodziła się milczeć w tej kwestii w czasie pobytu

w Tanganice. Była w końcu „jedną z nas”, jak zwykła podkreślać Louisa.

W miarę upływu czasu Theo i Charlotte przeszli od wspomnień do rozmowy o życiu w Londoni. Kitty mogła wreszcie włączyć się do dyskusji. Przekazała kilka pomocnych rad, na które Charlotte miło odpowiedziała. Potem jednak zaczęli mówić o projekcie orzeszkowym. Tego wieczoru Theo zamiast wyrzucić z siebie frustracje i troski związane z pracą, postarał się wyjaśnić wszystko w sposób, w jaki nigdy nie tłumaczył żonie. Zostawił nawet miejsce gościowi na komentarz i zadawanie pytań. Nie było w tym nic dziwnego, tłumaczyła sobie Kitty. Przecież Charlotte miała pracować z Theo i innymi mężczyznami. Mimo to czuła się zraniona i opuszczona.

– Dobry Boże, to już tak późno? – wykrzyknęła w końcu Charlotte. – Muszę wrócić do pudełka. – Skrzywiła się żartobliwie, dając do zrozumienia, że warunki zakwaterowania były tak niedostateczne, że aż śmieszne. Mimo to zamierzała robić dobrą minę do złej gry.

Wymienili słowa pożegnania. Kitty zwracała się do gościa „lady Welmingham”. Wiedziała, o czym Theo poinformował ją kiedyś, że tytuł mogła pominąć tylko wtedy, gdyby została do tego zaproszona. Lecz nie doczekała się tego gestu.

Theo uparł się, że odwiezie Charlotte do domu, chociaż proponowała, że może to zrobić jego szofer. Gdy wyprowadzał ją z jadalni, położył dłoń na jej plecach. W drugiej ręce niósł szal gościa, cienki jak pajęczyna, w kolorze miodu, wybrany z pewnością, by harmonizował z zawodem pszczelarki. Charlotte chwiała się lekko, może z powodu ilości wypitego wina lub też złotych pantofli na wysokich obcasach. Gdy szła, aksamitna, długa suknia mieniła się i falowała.

Kitty stała na werandzie i patrzyła, jak czerwone światła land rovera maleją, po czym nikną w oddali. Nie chciała wracać do środka, gdzie w powietrzu unosił się dym papierosowy

zmieszany z kosztownym zapachem piżma, którym przesycone były włosy i suknia Charlotte. Zeszła po schodach do ogrodu za domem. Okna tonęły w ciepłym świetle, nadając domowi przytulny wygląd. Sprawiał wrażenie rodzinnej siedziby, gdzie dzieci spały w łóžeczkach pod przykryciem w pociągi lub wróżki. Kitty odwróciła się i spojrzała na ciemny ogród. Nogi poniosły ją do krzewu bugenwilli. Przykucnęła i spojrzała na małą figurkę muśniętą smugą światła padającego z otwartych drzwi kuchni.

Gili. Przypomniła sobie, z jaką przyjemnością modelowała kontury jego ciała i radość, że udało jej się oddać dziki charakter małpki. Ta czynność obudziła drzemiącą w niej energię.

Teraz jej nie czuła. Nie czuła w ogóle nic.

Patrząc na figurkę, uzmysłowiła sobie, że przypomina dziecko. Małe i bezbronne. Nie miała szans na przetrwanie, gdy przyjdą następne deszcze – glina była sucha i źle wypalona. Ulewa znajdzie ją nawet w tej kwietnej altanie. Powoli się rozpadnie. Gdy przyjdzie pora zbiorów, zmieni się w bezkształtną bryłkę pozbawioną magii.

# Rozdział czternasty

W kościele panował spokój. Promienie słońca wpadały przez wysoko umieszczone okna, a na dzwonnicy gruchały gołębie. Ojciec Remi i Kitty polerowali ławki, nadając drewnu połysk. Od czasu do czasu natrafiali na odchody pozostawione przez kury przyniesione do kościoła na niedzielną ofiarę. Lub też na resztki wyschniętej owsianki, która wypadła więźniom z talerzy, gdy schronili się we wnętrzu przed deszczem.

Kitty rytmicznie przesuwiała ścierką w przód i w tył. Miała nadzieję, że wygląda na spokojną i opanowaną. Zerknęła na ojca Remiego czyszczącego następną ławkę. Sprawiał wrażenie swobodnego, jakby zapomniał o obecności Kitty. Możliwe, że modlił się lub recytował łacińskie teksty.

Popatrzyła na Błogosławioną Maryję, na jej pogodną twarz, żałując, że nie jest taka jak ona. Święta Maryja była niewinna i czysta, od gipsowego ciała po białe serce, podczas gdy Kitty opanowywało grzęzawisko czarnych emocji tak przytłaczających, że nie mogła oddychać. W samym jego centrum szalały gniew i zazdrość, na pomarszczonych brzegach – rozpacz i rozczarowanie. A całość, niczym wieniec cierniowy, oplatały ciężkie, czarne wyrzuty sumienia.

Nie wiedziała, dlaczego uczucia tak się w niej gotują. Być może powodem była nieustanna obecność Charlotte w domu. Kitty nie miała teraz chwili, by być sam na sam z Theo. Minęło zaledwie kilka tygodni od przyjazdu Charlotte, a wydawało się, jakby była tu od miesięcy. Wczoraj wieczorem, gdy Theo jak zwykle odwoził ją do domu, Kitty z rozmysłem zrzuciła na podłogę jeden



z talerzy obiadowych Royal Doulton Cynthii. Potem rozbiła filiżankę i spodeczek. Roześmiała się na widok skorup. Kiedy jednak pospiesznie sprzątała dowody winy w obawie, że Theo zaraz wróci do domu, co było mało prawdopodobne, wybuchnęła płaczem. Może po prostu nie miała już siły radzić sobie z tym wszystkim. Z sekretami, kłamstwami, zasadami. Tematami, których nie wolno było poruszać. To trwało już zbyt długo.

Nagle jej ręka polerująca kościelną ławkę zwolniła. Palce zacisnęły się na szmatce, lecz dłoń nie chciała się już przesuwac. Zaskrzypiały deski podłogi i przed Kitty stanął ojciec Remi.

– Zbierzmy trochę owoców.

Spojrzała na niego zaskoczona, po czym kiwnęła głową. Z przyjemnością wyjdzie na świeże powietrze, a inna praca pozwoli zapomnieć o sobie.

Wyszła z kościoła za zakonnikiem. Ruszył w stronę szopy, gdzie trzymano kosze, lecz zamiast do niej wejść, poszedł dalej, do ławki pod drzewem pieprzowym i usiadł na niej.

– Nie mieliśmy zbierać owoców? – spytała Kitty.

– Nie – odpowiedział tylko i czekał, wpatrując się w dal.

Zrozumiała, że stworzył przestrzeń do rozmowy. Teraz od niej zależało, czy ją wypełni, jeśli się na to zdecyduje.

Czuła, jak wzbierają w niej słowa, łączą siły i rosną liczebnie.

– Muszę z ojcem porozmawiać – oznajmiła. – Jak z księdzem. Możemy to zrobić tutaj?

Ojciec Remi wykonał szeroki ruch ręką. Deszcze sprawiły, że busz otaczający nawodnione winnice i ogrodowe grządki zazieleniły się. Cała okolica obudziła się do nowego życia.

– Według mnie nie ma lepszego miejsca – odparł.

Kitty milczała, pozwalając myślom cofnąć się w przeszłość. Zupełnie jakby nie minęło pięć lat, wspomnienia były takie jasne i wyraźne. Twarze, głosy, zapachy – wszystko to do niej wróciło. Odetchnęła głęboko. Teraz mogła zacząć.

\*

Poranne słońce wpadało przez okna letniego domku, rzucając plamę światła na stół. Kitty bawiła się serwetką, szarpiąc za koronkowe brzegi, i czekała, aż Louisa i admirał skończą jeść śniadanie. Gdy teściowa w końcu wstała, Kitty natychmiast zrobiła to samo.

– Idę odwiedzić Yuriego – oznajmiła. – Nie wrócę na lunch.

Zauważyła, że teściowie zastanawiają się nad kolejnym zajęciem dla niej. Znajdowali w tym przyjemność, chociaż mieli do pomocy kilkoro służących. Kitty pospieszyła do drzwi, zanim Louisa lub admirał zdążyli otworzyć usta. Pożegnała się i już jej nie było.

Cieszyła się, że im uciekła. W rozległych przestrzeniach pałacowych wszędzie czuło się ich dominującą obecność, ale w letnim domku zastawionym meblami dosłownie ją przytłaczali. Chociaż okazywali niezadowolenie, że spędza z nimi zbyt mało czasu, gdy przyjeżdżała do nich w weekendy, co rzadko się zdarzało, tak naprawdę w ogóle nie interesowali się jej życiem. Nie pytali ją o nowiny ani nie palili się do tego, żeby usłyszeć, jak Theo radzi sobie w lotnictwie. Cały czas albo narzekali na ciasne mieszkanie, albo mówili o tym, jacy są dumni, że Hamilton Hall wybrano na siedzibę dowództwa RAF-u. Kitty pozostawało jedynie siedzieć, kiwać głową i uśmiechać się w odpowiednich momentach.

Gdy miała przejść przez ogród, pani Ellis, kucharka, która od dziesięcioleci służyła u Hamiltonów, przywołała ją do kuchennych drzwi.

– Idziesz w odwiedziny do jego książęcej mości? – spytała.

Kitty się uśmiechnęła.

– Skąd pani wie?

Kucharka nie musiała odpowiadać. Wiedziała, że zawsze chętnie wyrywała się, żeby odwiedzić Yuriego.

– Mam coś dla niego. – Wróciła do kuchni, po czym pojawiła się z koszykiem w ręku. Gdy podała go Kitty, rozszedł się z niego intensywny, maślany zapach. Na talerzu starannie umieszczonym na dnie leżało złociste ciasto z wiśniami, obsypane cukrem pudrem.

– Będzie zachwycony – powiedziała Kitty.

Twarz pani Ellis się rozjaśniła. Dawniej, gdy tu mieszkała, uważała za przywilej pieczenie ciast dla „naszego księcia”, a teraz po jego przeprowadzce do miasteczka, posyłała mu słodkości, kiedy tylko mogła. Jakoś udawało jej się zaoszczędzić potrzebne składniki z przydziałów, jakie otrzymywali Hamiltonowie.

Kitty pomachała kucharce na pożegnanie, odwróciła się i ruszyła ścieżką między warzywnymi grządkami, zmierzając na tyły posiadłości. Woląла omijać pałac zajęty przez wojsko. Wyglądał teraz jeszcze bardziej onieśmielająco z rzędami wojskowych ciężarówek i dżipów na podjeździe niż wtedy, gdy był rodzinną rezydencją.

Szła szybko z koszykiem kołyszącym się na ramieniu. Czekając ją długa droga do miasteczka. Gdy w końcu jej oczom ukazał się domek Yuriego, zalała ją fala niecierpliwości. Miała przed sobą kilka godzin na rozmowę ze starym przyjacielem.

Zapukała do frontowych drzwi pomalowanych na śmiały czerwony kolor, tak bardzo przypominający odcieniem skrzynki na listy, że mogli je pomalować pracownicy królewskiej poczty. Yuri otworzył dopiero po kilku minutach. Wyobraziła sobie, że wzdycha z irytacją i odkłada pędzel. Nikogo nie oczekiwał i nie lubił, gdy mu przerywano.

Gdy stanął w drzwiach, na jego twarzy malowała się wrogość. Był w trakcie wsuwania koszuli w spodnie.

– Kitty!

Ledwo postawiła koszyk, a już znalazła się w jego ramionach. Stali tak przez dłuższą chwilę spleceni w uścisku. Kitty oparła mu głowę na ramieniu. Było coś delikatnego w sposobie, w jaki ją

obejmował. Nie przypominało to uścisku kochanka, a raczej ojca o miękkim sercu. (Nie jej własnego, który potrafił się zdobyć jedynie na potarganie córce włosów).

– Wejdz, wejdz. – Yuri niemal tańczył przed nią. Pozbył się koszuli, zostając jedynie w starych spodniach. Za paskiem wisiała znajoma szmatka z terpentyną i barwnikiem. – Mam nadzieję, że nie pomazałem ci farbą sukienki. – Odwrócił się z uśmiechem. – Nie, mam nadzieję, że tak. Wyglądasz zbyt elegancko. Zupełnie jak twoja teściowa.

– Nieprawda – zaprotestowała. Starannie się ubrała na tę wizytę, wkładając bawełnianą sukienkę w drobne kwiatki. Była wiosenna i lekka. Czuła się w niej świeżo i swobodnie.

– Żartowałem. Wyglądasz ślicznie. Jak zawsze.

Bez trudu wrócili do dawnych zwyczajów. Zupełnie jakby znowu byli dwuosobową rodziną. Kitty wciąż nie mogła się przyzwyczaić do nowego mieszkania Yuriego. Dopiero trzeci raz go tu odwiedzała. W pokoju, który zamienił na pracownię, podłogę i wszystkie meble poprzykrywał perkalowymi pokrowcami od kurzu. To przydawało miejscu ponadczasowy, senny wygląd.

Na sztalugach stało płótno oczyszczone z poprzednich farb, które czekało na nowy obraz. Zastanawiała się, co – czy kogo – będzie teraz malował. Zazdrościła mu tego wrażenia przygody, jaką oferowało czyste płótno. W mieszkaniu w Skellingthorpe czasami coś szkicowała, lecz to wszystko. Było tam zbyt mało miejsca na pracownię i pracując jako wolontariuszka, nie miała dużo wolnego czasu. Co więcej, malowanie wydawało się frywolnym zajęciem w towarzystwie pilotów, którzy każdego dnia narażali życie.

W całej Anglii pozamykano wiele szkół i uczelni artystycznych. Akademia Slade'a została zbombardowana, okazałe, stare budynki zniszczone, wspaniałe rzeźby roztrzaskane. Dziennik „The Times” opublikował zdjęcie przedstawiające ogrom

zniszczeń. Wielu artystów, takich jak Kitty, zaangażowało się w pracę na rzecz wojska. Inni, tacy jak Yuri, nie przestawali malować. Nadal organizowano wystawy i przeglądy. Ludzie wciąż kupowali i sprzedawali dzieła sztuki. To była osobliwość czasów wojny. Picasso ukrył się w Paryżu przed niemiecką okupacją, ale nie przestał malować, wyrażając w obrazach horror wojny. Yuri podziwiał za to starego przyjaciela, ale sam trzymał się z daleka od tego tematu. Nadal skupiał się na prywatnej batalii z postacią ludzką. Kitty zastanawiała się, czy to jego doświadczenia z czasów rosyjskiej rewolucji sprawiały, że uciekał od tej nowej wojny. Po prostu nie był w stanie znieść więcej.

– Jesteś głodna? – spytał Yuri.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Gdy Kitty przyjeżdżała do Hamiltonów, ciągle była głodna. Przy Louisie starała się jeść drobne porcje jak dama. Wymagało to również właściwego trzymania sztuców i przechylania talerza z zupą od siebie, nie do siebie. Wszystko to odbierało jej apetyt.

– Zróbmy sobie piknik w ogrodzie – zaproponował Yuri, idąc do kuchni. Gdy otworzył lodówkę, Kitty rozpoznała specjały jego starej gospodyni: pierogi kornwalijskie (z posiekanym, nie mielonym mięsem) i pikantne śledzie w galarecie. Podobnie jak pani Ellis pozostała mu wierna. Przychodziła do jego domku, mimo że był to ogromny spadek w porównaniu z poprzednim mieszkaniem księcia na terenie posiadłości Hamiltonów.

– Nie można już dostać dobrego sera – stwierdził Yuri.

Trzymał butelkę czerwonego wina między nogami i napinał mięśnie, usiłując wyciągnąć uparty korek. Kitty zauważyła, że wciąż był w dobrej formie. Miał niewiele ponad sześćdziesiąt lat, ale wielu starszych kolegów Theo z RAF-u wyglądało w tym wieku staro i niezdrowo.

– Wino też mi się kończy – dodał, ale nie sprawiał wrażenia zmartwionego. Nucił pod nosem, układając jedzenie na poplamionej farbą tacy.

Gdy rozłożyli koc na wyrosniętej trawie, musieli przejść się po nim bosymi stopami, zanim zrobił się płaski. Potem postawili tacę, zachwycając się jej zawartością. Na środku stało ciasto pani Ellis, po bokach pierogi, śledzie i sałata. Jedli w milczeniu. Nie musieli opowiadać o tym, co robili. Codzienne życie w czasie wojny wydawało się odległe i nieistotne.

Po skończonym posiłku zabrali kieliszki do środka, popijając czerwone wino. W pracowni nastrój zrobił się bardziej ponury. Yuri powiedział Kitty, że nie może nigdzie dostać płócien i farb, nawet na czarnym rynku. Jeżeli wojna szybko się nie skończy, będzie zmuszony pracować na starych kawałkach desek i używać farb do malowania domu. Potem zaczął opowiadać o czystkach w niemieckich muzeach. Hitler nie znosił współczesnej sztuki. Uważał, że artyści zaangażowani w nowe ruchy nie widzą kolorów czy kształtów, tak jak występują one w naturze, dlatego są gorsi pod względem rasowym. Hitler był początkującym malarzem, którego nie przyjęto do wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych. Kitty słuchała tego ze zdumieniem. Do tej pory Yuri był ponad to wszystko i nie należał do osób, które lubią się powtarzać. Sprawiał wrażenie zamyślnego, jakby traktował rozmowę jako chwilową rozrywkę. Nagle urwał.

– Kitty, chcę ci coś pokazać.

Sprzeczne emocje przemknęły mu przez twarz: niecierpliwość i zadowolenie zmieszane z bólem. Wyszedł na chwilę, po czym wrócił z torbą podróżną z grubej tkaniny. Niósł ją przyciśniętą do piersi jak coś cennego. Potem usiadł na starej kanapie i dał znak Kitty, żeby zrobiła to samo. Postawił torbę przy nogach i otworzył górę.

– To są jej rzeczy. Dostałem je zaledwie przed tygodniem. Po tylu latach.

Kitty poczuła ucisk w żołądku pod wpływem napięcia i podekscytowania. Wiedziała, do kogo należą te rzeczy.

– To torba Katyi, tak?

– Miała ją przy sobie w chwili śmierci. – Paroksyzm bólu ściągnął mu twarz, lecz po chwili Yuri się opanował. – Ktoś, kto jechał pociągiem, musiał zachować ją przez te wszystkie lata. Potem przeszła w inne ręce. Nie znam całej historii. W Paryżu i Londynie mieszka społeczność rosyjskich emigrantów. Nasze rodziny się znają. Ktoś skojarzył to ze mną i przesłał mojemu agentowi.

Sięgnął do torby i wyjął mały przedmiot ze srebra wielkości papierośnicy. Zwolnił zamek i otworzył. W środku były dwie fotografie połączone zawiasami. Yuri podał je Kitty.

Patrzyła w milczeniu na portret kobiety bardzo do niej podobnej – te same włosy, oczy, usta. Ale Katya była elegancka. Wyrafinowana. Zebrane na czubku głowy włosy zdobił brylantowy diadem. Z uszu zwisały kolczyki, podkreślając smukłą i pełną gracji szyję. Wyglądała jak księżniczka. Bo przecież była księżniczką.

Dopiero po chwili Kitty przeniosła wzrok na drugą fotografię. Spoglądał z niej młody mężczyzna o jasnym wejrzeniu i uśmiechu błakającym się na wargach. Yuri starał się zachować powagę przed obiektywem, ale widać było, że jest żartownisiem, który lubi się śmiać.

– Byliście piękną parą. Wyglądacie na bardzo szczęśliwych.

Następnie Yuri wyjął okrągły przedmiot w kolorze bursztynu. Była to szylkretowa puderniczka. Pogładził ją czule, przesuwając palcami po wygrawerowanych na wieczku inicjałach.

– Przywiozłem jej to z Paryża. Kazałem wygrawerować inicjały. Są trzy: żona w Rosji używa imienia ojca i nazwiska męża. – Pokazał ją Kitty. Ozdobne litery na półprzezroczystej powierzchni muszli rzucały cienie na paletkę do pudru. – Dałem jej mnóstwo prezentów. Była to przeważnie biżuteria z rodzinnej kolekcji, bardzo cenna. A właściwie bezcenna. Ale to wybrałem specjalnie dla niej. Bardzo ją ceniła. – Podał ją Kitty. – Jest twoja. Myślę, że cieszyłaby się, że ją dostałaś.

Kitty zacisnęła wargi, czując pod powiekami palące łzy.

– Dziękuję. Będzie to dla mnie cenna pamiątka.

Obróciła ją w palcach, podziwiając kolor – przydymiony pomarańczowy z brązowymi pręgami. Potem otworzyła. W środku było lustro. Widziała w nim fragment swojej twarzy – oko i brzeg nosa. Gdy ją obróciła, mogła zobaczyć całą twarz. Pomyśleć, że twarze dwóch kobiet, które dzieliły całe dekady i światy, zostały utrwalone w ten sposób. Katya, ta prawdziwa, i Kitty, jej dublerka.

Yuri wyjął z torby kilka części garderoby: delikatne, koronkowe rzeczy. Rękawiczki, szal, białą, jedwabną koszulę nocną, pończochy. Przesunął po nich palcami.

– Brakuje kilku rzeczy. Musiała mieć coś więcej...

Znieruchomiał, po czym zacisnął palce w pięści, gniotąc części garderoby. Usta wykrzywił mu grymas bólu.

Kitty poczuła się młoda i bezużyteczna. Jej życie było pustą kartą w porównaniu z jego. Sięgnęła jednak ręką do jego dłoni i trzymała, dopóki nie rozprostował palców. Pochyliła się ku niemu.

– Yuri. – Czują, jakby wzywała go gdzieś z oddali. – Opowiedz mi. Co się stało z Katyą.

Zdawała sobie sprawę z tego, o co prosi. Zmuszała Yuriego, żeby wszedł do czarnej dziury, którą omijał przez te wszystkie lata ich znajomości. Mówił o żonie jedynie od czasu do czasu, wspominając jej ulubione potrawy lub utwory muzyczne. Były też egzotyczne stroje, w których malował Kitty. Domyślała się, że należały do Katyi, ale nigdy go o to nie pytała. Los jego żony był jak pusta kartka, niezakłócona niczym cisza.

Yuri położył dłonie na jedwabnej koszuli nocnej. Chociaż były poplamione farbą, a skóra wyschnięta od ciągłego wycierania terpentyną, Kitty wyobraziła sobie, że kiedyś gładziły ten sam jedwab na ciele ukochanej.

– Oboje byliśmy artystami – zaczął niskim, lecz spokojnym



głosem. Jego oczy patrzyły gdzieś w dal, jakby w ich jasnym błękitcie odbijało się niebo odległego kraju. – Nie dbaliśmy o bogactwo czy wyższe sfery, ale oboje się z nich wywodziliśmy. Nasze rodziny miały majątki, pałace w Sankt Petersburgu. Byliśmy skoligaceni z rodziną carską, chociaż z różnych linii. Ale prowadziliśmy prostsze życie niż nasi przyjaciele i krewni. Spędzaliśmy czas z innymi artystami. Malowaliśmy, rysowaliśmy i chodziliśmy na wystawy. Wszystko było... wspaniałe.

Po wielu latach spędzonych w Anglii Yuri mówił płynnie po angielsku, lecz gdy opowiadał o przeszłości, rosyjski akcent stawał się wyraźniejszy.

– Oczywiście, dostrzegaliśmy znaki ostrzegawcze. Zbliżała się rewolucja. Katya i ja wierzyliśmy w zmianę. Hrabia Tołstoj był przyjacielem rodziny. Podziwialiśmy jego powieści, jego idee społeczne. – Urwał i pokręcił głową. – Ale nie wyobrażaliśmy sobie tego, co się może stać. Nie dostrzegaliśmy niebezpieczeństwa. Potem usłyszeliśmy, że rozstrzelano cara razem z całą jego rodziną, małym Aleksym i czterema dziewczynkami. Zналиśmy ich. Bawiliśmy się z nimi w czasie wakacji w letnich pałacach. W całej Rosji bolszewicy mordowali tak zwanych kontrrewolucjonistów. Arystokraci tacy jak my byli klasowymi wrogami ludu. – Urwał. – Opowiadałem ci o tym... o czerwonym terrorze.

Kitty kiwnęła głową. Od Yuriego dowiedziała się o historii świata – współczesnej i dawnej – więcej niż przez te wszystkie lata spędzone w szkole w Wattle Creek.

– Moją pracownię spaliła banda żołnierzy – ciągnął Yuri. – Malowanie uznano za dekadencje zajęcie. Straciłem wszystkie obrazy, jakie namalowałem. Wszystkie portrety Katyi.

– Malowałeś ją. – To było raczej stwierdzenie niż pytanie. Naturalnie, że ją malował. Kitty poczuła ukłucie zazdrości, gdy dostrzegła płonąca w jego oczach miłość do żony.

– W taki sposób poznałem kobiece ciało, malując i kochając się

z moją Katyą. Teraz gdy maluję, ciało to jedynie fizyczna obecność. Każde jest nowym wyzwaniem, zdobywaniem kolorów i kształtów, bitwą, którą musimy wygrać. Z Katyą było inaczej. Staralem się patrzeć w głąb ciała i dotrzeć do jej duszy. – Uśmiechnął się lekko. – Źle ją malowałem. Byłem młody. Nie miałem tych umiejętności co teraz.

Postanowiliśmy uciec z Rosji. Wielu naszych przyjaciół już mieszkało w Paryżu. Mieliśmy jeszcze jeden powód, żeby znaleźć się w bezpiecznym miejscu. – W jego głosie pojawiło się ciepło. – Katya była w trzecim miesiącu ciąży. Byliśmy tacy podekscytowani.

Postanowiliśmy, że wyjedziemy osobno, żeby nie zwracać uwagi. Wsiadłem do pociągu z jedną walizką. Była znacznie cięższa, niż się to na pozór wydawało. Nie chciałem oddać jej bagażowym i niosłem sam. Wśród ubrań i butów były rodzinne pamiątki. Brylantowa biżuteria, złote posążki – przedmioty, które moglibyśmy spieniężyć. Wszyscy Rosjanie robili tak, gdy wyjeżdżali. Nie spodziewaliśmy się, że wrócimy. Oprócz walizki zabrałem przybory do malowania – sztalugi, farby. Udawałem, że jadę do Paryża na wystawę.

Mój plan się powiódł. W Paryżu czekałem na Katyę. Ona miała pojechać pociągiem na Krym i dołączyć do cesarzowej wdowy Marii, przebywającej w letnim pałacu w Jałcie. Inni nasi krewni już tam byli. Mieli popłynąć do Anglii na statku przysłanym przez króla. Obiecał uratować Marię. Gdyby nie była siostrą jego żony, nie sądzę, żeby się w to zaangażował.

Dowiedziałem się, że HMS Marlborough przypłynął do Jałty i zabrał na pokład wszystkich członków cesarskiej rodziny i wielu Rosjan uciekających przed bolszewikami. Odetchnąłem z ulgą. Wiedziałem, że Katya jest bezpieczna. Ale gdy statek przypłynął do portu i wszyscy pasażerowie wysiedli, jej tam nie było. Słałem telegramy. Pytałem. Lecz nadal nie miałem żadnych wieści. Przypuszczałem, że może przypłyynie do Anglii innym statkiem.

Czekałem w Paryżu z nadzieją na jakieś wiadomości. To było... straszne. Byłem bezradny.

W końcu dowiedziałem się, że cesarzowa wdowa przy pływa na pokładzie statku, który przybije do portu w Portsmouth. Pojechałem do Anglii, żeby być na miejscu. W porcie królowa Anglii czekała na siostrę, żeby ją przywitać. Mnóstwo Rosjan oczekiwało na przyjazd przyjaciół i członków rodziny. Minęło wiele godzin, zanim statek przypłynął do brzegu, a pasażerowie wysiedli. Na pokładzie były też zwierzęta, co mnie zdziwiło.

Kitty wyczuła, że Yuri zwalnia, dodając szczegóły, bo bał się tego, co miał teraz powiedzieć.

– Widać było, że statek jest pełen uciekinierów. Usiłowali zachować godność, ale mieli wielki bagaż, który był tak samo ciężki jak mój. Oni też nie chcieli korzystać z pomocy bagażowych. Czekałem przy trapie. Stałem tam, dopóki statku nie opuściła ostatnia osoba. Nie mogłem się ruszyć. Czułem, że jeżeli będę tam stał, ona może się pojawić, a jeżeli odejdę, wszystko będzie skończone.

Nagle poczułem, że ktoś szarpie mnie za rękaw płaszcza. Serce podskoczyło mi do gardła, gdy się odwróciłem. Ale to nie była moja Katya, lecz obca kobieta.

„Książę Yurievitch? – Rozpoznała mnie. – Jestem Alexandra Baronova”.

Chwyciłem ją za rękę.

„Szukam mojej żony. Nie wie pani, gdzie ona jest?”.

Wpatrywała się we mnie w milczeniu. Miałem ochotę chwycić ją za ramiona i wytrząsnąć jakieś słowa. W końcu kiwnęła głową i łzy spłynęły jej po twarzy. Moje całe ciało zamieniło się w sople lodu. Zaczęłem się trząść. Ktoś ją zawołał. Odprawiła ich. Teraz już łkała.

„Nie jestem w stanie tego panu powiedzieć”.

Chwyciłem się poręczy trapu. Wzięła głęboki oddech, zbierając siły. Gdy zaczęła mówić, nie patrzyła na mnie. Nie była w stanie

spojrzeć mi w twarz.

Jechały tym samym pociągiem na Krym. Nie znały się osobiście, lecz rozpoznała Katyę, tak jak poznała mnie. Wszyscy nas znali. Bywaliśmy na przedstawieniach baletowych, w teatrze, na salonach. Alexandra siedziała w tym samym przedziale co ona. Obie były ubrane w stare, proste suknie, jak inni uciekinierzy z pociągu, nie chcąc, żeby rozpoznano je jako przedstawicielki obalonej klasy. Tak bolszewicy nas nazywali. Pociąg był pełen czerwonoarmistów. Jeden z nich zauważył Katyę. Pochodził z jej rodzinnego majątku na Syberii. Z początku próbowała zaprzeczać, że to ona, ale ten człowiek powiedział, że pracował dla jej ojca, że głodował i był bity przez tego tyrana, co nie było prawdą.

Przez jakiś czas drwili z niej, dotykali i popychali. Inni pasażerowie bali się interweniować. Byli bolszewikami albo udawali, że nimi są ze względu na swoje bezpieczeństwo. Trudno ich za to winić.

Potem pociąg stanął w lesie. Była zima i ziemię pokrywał śnieg. Czerwonoarmiści kazali Katyi wysiąść z pociągu. Alexandra stała przy oknie i wszystko widziała i słyszała.

Głos Yuriego był schrypnięty z bólu, lecz mówił dalej.

– Kazali jej oddać klejnoty. Rozeszła się pogłoska, że gdy strzelano do rodziny cara, księżniczki nie zginęły od pierwszych strzałów, bo ochroniły je warstwy brylantów i złota wszytego w ubrania. Katya odpowiedziała, że nie ma brylantów. To była prawda. Uznaliśmy, że bezpieczniej będzie bez nich.

Yuri zakrył oczy ręką, jakby chciał ukryć się przed przerażającymi scenami.

– Żołnierze zaczęli szarpać na niej ubranie bagnetami, rozrywając spódnicę, bluzkę, aż części garderoby spadły na ziemię. Zaczęli szukać na śniegu brylantów. Alexandra powiedziała mi, że Katya po prostu stała tam prawie naga. Była silna i pełna wdzięku. Nie próbowała uciekać lub błagać

o ratunek. Żołnierze się wściekli, bo niczego nie znaleźli. Zabrali jej jedynie obrączkę. Zdarli z niej resztki garderoby i została tylko w butach. Znałem te buty. Czarne, z guziczkami z boku. Zostały wykonane dla niej na miarę przez szewca z Moskwy.

Yuri mówił teraz coraz wolniej. Każde słowo jakby wyszarpywał z serca.

– Żołnierz, który znał ją od dziecka, przebił jej brzuch bagnetem. Potem wbił go w serce. Upadła na śnieg, mocno krwawiąc. Musiała umrzeć prawie natychmiast. Nawet nie miała czasu pomyśleć o naszym dziecku, którego życie dobiegło końca. Pomyśleć o mnie, gdy umierała...

Dopiero wtedy Alexandra spojrzała na mnie. Twarz miała mokrą od łez i spuchnięte wargi.

„Potem żołnierze wsiedli do pociągu i ruszyliśmy. To wszystko, co mogę powiedzieć”.

Yuri siedział ze spuszczoną głową. Gdzieś w głębi zegar wybił godzinę. Na dworze miauknął kot.

Kitty zamarła z przerażenia. Żadne słowa pociechy nie były tu możliwe. Wyobraziła sobie, jak siedzą tak bez ruchu przez wiele godzin. Zaskoczył ją głos Yuriego, kiedy znowu zaczął mówić.

– Nie byłem w stanie wrócić do Paryża. Pojechałem jedynie po swoje rzeczy. Spędziliśmy w tym mieście tyle miłych chwil i było tam mnóstwo innych artystów, również emigrantów, których znaleźliśmy. Przeprowadziłem się do Anglii. Wiedziałem, że Katya chciałaby, żebym ponownie się ożenił, miał dzieci, był szczęśliwy... Ale ja postanowiłem, że poświęcę się sztuce. I robię to od dwudziestu czterech lat i trzech miesięcy. Tyle się nauczyłem. Myślę, że byłaby dumna ze mnie. – Zamilkł na chwilę. – Mam tylko jedno marzenie – odezwał się ponownie. – By ją jeszcze raz namalować, mając takie umiejętności jak teraz – dodał niemal szeptem.

– Namaluj ją teraz – odezwała się Kitty równie cicho. – Namaluj mnie.

Podeszła do starego szezlonga, na którym tyle razy leżała, ubrana w egzotyczne stroje Katyi lub własne. Rozpięła guziki sukienki i zsunęła ją z ramion. Materiał opadł na podłogę z cichym westchnieniem. Dostrzegła wyraz oczu Yuriego – wizję spódnicy lądującej na śniegu.

Zdjęła halkę, rozpięła biustonosz i zsunęła majtki. To wszystko, co miała na sobie w tę letnią pogodę. Była naga.

Do środka wpadły promienie słońca i spowiły jej ciało złocistym blaskiem. Włosy okryły jej ramiona niczym ciemna mantylka.

– Jak mam się położyć? – spytała.

Yuri wpatrywał się w nią. W jego oczach dostrzegła płonący niczym ogień wielki głód. Czekala, by do niej podszedł i ułożył w odpowiedniej pozycji. Ale on pokręcił głową.

– Nie. Stój.

Podszedł do sztalugi i zdjął z niej płótno. W jego miejsce postawił deskę kreślarską z przyczepionymi do niej kartonami. Wziął ołówek i sprawdził kciukiem koniec. Przez cały czas nie spuszczał wzroku ze stojącej przed nim kobiety.

– Patrz prosto na mnie.

Rysował szybko, pokrywając rysunkami karton za kartonem, pracując jak nawiedzony, jakby brakowało mu czasu, zadanie ogromne, a jego znaczenie niezmierzone. Mięśnie rąk, ramion i piersi drgały i się zaciskały. To były jedynie szkice. Czas na malowanie przyjdzie później, na długie, samotne zmaganie się, gdy jej już tu nie będzie. Nie mieli już takich możliwości jak kiedyś, gdy Kitty mogła pozować całymi dniami.

Pracownię wypełniał szmer ołówka sunącego po papierze. Gdy Yuri podnosił wzrok znad kartonu, patrzył Kitty prosto w oczy. Ciepło słońca harmonizowało z ciepłem jego wzroku. Było w nim również coś ostrzejszego, bardziej przenikliwego. Kitty zrozumiała, że nie jest to walka o formę i kolor. Była teraz Katyą. A on spoglądał w jej duszę.

Łzy zaczęły mu płynąć po policzkach. Ocierał je wierzchem dłoni, zostawiając szare smugi, i dalej rysował. Kitty trzymała wysoko głowę i brodę, unosząc lekko ramiona, jakby zapowiadała początek gestu, którego nigdy nie wykona. Nie wahała się, chociaż oczy zaszyły jej łzami.

By stać nieruchomo, musiała się wewnętrznie rozluźnić. Nie zdawała sobie sprawy z upływających minut – może zmieniły się w godzinę, może dwie.

W końcu Yuri odłożył ołówek. Potem opadł na kolana, jakby zużył całą swoją energię, i ukrył twarz w dłoniach. Kitty podbiegła do niego. Nie była już jego modelką, jego utraconą żoną. Była po prostu sobą.

Przyciągnęła jego głowę do piersi i otoczyła ramionami nagie ramiona malarza – ciało przy ciele, pot i łzy zmieszane ze sobą. Pragnęła, by poczuł jej miłość do niego, wdzięczność za wszystko, co jej ofiarował jako dziewczynie bez domu, jako artystce, jako przyjaciółce.

Trzymała go płaczącego. Teraz on był dzieckiem, a ona dawała mu siłę. Łzy przestały płynąć i rozpacz zmieniła się w ukojenie. W końcu się odsunął. Sprawiał wrażenie odmienionego. Jego wyraz twarzy przypominał kogoś Kitty. Zrozumiała dopiero po chwili. Przed jej oczyma stanęła fotografia w srebrnych ramkach. Wyglądał teraz młodziej, jakby zrzucił z siebie ciężar. Jakby od teraz łatwiej mu było się śmiać.

\*

Przez następne cztery miesiące Kitty nie była w stanie wyrwać się ze Skellingthorpe. Theo kończyły się rezerwy hartu ducha i odwagi. Jak zmęczone dziecko był poirytowany i skłonny do kłótni. Wyglądał mizernie. Gdy udało mu się dostać przepustkę, każdą chwilę pragnął spędzać z żoną. A nawet gdy nie mógł z nią

być, pragnął wiedzieć, że jest niedaleko.

Kitty często myślała o Yurim, żałując, że nie może go odwiedzić po tej ostatniej wizycie. Wysłała mu dwa listy i pocztówkę z widokiem Walii, z olśniewającym niebem, które wyglądało jak namalowane, nie sfotografowane. Nie martwiła się tym, że jej nie odpisał. Rzadko brał pióro do ręki, jeżeli zamiast tego mógł malować. Gdy gospodyni wezwała ją pewnego ranka do telefonu, jej pierwszą myślą był Theo, potem teściowie. Mężczyzna po drugiej stronie okazał się notariuszem nazwiskiem Underwood. Gdy upewnił się co do tożsamości Kitty, oznajmił bez ogródek:

– Moim smutnym obowiązkiem jest poinformować panią, że księżę Yurievitch nie żyje. Odebrał sobie życie.

Kitty miała wrażenie, że zmienia się w sopel lodu. Trzymała słuchawkę przy uchu sztywnymi palcami. Underwood pozwolił jej ochłonąć, potem mówił dalej. Zdarzyło się to tydzień temu, wyjaśnił. Księżę już został pochowany – bez ceremonii pogrzebowej, na miejscowym cmentarzu – zgodnie z jego ostatnią wolą. Specjalnie zaznaczył, żeby jego przyjaciółkę, Kitty Hamilton, powiadomiono dopiero po wszystkim. Instrukcje spisał w liście wysłanym do kancelarii Underwooda, nadanym wieczorem ostatniego dnia jego życia.

Słyszając to, Kitty gwałtownie wciągnęła powietrze. Zalała ją fala gniewu, która zmiotła szok i niedowierzanie. Rozumiała, że Yuri nie chciał pogrzebu – nie wierzył w takie rzeczy, mając świadomość nieuchronności – ale przecież mogła uczestniczyć w pochówku. Czy nie miała prawa się pożegnać?

Wspomnienia, które nagle napłynęły, wywołały w niej tak ostry ból, że nie była w stanie oddychać. Ostatni raz, gdy się widzieli, wszystko było takie wspaniałe, takie żywe i bogate. Czy już wtedy wiedział, całując ją przy furtce ogrodowej na pożegnanie, że nigdy więcej się nie zobaczą? Właśnie wtedy, gdy tak bardzo zbliżyli się do siebie?



Rozmowa trwała. Pan Underwood zaproponował, żeby Kitty spotkała się z nim w domku najszybciej, jak to możliwe. Pewne sprawy, które należało wyjaśnić, wymagały jej obecności. Do tego czasu radził zachować dyskrecję. Jego klient zwolnił swoją gospodynię kilka tygodni temu i policja zgodziła się zachować milczenie. Dobrze, że dom stał na uboczu. Według informacji notariusza nikt w miasteczku o niczym nie wiedział.

– Chciałbym, żeby tak pozostało – stwierdził Underwood – dopóki się nie spotkamy.

Kitty odparła, że się zgadza, jednocześnie starając się zrozumieć to, co zostało jej powiedziane. Po kilku chwilach, jak jej się zdawało, umówili się na spotkanie następnego dnia. Potem pan Underwood wyraził swoje kondolencje, przeprosił za pośpiech i się rozłączył.

Kitty wróciła do pokoju, ignorując ciekawski wzrok gospodyni. Potykając się o stół i krzesła, klapnęła na łóżko. Theo był w bazie i szykował się do lotu. Pomyślała, żeby do niego zadzwonić, ale bała się, że to go zdekoncentruje. Leżała więc na łóżku oniemiała i patrzyła w sufit.

Gdy w końcu dotarło do niej, co się stało, w jej głowie zaczęły gromadzić się pytania. Szczególnie jedno domagało się odpowiedzi. Dlaczego teraz? Po tym wszystkim, co przeszedł. Nie była zaskoczona tym, jak zakończył życie – zawsze sam o wszystkim decydował, również o tym, kiedy odejść. Ale po tym, jak opowiedział historię Katyi – zaledwie kilka miesięcy temu – sprawiał wrażenie, że ciężar spadł mu z serca, że poczuł się wreszcie wolny.

Odwróciła się na bok i podkuliła nogi, pragnąc znowu być małą. Zbyt mała, żeby być widziana. Zbyt mała, żeby można ją było głęboko zranić.

Nazajutrz zostawiła wiadomość dla Theo na wypadek, gdyby odwołano nalot bombowy i udało mu się wrócić do domu. Wsiadła w pociąg, potem w autobus i na koniec dotarła do miasteczka w pobliżu Hamilton Hall.

Gdy dotarła na mały plac ze starą pompą i korytem, poszła prosto do domku, w którym mieszkał Yuri. Bała się, że jeżeli zwolni, jeżeli będzie się ociążać, nie znajdzie w sobie dość siły, że tam dotrzeć.

Nigdzie nie było widać pana Underwooda. Weszła do ogrodu i usiadła na ławce. Patrzyła na okna z opuszczonymi roletami i brudnymi szybami. Potem spojrzała w głąb ogrodu, gdzie zrobili sobie z Yurim ostatni piknik. Trudno było sobie teraz wyobrazić środek lata, ciepłe powietrze, kwiaty w pełnym rozkwicie.

Obecnie jesień zmieniała się w zimę. Drzewa miały nagie gałęzie, ziemia zrobiła się czarna i wilgotna od gnijących liści. Słońce stało wysoko na niebie, ale w cieniu pod krzewami hortensji leżał lód. Kitty czuła przenikający przez palto chłód od wilgotnej ogrodowej ławki. Spojrzała na zegarek. Pan Underwood spóźniał się dopiero pięć minut, lecz ona miała wrażenie, jakby tkwiła tu od wieków. Czekala na niego z niecierpliwością, ale jednocześnie bała się stanąć twarzą w twarz z pustką wewnątrz domku. Utkwiła wzrok w czerwonych drzwiach ze szczeliną na listy. Nie mogła uwierzyć, że gdyby zapukała, Yuri by jej nie otworzył.

Nie będzie Yuriego. Już nigdy go nie będzie.

Ta myśl niespokojnie wirowała jej w głowie. Smutek i szok wciąż były zbyt świeże.

Zaskrzypiała ogrodowa furka. Kitty odwróciła się i zobaczyła korpulentną postać w szarym garniturze, z teczką w ręku. Wstała i sięgnęła po torebkę i parasol. Pan Underwood powitał ją skinieniem głowy, idąc ścieżką. W jego krokach wyczuwało się powagę. Ciekawe, jak często bywał w takiej sytuacji jak ta, pomyślała, gdy musiał jednocześnie radzić sobie z emocjami,

dobrym wychowaniem i wymogami prawa.

Gdy się przedstawił, zauważyła, że wypatruje w jej twarzy oznak cierpienia. Na pewno z ulgą przyjął brak łez.

– Jest pani gotowa wejść do środka? – Popatrzył na nią surowym wzrokiem, jak nauczyciel, który daje znak uczniowi, że oczekuje od niego właściwego zachowania.

Powitał ich znajomy zapach terpentyny. Notariusz ruszył korytarzem.

– Przyjechałem, jak tylko otworzyłem list – powiedział przez ramię. – Zastąłem tu policjantów i wyjaśniłem im, co wiem. – Urwał i odchrząknął. – Nie wiem, czy fakt, że tego... czynu nie dokonano pod wpływem impulsu, czyni go lepszym czy gorszym.

Gdy weszli do kuchni, usłyszeli szuranie za boazerią. Myszy już się zbiegły. Underwood położył klucze na stole, jakby był tu nowym lokatorem. Kitty omiotła wzrokiem pomieszczenie. Skoro Yuri załatwił, żeby Underwood ją tutaj ściągnął, była pewna, że czeka tu na nią list – ostatnia wiadomość. Nie w kuchni, gdzie znalazłaby go policja i inni obcy, lecz gdzieś, gdzie tylko ona mogłaby go znaleźć. Zajrzała do puszek na herbatę, do pudełka na drobiazgi, a nawet do czaszki z plastiku, stojącej na obramowaniu kominka. Niczego nie było.

Underwoodowi spieszyło się, żeby zaprowadzić ją do pokoju, w którym Yuri urządził pracownię. Gdy w końcu mógł to zrobić, poprowadził ją korytarzem, lecz zatrzymał się przed wejściem i odwrócił w stronę Kitty.

– Nic stąd nie usunięto z wyjątkiem... zmarłego. – Spojrzał przez ramię na belkę w suficie z wbitym w nią żelaznym hakiem. Lina została odcięta. – Zgodnie z jego wolą wszystko zostawił pani – oznajmił. – Niestety nie ma tego dużo. Tylko to, co w domu, stare meble, ubrania.

Ciekawe, gdzie Yuri ukrył brylanty, pomyślała. A może jego bogactwo w końcu się wyczerpało. Nie dbała o to. Odziedziczyła

już pieniądze i wiele dzięki nim zyskała – dzięki nim poznała męża – dlatego gniew i samotność zostawiła w Wattle Creek.

– I ten obraz – dodał Underwood.

Minęła notariusza i weszła do pracowni. W miejscu szeszlona stał wielki prostokąt okryty perkalem i oparty o ścianę.

– Tak go znalazłem – wyjaśnił Underwood. – Nie odsłoniłem go. Mój klient był w tym względzie bardzo stanowczy. Pani jako pierwsza miała go zobaczyć. – W jego głosie dało się słyszeć zniecierpliwienie zmieszane z wyrozumiałością. Najwyraźniej uważał, że Yuri przesadził z żądaniami, lecz jako notariusz znał swoje obowiązki. – Wygląda na to, że obraz musi być bardzo ważny. Dlatego chciałem utrzymać całą sprawę w sekrecie, że się tak wyrażę, aż do pani przyjazdu.

Kitty ściągnęła osłonę. Gdy spadła jej pod nogi, cofnęła się i zachwiała przed siłą wyrazu, jaka emanowała z płótna.

W lesie stała naga młoda kobieta. Pod stopami miała śnieg, w tle czarne, bezlistne drzewa. Otaczali ją żołnierze z szyderczymi uśmiechami tworzącymi białe szramy w ponurych, pociemniałych twarzach. W ręku trzymali karabiny z bagnetami. Ich ostre końce błyszcząły.

Kobieta wyglądała na spokojną i silną, lecz rozdzierająco bezradną.

– O mój Boże – wydyszał Underwood. – To pani. – Odwrócił się do Kitty, poruszając bezdźwięcznie ustami, jakby usiłował coś powiedzieć.

Kitty kiwnęła głową, nie odrywając oczu od obrazu. Było to nadzwyczajne dzieło sztuki. Yuri przelał w obraz swój ból i swoją miłość. Wykorzystał cały talent i wszystkie umiejętności. W tym płótnie było jakieś oniryczne piękno, któremu towarzyszył nastrój grozy i przerażenia. Widz nie miał wątpliwości, że ta niewinna, młoda kobieta za chwilę zostanie zabita.

Kitty utkwiała wzrok w delikatnie zaokrąglonym nagim brzuchu. Ten szczegół mogła zauważyć jedynie osoba, która

wiedziała, co on oznacza. Kitty poczuła, że serce jej się ściska.

Odzyskawszy równowagę po pierwszym wstrząsie, zaczęła analizować technikę wykonania. Wielkie płótno składało się z sześciu mniejszych połączonych w jedno. Obeszła obraz od tyłu. Na każdym z nich był wypisany tytuł. *Dziewczyna w szarawarach. Czekażąca dziewczyna. Śpiąca dziewczyna.* Yuri namalował obraz na portretach, do których mu pozowała, i połączył je. Przeszła na przód i zaczęła się przyglądać materiałom i sposobowi wykonania. Yuri użył różnych rodzajów farb: jedne były gęste i grudkowate, znalezione pewnie w ogrodowej szopie. Duże partie wykonano techniką olejną, ale czarny las – kreozotem lub jakąś substancją smolistą, bo wciąż się lepiał.

Underwood podszedł i stanął między nią a obrazem. W jego oczach malował się szok.

– Gdyby była pani moją klientką, doradziłbym natychmiast spalić ten obraz – powiedział zdecydowanym tonem i wskazał na kominek.

Popatrzyła na niego z oburzeniem, po czym potrząsnęła głową.

– To jest najlepszy obraz, jaki Yuri namalował.

Notariusz ją zignorował.

– Wiem, kim pani jest – odparł. – Sprawdziłem. Jeżeli ktoś go zobaczy, pomyśla, że przyszła lady Hamilton pozowała nago. Chociaż będzie pani zaprzeczała, nikt pani nie uwierzy.

– Ale ja pozowałam nago.

Gdy wypowiedziała te słowa, wiedziała, że nawet gdyby mówiła godzinami, on i tak nie zrozumie, dlaczego to zrobiła i co to znaczyło dla Yuriego i dla niej.

Underwood usiłował zapanować nad twarzą.

– Proszę nie zapominać, że Hamiltonowie nie należą do bohemy artystycznej, która uznałaby takie zachowanie za możliwe do przyjęcia. Są szacownymi ludźmi, skoligaconymi z rodziną królewską.

Kitty nic na to nie powiedziała. Underwood przeszedł wzdłuż obrazu do miejsca, w którym stali w kręgu żołnierze i wskazał ich palcem.

– Może pani tego nie zauważyła, pani Hamilton, ale chociaż większość tych żołnierzy jest Rosjanami, to nie wszyscy. Proszę spojrzeć na ich mundury – dodał, podnosząc głos. – To nazistowski lotnik. A tamten to brytyjski żołnierz piechoty.

Kitty przyjrzała się uważniej obrazowi. Notariusz miał rację. W przyćmionym świetle, które otaczało żołnierzy – mógł być to ciemny dym wydobywający się z ich dusz – nie było widać wyraźnie ich mundurów. Ale gdy przyjrzało im się uważniej, dostrzegano się odznaki, naszywki i czapki o różnych kształtach.

– To jest pacyfistyczna deklaracja – wyrzucił z siebie Underwood.

– Bo Yuri był pacyfistą – odpowiedziała. – Nie popierał wojny.

– Możliwe. Ale pani nie jest pacyfistką, ale żoną pilota Królewskich Sił Powietrznych. – Zaczął chodzić w tę i z powrotem. – Rozumiem, że Yurievitch był pani przyjacielem. Czułaby się pani źle, niszcząc jego ostatni obraz. Nie jestem artystą, ale... ma potężną moc. I jest bardzo realistyczny. Być może to wielkie dzieło. Ale musi pani je ukryć. Mogę to załatwić. Ten obraz nie może ujrzeć światła dziennego.

Kitty zagryzła wargę. Nie dało się zaprzeczyć słowom Underwooda. Ale to nie była tylko forma listu pożegnania Yuriego do niej – którą wybrał, nie chcąc, by uczestniczyła w pogrzebie. To był jego ostatni przekaz dla świata. I hołd oddany Katyi. Ten obraz musiał się znaleźć na wystawie. I to szybko. Właśnie teraz wszyscy powinni go zobaczyć, bo zwracał uwagę na to, że przez tych, którzy angażowali się w wojnę, cierpieli niewinni ludzie.

– Proszę się jeszcze zastanowić – przekonywał Underwood. – Pomyśleć o mężu i jego rodzinie. Pomyśleć o swojej pozycji w tym miasteczku i w tym kraju.

– Dziękuję za pańską troskę – odparła. – Zrozumiałam, co pan chciał powiedzieć.

Underwood popatrzył na nią w milczeniu, czekając na jej decyzję.

– Każę usunąć ten obraz – oświadczyła. – Jutro już go tu nie będzie.

Zauważyła, jak waży jej słowa, zastanawiając się, czy to znaczy, że płótno trafi do piwnicy czy do galerii. Sęk w tym, że sama tego nie wiedziała.

Uśmiechnął się zachęcająco.

– Rozsądna dziewczyna – powiedział zdecydowanym tonem. – Zostawię pani klucze.

\*

Wojna przeciągnęła się o dwa kolejne lata, prawie trzy. Wreszcie ogłoszono zwycięstwo państw sprzymierzonych i cały kraj zaczął świętować nadejście czasu pokoju. Wkrótce potem Kitty i Theo wraz z rodzicami przenieśli się do Hamilton Hall i w ich życie wkradła się rutyna. Pewnego wiosennego ranka rodzina zebrała się w salonie na herbatę i babeczki, jak zwykle każdego dnia z wyjątkiem niedziel punktualnie o jedenastej.

Stuk filiżanki o spodeczek włączył się w rytm trzech tykających zegarów, które wróciły na swoje honorowe miejsca na kredensie i kominku. Kitty zacisnęła palce na filiżance. Te drobne niedobrane dźwięki działały jej na nerwy. Przeniosła wzrok z admirała przeglądającego poranną gazetę na Theo czytającego grube, oprawne w skórę tomiszczce ze złotymi literami na grzbiecie, które wziął z pałacowej biblioteki. Siwa głowa Louisy pochylała się nad tamborkiem do haftowania. Nazywała to czarną robotą. Wzór, który wyszywała czarną nitką, kontrastował z kremowym podkładem. Kitty przywodziło to na

myśl sieć tkaną przez pająka. Jej własna robótka – kawałek materiału z próbkami haftu – leżała na kolanach. Zauważyła, że w kilku miejscach marszczy się, bo zbyt mocno ściągnęła nitkę.

– Czy to nie miłe? – odezwała się Louisa wesołym głosem. – Nareszcie wszystko jest jak dawniej. Nikt by nie pomyślał, że kilka miesięcy temu było tu pełno obcych ludzi.

Kitty uśmiechnęła się uprzejmie, tak jak obaj panowie, chociaż każdy wiedział, że to optymistyczna, lecz nieprawdziwa uwaga. Wszystkie pokoje zostały przemeblowane. Rodzinne antyki wróciły na stare miejsca, obrazy na ściany, piękna porcelana na ladę do wydawania posiłków, a z rzeźb zdjęto osłony. Ale obecność żołnierzy, którzy kwaterowali tu tyle lat, pozostawiła tysiące wgnieceń i rys w drewnie, nieusuwalne rysy na podłogach i graffiti wydrapane na tynku.

– Przynajmniej ogród wygląda lepiej – wtrącił Theo. – Ten nowy ogrodnik zna się na rzeczy.

– Brakuje mi starego Freddie’ego – stwierdził admirał.

Louisa prychnęła. Czowała się zdradzona przez dawnego ogrodnika, który oszedł razem z wojskiem. Była to jedna z wielu ucieczek, z którymi pani na Hamilton Hall musiała się pogodzić. W czasie wojny straciła ponad połowę dawnego personelu. Wielu mężczyzn zaciągnęło się do wojska – co Louisa czuła się w obowiązku zaaprobować. Niektórzy zginęli lub zostali ranni. Inni jak Freddie skorzystali z nowych możliwości, jakie pojawiły się w czasie wojny lub wraz z nastaniem pokoju. Louisa miała kłopoty ze skompletowaniem służby domowej. Musiała sobie radzić z mniejszą liczbą służących, a ci zaczęli się buntować. Mieszanie się klas w czasie wojny – wspólne mieszkanie i praca – niwelowało dawne podziały. Nastąpiła era egalitaryzmu, za którym opowiadał się Theo w czasach studenckich. Admirał narzekał, że akcenty straciły wyrazistość, że nie można już powiedzieć, skąd ktoś pochodzi. Oczywiście miał na myśli klasy pracujące. Przedstawiciele jego stanu mówili wzorcową angielszczyzną



z tym samym akcentem.

Kitty stłumiła westchnienie i sięgnęła po igłę. Tęskniła za dawnym życiem w Skellingthorpe, chociaż zdawała sobie sprawę, że patrzy na te czasy przez różowe okulary. Bywały straszne okresy, ale zdarzały się też chwile radości i ekscytacji. Nieoczekiwany wspólny posiłek, skradziony pocałunek, każdy nowy poranek spędzony wspólnie jak mąż z żoną wydawały się wyjątkowe. Groźba niebezpieczeństwa i śmierci sprawiała, że każda chwila liczyła się podwójnie. Cudownie było czuć, że są już bezpieczni i nie muszą obawiać się nadejścia druzgocącego telegramu. Jednocześnie miało się wrażenie, że człowiek utknął w czyścicu, między tym, co się skończyło, a tym, co dopiero miało nadejść. Nie tylko ona tak czuła czy Hamiltonowie. W całym kraju panował nastrój szarości i niepewności.

Spojrzała na Theo. Wyglądał na zmęczonego. Wciąż nawiedzały go koszmary, które zaczęły się po awaryjnym lądowaniu zakończonym śmiercią jego załogi. Od zakończenia wojny jeszcze się nasiliły, pojawiając się kilka nocy z rzędu. Krzyczał we śnie, wołając drugiego pilota Bobby'ego, który spłonął żywcem. Koszmar trzymał Theo w żelaznym uścisku. Potrzeba było dużo czasu, żeby go dobudzić, a gdy zdołała to zrobić, nie był w stanie mówić o tym, co widział. Wydawało się, że horror nocy wysysał z niego życie. W jego oczach pojawił się wyraz udręki i zaczęły mu drżeć ręce. W czasie gdy nadal odbywał regularne loty, lekarz RAF-u zdiagnozował u niego nerwicę frontową i wkrótce po Dniu Zwycięstwa Theo został zdemobilizowany. Siły powietrzne z radością się go pozbyły: wyczerpany fizycznie i psychicznie, nie był nawet w stanie wykonywać prostej papierkowej roboty. Z ochotą wrócił więc do domu jak dziecko zwolnione ze szkoły.

Kitty marzyła, żeby zamieszkać z Theo w letnim domku, ale nigdy nie poruszyła tego tematu. Wiedziała, że miejscem Theo jest pałac. Zresztą on sam tego pragnął. Ich sypialnia była niegdyś

pokojem jego babki, a salon – jego dawną salą lekcyjną. Widziała, że czuł się bezpiecznie w pomieszczeniach wypełnionych wspomnieniami z dzieciństwa. Nie mogła mu tego odmówić po tym, przez co przeszedł.

Przeniosła wzrok na Louise. Teściowa siedziała nieruchomo. Pracowała jedynie ręką, w której trzymała igłę. Spódnica i żakiet były świeżo wyprasowane, ale wyraźnie zniszczone. Obnosiła się z łatami i cerami, jakby były to ordery, dając tym dowód, że wie, jak być oszczędną. Lady Hamilton pragnęła dać przykład mieszkańcom miasteczka z równą determinacją, z jaką przywracała dawny sposób życia w pałacu. Cozienne rytuały przytłaczały Kitty. Czuła, że się dusi. Nie miała odwagi zastanawiać się nad tym, jak zdoła przyzwycząić się do życia, które ją czekało. Wyobraziła sobie matkę, jak patrzy na nią i kręci głową, zaciskając usta. Czego mogła oczekiwać dziewczyna z Wattle Creek, wychodząc za Anglika z wyższych sfer? Kitty policzyła ściegi końcem igły, żeby znaleźć właściwe miejsce na rozpoczęcie kolejnego rzędu krzyżyków. Czego ona się spodziewała? Nigdy nie zadała sobie tego pytania. Była zakochana i nic poza tym się nie liczyło. A podczas wojny nikt nie myślał o przyszłości. Przecież mógł nie dożyć następnego dnia. Oświadczyzny Theo były raczej rozpaczliwe niż romantyczne. Pragnął się z nią ożenić, zanim zginie. Wygrał w loterii dodatkową przepustkę i nieoczekiwanie pojawił się w domu. Wojna trwała zaledwie od roku, a ona nadal mieszkała z Yurim w letnim domku. Obierała ziemniaki, a włosy miała związane szalem.

– Wyglądasz jak chłopka – stwierdził Theo. Potem wziął ją w ramiona i przycisnął jej twarz do munduru. – Wyjdź za mnie, Kitty – powiedział stłumionym głosem. – Proszę.

Odsunęła się zaskoczona.

– Musimy się pobrać. Potrzebuję cię blisko siebie. Musisz się przeprowadzić do Skellingthorpe. – Po tych słowach załamał się

i zaczął łkać. Powiedział, że stracił dwóch ludzi podczas ostatniego zadania bojowego. Dobrych przyjaciół. Wcześniej stracił jeszcze jednego. Odbywali nocne loty nad Niemcami i ponieśli ogromne straty. – Chcę umrzeć jako twój mąż.

Kitty zdjęła szal i otarła nim Theo łzy. Gdy spojrział jej w oczy, usiłowała znaleźć w nich błysk ożywienia, który tak kochała. Ale zagłuszył je ponury, czarny strach.

– Kitty, masz farbę na spódnicy. – Ostry głos teściowej wyrwał ją z zamyślenia. Idąc za spojrzeniem Louisy, zobaczyła plamę farby olejnej na brzegu prostej spódnicy.

– Pruski błękit – odpowiedziała. – Wywabię ją.

Starsza pani pokręciła lekko głową, jakby młoda kobieta mówiła w obcym języku, po czym wróciła do haftowania.

Po skończonej herbacie Kitty będzie mogła wreszcie wyrwać się stąd. Jeszcze tylko piętnaście minut i stanie przed sztalugą.

Możliwość urzędzenia sobie pracowni w letnim domku była nagrodą za dobre zachowanie. Louisa przedstawiła swoje warunki podczas krótkiej rozmowy. Z tonu jej głosu można było wywnioskować, że dobrze wie, jak trzymać synową w garści. Kitty nie wolno spędzać zbyt dużo czasu w pracowni. Nie wolno jej przyjmować gości (miało to jej przeszkodzić w zapraszaniu modelek do pozowania). I nie trzeba dodawać, że nie wolno jej mazać pędzlem po ścianach. Ten ostatni zakaz był jedyną wzmianką świadczącą o tym, że pamięta, kto przedtem korzystał z tej pracowni. Nazwiska Yuriego nie wymawiało się w Hamilton Hall. Popełnił samobójstwo, co było, szczerze mówiąc, niewybaczalne, szczególnie gdy tylu dzielnych ludzi poświęciło życie w obronie kraju. I jeszcze ten problem w Paryżu z jednym z jego obrazów. Admirał czytał o nim w „Timesie”. Kitty była w salonie, gdy powiedział o tym artykule.

– Oburzające! Gdybym wiedział, że jest pacyfistą, nigdy bym mu nie pozwolił przyciemniać naszych drzwi.

Kitty wbiła wzrok w podłogę, nie mogąc oddychać. Ale admirał

nie dodał niczego więcej. Przewrócił stronę i wstrząsnął gazetą, jakby chciał się pozbyć jakiegokolwiek ogniwa łączącego go z tym zdrajcą. Zamknęła z ulgą oczy. Jean-Jacques, marszand Yuriego, miał rację. Paryż był daleko. A na świecie nadal trwała wojna.

Kitty wróciła do domku następnego dnia po spotkaniu z notariuszem. Spacerowała po obdrapanych pokojach, zastanawiając się, co robić. Żałowała, że w ogóle zobaczyła ten obraz. Poważnie zastanawiała się nad radą notariusza, czy nie spalić go w ogrodzie. Alternatywa – wystawić płótno – była nie do pomyślenia. Zniszczyłaby sobie opinię. I nie tylko o to chodzi. Zraniłaby całą rodzinę Hamiltonów, a przede wszystkim Theo. Po tym, przez co przeszedł.. Ale ciągle wracała do obrazu. Gdy stawała przed nim, ulegając sile jego wyrazu, niczego nie żałowała. Czowała dumę, że była Katyą. Czowała podziw i miłość do Yuriego jako mężczyzny, malarza i przede wszystkim jako męża.

Było jej niedobrze, gdy wykrecała numer telefonu do marszanda. Zrobiła to szybko, żeby się nie rozmyślić.

Gdy Jean-Jacques otrzymał obraz, natychmiast napisał do Kitty, dbając o to, żeby list dotarł na pocztę oddaloną o dwa miasteczka od Hamilton Hall. Przeczytała w nim, tak jak się spodziewała, że to wielkie dzieło, najlepsze, jakie Yuri namalował. Rozpoznał Kitty na płótnie. Poznali się jeszcze przed letnim domkiem. Widział jej portrety namalowane przez Yuriego. Zapewnił ją, że rozumie, jak delikatna jest sprawa. Obiecał zaczekać na właściwy moment i miejsce i wtedy wystawić płótno.

W sierpniu następnego roku Paryż został wyzwolony spod niemieckiej okupacji. Niedługo potem otwarto Salon Jesienny, na którym swoje prace wystawił najbardziej wpływowy artysta, jakim był Picasso. Jean-Jacques uznał, że to najlepsze miejsce na zaprezentowanie światu ostatniego obrazu Yuriego. Salon był prestiżową wystawą. Był znany z prezentowania odważnych i nowatorskich dzieł. I był daleko od Londynu.

Obraz Yuriego wywołał sensację. Jean-Jacques przekazał Kitty więcej informacji niż „The Times”. Okazało się, że brytyjski minister spraw zagranicznych domagał się usunięcia płótna z wystawy. Jego zdaniem było absolutnie nie do przyjęcia umieszczenie obok siebie nazistów, rosyjskich rewolucjonistów i Anglików – ta sugestia, że wszyscy ponoszą winę za zbrodnie wojenne. Niedopuszczalne jest rzucanie takiego oszczerstwa na Brytyjskie Siły Zbrojne. Salon odmówił, a krzyk wokół obrazu wywołał tylko większe zainteresowanie publiczności wystawą.

Nikt jednak nie połączył Kitty z kontrowersyjnym dziełem. Mniejsze portrety Kitty namalowane przez Yuriego nie zostały wystawione, nie było więc powodu, by ktoś o niej pomyślał. Poza tym krytycy francuscy zidentyfikowali postać kobiecą jako żonę artysty, którą przed laty zabito. Po wystawie Jean-Jacques sprzedał obraz kolekcjonerowi z Ameryki. Agent odrzucił inne oferty, ale uznał, że ten człowiek będzie odpowiednim właścicielem jako znany samotnik, który nikomu nie pokazywał swojej kolekcji.

Wyglądało na to, że wszystko dobrze się ułożyło. Świat zobaczył obraz Yuriego. Spełnił swoje zadanie, a teraz trafi na ustronne ranczo po drugiej stronie Atlantyku.

Jean-Jacques poinformował Kitty, że kolekcjoner zapłacił za niego wysoką cenę i po potrąceniu prowizji pozostała suma należała do niej. Kitty poprosiła go, żeby przesłał jej część anonimowo rodzinie w Wattle Creek. Wystarczyło na traktor i sporo jeszcze zostało. Zapewne domyślili się, że pieniądze są od niej, ale zastanawiali się, jak doszła do takiego bogactwa. Kusilo ją, żeby poprosić marszanda, aby wyjaśnił im wszystko w liście. Pomyślała jednak, że będzie to wyglądało, jakby chciała kupić ich przebaczenie. Wyobrażała sobie, jak ojciec cieszy się z traktora, który zapala bez konieczności ciągnięcia, i z nowego pikapa. Zastanawiała się też, co mogli dostać bracia. Może i matka coś sobie kupiła. Z żalem myślała, że nigdy tego nie zobaczy. Ale

przynajmniej mogła pocieszyć się tym, że oddała wszystko, co im przed laty zabrała, a nawet więcej.

Teraz gdy siedziała ze spuszczoną głową nad haftem, posłusznie pracując igłą, zastanawiała się nad tym, co namaluje na świeżo naciągniętych płótnach, które czekały w pracowni. Bez Yuriego trudno jej było się zdecydować. Wahając się między wyborem martwej natury i autoportretu, usłyszała, jak Louisa wstaje i zaczyna zbierać filiżanki i talerzyki, żeby nalać herbaty. Delikatne stukanie porcelany, regularne i znajome, wyznaczało każdy dzień. Kitty nie musiała podnosić wzroku, żeby wiedzieć, jak Louisa przechyli imbryk, potem przeniesie sitko z jednej filiżanki do drugiej, a w każdej będzie odrobina mleka. Dziś ten rytuał zakłóciły ciężkie kroki w hallu.

– Ten nowy lokaj chodzi jak słoń – stwierdziła z niechęcią Louisa.

Drzwi się otworzyły – za szeroko i za szybko – i wszedł służący.

– Coś dla pani – oznajmił. Odmówił noszenia białych rękawiczek, ale nauczył się spuszczać uprzejmie wzrok, gdy wyciągał wypolerowaną tacę z leżącą na niej kremową kopertą.

Kitty domyśliła się, że to zaproszenie. Gdy tylko nastał jaki taki porządek, lord i lady Hamilton zaczęli wysyłać zaproszenia na papierze listowym z rodowym herbem do przyjaciół na bale, wieczorki czy polowania. Zgodnie z zasadami otrzymywali podobne. Wysyłanie i otrzymywanie, pakowanie i rozpakowywanie dawało poczucie, że wszystko wraca do dawnego porządku.

Louisa wzięła kopertę i spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Nie ma herbu. – Przyjęła od lokaja nóż do papieru, po czym rozcięła kopertę. – Członkowie zarządu Muzeum Wiktorii i Alberta mają przyjemność zaprosić... – Twarz jej się rozjaśniła. – Zostaliśmy zaproszeni na wystawę. Dla uczczenia pokoju. Wspaniale. Naprawdę wszystko wraca do normy.

Kitty zacisnęła palce na robótce. Serce zaczęło jej bić jak

szalone.

– Czy musimy chodzić na takie wydarzenia? – spytał admirał z irytacją i zakłopotaniem. Przez ostatnie lata znacznie się postarzał i teraz czuł potrzebę uzgadniania wszystkiego z żoną.

– Oczywiście, że tak. Jesteśmy mecenasami muzeum. Zawsze nas zapraszają. – Louisa podniosła wzrok. – Zrobimy sobie wycieczkę. Pójdziemy na lunch do Savoya. Całą rodziną.

Kitty pochyliła głowę, kryjąc twarz za długimi włosami. Mówiła sobie, że zaproszenie na wystawę nic nie znaczy. Louisa powiedziała przecież, że są mecenasami muzeum. To nie miało nic wspólnego z Yurim. Mimo to do jej serca wkradł się lodowaty strach. Czy w końcu dojdzie do katastrofy? Gdy już zaczęła myśleć, że jest bezpieczna?

Kiedy Louisa podawała zaproszenie, Kitty zerwała się z miejsca.

– Źle się czuję.

Teściowa zmarszczyła brwi nad okularami.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Jesteś chora czy cię mdli?

Te dwa słowa znaczyły w tej rodzinie zupełnie co innego, ale Kitty nie potrafiła powiedzieć, co je różni.

– Nie wiem. Jedno i drugie.

Oczy Louisy się rozjaśniły.

– Czyżbyś była nareszcie w ciąży?

Kitty w milczeniu pokręciła głową i podeszła spokojnie do drzwi. W hallu przyspieszyła kroku. Ale nie miała dokąd pójść. Nie mogła nic zrobić. Zastanawiała się, jak skontaktować się z Jeanem-Jakiem, żeby zapytać go, czy to możliwe, aby obraz trafił do Londynu. Ale nie było szans, żeby w tym domu odbyć prywatną rozmowę telefoniczną. Wyprawa do miasteczka też nie wchodziła w grę. Będzie musiała coś wymyślić.

Na górze zaciągnęła zasłony, jakby półmrok zapewniał jej bezpieczeństwo. Leżała na łóżku, sztywna niczym lalka. Przeanalizowała w myślach fakty. Prace Yuriego cieszyły się

w Londynie uznaniem. Na zbiorczej wystawie mógł się znaleźć jeden z jego obrazów wypożyczony z któregoś muzeum lub od prywatnego kolekcjonera lubiącego się chwalić swoimi zbiorami. Portret Katyi był w rękach samotnika z dalekiej Ameryki. Nie miała się czego obawiać. Ale miała złe przeczucie, którego logika nie była w stanie wyeliminować.

W końcu rozległo się pukanie do drzwi i przy łóżku stanął Theo.

– Biedactwo. Zejdiesz na lunch? – Kitty obróciła się na bok i zwinęła w kłębek. – Mama rozmawiała przez telefon. Okazuje się, że zaproszenie wysłano prawie dwa tygodnie temu, a lokaj dopiero teraz je zauważył.

Uniosła głowę.

– Ominęła ich wystawa?

– Otwarcie jest jutro. Wszyscy tam będą. Możliwe, że królowa też. – Theo podszedł do okna i rozsunął zasłony, wpuszczając ostre słońce. – Rozchmurz się, kochanie. Mama już się zastanawia, w co się ubrać. Może i ty zrobisz to samo.

\*

Brylantowy naszyjnik był ciężki i zimny. Kitty kątem oka dostrzegła błysk brylantowej broszy przypiętej do kaszmirowej etoli. Zapięcie naszyjnika wplątało się we włosy, a gdy poruszyła głową, wkręciły się jeszcze mocniej. Mogła je uwolnić, ale igielki bólu odwracały uwagę od ucisku w żołądku.

Obok niej w daimlerze siedział Theo w swoim najlepszym garniturze. Pachniał wodą kolońską Imperial Vetyver, której używali wszyscy Hamiltonowie. Tłumił ją intensywny zapach perfum jego matki. Ją też zdobiły brylanty na szyi i elegancka szara suknia. Admirał miał na sobie galowy mundur marynarki, chociaż jego syn odmówił włożenia munduru wojskowego.



Jechali do Londynu na uroczyste otwarcie wystawy w Muzeum Wiktorii i Alberta.

Kreacja Kitty została wybrana poprzedniego dnia. Gdy tylko wyszła z sypialni, zaczepiła ją Lizzie – wierna pokojówka Louisy – i zaprowadziła do ubieralni pani. Kitty przystanęła przed drzwiami i wzięła głęboki oddech.

– Proszę wchodzić – ponagliła ją Lizzie, dając znak ręką.

Szeroki szezlong z wygiętymi nogami zakończonymi lwimi pazurami założony był sukniami, żakietami i kapeluszami. Z sejfu wyjęto rodzinne klejnoty. Na toaletce stały otwarte pudełka wyłożone aksamitem.

– Pomyślałam, że może zechcesz coś z tego pożyczyć – powiedziała Louisa, uśmiechając się zachęcająco, lecz w jej głosie brzmiał oskarżycielski ton. Kitty powinna mieć własne rodzinne klejnoty. Powinna być dobrze urodzoną młodą kobietą z wyczuciem stylu i jakości. Ale Louisa postanowiła być łaskawa i wykorzystać najlepiej to, co miała. Jakaś część Kitty niemal jej współczuła. Theo był jej jedynym dzieckiem i wybierając żonę, pozbawił matkę szansy na pozyskanie córki, którą będzie lubiła i rozumiała.

Teściowa wzięła do ręki brylantowy naszyjnik i uniosła go do światła.

– Był w rodzinie mojej matki od pokoleń.

Podąa go Kitty.

– Powinnaś go włożyć, razem z kolczykami.

– Och, nie mogłabym. To zbyt... – Powstrzymała się, by nie powiedzieć „drogie”, bo zabrzmiałoby wulgarnie – wyjątkowe.

– Nonsens. – Louisa zapaliła się do pomysłu. – Chcę, żebyś wyglądała wspaniale. Nie masz przyzwoitej sukienki ani garsonki. Ja też, jeśli o to chodzi. Ale wszyscy jadą na tym samym wózku dzięki kartkom. Przerabiamy starą garderobę i podszywamy brzegi, aż w końcu nie będziemy mogli na nią patrzeć. – Westchnęła. – Na szczęście wkrótce nadejdą lepsze

czasy. Jednak na razie – znowu się uśmiechnęła – musimy zadowolić się tym, co mamy, prawda?

Kitty zauważyła, że Louisa kilka razy użyła liczby mnogiej. Zupełnie jakby żywiła do żony syna jakieś cieplejsze uczucia. Kitty żałowała, że nie może zapomnieć o obrazie i cieszyć się uwagą, za jaką zawsze tęskniła. Starła się odsunąć od siebie troski i pozwolić się ubrać Louisie. Dzięki temu przynajmniej będzie wiedziała, że dobrze wygląda.

Teraz siedząc w samochodzie, wciąż miała przed oczyma swoje odbicie w lustrze w sypialni. Ubrana była w suknię z czerwonego brokatu od Normana Hartnella, którą Louisa miała kiedyś na sobie podczas wizyty w pałacu Buckingham, i szal w kolorze gołębim na ramionach. Jego łagodna barwa łagodziła blask brylantów na szyi i w uszach. Całości dopełniały czarne rękawiczki i kapelusz z szerokim rondem włożony pod kątem, przykrywający włosy, które Lizzie z wprawą zebrała na czubku głowy. Z odpowiednio dobraną szminką w kolorze zbliżonym do czerwieni alizarynowej i mnóstwem tuszu na rzęsach wyglądała zachwycająco, prawie pięknie. Robiła wrażenie eleganckiej i bogatej, jak żona, którą Theo powinien wybrać.

Gdy tego ranka zeszła głównymi schodami, w jego oczach pojawiła się duma. To wspomnienie wywołało w niej falę sprzecznych uczuć. Wzrósł w niej strach, że stanie się coś, co wszystko zniszczy. Jednocześnie przydawało jej pewności siebie, pomagając wznieść się ponad obsesyjny strach przed wystawą.

– Nie rób takiej zmartwionej miny, kochanie – powiedział Theo i ścisnął ją za rękę. – Wyglądasz cudownie.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Ty też.

Daimler zajechał płynnie przed hotel Savoy. Hamiltonowie mieli zjeść w nim lunch – przy ich stoliku – a potem pójść na wystawę. Kitty omiotła wzrokiem fasadę ze stojącą przed wejściem złotą rzeźbą rzymskiego żołnierza. To tutaj zaczęła się jej przygoda w Londynie. Zastanawiała się, czy któryś

z odźwiernych ją rozpozna, ale wiedziała oczywiście, że nie. Od czasu, gdy tu gościła, przez drzwi przeszły setki ludzi. A dzisiaj, w brylantowym naszyjniku i sukni od Hartnella, w niczym nie przypominała australijskiej dziewczyny z wybałuszonymi oczyma, którą kiedyś była. Gdy wysiadła z samochodu, uniosła wysoko głowę i uśmiechnęła się lekko niczym dama.

\*

Hamiltonowie przybyli do muzeum późnym popołudniem. Theo szedł między rodzicami, oferując pomocne ramię przy wchodzeniu po schodach. Kitty szła za nimi ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Szeroki hall prowadzący z foyer do głównej galerii był wypełniony ludźmi. Kitty szła teraz obok Theo, trzymając go pod ramię. Zapach cygar mieszał się z drogimi perfumami i lakierem do włosów. Mężczyźni wyglądali elegancko w garniturach lub mundurach, ale przyćmiewały ich kreacje dam. Widać było, że dołożyły wszelkich starań, by dobrze wyglądać. Wiele z nich miało na sobie wspaniałe, lecz staroświeckie kreacje – jak Louisa i Kitty. Jedynie nielicznym udało się zdobyć modne suknie i olśniewające nowe kapelusze. Wszyscy pchali się do przodu. Unosił się szum podekscytowanych rozmów. Kitty z trudem przełknęła ślinę. Nigdy jeszcze nie była na otwarciu wystawy. Czy ten niecierpliwy tłum był czymś normalnym?

Kitty zwolniła kroku, gdy podeszli do drzwi galerii. Dostrzegła z przodu znajomą postać – korpulentną, łysą, machającą z ożywieniem rękoma.

– To ten facet, który przyjeżdżał do księcia – stwierdził Theo, wskazując na Jeana-Jacques’a.

– O tak – odparła słabym głosem Kitty.

– Zdziwiłbym się, gdyby pokazali jeden z jego obrazów po tym

zamieszaniu w Paryżu. Ale jego wcześniejsze prace nadal cieszą się powodzeniem.

Omiatając wzrokiem tłum, Kitty napotkała wzrok Jeana-Jacques'a. Oczy mu się rozszerzyły i przez sekundę wyglądał na przerażonego. Potem jednak lekko wzruszył ramionami.

Kitty wstrzymała oddech. Jego przekaz był jasny. Obraz jest na wystawie. Nie wiedziała, dlaczego i jak tu trafił, ale nie dbała o to. Szła dalej. Dzięki Bogu, że Louisa tak ją ubrała, bo teraz w niczym nie przypominała rosyjskiej dziewczyny Yuriego. Może nikt nie zauważy jej podobieństwa do Katyi.

Gdy dotarli do drzwi, Jean-Jacques zniknął. Natychmiast okazało się, że zainteresowanie widzów ogniskuje się w końcu galerii. Kitty spojrzała ponad głowami ludzi stojących przed wiszącym tam wielkim obrazem. Zobaczyła ciemnofioletowe niebo, płynące chmury, sztywne gałęzie drzew w lesie. Szła dalej, ale w głowie trwała gorączkowa gonitwa myśli. Mogła po prostu uciec, wycofać się, zbiec ze schodów na ulicę. Ale co powie Theo? Że znowu źle się czuje? Może lepiej tu zostać, bo przynajmniej dowie się, co będą mówili o obrazie.

W następnej chwili stała już przed obrazem. Po jednej stronie miała Louise i admirała, po drugiej Theo. Nie padły żadne słowa. Ale oni wiedzieli.

Wszyscy wiedzieli.

Świadomość tego faktu uderzyła Kitty z siłą, która odebrała jej dech. Sposób, w jaki ludzie przenosili wzrok z niej na Katyę, nie pozostawiał wątpliwości. Zrozumieli, że kobieta z obrazu i ta stojąca teraz wśród nich, to ta sama osoba. Żona syna admirała lorda Hamiltona.

Nagle wokół Kitty zrobiło się pusto. Theo z rodzicami i inni goście się cofnęli. Po sali przetoczył się pomruk zaskoczenia. Dalej stojący zaczęli przekazywać sobie nowinę. Kątem oka zauważyła, że Louisa zbiera się w sobie i unosi brodę. Theo również się wyprostował, przycisnął rękę do boku

i unieruchomił dłoń Kitty w swojej. Admirał był wyraźnie zakłopotany, lecz przyjął podobną postawę jak żona.

Kitty miała ochotę spuścić głowę, ale zrobiła to samo co oni. Usiłowała sprawiać wrażenie – tak jak trójka Hamiltonów – że cokolwiek się stanie, cokolwiek zostanie powiedziane i zrobione, nie dotknie jej. Wybuchnie skandal, ale rodzina nie przyjmie tego do wiadomości. Wykorzystując cały autorytet szlacheckiego urodzenia, zdołają wznieść się ponad kryzys.

– My, Hamiltonowie, byliśmy przy podpisywaniu Wielkiej Karty Swobód w tysiąc dwieście piętnastym roku – oznajmiła kiedyś Louisa. – Jesteśmy bardzo starą rodziną.

„My, Hamiltonowie” oznaczało, że Kitty też. Wiedziała, że bez względu na to, co się stanie, rodzina będzie trwać przy jej boku. Nie mieli wyboru. Admirał lubił się przechwalać, że w jego rodzinie żadne małżeństwo nie zostało rozwiązane, czy to przez unieważnienie czy rozwód. Nie zważając na to, co Kitty zrobiła, są z nią związani, a ona z nimi.

Nie miała odwagi spojrzeć Theo w oczy. Czowała emanujące z niego wściekłość, niedowierzanie i ból. Była jak dziecko, które z jakichś niewyjaśnionych powodów zniszczyło zamek z piasku budowany z miłością i starannością. Ale ja musiałam to zrobić, przypomniała sobie. Dla Yuriego. Dla Katyi.

Nagle jakiś mężczyzna zwrócił się do niej z pytaniem.

– Pani Hamilton, czy może pani potwierdzić, że pozowała do tego obrazu?

Kitty kiwnęła głową, lecz nic nie powiedziała. Theo zadrżał, lecz nie zmienił wyrazu twarzy.

Po chwili stanęło przed nią dwóch innych mężczyzn. Jeden miał w ręku notes i pióro.

- Co panią łączyło ze zmarłym rosyjskim księciem?
- Czy miała pani pozwolenie męża?
- Co pani sądzi o sporze wokół tego obrazu?
- Czy jest pani pacyfistką?

Kitty jedynie patrzyła ponad głowami reporterów czy krytyków, czy kim tam byli. Zdała sobie sprawę z tego, że jest obserwowana przez setki par oczu. Porównywano ją z Katyą, oceniano jej piersi, biodra, nogi. Stojący w pobliżu młody mężczyzna uśmiechnął się do niej znacząco.

Rozpaczliwie rozglądała się za Jeanem-Jakiem, lecz nigdzie go nie widziała. Nawet gdyby był, pewnie nie próbowałby interweniować. Teraz już nie wiedziała, co o nim sądzić.

Usłyszała, że ktoś zadaje pytanie Theo.

– Czy popiera pan poglądy żony na temat wojny?

Gdy odmówił odpowiedzi, zwrócono się z pytaniem do jego ojca.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, chłopcze – powtarzał admirał.

Kitty trudno było ocenić, czy naprawdę nie wie, co powiedzieć – jak ostatnio mu się zdarzało – czy to jest jego sposób na unikanie odpowiedzi.

W końcu Theo zrobił krok w przód i uniósł rękę, niczym tarczę przed atakiem dziennikarzy.

– Nasz adwokat wyda w tej sprawie oświadczenie – oznajmił piskliwym, spiętym głosem. – To wszystko. – Kiwnął matce głową. – Idziemy.

Rodzina jak jeden mąż odwróciła się od obrazu. W tym momencie błysnął flesz. Kitty zauważyła męczyzną trzymającego wielki czarny aparat. Napotkał jej wzrok. W jego oczach dostrzegła ekscytację zmieszaną z litością.

W hallu wchodzący goście nie wiedzieli o scenie, która się właśnie rozegrała, i rozstępowali się, robiąc miejsce wychodzącym, nie przerywając swobodnych rozmów. Przez krótki czas nic się nie działo. Cała czwórka wyszła na zewnątrz. Kitty potknęła się, bo obcas utknął jej w pękniętym chodniku. Theo nie ruszył się, żeby jej pomóc.

Daimlera nie było, bo kierowcy powiedziano, żeby wrócił za

godzinę. Theo zostawił mu wiadomość u portiera i wezwał taksówkę. Gdy zajechała, wsiedli do niej.

Przez kilka minut panowała napięta cisza. Potem Theo obrócił się w stronę Kitty.

– Jak mogłaś?

Kitty patrzyła na niego w milczeniu. Nawet gdyby miała całe wieki, nie zdołałaby mu wytłumaczyć powodów swojej decyzji.

– Widziałaś już ten obraz?

Kiwnęła głową.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam, że tu jest? – spytała Louisa lodowatym tonem. – Pozwoliłaś, żebyśmy poszli tam jak owce na rzeź.

– Nie wiedziałam, że tam będzie. Bałam się, że może być, ale nie miałam pewności.

Przynajmniej ta odpowiedź była prosta i szczerą.

Dziwny, zduszony śmiech wyrwał się z gardła Theo.

– I naprawdę rozebrałaś się i pozowałaś temu starcowi?

Kitty skuliła się pod wpływem jego tonu, bo czynił nieprzyzwoitym to, co zdarzyło się między nią a Yurim. Ale odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Tak.

Przełknął ślinę. Jabłko Adama zadrgało mu na szyi.

– Oczywiście żałujesz tego... To był straszny błąd.

Kitty westchnęła, lecz nic nie powiedziała. Nie chciała go okłamywać.

Spojrzenie Theo było bardziej przerażające niż gniew. Wyrażało całkowite niezrozumienie, jakby właśnie uświadomił sobie, że jego żona należy do zupełnie innego gatunku niż on.

– Przepraszam, że cię zraniłam. – Brzmiało to nieprzekonująco i tandetnie, ale naprawdę tak myślała. Nie zasługiwał na to. Jego rodzice też.

– Przestańcie gadać – zażądała Louisa. – Po prostu wróćmy do domu.

Słowo „dom” zabrzmiało w jej ustach jak forteca. Gdy taksówka wyjechała z Londynu, Kitty wyobraziła sobie, jak wielka brama z kutego żelaza prowadząca do posiadłości otwiera się, po czym zamyka przed światem. Scenariusz powtórzy się, gdy zajadą przed podwójne frontowe drzwi z metalowymi ćwiekami i kołatkami w kształcie lwich głów. W pałacu otworzą się i zamkną kolejne drzwi, a ciekawska służba zostanie przegnana. Kratownice zostaną rozsunięte, grube zasłony zaciągnięte. Dopiero wtedy rodzina zamknięta w swym prywatnym świecie zadecyduje o jej losie.

Niemal z niecierpliwością czekała na karę. Teraz gdy stało się najgorsze, dręczący ją od kilku lat niepokój wreszcie się skończy. Była gotowa zapłacić każdą cenę, jaką jej wyznaczą. Wiedziała, że splamiła honor rodziny. I była to nieodwracalna szkoda. Zrobi wszystko, by odzyskać zaufanie i miłość Theo. Jednocześnie miała świadomość, że gdyby mogła wrócić do tamtych zdarzeń, postąpiłaby tak samo. Gdy szare ulice Londynu ustąpiły miejsca wyspom zieleni, a potem pojawiła się otwarta przestrzeń, jej myśli wirowały jak szalone. Żałowała, ale zrobiłaby to jeszcze raz. Żałowała, że zraniła Theo, ale nie żałowała, że pocieszyła Yuriego. Znalazła się w labiryncie bez wyjścia, po którym już zawsze będzie krążyć. Nie będzie końca i nadziei na ucieczkę.



# Rozdział piętnasty

Kitty wpatrywała się w obwisłe gałęzie drzewa pieprzowego. Kępki różowych nasion między pierzastymi liśćmi pachniały ostro i aromatycznie. Spojrzała przez nie na błękitne niebo. Minęło południe i słońce rozpoczęło powolną wędrówkę ku horyzontowi. Długo już siedziała z ojcem Remim na ławce. Pewnie za chwilę zaczną dzwonić dzwony na popołudniową modlitwę.

Otarła łzy wierzchem dłoni. Czowała, że ma zaczerwienione oczy. Nie umiała opowiedzieć swojej historii beznamyślnym tonem, jak planowała. Ale ojcu Remiemu to nie przeszkadzało. Gdy nie była w stanie wydusić słowa, radził, żeby się nie spieszyła. Nie czekało na niego żadne ważne zajęcie.

Opowiedziała mu wszystko – uczciwie, niczego nie ukrywając. Gdy skończyła relację o tym, co zdarzyło się w Anglii, zaczęła mówić o tym, jak tamte sprawy nadal wpływają na jej obecne życie. Opowiedziała o umowie, jaką zawarła z mężem, że zrezygnuje z bycia artystką, aby nikt nie kojarzył jej z dawną Kitty, i by nic nie przypominało mu tego, co zrobiła. Przyznała również, że wciąż utrzymuje się napięcie między nią a mężem, i zwierzyła się z obaw o charakter związku łączącego Theo z Charlotte.

Podczas jej długiej opowieści ojciec Remi nie okazywał żadnej reakcji. Po prostu siedział i słuchał.

Gdy dotarła do końca, poczuła ogromną ulgę. Dobrze było otwarcie z kimś o tym porozmawiać. Ale jednocześnie miała teraz jeszcze większy mętlik w głowie niż przedtem. Przez te dwa

lata, jakie minęły od tamtego okropnego wydarzenia na wystawie, zupełnie zapomniała, co czuła, gdy podjęła decyzję, żeby pozować Yuriemu jako Katya, a potem wysłać obraz Jeanowi-Jacques'owi. Pozostawała pod wpływem opinii innych osób: że to, co zrobiła, było nieprzyzwoite, kłamliwe, nieodpowiedzialne, nawet okrutne. Teraz jednak, gdy opowiedziała całą historię, przeżywając ją na nowo, zrozumiała, jaką drogą podążyła. Gdy uświadomiła sobie, jak została potraktowana przez Theo i jego rodziców, ogarnął ją gniew. Jednocześnie pomyślała o cierpieniu Theo, którego stała się przyczyną i które wywołało rozdźwięk między nimi. Zacisnęła dłonie na kolanach, nie mogąc sobie poradzić z natłokiem myśli i uczuć.

Zerkając z ukosa na ojca Remiego, nie potrafiła powiedzieć, co on o niej sądzi teraz, gdy już wie o wszystkim. Siedział z pochyloną głową i dłońmi splecionymi na kolanach. Gdy w końcu spojrzał w górę, z zaskoczeniem zauważyła łzy w jego oczach. Ale głos, gdy się odezwał, miał spokojny i zdecydowany.

– Wypowiadałaś się, Kitty. Potem w naszym Kościele ksiądz udziela rozgrzeszenia, zapewniając, że Bóg w swojej łaskawości wybacza grzechy. – Akcent ojca Remiego stał się wyraźniejszy, gdy wypowiadał te słowa, jakby powstały dawno temu, w jakimś odległym seminarium. – Następnie zadaje pokutę. To może być przeczytanie fragmentu Pisma Świętego, odmówienie modlitwy. Czasami odbycie pielgrzymki lub specjalne ofiary.

Kitty kiwnęła głową. Nie miała nic przeciwko pokucie, byleby pomogła jej odkreślić przeszłość.

– W tym wypadku – ciągnął ojciec Remi – nie mogę udzielić ci rozgrzeszenia.

Popatrzyła na niego z konsternacją, po czym spuściła wzrok na ziemię. Zobaczyła przebiegającego żuka, zostawiającego ślady na piasku. Zacisnęła dłonie na ławce. Ksiądz potraktował ją łagodnie, ale nie pozostawił wątpliwości, co o niej myśli. Usłyszała, jak

bierze oddech i z przerażeniem myślała o tym, co teraz nastąpi.

– Gdy myślę o tym, co zrobiłaś dla swojego przyjaciela Yuriego i co to dla niego musiało znaczyć, oraz o konsekwencjach, jakie musiałaś ponieść, czuję... – Urwał, bo nie mógł mówić z nadmiaru emocji. Znowu wciągnął powietrze w płuca i zaczął od początku.  
– Widzę przed sobą dzielną, młodą kobietę, która poświęciła siebie w akcie miłosierdzia. Nie widzę tu grzechu, Kitty. Widzę jedynie miłość.

Kitty uniosła wzrok.

– Ale zawiodłam Theo. Ukryłam to przed nim. Ja...

Ojciec Remi uniósł dłoń.

– Czasami nie ma prostego wyboru między tym, co właściwe, a co złe. Dobry uczynek może również wyrządzić krzywdę.

– Więc co mam zrobić? – spytała, czując ogarniającą ją rozpacz. Jej małżeństwo, jej życie było w rozsypce. Współczucie ojca Remiego nie rozwiąże jej problemów.

– To proste – odpowiedział. – Odsunąć na bok wszystko to, co inni o tobie sądzą i czego od ciebie chcą. Bądź w zgodzie z tym, kim naprawdę jesteś. – Przyłożył rękę do znaku wyszytego na habicie. – Serce zna prawdę. Poszukaj w swoim sercu.

Machnął ręką w stronę ogrodu, jakby to tam, a nie w rozmowie i własnych przemyśleniach, powinna szukać rozwiązania. Kitty uśmiechnęła się z trudem, kryjąc rozczarowanie. Skoro nie mogła liczyć na trochę tej tajemniczej magii, o której wspominał Tesfa, to miała nadzieję na jakąś praktyczną radę.

Zakonnik wziął koszyk i podał go Kitty.

– Zbierzmy trochę owoców. – Uśmiechnął się do niej. – A potem pokażę ci naszą grotę.

\*

Ścieżka wyłożona płaskimi kamieniami biegła między dwoma krzewami oleandra obsypanymi różowymi kwiatami. Kitty pochyliła głowę, żeby ominąć ostre czubki liści. Wyładowany kosz uderzył ją w kolano, gdy usiłowała dotrzymać kroku szybko idącemu ojcu Remiemu.

Patrząc ponad jego ramieniem, zobaczyła coś, co wyglądało jak domek dla lalek, tylko że ten zbudowany był z zaprawy cementowej i miał dwuspadowy dach. Z przodu znajdowało się łukowato zakończone wejście bez drzwi. Miejsce to nazwane przez ojca Remiego grotą najwidoczniej miało być dostępne przez cały czas. Grube i solidne ściany nie współgrały z małymi wymiarami budowli. Nie pomalowano ich, jedynie wokół wejścia widniał pas białej farby, zapewne po to, by przyciągnąć uwagę przechodzących i zaprosić ich do wejścia.

Ojciec Remi usunął się, żeby Kitty mogła podejść do grotty.

– Skończyliśmy budować ją ponad rok temu, na pamiątkę wyjątkowego cudu, który miał tu miejsce. – Powiedział to tak, jakby cuda były czymś najzwyczajszym na świecie i zdarzały się każdego dnia, jak przylot ptaków na wiosnę lub nadejście nocy po dniu. – Dziewczynka odzyskała wzrok. Miała sześć lat i nie widziała od urodzenia. Ojciec nie chciał jej do nas przyprowadzić. Ale zmarł na malarię i wtedy matka postanowiła przyjść. Ojciec Paulo modlił się za nią i została uleczona. Teraz może nawet czytać.

– Była kompletnie ślepa? – W głosie Kitty zabrzmiał sceptycyzm.

Ojciec Remi kiwnął głową.

– Prowadziła ją starsza siostra. To był najwspanialszy z cudów, jakie widzieliśmy.

Kitty uniosła brwi.

– A więc były inne?

Kiwnął głową.

– Ojciec Paulo ma dar.

– Chce ksiądz powiedzieć, że modli się za ludzi, a oni zostają uzdrowieni?

– To nie jest takie proste. Chciałbym, żeby było. Wtedy nie musielibyśmy zajmować się chorymi, a siostry zrezygnowałyby z porad na temat żywienia i higieny. Wszyscy byliby zdrowi. Ale prawdziwy cud to największa z tajemnic. To coś, czego nasz umysł myślący logicznie nie jest w stanie zrozumieć. Dla Afrykanów to żadna zagadka. Ich umysły nie są skażone racjonalizmem. Dlatego tak lubię tu pracować. Mogę się tu tyle nauczyć.

Zaprosił Kitty do wnętrza groty.

– Miejscowi uznali, że grootę należy zbudować tu, gdzie stała dziewczynka, gdy odzyskała wzrok. Martwili się, że ojciec Paulo jest stary i wkrótce opuści ten świat. Chcieli, żeby coś po nim zostało. I ja też.

Mówiąc to, spojrział w stronę małego cmentarza, na którym zostali pochowani poprzedni mieszkańcy misji. Kitty współczuła mu. Domyślała się, że gdy straci towarzysza, przyślą na jego miejsce nowego księdza, wybranego w dalekim Rzymie – kogoś zupełnie obcego, przeniesionego tutaj jak pionek szachowy w grze. Cieszyła się, że ojcu Remiemu pozostanie jeszcze bliski sąsiad. Myśl o Taylorze wywołała na jej twarzy lekki uśmiech. Gdy ostatni raz go widziała, wykonywał jakiś taniec z jednym z więziennych strażników. Gili usiłował ich naśladować, co wywołało rozbawienie widzów. Wciąż pamiętała śmiech, jaki rozszedł się wśród setki więźniów, który połączył wszystkich – osadzonych i strażników, poważnych przestępców i drobnych złodziejasków, pełnych nadziei i zrozpaczonych, słabych i silnych.

Kitty odstawiła koszyk i weszła do groty. Panował tu chłód i pachniało cementem i kamieniem. Gdy wzrok przyzwyczał się do półmroku, zobaczyła dwa drewniane klęczniki przed ołtarzem umieszczonym przed tylną ścianą. Ołtarz przykryty był obrusem

w biało-zielone pasy i lekko zakurzony czerwonym pyłem. Na drewnianym blacie stał lichtarz i dwa ceramiczne wazony. Ale nie widać było śladów wosku i zwiędłych kwiatów, nawet jednego płątka. Najwyraźniej w grocie nic się jeszcze nie odbywało.

– Jak widzisz, nie ma rzeźby – powiedział ojciec Remi, wskazując na pusty cokół za ołtarzem. – Wciąż na nią czekamy.

– Zamówiliście ją we Włoszech?

– Te z kościoła stamtąd pochodzą. Ale są bardzo drogie, a my potrzebujemy pieniędzy na inne wydatki. – Stał przy Kitty i spojrzał jej w oczy. – Ale nie to jest głównym powodem, dla którego nie możemy zakończyć budowy. Chcemy, żeby stanęło tu coś innego. Chcielibyśmy mieć tu rzeźbę dziecka, afrykańskiego dziecka. Więc oczywiście nie możemy jej sprowadzić z Włoch. – Popatrzył w zamyśleniu na puste miejsce za ołtarzem, jakby już sobie ją wyobrażał. Potem zwrócił się do Kitty: – Powinniśmy zrobić tę rzeźbę na miejscu, a pozować powinno któreś z tutejszych dzieci.

Kitty spojrzała na niego w milczeniu. Nie potrafiła powiedzieć, czy ta myśl przyszła mu do głowy w tej chwili czy też tylko tak udawał. Pomimo to dreszcz ekscytacji przebiegł jej po plecach. Czowała już glinę pod palcami i formującą się postać dziecka – duża głowa, patykowane ręce, okrągły brzusek... Serce szybciej jej zabiło. Zaraz jednak pokręciła głową.

– Nie mogę tego zrobić. Już nie jestem artystką.

– Ależ jesteś. Dzieci pokazały mi figurkę Gilego, którą zrobiłaś. Przypuszczałem, że jesteś wykwalifikowaną artystką. A teraz znam twoją historię. – Ujął Kitty za ramiona i zmusił do popatrzenia mu w twarz. – Nie możesz się wyprzeć tej części siebie. Nikt nie ma prawa prosić cię o to.

Kitty wolno kiwnęła głową. Czowała się podekscytowana i onieśmielona. Bała się, co jego słowa mogą oznaczać, wiedziała jednak, że są prawdziwe.

\*

– Rozwiązaniem są słoneczniki – oznajmił Theo. – Wyratują nas z kłopotu. – Chodził po salonie ze szklanką w ręku. – Podobno w Australii rosną jak chwasty. Minister do spraw żywności ma kilka projektów, które tam się sprawdziły. – Urwał, wypił łyk whisky i się roześmiał. – Wykorzystamy je tutaj na wielką skalę, tak jak orzeszki ziemne. A wszystko przez papugę.

Kitty uśmiechnęła się niepewnie. Rozumiała jego zadowolenie z tego, że jest nadzieja na uratowanie reputacji projektu orzeszkowego. Nasiona słonecznika można przerobić na margarynę równie łatwo jak fistaszki. A myśl o plantacjach pełnych słoneczników była podbudowująca. Ale Kitty wyczuła zdenerwowanie w głosie Theo. Poruszał się zbyt szybko, oczy mocno mu błyszczały. Nie miała pewności, czy nie pił przed powrotem do domu i czy jego swobodne zachowanie nie było udawane.

– Jakiś facet z Ministerstwa do spraw Żywności odwiedził Queensland – ciągnął Theo – i trafił do domu jednego z australijskich urzędników. Była tam papuga w klatce. Australijczyk powiedział, że ptaszysko ciągle pluje ziarnami słonecznika przez kraty. I gdziekolwiek spadły, tam kiełkowały. – Ponownie się zaśmiał. – Wygląda na to, że są znacznie lepsze od fistaszków.

– A czy łatwiej je uprawiać?

Nigdy nie słyszała, żeby ktoś uprawiał słoneczniki (na pewno nie w okolicy Wattle Creek), ale nie dlatego spytała. Chciała sformułować sensowne pytanie, takie, które postawiłaby Charlotte. Może skoro Theo zaczął poważnie rozmawiać z kobietą o pracy, to nowe podejście obejmie również Kitty.

– Z pewnością, ale nie musisz wszystkiego wiedzieć. – Podszedł do barku i nalał sobie następną porcję whisky. Gabriel teraz opuszczał salon po przygotowaniu pierwszej kolejki. Theo wypił

spory łyk, po czym uniósł szklankę w toaście. – Mam dla ciebie dobre nowiny.

Kitty uśmiechała się lekko, starając się ukryć niepokój na myśl o tym, co może usłyszeć.

– Twoje dni niewolniczej pracy w tej katolickiej misji są policzone. Cieszysz się?

Kitty wbiła w niego wzrok.

– Co masz na myśli?

– Richard i Diana wyjeżdżają na urlop w końcu stycznia. Nie będziesz już jej musiała matkować.

Zastanawiała się, jak ma na to zareagować. Wiedziała już, że Diana z mężem wybierają się w podróż do Anglii. To był dla nich wielki krok. Spotkanie z rodziną i przyjaciółmi przypomni im o śmierci syna, ale chcieli to zrobić, aby pogodzić się z przeszłością. Cieszyła się, że jadą. Ale nie przyszło jej do głowy, że bez Diany straci okazję do bywania w misji.

– Mam pełnić obowiązki naczelnego dyrektora – oznajmił Theo.

– Gratuluję – odpowiedziała cicho.

– Gdy wrócą, nie widzę powodu, żebyś dalej zajmowała się tą pracą charytatywną – ciągnął Theo. – Bardzo pomogłaś Dianie, ale wystarczy. – Autorytatywny ton jego głosu wskazywał na to, że już wszedł w rolę Richarda. – Jeśli po powrocie zechce tam jeździć, może to robić sama.

– Och, bardzo chętnie będę dalej pomagała – odparła, siląc się na lekki ton. – Bardzo mi się to spodobało.

Theo spojrział na nią ostro, po czym machnął ręką lekceważąco.

– Wkrótce nie będziesz miała na to czasu. Będziesz pierwszą *memsahib* w Kongarze. To twoja szansa, żeby się wykazać.

Kitty obracała szklankę w rękach. Usiłowała znaleźć odpowiednie słowa i zdania na podanie powodów, dlaczego nadal musi jeździć do misji. Ale żadne nie pasowały. W końcu po prostu



otworzyła usta i zaczęła.

– Chcę tam jeździć, Theo. Muszę pokonać parę spraw.

Oczy Theo rozszerzyły się ze zdziwienia. Jej słowa graniczyły z otwartym buntem.

– A cóż to za sprawy? – spytał z szyderstwem w głosie, za którym czaił się strach. Nie cierpiał zmian w ustalonym porządku, a ona łamała zasady. Ale nie mogła się poddać.

– Poproszono mnie o wykonanie rzeźby.

– Rzeźby? – Znieruchomiał ze szklanką przy ustach.

– Mam wyrzeźbić postać dziecka. Afrykańskiego. Najpierw będę pracowała w glinie, potem zrobię odlew w gipsie. Chyba że udałoby mi się pracować w brązie.

Wiedziała, że przeciąga strunę, zbyt dużo ujawniając. Nie było szans, żeby Theo dał się uwieść szczegółami jej projektu. W końcu umilkła.

Theo przez chwilę się nie odzywał. Potem zaczął mówić wolno jak do dziecka lub cudzoziemca.

– Złożyłaś obietnicę. Zrezygnowałaś z pracy artystycznej.

Oblizwała wargi i zaczerpnęła oddechu.

– Nie powinnam była składać takiej obietnicy. A ty nie powinieneś był mnie o nią prosić. – Zmusiła się, żeby wytrzymać wzrok Theo, chociaż każdą cząstką ciała pragnęła od niego uciec.

– Theo, gdy się poznaliśmy, byłam artystką. Nie pamiętasz? To było moje marzenie. Po to przyjechałam do Anglii, zostawiłam rodzinę, wykorzystałam pieniądze babki. Sztuka stanowiła dla mnie wszystko.

– Najwyraźniej znaczy dla ciebie więcej niż ja.

– To nie tak. Nie wybieram między tobą a sztuką. – Zrobiło jej się niedobrze. Poczwała, że nogi jej się trzęsą. Rozumiała, że gra idzie o najwyższą stawkę. Wynik rozmowy zadecyduje o jej małżeństwie i całym przyszłym życiu.

– O tak, wybierasz, Kitty. Bo złożyłaś obietnicę. A teraz chcesz znowu mnie zawieść. Myślisz, że możesz robić, co ci się podoba.

Może tam, skąd pochodzisz, ludzie tak się zachowują A może po prostu nie jesteś w stanie być czemuś wierna? Pozwalasz się wyprowadzać wszystkim na manowce. Temu Rosjaninowi. Teraz Dianie. Nie widzisz tego, co masz przed sobą.

Kitty popatrzyła na niego bezradnie. To, co mówił, nie miało sensu.

– Ale muszę cię ostrzec, że jeżeli zamierzasz trwać w tym rażącym nieposłuszeństwie, lekceważąc wszystko, co sobie cenię, popełnisz wielki błąd, który będzie cię słono kosztować.

Podeszła do niego, wyciągając ręce.

– Proszę cię, Theo. Nie kłóćmy się tak. Nie możemy spokojnie porozmawiać? Wysłuchać się nawzajem... – Położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie dotykaj mnie – odpowiedział lodowatym tonem, odpychając jej dłoń jak komara, który może ugryźć. Z hukiem odstawił szklankę na stolik do kawy. – Wychodzę.

Chciała powiedzieć, żeby zaczekał, lecz on już był przy drzwiach.

– Nie wrócę na kolację. I nie oczekuj też Charlotte.

Kilka chwil później dał się słyszeć głośny warkot silnika land rovera i zgrzyt opon na żwirze, gdy Theo odjeżdżał.

Kitty klapnęła na fotel. Serce waliło jej w piersi. Ukryła twarz w dłoniach. Wiedziała, że Theo pojechał prosto do Charlotte. Ona na pewno go zrozumie. Theo prawdopodobnie wróci późno. Pijany. Pójdzie chwiejnym krokiem do pokoju gościnnego, chyba że postanowi przyjść i rzucić żonie kolejne groźby. Popatrzyła na siebie jakby z dystansu. Sytuacja była katastrofalna. Przynajmniej powinna się rozplakać. Zamiast tego zamknęła oczy. Gdy napięcie powoli z niej opadło, poczuła wzbierający w niej gniew, a potem ogarnęło ją zmęczenie. Zwinęła się w kłębek na fotelu i usnęła.

Gdy oprzytomniała, Gabriel pochylał się nad nią i informował ją, że wkrótce kolacja zostanie podana.

– Czy *bwana* wróci? – spytał. – Z lady Charlotte?

Dostrzegła w jego oczach błysk zainteresowania. Na pewno podsłuchiwał ich rozmowę. Pokręciła głową ze znużeniem.

– Nie, nie wróci. Może ty i Eustace zjecie kolację. Ja nie jestem głodna.

Ku jej zaskoczeniu na twarzy młodego człowieka pojawiła się troska.

– *Memsahib* powinna jeść.

Mizerne słowa pocieszenia zburzyły mur obronny Kitty. Poczula, że nie jest w stanie wydusić z siebie słowa.

– Mam pomysł – oznajmił Gabriel, wyraźnie z siebie zadowolony. – Przyniosę pani do pokoju coś do zjedzenia. Talerz kanapek.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Kanapki będą najlepsze.

# Rozdział szesnasty

Kitty oparła głowę o gładką korę baobabu. Ukryta za szerokim pniem, wsłuchiwała się w krzątanie w misji. Zakonnice śpiewały, zamiatając dziedziniec. Ojciec Remi wołał kucharza Amosiego. W oddali zaszczekał pies.

Przyjechała wcześniej. Daimler z Dianą zjawi się później, o zwykłej porze. Pragnęła wyrwać się z domu. Był zbyt blisko dyrekcji, domu Charlotte i miejsc w Londoni, w których mogli znajdować się Theo i Charlotte.

Nie było go prawie całą noc. Gdy usłyszała, że wraca – ciche dźwięki wyrwały ją ze snu, dowodząc, że czekała na niego we śnie – pierwsze światło dnia zaczęło wkradać się między zasłony. Tak jak przypuszczała, poszedł prosto do pokoju gościnnego. W hallu zadudniły jego kroki, a potem rozległo się głośne chrapanie osoby, która zbyt dużo wypila.

Gdy w końcu usnęła, miała wrażenie, jakby przespała zaledwie kilka chwil i znowu się obudziła. Z jadalni dochodziły dźwięki trwającego już śniadania. Włożyła szlafrok i poszła zobaczyć się z Theo. Wiedziała, że źle wygląda – miała zaczerwienione oczy i potargane włosy – ale chciała z nim porozmawiać, zanim znowu wyjdzie z domu.

Theo smarował masłem grzanekę, obok stała filiżanka z herbatą. Nie podniósł wzroku, gdy weszła. Wzięła głęboki oddech, starając się zachować spokój.

– Gdzie byłeś przez cały ten czas? – spytała.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Utkwił wzrok w jajkach sadzonych na bekonie.

Zacisnęła zęby zirytowana. Oczywiście, że nie chce, nigdy nie chciał o niczym rozmawiać. Ani o ich małżeństwie, ani o swoim zdrowiu. Tyle razy prosiła go, żeby poradził się lekarza w sprawie nękających go koszmarów i innych objawów nerwicy frontowej, które nie zniknęły. Na próżno: był jak dziecko przekonane, że wystarczy zasłonić ręką oczy, żeby cały świat zniknął.

– Czekałam na ciebie – powiedziała.

– Nie trzeba było. – Wbił nóż w jajko, żeby żółtko się rozpuściło.

– Byłeś z nią, prawda?

Nie odpowiedział. Patrzył na talerz, przeżuwał i połykał. Potem dopił herbatę i wstał. Rzucił serwetkę na stół i wyszedł z pokoju. Słyszała, jak myje zęby w łazience, potem idzie do frontowych drzwi.

Po jego odjeździe siedziała przy stole, otępiała z niepokoju. Nie mogła znieść tej nicości, z którą zostawił ją Theo. Wstała i poszła do gościnnego pokoju.

Powietrze było przesycone dymem papierosowym. Buty Theo, zwykle ustawione równo pod łóżkiem, jak uczono go w szkole z internatem, leżały teraz tam, gdzie je niefrasobliwie zrzucił. Wzięła do ręki wiszącą na oparciu krzesła marynarkę i powąchała. Rozpoznała charakterystyczny zapach perfum Charlotte. Gdy odłożyła ją na miejsce, spostrzegła zgniecioną koszulę. Z przodu były czerwone plamy po winie. Na kołnierzyku ślad szminki – o ciemnym, czerwonym odcieniu, zupełnie niepodobnym do jasnych kolorów, jakich używała Kitty. I jeszcze coś: długi rudy włos na rękawie. Zdjęła go, trzymając między palcem wskazującym a kciukiem. Uświadomiła sobie, że włosy Charlotte są tej samej długości jak jej kiedyś, zanim Theo zmusił ją do ich ścięcia. Czy lubił, żeby muskały mu skórę, gdy się kochali? Czy owijał je wokół ręki, przyciągając jej twarz ku swojej?

Może wcale nie byli kochankami, pomyślała. Może tylko

całowali się i tulili. Z drugiej strony, dlaczego nie mieliby pójść dalej? Nic ich nie wstrzymywało – lady Welmingham nie była zamężna. Dlatego Theo miał prawo mieć z nią romans, a ona z nim.

Louisa postarała się wyjaśnić synowej zasady rządzące pozamałżeńskimi związkami wśród przedstawicieli brytyjskiej arystokracji. Ta „mała pogawędka” odbyła się wkrótce po przeprowadzce Kitty i Theo do Hamilton Hall. Już kilka razy przedtem Louisa odciągała ją na bok. Dziewczyna była Australijką, a o rodzinie mało mówiła. Nie miała pojęcia, jak żyją ludzie pokroju Hamiltonów. Zatem należało jej wszystko wyjaśnić, nie owijając w bawełnę.

– Pierwszym obowiązkiem żony jest urodzić syna. Do tego czasu nie może mieć żadnego romansu. Jeśli chodzi o drugą stronę, to dżentelmen nigdy nie sypia z zamężną kobietą – oczywiście z jego sfery – która nie urodziła jeszcze syna. To byłoby w złym guście. A więc reasumując, Kitty, nie wolno ci używać życia, dopóki nie dasz Theo dziedzica. Potem możesz robić, co ci się żywnie podoba.

Kitty zaśmiała się zaskoczona. Louisa mówiła o tych sprawach w taki sam praktyczny sposób, w jaki omawiała kompozycje kwiatowe w wazonach czy dyscyplinowała służących. Kitty musiała powtórzyć sobie w myślach to, co usłyszała, aby mieć pewność, czy dobrze zrozumiała.

– Więc Theo może mieć teraz romans, a ja nie?

– Wiem, że to wydaje się niesprawiedliwe, ale tak. Chodzi o to, że nie może być wątpliwości, kto jest ojcem dziedzica.

Kitty wpatrywała się w teściową. Czy tak właśnie było w małżeństwie Louisy? Czy miała romanse? Gdyby Yuri uległ jej umizgom, czy zostałaby jego kochanką? Admirał natomiast lubił kobiety – zwłaszcza młode. Nieraz widziała, jak przygląda się dziewczętom w kościele i służącym. Zauważyła nawet, jak taksuje wzrokiem jej sylwetkę, patrząc, jak zakłada nogę na nogę,

mimo że pilnowała, aby spódnica była obciągnięta.

– Czy wyraziłam się jasno? – spytała Louisa, patrząc na nią surowo. Była śmiertelnie poważna.

– Proszę się nie obawiać – odparła Kitty. – Żadne z nas nie będzie miało romansu. Kochamy się.

Louisa popatrzyła na nią dziwnie – mogła to być litość, zazdrość lub jedno i drugie. Potem kiwnęła tylko głową i odeszła.

Kitty upuściła rudy włos na podłogę i rzuciła koszulę na łóżko. Potem wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Chwilę później ubrana w strój safari szła do samochodu.

Gdy stała teraz w cieniu baobabu, bolesne wydarzenia minionego wieczoru i dzisiejszego poranka wydawały się bardziej odległe. Czowała się spokojniejsza, jakby opierając się o pień drzewa, czerpała z niego siłę. Ojciec Remi powiedział jej, że ten baobab – użył nazwy w języku suahili, *buyu* – liczył sobie zdaniem miejscowych dwa tysiące lat. Wyobraziła sobie, jak stoi tu przez całe wieki, podczas gdy ludzie przychodzą i odchodzą ze swoim bólem i radością, marzeniami i rozczarowaniami.

Próbowała podejść do swojej sytuacji w sposób praktyczny, zaczynając od nazwania emocji, które nią targaly. Była zła, wystraszona, zazdrosna. I zszokowana. To tak szybko się stało – przecież Charlotte była tu zaledwie od miesiąca. Czowała się również zażenowana. Domyślała się, że romans zaczął się tuż po przyjeździe pszczelarki i stał się przedmiotem plotek w Londoni. Na ironię zakrawał fakt, że znowu o niej szeptano, lecz tym razem to Theo stał się tego przyczyną. Spróbowała zajrzeć głębiej w rany w poszukiwaniu czegoś bardziej rozdzierającego serce. Ale prawda była taka, że wcale nie czowała się zrozpaczona, lecz otępiała i pusta.

Więc co teraz będzie? Zostaną razem – co do tego nie było wątpliwości. Charlotte wróci do Anglii i wyjdzie za odpowiedniego mężczyznę. Po pewnym czasie Theo znowu będzie chciał się kochać z żoną. Musiał przecież spłodzić

dziedzica. Może nawet pojedą do Nairobi. Ale już nie będzie ich łączyć prawdziwa miłość i zaufanie. Nigdy nie będą szczęśliwą rodziną, jak sobie wyobrażała. Z bólem uświadomiła sobie, że jej małżeństwo nie okazało się szczęśliwsze od małżeństwa jej matki. A właściwie to wyszła na nim znacznie gorzej. Ojciec może i był twardym i nieczułym człowiekiem, ale nie zdradzał żony. Rodzice pozostawali w stosunku do siebie lojalni. Nie miała wątpliwości, że susza czy pożar buszu, choroba czy inne nieszczęście – oni zawsze będą się wspierać i wspólnie przyjmować ciosy.

Rozmyślenia przerwał jej warkot dużego pojazdu, który zatrzymał się po drugiej stronie drzewa. Zmarszczyła brwi – było zbyt wcześnie na ciężarówkę z więźniami. Wyjrzała zza pnia, żeby zobaczyć, kto to. Po staroświeckich szprychach w kołach i wielkich, ustawionych blisko reflektorach natychmiast rozpoznała rozpadającą się szopę na kołach Taylora. Gili siedział na masce w drewnianym pudełku. Gdy silnik zgasł, zeskoczył na ziemię. Zobaczyła, jak Taylor wysiada zza kierownicy.

Obaj spostrzegli Kitty w tym samym czasie. Mężczyzna zrobił zdziwioną minę, ale pomachał jej przyjaźnie. Gdy Gili pędził w jej stronę, otarła twarz, mając nadzieję, że nie widać, że płakała. Potem wyszła zza pnia i otwarła ramiona. Przytuliła małąkę do piersi, czerpiąc pociechę z obejmujących ją łapek.

– Dzień dobry – zawołał Taylor.

Przeszedł na tył samochodu, gdzie czarnoskóry mężczyzna zaczął mu podawać skrzynki z warzywami. Siedziało tam również sześciu Afrykanów. Kitty przyglądała im się ciekawie ponad głową Gilego. Twarze mieli pomalowane czerwoną ochrą, a piersi i ramiona popiołem. W rękach trzymali włócznie, łuki i skórzane kołczany ze spiczastymi strzałami, jakby szykowali się do bitwy.

Kitty uśmiechnęła się ostrożnie, podchodząc bliżej i wypowiadając poranne słowa powitania:



– *Hamjambo. Habari za asubuhi?* Jak tam poranek?

Najstarszy z nich odpowiedział za całą grupę. Zapewnił, że poranek jest dobry, tak jak ich domy, rodziny, bydło i *shamba*, czyli pola.

Zmusiła się do tego, aby powiedzieć, że ona też miewa się dobrze. Te powitania były jedynie formą grzecznościową. Wypowiadając je, przyjrzała się mężczyznom uważniej. Kilku miało opaski na rękach zrobione ze skóry i piór, które podkreślały ich ciemne bicepsy. Szeroką klatkę piersiową zdobiły naszyjniki. Wyglądali zupełnie inaczej niż skromnie ubrani Afrykanie, których widywała w Londoni – egzotycznie i groźnie.

Taylor podszedł do niej i wyciągnął ręce po Gilego. Rękawy koszuli safari podwinął do łokci, odsłaniając opalone ręce. Poranne słońce oświetlało jego twarz, podkreślając silną linię szczęki i szerokie brwi. Spojrzał Kitty w oczy na jedną krótką chwilę. Wyswobodziła się z uścisku małpki.

– Dokąd pan wiezie tych mężczyzn?

Nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego Taylor angażuje się w plemienną walkę. Potem przyszło jej do głowy, że może chodzi o jakąś uroczystość. Podczas ostatniej wizyty w Tanganice ministra do spraw żywności Klub Kongara zorganizował pokaz tańców plemiennych z Wagogo ubranymi podobnie jak ci mężczyźni.

– Jedziemy zbierać dziki miód – wyjaśnił Taylor. Wskazał na płaskowyż leżący w przeciwnym kierunku niż plantacje. – Czekają nas godzinna podróż za te wzgórza w oddali. Dojeżdża się na rozległy teren porośnięty trawą, z drzewami cierniowymi. – Uśmiechnął się do niej. – To piękna okolica.

Zapadła krótka chwila ciszy. Kitty miała wrażenie, że usta same jej się otwierają.

– Czy mogę pojechać z wami? – Zagryzła wargę, rozbawiona swoją bezpośredniością. Taylora też to zaskoczyło. – Nie powinnam pytać – dodała pospiesznie.

Mimo że wycofała się ze swojej prośby, uświadomiła sobie, że bardzo chce jechać. Nagle zapragnęła uciec w jakieś nowe miejsce, gdzie zapomni o problemach. Wyczuła wśród mężczyzn nastrój niecierpliwego wyczekiwania. To jej przypomniało, jak kiedyś wybrała się z robotnikami rolnymi po bydło. Zapakowali lunch do sakw przy siodle i cieszyli się na czekający ich dzień. Pomyślała, że trzymałaby się z boku, z dala od pszczoł, gdy będą szukać miodu.

– Bardzo bym chciał zabrać panią – odpowiedział Taylor wciąż zdziwiony. – Ale kobietom zwykle nie pozwala się uczestniczyć w takich wyprawach. Muszę ich spytać, co o tym sądzą.

Rozmowa trwała dość długo. Kitty utkwiała wzrok w Gilim, gdy mężczyźni wskazywali na nią i dyskutowali między sobą. W końcu Taylor wrócił do niej.

– Zgodzili się zabrać panią, bo wiedzą, jak ciężko pracuje pani w misji. Poza tym jest pani biała, więc tak naprawdę nie uważają pani za kobietę. – Uśmiechnął się. – Musiałem obiecać, że będę za panią odpowiedzialny. Żeby zachowywała się pani odpowiednio.

Kitty się roześmiała.

– Będę bardzo grzeczna.

Poczuła, jak poranna rozpacz znika. Pobiegła do zakonnic uprzedzić je, dokąd jedzie. Wczoraj umówiła się z ojcem Remim na rozmowę o zorganizowaniu pracowni gdzieś w pobliżu. Zachęcał ją, żeby przedstawiła swoje propozycje, mimo że nie zdecydowała się na wykonanie rzeźby. Wciąż pozostawała sprawa zgody Theo. Ojciec Remi chciał pokazać jej miejsce na tyłach budynku misyjnego, które uważał za idealne. Ale była to tylko propozycja. Wiedziała, że nie będzie miał nic przeciwko temu, jeżeli odmówi.

Gdy wróciła, Taylor czekał przy siedzeniu dla pasażera.

– To będzie ostra jazda – uprzedził. – Nie taka, do jakiej jest pani przyzwyczajona.

– Dam sobie radę.

Uśmiechnęła się w duchu na myśl, że pasuje tylko do limuzyn i sedanów. Wskoczyła do samochodu, nie czekając, aż jej pomoże, i pozwoliła Gilemu usadowić się na kolanach.

Taylor popatrzył na nią przez chwilę, po czym obszedł auto i usiadł za kierownicą. Pochylił się, żeby przekręcić prowizoryczną stacyjkę. Silnik obudził się do życia, a słaby tłumik nie był w stanie zmniejszyć głośnego warkotu. Gdy pojazd przyspieszył, miała wrażenie, jakby grzechotały w nim tuziny drobnych części. Przesunęła się na bok, żeby nie kłuła jej w biodro pęknięta sprężyna.

– Wszystko w porządku? – spytał Taylor, przekrzykując warkot silnika.

– Tak, dziękuję.

Odchyliła się na oparcie i popatrzyła przez przednią szybę zamontowaną na masce. Szkło było porysowane i brudne, ale zabezpieczało przed wiatrem i kurzem. Hałas silnika uniemożliwiał rozmowę, dlatego bliskość ich ciał nabrała znaczenia. Kitty zerknęła z ukosa na Taylora, dostrzegając głębokie zmarszczki wokół ust i pomiędzy brwiami, ciemny zarost, rozjaśnione słońcem włosy na rękach. Gdy ponownie spojrzała przed siebie, wyczuła, że teraz on patrzy na nią. Zastanawiała się, co zobaczył. Kobieta, która dbała o swój wygląd, oczywiście. Czy zauważył, że prawie nie spała tej nocy? Pewnie miała wypisane na czole słowa „niechciana żona”. Upokorzenie też było widoczne na jej twarzy. Ale jeżeli je dostrzegł, to nie dał po sobie poznać. Gdy ich oczy się spotkały, uśmiechnął się do niej ciepło i zatoczył ręką szeroki łuk, jakby chciał z nią dzielić piękno otaczającego ich krajobrazu.

Kilka chwil później, gdy jechali skrajem pagórkowatego terenu, Taylor zatrzymał się przy idącym drogą mężczyźnie z małym dzieckiem. Gdy wymienili słowa powitania po suahilijsku, Kitty usłyszała, że rozmawiają o żonie mężczyzny, która była chora. Musiała już wyzdrowieć, bo obaj pożegnali się

z uśmiechem. Zanim ruszyli w dalszą drogę, Taylor wskazał na pobliskie wzgórze. Z początku nie mogła zrozumieć, co jej pokazuje, zaraz jednak dostrzegła spadzisty dach i kamienną fasadę domu, ukrytą wśród otoczków.

– To mój dom – oznajmił Taylor.

Przyglądając się z uwagą budynkowi, zobaczyła, że ma duże okna wychodzące na płaskowyż i taras od frontu. W jednym końcu znajdowała się wieża z wymyślną wieżyczką. Ktoś, kto projektował ten dom, myślał nie tylko o praktyczności.

– Zbudował go mój ojciec – dodał Taylor z wyraźną dumą w głosie. – Urodziłem się tu.

– Wygląda pięknie – powiedziała. – Musi stamtąd być piękny widok.

– Najpiękniejszy w okolicy – odparł z uśmiechem.

Gdy ruszył, zauważyła, że wolno wciska pedał gazu, żeby mijając mężczyznę z dzieckiem, nie wzbijać tumanów kurzu.

Zostawili za sobą zielone wzgórza i zjechali w doliny. Czerwoną ziemię porastała tu trawa, krzewy, karłowate drzewa i baobaby. Podczas swojego pobytu w Tanganice nie widziała ich jeszcze w tak dużej liczbie. Nadal zachowywały majestatyczną odległość jeden od drugiego, ale tworzyły skupiska. Gdy auto przejeżdżało między nimi, Kitty miała wrażenie, że przerwały rozmowy, które wznowiły, gdy samochód oddalił się na bezpieczną odległość.

Droga skończyła się i Taylor jechał teraz na przełaj. Po upływie pół godziny krajobraz zaczął się zmieniać. Z początku subtelnie – mniej baobabów, większe krzewy, gęściejsza trawa. Pojawiło się dziwne drzewo cierniowe, tworząc idealny łuk na tle nieba. Potem ukazało się ich więcej. Wkrótce znaleźli się na leśnym obszarze porośniętym wyłącznie tymi pełnymi gracji drzewami.

W końcu Taylor zatrzymał samochód. Kurz opadł, pokrywając ciało, włosy i ubranie Kitty. Gili kichnął i otrzepał futerko. Taylor podał Kitty butelkę z wodą.

– Spragniona?

Wypiła kilka dużych łyków. Woda była ciepła, ale ukoiliła wyschnięte gardło. Wytarła szyjkę butelki o brzeg bluzki i oddała Taylorowi. Był to dziwnie intymny gest jak na ludzi, którzy ledwo się znali. Odwróciła głowę, gdy Taylor odchylił głowę i zaczął pić.

Tymczasem siedzący w tyle samochodu Afrykanie zaczęli wysiadać i szykować broń.

– Zamierzają polować? – spytała Kitty.

– Jeżeli zobaczą gazelę lub antylopę eland, pobiegną za nią – odpowiedział. – Ale włącznie i strzały są głównie do ochrony. Tu pojawiają się lwy, a także słonie i bawoły. Ale bez obawy. Jest pani w dobrych rękach.

– Nie boję się. – Obejrzała się z nadzieją, że zobaczy dzikie zwierzę. Nie widziała jeszcze żadnego, które od zawsze kojarzyły jej się z Afryką. Bowie, stary myśliwy, miał rację – dzikie zwierzęta uciekły z Kongary.

– Ale proszę trzymać się blisko mnie – ostrzegł Taylor.

Kitty popatrzyła na Gilego, którego trzymała na rękach. Był spokojny i cichy. Najwidoczniej wiedział, jak zachowywać się podczas takich podróży.

Jeden z mężczyzn oddalił się od grupy, niezwykle wysoki i silny, o szczupłych nogach i umięśnionych udach. Przystanął i zaczął gwizdać.

– To jest Nuru – wyjaśnił Taylor przyciszonym głosem. – Przywołuje miodowoda. Takiego niedużego ptaka. Gdy ptak go usłyszy, odpowie specjalnym gwizdnięciem, którym posługuje się tylko w kontaktach z ludźmi.

– Zdumiewające. – Idąc za wzrokiem Nuru, popatrzyła na wierzchołki drzew.

– To jedyny ptak spośród siedemnastu podobnych gatunków, który to robi – dodał Taylor.

Nuru ponownie zagwizdał dźwięcznie, po czym znieruchomiał, przechylając głowę na bok i nasłuchując. Gdy

w powietrzu zabrzmiała odpowiedź, odwrócił się w poszukiwaniu jej źródła. Szary ptaszek wyfrunął z listowia nad ich głowami i obniżył lot. Nuru ruszył za nim. Reszta grupy podążyła za przewodnikiem, rozgarniając gałęzie i sprawdzając, czy nic im nie grozi.

Ptak co jakiś czas przysiadł na gałęzi, czekając, aż Nuru i pozostali go dogonią, po czym znowu zrywał się do lotu. Kitty obserwowała tę scenę zdumiona. Nie miała wątpliwości, że ptaszek aktywnie współpracuje z ludźmi poszukującymi miodu.

W końcu miodowód usiadł na gałęzi i pozostał na niej.

Jeden z mężczyzn powiedział coś do Nuru. Kitty wychwyciła ostrzegawczy ton w jego głosie. Odwróciła się do Taylora, czekając, aż jej wytłumaczy, co się dzieje.

– Powiedział: „Mam nadzieję, że ostatnim razem zapłaciłeś ptakowi” – wyjaśnił stłumionym głosem. – Gdyby Nuru tego nie zrobił, ptak by to zapamiętał i mógłby nas zaprowadzić do legowiska lwa.

Kitty przeszukała nerwowym wzrokiem okoliczne zarośla, zastanawiając się, czy mówi poważnie. Do Nuru dołączył drugi człowiek i razem przeszukiwali drzewa. Po kilku minutach rozległ się triumfalny okrzyk.

– *Nimeipata!* Znalazłem!

Kitty dostrzegła dziuplę w pniu drzewa. Wylatywały z niej pszczoły, inne wracały. Patrzyła na to z mieszaniną podziwu i przerażenia. Ptaszek naprawdę doprowadził Nuru prosto do pszczelego gniazda. Cofnęła się ostrożnie, przyciskając Gilego do piersi.

– Czy te pszczoły nie są niebezpieczne? – zapytała, siląc się na obojętny ton, lecz cały czas myślała o mężu Cynthii, wyobrażając sobie umierającą postać pokrytą gryzącymi owadami.

– Zanim zabiorą miód, odymią pszczoły. To je zmyli. Nie obejdzie się bez kilku uządleń, ale rój nie zaatakuje.

W głosie Taylora brzmiała taka pewność, że Kitty się uspokoiła.

Postawiła Gilego, a potem obserwowała, jak Nuru podpala zapalkami stos gałązek. Gdy strzelił w górę mały płomień, jeden z mężczyzn wrzucił coś do ognia.

– Wygląda na to, że znaleźli wyschnięte łajno słonia. Dzięki temu będzie sporo dymu – stwierdził Taylor.

Teraz gdy źródło miodu było w zasięgu ręki, mężczyźni zaczęli swobodnie rozmawiać.

– Skąd pan wie tyle o miodowodzie i siedemnastu gatunkach ptaków? – spytała Kitty Taylora.

– Nuru mi powiedział. Jego przodkowie od dawna żyli na tych terenach. Nazywali się Dorobo, myśliwi-zbieracze. Ale połączyli się z Wagogo, gdy zaczęli uprawiać ziemię.

Nuru włożył kawałek dymiącego łajna do torby i wspiął się zgrabnie na drzewo. Kitty zauważyła, że siedzący na tym drzewie miodowód bacznie go obserwuje. Gdy Nuru dotarł do dziupli, z kawałka skóry zrobił pętlę asekuracyjną, by nie spaść i mieć wolne ręce.

Gdy wsunął łajno do dziupli, pszczoły zaczęły fruwać wokół wejścia. Kitty zmarszczyła brwi, ale Nuru nie okazywał strachu. Wkrótce owady utworzyły chmurę wokół niego. Kitty usłyszała jego okrzyk, gdy został użądłony, lecz trwał na swoim miejscu. Włożył rękę do dziupli, wyjął duży kawałek plastra miodu i schował go do torby. Następnie sięgnął po drugi. Widzowie patrzyli na to z uśmiechami zadowolenia.

Gdy wreszcie zszedł z pnia, jego torba była pełna. Najpierw wyjął kawałek plastra i położył go na ziemi pod drzewem, na którym siedział miodowód. Ptak sfrunął i zaczął go dziobać.

– To najlepszy kawałek – wyjaśnił Taylor. – Z larwami w środku. Właśnie na to czekał ptak.

– Naprawdę zaprowadziłby ludzi do legowiska lwa, gdyby nie dostał tego, czego chciał?

– Podobno tak się zdarzyło – odparł Taylor.

Nuru zaczął rozdawać kawałki plastra. Taylor i Kitty usiedli na

przewróconym pniu, wcześniej sprawdzając, czy nie ma na nim skorpionów. Gili wcisnął się między nich. Afrykanie odrywali kawałki plastra i przeżuwali, zamykając z lubością oczy.

Kitty przyjęła kawałek plastra. Gili natychmiast ukradł róg i włożył go sobie do ust. Miód spływał Kitty po palcach, gdy podniosła plaster do ust. Był kruchy, woskowaty, ze słodkimi kieszonkami. Nie przypominał w smaku miodu, który dotąd jadła – rozpląwał się na języku i smakował jak kwiaty koniczyny. Zdawała sobie sprawę z tego, że Wagogo czekają na jej opinię.

– Pyszny. – Przełknęła i oblizła wargi. Gdy jednak odgryzła drugi kawałek, znieruchomiała. W miodzie było coś kremowego o dziwnym smaku. Opuściła rękę i przyjrzała się plastrowi. Dostała kawałek z larwami tak jak miodowód. Wpatrywała się przez kilka sekund w jasny, przypominający robaka kształt, po czym włożyła kawałek do ust. Nikt nie musiał jej mówić, że ten specjalny poczęstunek był zaszczytem, który należało przyjąć z wdzięcznością.

Taylor kiwnął głową z aprobatą.

– Nie musi pani zjadać wszystkich – mruknął.

Kitty zdołała wdusić w siebie kolejną małą porcję, po czym odetchnęła z ulgą, widząc, że mężczyźni przestali ją obserwować. Skupili się na delektowaniu miodem. Nuru rozdał po jeszcze jednym kawałku, lecz pozostało ich jeszcze na tyle dużo, żeby zanieść je do domu.

– Te pszczoły są bardzo pracowite, bo robią mnóstwo miodu – stwierdziła Kitty.

– Pracowite jak pani – odparł z uśmiechem Taylor.

– Myślałam, że afrykańskie pszczoły są leniwe. – Gdy tylko to powiedziała, uświadomiła sobie, jak śmiesznie to zabrzmiało. Zaczęła więc pospiesznie tłumaczyć. – Czy słyszał pan o projekcie pszczelarskim, który zostanie wdrożony na plantacjach?

– Nie. Jakim projekcie?

Odetchnęła z ulgą. Jeżeli Taylor nie wiedział o pszczołach, to



pewnie nie wiedział też o Charlotte. Co oznaczało, że nie słyszał plotek o tym, że lady Welmingham ma romans z jej mężem.

– Mieli problemy z zapyłaniem, sprowadzili więc pszczelarza z Anglii, a on przywiózł europejskie pszczoły. Wkrótce będą stawiać ule na plantacjach.

Taylor wbił w nią wzrok.

– Jest pani pewna?

– Wszystko jest przygotowane.

Opowiedziała mu, jak pracownicy warsztatów naprawczych dostali zadanie zbudowania uli zgodnie z zaleceniami lady Welmingham. Zainstalowano w nich kolonie importowanych pszczół z królową w każdym. Charlotte przywiozła z sobą skrzynkę larw królowych i zapanował wielki entuzjazm, gdy zaczęły się wylęgać. Któregoś wieczoru Charlotte opowiadała gospodarzom, jak sprawdzała nowe królowe, rozgniatając te, które jej się nie podobały, i malując na pozostałych drobne znaczki. Takie same symbole wpisywała potem do notesu. Ule, do których trafiły królowe, zostały podobnie oznakowane. Dzięki temu, tłumaczyła Charlotte, będzie można zmierzyć ich wyniki i pozostawić tylko te o najlepszym rodowodzie. To, co mówiła, przypomniało Kitty Louise.

– Więc teraz wszystkie ule stoją na boisku do futbolu i czekają, żeby je przewieźć na plantacje – zakończyła.

– Idioci! – wykrzyknął Taylor. Zerwał się na równe nogi i zaczął chodzić. – Wie pani, kto tym kieruje?

Kitty z trudem przełknęła ślinę. Nie spodziewała się tak ostrej reakcji.

– Mój mąż.

Afrykanie obserwowali z zaciekawieniem tę wymianę zdań, ale nie sprawiali wrażenia, jakby coś z niej zrozumieli. Jeżeli mówili po angielsku, to słabo.

Taylor zatrzymał się, milczał przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– To kompletne szaleństwo. On nie wie, co robi. – Zatoczył ręką łuk, obejmując całą scenę przed nimi – gniazdo, pszczoły, Afrykanów w odświętnych strojach i miód. – Ci ludzie uważają pszczoły za święte. Widziała pani, jak się przygotowali, żeby tu dziś przyjechać. Miód jest obecny podczas wszystkich ważnych wydarzeń w ich życiu: zalotów, ślubów, ciąży, narodzin dziecka, śmierci... Wielu wodzów plemienia Wagogo jest przeciwnych projektowi orzeszkowemu. Sprowadził na nich wiele kłopotów. Widzą, jak niszczy się ich tradycyjny sposób życia. Wprowadzenie europejskich pszczół potraktują jak atak na ich suwerenność. Poczują się głęboko znieważeni.

Wszystko, co mówił, wydało się Kitty rozsądne. Zastanawiała się, czy Theo wziął to pod uwagę i uznał, że projekt jest ważniejszy od obaw Afrykanów, czy też w ogóle nie wziął ich pod uwagę.

– Wywołała to wśród nich wielki niepokój – ciągnął Taylor. – Życie Wagogo jest ściśle związane z naturą. W górach mamy wodę źródlaną, ale reszta kraju może liczyć tylko na deszcz. Gdy przychodzi w odpowiednim czasie, ludzie będą mieli co jeść. Gdy nastaje susza, głodują. Jeżeli jakaś część natury, jak na przykład pszczoły, zostanie naruszona, może to spowodować straszne konsekwencje ze strony duchów przodków i ziemi. – Urwał i zmarszczył brwi. – To trzeba zatrzymać, przynajmniej dopóki nie przedyskutuje się tego z wodzami. Nie chciałbym urazić pani męża, ale muszę zacząć od samej góry. Jutro z samego rana zobaczę się z Richardem.

– Posłucha pana? – spytała. Zmieniła swoją opinię o Richardzie po rozmowie o stanie zdrowia Diany. Okazało się, że potrafi wysłuchać głosu rozsądku i jest gotowy zmienić zdanie, jeżeli okaże się to konieczne. Jednak z drugiej strony odpowiadał za to, żeby wzrósł poziom kiełkowania nasion, bo w przeciwnym razie cały projekt spali na panewce.

– Posłucha, gdy wyjaśnię, czym to grozi – stwierdził Taylor. –

Ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, jest bunt Afrykanów. Już ma poważne kłopoty z czarnoskórymi robotnikami. Chodzi o wodę. Ich rodziny albo są daleko, albo mieszkają w slumsach. W Dar es Salaam już strajkowali robotnicy portowi. Jeżeli nic się nie zrobi, napięcie dotrze i tu.

Kitty kiwnęła głową. Słyszała o kłopotach w stolicy. Przez kilka dni panie w klubie rozprawiły o tysiącach Afrykanów wymachujących włóczniami i kijami, którzy maszerowali na urzędy, grożąc białym. W odpowiedzi na ten kryzys główny inspektor policji wezwał do siebie kierowników i wyposażył ich w pistolety. Gdy Theo przywiózł go do domu, Kitty wpadła w panikę. Ludzie noszący broń przypomnieli jej lata wojny. Martwiła się, jak to może wpłynąć na Theo. Ale najwyraźniej broń nie robiła na nim wrażenia. Stwierdził nawet, że pistolet to rozsądny środek zapobiegawczy. Tak czy owak zabierał go ze sobą, gdy jeździł na plantacje.

– Richard będzie musiał natychmiast interweniować – oznajmił Taylor. – Cieszę się, że mi pani o tym powiedziała.

Kitty poczuła zadowolenie na myśl, że drogocenny plan Charlotte będzie musiał już na starcie poważnie wyhamować. Miała też nadzieję, że dowie się, iż to ona, Kitty, co prawda, nieumyślnie, przyczyniła się do tego. Biorąc pod uwagę kłopoty, jakie miała z Theo, warto było to zrobić.

– Czas się zbierać – stwierdził Taylor, wskazując na mężczyzn, którzy zakładali kołczany na ramiona i brali włócznie. Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. Wybuchnęli śmiechem, bo dłonie mieli lepkie od miodu. – Umyjemy ręce, gdy wrócimy do samochodu.

– Nazywa pan to samochodem? – spytała ze śmiechem.

– Kiedyś był...

Wyczuła, że jest zadowolony ze zmiany tematu. Pełne napięcia słowa kłóciły się z pięknem krajobrazu i swobodnymi nastrojami Wagogo. Jeden z nich śpiewał, przyciskając wypchaną torbę do

piersi. Drugi dłubał bezmyślnie w zębach patykiem. Nuru podszedł do ogniska, które wciąż płonęło. Zerknął na Kitty, jakby się wahał, po czym uniósł przepaskę i wypuścił strumień moczu, który dym zamienił w parę.

Zauważyła kątem oka, że Taylor sprawdza, czy nie czuje się urażona.

– Zawsze to robiliśmy, gdy opuszczaliśmy obozowisko – powiedziała. – Lepsze to, niż wywołać pożar buszu.

Dołączyli do grupy Afrykanów. Nuru wybrał krótszą drogę przez gęstą trawę teraz, gdy nie musiał już iść za miodowodem. Kitty szła obok Taylora, niosąc Gilego na rękach. Pochód zamykał Wagogo z włócznią w ręku.

– A więc spędziła pani trochę czasu w buszu? – spytał Taylor.

Kiwnęła głową.

– Moja rodzina mieszka na farmie oddalonej wiele kilometrów od najbliższego miasta.

– Więc dlatego... – urwał.

– Dlatego co?

– Dlatego różni się pani od innych pań z Kongary. Nie żebym je znał. Ale gdy tamtego dnia pomogła mi pani przy rurze, wiedziała, co należy zrobić. Mówi pani po suahilijsku. I widziałem, jak pracuje pani na farmie.

Poczuła ciepło wokół serca, słysząc podziw w jego głosie. Uświadomiła sobie, ile czasu była krytykowana lub starała się unikać krytyki.

– Wydaje się pani taka... inna niż mąż – stwierdził Taylor. – Kilka razy nasze ścieżki się przecięły i on jest, hm... bardzo brytyjski.

Zauważyła, że stara się dobierać słowa, nie chcąc powiedzieć, co naprawdę myśli o Theo.

– Bardzo się różnimy – przyznała. – Pobraliśmy się w czasie wojny. Byliśmy zakochani, ale nie znaliśmy siebie zbyt dobrze. – Umilkła, po czym powiedziała bardziej do siebie niż do Taylora. –

Myślę, że teraz oboje widzimy, że to była pomyłka.

To była pomyłka.

Takie proste stwierdzenie, ale miało ogromną wagę. Jakaś jej część była zszokowana tą szczerą wypowiedzią. I dlaczego tak otwarcie rozmawiała właśnie z Taylorem? Rozejrzała się wokół siebie, omiatając wzrokiem drzewa cierniowe z cętkowanymi koronami o jednakowych kształtach, odstępami między gałęziami i szerokie rozległe błękitne niebo nad nimi. Było coś otwartego i autentycznego w tym krajobrazie, co sprawiało, że jej prostolinijność stawała się nie tylko akceptowalna, ale i konieczna. Zasady społeczne – te wszystkie tabu i obyczaje – należały do innego świata.

– Nie wiem, czy to wojna go zmieniła – ciągnęła – czy po prostu wydorósł i stał się swoim prawdziwym ja. Były też inne sprawy... Ale bez względu na te wszystkie powody, nie jest już mężczyzną, w którym się zakochałam.

Szli dalej, idąc jednym rytmem, a trawa szeleściła im pod stopami.

Pragnęła dowiedzieć się czegoś o osobistym życiu Taylora. Ojciec Remi mówił o nim jako o kawalerze. Powiedział też, że jego rodzice nie żyją. Ale to było wszystko, co o nim wiedziała.

– Straciłem narzeczoną w czasie wojny – powiedział, jakby czytał w jej myślach.

Zwróciła twarz ku niemu. Przychodziły jej do głowy komunały, ale odrzuciła je jeden po drugim.

– Nie miałem na myśli tego, że zginęła. Po prostu znalazła innego. Nie mam do niej pretensji. Zaginałem w akcji na lata. Byłem więźniem wojennym. Myślała, że zginałem. – Milczał przez kilka kolejnych kroków. – Często zastanawiam się, jakby to było, gdybyśmy byli razem. Poznaliśmy się w Anglii, gdzie studiowałem rolnictwo. Powiedziała, że podoba jej się pomysł zamieszkania w Afryce. Ale prawda jest taka, że nie każdej kobiecie się tu podoba. Oczywiście, jeżeliby nie chciała,

wyprowadzilibyśmy się stąd. Ale cieszę się, że nie musiałem tego robić. Mam to miejsce we krwi.

Kitty przyjrzała mu się z ciekawością. Ojciec często mówił o tym, że jest przywiązany do Seven Gums, ale brzmiało to jak długowieczna klątwa, że po nim jego synowie zostaną tu uwięzieni. Theo też był przywiązany do Hamilton Hall. Po kilku latach, gdy jego praca w Afryce dobiegnie końca, będą musieli wrócić tam i do końca życia dbać o pałac. Ona dostrzegła ciemną stronę tego przywiązania do jego dziedzictwa, lecz on uważał je za przywilej. Zdumiała ją stwierdzenie Taylora, że wyprowadziłby się stąd, gdyby musiał – przez wzgląd na szczęście żony. Zrozumiała, jak bardzo kochał to miejsce na wzgórzu, jednak nie miała wątpliwości, że mówił poważnie o przeprowadzce. W końcu to on wymyślił plan pomocy więźniom. Ci ludzie uważali go za swojego wybawiciela. Pracując dla niego, mogli zarobić trochę pieniędzy i wysłać je rodzinie oraz zdobywać umiejętności, które zapewne im się później przydadzą. Nie musieli siedzieć w celach, lecz przebywali na świeżym powietrzu i otrzymywali dobre jedzenie z misyjnej kuchni. *Bwana* Taylor był powszechnie podziwiany i zasługiwał na to.

Zerkała na niego z ukosa, gdy szli. Nie powiedział nic więcej o narzeczonej, a ona uznała, że nie powinna pytać. Wiedziała jedno: kimkolwiek była ta kobieta, straciła okazję do poślubienia człowieka o dobrym sercu i silnym charakterze.

Nagle, stanowczo zbyt szybko, znaleźli się przy samochodzie. Gili zeskoczył z jej ramion i zaczął figlować, wyładowując długo tłumioną energię. Taylor wyjął pękatą puszkę z wodą i wszyscy mogli umyć ręce. Potem przekazał wodę do picia. Mężczyźni pili, nie dotykając butelki ustami. Gdy przyszła jej kolej, starała się zrobić to samo, ale oblała sobie brodę. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ocierając twarz rękawem, śmiała się razem z nimi. Jej pomyłka nie miała znaczenia. Nic tu nie miało znaczenia. Dawno

nie czuła się taka wolna od wszelkich dręczących ją kłopotów. I w jej sercu zrodziło się nowe ciepło – bliskość z Taylorem po rozmowie, jaką ze sobą odbyli.

Nuru wyjął wielką kiść bananów, schowaną gdzieś w samochodzie. Kitty przyjęła jeden z wdzięcznością, nagle czując się głodna. Gili stał między nią a Taylorem, ostrożnie zdejmując skórkę ze swojego banana, a potem delikatnie skubiąc koniec.

– Wygląda jak niewiniątko – powiedział Taylor.

Kitty zalała fala nostalgii. Matka często to powtarzała. Ciekawe, czy jego matka też, pomyślała. I jak miała na imię? Kiedy umarła? Jakie życie wiodła? Chciała się dowiedzieć znacznie więcej o Taylorze i opowiedzieć mu o sobie.

– Bardzo miło spędziłam czas – odezwała się.

– Ja też – odpowiedział krótko, lecz wciąż na nią patrzył tymi dziwnymi, niesamowitymi oczyma o dwukolorowych tęczęwkach. W promieniach słońca niebieskozielone tęczęwki wyglądały jak woda morska, a jasnobrązowy brzeg lśnił niczym roztopione złoto.

# Rozdział siedemnasty

– Nie spóźnimy się? – spytała Diana. – Zegarek mi stanął.

Siedziała w hillmanie na miejscu pasażera. W ciągu ostatnich tygodni w końcu pokonała strach przed zajmowaniem miejsca obok kierowcy.

– Nie sędzę – odparła Kitty. – Dopiero o trzeciej musimy spotkać się z innymi. Kiedy kończą się zajęcia na korcie. – Jechały skrótem z misji. Widoczna we wstecznym lusterku dzwonnica zniknęła w końcu w tumanie kurzu. – Wydaje się to taką stratą czasu.

Obiecały, że pomogą kilku paniom w dekorowaniu namiotu na bal bożonarodzeniowy. Zrobiono już sporo. Na pustym placu przy klubie stanął olbrzymi namiot. Panowie z warsztatów naprawczych – ci sami, którzy zrobili ule dla Charlotte – wycięli ze sklejki olbrzymiej wielkości anioły, renifera, Maryję, Józefa i małego Jezusa. Postacie zainstalowano przed namiotem. Dzieci ze szkoły wykonały kilometry papierowych łańcuchów. Teraz do pań należało wykończenie.

Diana przewróciła oczyma.

– Zgadzam się w zupełności. Chciałabym zostać i porozmawiać z Chalulą. Tyle jeszcze muszę zrobić przed wyjazdem.

Kitty wychwyciła napięcie w jej głosie.

– Jeśli chcesz, możesz zostawić mi listę spraw do załatwienia.

– Chyba będę musiała. Wydałam dyspozycje na poczcie, żebyś mogła przeglądać moją korespondencję. Szukaj listu w sprawie rozprawy apelacyjnej Daudiego. Jeżeli przyjdzie, dopilnuj, żeby powiadomić jego rodziców. Chalula zna nazwę ich wioski. I jeżeli



wyznaczą datę rozprawy o zwolnienie za kaucją Ndele'ego, będziesz musiała wystąpić w moim imieniu.

– Nie martw się. Wystąpię – zapewniła ją Kitty.

Słyszała, jak Diana przekazuje te same instrukcje ojcu Remiemu, a także jeszcze inne. Chalula miał wszystko zapisane. Rozumiała, że Diana chce, aby pod jej nieobecność wszystko szło sprawnie, ale do wyjazdu pozostały jeszcze dwa tygodnie. Nie mogła oprzeć się myśli, że całe to planowanie jest po to, żeby zagłuszyć strach przed podróżą.

Mogła sobie tylko wyobrazić, jakie trudne będzie to dla Richarda i Diany – powrót do miasta, w którym mieszkali, gdy doszło do tragicznej śmierci syna, odwiedziny krewnych i zmierzenie się ze świadomością, że kuzyni Phillipa wyrosli i wydorośleli, podczas gdy ich mały chłopiec na zawsze pozostanie pięciolatkiem. Zastanawiała się, czy Diana czuje niechęć do zaplanowanego wyjazdu i czy powinna ją o to zapytać.

Bardzo się do siebie zbliżyły podczas wspólnej pracy. Tyle je łączyło. Nie tylko codzienne doświadczenia, takie jak zmienianie koła w samochodzie, zbieranie fasolki w ogrodzie warzywnym, ale również sprawy, po których czuły się wyczerpane, zestresowane, a nawet przerażone. Zaledwie tydzień temu, tuż po lunchu, wybuchła bójka między dwójką więźniów. Ojciec Remi został przewrócony na ziemię, gdy próbował interweniować. Atak na księdza rozsierdził innych więźniów i przez kilka przerażających minut konflikt się rozszerzał. Askarysi użyli pałek i zanim zapanował spokój, trzeba było opatrzyć prawie dwunastu mężczyzn z ojcem Remim włącznie. Diana dołączyła do Kitty i wspólnie zajęły się rannymi. Była pomocna i skuteczna, ale Kitty zauważyła, że drżą jej ręce. Musiało minąć trochę czasu, żeby się uspokoiła. Kitty martwiła się, czy to zdarzenie – połączone ze stresem związanym z podróżą do domu – jej nie załamie.

– A jak radzisz sobie z przygotowaniami do wyjazdu? – spytała ostrożnie.

– Wszystko jest już załatwione – odparła Diana. – Musimy jeszcze tylko zdecydować, czy pojedziemy pociągiem na północ do rodziny Richarda czy wynajmiemy samochód.

– Niepokoisz się, jak to będzie? – spytała Kitty, czując, że może posunąć się dalej.

– Tak – przyznała Diana. – Czasami miałabym ochotę wszystko odwołać. Ale wiem, że musimy pojechać. – Milczała przez kilka sekund, jakby zaglądała w głąb siebie. – Musimy stanąć na ulicy, na której zginął Phillip. Musimy pójść na jego grób i odczytać jego imię i datę śmierci. Musimy pogodzić się z tym, co się stało. Tylko tak możemy zmierzyć się z przyszłością. – Przycisnęła dłoń do oczu. – Ale boję się – dodała ciszej.

Kitty z trudem przełknęła ślinę. Czowała podziw dla Diany. Trudno było uwierzyć, że to ta sama kobieta, która zaledwie dwa miesiące temu usiłowała popełnić samobójstwo. Zmiana, jaka w niej zaszła, zakrawała na cud. Od czasu do czasu pojawiały się przebłyski dawnej niepewnej Diany. Bywała oschła i spięta, innym razem milcząca i wycofana. Nieustannie paliła. Czasami, gdy miała dobry humor, w jej zachowaniu wyczuwało się nadmierną wesołość. Ale ojciec Remi zawsze był na miejscu, żeby ją ożywić lub uspokoić. Lecz pomimo zmiennych nastrojów zawsze pracowała sumiennie i z wielkim zaangażowaniem. Bez względu na to, co działo się wokół niej, słuchała cierpliwie więźniów, którzy podchodzili do jej biurka, a potem pisała listy swoim nowym, schludnym charakterem. Udowodniła, że jest silna i odporna. Mogła czuć się zestresowana, lecz gdy znajdzie się w Anglii, sprostą temu, co sobie zaplanowali.

– Poradzisz sobie – powiedziała Kitty. – Jestem tego pewna. Jesteś teraz taka silna. – Czekała, aż Diana skinie głową. – A ja będę myślała o tobie – dodała. – Każdego dnia. Także ojcowie, Chalula, Tesfa... wszyscy.

– Dziękuję – odparła Diana z uśmiechem, połykając łyżę. – Będę o tym pamiętała.

Jechały przez chwilę w milczeniu. Ich przyjaźń była jak ciepła chmura unosząca się między nimi. Gdy dojechały do granicy Londoni, Kitty spojrzała na zegarek i wcisnęła pedał gazu.

– Muszę z tobą porozmawiać, Kitty – odezwała się Diana, przerywając ciszę. – Zanim spotkamy się z innymi.

– Oczywiście. – Kitty szukała w myślach słów zachęty i sympatii.

– Podejrzewam, że Theo ma romans.

Kitty zacisnęła zaskoczona palce na kierownicy. Nie z powodu nieoczekiwanej zmiany tematu, ale słów wypowiedzianych głośno i wyraźnie, bez owijania w bawełnę. To, o czym już wiedziała, stało się teraz bardziej realne. Poczowała ucisk w żołądku i mdłości.

– Z tą pszczelarką – dodała Diana raczej rzeczowym niż oburzonym tonem.

Kitty kiwnęła w milczeniu głową.

– Więc już wiesz. – Diana westchnęła. – Biedaczka. Wszyscy oczywiście o tym mówią. I to jest właśnie najgorsze. Musisz stawić temu czoło, Kitty. Potraktować to jak przetaczającą się burzę. Trzymać głowę wysoko i iść śmiało pod wiatr. To w końcu minie.

Kitty odwróciła twarz ku Dianie.

– Mówisz, jakbyś przez to przeszła.

Diana machnęła lekko ręką.

– Richard miał kilka przygód. Nic poważnego. Zresztą można się było tego spodziewać, nie sądzisz? – Mówiła, jakby godziła się z tą sytuacją, podobnie jak przed laty Louisa. Ale cóż w tym dziwnego? W końcu Diana była córką earla. I bez wątplenia znała zasady. Może tego właśnie uczono debutantki podczas szkolenia, o którym Louisa z taką przyjemnością opowiadała.

– Bardzo się tym denerwujesz? – Diana położyła dłoń na

ramieniu Kitty. – Głupie pytanie. Oczywiście, że tak. – Przesunęła dłoń niżej i ścisnęła Kitty za rękę. – Zawsze musisz pamiętać o tym, że Theo jest twoim mężem. Należy do ciebie. Osoby takie jak Charlotte przychodzą i odchodzą. Nie mają żadnego znaczenia. – Jej akcent wyższych sfer podkreślał jeszcze znaczenie każdego wypowiedzanego przez nią zdania. – Ta kobieta niedługo wróci do Anglii. A potem przeczytasz w „Timesie” o jej zaręczynach z lordem takim to a takim. – Zaśmiała się ironicznie. – Właściwie to wyjedzie szybciej, niż planowała. Richard polecił Theo, aby wstrzymał projekt z miodem do czasu konsultacji z wodzami.

– Słyszałam – wtrąciła Kitty. Theo i Charlotte zareagowali konsternacją i gniewem na tę decyzję. Rozprawiali o tym przez dwa ostatnie wieczory podczas kolacji u nich w domu. – Ona nadal przychodzi do nas codziennie – dodała. Pokręciła głową, bo brakowało jej słów na określenie tak dziwnej sytuacji: mąż i jego kochanka jedzą każdego wieczoru kolację w towarzystwie jego żony.

– Bardzo dobrze – stwierdziła Diana. – Wiesz, co mówią? Trzymaj wroga blisko siebie. Jeżeli przebywa w twoim domu, musi uznać twoją wyższość.

– Powinnam coś jej powiedzieć?

– W żadnym razie. Jesteś ponad to.

Kitty pokręciła bezradnie głową.

– Czasami nie mogę tego znieść. Siedzę przy stole i mam ochotę ją zabić. – Była to prawda. Chociaż nie kochała już Theo tak jak kiedyś, jakaś jej prymitywna część czuła się jak kot, którego terytorium naruszono. Miała ochotę rozerwać na strzępy tę porcelanową buźkę.

– Tylko jedno możesz zrobić, Kitty. Zadbać o siebie.

– Co masz na myśli? – spytała Kitty, marszcząc brwi zaskoczona.

– Zmienić fryzurę. Kupić nowe perfumy, zupełnie inne, niż do

tej pory używałaś. I oczywiście bieliznę. – Diana klasnęła w dłoń. – Podaj mi swój rozmiar, a przywiozę ci coś ładnego z Londynu. Koronka. Wstążka. Jedwab. To jest nasza broń.

Kitty miała ochotę się roześmiać, wiedziała jednak, że Diana mówi śmiertelnie poważnie. Ta kobieta przedstawiła strategię, w którą święcie wierzyła, i wprowadzała ją w życie równie rygorystycznie, jak interweniowała w sprawach więźniów. Diana może się zmieniła, ale w głębi duszy nadal była angielską damą, tak jak ona córką australijskiego farmera.

Wkrótce znalazły się przy siedzibie dyrekcji. Kitty nie mogła się powstrzymać i zaczęła rozglądać się za Theo i Charlotte, ale na parkingu nie zauważyła land rovera. Pojechały w stronę ronda.

– A teraz posłuchaj mnie, Kitty – poleciła Diana. – W klubie wszyscy będą cię obserwować. Musisz wyglądać na szczęśliwą. Jeżeli nie dasz rady, unieś brodę i zrób wyniosłą minę. To nie jest zbyt dobre, ale pomoże. Jeżeli ktoś zacznie zadawać ci pytania, po prostu zmień temat. Bądź bezceremonialna, gdy zajdzie taka potrzeba. Jeśli będziesz potrzebowała mojej pomocy, kiwnij lekko głową. Wtedy wkroczę.

Kitty uśmiechnęła się blado. Czuła, że w Dianie też odzywa się kot. W tym całym bólu i poniżeniu dobrze było wiedzieć, że ma przy sobie tak silną przyjaciółkę.

– Co to jest? – spytała Diana, wskazując przed siebie.

Nad drzewami unosił się gęsty słup dymu, który przesłaniał siedzibę klubu. Kitty przyspieszyła. Zobaczyła płomienie – strzelające w górę czerwone błyski – razem z gęstym dymem.

– Dobry Boże! – wykrzyknęła Diana. – Klub się pali.

Po chwili jednak ich oczom ukazał się półokrągły barak. Ogień i dym pochodziły z innego miejsca.

– Pewnie pali się namiot obok klubu – stwierdziła Diana stłumionym głosem.

Gdy wyjechały z zakrętu, zobaczyły płonący namiot. Ogień zdążył się już rozprzestrzenić. Płonęła cała konstrukcja – brezent,

drewniane słupy, liny. Płomienie lizały drewniane figury ustawione przed wejściem.

Droga zastawiona była dżipami, furgonetkami i innymi pojazdami, zaparkowanymi pod dowolnymi kątami. Kitty zostawiła hillmana w połowie drogi i pospieszyła za Dianą, która wyskoczyła z auta, zanim na dobre się zatrzymało. Obok palącego się namiotu stał wóz strażacki. Ubrani w stroje khaki askarysi – jego załoga – uwijali się wokół ognia. Czerwone fezy kiwały się na boki, gdy biegali, ciągnąc wiadra i węże.

Wokół zebrał się tłum ludzi. Musieli się tu zebrać wszyscy klubowi goście. Kitty omiotła wzrokiem różne grupki stojących, wyproszone ze środka, ale nadal trzymające się siebie. Spostrzegła Alice i inne panie brylujące za japońskim parawanem. Z tyłu stały dzieci z nianiami. Mężczyźni w garniturach. Personel w białych tunikach. Zauważyła też samotną postać starego Bowie'ego, który patrzył na pożar, marszcząc brwi, jakby nie wierzył własnym oczom.

W pewnej odległości od nich stał liczniejszy tłum Afrykanów. Wśród nich byli zapewne pracownicy plantacji w zniszczonych koszulach i spodniach, inni zaś mieli na sobie tradycyjne stroje. Mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy patrzyli szeroko otwartymi oczyma na rozgrywający się spektakl. Kitty dostrzegła wśród nich grupę askarysów. W pewnym momencie wyciągnęli z tłumy jakiegoś mężczyznę, skuli go i zaciągnęli do miejsca, gdzie na ziemi siedziała już grupa czarnoskórych. Nad nimi stał główny inspektor i rozmawiał przez tłumacza, zapisując coś w notesie. Miał ponurą minę i zdecydowanie w ruchach.

Diana przystanąła, żeby poczekać na Kitty. Przyglądały się przez chwilę palącemu się namiotowi. Na ziemię spadły kawałki brezentu i został tylko szkielet, niczym kości wielkiego zwierzęcia.

– Słyszałam, jak ktoś mówił, że to było podpalenie. – Diana spojrzała z niepokojem w stronę Afrykanów. – Usiłują znaleźć

sprawców.

Kitty przyjrzała się rzędom czarnych twarzy. Niektórzy Afrykanie nadal obserwowali pożar, ale wielu zaczęło przypatrywać się poczynaniom askarysów. Dreszcz strachu przebiegł Kitty po plecach, gdy dostrzegła w ich oczach czającą się wrogość i szyderstwo, które widziała w spojrzeniach Alfreda i innych członków personelu klubu, a także służących w jej własnym domu.

– Tam są Richard i Theo. – Diana trąciła Kitty w ramię.

Kitty zeszywniała, patrząc na męża. Wciąż brzmiały jej w uszach śmiałe słowa Diany stwierdzające jego niewierność. Nie czuła się na siłach stanąć teraz przed Theo czy Richardem, ale Diana już ruszyła w ich stronę.

Panowie stali obok siebie z rękami w kieszeniach. Wyglądali, jakby oglądali mecz polo, tylko na ich twarzach malowało się napięcie. I w pobliżu znajdowali się askarysi.

Richard przywitał się z paniami, ale Theo tylko skinął im głową i dalej wpatrywał się w ogień.

– Czy to było podpalenie? – spytała Diana męża.

– Wszystko na to wskazuje. Ogień wybuchł w pięciu miejscach jednocześnie. Użyli benzyny. – Richard pokręcił głową. – Przypuszczam, że to jakaś wiadomość dla nas, białych. Może ma to coś wspólnego z niepokojami w obozach dla robotników. Albo chodzi o coś innego. – Swoje słowa kierował zarówno do Theo, jak i do obu pań, ale jego kolega najwyraźniej go nie słuchał. – To niedobry czas na wyjazd – ciągnął. Kitty zauważyła, że Diana zmarszczyła z niepokojem brwi, lecz zaraz odetchnęła z ulgą, gdy mąż się do niej uśmiechnął. – Ale nie bój się, Dianko. Wyjedziemy. Tylko do tego zdarzenia trzeba podejść bardzo ostrożnie.

Odwrócił się do Theo, czekając na jego odpowiedź. Otrzymał ją dopiero po kilku sekundach.

– Oczywiście – odparł Theo ze wzrokiem utkwionym w ogień.

– Będziesz musiał pójść na ustępstwa z robotnikami. Daj im

podwyżkę. Zrób wszystko, byleby tylko uspokoić nastroje.

Gdy Richard mówił, Kitty nie spuszczała wzroku z Theo. Sprawiał wrażenie, jakby pożar go hipnotyzował. Płomienie odbijały się w jego szeroko otwartych oczach. Nie patrzył na resztki namiotu, lecz na drewniane figury. Na Maryję, Józefa i anioła. Wyglądali jak prawdziwi ludzie, którzy płonęli żywcem. Górna połowa Józefa pochyliła się w przód, jakby płomienie go pożerały i wił się z bólu.

Kitty położyła dłoń na ramieniu Theo. Rozpoznała wyraz jego twarzy – był taki sam jak wtedy, gdy nim potrząsała, ale nie mogła go wybudzić z koszmaru.

– Dobrze się czujesz? – Gdy nie zareagował, trąciła go delikatnie. – Co się dzieje?

Nagle zeszywniał i się odsunął. Wyglądał na zaskoczonego jej widokiem. Mruknął coś, po czym zaczął rozglądać się na boki, omiatając wzrokiem tłum.

Kitty również rozejrzała się wokół siebie i dostrzegła rudą głowę Charlotte. Kobieta stała nieopodal w towarzystwie Larry’ego Greena, jednego z kierowników plantacji, niezwykle przystojnego kawalera, który był obiektem nieustannych plotek w klubie. Para rozmawiała z ożywieniem, nie okazując żadnego zaniepokojenia tym, co się działo, jakby ogień podłożono dla ich rozrywki. Kitty zwróciła uwagę na to, jak Charlotte była ubrana. Miała na sobie szyty na miarę strój safari w żółtomiodowym odcieniu zamiast khaki. Był niepraktyczny, bo zbyt mocno opinał jej sylwetkę, ale podkreślał szczupłą talię i pośladki. Nagle Charlotte wstrząsnęła burzą loków, odchyliła głowę w tył i zaśmiała się, ukazując zęby. Larry pochylił się ku niej całym ciałem, jakby przyciągnięty emanującym z niej magnetyzmem.

Theo również musiał ich zauważyć, bo twarz mu pociemniała.

– Przepraszam – mruknął. – Zaraz wracam.

Kitty wymieniła spojrzenia z Dianą, gdy ruszył w stronę Charlotte. Diana uśmiechnęła się z satysfakcją: może Charlotte



miała już dość Theo. Ta myśl nie sprawiła Kitty przyjemności. Wolałaby, żeby Theo wdał się w poważny romans. Ten tutaj wydawał się bez znaczenia i niesmaczny.

Wpatrywała się w pożar, który powoli zmieniał się w żarzący popiół. Anioł prawie zniknął, Maryja również. Dzieciątko zmieniło się w plamę na ziemi. Za to askarysi uratowali dolną połowę Świętego Mikołaja. Renifer też ocalał, ale bez głowy. Przypomniała sobie antyczne rzeźby, a właściwie ich fragmenty, które widziała w Muzeum Brytyjskim. Uchwyciła się tego skojarzenia, pragnąc odbiec myślami jak najdalej od Theo. Porównała te muzealne fragmenty z rzeźbą, która miała stanąć w grocie. Teraz już bez skrupułów zabierze się do pracy, nie przejmując się tym, co powie Theo. Złamał zasady i stracił wszelkie prawa do tego, by jej czegoś zabraniać. Powrót do pracy artystycznej będzie dla niej zadośćuczynieniem za tolerowanie niewierności. Skupiła się na szczegółach i stworzyła w myślach listę potrzebnych do projektu materiałów. Glina, lina, metalowe pręty, juta, gips... Ale głos Theo przyciągnął jej uwagę. Odebrał Larry'emu Charlotte i rozmawiał z nią o pożarze.

– To, że jakiś facet spalił namiot, niczego nie zmieni – oznajmił autorytatywnym tonem. – Nie można ustępować takim ludziom.

– Absolutnie tak – przyznała mu rację Charlotte. – Do czego by to doprowadziło?

Kitty odsunęła się z zasięgu słuchu. Popiół z pożaru unosił się z wiatrem i oczy zaczęły jej łzawić od dymu. Gdy je zamknęła, powietrze zrobiło się jeszcze gorętsze. Jeden zmysł usiłował wynagrodzić wykluczenie drugiego. Pot wystąpił jej na czoło i spłynął w dół. Poczowała, jak rośnie w niej rozpacz. Miała ochotę uciec i ukryć się, zostawiając Theo i innych. Ale to wywołałoby scenę, której nie była w stanie stawić czoła.

Postanowiła skupić się na bezpiecznym temacie, jakim była rzeźba. Zapowiadało się wielkie przedsięwzięcie. Najpierw musi wybrać dziecko z wioski i wykonać mnóstwo szkiców. Musi

poczynić dokładne pomiary, żeby zachować właściwe proporcje. Następnym krokiem będzie wykonanie armatury – szkieletu postaci z metalowych prętów wykutych na kowadle. Potem ze szmat i kawałków starej liny stworzy postać dziecka i pokryje ją gliną. Następny etap lubiła najbardziej: ostrożne modelowanie przy użyciu narzędzi i palców. Wyzwaniem będzie uchwycenie życia, osobowości i ducha dziewczynki. Krok po kroku rzeźba będzie nabierać kształtów.

Patrząc na dogasający ogień i wyobrażając sobie proces powstawania rzeźby, poczuła dawne uczucie ekscytacji na myśl o czekającej ją pracy. Zajmie jej to całe miesiące, wypełni dni. Dzięki temu przetrwa. Zatraci się w pracy, odcinając się od Theo i innych smutków. Gdy skończy rzeźbę dziecka, zajmie się następną. Może nawet wychowa sobie pomocnika, przekazując mu to, czego nauczył ją Yuri. W pracowni urządzonej w misji odzyska cel życia, z jakim przyjechała do Anglii. Wtedy nie planowała, że zostanie czyjąś żoną. Chciała jedynie być artystką.

Odwróciła się od ognia. Całe ciało miała obsypane popiołem, a w ustach czuła smak sadzy. Lecz w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Zaląła ją olbrzymia fala ulgi. Dokonała wyboru. Jedna jej część pozostanie żoną Theo, lecz druga poświęci się poszukiwaniu, które ukształtowało życie Yuriego, gdy stracił ukochaną Katyę. Tak jak on odda się poszukiwaniu prawdy, czystości i doskonaleniu umiejętności. Uchwycenie esencji życia, która leżała poza zasięgiem ludzkiego bólu i niepowodzenia, zawsze będzie piękne i prawdziwe.

# Rozdział osiemnasty

Zapach chloru mieszał się z oleistą wonią kokosowego kremu do opalania. Kitty leżała z kapeluszem na twarzy, chroniąc się przed słońcem. Wokół niej podnosiły się i opadały głosy leniwych rozmów. Zamieszanie i chaos towarzyszące świętom Bożego Narodzenia przewaliły się i znikły. Tego ranka dużo rozmawiało się o zbędnych kilogramach i potrzebie ćwiczeń, ale temat się wyczerpał. Pippa czytała listę domowych wskazówek. Alice miała wątpliwości, czy się sprawdzą. Audrey narzekała, że spaliła sobie ramiona i skóra jej się łuszczy.

Kitty zastanawiała się, jak zdoła poradzić sobie bez Diany. Minęło zaledwie kilka dni, a już czuła się samotna. Skończyły się rozmowy o tym, co działo się w misji czy choćby o ostatnim problemie z domową służbą. Gdyby Diana tu była, mogłaby z nią porozmawiać o Taylorze. Przyjaciółka zauważyła, że często udaje im się spotkać w trakcie pracy i że zawsze siedzą obok siebie podczas przerw na herbatę, ale żadna z nich nie poruszała tego tematu. Rozmowa o podróży Diany do Anglii i o romansie Theo z Charlotte sprawiły, że ich przyjaźń nabrała nowego wymiaru szczerości, ale od dnia pożaru nie miały okazji być same. Diana przygotowywała się do wyjazdu i doszły jeszcze obowiązki związane ze świętami Bożego Narodzenia. Może to i dobrze, pomyślała Kitty. Gdyby zaczęły rozmawiać o Taylorze, nie wiedziałyby, co powiedzieć.

Skierowała myśli na bezpieczniejszy temat i zaczęła wspominać wizytę na lotnisku i pożegnanie z Armstrongami. Diana wyglądała olśniewająco w nowej garsonce uszytej

w ostatniej chwili przez hinduskiego krawca. Wzrok przyciągał śmiały, pomarańczowo-brązowy wzór, a kostium idealnie podkreślał jej figurę. Richard prezentował się bardziej niedbale, z marynarką przerzuconą przez ramię. Bez względu na to, czy denerwował się tym, co czekało go w Anglii, musiał odetchnąć z ulgą, że problem z podpaleniem został rozwiązany. Okazało się, że zrobił to jeden z pracowników klubu, który został zwolniony za podkradanie jedzenia.

Ani Richard, ani Diana nie skomentowali nieobecności Theo na lotnisku, mimo że zgodnie z protokołem powinien uczynić tę grzeczność swojemu zwierzchnikowi. Theo polecił Kitty, żeby przeprosiła ich w jego imieniu, twierdząc, że jest zbyt zajęty nowymi obowiązkami – od tego ranka pełnił rolę dyrektora generalnego. Ale faktem było to, że nigdy nie przychodził na lotnisko, jeśli mógł tego uniknąć. Twierdził, że nie lubi tego hałasu, kurzu i zapachu.

Stojąc na pasie startowym przy samolocie, Kitty, Diana i Richard wymienili formalne uściski dłoni. Kitty życzyła im szczęśliwej podróży. Potem czekała, aż odejdą. Nie oczekiwała okazywania uczuć w publicznym miejscu. Ale Diana ponownie chwyciła jej rękę i spojrzała w oczy. Jej oczy z idealną kreską i zielonym cieniem na powiekach załśniły łzami.

– Jak zdołam ci podziękować, Kitty, za wszystko, co zrobiłaś? – Urwała i machnęła ręką niezdolna wypowiedzieć więcej. Przez chwilę obie stały nieruchomo, rozdarte między etykietą a uczuciem. Potem rzuciły się sobie w objęcia i mocno się objęły, przyciskając twarz do twarzy.

Gdy w końcu odsunęły się od siebie, Diana przyłożyła chusteczkę do oczu.

– Uważaj na siebie, pamiętaj.

– Postaram się.

– Dasz sobie radę – powiedziała Diana zdecydowanie. Teraz przyszła jej kolej na pocieszenie. – Ale jeżeli wszystko inne

zawiedzie, po prostu ucieknij z domu i wstąp do klasztoru.

Powiedziała to żartem, lecz gdy te słowa wybrzmiały, nabrały nowego znaczenia. Kitty otworzyła usta. Wyobraziła sobie zakonnice w niebieskich tunikach, prostą, codzienną rutynę. Pomyślała, jakby to było, gdyby nie musiała opuszczać misji i wracać do domu, żeby grać rolę żony w bolesnym trójkącie z Theo i Charlotte.

– Pożegnaj od nas Theo, dobrze? – przerwał jej rozmyślenia Richard.

– Dobrze – odparła. Usłyszała w jego głosie nutę niepokoju.

Nie był to dobry moment na wyjazd. Sprawa z podpaleniem została rozwiązana, ale pozostały do załatwienia jeszcze inne. Jednak z drugiej strony projekt działa od jednego kryzysu do drugiego.

Kitty stała na brzegu pasa startowego, z dala od innych ludzi, którzy przyszli pożegnać odlatujących pasażerów. Gdy patrzyła, jak Diana i Richard wchodzą po schodkach do tego samego bombowca zamienionego na samolot pasażerski, przebiegła myślami te wszystkie miesiące, które minęły od czasu jej przyjazdu. Tyle się wydarzyło. Tyle zmieniło. Przypomniała sobie, jak pierwszego dnia Diana powitała ją w zastępstwie Theo. Wtedy była obcą osobą. Teraz obcy był jej własny mąż.

Ruszyła do samochodu i nagle zapragnęła szybko wrócić do Londoni, żeby nie być sama. Gdy dochodziła, usłyszała znajomy warkot startujących silników i obracających się śmigieł. Potem powietrze wypełnił głośny, miarowy ryk, pobudzając każdy nerw w jej ciele. W jednej chwili ten hałas, porzucając ludzi, ciężarówkę i stosy walizek, przeniósł ją na lotnisko w Skellingthorpe. Poczula dawny strach ściskający jej żołądek. Czy samolot Theo wróci bezpiecznie? Czy było to ostatnie pożegnanie?

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Nigdy aż do teraz nie zastanawiała się nad tym, jak ten dźwięk działa na Theo. Nie wspominając o charakterystycznym kształcie i rozmiarze

lancasterów przylatujących i odlatujących z Kongary. Kilka dodatkowych okien niewiele zmieniło w wyglądzie dawnych bombowców. Nic dziwnego, że Theo nie chciał tu przyjeżdżać. Musiałby na nowo przeżywać horror tamtych lat. Walczyć ze strachem towarzyszącym mu przy próbie sprowadzenia płonącego samolotu na ziemię. Ponownie patrzeć, jak Bobby, jego drugi pilot, płonie żywcem, i zмагаć się z poczuciem winy, że on przeżył. Zalała ją fala współczucia dla męża, usuwając na bok gniew i zdradę, które teraz stale jej towarzyszyły.

Przez te wszystkie lata obserwowała, jak Theo usiłuje radzić sobie ze skutkami strasznych przeżyć, tworząc skomplikowany system małych ustępstw i uników. Mógł rozmawiać o pewnych aspektach wojny – nie miał wyjścia, ponieważ prawie wszyscy pracujący w Kongarze mężczyźni służyli przedtem w piechocie, marynarce lub lotnictwie – ale o innych nie. Gdy musiał się zmierzyć z czymś, co wykraczało poza to, co był w stanie znieść, uciekał w milczenie. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie porównać go z Taylorem, który został dosłownie zamknięty ze swoimi strachami i zdołał sobie z nimi poradzić. W rezultacie wydawał się silny, wolny, szczęśliwy.

Z bólem musiała to przyznać, że od przyjazdu Charlotte Theo sprawiał wrażenie weselszego i spokojniejszego niż przedtem. Po wprowadzeniu się Charlotte do pudełka napięcie między Kitty i Theo wzrosło. Przyczyną takiego stanu był jego romans z tą kobietą i oświadczenie Kitty, że powinien się zgodzić na jej powrót do pracy artystycznej. Od tego czasu stał się bardziej drażliwy i chłodny w kontaktach z żoną. Lecz gdy widziała go samego z Charlotte, stawał się beztroski, a nawet swawolny. Jednak ostatnio coś się zmieniło. Od dnia pożaru, gdy przyglądał się, jak płonie namiot i drewniane figury, wróciły dawne koszmary. Często budził ją, wrzeszcząc do drugiego pilota: „Uciekaj! Uciekaj! Na litość boską, Bobby!” albo po prostu krzyczał coś nieskładnie. Zostawała z nim wtedy, dopóki się nie

uspokoił, po czym wracała do sypialni. Czułe słowa pociechy i gładzenie po głowie nie były już teraz możliwe.

Nie wiedziała, czy to ponowne pogorszenie się jego stanu psychicznego wywołał pożar namiotu, powodując nawrót traumatycznych wspomnień, czy też przyczyną był zły nastrój Charlotte. Pszczelarzka wciąż była wściekła, że jej prace zostały wstrzymane. Gdy przychodziła do ich domu, albo spacerowała w milczeniu, albo pomstowała na głupotę OFC. Theo zawsze starał się ją uspokoić. Problemy się skończą, zapewniał. Trzeba tylko złożyć jakieś obietnice lokalnym wodzom. Wkrótce wszystko wróci do normy. Ale Charlotte nie dawała się udobruchać.

Świąteczna kolacja okazała się katastrofą. Zjedli ją tylko we troje. Większość innych rodzin mieszkających przy ulicy Milionerów umówiła się na wspólne świętowanie z przyjaciółmi, skoro nie mogli z krewnymi. Ale Charlotte była zbyt wściekła na OFC, a zwłaszcza na Richarda, żeby chcieć zadawać się z jego pracownikami. Czując się odpowiedzialna jako gospodyni, Kitty starała się poprawić nastrój, kładąc na stole świąteczne „krakersy”, które znalazła w sklepie Ahmeda. Były to tubki z czerwonej i zielonej krepiny ozdobionej srebrnymi płatkami śniegu, z drobnymi upominkami w środku. Theo, Charlotte i Kitty wyjmowali je po kolei, lecz żadne nie włożyło głupich czapeczek ani nie odczytywało dowcipów wypisanych na małych karteczkach. Między nożami i widelcami leżały porzucone ozdoby. Zapadła cisza, gdy Gabriel postawił na stole półmiski z pieczonym indykiem i dodatkami. Eustace przeszedł samego siebie (Cynthia byłaby dumna), ale nikt nie był specjalnie głodny.

Kitty wracała więc myślami do świąt w Australii. Millerowie szli do cioci Josie, gdzie na werandzie rozstawiano stół zrobiony z desek umieszczonych na kozłach. Kobiety przynosiły z dusznej kuchni półmiski z potrawami, a mężczyźni podwijali rękawy koszul i popijali piwo. Przy jednym końcu stołu zasiadało całe

plemię kuzynów. Wszyscy byli odprężeni i w dobrych humorach. Od wyjazdu z domu Kitty stale nawiedzały wspomnienia tych dobrych czasów. W tym roku ponure towarzystwo tworzyło jeszcze bardziej bolesny kontrast między przeszłością a teraźniejszością.

Przy śliwkowym puddingu i słodkim sosie z jajek i mleka z dodatkiem brandy Charlotte zaczęła mówić o tym, jak zwłoka we wdrażaniu projektu działa na pszczoły. One są wrażliwe, tłumaczyła. Mogą doświadczać negatywnych emocji. To, co robi im OFC, jest zbrodnią. Theo mógł jedynie jej współczuć. Gdy odwarknęła mu w odpowiedzi, Kitty poczuła się rozdarta między przyjemnością obserwowania ich kłótni a dziwnym instynktem opiekuńczym, którego nie rozumiała. Miała ochotę śmiać się z siebie. Żałowała męża, bo jego kochanka traktowała go obcesowo? To jakieś szaleństwo. A w ogóle co ona tu robi? Siedzi przy stole z tą parą, jakby była to najrozsądniejsza rzecz na świecie. Czemu po prostu nie wstanie i nie wyjdzie? W ciągu godziny byłaby w misji i celebrowała włoskie święta wspólnie z zakonnikami. Przy stole byłoby mnóstwo gości: Tesfa, siostra Clara, kilka zakonnicy, a także młody ksiądz z Kenii. Z kuchni przyszedłby Amosi razem z innymi pomocnikami. Taylor też miał być. I oczywiście Gili, hasający między nimi jak dziecko... Bardzo pragnęła im towarzyszyć. Nie mogła zrozumieć, czemu nie wsiada do samochodu i nie jedzie. Czy brakowało jej odwagi? A może wciąż czuła się lojalna wobec Theo? Czy to kwestia siły, czy słabości? Nie umiała na to odpowiedzieć. Mogła jedynie siedzieć przy stole w milczeniu i czekać, aż kolacja dobiegnie końca.

Po drugim dniu świąt cały personel OFC wrócił do pracy. Dyrektor do spraw rolnictwa składał wizyty lokalnym wodzom, usiłując przekonać ich do projektu z pszczołami. Niestety nie przyniosły one dobrych nowin dla Charlotte. Wagogo nie zgadzali się, tak jak przewidywał Taylor.



Charlotte zagroziła, że spakuje się i wróci do domu. Zaczęła spędzać czas w klubie, zamiast siedzieć przy biurku ustawionym dla niej w dyrekcji. Pewnego wieczora Kitty podsłuchiwała jej kłótnię z Theo. Oświadczyła, że ma pełne prawo jeść lunch w klubie z kimkolwiek zechce, w tym z Larrym Greenem. Theo sprawiał wrażenie zrozpaczonego. Nie dość, że przeżywał stres związany z Charlotte, to jeszcze był obciążony obowiązkami związanymi ze stanowiskiem dyrektora generalnego. Kitty martwiła się o niego. Ale dzieliła ich teraz tak wielka przepaść, że nawet nie próbowała z nim rozmawiać o kłopotach. Rozmowa skończyłaby się równie szybko, jak by się zaczęła.

Jej rozmyślania przerwała nagła wesołość. Pippa czytała teraz żart o mężczyźnie, który pomylił żonę z samochodem. Nawet Alice się śmiała. Nagle Kitty miała już dość tego siedzenia nad basenem. Przyjechała dziś rano, zgodnie z zaleceniem Theo, żeby ugruntować swoją pozycję pierwszej *memsahib*. Pojawiła się tu, a teraz mogła już wyjść.

Wstała i zaczęła składać ręcznik. Pippa uniosła wzrok znad magazynu, spoglądając na nią znad okularów przeciwsłonecznych w różowych oprawkach.

– Już nas opuszczasz?

Kitty kiwnęła uprzejmie głową.

– Mam sprawy do załatwienia.

Alice zmierzyła ją ostrym spojrzeniem.

– Przecież Diana wyjechała.

– Pojadę sama.

Kitty zauważyła, że kobiety wymieniły zaciekawione spojrzenia. Od czasu, gdy rozeszła się plotka o Theo i Charlotte, bacznie ją obserwowały, jakby jej życie było równie interesujące jak radiowa audycja w odcinkach.

– Ja też bym tak chciała – stwierdziła Evelyn z nutą zazdrości w głosie.

– Po co? – spytała Audrey ze zdumieniem.

– Zobaczyć, jak to jest.

Kitty uśmiechnęła się do Evelyn.

– Możesz przyjść, kiedy chcesz. Tylko daj mi znać.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie pozwolą mi.

– Pewnie nie – przyznała Kitty, patrząc na nią ze współczuciem.

Jej mąż był surowszy od innych.

– Evelyn, jeżeli nie masz co robić – odezwała się Alice – możesz popracować nad wieczorem kwizowym. Wciąż brakuje nam pytań.

Kitty włożyła ręcznik do torby i poszła do przebieralni.

\*

Kitty przebrała się szybko w czerwoną sukienkę w białe grochy w wilgotnej i zacienionej kabinie, nie myśląc o splukaniu chloru z ciała. Myślamy była już w pracowni. Zamierzała wykonać kolejną serię szkiców małej dziewczynki pozującej do rzeźby. Tulia okazała się idealną modelką. Stała zupełnie nieruchomo bez słowa skargi. Kitty nie wyobrażała sobie, żeby jakieś białe dziecko mogło tak długo jak ona wytrzymać w jednej pozycji. Pod koniec każdej sesji dawała jej butelkę fanty, którą mała piła pół godziny, łyček po łyczku. Kitty proponowała, że jej zapłaci, ale ojciec Remi twierdził, że pozowanie do rzeźby, która stanie w grocie, to dla Tulii wielki honor i pieniądze nie są potrzebne.

W tym samym czasie wyznaczono kilku więźniów do zbierania gliny z okolic źródła. Była jasna i gładka, zupełnie jak glinka porcelanowa, którą Yuri kupił od dostawcy w Londynie.

Wytarła ręcznikiem włosy, po czym wsunęła stopy w pantofle i uśmiechnęła się, przypominając sobie, z jaką dumą Taylor pokazał jej kulę gliny i ścisnął ją w rękach, prezentując odbite linie papilarne.

Już miała wyjść z przebieralni, gdy usłyszała głosy dochodzące zza ściany.

– *Umesikia habari?* Słyszałeś nowiny?

– Mów szybko, bracie, bo muszę wracać do kuchni.

Kitty zastygła. Obaj rozmówcy byli mężczyznami. Zdziwiło ją, dlaczego stali właśnie w tym miejscu. Zasadzono tam kolczaste krzewy, gdy jednego z bywalców basenu przyłapano na podglądaniu przez szpary w cienkich ścianach przebierających się ludzi.

Pierwszy głos mówił dalej, tym razem jednak ciszej. Dochodziły do niej jedynie fragmenty zdań.

– *...nyuki kutoka mbali...* Pszczoła z daleka.

– *Yule mwenye nywele nyekunu.* Ta kobieta o czerwonych włosach.

– *Mchawi.* Czarownica.

Potem usłyszała słowa, które zmroziły jej krew w żyłach.

– *Itauawa.* Będzie zabita. *Itafanyikiwa leo hii.* To się stanie dziś.

Wpatrywała się w ścianę, jakby mogła przeniknąć przez nią wzrokiem. Kto mówił takie straszne rzeczy? Z pewnością musiała się przesłyszeć lub źle zrozumiała. Lecz odkąd pracowała w misji, jej znajomość suahili bardzo się poprawiła. Znaczenie słów było jasne.

Przysunęła się bliżej ściany, nastawiając uszu i usiłując zrozumieć, gdy jeden z mężczyzn znowu zaczął mówić.

– Dziś wczesnym rankiem pojechali na wielkie pola. Chłopak Ahmeda mi powiedział. Sprzedaje im benzynę. – W głosie mężczyzny brzmiała wściekłość. – Ona chce powiesić te swoje domy z duchami. Wybrała już miejsce, bliźniacze drzewa *buyu*.

– Zasługuje na śmierć.

– Może już nie żyje.

W tym momencie dał się słyszeć trzeci głos dochodzący od strony basenu. Tym razem mówił po angielsku.

– Co wy dwaj tam robicie? Chcecie narobić sobie kłopotów?

Wracajcie do pracy.

Zaszeleściły krzewy i ktoś syknął z bólu. Domyśliła się, że mężczyźni przedzierają się przez krzaki. Podbiegła do drzwi i zobaczyła dwóch oddalających się Afrykanów. Byli ubrani w proste szorty i koszule, a na nogach mieli sandały ze starych opon samochodowych, jak wielu miejscowych z Londoni. Kitty popatrzyła za nimi bezradnie. Czy powinna wezwać strażników, żeby zatrzymali tych ludzi? Zaprzeczą wszystkiemu, co mówili. Poza tym to nie miało sensu. Jak Charlotte mogła ustawić dziś ule? Przecież Alice dopiero co narzekała, że jej mąż przez cały ten tydzień uczestniczy w spotkaniach z wodzami i nie ma czasu przyjechać do domu na lunch.

Pobiegła do samochodu, trzymając buty w rękach i nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia gości klubowych. Pojechała prosto do dyrekcji, jadąc tak szybko, że omal nie przejechała kury drepczącej po drodze. Gdy zaparkowała samochód, nie dostrzegła land rovera Theo. Zniknął nawet askarys, który zwykle pełnił przy nim wartę. Maszynistka Theo potwierdziła, że dyrektor wczesnym rankiem wyjechał z Londoni w towarzystwie lady Welmingham. Gdy podała nazwisko Charlotte, uśmiechnęła się do Kitty znacząco.

– Dokąd pojechali? – spytała Kitty.

– Na plantacje. Zabrali ze sobą ule. Nareszcie. – Kobieta zadrżała. – Mieszkam niedaleko boiska do futbolu. Cieszę się, że już ich nie ma.

Kitty wróciła do samochodu i pojechała na policję. Żołądek podchodził jej do gardła. Skomplikowane uczucia do męża zastąpił niepokój. Teraz chciała tylko mieć pewność, że jest bezpieczny.

Ku jej uldze naczelny inspektor stał przed głównym namiotem i właśnie miał wsiadać do dżipa pełnego askarysów. Wysłuchał z niecierpliwością jej relacji. Gdy skończyła, milczał przez chwilę, a ona zaciskała pięści z niepokojem.

– Wiem, że zabrali ule na plantacje – powtórzyła. – Tak powiedziano mi w dyrekcji.

– Wiem o tym – odpowiedział spokojnie. – Theo przyszedł do mnie w tej sprawie. Dałem mu uzbrojoną eskortę. Myślę, że nic im się nie stanie. A ja mam mnóstwo pracy. – Wskazał na ludzi w dżipie. W warsztatach naprawczych było włamanie.

Kitty popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Czy nie słyszał pan, co mówiłam? Ten człowiek powiedział, że ją zabiją. Dzisiaj.

Inspektor popatrzył na nią protekcjonalnie.

– Dlatego że ta dama jest czarownicą, tak? – Przewrócił oczyma. – Pani Hamilton, gdybym przejmował się każdą plotką i informacją o spisku, nie robiłbym nic innego, tylko ganiałbym jak szalony. Codziennie dostaję takie informacje. – Zachichotał. – Ale czarownica... Doprawdy...

– Pan nie rozumie – nie ustępowała. – Pszczoły to dla Wagogo święte owady. Kogoś, kto chce zakłócać ich spokój, nazywają *mchawi*.

Kitty wolała użyć terminu z języka suahili, bo nie kojarzył się ze spiczastymi kapeluszami, buzującymi kotłami i bajkami dla dzieci. Wiedziała, że *mchawi*, czyli czarownicy, zajmowali znaczące miejsce w społeczeństwie Tanganiki. Tesfa opowiadał, jak używali swoich mocy w dobrych sprawach, ale gdy mieli komuś zaszkodzić, byli przerażający. Przypomniał Kitty o przyjacielu Taylora, który poszedł po włócznie, żeby zdjąć zaklęcie. Gdyby tego nie zrobił, z pewnością by umarł. Oskarżenie kogoś o rzucenie czarów na sąsiada było bardzo poważną sprawą. Taka osoba mogła zostać wygnana z wioski, a nawet zabita. Bardzo często oskarżano o czary stare kobiety bez mężów lub synów, którzy mogliby stanąć w ich obronie. Zrzucano na nie winę za wybuch epidemii, suszę lub inne nieszczęścia. Działająca na północy kraju misja pasjonistów przyjmowała takich wygnańców, ale zakonnicy nie mieli dość

miejsca, żeby przyjąć wszystkie kobiety szukające u nich pomocy. Były to smutne sprawy. Istnieli jednak również prawdziwi *mchawi* posiadający moc czynienia wielkiego zła. Nie miało znaczenia, do której grupy została zaliczona Charlotte. Groziło jej poważne niebezpieczeństwo.

Inspektor westchnął.

– W razie kłopotów wkroczą askarysi, więc nie ma się czego obawiać. Myślę, że jest pani trochę przewrażliwiona. – Uśmiechnął się współczująco. – Może czuje się pani osobiście w to zaangażowana i chciałaby, by lady Welmingham uznano za czarownicę. Trudno się temu dziwić.

Kitty patrzyła na niego przez chwilę, a słowa, które cisnęły się jej na język, usłyszała kiedyś w szopie postrzygaczy. Musiała zebrać w sobie całą siłę woli, żeby odwrócić się i odejść.

\*

Hillman toczył się drogą prowadzącą na plantacje, przeskakując z jednego wyboju na drugi. Kitty ścisnęła mocno kierownicę, żeby utrzymać kontrolę nad autem. Cały czas patrzyła przed siebie, ale gdy pojawiły się plantacje, zerkała na boki, gdy tylko mogła. Orzeszki ziemne zdążyły już urosnąć do odpowiedniej wysokości, tworząc na ziemi jasnozielone plamy. Rosły w idealnie równych rzędach, które przypominały jej rzędy warkoczyków plecionych przez wiejskie dziewczęta. Nawet na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że nie wszędzie wzeszły jak należy. Niektóre wyglądały marnie, a w oddali zauważyła duży pusty zagon.

Wydawało się, że plantacje ciągną się w nieskończoność, lecz po jakimś czasie dotarła do czegoś w rodzaju osady. Sądząc z warunków, jakie tam panowały, wywnioskowała, że musi to być obóz afrykańskich pracowników. Składał się z ustawionych

rzędami namiotów, podobnych do tych w Londoni, lecz wyglądał na przepełniony, bo przy brezentowych ścianach wyrosły prymitywne budy ze starej blachy, sklejk, a nawet kartonu. Razem ze stosami palących się tu i tam śmieci te prymitywne konstrukcje tworzyły obraz nędzy. Obóz był wyludniony. Kitty przypuszczała, że robotnicy są w polu lub w warsztatach. Ich rodzin oczywiście tu nie było.

Jechała dalej. Namioty ustąpiły teraz miejsca długim barakom i kantynom. Był też półokrągły barak – mniejsza wersja tego, w którym mieścił się klub w Kongarze. Stały przed nim stojące na bokach wielkie, drewniane szpule po kablach, zastępując stoły. Za krzesła służyły skrzynie. Na stojącej obok tabliczce wypisano kolorową farbą „Obóz Pracowników Kontraktowych”. Przy jednym ze stołów siedziało przy piwie dwóch białych mężczyzn w brudnych podkoszulkach i szortach. Kitty zatrzymała się przy nich i opuściła szybę.

– Gdzie jest biuro? – zawołała.

– Pani również życzę wspaniałego dnia – rzucił ironicznie jeden z mężczyzn z wyraźnym irlandzkim akcentem.

– Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna, ale to pilna sprawa.

Irlandczyk zmierzył Kitty sceptycznym wzrokiem, po czym wskazał kierunek, w którym jechała.

– Nie może pani go przegapić.

Samochód ruszył, po czym nabrał prędkości. Kitty z trudem przełknęła ślinę, usiłując zdusić niepokój ściskający żołądek. Gdzieś tu był Theo. I Charlotte ze swoimi pszczołami. Musi ich znaleźć i powstrzymać, zanim nie będzie za późno. Przypomniała sobie mrozącą krew w żyłach uwagę o Charlotte, którą podsłuchiwała.

„Może już nie żyje”.

Kitty zrobiło się niedobrze. Charlotte nie zrobiła nic – łącznie z tym, że spała z jej mężem – co zasługiwałoby na tak straszny

los. Ale mieli przecież askarysów do pomocy, pomyślała. Ludzie z karabinami byli odpowiednim przeciwnikiem dla tłumu uzbrojonego jedynie we włócznie i noże, bez względu, jak bardzo byłby wściekły.

W końcu jej oczom ukazało się skupisko wielkich bud i zbiorników wodnych. Zbliżając się do nich, wypatrywała land rovera Theo. Przed głównym budynkiem stał rząd samochodów, lecz były to tylko ciężarówki, traktory i wielkie kombajny żniwne.

Zatrzymała się przed wejściem i biegiem rzuciła się do drzwi. Miała nadzieję, że to nie jest plantacja kontrolowana przez Larry'ego Greena – skomplikowałoby to sytuację. Wchodząc do środka, układała sobie w myślach, co powie. W przypadku inspektora zbytnio się pospieszyła, pragnąc, żeby zrozumiał. Musi sprawić, żeby ten mężczyzna tutaj potraktował ją poważnie. Kierownik plantacji nie miał władzy nad Theo, ale przynajmniej mógł wiedzieć, gdzie go szukać. A potem... Zwolniła kroku. Nigdy jej się nie udało przekonać Theo, żeby jej wysłuchał, dlaczego więc teraz miało być inaczej? Ale musi spróbować.

W środku było gorąco i pełno ludzi. Rozejrzała się wokół pospiesznie. Dwóch czarnoskórych majstrowało przy silniku, który leżał w częściach na podłodze. Obok stało biurko, a na nim znajdowały się elektryczny wiatrak i złamany ołówek. Krzesło było puste.

– *Wapi bwana?* Gdzie jest szef? – spytała Afrykanów.

Mężczyźni machnęli ręką w nieokreślonym kierunku.

– Nie ma go tu, *memsahib*. Jest na dworze.

Kitty odwróciła się i ruszyła do drzwi. Zatrzymała się gwałtownie, gdy jakaś postać zastąpiła jej drogę w drzwiach. Starając się uniknąć zderzenia, rozpoznała sylwetkę mężczyzny. Po chwili stali już twarzą do siebie.

– Kitty! Co ty tutaj robisz? – Musiał dostrzec jej zdenerwowanie, bo zmarszczył brwi. – Co się stało?



Nie musiała przy nim starannie dobierać słów, bo wiedziała, że uwierzy w to, co miała do powiedzenia. Po prostu wyrzuciła to z siebie. Przerwał jej, gdy wspomniała o bliźniaczych baobabach.

– Są na trzeciej plantacji. Chodźmy do twojego samochodu.

Wybiegł na zewnątrz, a Gili za nim.

Sądziła, że Taylor usiądzie za kierownicą, ale zajął miejsce dla pasażera. Gdy podciągnął długie nogi, Gili wskoczył mu na kolana, podekscytowany nowym miejscem, po czym usadowił się na tylnym siedzeniu.

– Wróć do głównej drogi – polecił Taylor. – Potem skręć w lewo.

Jadąc, opowiedziała mu jeszcze raz wszystko, co podsłuchiwała. Gdy zasugerowała, że uzbrojeni askarysi zdołają ochronić Charlotte od planowanego na nią ataku – nawet gdyby w grę wchodził tłum ludzi – pokręcił ponuro głową.

– Mogą ochronić ją i Theo, ale rezultat i tak będzie katastrofalny. To, co może najbardziej rozzłościć Wagogo, to zawieszenie obcych pszczół na bliźniaczych *buyu*. One są święte. Kobiety, które nie mogą zająć w ciążę, składają im ofiary. Anglicy byliby równie niezadowoleni, gdyby ktoś zbezczeszczył opactwo Westminster.

Jechali w milczeniu, jakby każde następne słowo mogło spowolnić samochód. Kitty była wdzięczna, że Taylor jest przy niej, pomimo dręczącego ją niepokoju. Podejrzewała, że wcześniej nie udało mu się przemówić Theo do rozsądku, miała jednak nadzieję, że na plantacji będzie inaczej. Odcięty od dykcji ze wszystkimi towarzyszącymi jej oznakami władzy Theo z pewnością zda się na doświadczenie Taylora, jego znajomość ludzi i tutejszych obyczajów. Będzie musiał zrozumieć.

Ich oczom ukazał się samotny baobab stojący pośrodku plantacji. Otaczały go rzędy zielonych pędów. Kitty zastanawiała się, czy zostawili drzewo przez szacunek do olbrzyma czy też

musieliby włożyć zbyt dużo pracy w usunięcie go. Przy pniu stał na baczność samotny askarys.

– Wygląda na to, że już zaczęli działać – stwierdził Taylor, wskazując na coś, co z tej odległości wyglądało jedynie na zarys czegoś ciemnoszarego, wiszącego na drzewie.

Pokazał Kitty, żeby skręciła z drogi. Nie zwalniając, wjechała na miękką ziemię. We wstecznym lusterku zobaczyła wylatujące spod kół splątane rośliny.

Taylor wysiadł, zanim jeszcze na dobre się zatrzymali i podbiegł do askarysa. Nastąpiła szybka wymiana zdań w języku suahili. Kitty nie była w stanie jej zrozumieć, ale zauważyła, że czarnoskóry strażnik był zdenerwowany i zaniepokojony.

Taylor wrócił do samochodu.

– Zaczęli od tego drzewa. Nie mieli problemów, ale na wszelki wypadek zostawili na straży tego askarysa. Nie chce tu stać. Uważa, że te pszczoły są zaczarowane. Powiedział, że dwie godziny temu wszyscy pojechali do bliźniaczych baobabów. Miejmy nadzieję, że nie przyjedziemy za późno.

W końcu zobaczyli wierzchołki dwóch baobabów otoczonych gęstymi krzewami, które nie chciały się poddać buldożerom. Tak jak poprzednio Kitty skręciła i ruszyła na przełaj przez pole.

Ich oczom ukazały się niższe gałęzie. Kitty gwałtownie wciągnęła powietrze. Wokół pni zgromadził się tłum Afrykanów. Musiała być ich tam setka. Niedaleko stał land rover. Taylor zaklął cicho.

Kitty patrzyła przed siebie, zerkając od czasu do czasu na pojawiającą się we fragmentach scenę. Sterczące pod różnymi kątami czubki włóczni. Tradycyjne stroje w kolorze ochry z odcieniem czerwieni. Słońce odbijające się w szybach land rovera. Ubranych w mundury khaki askarysów stojących przed tłumem. A w środku, w luce między dwoma pniami, błysk rudych włosów i miodowa bluza. Kapelusz od słońca Theo i zarys jego twarzy.

– Zatrzymaj się tu – polecił Taylor, gdy znaleźli się w odległości jakichś czterdziestu pięciu metrów.

Gdy Kitty zgasiła silnik, usłyszała, jak jeden z askarysów coś wrzeszczy do tłumu. Jakiś mężczyzna coś odkrzyknął, a za nim inni i zabrzmiała monotonna pieśń coraz głośniejsza i dziksza, w miarę, jak dołączały się kolejne głosy. Hałas wystraszył Gilego, który wskoczył Kitty na ręce i się przytulił.

– Jeżeli sytuacja wymknie się spod kontroli, odjedź stąd. – Taylor spojrzał jej w oczy. – Mówię poważnie. Chcę, żebyś była bezpieczna.

– Uważaj na siebie – zawołała za nim, gdy zaczął się oddalać.

Taylor szedł w kierunku tłumu, trzymając ręce lekko odsunięte od boków. Kitty domyśliła się, że chce pokazać, że nie jest uzbrojony. Zanim dotarł do stojących na końcu ludzi, ci zaczęli przepychać się do przodu, unosząc w górę włócznie. W odpowiedzi askarysi wycelowali w tłum bagnety, żeby zmusić napierających do cofnięcia się. Zrobiło się zamieszanie. Ludzie zaczęli krzyczeć i unosić w górę pięści, ale żołnierzom udało się nad nimi zapanować i wokół Theo i Charlotte powstała pusta przestrzeń.

Kitty wyciągnęła szyję, usiłując zobaczyć coś więcej. Charlotte chowała się za plecami Theo, kręcąc głową na boki, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom. Natomiast Theo stał ze splecionymi na piersi rękoma. Jeżeli się bał, to nie okazywał tego. Wyglądał jak przełożony szkoły, patrzący na niesforną grupę uczniów. Zachowywał się z godnością i czekał, aż motłoch się uspokoi.

Gdy pojawił się Taylor, tłum zafalował i rozstąpił się, pozwalając mu przejść. Ludzie wołali coś do niego, a on kiwał głową w odpowiedzi na ich słowa. Szedł wolno, spokojnie, jak ktoś podchodzący do ptaka, który może się przestraszyć i odfrunąć.

Kitty była ciekawa, jak Theo się zachowa na widok Taylora. Ale

nawet gdy ten stanął przed nim, jej mąż udawał, że go nie dostrzega. Ludzie znowu zaczęli napierać. Jeden z askarysów pchnął ostrzegawczo bagnetem. Taylor odwrócił się w stronę Afrykanów i zaczął spokojnie mówić. Kitty widziała jego gesty, lecz była za daleko, żeby rozróżnić słowa.

W tym momencie Charlotte powiedziała coś podniesionym, piskliwym głosem, wskazując władczy gestem na otaczających ją ludzi, czym rozsierdziła tłum. Taylor uniósł dłonie, żeby uspokoić emocje.

Kitty odwróciła głowę, słysząc zbliżający się warkot silnika samochodowego. Był to dżip, podążający śladami, które zostawiła na polu. Domyśliła się, że mechanicy musieli podsłuchać jej rozmowę z Taylorem i zaalarmowali szefa. Gdy auto podjechało bliżej, zobaczyła za kierownicą Larry'ego Greena.

Wysiadła z samochodu i zrobiła kilka kroków w stronę tłumy. Theo wciąż stał nieruchomo niczym rzeźba z drewna, nie zwracając uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Kitty poczuła, jak mięśnie jej się napinają. Nie była pewna, raczej instynkt jej to podpowiadał, że Theo tak naprawdę jest gdzie indziej, w innym miejscu i czasie. Usiłowała wyswobodzić się z objęć Gilego i zanieść go do auta, lecz on nie chciał jej puścić. Im bardziej ciągnęła go za ręce, tym mocniej do niej przywierał. Najwyraźniej przerażała go rozgrywająca się scena. Domyśliła się, że to zamieszanie przypomniało mu, przez co przeszedł, gdy go schwytano, a potem torturowano.

Objęła go ramionami i ruszyła w stronę tłumy. Cały czas patrzyła na Theo, czując, jak wali jej serce. Gdy podeszła bliżej, dostrzegła nieobecny wyraz na jego twarzy.

Nagle Theo zaczął krzyczeć.

– Uciekaj! Uciekaj!

Kitty rozpoznała te słowa i ton, z jakim zostały wyrzucone, z nocnych koszmarów męża. Zaczęła biec, przyciskając Gilego do piersi. Zauważyła, że Afrykanie zrozumieli jego krzyki jako atak

na nich. Taylor wpatrywał się w Theo, nie rozumiejąc jego zachowania.

– Nie! Nie! – krzyknął Theo, kręcąc głową.

Kitty zauważyła, że sięga do kieszeni i jak w zwolnionym tempie wyjmuje pistolet i odbezpiecza go.

– Theo, nie! – zawołała. – Nie rób tego!

Jej głos wyrwał go z transu. Popatrzył w jej stronę, lecz jej nie zauważył.

– Porozmawiaj ze mną – prosiła. – Zaczekaj!

Stał jak przymurowany z pistoletem w ręku. W tej chwili Charlotte zaczęła krzyczeć. To musiało wywołać w nim panikę. Odwrócił się w prawo, potem w drugą stronę, jakby szukał ukrytego wroga. Taylor podbiegł do niego, prosząc, aby opuścił broń. Ale Theo nie zwrócił na niego uwagi. Uniósł niezdarnie pistolet i zaczął strzelać na oślep.

Oczy Kitty się rozszerzyły. To nie dzieje się naprawdę, pomyślała. Ale mężczyzna na wprost Theo upadł na ziemię. Potem następny. Gdzieś za plecami usłyszała dźwięk tłuczonej w samochodzie szyby i sypiącego się szkła. Theo strzelał jak szalony we wszystkich kierunkach. Pochyliła się w stronę Gilego. Ludzie zaczęli krzyczeć. Zapanował chaos, gdy rzucili się do ucieczki, popychając się i tratując leżących.

Taylor znalazł się tuż za nim. Theo jakby na chwilę oprzytomniał, potrząsnął głową, usiłując wrócić do rzeczywistości. Zaraz jednak jego twarz znowu zmieniła się w maskę i oczy mu pociemniały. Krzyk uwiązł jej w gardle, gdy zobaczyła, jak lufa pistoletu – srebrna smuga – unosi się na wysokość głowy Taylora.

Kolejny głośny huk – ostry i wyraźny – odbił się echem nad równinami. Kitty zamarła. Nagle cały świat się zatrzymał. Theo zatoczył się i upadł na ziemię. Patrzyła przerażona, jak krew wypływa mu z rany na plecach i zalewa materiał khaki. Rozległ się kolejny strzał. Dopiero wtedy zauważyła stojącego po jej lewej

stronie askarysa z karabinem przyciśniętym do ramienia, szykującego się do strzału.

Taylor krzyknął coś do niego. Kitty nie musiała tłumaczyć jego słów, żeby wiedzieć, co mówi.

Nie strzelaj! Nie strzelaj!

On już jest martwy.

Kitty wykrzyknęła imię Theo, biegnąc ku niemu. Leżał na brzuchu, z twarzą zwróconą na bok. Krew wypływała mu z czerwonej dziury w skroni. Miał szeroko otwarte oczy i uniesione brwi, jakby wciąż usiłował zrozumieć, co się dzieje. Kitty wpatrywała się w niego bez ruchu. Jej mózg i serce nie chciały zaakceptować tego, co widzą oczy.

Szok zawładnął jej ciałem i pozbawił ją uczuć i myśli. Zaczęła gwałtownie oddychać. Drobnym wrażeniom urosły do wielkich rozmiarów, jakby chciały odciągnąć jej uwagę od koszmaru – twarda ziemia pod stopami, kwaśny zapach prochu drażniący nozdrza, przeraźliwy krzyk ptaka przelatującego nad głową.

Mijały sekundy, puste i bezkształtne. Kitty wpatrywała się w ciało Theo. Jego nieruchome oczy. Złociste włosy poplamione krwią. Jak przez mgłę widziała chodzącego w pobliżu Taylora. Podniesione głosy askarysów. Słyszała lament Charlotte, ale z pewnej odległości. Potem rozległ się zszokowany, niepewny głos Larry'ego, mówiącego coś niewyraźnie.

Kitty z trudem obróciła głowę. Taylor klęczał przy Afrykaninie leżącym na ziemi.

– *Wapi unasukia uchungu?* Gdzie cię boli? Pokaż.

Obejrzał go pospiesznie, po czym przeszedł do drugiego mężczyzny postrzelonego w nogę. Obok jeden z askarysów zakładał opatrunek komuś postrzelonemu w ramię. Dwóch innych Afrykanów miało jedynie niegroźne rany. Nikt nie zginął z wyjątkiem Theo, pomyślała.

Theo nie żyje.

Nie dopuszczała do siebie tych słów. Powinna zająć się

rannymi. Janet nauczyła ją, jak nieść pierwszą pomoc, żeby wiedziała, co robić, gdy zajdzie taka potrzeba. I właśnie teraz była potrzebna. Ale jej ciało było jak z kamienia. Nie mogła się ruszyć.

Taylor wstał, podszedł do niej i przykucnął obok.

– Och, Kitty... tak mi przykro. Chciałem go powstrzymać... – Urwał, jakby zabrakło mu słów.

Kitty pokręciła w milczeniu głową. Nie mogła mówić. Taylor położył dłoń na jej ramieniu. Jego dotyk był mocny, ale delikatny. Miała ochotę przytulić się do niego, ukryć mu twarz na piersi. Wiedziała jednak, że jeśli sobie na to pozwoli, załamie się. Tulila więc tylko Gilego do piersi.

– Kitty, posłuchaj – powiedział Taylor niskim, spokojnym głosem. – Musimy stąd zniknąć. – Odwrócił głowę i zmarszczył brwi. Afrykanie zebrali się za baobabami. Kręcili się tam niespokojnie. Czubki włóczni połyskiwały w słońcu. – Ponownie spojrzął na Kitty. – To jeszcze nie koniec kłopotów.

Kitty kiwnęła głową. Wstała, uniosła rękę, żeby odsunąć włosy z twarzy. Nagle znieruchomiała, bo zobaczyła kapiącą z ręki krew.

Nie mogła oderwać od niej oczu. Czerwień, rozmazana przez łzy, niczym mgła spowiała jej mózg. Usiłowała myśleć, przekonywać siebie, że Theo do niej nie strzelał. To był przypadkowy strzał, jak ten, który trafił w samochód. Nie celował do nikogo, może z wyjątkiem uczestników jego wizji. Starła się zlokalizować ból, ale ogarnęło ją otępienie. Gili nie zaprotestował, gdy Taylor wziął go na ręce. W momencie gdy oboje trzymali małąkę na rękach, zauważyli źródło krwi. To nie Kitty została postrzelona, lecz Gili, który osłonił ją swoim ciałem.

Ten nowy szok rozjaśnił umysł Kitty i pozwolił się skupić. Poczowała, że wracają jej siły. Wzięła Gilego z rąk Taylora i ułożyła zwierzę na ziemi. Przykucnęła i przyłożyła ucho do jego piersi. Usłyszała słabe, ale miarowe bicie serca i poczuła płytki oddech na policzku. Spojrzała w pełne bólu oczy Taylora.

– Żyje.

Obejrzała zaplamione futerko i znalazła dwie rany, jedną małą, lecz drugą szeroką, z której cały czas płynęła krew.

Taylor wyjął z kieszeni chustkę i przycisnął ją do rany, żeby zatkać dziurę.

– To rana wylotowa – powiedział. – Tędy wyszła kula. – Popatrzył na lewy bok Kitty. – Miałś szczęście, że cię ominęła. Uratował cię kąt strzału albo sposób, w jaki trzymałaś Gilego.

Gdy Kitty przyciskała chustkę do rany, Taylor odciął scyzorykiem kawałek koszuli i zrobił z niego opatrunek. Potem mocno obwiązali drugą ranę. Po wszystkim Kitty wstała i wzięła małąkę na rękę. Taylor sprawiał wrażenie rozdartego. Wyciągnął rękę do Gilego, lecz zaraz odwrócił się i podszedł do askarysa i rannych mężczyzn.

Tymczasem Kitty z Gilim wróciła do Theo. Pierwsze muchy brzęczały przy cieknącej ranie. Krew w gorącym słońcu zaczęła już krzepnąć na jego ciele.

Odwróciła głowę. Znowu miała wrażenie, że gdyby zaakceptowała fakty, nie byłaby w stanie ich znieść. Zamiast tego skupiła wzrok na Taylorze, który wydawał instrukcje askarysom. Przez cały czas chodziło za nim dwóch Wagogo, którzy gestykulowali i coś głośno do niego mówili. Taylor odpowiadał im spokojnie, ale widziała, że się martwi.

Podszedł do askarysa, który strzelił do Theo. Mężczyzna siedział na ziemi, z twarzą ukrytą w dłoniach i karabinem leżącym na ziemi.

– *Umeamua vizuri*. Podjąłeś właściwą decyzję – powiedział do niego Taylor. – Musiałeś strzelić.

Askarys uniósł głowę i spojrzał Taylorowi w oczy. W końcu kiwnął głową i opuścił z ulgą ramiona.

Taylor zebrał trzech mężczyzn i polecił im podnieść ciało Theo za ręce i nogi. Potem podtrzymując mu głowę, ruszył z pomocnikami w stronę hillmana. Kitty została w miejscu, gdzie



leżał mąż, wpatrując się w ciemną plamę na ziemi. Niedaleko stały bliźniacze baobaby, ciche i czujne. Przyjrzała się znajdującym się najbliżej gałęziom. Dostrzegła kawałki materiału przywiązane do szarych chudych odnóży. Niektóre umieszczono tam niedawno, bo wzory nadal były jasne. Inne zaś stare, wytarte i spłowiałe. Zauważyła również zawieszane małe figurki i skórzane woreczki na amulety. Emanowała z nich jakaś siła i obcość. Theo i Charlotte nie powinni byli tu przychodzić. W ogóle nie powinno być tu plantacji. Jej też nie powinno tu być.

Odrywając wzrok od gałęzi, zobaczyła, że grupa Wagogo podeszła bliżej. Kilka osób patrzyło na nią z niechęcią, inne z ciekawością. Z boku grupy stała stara kobieta. Kitty spojrzała na nią ze zdziwieniem. Co robiła wśród tych mężczyzn? Napotkała jej uporczywy wzrok – o śmiałym wejrzeniu w pomarszczonej twarzy. Kobieta przyłożyła rękę do piersi w miejscu, gdzie biło serce. Kitty domyśliła się, że jest to przekaz jednej do drugiej o tragedii, do której przed chwilą doszło. Ta wymiana spojrzeń ze starą kobietą dodała Kitty siłę, jakby jej strata była częścią wszystkich strat, jakie inni przed nią ponieśli i przeżyli. Kitty wolno kiwnęła głową, po czym odeszła w ślad za ciałem męża.

Gdy znalazła się przy samochodzie, zobaczyła, że Theo leży teraz na tylnym siedzeniu. Nogi miał zgięte, żeby można było zamknąć drzwi. Ktoś przykrył go *kitenge*. Czerwono-żółto-zielony wzór wydawał się zbyt kolorowy, zbyt żywy. Kitty usiadła na miejscu pasażera, a Taylor za kierownicą.

– Możemy jechać – oznajmił. – Larry przywiezie pozostałych.

Zanim włączył silnik, pochylił się nad Gilim, który leżał na kolanach Kitty. Delikatnie pogładził małą główkę i przełknął ślinę, jakby chciał powstrzymać emocje.

– *Mwanangu gwe*. Mój kochany synek – szepnął.

Ten czuły zwrot poruszył serce Kitty. Żal z powodu śmierci Theo zmieszał się z obawami o Gilego i współczuciem dla Taylora. Zalała ją fala trudnego do zniesienia bólu. Pochyliła

głowę i popatrzyła na bezwładne ciało leżące na sukience w białe grochy. Łzy wezbrały jej pod powiekami i spłynęły po policzkach, kapiąc na miękkie, szare futerko.

\*

Gili miał zamknięte oczy i bezwładne kończyny. Ślina spływała mu ze zwiotczonych warg. Nadal krwawił, ale już nie tak mocno. Chusteczka zmieniła się w mokrą, czerwoną kulę. Kitty nie miała odwagi sprawdzić mu puls. Od czasu, gdy słuchała bicia jego serca, minęło co najmniej pół godziny, lecz on ani nie poruszył się, ani nie wydał żadnego dźwięku. Wiedziała, że może być na granicy śmierci. Pragnęła, żeby Taylor jechał szybciej, rozumiała jednak, że z jednej strony chciałby wyciągnąć z samochodu, ile się da, a z drugiej wolał nie narażać Gilego na wstrząsy na wybojach.

Gdy Kitty obserwowała Gilego, jej myśli nieustannie wracały do tego, co się zdarzyło. Przed oczyma jak w kalejdoskopie przepływały obrazy strzelającego na oślep Theo, pistoletu, małej, prostej lufy... Krzyki, wrzaski. Potem ten pojedynczy, głośniejszy strzał i Theo pada. Każdy ruch, każde wypowiedziane słowo były takie ostre i wyraźne. Przez chwilę nie miała wątpliwości, co się stało, lecz zaraz potem nie mogła uwierzyć, że Theo nie żyje, chociaż leżał na tylnym siedzeniu, za jej plecami.

– Inni też za nami jadą.

Głos Taylora przerwał jej rozmyślenia. Kitty popatrzyła we wsteczne lustro. W pewnej odległości za nimi, unikając kurzu, jaki wzbijał hillman, jechał Larry w otwartym dżipie. Obok niego siedziała Charlotte. Pęd powietrza rozwiewał rude włosy. Z tyłu Kitty dostrzegła rannych Wagogo. Nie było askarysów w czerwonych fezach, ale domyśliła się, że jadą land roverem. Już miała się odwrócić, omijając wzrokiem kształt przykryty

materiałem, gdy nagle coś zwróciło jej uwagę. Ręka Theo zwisała z siedzenia. Serce jej się ścisnęło. Sprawiała wrażenie takiej delikatnej i bezbronnej, a zegarek wydawał się zbyt duży i ciężki. Miał perłowy cyferblat zamknięty w białym złocie. Przypomniała sobie, jak Theo opowiadał, że dostał go w prezencie od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny. Ten zegarek wiele dla niego znaczył, bo wybrał go admirał, nie Louisa. Poczowała przyływ współczucia dla teściów, którzy wkrótce usłyszą straszną nowinę. Ale nie mogła teraz o tym myśleć. Musiała dać sobie radę z własnymi emocjami. Oderwała wzrok od zegarka. Coś jeszcze przyciągnęło jej uwagę – mała blizna na przedramieniu męża, skutek zabawy scyzorykiem w dzieciństwie. Ta biała plamka rozproszyła w końcu chmurę nierzeczywistości w umyśle Kitty. To ciało leżące na tylnym siedzeniu, nieruchomy, milczący kształt, to naprawdę był Theo. Mężczyzna, którego kiedyś tak bardzo kochała. Jedyny kochanek, jakiego miała.

Cofnęła się myślami w przeszłość i odsuwając na bok ostatnie lata, zobaczyła go takiego, jakim był, gdy się poznali – pełnym nadziei i marzeń młodym człowiekiem. Zanim wojna go złamała. Zanim znów stał się Hamiltonem. Wyobraziła go sobie w goglach i cywilnej kurtce, jak stoi przy jasnoczerwonym samolocie. Jakże kochał być w powietrzu i mieć cały świat u stóp.

Utkwiła wzrok w przedniej szybie samochodu. Niemal czuła myśli wirujące jej w głowie, emocje, które czekały, żeby znowu ją porwać, ale powstrzymała je. Skupiła się tylko na Theo. Teraz już mógł swobodnie latać. Koszmary się skończyły. Wyobraziła sobie, jak jego dusza wznosi się ku afrykańskiemu, błękitnemu niebu, pozostawiając za sobą wszelkie kłopoty, i niczym orzeł szybuje nad ziemią.

# Rozdział dziewiętnasty

Taylor zatrzymał się przed siedzibą policji i nie wyłączając silnika, wcisnął klakson. Po kilku sekundach pojawił się inspektor z wyrazem oburzenia na twarzy. Dostrzegł Kitty siedzącą na miejscu pasażera i ruszył w jej stronę, marszcząc gniewnie krzaczaste rudawe brwi. Taylor dał znak, żeby podszedł do niego.

– Przypuszczam, że wytłumaczy pan ten niedopuszczalny brak manier – powiedział inspektor, odsuwając się od okna.

– Hamilton został zabity – wyjaśnił Taylor beznamiętnym, ściszym głosem. – Leży z tyłu.

– Co? – Inspektor odwrócił głowę. Gdy zajrzał na tył samochodu, wytrzeszczył oczy zaskoczony.

– Green wiezie do szpitala trzech rannych – dodał Taylor, po czym wskazał na Gilego. – Jedziemy do weterynarza. Wrócę tak szybko, jak będę mógł.

– Nie, nie. Nie ma mowy. – Inspektor położył rękę na samochodzie, jakby chciał go zatrzymać. Wskazał na wysypany żwirem parking oznaczony białymi kamieniami. – Proszę tam podjechać.

Taylor pokręcił głową.

– Nie zatrzymamy się teraz – odpowiedział i odjechał, gdy inspektor wciąż zastanawiał się nad jego słowami.

Przed oczyma Kitty pozostała twarz inspektora wyrażająca szok i niedowierzanie, a raczej ich parodię. Poczwała falę niechęci do tego człowieka – sposób, w jaki ją spławił, odmawiając pomocy. Wyczuła, że teraz też nie obchodzi go, co zaszło dziś na plantacjach. On tylko lubił dowodzić.

Nagle zapomniała o wszystkim i znieruchomiała. Zdawało jej się, że coś usłyszała. Pochyliła się z uwagą nad Gilim.

– Co się stało? – spytał Taylor.

Nie odpowiedziała, cały czas skupiona na małpce. Po kilku ciągnących się w nieskończoność chwilach usłyszała ciche skomlenie, a potem, gdy przyjrzała się twarzy zwierzątka, zauważyła drżenie powiek.

– Chyba odzyskuje przytomność.

Taylor uśmiechnął się z ulgą, lecz na krótko. Wiedział równie dobrze jak Kitty, że odzyskanie przytomności to dopiero mały krok.

Kitty pogłaskała małpkę, muskając jedynie futerko, trzymając na wodzy wirujące w głowie myśli.

Gdy podjechali do małego, murowanego budynku, mieszczącego oddział weterynaryjny, poszukała wzrokiem pikapa Alana Carra. Istniało duże prawdopodobieństwo, że weterynarz był w terenie. Jego pasją był eksperymentalny program reprodukcyjny – hodowla bydła miała być jeszcze jednym sposobem na ożywienie gospodarki na tym terenie. Często jeździł wokół Londoni z jedną lub dwiema krowami na tylnym pomoście samochodu. Odetchnęła z ulgą, widząc pikap stojący pod drzewem. Z boku budynku widniał napis „Wejście”. Drzwi do wnętrza były otwarte.

Taylor wyłączył silnik. Nagłą ciszę przerwało pianie koguta w oddali, tykanie stygnącego silnika, skrzypienie sprężyn. Kitty patrzyła na bezwładne ciało, gorąco pragnąc, żeby kończyny się poruszyły. Ale Gili leżący jej na kolanach równie dobrze mógł już nie żyć.

Taylor otworzył drzwi od swojej strony, wpuszczając do środka chmurę pyłu.

– Zaniosę go – powiedział. – Wrócę tak szybko, jak się da.

– Nie, zaczekaj – powstrzymała go. Nie chciała zostać sama. Lecz z drugiej strony nie chciała zostawiać ciała Theo. Gdy

zastanawiała się, co robić, usłyszała hałas i chmura pyłu wzbiła się w górę. Nadszedły dwa dżipy, jeden za drugim. W pierwszym siedział inspektor, w drugim askarysi.

Inspektor wysiadł, jak tylko samochód się zatrzymał. W ręku miał notatnik. Kitty skuliła się na jego widok. Nie była w stanie znieść jego osoby.

– W porządku – powiedział Taylor. – Zajmę się nim. Ty idź z Gilim.

Zaczekała, aż Taylor otworzy jej drzwi, i wysiadła. Trzymała sztywno małąkę w ramionach, starając się nie uciskać ciała.

– To nie potrwa długo – powiedział Taylor.

Nie poruszyła się. Nagle ogarnęło ją przerażenie. Stracą Gilego, tak jak straciła Theo. Usiłowała głęboko odetchnąć, lecz zabrzmiało to jak łkanie.

Taylor delikatnie odsunął jej włosy z twarzy i lekko skinął głową. Wiedziała, co to oznacza. Wytrzymaj jeszcze trochę. Dasz radę. Gdy spojrzał jej w oczy, poczuła, jak przenika ją jego siła. Uniosła brodę i kiwnęła głową.

\*

– W czym mogę pomóc, pani Hamilton?

Gdy weszła do sali, weterynarz nawet nie uniósł głowy znad mikroskopu. Słabo znała Alana, spotkali się tylko raz lub dwa przed klubem. On rzadko brał udział w towarzyskich wydarzeniach. (Panie z klubu nie umiały zdecydować, czy to z powodu skandalu, jaki wywołał romans jego żony ze zmarłym mężem Cynthii, czy też dlatego że cały czas poświęcał pracy). Dziś Kitty była zadowolona, że cechą charakterystyczną Alana jest szorstkość. Nie miała siły na pogawędkę lub wymianę grzeczności. I nie chciała rozmawiać o tym, co zaszło, wyjaśniać, dlaczego ma czerwone i spuchnięte oczy. Jeżeli zacznie o tym

myśleć, może osunąć się na podłogę i już nie wstać.

– Mam małą – oznajmiła bez ogródek. – Jest poważnie ranna.

– Na litość boską, proszę ją położyć, zanim panią ugryzie.

Kitty uniosła wzrok zaskoczona. Zaraz jednak przypomniała sobie, że nawet najłagodniejsze stworzenie może stać się agresywne, gdy jest ranne. Alan nie wiedział, że Gili tak nie reaguje. Położyła go ostrożnie na stalowym blacie stołu. Wyglądał na nim taki mały i bezbronny – mógł się tu zmieścić duży pies, a nawet owca. Gdy cofnęła ręce, Gili jęknął i odwrócił głowę, jakby chciał uciec przed ostrym światłem lampy.

– Widział pan? – zwróciła się do Alana. – Poruszył się.

Weterynarz nie odpowiedział. Odsunął się od stołu, patrząc obojętnie na małą. Po kilku chwilach westchnął.

– To ładnie z pani strony, że przyniosła pani to biedne stworzenie. – Popatrzył na zaplamione krwią ubranie Kitty. – Ale niepotrzebnie zniszczyła sobie pani sukienkę. Niestety. W takich wypadkach mogę zrobić tylko jedno. Szybki zastrzyk. Uśpienie.

Kitty przełknęła ślinę. Miała ściśnięte gardło i nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

– Widzę, że jest pani zdenerwowana, ale proszę się uspokoić – dodał Alan. – To się ciągle zdarza. Samochody i dzikie zwierzęta nie pasują do siebie.

Dopiero po kilku sekundach dotarł do niej sens jego słów.

– Nie. Pan mnie nie zrozumiał. On nie jest dziki. I nie został przejechany.

– A, oswojony. – Alan zacisnął wargi. – Pani Hamilton, będę szczerzy. Uważam, że dzikie zwierzęta należy zostawić samym sobie, żeby żyły w naturalnym środowisku. Jeżeli chce pani mieć zwierzę w domu, proszę sprawić sobie psa lub kota. W żadnym wypadku małą. Widziałem wiele poważnych ugryzień. Wściekliczna jest naprawdę groźna i nie ma na nią lekarstwa.

Kitty zacisnęła dłonie. Łzy rozpaczcy napłynęły jej do oczu.

W jej umyśle, który wciąż nie mógł się otrząsnąć z szoku, los Gilego był ściśle związany ze śmiercią Theo. To tak jakby ratując małą, mogła przywrócić życie mężowi, nawet jeżeli było to nierealne.

– Proszę, niech pan coś zrobi.

– Dobrze, dobrze. – Alan uniósł ręce, jakby mu groziła. – Obejrzę go.

Włożył skórzane rękawiczki i rozwiązał opatrunek. Rozsunął posklejane futerko, tak jak zrobił to Taylor na plantacji.

– Co mu się stało?

– Został postrzelony. To był wypadek.

Alan spojrzał na nią.

– Ludzie zbyt swobodnie obchodzą się tu z bronią. Myślą, że skoro są w Afryce, to mogą polować. – Ponownie przeniósł wzrok na małą. – Wygląda na to, że są wewnętrzne obrażenia. Jelito mogło zostać przebite. Możliwe są również uszkodzenia kręgosłupa. Niestety muszę powtórzyć to samo. Trzeba go uspić.

– Przecież może pan coś zrobić – powiedziała Kitty błagalnym głosem.

– Oczywiście, że mogę – odpowiedział cierpliwie. – Mógłbym zrobić prześwietlenie. Mógłbym przeprowadzić operację. Mógłbym odłożyć pracę, która na mnie czeka, i poświęcić czas na opiekę pooperacyjną. A zwierzę prawdopodobnie i tak by umarło.

– Proszę go uratować. Będę się nim opiekować. Zrobię wszystko.

Głos Alana złagodniał.

– Pani Hamilton, trzeba skrócić cierpienia temu zwierzęciu. Jeżeli chce pani, żebym wyjaśnił moją decyzję pani mężowi, chętnie to zrobię.

Kitty instynktownie pochyliła się nad Gilim, osłaniając go. Spojrzała w stronę drzwi z nadzieją, że zobaczy Taylora. Ale cóż on mógłby zrobić? Może Alan był nieudolny w innych



dziedzinach życia, ale nie miała powodu, by wątpić w jego umiejętności jako weterynarza.

– W takiej jak ta sytuacji lepiej jest działać szybko – ciągnął. – Zastanawianie się niczego nie zmieni. Wywoła tylko większe zdenerwowanie. – Podszedł do metalowej szafki i otworzył drzwiczki. Przeglądając zawartość, mówił dalej. – Jeżeli woli pani trzymać zwierzę, to proszę. Albo może je pani tu zostawić.

Kitty poruszyła ustami, szukając odpowiednich słów. To wszystko działo się zbyt szybko. Nie była w stanie jasno myśleć.

– Może pani zabrać ciało i pochować lub zostawić to mnie.

Gdy odwrócił się, trzymał w ręku strzykawkę. Podszedł do stołu.

– Nie dotykaj go. – Kitty stanęła między nim a małąką.

– Pani Hamilton, to egoistyczne zachowanie. Czy pani tego nie rozumie? – spytał weterynarz ostrym tonem, jakby Kitty była dzieckiem. – Niech pani pomyśli o zwierzęciu.

– Właśnie o nim myślę. – Wzięła małąkę na rękę i przycisnęła do piersi. – Jeżeli ma umrzeć, to na pewno nie tu.

– To pani decyzja – odpowiedział. – Ja tylko mogę służyć radą.

Wybiegła z sali, nie słuchając go.

Szła wzdłuż ściany budynku, gdy zza rogu wyłonił się Taylor. Znieruchomiał, gdy zobaczył, że trzyma Gilego.

– Nie pomoże mu – krzyknęła. – Chciał... – Zmusiła się, żeby dokończyć zdanie. – Chciał go uspić.

Taylor zgarbił się, gdy dotarł do niego sens jej słów. Zapadła między nimi cisza. Kitty chciała go pocieszyć, ale nie umiała. W końcu westchnął głęboko.

– Zabrali Theo do kostnicy przy szpitalu. Powiedzieli, że możesz tam przyjść, jak tylko będziesz gotowa.

Kitty spojrzała w stronę budynków szpitalnych, potem pokręciła głową. Nie była gotowa ponownie stanąć przed martwym ciałem Theo. I nie chciała zostawiać Taylora z Gilim. Przez dłuższy czas nie ruszała się z miejsca. Czowała przy piersi

ciepło ciała małpki i niemal niezauważalny ruch klatki piersiowej, gdy oddychał. Tylko cud mógł go uratować. Wkrótce przyjdzie czas, gdy jego serce przestanie bić, oddech zacznie zamierać i mały odejdzie.

Spojrzała w niebo, jakby szukała w nim pocieszenia. Na ogromnej przestrzeni błękitu nie zobaczyła żadnego ptaka, najmniejszej chmurki. Słońce grzało niemiłosiernie. Ogarnęło ją zwątpienie. Nagle coś przemknęło jej przez głowę. Było to raczej wrażenie niż myśl. Wizja spokoju. Chłodnego powietrza i przyjaznego cienia. Schronienie, w którym ukryje się przed przytłaczającym ją koszmarem. I gdzie za sprawą tajemnej mocy można czasem znaleźć uzdrowienie, gdy zawiodą wszelkie nadzieje.

\*

Samochód zatrzymał się przy brzegu placu. Obaj ojcowie stali w cieniu dzwonnicy i rozmawiali z głowami pochylonymi ku sobie. Nieoczekiwane pojawienie się Kitty i Taylora – lub może wyraz ich twarzy – sprawiły, że ojciec Remi uniósł habit i rzucił się biegiem w ich stronę. Ojciec Paulo pospieszył za nim. Niecierpliwość dodała sił jego starym nogom.

– Co się stało?

Taylor podał Gilego ojcu Remiemu przez otwarte okno i zdał mu relację z tego, co się stało. Słyszając jego opowieść, Kitty ukryła twarz w dłoniach. Jadąc do misji, miała wrażenie, że jej własne ciało uległo zawieszeniu. Teraz gdy już dotarli na miejsce, dały o sobie znać wszystkie powstrzymywane dotąd emocje. Poczwała, jak wzbiera w niej panika i zalewa ją fala przerażenia. Wiedziała, że tym razem nie powstrzyma tych uczuć i pociągną ją w ciemność.

Ojciec Remi niemal wyciągnął ją z samochodu i przytulił do

szerokiej piersi. Była jak wątle dziecko, jak szmaciana lalka bez sił. Kryjąc twarz w szorstkim materiale habitu, poczuła na policzku kontury wyszytego emblematu w kształcie serca. Znaku miłości i nadziei. Słyszała cichy głos Taylora i głębszy ojca Paula. Potem wszystko ucichło.

Nie wiedziała, jak długo stała tak z ojcem Remim. Gdy trochę się uspokoiła, poprowadził ją do łukowatego budynku. W pomieszczeniu wykorzystywanym jako gabinet lekarski ojciec Paulo oczyszczał wodą rany Gilego. Gdy pojawił się młodszy ksiądz, odsunął się na bok z wyrazem surowości i napięcia na twarzy. Ojciec Remi dał znak Kitty, żeby podeszła do Taylora, stojącego przy stole, na którym leżał Gili.

– Jodyna, Kitty – powiedział. – I moja maść.

Mówił szorstko, jakby był to zwykły dzień w gabinecie. Kitty z wdzięcznością zajęła się wykonywaniem poleceń, przyjmując rolę pielęgniarki. To ją uspokoiło i pozwoliło powrócić do rzeczywistości.

Gdy ojciec Remi dotknął ran jodyną, Gili jęknął w proteście i zaczął się słabo bronić, machając kończynami.

Kitty wymieniła spojrzenie z Taylorem. Poczuli, że wraca im nadzieja.

– Taylor, trzymaj go mocno – polecił ojciec Remi. – Kitty, przytrzymaj mu łapy. – Nałożył trochę maści. W powietrze uniósł się zapach piżma. – To złagodzi ból.

Na koniec owinął szerokim bandażem dwie rany. Biały materiał kontrastował z szarym futerkiem.

Maść szybko zadziałała i Gili się uspokoił. Kitty zastanawiała się, czy znowu zemdlął czy jedynie odpoczywa. Wiedziała, że jednym z objawów szoku jest ogromne zmęczenie. W tym momencie zabrzmiał głos ojca Paula.

– Zanieśmy go do pokoju przyjęć. – Mówił po suahilijsku, w języku, który wszyscy rozumieli. – Będzie nam tam wygodniej. Czeka nas długa noc.

\*

Lekki powiew wiatru przyniósł zapach żywicy, który wpadł przez otwarte okna, mieszając się ze środkiem odkażającym i maścią ojca Remiego. Głos ojca Paula śpiewającego łacińską modlitwę zdawał się unosić w powietrzu. Siedział w swoim ulubionym fotelu. Obok leżał Gili na zielonej aksamitnej poduszce z kanapy, którą przeniesiono na podłogę. Przy małej bezwładnej sylwetce na niskich drewnianych stołkach siedzieli obok siebie Kitty i Taylor. Przy nich stali ojciec Remi i siostra Clara. Stołki przyniósł Tesfa, który kręcił się z tyłu, gotowy służyć pomocą, gdy zajdzie taka potrzeba – podać herbatę, szklanek wody lub przynieść zapalki do świec woskowych ojca Paula.

Mijały godziny. Dwa razy wybiły dzwonki na modlitwę, promienie zachodzącego słońca zaczęły zaglądać przez okna.

Kitty patrzyła na pyszczek Gilego z bladymi powiekami kryjącymi jasne, okrągłe oczy. Pomarszczona skóra wokół nosa i warg sprawiała, że wyglądał jak mądry starzec, lecz jednocześnie przypominał jej niewinne dziecko.

– Nie sądzisz, że oddycha głębiej? – Cichy głos Taylora zabrzmiał głośno w nieruchomej ciszy.

Kitty popatrzyła na pierś małpki, pragnąc potwierdzić tę obserwację. Po chwili uniosła wzrok.

– Może. Trochę.

Oczy Taylora wyglądały jak ciemne rozlewiska. Między brwiami tworzyła mu się głęboka zmarszczka. Miał otwarte usta, jakby chciał coś powiedzieć. Wziął ją za rękę i ścisnął. Kitty zrozumiała, że potrzebuje wsparcia i ciepła. Wzmocniła uścisk.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedział cicho.

– Ja też – odparła.

Usiłowała wyobrazić sobie, co by było, gdyby nie pojechała do misji. Siedziałyby w domu przy ulicy Milionerów, przyjmowała kondolencje i rozdrapywała szczegóły tragedii. Pod nieobecność

Diany inne kobiety walczyłyby o miejsce najlepszej przyjaciółki, pławiąc się w czyimś nieszczęściu. Może nawet i Charlotte by przysłała, szukając swojego miejsca w dramacie. Pewnie gdyby Kitty nie była w stanie zachować spokoju, zjawiłby się lekarz i przepisał jej środki uspokajające. Wyobraziła sobie, jak leży na łóżku i wsłuchuje się w cichy szum głosów z salonu, brzęk szklanek i stukanie obcasów o podłogę. Nie byłoby nikogo, kto obroniłby ją przed gmatwaniną uczuć. Gdyby była zwykłą żoną, która kochała męża i była przez niego kochana, pograżałaby się w rozpacz. Tymczasem to, co czuła do Theo, było skomplikowane i trudne. Smutkowi towarzyszyły wyrzuty sumienia, zazdrość i gniew. A każdy pewnie chciałby się dowiedzieć dlaczego. Bo śmietanka towarzyska z Londoni wszystko, o czym się mówiło i robiło, rozkładała na czynniki pierwsze, maglowała, przeżuwała, a potem zaczynała od nowa.

Zalała ją fala wdzięczności, że może być tu, nie tam. Nie zastanawiała się nad decyzją, żeby pojechać z Taylorem do misji. Ale gdy teraz o tym myślała, uświadomiła sobie, że konsekwencje tego kroku będą ogromne. Odwróciła się od angielskiego towarzystwa, wiążąc z tą dziwną grupą mieszkańców Tanganiki. Przekroczyła granice świata, który znała, i nie miała już powrotu. Szukała w sobie obawy i żalu czy choćby cienia wątpliwości, lecz niczego takiego nie znalazła.

\*

W końcu zapadła noc i zrobiło się chłodniej. Były to jedyne znaki, że czas nie stoi w miejscu. Świece rzucały migocące cienie na ściany. Ojciec Paulo drzemał niespokojnie w fotelu. Głowa opadła mu na pierś. Ojciec Remi usiadł na kanapie, a Tesfa poszedł w jego ślady. Siostra Clara udała się do swojego pokoju. Kitty i Taylor położyli się po obu stronach Gilego na materacach

przyniesionych z pokoju gościnnego.

Taylor usnął w końcu na boku, twarzą do poduszki, żeby w każdej chwili móc otworzyć oczy i sprawdzić, jak czuje się jego mały przyjaciel. Kitty nie mogła usnąć, bo adrenalina wciąż w niej buzowała. W głowie kłębiło się tysiące myśli i obrazów. Gdy tylko przestawała skupiać się na Gilim lub Taylorze, przed oczyma stawał jej Theo. Nie mogła go sobie wyobrazić w kostnicy. Nie miała pojęcia, jak to miejsce wygląda. Czy przypominało gabinet lekarski z leżanką i parawanem? A może było to zacienione miejsce z cementu i stali? Bez względu na to, jak wyglądało, nie mogła znieść myśli, że Theo jest tam sam. Musiała sobie przypomnieć, że to już nie jest jej mąż, lecz tylko jego ciało. Osoba, którą niegdyś był, odeszła. Ta myśl wywołała w niej kolejną falę spekulacji. Czy on po prostu zgasł, jak jedna ze świec ojca Paula? A może przeniósł się w inny wymiar? Przypomniła sobie wizję odlatującego orła. Czy Theo już był daleko? A może jest tu i obserwuje ją? Patrzy na Gilego spoczywającego na poduszce, na świecy, kadzielnicy, modlitewniki, księży, krucyfiks na ścianie... Żywy Theo uznałby tę scenę za dziwaczną. Ale co pomyślałby teraz, przebywając po drugiej stronie? Pokręciła głową. Zdumiewały ją te myśli. Jeszcze tak niedawno była pewna, że podziela przekonanie Yuriego, że śmierć to koniec wszystkiego.

Ponownie skupiła wzrok na Gilim. Dolną część jego ciała przykrywały bandaże, przywodzące na myśl mumie egipskie, które widziała w Muzeum Brytyjskim. Ale góra nadal przypominała zuchwałę, małe stworzenie, które nieustannie domagało się pieśczot. Przypomniła sobie, jak lubił kłaść łapki na jej oczach, gdy go niosła. Czuła niemal szorstki jak papier dotyk jego skóry na swojej.

Nie umieraj, mały Gili.

Zatrzymała te słowa w swoim sercu. Straciła Theo. Straciła Yuriego. Jej rodzina też właściwie dla niej umarła.

Proszę, nie zostawiaj mnie.

Popatrzyła na ojca Paula pochrapującego w fotelu. Twarz miał szarą ze zmęczenia. Nieustannie budził się, otwierał jedną ze swoich książek i czytał po łacinie albo po prostu się modlił. Także pościł. Pił wodę podawaną przez Tesfę, ale tylko patrzył, jak inni jedli chleb i owoce i pili miodową herbatę. Nic nie wskazywało na to, że traktuje tę sprawę mniej poważnie, niż gdyby chodziło o dziecko, a nie o zwierzątko. W końcu to on powiesił portret Świętego Franciszka z Asyżu na honorowym miejscu na ścianie w jadalni obok fotografii Całunu Turyńskiego. Na obrazie Święty Franciszek stał w otoczeniu zwykłych zwierząt – królika, owcy, pary nakrapianych jeleni, a na ramieniu siedział mu ptak. Na zielonej trawie u jego stóp widniało wypisane jego dobrze znane powiedzenie: „Wszyscy tworzymy jedną wielką rodzinę”.

Patrząc na ojca Paula, Kitty żałowała, że nie może się modlić tak jak on. Nie miała w sobie potrzebnej wiary. Jednak z drugiej strony głęboko wierzyła w prawość starego księdza. I czuła miłość, jaką oni wszyscy darzyli Gilego – szczególnie Taylor, którego więź z małpką pogłębiła się w czasie czarnych dni spędzonych w więzieniu. Przeniosła wzrok na oprawioną w ramki reprodukcję wiszącą na ścianie nad głową ojca Paula, przedstawiającą Jezusa z sercem płonącym w piersi. Promienie światła rozchodziły się z jego rozpostartych rąk niczym strumienie siły. Wyobraziła sobie, że spływają na Gilego i stapiają rozerwane ciało, czyniąc go znowu silnym. Utkwiła wzrok w obrazie, jakby życie Gilego zależało od intensywności patrzenia. W końcu jednak oczy zaczęły się jej zamykać, a głowa opadać. Położyła się na materacu i usnęła.

\*

Przez okna do wnętrza wpadał świt, oświetlając pokój złotym

blaskiem. Kitty poruszyła się i otworzyła oczy. Powoli uświadomiła sobie, gdzie się znajduje i dlaczego. Przez chwilę leżała nieruchomo, oswajając się z myślą o śmierci Theo. Czuła się zagubiona i zrozpaczona. Wydarzenia wczorajszego dnia wciąż wydawały się strasznym snem. Ale jej obecność w tym pokoju dowodziła, że koszmar jest prawdą.

Pomyślała o Gilim. Wbiła wzrok w sufit. Pragnęła popatrzeć na małpkę, ale bała się, co może zobaczyć. Przypomniała sobie, że gdy była mała, mówiła dobranoc żywym stworzeniom – osieroconym owieczkom, ptakom, oposom – po czym, gdy rano wracała, znajdowała je zimne i sztywne.

Wstrzymała oddech i wolno obróciła głowę.

Gili patrzył na nią. Miał otwarte oczy, błyszczące i okrągłe.

– Taylor – wydyszała. – Obudź się.

Jej cichy szept obiegnął pomieszczenie. Nogi się poruszyły, oczy otworzyły. Wszyscy zgromadzili się wokół Gilego, z wyjątkiem ojca Paula, który pochylił się w fotelu.

– Nie podchodźcie zbyt blisko – ostrzegł Taylor.

Wzrok Gilego wędrował od jednej twarzy do drugiej. Zielonobursztynowe oczy były szeroko otwarte, jakby dziwiło go zainteresowanie jego osobą.

– Pewnie chce mu się pić – stwierdził ojciec Remi. Szybko przyniósł kroplomierz z szafki w gabinecie i napełnił miskę wodą. Potem ukląkł przy małpce, podtrzymał ręką główkę, przyłożył kroplomierz do ust i wycisnął wodę na wargi. Wszyscy wstrzymali oddech i zastygli w oczekiwaniu. Po chwili wysunął się różowy języczek i zlizął płyn. Zaraz też mała łapka chwyciła kroplomierz. Wszyscy roześmiali się z ulgą.

Gdy śmiech ucichł, zapadła głęboka cisza. Nikt nie zadawał pytań, nikt nie wypowiedział nawet jednego słowa. Ale myśl, że zdarzył się cud, zawisła w powietrzu. Kitty niemal czuła nadzieję i radość emanującą z Taylora. Ona również miała wrażenie, jakby wielki ciężar spadł jej z serca. Zrozumiała, że jest możliwe,



aby ciemność szła w parze ze światłem, a smutek i szczęście można było przeżywać jednocześnie.

Ojciec Paulo wstał ciężko z fotela, jakby dawał znak, że najwyższy czas wrócić do normalnego życia. Ignorując sugestie, że nie powinien się ruszać, dopóki nie zje śniadania, poszedł do kuchni. Taylor i ojciec Remi pozostali przy Gilim, dyskutując o tym, jak się nim opiekować. Kitty wstała, wyciągnęła ręce nad głowę i wyszła na zewnątrz, skuszona złotym światłem i chłodem wczesnego poranka.

Ptaki przeskakiwały z gałęzi na gałąź baobabu. Stare drzewo pokryło się liśćmi i nabrało łagodniejszego kształtu. Kitty minęła je i zatrzymała się na skraju placu, patrząc na rozległe równiny. Pola tworzyły mozaikę odcieni zieleni, brązu i żółci. Trawa nabrała gęstości. Pierwsze deszcze sprawiły, że nasiona zaczęły kiełkować, a rośliny rosnać. Zryw życiowej aktywności opierał się na przekonaniu, że wkrótce przyjdą ulewy i nawodnią uprawy, które wydadzą nasiona i owoce. Czasami deszcze były zbyt skąpe lub w ogóle się nie pojawiały, czego skutkiem były głód i rozpacz. Ale gdy zbliżała się kolejna pora deszczowa, nadzieje rosły. Kitty czuła tę moc, która składała się na cykl życia i śmierci. Te same siły towarzyszyły i jej podczas podróży przez życie. I potrzebowała tej samej nadziei na przyszłe dni. Zamknęła oczy i uniosła twarz ku słońcu, czując, jak przenika ją jego siła.

Usłyszała za plecami czyjeś kroki. Odwróciła się i zobaczyła Taylora trzymającego w ręku cynowy kubek i kawałek papai. Gdy podszedł bliżej, wciągnęła w nozdrza zapach owocu i korzenny aromat gorącej herbaty Tesfy. Spojrzała Taylorowi w oczy. Było w nich ciepło, ale również siła. Wiedziała, że gdyby zechciała porozmawiać o Theo – uwolnić ból, smutek i niepewność – wysłuchałby jej i pomógł w miarę swoich możliwości. Poczowała łączącą ich więź, głębszą i silniejszą niż przedtem. Doświadczenia, przez które przeszli, tylko nieliczni zdołaliby przetrzymać. Jednak cokolwiek zgotuje teraz los, nie

zmieni to ich bliskości.

Stali razem w milczeniu, popijając herbatę, jedząc świeżą papaję i zlizując sok z warg. Tuż obok nich przeszedł kogut, dumnie prezentując fioletowe i pomarańczowe upierzenie. Uniósł łeppek i zapiał głośno i pewnie. Odpowiedział mu drugi i jeszcze jeden. Pianie płynęło ponad wzgórzem od jednego koguta do drugiego, jakby przekazywały sobie dobre wiadomości od jednej farmy do drugiej i do odległej wioski.

## Rozdział dwudziesty

Kitty przeszła na palcach przez hall. Eustace i Gabriel oczekiwali jej, ale nie chciała jeszcze informować ich o swoim przybyciu. Słyszała znajomy szum głosów dochodzący z kuchni i wybuchy śmiechu. Brakowało tylko brzęku garnków i zapachu przygotowywanych potraw. Personel znajdował się w stanie zawieszenia, pilnując domu, w którym nikt nie mieszkał.

Od śmierci Theo minęły trzy tygodnie. Dla Kitty były jak niewyraźna plama. Wszystko, co się działo, wydawało się nierzeczywiste i chaotyczne. Zwykle czynności, jak jedzenie, spanie, rozmowa, były zaledwie echem prawdziwych doświadczeń. Nad tym wszystkim wisiała śmierć męża i to, co się z nią łączyło. Był też niepokój o Gilego. Jego stan poprawił się, ale małpka nadal była bardzo słaba.

Kitty wróciła do Londoni nazajutrz rano po strzelaninie. Musiała złożyć zeznanie przed inspektorem i pójść do kostnicy. Taylor zaproponował, że z nią pojedzie. Bardzo ją tym wzruszył, a także troską widoczną w jego oczach i łagodnym tonem głosu. Wiedziała jednak, że musi to zrobić sama.

Po drodze do Kongary wstąpiła do domu, żeby zabrać trochę rzeczy. Spędziła w nim zaledwie kilka minut. Świeże wspomnienia zdawały się wypełniać każdy zakamarek domu. Nie było Eustace'a i Gabriela. Pewnie pracowali w pralni lub w ogrodzie, ale nie próbowała ich szukać. Nie chciała odpowiadać na ich pytania, na szok i zdenerwowanie. Spakowała jedynie małą torbę i wyszła.

Rozmowa na policji trwała zaskakująco krótko. Pewnie Larry

Green zdał szczegółową relację z tego, co zaszło. A inspektor dał wyraźnie do zrozumienia, że ona nie jest wiarygodnym świadkiem, bo była zbyt emocjonalnie związana z ofiarą. Najwyraźniej starał się zamknąć sprawę tak szybko, jak to możliwe. Podejrzewała, że nie chciał, aby ktoś zaczął się zastanawiać nad faktem, dlaczego zignorował ważne informacje o niebezpieczeństwie grożącym Charlotte, z którymi do niego przyszła. Zamknął notes po spisaniu kilku krótkich notatek i wyprowadził Kitty z biura. Potem towarzyszył jej do pomieszczenia na tyłach szpitala, gdzie leżało ciało Theo.

Kostnica wywołała w niej falę wspomnień o schronach. Takie same cementowe ściany i brak naturalnego światła. Pośrodku stał stół, również z cementu, z rynną ściekową wokół brzegu. Leżał na nim długi kształt owinięty w ciemnozielone płótno. Inspektor stanął przy niej, kiedy podeszła bliżej, zbierając siły, gdy afrykański pracownik uniósł płótno.

Patrzyła na to, co leżało przed nią, etapami, bo nie byłaby w stanie ogarnąć całości. Najpierw kredowobiała twarz Theo, zamknięte oczy. Rana od kuli oczyszczona z krwi była małą dziurką, poszarpaną na brzegach. W nozdrzach skrawki bawełny i bandaż biegnący pod brodą do czubka głowy, przytrzymujący usta. Pomocnik mocniej odchylił płótno. Ciało Theo obłożono dużymi kawałkami lodu. Dziwnie się poczuła, zdając sobie sprawę z tego, że żaden nerw już nie drgnie w reakcji na dotyk zimna. Ktoś zdjął mu ubranie. Przez skromność slipy zastąpił ręcznik. Do nadgarstka miał przywiązaną plakietkę ze starannie wypisanymi literami: „Pan Theodore Hamilton”. Pod nazwiskiem widniały słowa: „Plantacja”, „Sezon”, „Waga”.

– Czy to najlepsze, co udało wam się znaleźć? – spytał inspektor pomocnika. – Z worka od orzeszków ziemnych?

– Jest najlepsza – potwierdził mężczyzna. – Bardzo mocna. Nie porwie się i nie odpadnie.

Najbardziej wżruszyły Kitty ślady opalenizny na ciele Theo –

ciemniejszy trójkątny ślad pod szyją od rozpiętej koszuli i opalone ręce do wysokości krótkich rękawów. Wiązało się to z jego życiem: zmieniającymi się porami roku i ciemniejącą, to znów blednącą opalenizną.

Patrzyła na Theo przez zasłonę z łez. Inspektor położył niezdarnie dłoń na jej ramieniu, oferując wsparcie. Potem odsunął się, wyjął notes i zaczął go przeglądać, dając tym do zrozumienia, że czas opuścić to miejsce.

Następną sprawą do załatwienia w Londoni było spotkanie z Tobym Carmichaelem, asystentem Theo. Inspektor powiedział jej, że może poczekać kilka dni i wtedy pójść do dyrekcji, ale odpowiedziała, że woli zrobić to teraz. Chciała jak najszybciej wrócić do misji i móc tam zostać: wśród solidnych budynków, z uspokajającym dźwiękiem dzwonów wzywających na modlitwę i gołębiami gruchającymi na dzwonnicy. Czowała, że nic już jej nie łączy z życiem w Londoni. Misja była jej ucieczką. Jej portem. I nie chciała być nigdzie indziej.

Po wyrażeniu kondolencji i zaproponowaniu herbaty z herbatnikami Toby od razu przeszedł do rzeczy. Starał się przedstawić wszystko najdelikatniej, jak to możliwe, omijając szczegóły „wypadku na trzeciej plantacji” i wyznając Kitty, że już wcześniej dostrzegł oznaki załamania u Theo. Zasugerował nawet, że próbował rozmawiać o swoich obawach z szefem, ale Kitty jakoś trudno było to sobie wyobrazić. Okazywał wrażliwość i współczucie, ale jak powiedział, pewnych faktów nie da się pominąć. Pod nieobecność Richarda Theo musiał pełnić dwie funkcje – dyrektora generalnego i administracyjnego. Jak zwykle z projektem wiązało się mnóstwo problemów. Potrzebny był nowy człowiek u steru. Następnie Toby ostrożnie poruszył sprawę domu przy ulicy Milionerów. Pani Hamilton będzie musiała się z niego wyprowadzić, i to wkrótce. Na szczęście zwolniło się miejsce w pudełku, bo lady Welmingham opuściła Kongarę pierwszym samolotem, nie mogąc dojechać do siebie po

strasznym przeżyciu, jakiego doświadczyła. Dzięki temu Kitty może zamieszkać w domku do czasu powrotu do Anglii.

Gdy zakończył swoją przemowę, popatrzył na Kitty wyczekująco. Ona zaś przyglądała mu się w milczeniu. Czy on zdawał sobie sprawę z tego, że proponuje, aby zamieszkała w domu zajmowanym przez kochankę Theo? Na pewno tak... Mylnie interpretując jej milczenie, dodał, że to wielka szkoda, że Kitty straciła dom i męża. Chciałby, żeby mogła w nim zostać, ale to niemożliwe.

W końcu musiała przerwać ten strumień frazesów.

– Zamieszkałam w misji katolickiej.

Toby potrząsnął głową, oczy mu się rozszerzyły, a ulgę zastąpiła czysta ciekawość. Zastanawiała się, co on właściwie wiedział o tym miejscu. Prawdopodobnie to, że ona i Diana tam pracowały. Zapewne dotarły do niego informacje o jej przyjaźni z tym wrogiem OFC, *bwaną* Taylorem.

– Więc nie będę potrzebowała pańskiej pomocy – zakończyła. – Tym niemniej dziękuję.

Wstała, dając tym sposobem do zrozumienia, że nie mają już o czym mówić. Toby uścisnął jej dłoń, jakby składał gratulacje, lecz w jego oczach dostrzegła wątpliwość. Chcąc się upewnić, że nie zmieni zdania, powiedział, że polecił spakować jej i Theo osobiste rzeczy, co przecież nie potrwa długo, jako że wszystkie meble były własnością brytyjskiego rządu.

Wróciła myślami do jego słów, idąc korytarzem. Zgodnie z obietnicą kilka przedmiotów należących do Hamiltonów – oprawiona w ramki fotografia okazałej fasady rodzinnego domu Theo, dzban, który stał na wbudowanej w ścianę biblioteczce, mały perski dywan – zostało już spakowanych. Znajdowały się teraz w końcu korytarza w kartonowym pudle oklejonym taśmą.

Podeszła do drzwi sypialni i pchnęła je. W środku na podłodze znalazła swoją walizkę ze spłowiałymi podróżnymi nalepkami i kufer z mosiężnymi okuciami. Obok stała jej torebka

z klamerką i rączkami, które czekały, żeby założyć je na ramię.

Popatrzyła przez okno na sąsiedni dom. Pomyślała o Dianie. Tak bardzo jej teraz potrzebowała. Wiedziała, że jak tylko Armstrongowie wrócą i dowiedzą się, co się stało, Diana natychmiast przyjedzie do misji. Ale to dopiero za co najmniej dwa tygodnie. W tej chwili wydawało się, że to cała wieczność.

Zatrzymała się przy szafie i otworzyła drzwi. Wisiały w niej tylko wieszaki. Wsunęła rękę za szafę i ze szczeliny w tylnej ścianie wyjęła płaski, okrągły przedmiot.

Popatrzyła na szylkretową puderniczkę na dłoni. Musnęła palcami wygrawerowane na niej ozdobne inicjały, przypominając sobie, jak ją ukryła na wypadek, gdyby Theo skojarzył ją z Katyą i rozzłościł się lub zdenerwował. Wydał jej się taki odległy. Wtedy niczego więcej nie pragnęła, tylko być idealną żoną.

Wzięła głęboki oddech. Powietrze w sypialni już się zmieniło. Zniknął kwiatowy zapach sypkiego pudru, ustępując miejsca zapachowi gumy z nagiego materaca. W rogu pokoju pająk już zaczął pracować nad pajęczyną. Trudno było uwierzyć, że minęło zaledwie kilka tygodni, odkąd włożyła czerwoną sukienkę w białe grochy i wyruszyła do klubu, nie wyobrażając sobie, jakie straszne wydarzenia przyniesie ten dzień.

Ostatni raz omiotła wzrokiem sypialnię, po czym przeszła do salonu. Przystanęła przy pustym teraz barku na alkohole – karafki umyto, a butelki zabrano. Zamknęła oczy, usiłując zablokować ciemne obrazy, które pojawiły się przed jej oczyma: Theo nalewający sobie kolejnego drinka albo krzyczący bełkotliwie na Gabriela. A ona siedziała, patrzyła i kuliła się wewnątrz, usiłując gdzieś się schronić.

W jadalni popatrzyła na serwis Cynthii Royal Doulton. Ciekawe, kiedy nowa *memsahib* odkryje, że jest niekompletny. Prawdopodobnie przyjedzie ze swoim kompletem z porcelany – delikatnym i ozdobnym, nie prostym i grubym, jak ten, który

ona wybrała.

Podeszła do stołu i przesunęła dłonią po jedwabście gładkiej powierzchni. Uniosła wzrok, słysząc kroki za plecami.

– Dzień dobry, *memsahib* – powiedzieli niemal jednym głosem Eustace i Gabriel.

– Dzień dobry – odparła. – Przyszłam po swoje rzeczy.

– Tak, *memsahib* – odpowiedzieli unisono.

Zapadła niezręczna cisza. Zupełnie jakby wiedzieli, że jeżeli zaczną mówić o tym, co się stało, nie wiadomo kiedy przestaną.

– Pani bagaż jest w sypialni – oznajmił Eustace.

– Widziałam. Dziękuję.

– Ubrania *bwany* i jego osobiste rzeczy zostały zabrane na lotnisko – ciągnął Eustace. Zapewne ze względu na powagę sytuacji każde słowo wymawiali prawidłowo, nie dodając na końcu samogłosek. – Rzeczy, które należały do pani i męża, są w dyrekcji. Musi pani je podzielić zgodnie ze zwyczajem.

– Dobrze. Doskonale.

Żałowała, że nie ma dość siły, aby odpowiednio podziękować im obu, pokazać, że docenia wszystko, co dla niej zrobili, odkąd tu przyjechała. Bywało, że ją irytowali, ale dobrze służyli jej i Theo. – Będę tu wracać – dodała. Tylko tyle zdołała z siebie wykrzesać.

– Czy jeszcze coś możemy dla pani zrobić? – W głosie Gabriela zabrzmiał ton szacunku. Nawet spuścił wzrok. Pomyślała, że to pewnie w związku z nową pozycją wdowy, jaką teraz zajmowała. Ale przyszło jej też do głowy, że powodem może być fakt, iż nie wróciła do domu i wolała zamieszkać w misji, zamiast szukać pociechy u przyjaciółek z klubu. Zachowała się w sposób niezgodny z zasadami, jakie znał i rozumiał. W rezultacie nie miał pewności co do jej statusu i wolał być ostrożny.

– Zabrali już ciało *bwany* do Anglii? – spytał Eustace, patrząc na nią wyczekująco.

– Tak, to stało się w piątek – potwierdziła Kitty. Inspektor



przysłał do misji wiadomość o „repatriacji”, jak napisał w liście. – Będzie tam pochowany – dodała. Służący patrzyli na nią uważnie, jakby czekali na więcej szczegółów. – Spocznie obok swoich przodków.

Kiwnęli z aprobatą głowami. To, co powiedziała, brzmiało rozsądnie. Ale zastanawiała się, co by pomyśleli o pogrzebie, który odbędzie się w kościele St Luke in the Fields. Nie będzie zawodzenia, rozdzierania szat, których była świadkiem podczas ceremonii pogrzebowej w misji. Matka Theo nie rzuci się na jego trumnę, żeby dać upust rozpaczy. Louisa zachowa spokój. Admirał podobnie. Przypomniała sobie słowa Theo, gdy pewnego ranka po raz pierwszy opowiedział jej, co mu się śni, i upierał się, że nie ma potrzeby rozmawiać o wojennych doświadczeniach. Zacytował powiedzenie matki: „Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem”. Po co rozdrapywać rany. Trzeba trzymać fason i się nie poddawać.

Wiedziała, że Louisa będzie zrozpaczona utratą syna. Za to, co się stało, obwini synową. Bo gdyby żona Theo nie wywołała skandalu, syn nie musiałby wyjeżdżać do Tanganiki. Będzie też obwiniać OFC. Służby kolonialne. Afrykę. Jedno było pewne: ani Louisa, ani admirał nigdy nie zrozumieją, jaką rolę oni – i ich zasady – odegrali w tragicznym życiu Theo.

– Przyjeżdża nowa rodzina – oznajmił Eustace. – *Bwana* nazywa się major Marsden. Mają troje dzieci. Przywieziono specjalne łóżko, dwa w jednym. – Pokręcił głową w zdumieniu, pokazując, jak dwójka dzieci będzie spała jedno nad drugim.

– Będziecie mieli dużo pracy – stwierdziła Kitty.

– Pokażę *memsahib* przepis na polerowanie – wtrącił Gabriel.

– A ja przepiszę menu na czystą kartkę papieru – dodał Eustace.

Najwyraźniej już myśleli o nowych obowiązkach czekających ich w domu przy ulicy Milionerów. Zastanawiała się, jak Marsdenom będzie się mieszkać w tym domu – jakie nadzieje,

marzenia i sekrety przywiozą ze sobą.

– Czy mamy zanieść pani rzeczy do samochodu? – spytał Gabriel.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję.

Służący poszli wykonać zadanie, zostawiając ją samą. Obróciła się wolno wokół siebie, obejmując wzrokiem cały pokój. Potem poszła do salonu i zrobiła to samo. Już w tej chwili to miejsce wydało jej się obce. Poczowała się jak przechodzień. Nagle zapragnęła stąd wyjść i być z dala od tego wszystkiego.

Przeszła korytarzem i otworzyła frontowe drzwi. Na progu się zatrzymała. Naparły na nią spokój pustego domu i powietrze gęste od wspomnień. Po raz ostatni zamknęła drzwi i ruszyła do samochodu. Czuła, jak zamyka się za nią przeszłość, a nadchodząca przyszłość czeka i wzywa.

# Epilog

Kitty podeszła do jednego ze stolików stojących przy basenie. Brakowało krzeseł, więc usiadła na blacie z lastryko. Zsunęła sandały i spojrzała na pusty betonowy dół. Trudno było sobie wyobrazić, że pokonywała kiedyś kolejne długości basenu w chłodnej wodzie. Po zakurzonym dniu szedł właśnie patyczak. Wodę z basenu wypuszczono lata temu. Zniknęły zielone i białe parasole, razem z obsługą w uniformach. Zdjęto również ogrodzenie, a chatka, w której mieszkali kelnerzy, i przebieralnia, jak i cały budynek klubu były puste i zamknięte.

Osloniła dłonią oczy przed słońcem i spojrzała w kierunku huśtawek i zjeżdżalni. Plac zabaw wciąż lśnił czerwienią, nienaruszony przez warunki atmosferyczne. Bawiły się tam afrykańskie dzieci – z piskiem zjeżdżały ze zjeżdżalni, a ich bose stopy stykały się z rozgrzanym metalem. Zsuwały się głową w dół lub odwrotnie. Wokół nie było nianieek, które pilnowały, żeby dzieci bawiły się rozsądnie. Na szczycie drabinki, tuż przed wejściem na zjeżdżalnię, stała mała dziewczynka. Krzyknęła coś do stojącego przed nią chłopca po suahilijsku, pokazując ręką, żeby zszedł jej z drogi.

Kitty uśmiechnęła się na widok córki stojącej z rękoma gotowymi do chwycenia barierki zjeżdżalni. Ella miała na sobie prostą niebieską sukienkę, wytartą na brzegach. Jasnobrązowe włosy – niesforne jak u ojca – opadały luźno na opalone ramiona. Jedynie kolor włosów i skóry wyróżniał ją spośród reszty dzieci. Prawdopodobnie była najmłodsza z nich – miała tylko cztery lata – lecz z pewnością należała do paczki. Wyglądała na pewną

siebie, zrelaksowaną i szczęśliwą.

Czasami, gdy Kitty przyglądała się Elli, nie mogła uwierzyć, że to jej dziecko, że jest częścią trójkąta miłości tworzącego nową rodzinę. Wyciągnęła lewą dłoń, pozwalając, by promienie słońca zatańczyły na złotej obrączce, którą nosiła na serdecznym palcu. Myślami wróciła do dnia, w którym Taylor po raz pierwszy powiedział, że ją kocha.

Przyjechała na jego farmę, aby przekazać mu wiadomość od ojca Remiego. Ktoś ze wsi mógł pojechać na rowerze, lecz chętnie skorzystała ze sposobności, aby się tam udać. Miała ochotę zajrzeć do wnętrza domu stojącego na wzgórzu. Oczywiście, chciała również zobaczyć Taylora. Zawsze miała na to ochotę...

Stała przed frontowymi drzwiami, starając się przybrać swobodny wyraz twarzy – jakby była sąsiadką, która wpadła z wizytą. Zgodnie z miejscowym zwyczajem zawołała, a nie zapukała.

– *Hodi, hodi!* Czy jest tam kto?

Nie usłyszała odpowiedzi, więc spróbowała nacisnąć klamkę. Drzwi otworzyły się, a ona ujrzała przestronny pokój z chłodnymi cieniami, promieniami słońca i jasnymi plamami koloru między nimi. Jej wzrok przyciągnął natychmiast rząd wielkich okien. Granica pomiędzy wnętrzem a tym, co na zewnątrz, niemal nie istniała. Ściany pokoju przenikały się z ziemią i niebem, które rozciągało się aż po horyzont.

Zawołała po raz drugi, lecz nadal nie otrzymała odpowiedzi. Wiedziała, że powinna poczekać przed drzwiami, lecz dom, pełen śladów z życia Taylora, zapraszał ją do wnętrza.

Na środku pokoju powoli obróciła się wokół siebie. Zauważyła kanapę i trzy fotele: proste, solidne, takie jak u ojców w misji. Na obitych tapicerką meblach leżały poduszki w poszewkach z *kitenge*, każda o innym kolorowym wzorze. Tkane maty tworzyły blade koła na kamiennej podłodze. Stały tam również niskie drewniane stołki, takie, jakich używali Wagogo, i para

bębenków z krowiej skóry. Na przeciwległej ścianie wisiała skóra zebry, z brzegami wykończonymi zielonym filcem, a wzdłuż parapetu maszerowała kolekcja hebanowych rzeźb – długonogich i zgrabnych wojowników na zmianę z afrykańskimi zwierzętami.

Wśród afrykańskich mebli znajdowało się kilka pięknych angielskich antyków, które mogłyby stać w Hamilton Hall. Kitty zatrzymała wzrok na stole z wygiętymi nogami zakończonymi łapami lwa. Połowa stołu była pusta, jakby czekała na podanie posiłku, na drugiej zaś leżały książki, papiery i rozrzucone ołówki. Stała tam również oprawiona w ramki fotografia. Kitty musiała podejść bliżej. Wyblakłe zdjęcie przedstawiało mężczyznę i kobietę stojących ramię w ramię i śmiejących się do obiektywu. Podejrzewała, że to rodzice Taylora: każde z nich miało cechy, które odziedziczył po nich syn.

Nie zatrzymała się przy fotografii, bo nie powinno się oglądać czegoś tak bez zaproszenia. Zamiast tego odwróciła się w stronę obrazu na sąsiedniej ścianie. Była to preimpresjonistyczna akwarela w stylu Turnera. Angielska deszczowa mgła unosząca się nad ciemnoszarą rzeką została uchwycona perfekcyjnie. Studiując technikę obrazu, nie usłyszała zbliżających się kroków, dopóki nie zabrzmiały tuż przy niej. Odwróciła się w popłochu, z przeprosinami na ustach.

Gospodarz tego domu stał w plamie słońca z wyrazem miłego zaskoczenia na twarzy. Kitty wstrzymała oddech. Czas jakby się zatrzymał. Powietrze zgęstniało od napięcia. Zupełnie jakby jakaś siła kipiała i bulgotała, odkąd po raz pierwszy się spotkali, napędzana każdym spojrzeniem, każdym słowem i uśmiechem, wzmocniona ciężkimi przeżyciami, przez które wspólnie przeszli. Powstrzymywanie tej energii sprawiało, że rosła jeszcze bardziej. Teraz nie było już potrzeby wstrzymywania jej. Wszelkie przeszkody zniknęły.

Podeszli do siebie jednocześnie. Przez kilka sekund stali blisko

siebie, spoglądając sobie głęboko w oczy. Potem spotkały się ich usta – najpierw niepewnie, badawczo – zanim utonęły w pełnym pragnienia i tęsknoty pocałunku. Ich ramiona splotły się, a ciała przywarły do siebie. Wydawało się, że ta chwila trwa wiecznie, a mimo to skończyła się zbyt wcześnie.

Taylor odsunął się i położył dłonie na jej ramionach.

– Kocham cię, Kitty.

Uśmiechnęła się radośnie.

– Ja też cię kocham.

Nie potrzeba było więcej słów. Wizja wspólnej przyszłości pojawiła się przed nimi, jasna i nieskończona jak równiny.

Do ślubu włożyła sukienkę z cieniutkiego materiału z Etiopii – prezentu od Tesfy, który twierdził, że to on zeswatał Kitty i Taylora.

Ceremonia zaślubin odbyła się w kościele w misji. Ojciec Paulo złączył prawe dłonie państwa młodych, a ojciec Remi wysłuchał ich przysięgi. Tego samego dnia Kitty przeprowadziła się do domu męża na wzgórzu.

Właśnie tam, w tym samym pokoju, w którym urodził się Taylor, dwa lata później Kitty urodziła Ellę. Przy porodzie asystowała siostra Barbara i afrykańska położna. Gdyby pojawiły się jakieś problemy, szpital w Kongara był niedaleko, ale Kitty cieszyła się, że nie musiała tam jechać. Dzięki temu Taylor mógł uczestniczyć w porodzie. Siostra Barbara nawet zachęcała go do tego. Kitty uśmiechnęła się na myśl, co Pippa mogłaby na ten temat powiedzieć. Nie ma nic bardziej niegodnego niż rodząca kobieta. To prawda, było dużo bólu i krwi, ale Taylor zajęty był wspieraniem żony i nie mógł się doczekać, by zobaczyć dziecko.

On pierwszy po siostrze Barbarze wziął na ręce małą Ellę. Kitty wciąż pamiętała chwilę, w której oderwał wzrok od małego zawiniątka i spojrzał w jej zmęczone, lecz pełne radości oczy. Miłość i zachwyty, które ich połączyły, były tak potężne, że do tej pory, po wielu latach, świadomość tego, co wtedy przeżyli,

doprowadzała Kitty do łez.

– Popatrz, mamusiu! – zawołała Ella ze zjeżdżalni.

– Patrzę! – odkrzyknęła.

Ella rzuciła się na zjeżdżalnię z szerokim uśmiechem na twarzy. Gdy Kitty zaczęła jej bić brawo, dziewczynka spojrzała z triumfem, po czym pobiegła, by zjechać po raz kolejny.

Z grupy zjeżdżających dzieci, przyciągnięty głosem Kitty, wyłonił się Gili. Lekko utykał, lecz nie spowalniało to jego chodu, jedynie sprawiało, że jego pląsający krok wydawał się jeszcze śmieszniejszy. Wskoczył na stół i sięgnął prosto do kieszeni Kitty.

– Nie, nie możesz tego wziąć. – Przycisnęła dłoń do schowanego tam listu. – To moje.

Przegoniła małąkę, po czym wyjęła kopertę. Kiedy usłyszała, że w sklepie czeka na nią list, myślała, że to od Diany, która pisywała regularnie z Nairobi, gdzie Richard dostał rządową posadę. Ale koperta, którą wręczył jej dziś rano Ahmed, miała znaczek z napisem „Australia” wydrukowanym ponad głową świeżo koronowanej królowej Elżbiety. A adres był napisany starannym pismem jej matki.

Wsunęła palec pod brzeg koperty i rozerwała ją. Jak zwykle poczuła lekki niepokój i ciekawość. Nie mogła się już doczekać, żeby przeczytać najnowsze wieści z Seven Gums, lecz zdawała sobie sprawę, że list może zawierać zarówno dobre, jak i złe informacje. Ojciec niedawno przeszedł zapalenie płuc, które przyplątało się, gdy pracował na dworze, mając grypę. W zeszłym roku nieostrożny postrzygacz zaproszył ogień w szopie i mieli szczęście, że nie stracili żadnej owcy. Strach był nieodłącznym towarzyszem miłości. Obydwa uczucia szły w parze z byciem częścią rodziny i im mocniej ludzie związywali się ze sobą, tym więcej było miejsca zarówno dla troski, jak i dla radości. Ale cieszyła się, że może zapłacić taką cenę.

Przeczytała list dwukrotnie, upajając się każdym słowem. Matka pisała, że Hero urodziła silnego i zdrowego źrebaka. Nowy

parobek w końcu zarabiał na siebie, a Millerowie wygrali jak zwykle kolekcję nagród na festynie rolniczym. Jason umawiał się z najmłodszą córką Elwooda, a Tim trenował obiecującego psa pasterskiego imieniem Bailey. List kończyła krótka rada, przekazana przez ojca Kitty, jak przycinać drzewa owocowe.

Wzrok Kitty zatrzymał się na dwóch ostatnich słowach.

„Pozdrowienia, Mama”.

Takie proste słowa, a jak wiele dla niej znaczyły. Przyzwyczaiała się już do listów przychodzących z Seven Gums, lecz nigdy nie brała ich za pewnik. Przez zbyt wiele lat tęskniła za wieściami o rodzicach i braciach. Wciąż w niej tkwiło bolesne wspomnienie długiego milczenia.

Po śmierci Theo napisała do rodziców, opowiadając, co się stało, lecz nie dostała odpowiedzi. Gdy wyszła za Taylora, próbowała ponownie nawiązać z nimi kontakt – może czas w końcu osłabił ich upór. Niestety i tym razem nie doczekała się listu. Nie była nawet pewna, czy matka wie o jej listach. To ojciec wybierał pocztę ze skrzynki, a Kitty mogła sobie wyobrazić, jak rwie koperty, nie otwierając ich, nie mówiąc już o przeczytaniu zawartości. Wyglądało na to, że decyzja, którą przed laty podjęła, zamknęła ich wszystkich w kręgu wzajemnych pretensji i złości, z którego już się nie wydostaną.

Spoglądając w przeszłość, zrozumiała ból, który sprawiła rodzinie, i jaka była samolubna. Nie mogła jednak powiedzieć, że żałuje, że dzięki pieniądзом babci wyjechała do Anglii. Ta decyzja ukształtowała całe jej życie i pomimo ciężkich prób wynikło z tego wiele dobrego. Yuri i wszystko, czego ją nauczył. Miłość, którą dzieliła, przynajmniej przez jakiś czas, z Theo. I Afryka, ojcowie, Diana i mnóstwo przyjaciół. Ale przede wszystkim byli Taylor i Ella. Nie mogła wybrać innej drogi, bo tylko ta ją do nich doprowadziła. Niestety, musiała za to zapłacić utratą rodziny w Australii.

Po urodzeniu Elli zdecydowała się wysłać ostatni list. Bardziej



niż przedtem marzyła o tym, żeby porozumieć się z matką – tyle chciała jej powiedzieć. Kilka tygodni po porodzie Taylor zrobił Elli serię zdjęć. Kiedy czarno-białe fotografie przyjechały z Dar es Salaam, zaczęła je przeglądać. Miała ochotę wybrać takie z Gilim, ale zdecydowała się w końcu na zdjęcie Elli zawiniętej w *kitenge*, z małą rączką opartą delikatnie o policzek. Na ozdobionej białymi ząbkami fotografii dziecko wyglądało jeszcze śliczniej niż w rzeczywistości.

Napisała ołówkiem na odwrocie: „Eleanor Miller Taylor, 3 kg i 100 g”. Zamiast wysłać zdjęcie na pocztę w Wattle Creek, wysłała je do cioci Josie, która mieszkała niedaleko od Seven Gums. W dołączonym liściku błagała ciotkę, aby dostarczyła fotografię szwagierce bez koperty. W ten sposób matka zobaczy swoją pierwszą wnuczkę. Spojrzy wprost w te jasne niewinne oczy i...

Po wysłaniu listu usilnie próbowała o nim zapomnieć. Nie pozwalała sobie na niepotrzebne wizyty w sklepie Ahmeda, który przy kurczącej się ekonomii Kongary pełnił teraz rolę poczty, apteki i głównego sklepu. Starła się nie żałować, że Ella tak szybko się zmienia, a ona nie może wysłać relacji z codziennych cudów do jej babci w Australii. Niespodziewanie, gdy Ella nauczyła się siadać, przyszła odpowiedź. Wciąż trzymała ten list w szafce nocnej, ale nie musiała go czytać, aby przypomnieć sobie, co zawierał. Widziała te słowa oczyma wyobraźni – każdy staranny zawijas, kropkę i małą smugę atramentu w połowie. Był to krótki, prosty i pełen rezerwy list. Nie wspomniano w nim o wcześniejszych wieloletnich próbach skontaktowania się. Ostrożny ton listu wynikał z zaskoczenia, zażenowania, zranienia albo ze wszystkiego razem. Było kilka wiadomości dotyczących rodziny, kilka informacji o farmie i komentarze o pogodzie. Ale znalazła się tam jedna linijka, od której Kitty ścisnęło się gardło.

„A jak będziecie na nią mówili zdrobniale?”.

To było pytanie. Początek.

Najpierw pisała tylko matka. Potem, gdy Kitty napisała

o Taylorze i farmie, zaczęła dostawać komentarze od ojca w formie raportów z drugiej ręki. Wtedy właśnie zaczęła pisać do ojca osobne listy. Odpowiedzi od niego przychodziły w formie dopisków do listu żony. Po jakimś czasie stały się dłuższe i cieplejsze. Uświadomiła sobie, że ojciec złagodniał z wiekiem, a może był teraz mniej zajęty i zestresowany. Ostatnie lata na farmie przyniosły zysk – dobre zbiory, dobre ceny – a synowie wzięli na siebie większość obowiązków. A może chciał jej wynagrodzić to surowe milczenie, które trwało przez tyle lat? Czy miała rację, przypuszczając, że ukrywał istnienie jej listów? Wiedziała, że nigdy o to nie zapyta. Nie była nawet pewna, czy chce to wiedzieć.

Opowiedziała ojcu o doprowadzeniu rurami wody źródlanej do farmy Taylora i możliwych trzech zbiorach każdego roku. Napisała, jak schną na słońcu winogrona sułtańskie, jak robią wino i jak wielu mają pracowników do pomocy. Większość z nich była kiedyś więźniami, teraz pragnęła zaś zacząć nowe życie.

Farma nie potrzebowała już więźniów do pracy, nie musieli już tu przyjeżdżać. Służba Więzienna Jej Królewskiej Mości nawiązała nową współpracę z farmą znajdującą się po drugiej stronie Kongary, gdzie warunki uprawy były podobne. Ojcowie mogli teraz skierować swoje wysiłki do pracy z lokalnymi Wagogo, co było ich pierwotnym celem.

Napisała do ojca o upadku projektu uprawy orzeszków ziemnych w Tanganice. Jako farmer był żywo zainteresowany szczegółami. Nie był zaskoczony, gdy OFC zostało w końcu zmuszone do przyznania, że równiny Kongary nie nadają się do uprawy orzeszków i nie można liczyć na odpowiednie opady deszczu. W brytyjskim parlamencie padały gorzkie oskarżenia, a media szalały z oburzenia. Dlaczego na samym początku nie przeprowadzono prób? Dlaczego OFC zatrudniła żołnierzy zamiast farmerów? Dlaczego wyrzucono w błoto tyle pieniędzy? Jedyne wytłumaczenie było takie, że idealizm wziął górę nad

praktyką. Logiczne myślenie zostało przyćmione przez palące pragnienie, aby zrobić coś dobrego. Zawsze też istniała przepaść między kierownictwem – czy to w Londynie, czy w Londoni – a ludźmi stąpającymi po ziemi, z kurzem we włosach i brudem na rękach.

Upadek nastąpił całkiem nieoczekiwanie. W przeciągu kilku miesięcy ewakuowano z Kongary większość pracowników OFC. Wszystkie rodziny z Londoni wróciły do Anglii. Tylko Richard i Diana zdecydowali się zostać w Afryce. Ich podróż do domu okazała się sukcesem – był to dla nich czas zdrowienia i odnawiania znajomości – lecz zrozumieli również, jak bardzo kochają Tanganikę. Przeprowadzili się do Dar es Salaam, wystarczająco blisko, by móc przyjeżdżać do Kitty i Taylora na wakacje. Richard zdobył posadę w służbie kolonialnej. Diana spędziła trochę czasu jako wolontariuszka w sierocińcu, a teraz przygotowywała własne przedsięwzięcie – dom zapewniający opiekę dzieciom, których matki zmarły podczas porodu.

Niesamowite, że zaledwie po kilku latach tak mało zostało z plantacji. Na równinach odrosła trawa, zacierając ślady upraw i wałów. Ślonie ponownie zaczęły się tam wypasać – ich szare zwaliste ciała wyglądały dziwnie obok rdzewiejących traktorów, które pozostawiono dokładnie tam, gdzie się zepsuły. W Londoni i na plantacjach wszystko, co można było przewieźć, zostało zlicytowane i zabrane. Ministerstwo do spraw Żywności było zainteresowane odzyskaniem jak największej kwoty pieniędzy, po tym gdy straciło fortunę w imieniu brytyjskiego podatnika. Generatory, samochody, a nawet niewielkie domy jak budki załadowano na ciężarówki i wywieziono na misje, do magazynów rządowych lub na prywatne farmy. Domy przy ulicy Milionerów znalazły się w katalogu jako „materiały budowlane”. Usunięto toalety, wanny, dachy i ściany. Zostały po nich jedynie podłogi z lastryko i wybetonowane ścieżki, które przydały się Wagogo do młócki prosa czy suszenia prania.

Życie w Kongarze wróciło do dawnego rytmu, ustanowionego przez wcześniejsze pokolenia, zanim pojawili się tu pierwsi biali. Anglikańscy i katoliccy misjonarze pracowali ramię w ramię – duchowo rywale, ale jednocześnie koledzy. Administracja kolonialna torowała drogę do ostatecznego odzyskania niepodległości przez Tanganikę. Wagogo zaś porozumiewali się z różnymi grupami, ucząc się wszystkiego, co nowe i dobre i łączyli to z dawnymi tradycjami. Zupełnie jakby projekt orzeszkowy i OFC były tylko wiatrem, który przeleciał przez ten odległy zakątek Tanganiki.

Niedawno usłyszała o planach przekształcenia dawnych budynków OFC w szkoły z internatami dla dzieci pracowników misji i urzędników służby kolonialnej. Gdyby to wyszło, Ella zostałaby dzienną uczennicą. Mogła też chodzić ze swoimi afrykańskimi przyjaciółmi do maleńkiej szkoły, którą właśnie organizowała siostra Clara. Kitty nie musiała spieszyć się z podjęciem decyzji. Na razie Ella była zajęta od świtu do zmierzchu i nie potrzebowała lekcji i książek. Potrafiła już wydoić kozę i zasadzić fasolkę w równym rządku na odpowiedniej głębokości. (Przestała już wykopywać orzeszki ziemne, aby sprawdzić, jak rosną, czy zmuszać kwiatki do szybszego rozkwitnięcia przez obieranie i otwieranie pączków). Nigdy się nie nudziła, chociaż prawie nie miała zabawek. A te, które miała, dostała od Diany. Stały w rządku na półce jak cenne, lecz rzadko dotykane skarby. Codzienne życie było dla Elli niekończącym się źródłem zabawy. Uwielbiała towarzyszyć tacie na farmie, pomagać ojcom w misji czy bawić się ciastem w kuchni. W nowej pracowni Kitty miała swój kącik z farbami, kredkami i gliną. Gdziekolwiek szła, wszędzie towarzyszył jej Gili.

Kitty usiadła nieco głębiej na blacie stołu, żeby małpka mogła się usadowić na jej kolanach. Nagle warkot nadjeżdżającego samochodu zwrócił jej uwagę. Spoglądając w kierunku, w którym kiedyś było ogrodzenie, ujrzała ciężarówkę pełną ludzi

– mężczyzn, kobiet i dzieci ubranych w tradycyjne stroje, lecz bez włóczni i tarcz. Czarny dym wydobył się z rury wydechowej, gdy kierowca przyspieszył. Wyjeżdżał z miasta. Kitty podejrzewała, że jedzie do misji. Dzisiaj było święto Świętego Pawła od Krzyża, a po południu ojcowie mieli celebrować specjalną mszę w kościele. Potem wszystkich czekał poczęstunek. Ludzie przybywali do misji od wczesnych godzin. Amosi pewnie gotował już ogromne gary herbaty z przyprawami, którą miały rozdawać zakonnice.

Kitty, Taylor i Ella planowali wybrać się tam tuż przed rozpoczęciem mszy. Z poprzednich lat Kitty wiedziała, jak potoczy się uroczystość. Wszyscy będą patrzeć na starego księdza, ojca Paula. Bez względu na to, jak często ojciec Remi nauczał o życiu i pracy Świętego Pawła, założyciela zakonu pasjonistów, Wagogo to kompletnie nie interesowało. Włoski święty żył zbyt dawno temu i stanowczo za daleko. Ludzie woleli czcić ich własnego ojca, którego imię było niemal takie samo. Kiedy nadchodził ten dzień, wszyscy najpierw odwiedzali grootę, aby podziękować za jego dar uleczenia.

W wyznaczonym czasie ojciec Paulo zostanie zanieiony do groty w lektyce. Nie mógł już chodzić, a wąskie opony wózka inwalidzkiego, przysłanego z Dar es Salaam, grzęzły w ziemi. Przyjaciele podjęli się noszenia go w zwyczajnym krześle, do którego przymocowano z boków deski. Starego księdza z łatwością podnosiło dwóch mężczyzn, lecz możliwość niesienia go uznawano za wyróżnienie, i Kitty nigdy nie widziała mniej niż czterech ludzi przy tej pracy.

Grota będzie wypełniona kwiatami, powietrze przesycone ich zapachem, a także wonią woskowych świec i kadzidła. Ludzie zostaną pobłogosławieni przez ojca, a potem zatrzymają się przy ołtarzu na modlitwę.

Kitty wyobraziła sobie rzeźbę ustawioną na piedestale. Znajdowała się tam już od prawie pięciu lat. Jak tylko

wyprowadziła się z ulicy Milionerów i zamieszkała w misji, zaczęła pracować nad rzeźbą. Po ślubie z Taylorem codziennie chodziła do pracowni. Modelowanie, odlewanie i malowanie zajęło jej prawie rok.

W czasie gdy tworzyła postać dziecka, myślała o tym, które sama tak bardzo pragnęła mieć. Siostra Barbara powiedziała jej, że poczęcie dziecka zajmowało wielu parom około roku, mimo to Kitty obawiała się, gdy mijały kolejne miesiące, że nigdy to nie nastąpi. Ale gdy rzeźba była już prawie skończona, Ella została poczęta. To było jak cud. Kitty często przychodziła do grotty, czując ogromną wdzięczność, że wreszcie zostanie matką. Spoglądała w ciszy na posąg, zapominając, że sama go stworzyła. Ta mała dziewczynka wydawała się taka realna. Jej skóra miała kolor głębokiego brązu, włosy były czarne, z całą masą maleńkich loczków. Ubrana była w sukienkę w kolorze ochry, jak każde dziecko z wioski. Jedną rękę trzymała w górze w tradycyjnym geście błogosławieństwa, lecz nie było w niej nic patetycznego. Brązowe oczy – oczy dziecka, które urodziło się niewidome – patrzyły radośnie i figlarnie i lśniły niczym niezmaconym życiem.

Uwagę Kitty zwrócił blask jasnej skóry i powiewające włosy. Ella oderwała się od przyjaciół i biegła w stronę parkingu samochodowego. Z wyrazu jej twarzy Kitty domyśliła się, kogo mogła zobaczyć. Chwilę później pojawił się Taylor. Wyglądał na zatroskanego czymś – między brwiami widniała głęboka bruzda. Dzisiaj rano przyjechali do miasta w poszukiwaniu części do jednej z pomp. Zapewne nie udało się rozwiązać problemu. Na widok Elli Taylor natychmiast poweselał. Przykucnął, gdy do niego podbiegła, objął mocno i unióś w górę, przyciskając do piersi. Uśmiechali się podobnie, chociaż uśmiech Elli był szerszy. Byli tak bardzo do siebie podobni.

Gili podreptał do nich, żeby o nim nie zapomnieli. Taylor przesunął nieco córkę, aby schylić się i poklepać małą po

głowie. Idąc, pomachał do Kitty, a potem spojrzął w niebo, aby sprawdzić pozycję słońca.

– Chyba już czas jechać – powiedział. – Musimy doprowadzić się do porządku. – Spojrzął na swoje ubranie poplamione błotem z zepsutej pompy.

Kiwnęła głową.

– Muszę dokończyć pieczenie.

Po skończonej mszy mieli wspólnie z ojcami zjeść wieczorny posiłek. Za każdym razem, gdy siadali wokół długiego stołu, czuli się jak na spotkaniu rodzinnym. Ojciec Remi serwował domowe specjały – *prosciutto*, oliwki, ser i salami. Mężczyźni udawali, że kłócą się o to, kto robi lepsze wino. Ella była rozpieszczana przez wszystkich i dawano jej stanowczo zbyt dużo tureckich słodkości pochodzących ze sklepu Ahmeda. Owocowy deser Kitty z kruszonką stał się częścią tradycji. Woląла własną wersję z duszonym mango i marakują. Doprawiała to sokiem z limonki, kokosem i imbirem. Owoce i kruszonkę miała już przygotowane, musiała tylko wszystko podpiec w piekarniku.

Schowała list do kieszeni, zsunęła się ze stołu i włożyła sandały.

– Ubierzemy się w nasze sukienki, dużą i małą – obwieściła Ella. – Prawda, mamusiu?

– Tak – potwierdziła Kitty.

Sukienki leżały gotowe na podwójnym łóżku. Indyjski krawiec uszył je z długiego kawałka materiału, który Kitty kiedyś kupiła. Był to pomarańczowy jedwab, który przypominał jej Katyę. Miała zamiar uszyć z niego suknię, lecz wtedy pan Singh powiedział, że stroje dla matek i córek to najnowsza moda w Londynie. Kitty rozśmieszył ten pomysł, lecz Ella, która przysłuchiwała się rozmowie, była zachwycona. Krawiec z dzieckiem połączyli siły, a Kitty pozostało się tylko zgodzić. Dzisiejsze święto było pierwszą okazją do włożenia nowych sukienek. Wystąpią obydwie w identycznych sukniach z najlepszego jedwabiu,

w kolorze afrykańskiego zachodu słońca.

– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć was w tych sukienkach – powiedział Taylor, całując Ellę w czubek głowy. A potem przysunął się do Kitty i zanurzył twarz w jej włosach. Pachniał sokiem winogronowym i ziemią i czuła ciepło promieni słonecznych na jego twarzy. – Moje piękne dziewczyny – zamruczał, muskając wargami jej policzek.

Kitty objęła męża i córkę. Skóra Elli była gładka i miękka jak aksamit, a ciało Taylora zwarte i mocne. Oparła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy. To, czego doświadczała w tym momencie, to było coś więcej niż myśl, to był prąd przepływający przez nią. Słowa, którymi mogła opisać to uczucie, znalazła w swoim sercu – znajome i niezwykle.

*Hali ya kuwa na furaha.*

Stan radości.



# Nota od autora

Powieść ta została zainspirowana projektem brytyjskiego rządu obsadzenia orzeszkami ziemnymi ogromnych połaci kraju w Tanganice w latach 1947–1951. Program miał kilka głównych centrów, z których największym była Kongwa. Kongara, miasteczko w powieści, jest fikcyjne, ale nosi ślady podobieństwa do Kongwy, która ma własny charakter i historię.

Większość informacji zaczerpnęłam z książki Alana Wooda pt. *The Groundnut Affair*, opublikowanej w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Opierałam się również na relacjach z pierwszej ręki osób, które mieszkały w osiedlach w czasie i po zakończeniu projektu. Wiele cennych faktów przekazali mi Glynn Ford i Jean Young. Byłam wdzięczna za możliwość obejrzenia kolekcji archiwalnych fotografii, w tym tych należących do Edwarda Buntinga, Valerii Gatti, Paula Jacksona, Charliego MacDonalda, Raya Mullina, Tony’ego Murphy’ego i Jeana Younga.

Ogólny obraz życia w Tanganice znalazłam, czytając wspomnienia Davida Reada *Beating About the Bush* i Joan Smith *A Patch of Africa*.

Jak zwykle w swojej twórczości wplotłam wątki ze wspomnień rodzinnych. To mój ojciec, Robin Smith, zasugerował, żebym wykorzystwała projekt orzeszkowy jako tło do książki. Pracował w Tanganice u schyłku lat pięćdziesiątych i pojechał do Kongwy kupić olejowy generator, który wystawiło na sprzedaż OFC. W dwa tysiące jedenastym roku pojechaliśmy tam wszyscy – moja matka, siostra i syn – aby obejrzyć pozostałości Londoni

i odkryć załączki tej historii.

Mój ojciec pamiętał również wizytę w katolickiej misji Bihawana, niedaleko Dodomy (obecnej stolicy Tanzanii). Pracujący tam ojcowie eksperymentowali z uprawą winorośli ze szczeppek, które przywieźli z wizyt u swoich rodzin we Włoszech. Po naszej wyprawie do Kongwy pojechaliśmy do misji, gdzie wciąż działała stara wytwórnia win, a obok budowano nową. Miejsce to zainspirowało mnie do opisanie katolickiej misji w powieści. W Bihawanie winorośle są odpowiednio nawadniane i w ciągu roku trzy razy zbiera się z nich winogrona. Niektóre z pierwszych komercyjnych wytwórni win we wschodniej Afryce zostały wybudowane w okolicach Dodomy i korzystały z pracy więźniów.

Moja matka, Elizabeth Smith, studiowała w Slade School of Art w Londynie i część z jej doświadczeń wykorzystałam do stworzenia postaci Kitty. Mama została zaproszona do pozowania znanemu rzeźbiarzowi, który był rosyjskim księciem, i spędziła kilka weekendów w jego wiejskiej posiadłości. Artysta uciekł przed czerwonym terrorem z klejnotami rodzinnymi w torbie podróżnej i stał się natchnieniem do stworzenia postaci Yuriego. Odkąd pamiętam, widziałam matkę przy sztalugach. Jej krajobrazy z miejsc, w których mieszkaliśmy, ukształtowały moją wizję świata.

Aby dowiedzieć się więcej, odwiedźcie moją stronę: [www.katherinescholes.com](http://www.katherinescholes.com).

# Podziękowania

Moje najszczerze podziękowania płyną do wszystkich, którzy pomogli i wspierali mnie podczas pisania tej książki.

Dziękuję Ali Watts za bycie ciepłym, inspirującym i wnikliwym wydawcą.

Reszcie zespołu Penguin Australia – szczególnie Louise Ryan, Sally Bateman, Anyez Lindop, Deb McGowan, Belindzie Byrne i Caro Cooper. Dziękuję również Saskii Adams.

Fionie Inglis, Annabel Blay, Grace Heifetz i wszystkim innym w Curtis Brown Australia.

Kate Cooper z Curtis Brown w Londynie i wszystkim moim wydawcom i agentom zza oceanu.

Robinowi i Elizabeth Smithom za użyczenie mi po raz kolejny swoich życiowych doświadczeń i za skrupulatne tłumaczenia na suahili i komentarze na temat powieści.

Hilary Smith i Clare Smith za przeczytanie rękopisu, wsparcie i zachęcające opinie.

Andrew i Vanessie Smithom za dostarczanie mi ciekawych opowieści o Tanganice.

Jonny'emu Scholesowi za pomoc przy stworzeniu strony internetowej i cierpliwe rady, jak być pisarzem w dwudziestym pierwszym wieku.

Hugh Prentice'owi za nieustające zainteresowanie moją afrykańską twórczością.

Moim towarzyszom z wyprawy safari w Kongwie: Alison Talbert, Philowi i Barbarze Wiggom, Hilary Smith, Elizabeth i Robinowi Smithom, a szczególnie mojemu synowi Lindenowi

Scholesowi, którego obecność uczyniła tę podróż wyjątkową.

Ojcom i wszystkim innym z katolickiej misji Bihawana za pokazanie nam historycznych zabudowań, w tym ukrytych cel, groty oczekującej na rzeźbę, a nawet spizarni, w której włoscy ojcowie suszyli swoje *prosciutto*.

Janet Allen z Teologicznego College'u St Phillips za ciepłe przyjęcie podczas naszego pobytu w hostelu Westgate w Kongwie. Wybudowany w tysiąc dziewięćset czternastym roku budynek jest pierwowzorem włoskiej misji w powieści.

Nedowi Kempowi za hojną gościnność w Mvumi; dziękuję również Mvumi School Trust.

Maurze Kerr za podzielenie się wiedzą na temat katolickich tradycji.

Moim drogim przyjacielom – w tym lojalnym Curry Girls – i całej mojej wielkiej rodzinie, która dotrzymuje mi towarzystwa w zawodzie, w którym grozi samotność.

Na koniec mojemu mężowi Rogerowi, który zawsze wspiera mnie w pisaniu, poczynając od pierwszych pomysłów, aż po ostateczną wersję tekstu. Jeszcze raz wielkie dzięki.